



Najnowsza powieść autorki kilkudziesięciu bestsellerów  
z listy „New York Timesa”

Projekt  
marzeń

BARBARA  
DELINSKY

Świat Książki

# BARBARA DELINSKY

Projekt  
marzeń

Z angielskiego przełożyła  
Anna Zielińska

  
Świat Książki  
wydawnictwo

*Finnowi,  
za cudowne projekty  
i zawsze miłość*

## Prolog



Przestało padać. W samą porę. Czekał ich ostatni dzień zdjęć do wiosennego sezonu *Gut It!*, a chociaż słońce jeszcze nie świeciło, Caroline MacAfee była dobrej myśli. W tle, w sporej odległości za krzątającą się ekipą, sunęły drogą samochody, czerwcowy wiatr pędził ołowiane chmury na wschód, nad morze i Boston. Niebo na zachodzie powoli się przecierało.

Jak opisać to, co czuła, gdy stojąc na skraju świeżo wybrukowanego podjazdu, patrzyła na zmodernizowaną fasadę jeszcze niedawno przysadzistego domu ze stromym dachem, jakie w przeszłości stawiano na Cape Cod? Na pewno ulgę, że zbliżał się koniec ciężkiej pracy, oraz zdumienie – zawsze zdumienie, że wszystko tak dobrze wyszło – a także coś w rodzaju macierzyńskiej dumy. Caroline nie zabiegała o prowadzenie tego programu, lecz po prawie dziesięciu latach w roli jego gospodyni był już jej dzieckiem w takim samym stopniu jak reszty ekipy.

*Gut It!*, seryjny program lokalnej telewizji poświęcony renowacji domów, tworzyły kobiety, przede wszystkim kobiety z firmy deweloperskiej MacAfee Homes.

Tu nie epatowano widzów sensacjami ani występami celebrytów. Zjednywano ich pokazywaniem prawdziwej, ciężkiej pracy zwykłych ludzi, z którymi chętnie identyfikowała się damska część publiczności. Jedna kamera, za którą stał świetny fachowiec, co prawda mężczyzna, oraz bardzo rzutka producentka wykonawcza i jednocześnie reżyserka, która czasami bywała nieprzewidywalna, lecz ze względu na sukces programu przymykano oko na jej humory. Po dziesięciu edycjach *Gut It!* stał się kultowym programem i Caroline wierzyła, że ten odcinek jeszcze przysporzy mu widzów.

Zerkając na niebo, zatarła dłonie i uśmiechnęła się do kamery.

– Ubrałam się dziś na żółto, żeby przebłagać bóstwa pogody. – Skinieniem głowy wskazała prześwitujący błękit. – Nie najgorzej, prawda? Witam ponownie w Longmeadow, w stanie Massachusetts, gdzie właśnie trwają prace wykończeniowe przy najnowszej adaptacji *Gut It!* Jak widzicie – odsunęła się na bok, odsłaniając robotnika z grubą rolką gotowej darni na ramieniu – dużo się tutaj dzieje. – Wróciła na miejsce, tym razem z entuzjastycznym: „Hej!”, skierowanym do dwóch pracowników firmy przeprowadzkowej niosących kanapę. – Świetne obicie! – zawołała za nimi i odwracając się do kamery, dodała: – Właściciele planują spędzić dzisiaj pierwszą noc w odnowionym domu, musimy więc się pospieszyć. Czeka nas jeszcze mnóstwo pracy.

Postąpiła parę kroków i ruchem podbródka zachęciła widzów, aby podążyli za nią. Czowała się swobodnie na planie. Nie spodziewała się, że tak będzie, gdy zgodziła się na prowadzenie programu, lecz szybko zaprzyjaźniła się z kamerą.

– Pół roku temu zaczęliśmy pracę nad tym niewielkim domem, który Rob i Diana LaValle oddali w nasze ręce. Ich marzeniem było uzyskanie większej przestrzeni. Dom zbudowali dziadkowie Diany i łączy się z nim historia życia czterech pokoleń, toteż rozbiórka nie wchodziła w grę. Dwukrotne powiększenie powierzchni, modernizacja wyposażenia oraz rozprowadzenie supernowoczesnych i ekologicznych instalacji przy jednoczesnym zachowaniu charakteru domu stanowiło nie lada wyzwanie. Dzisiaj jest dzień prawdy. Zobaczmy, co udało się osiągnąć.

Z nieukrywaną dumą skierowała kamerę na swoją córkę, która w tej chwili rozmawiała z głównym wykonawcą, obserwując wraz z nim montaż ostatniego kompletu zewnętrznych okiennic. Dean Brannick był jedynym mężczyzną występującym we wszystkich odcinkach i stał się ulubieńcem publiczności, więc nikt nie kwestionował jego udziału.

– Za chwilę do ciebie dołączę! – zawołała Caroline za odchodzącym Deanem i objęła Jamie w pasie ramieniem. Z początku obawiała się takich spontanicznych gestów. Okazało się jednak, że widzom to się podobało. Obraz relacji matki z córką wzbogacał kobiecy charakter programu.

Były do siebie bardzo podobne – takie same szerokie usta, intensywnie zielone oczy i kasztanowe włosy – a jednocześnie zdecydowanie się różniły. Caroline pozwalała włosom swobodnie się wić, Jamie swoje prostowała; Caroline miała metr siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, Jamie tylko metr sześćdziesiąt jeden; Jamie, świeżo upieczona pani architekt, chodziła w stonowanych barwach, mistrz stolarki, Caroline, poza czasem gdy w goglach pracowała z pilarką, wybierała żywe kolory. Dzisiaj miała żółte džinsy, top w takim samym odcieniu i dopasowany turkusowy sweter; całość kontrastowała z szarymi spodniami i marynarką córki.

– Jamie, porozmawiaj z nami – zachęciła ją Caroline. – Jako architektka firmująca ten projekt uczestniczysz w nim od pierwszego dnia. – Wskazała ręką na dom. – Co o tym myślisz?

– Jestem zadowolona – odparła Jamie, ruszając z matką. – W tej pracy najbardziej cieszy mnie możliwość śledzenia, jak zwykły dom zmienia się w imponujący, i tak właśnie jest w tym przypadku. – Nie ukrywała dumy; kamera wyraźnie to pokazała. Technicznymi szczegółami zajmą się podczas późniejszych ujęć, teraz należało się skupić na emocjach towarzyszących metamorfozie domu. – Pierwotnie był to parterowy dom z mansardą pod stromym dwuspadowym dachem. Gdy spłaszczyliśmy go, zyskaliśmy na piętrze trzy spore sypialnie, a na parterze powiększyliśmy kuchnię i wygospodarowaliśmy miejsce na jeszcze jeden pokój.

– Wszystko energooszczędne.  
– Dokładnie tak; od legarów podłogowych i podwójnej izolacji ścian po dwuszybowe okna.

– Tyle na razie o wnętrzu. – Caroline ogarnęła fasadę zachwyconym spojrzeniem. – Elewacja robi wrażenie.

– Zgadzam się. Inwestorzy życzyli sobie, aby dom zyskał na wyglądzie, a jednocześnie zachował charakter typowej zabudowy Cape Cod – przypomniała widzom Jamie. – Powiększyliśmy wejście i obłożyliśmy fasadę kamieniem elewacyjnym. A to wykończenie ścian szczytowych nad oknami na piętrze? Niesamowite, co? – Powiodła po nim pieszczotliwym spojrzeniem. – Zwróć uwagę na te krokszyny.

– Amen – podsumowała z uśmiechem Caroline, bo to ona własnoręcznie je wyrzeźbiła.

– Żadne „amen” – ucięła producentka i kładąc dłoń na ramieniu operatora, dała znak, aby zatrzymał kamerę. – To nie program religijny. Jamie, kochana, powtórz ostatnią kwestię.

Powtórzyła zgodnie z poleceniem.

– Och, rzeczywiście – poprawiła się Caroline, wysilając się na uśmiech, po czym przeszła do omawiania kolorów wybranych przez Deana, ich człowieka orkiestrę.

Ściągał materiały budowlane i zatrudniał podwykonawców. Kontrolował na budowie wszystko, łącznie z ego robotników niechętnie pracujących w świecie kobiet, i doradzał inwestorom, którzy nie mieli pojęcia o farbach elewacyjnych. W tym wypadku na dach wybrał gont w kolorze cedru, który elegancko podkreślał ciemnoszary odcień kamiennej licówki i biel boni.

– Czysto i świeżo – powiedziała z westchnieniem Jamie. – Gont bitumiczny, który Dean wybrał na pokrycie dachu, stylowo uzupełnia całość.

– Oczywiście, stąd nie widać...

– ...baterii słonecznych. To kolejny element energooszczędnych rozwiązań przy adaptacji domu.

– O tym wszystkim porozmawiamy później. W tej chwili podziwiam elegancki wygląd całości.

Jamie z uśmiechem pokiwała głową.

– To był po prostu zwykły, stary dom. Teraz wskrzeszono tu ducha tradycji. Spójrzmy na bruk. Dean przypadkiem natrafił na te kamienie w magazynie przy młynie w New Hampshire. Pochodzą z końca dziewiętnastego wieku. – Obejrzała się na Caroline. – A pamiętasz tamten wolno stojący garaż na jeden samochód?

– Był szpetny.

– I za mały. Państwo LaValle mają czworo dzieci, które niedługo same zaczną jeździć, dlatego do tylnej ściany domu dobudowaliśmy garaż z trzema

stanowiskami. Dzięki rozebraniu tamtego starego na froncie nie tylko usunęliśmy zawadę psującą widok, lecz także zyskaliśmy kawałek cennego terenu przy kuchni. – Na dowód pojawiło się ujęcie nowego tarasu z treliarzem i murowanym grillem.

Po rozmowie o wyzwaniach wynikających z ukształtowania działki Caroline skierowała obiektyw kamery z powrotem na frontowy ganek.

– Popatrzcie państwo na te kamienne kolumny. Doskonały przykład rzemiosła artystycznego, bezspornie dodający charakteru całości. I zwróćcie uwagę na drzwi. Są wyższe i szersze od oryginalnych, a z tymi lampami po obu bokach wyglądają bardzo efektownie. Jamie, zawsze znajdujesz pomysły na imponujące frontowe wejścia...

– Moment – przerwała producentka. – Caroline, za dużo mówisz. Zostaw miejsce dla Jamie.

Caroline poczuła irytację. Nie mówiła więcej niż zwykle, ale sprawa była zbyt błaha, żeby robić z tego problem.

– Dobrze, jasne – odparła jedynie, ciesząc się w duchu, że na parę miesięcy uwolni się od towarzystwa Claire Howe. Spojrzała na Jamie, a ona w odpowiedzi skinęła głową.

– Zacznijmy jeszcze raz o tym ganku – poleciła Claire i wtedy Jamie odtworzyła komentarz matki. Ponieważ nie korzystały z gotowego scenariusza, użyła nieco innych określeń, bardziej typowych dla ludzi w jej wieku. Co prawda raz się zacięła, lecz powróciła do przerwanej myśli, ale potem już wszystko poszło gładko.

Gdy wchodziły do domu, Caroline kątem oka zauważyła kobietę przy kępie roślin.

– Annie! – zawołała, przytrzymując Jamie za ramię.

Annie Ahl była projektantką krajobrazu w ich programie. W ogrodniczych rękawicach i w oblepionych błotem butach z zadowoloną miną wyłoniła się pomiędzy dwóch świeżo posadzonych jałowców. Obcięte na chłopaka srebrnosiwe włosy pasowały do jej drobnej postury.

Caroline wpatrywała się w miejsce poza jałowcami.

– Czy mnie wzrok nie myli?

– Masz dobre oko – pochwaliła ją Annie piskliwie.

Przez ten głos o mało nie zrezygnowano z jej uczestnictwa w programie. Jednak tak jak zaletą kamerzysty było idealne wyczucie światła, tak w jej przypadku intuicyjny talent do aranżacji zieleni stanowił atut nie do pogardzenia. Była główną specjalistką od krajobrazu w MacAfee Homes i przyjaciółką Caroline.

– Jesienią wykopaliśmy te azalie, żeby przypadkiem nie zmarnowały się podczas prac remontowych. Przezimowały w mojej szkółce, a teraz wróciły na dawne miejsce. Dwa tygodnie temu kwitły. Widzisz te resztki kwiatostanów?

Kamerzysta wklei później odpowiednie ujęcie, a teraz skierował kamerę na

klomb.

– Naturalnie dopiero wiosną w przyszłym roku okaże się, jak sobie poradziły, lecz jestem pewna, że przetrwają. To twardzielki.

– I mają teraz towarzystwo. – Caroline ogarnęła spojrzeniem nowe nasadzenia.

– No. Jeden rząd...

– Żadne „no” – przerwała Claire. – Prosiłam cię, Annie, żebyś tak nie mówiła.

– Przepraszam. To mi się tak spontanicznie wymyka – usprawiedliwiła się Annie jeszcze bardziej piskliwie.

– Lubię spontaniczność, ale bez „no”. I kontroluj głos. Jest za wysoki.

Caroline ani razu nie natrafiła na negatywne komentarze dotyczące sposobu mówienia przyjaciółki na ich stronie na Facebooku, którą skwapliwie monitorowała. Ale to Claire była tu szefem. Półgębkiem, tak aby producentka przypadkiem jej nie usłyszała, powiedziała to Annie. Gdy ogrodniczka ochłonęła po reprimendzie, powróciły do przerwanej rozmowy.

– Gdy po raz pierwszy zobaczyłam ten ogród – odezwała się poprawnie modulowanym głosem – rabaty były wąskie i długie, zgodnie z trendem obowiązującym w tamtych czasach. Ukształtowaliśmy klomby na nowo, żeby uzyskać lepszą perspektywę i uwypuklić projekt Jamie. Te wyższe krzewy w głębi to modrzewnice, ostrokrzewy i cisy. Azalie otoczyłam jałowcem, a teraz sadzimy byliny.

– Dobra robota, panowie! – zawołała Caroline do dwóch mężczyzn grzebiących w ziemi i pozwoliła Annie się oddalić.

Gdy wchodziły z Jamie po kamiennych stopniach prowadzących do domu, zwróciła uwagę widzów na solidne orzechowe drzwi z wypukłymi panelami i okuciami z brązu. W holu natrafiły na Deana, który akurat wyłonił się z kuchni.

– Właśnie ustawiamy instalację alarmową – poinformował. – Chcecie obejrzeć sterownię?

Kamerzysta zasygnalizował przerwę. Po zimnych napojach zeszli do piwnicy i zaczęli od rozmowy ze specjalistą od zabezpieczeń. Usłyszeli wykład na temat zaawansowanego systemu, który umożliwiał zdalne włączanie alarmów oraz regulację ogrzewania, klimatyzacji i nawadniania ogrodu. Potem pałeczkę przejął Dean; przełożył to wszystko na ludzki język, bo znał się na elektronice. Caroline w tym czasie trzymała się na uboczu.

Niebo się przecierało, co zapewniało kamerzyście jego ulubione rozproszone światło. Caroline, schodząc z drogi krzątającym się ekipom remontowym, ucięła sobie jeszcze pogawędkę z kamieniarzem polerującym marmurową podłogę w łazience na piętrze oraz z kafelkarzem, który kończył układać płytki ścienna. Takie scenki kręcili przede wszystkim z myślą o majsterkowiczach, którzy szukali



porad praktycznych. Dopiero później, gdy producentka wraz z montażystami obejrzą całość, zapadnie decyzja, które z nich pozostawić i ile poświęcić im czasu.

Popołudniową sesję zaczęli od ujęcia Caroline podczas rozmowy w kuchni z właścicielami domu o tym, co tu zmodyfikowano, co usunięto, a co pozostawiono w oryginalnym stanie. Potem akcja przeniosła się do salonu, gdzie dekoratorka wnętrz, Taylor Huff, nadzorowała ustawianie mebli. Na lambrekiny, obicia kanap i foteli oraz tapicerowane krzesła w kuchni wybrała materiały w zbliżonej tonacji. Następnie pojawiła się serwisantka sprzętu RTV, żeby zaprogramować pilota do wielkiego płaskiego telewizora. Ekipa *Gut It!* współpracowała z nią już wcześniej. Była świetnym fachowcem i wspaniale radziła sobie z techniką, ale, niestety, bardzo łatwo się peszyła. Caroline chciała wyprzedzić ewentualną interwencję Claire, więc zatrzymała kamerę, aby biedna serwisantka miała czas na pozbycie się tremy, a potem starała się jej pomagać, odpowiednio formułując pytania.

Brygady fachowców jedna po drugiej kończyły pracę i zaczęli schodzić się goście. Pod wieczór, gdy promienie zachodzącego słońca sączyły się do holu przez okna jadalni, asystentki producentki zgodnie z tradycją *Gut It!* ustawiły tam do wspólnego zdjęcia prawie czterdziestoosobową grupę złożoną z rodziny, sąsiadów, rzemieślników oraz członków ekipy telewizyjnej.

Caroline zajęła centralne miejsce w pierwszym rzędzie.

– Oto podsumowanie *Gut It!* zamykające ten sezon – z satysfakcją powiedziała do kamery. – Zajęliśmy się sześćdziesięcioletnim domem typowym dla dawnej zabudowy Cape Cod. Ten dom, za ciasny dla rodziny z dorastającymi dziećmi, zbyt przestarzały według obecnych właścicieli oraz nadmiernie energochłonny zdaniem dbających o ekologię mieszkańców miasta, zmieniliśmy w przestronny, nowoczesny i przyjazny dla środowiska. Stoimy teraz z Robem i Dianą, jego właścicielami, u stóp imponujących kręconych schodów, o jakich zawsze marzyli. Jestem Caroline MacAfee, gospodyni programu *Gut It!* Dziękujemy, że byliście z nami w tym sezonie. Mamy nadzieję, że w przyszłym równie chętnie będziecie nam towarzyszyć przy pracy nad kolejnym projektem. – Rozejrzała się. – Wszyscy gotowi? – Patrząc w kamerę, jednym ramieniem obejmowała córkę, a drugim Dianę LaValle. – Uwaga, ścieśnijmy się trochę – poleciła w odpowiedzi na gwałtowne znaki kamerzysty. Krótkie zamieszanie, a po nim polecenie: – Wszystkie oczy w kamerę! – Jeden trzask, drugi, trzeci i oczekiwanie ze wstrzymanym oddechem, aż kamerzysta sprawdzi ujęcia. Gdy się uśmiechnął, Caroline odwróciła się do przyjaciół i triumfalnie uniosła w górę dłoń zaciśniętą w pięść. – Hurra!

## Rozdział 1



Jamie MacAfee nadal czuła się córeczką swych rodziców. Nieważne, że skończyła dwadzieścia dziewięć lat i była niezależna finansowo. Przy ojcu i matce stawała się małą dziewczynką, nad której życiem ciążył ich rozwód i potrzeba zadowalania obydwu stron. Dlatego, jadąc przez miasto na szybkie śniadanie z ojcem, czuła się taka spięta.

Na ulicach panowała poranna cisza. Szkolne autobusy jeszcze nie wyruszyły, kosiarki stały w składzikach, a wszelkie inne hałasy, jakie ewentualnie zakłócałyby ciszę o siódmej rano, i tak stłumiłoby gęste powietrze zapowiadające skwar. W Nowej Anglii czerwiec nie powinien być taki gorący. Dokuczliwa wilgoć z poprzedniego wieczoru wisiała uwięziona pod rozłożystymi koronami klonów i dębów rosnących wzdłuż trasy. Jedwabna bluzka kleiła jej się do skóry. Jechała w kabriolecticie z opuszczonym dachem. Za drugą przecnicą podkręciła klimatyzację i skierowała dmuchawy na szyję, lecz wcale nie poczuła ulgi.

Jej napięcie wzrosło, gdy z South Main skręciła w Grove. Na parceli po rozebrany domu ich główny konkurent stawiał willę w kolonialnym holenderskim stylu, która niepokojąco dobrze się zapowiadała.

Dodatkowo poziom adrenaliny podniósł jej widok mijanego audi A5; takie samo miał jej narzeczony. Oczywiście to nie mógł być on. Brad Greer wyszedł z jej mieszkania o szóstej rano, gdy to, co miało być miłą kawą wypitą w łóżku, zmieniło się w sprzeczkę z powodu daty ślubu. Od pół roku byli zaręczeni, a ona jeszcze nie pomyślała o tym terminie. Jej wina. Wyłącznie. Zaangażowanie w *Gut It!* i praca nad dziesięcioma projektami w różnym stopniu zaawansowania nie zostawiały jej chwili oddechu. Brad był bardzo wyczulony, gdy w grę wchodziły ich relacje, i dlatego przejęła się widokiem jego cierpiętniczej miny.

Nie zadzwonił, nie przysłał esemesa. Zajrzałyby do niego, gdyby miała czas.

Niestety, nie miała, bo jechała na spotkanie z ojcem. Właśnie to niespodziewane wezwanie stanowiło źródło jej niepokoju. Bez dwóch zdań wiedział, że dzisiaj miała szczególny powód, żeby dotrzymać towarzystwa matce. Dla niej Caroline była i matką, i najlepszą przyjaciółką, a ona z kolei zastępowała jej całą rodzinę. Roy natomiast czerpał z życia pełnymi garściami. Ożenił się potem jeszcze dwukrotnie. Jamie miała obojętny stosunek do jego drugiej żony i nie przejęła się, kiedy rozpadło się ich krótkie małżeństwo, lecz z trzecią, obecną, prawie jej rówieśnicą, żyła w przyjaźni. Roy, zaabsorbowany Jessicą i ich małym synkiem, szczęśliwie nie wtrącał się w życie Jamie.

Chyba że czegoś od niej chciał.

Najwyraźniej tak było teraz.

Powinna się była wymówić.

Bardzo nalegał na to spotkanie podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej, zręcznie uchylając się od odpowiedzi, po co chce się z nią widzieć.

„Chodzi o sprawy zawodowe”, oznajmił w końcu nietypowym dla siebie grobowym głosem. Zawodowe, czyli o MacAfee Homes, gdzie pracowała Jamie i wszyscy miejscowi członkowie klanu MacAfee. Zaproponowała, że zajrzy do niego do biura przed dziewiątą, on jednak się uparł, aby porozmawiali, zanim zobaczy się z matką.

Tak dokładnie powiedział: „Zanim zobaczysz się z matką”.

I to ją zaalarmowało. A więc chciał rozmawiać o Caroline. O co mogło mu chodzić? Caroline pracowała jako mistrz stolarski w MacAfee, zanim jeszcze wyszła za Roya, a ich rozstanie wcale nie zaszkodziło jej rosnącej popularności. Ojciec Roya, Theodore MacAfee, szefujący firmie, bardziej obwiniał o rozwód syna niż synową. Teść bardzo lubił Caroline. Za każdym razem, kiedy Roy próbował odsunąć ją od lukratywnych zleceń, teść stawał w jej obronie. Trzymał też jej stronę, gdy chciała zamówić licówki z brzozy lub jakiegoś egzotycznego gatunku drewna, a Roy protestował, argumentując, że w ten sposób przekracza budżet.

Może, spekulowała Jamie, ojciec wzywa ją tak nagle, bo chce, żeby zajęła się dwuletnim Tadem, kiedy pojedą z Jessicą na wakacje do Europy, co niewątpliwie skomplikowałoby jej sprawy zawodowe. Pełnoetatowa mama ma niełatwe życie; Jess zmagala się z mnóstwem obowiązków na co dzień. Mimo wszystko Jamie kochała ojca i była zauroczona przyrodnim braciszkiem. Nie umiałaby ojcu odmówić.

Tak samo jak nie potrafiła mu się przeciwstawić. Według niej to nie był wystarczający powód, by kazać jej rzucać wszystko i przyjeżdżać. Wymogła chociaż tyle, że spotkają się o siódmej, aby jeszcze przed pracą zdążyła zajrzeć do Caroline.

Aha, właśnie go zobaczyła. Akurat przechodził przez parking przed barem U Fiony, gdy wyjechała z za narożnika. Pomachała do niego przez otwarty dach. Przyglądała włosy, zerknęła we wsteczne lustro i zobaczyła piegi na nosie. Ot i tyle wart ten nowy, drogi korektor. Upał rozpuścił makijaż tak samo jak wyssał całe powietrze zdatne do oddychania.

Zrezygnowana, namacała pantofle i wsunęła w nie stopy, a potem na tyle zgrabnie, na ile pozwalała krótka, czarna spódnica i wysokie obcasy, wysunęła się z fotela. Spódnica podkreślała szczupłość bioder, obcasy dodawały parę upragnionych cali. Całość uzupełniała biała jedwabna bluzka. Jamie ubrała się tak, aby jej strój robił odpowiednie wrażenie, naturalnie nie tylko na ojcu. To był jej

typowy wizerunek pt. „Traktujcie mnie poważnie” na dni wypełnione spotkaniami. Architekci na podobnych stanowiskach byli przeważnie starsi od niej i chociaż zaplecze w postaci firmy rodzinnej zapewniło jej lepszy start, musiała pracować na renomę nazwiska.

Te piegi wytrąciły ją z równowagi, lecz nie było sposobu, żeby w tej chwili jakoś je zatuszować. Pozostawało jedynie wyprostować ramiona i sprężystym krokiem kobiety biznesu ruszyć przed siebie – co natychmiast odbiło się rykoszetem, bo długi pasek torebki zahaczył się o klamkę w drzwiach. Niezbyt efektowny start, pomyślała. Niestety, dość często przytrafiały jej się podobne przypadki. Skupiona, miała skoordynowane ruchy, a gdy coś ją rozpraszało, robiła się niezadarna.

Uwolniła torebkę i energicznym krokiem ruszyła ojcemu na spotkanie.

Elegancki bar U Fiony serwował najlepsze śniadania w mieście i już teraz, o tak wczesnej porze, panował tu spory ruch. Parking był zastawiony samochodami. W powietrzu unosił się kuszący zapach muffinek, placków ziemniaczanych i miejscowego syropu klonowego.

Roy akurat skończył pogawędkę z dwoma policjantami z Williston, którzy schodzili z nocnego patrolu. Obaj obdarzyli Jamie pełnym uznania uśmiechem, gdy ich mijala, spiesząc za ojcem. Roy najpierw obszedł wszystkie boksy, by przywitać się z agentami nieruchomości, prawnikami, hydraulikami, właścicielami sklepów, czyimiś mężami, żonami... Wszyscy mieszkali w okolicy i należeli do kręgu jego znajomych. Williston leżało dwadzieścia mil od Bostonu. Liczyło piętnaście tysięcy mieszkańców. Miasteczkiem rządziła Rada Miejska i gdyby na jej czele stał burmistrz, z pewnością zostałby nim Roy. Zawsze uśmiechnięty, skory do pogawędki, kojarzący wszystkie twarze i imiona. Przez całe lata tak samo zachowywał się Theo, dopóki wiek nie spowolnił mu poranków. Wtedy jego rolę gładko przejął syn. Firma MacAfee Homes, największy pracodawca w miasteczku i niewątpliwie podstawa egzystencji wielu sklepów, dbała o podtrzymywanie dobrych relacji.

Roy umiał zaskarbić sobie sympatię. Na dodatek był obłudnie przystojny. Z żywymi piwnymi oczami i z wieczną opalenizną nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt dwa lata. Siwizna, która przyprószyła mu skronie z dziesięć lat temu, jakimś cudem zmieniła kolor na złoty blond i chociaż Jamie nie miała pewności, byłaby gotowa się założyć, że brak zmarszczek na czole to wynik działań chirurga plastycznego. Wcale go za to nie potępiała. Ojciec bardzo dbał o kondycję – zapewne i dziś o świcie, pomimo upału, wybrał się na przebieżkę. Do baru przyszedł w starannie wyprasowanej niebieskiej koszuli i w eleganckich popielatych spodniach, z twarzą błyszczącą po niedawnym prysznicu.

Dla Roya najważniejsze było zachowanie młodości – młode ciało, młoda twarz, młoda żona. Z kolei Jamie starała się wyglądać na więcej niż na dwadzieścia

dziewięć lat i czasami brano ich za brata i siostrę. Roy to uwielbiał, a ona, chociaż ceniła jego wysiłki i była dumna z wyglądu ojca, uważała to za lekką przesadę.

Dzisiaj ojciec właściwie się z nią nie przywitał – żadnych uścisków, buziaka, żadnego „Hej, skarbie, dzięki, że przyszedłeś!” – po prostu zaborczo zagarnął ją ramieniem i zaczął od rozmowy na błahe tematy.

Taka czcza paplanina nie była jej mocną stroną. Potrafiła godzinami opowiadać o projektach architektonicznych, efektywności energetycznej czy adaptacji stodoły na mieszkanie, natomiast informacje w rodzaju, czyja matka akurat zachorowała, czyj syn dostał się do college’u albo która firma zetnie zmurszałą sosnę w centrum miasta, zupełnie jej się nie trzymały. Roy natomiast doskonale się orientował w sprawach miasteczka po części dzięki Jess, która przynosiła plotki z miejscowego salonu fryzjerskiego i ochoczo się nimi dzieliła. Takie błahostki już po dwóch sekundach Jamie wyleciałyby z głowy. Z Royem było inaczej. Zapamiętywał wszystkie szczegóły i skwapliwie je wykorzystywał, kiedy pomagały mu zaskarbić sympatię rozmówców.

Dzisiaj skupił się na pogodzie.

Potworny upał... niedobrze... skończy się nawałnicą.

Jamie uśmiechała się i kiwała głową, lecz po minucie zaczęła niecierpliwie przestępować z nogi na nogę.

Matka czekała. Dzisiaj były jej urodziny. A wczoraj miała operowany nadgarstek. Jamie wysłała jej esemesa, ale bardzo chciałyby już się u niej znaleźć.

Wreszcie Roy podprowadził ją do wolnego boksu. Bar U Fiony w przeciwieństwie do innych podobnych przybytków składał się nie z jednego, lecz z czterech wagonów kolejowych tworzących kwadrat, z otwartą kuchnią na środku. Wystrój nawiązywał do lokalnej historii. Na metalicznie szarych ścianach wisiały fotografie kolejnych roczników absolwentów liceum od połowy dwudziestego wieku oraz laminowane pierwsze strony „Williston News”, wcześniej „Williston Crier”, upamiętniające takie ważne wydarzenia, jak pożar w 1956 roku, który pochłonął prawie całe centrum, wielotygodniowy paraliż miasteczka po burzy śnieżnej z 1978 czy pierwsze od osiemdziesięciu sześciu lat zwycięstwo Red Soxów w World Series w 2004 roku – dumę mieszkańców, bo dwóch graczy właśnie stąd się wywodziło. Na stołach pod taflą grubego szkła leżały najróżniejsze wycinki ze starych gazet. I na tym wątek historyczny się kończył. Do kanap utrzymanych w eleganckiej szarości dobrano podkładki pod talerze w takim samym odcieniu. Sztucce owinięte w płócienne serwetki stały w pojemniku przy ścianie. Jamie odruchowo sięgnęła po dwa komplety, kiedy wsuwali się do boksu, podała jeden Royowi, a on od razu obok sztucców położył komórkę.

W mgnieniu oka zjawiła się kelnerka z piekielnie mocną kawą, taką jaką lubił Roy, i z dzbanuszkami śmietanki. Nalała kawy do kubków i przyjęła zamówienie. Jak zwykle wzięli omlet z potrójnym serem dla niego i frittate

z samych białek dla niej.

Jamie najchętniej poprosiłaby jeszcze o apetyczny plaster wysmażonego na chrupko boczku, lecz to nie wchodziło w grę, bo Roy natychmiast zrobiłby jej wykład o tym, jaki bekon jest niezdrowy, a sprowadzanie rozmowy na boczne tory było ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili chciała.

Z dłońmi na kubku, przechylna nad stołem, czekała, kiedy ojciec przejdzie do sedna.

– Widzisz gościa za mną przy ostatnim stoliku w rzędzie, tego z rudymi włosami? To niejaki Barth – poinformował ją przyciszonym głosem, zanim zdążyła zapytać, po co ją ściągnął.

Tato, tylko żadnych rewelacji. I nic na temat mamy, poprosiła w duchu, zerkając jednak na wspomnianego rudzielca.

– Barthowie są blondynami – rzuciła, bo nic mądrzejszego nie przyszło jej do głowy.

– Ten akurat nie. Kupuje dom na Appleton i chce tu osiąść. Przyjechał z żoną i dziećmi z Kalifornii, no i wraca do firmy. Kojarzysz budowę The Barth Brothers na tym terenie porozbiórkowym na rogu South Main i Grove? Świetna lokalizacja, widoczna i z potencjałem. Znacząca inwestycja dla ich pozycji. To inwazja.

– Dlaczego akurat tutaj? Williston to nasz matecznik. Oni mają North Shore. Obszar na zachód od Bostonu należy do nas. – Tak było, odkąd sięgała pamięcią.

– Ostrzą sobie zęby na parcelę Weymouthów – oznajmił. To był ostatni prywatny kawałek terenu w mieście.

– Nie jest nawet wystawiona na sprzedaż – stwierdziła, jednak dobrze wiedząc, że powszechnie dochodzi do zakupów poza przetargami i negocjuje się bezpośrednio ze sprzedającym. – A może jest, co? – zapytała niepewnie.

– Na razie nie. Mildred Weymouth nie żyje prawie od roku, synowie nie mogą się dogadać, co zrobić ze schedą, a już na pewno nie stać ich na utrzymanie posiadłości. Zalegają z zapłatą podatków od nieruchomości, wszystko popada w ruinę. Prawnicy Mildred twierdzą, że spadkobiercy nie mają wyjścia, muszą się zdecydować na sprzedaż.

Ściskając kubek w dłoniach, odchylił się na oparcie z cichym gwizdnięciem.

– Trzydzieści akrów ze starym drzewostanem? Kuszące.

Niewątpliwie, pomyślała. Od śmierci Mildred Weymouth nie było końca spekulacjom i Jamie uważnie je śledziła. Oczywiście duszy widziała w tamtym miejscu hybrydowe osiedle złożone z domków jednorodzinnych i luksusowych apartamentowców, w całości zbudowane przez MacAfee Homes.

– Możemy przebić Barthów.

Roy sprawdził ekran komórki, po czym odłożył ją z powrotem na stół.

– Będą windować cenę.

To rzeczywiście problem, Jamie o tym wiedziała, ale nie było takiej przeszkody, z którą firma MacAfee Homes nie umiałaby sobie poradzić. Jeden świeżo przybyły Barth nie mógł wygrać z potęgą trzech pokoleń MacAfee, które mieszkają tutaj od zawsze.

Roy ciągnął wątek, dobierając najróżniejsze kombinacje słów, a cichy głos w głowie Jamie uparcie powtarzał: Oj, tato. O tym moglibyśmy pogadać w biurze. Po co tutaj? Czemu teraz?

Stały przed nimi talerze ze śniadaniem. Jamie ledwo spojrzała na swój.

– Nie dlatego pewnie chciałeś ze mną rozmawiać, zanim zobaczę się z mamą – nacisnęła na ojca, jak zwykle bez nuty pretensji w głosie.

Roy wytrząsnął z butelki ketchup na omlet.

– No jasne, że nie. Temat wypłynął, bo akurat ten Barth jest tutaj. – I odstawiając ketchup, dodał łagodniej: – Wczoraj zajrzałaś do Taddy’ego. Szkoda, że się minęliśmy. Byłem na zebraniu radnych. Co myślisz o małym?

Jamie uśmiechnęła się rozbrojona.

– Jest słodki. Woła na mnie Nanie. Bardzo fajnie mówi.

– Najczęściej na wszystko odpowiada „nie”. Jessice opadają już ręce.

– Według mnie dobrze sobie radzi.

Roy ściągnął brwi.

– Mam na myśli napady złości. Ona nie wie, jak reagować, kiedy mały rzuca się na podłogę i wrzeszczy.

– Wszystkie maluchy tak robią. Czasem to jedyny sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę. Widziałam go w takiej akcji. To było całkiem sprytne – och, wiem, tak mówię, bo w każdej chwili mogę wyjść, kiedy zaczyna histeryzować. – Chyba jednak nie dlatego ojciec ją wezwał. – A więc, tato, ściągnąłeś mnie tu bladym świtem...

– Sama wybrałaś wczesną porę.

– Wiesz dlaczego. Chodzi o Caroline.

Ignorując zaczepkę, sprawdził telefon, tym razem dwukrotnie przesuwał ekran. Jamie wiedziała, że nie chodziło o sprawy biznesowe. Zajrzał do Twittera i zerknął na wiadomości sportowe.

– Jest dobry rozgrywający w drużynie letniej ligi – wymamrotał. – Jeśli Celtowie się nie pozbierają... – burknął i odłożył komórkę, po czym uśmiechnął się promiennie do Jamie. – A co u Brada?

Jamie westchnęła. Nic takiego się nie działo, żeby o niego pytać. Hmm, właściwie się zadziało, ale ojciec nie musiał o tym wiedzieć.

– Wszystko świetnie – odparła zgodnie z oczekiwaniem.

– Wiesz, że on jest dla mnie jak syn?

Jak miała nie wiedzieć? Odpowiednio często to powtarzał.

– To mężczyzna odpowiedni dla ciebie, dla firmy. Kiedyś...

Nie musiał kończyć. Kiedyś... Brad poprowadzi MacAfee Homes. Trafił do nich prosto po studiach prawniczych. Zatrudniono go jako asystenta radcy prawnej, a ona wkrótce zaszła w ciążę i postanowiła zająć się wychowaniem dziecka. Zaledwie trzydziestoletni Brad przejął jej obowiązki. Nastąpiło trzy lata temu i okazał się cennym nabytkiem dla firmy. Wyważony i kompetentny, ze znajomością zagadnień biznesowych wychodzącą daleko poza kwestie prawne. Jamie te sprawy w ogóle nie interesowały, dlatego po ich ślubie to właśnie Brad miał być drugim po Royu w kolejce do sukcesji.

Theo ten pomysł popierał.

Tak samo Roy. Co prawda na razie nie przekazał przyszłemu zięciowi żadnej prawdziwej władzy, lecz zaczął cedować na niego uciążliwe zadania, których sam nie miał ochoty realizować.

Roy z zadowolonym uśmiechem postukał widelcem w talerz.

– Powiem ci, że gwiazdy nam sprzyjają. Myślałem, że to Brad jest tą wisienką na torcie, lecz okazuje się, iż znajdzie się tam więcej słodkości. – Z widelcem w powietrzu, pochylił się nad stołem, wpatrując się w nią brązowymi, błyszczącymi oczami. – Wczoraj spotkałem się z Brianem Levitem i Claire Howe, żeby porozmawiać o przyszłości *Gut It!*

Levitt był dyrektorem generalnym stacji, a Howe producentką wykonawczą.

Jamie nie bardzo rozumiała, o ile jej było wiadomo, przyszłość programu została uzgodniona. Scenariusz jesiennych odcinków był w finalnej fazie przed nagraniem, a temat na cykl wiosenny też został wybrany. Mieli już zarys projektów i wszelkie niezbędne zgody.

Roy wygiął usta w triumfalnym uśmiechu.

– Jesteś nową prowadzącą.

Jamie wyprostowała się zaniepokojona.

– Mama go prowadzi.

– Twierdzą, że potrzebna jest zmiana. Formuła się przeżyła. Czas na lifting.

– Liftingiem byłaby zmiana formy, podejścia do tematu czy może skupienie się na innych projektach – odparła, nic nie rozumiejąc. – Przecież podsuwam im nowatorskie projekty. Czyżby przestały się podobać? Nie widzą mnie już w roli architekta?

– Uwielbiają twoje prace, skarbie. Są tobą zachwyceni. I o to chodzi. – Ruchem widelca wskazał jej nietkniętą frittate.

Wmusiła w siebie mały kęs, żałowała tylko, że jednak nie zamówiła bekonu. Jedzenie lepiej by smakowało.

– Chcą, żebyś dalej robiła to, co robisz – ciągnął Roy – i jednocześnie pełniła rolę gospodyni programu. To naprawdę łatwizna. Jesteś atrakcyjna, inteligentna i utalentowana. Skarbie, to dla ciebie wielka szansa na zrobienie kariery. Najlepszy sposób, żeby się pokazać.



– Jako architektka – zaznaczyła, starannie odkładając widelec. Za tą zmianą prowadzącej krył się poważny problem.

– Tato, ja pracuję koncepcyjnie. Lepiej sobie radzę z kalką niż z ludźmi.

– Kto tak mówi? Nie ja. I nie Claire. Znalazłaś się na pierwszym planie w kilku odcinkach tego sezonu. Jak myślisz, dlaczego?

– Bo dotyczyły koncepcji architektonicznych?

– Ponieważ Howe chciała cię sprawdzić. I wyszłaś z próby zwycięsko. Byłaś świetna. Powiedziałaś jej, że dobrze się czujesz przed kamerą – wytknęła córce.

Być może tak powiedziała, ale okoliczności nie pamiętała.

– A co miałam jej powiedzieć? Claire jest naszą producentką i rządzi twardą ręką. W każdym razie mówienie o tym, na czym się znam, to jedna sprawa, a zupełnie inną jest zajmowanie się wszelkimi aspektami budowy domu. A zresztą to mama jest gospodynią tego programu – powtórzyła, tym razem głośniejszym głosem, bo niewypowiedziane pytanie nadal wisiało w powietrzu. – Publiczność ją lubi. Mamy dobrą oglądalność.

Roy otarł usta serwetką.

– Moglibyśmy mieć lepszą.

– Kto tak mówi? – spytała, teraz już zdenerwowana, bo podczas wielu spotkań z Lewitem i Howe w sprawie jesiennego cyklu ani razu nie padły żadne uwagi na temat oglądalności.

– Brian – odparł Roy. – Reprezentuje stację i kiedy coś mówi, nam pozostaje go słuchać. To dzięki niemu zaistnieliśmy dziesięć lat temu i od tamtego czasu nam sekunduje. Gdyby nie on, *Gut It!* nie miałoby nawet połowy widzów. To nasz anioł stróż. – W jego głos wkradł się szorstki ton. – Brian jest dyrektorem generalnym i kiedy podejmuje jakąś decyzję, nie ma sensu z nim dyskutować. Potrzebujemy *Gut It!* Jest ważne dla MacAfee Homes.

Tu nie chodziło o pieniądze, tego była pewna. Stacja finansowała program z grantów i odpisów podatkowych. Zawierała z nimi kontrakt, a oni opłacali obsadę. Zysk firmy był niewielki, mniejszy od przychodów za budowę domów pod klucz. Więcej zarobili na kompleksie apartamentowców w Foxborough w zeszłym roku i na pewno więcej mogliby wyciągnąć z ewentualnej inwestycji na parceli Weymouthów.

*Gut It!* zapewniało im reklamę.

– Czy ty wiesz, jakim dobrodziejstwem jest dla nas ten program pod względem marketingowym? – zapytał Roy, wyraźnie zirytowany, że musi to w ogóle tłumaczyć. – Połowa zleceń pochodzi od ludzi, którzy go oglądają albo słyszeli o nim od swoich znajomych. No i przy okazji reklamujemy różne produkty: materiały, narzędzia, rękawice. A publikacje dokumentujące każdy sezon? Barthowie wydają broszury, my albumy na kredowym papierze. To także działanie marketingowe. Dużo stracilibyśmy na zdjęciu programu.

– Zgoda – przyznała mu rację. – Ten program jest nam potrzebny. Ale mama powinna go dalej prowadzić.

– Jamie, klamka zapadła. – Podniósł komórkę, spojrzął na ekran i odłożył ją na stół. – Stacja nie odnowi z nią kontraktu na dotychczasowych warunkach. Caroline wypadła.

– Tak po prostu? – spytała, przybita tą nagłą i nieodwołalną decyzją. Wiedziała, że wydawca ma prawo tak postąpić. Tylko czemu znienacka? Bez uprzedzenia? To tak nie działa. Nawet pomijając fakt, że Caroline jest jej matką, nie wolno zapominać, że w zasadzie to ona stworzyła *Gut It!* – Czy nie możemy negocjować ze stacją warunków umowy? Nie powinniśmy skontaktować się z naszym agentem? – Skuliła się pod spojrzeniem Roya posłanym spod uniesionych brwi. – Nasz agent uważa to za dobry pomysł?

– Rozumie, jak funkcjonuje ten świat.

– Czyli jak? – zapytała cicho, ale Roy wyczuł w jej tonie bunt.

– Interesuje nas młodsza grupa wiekowa – oznajmił bez ogródek, nie odrywając oczu od jej twarzy.

Jamie zbierało się na płacz. Wiedziała, oczywiście wiedziała, co się kryje pod tą decyzją, lecz co innego usłyszeć ją ubraną w takie bezlitosne słowa.

– Chcemy szukać nowych klientów pośród małżeństw kupujących pierwszy dom, młodych zamożnych profesjonalistów, a także rodzin z pokolenia z lat dziewięćdziesiątych.

– Uważają, że mama jest za stara.

– Tego nie powiedziałem.

Ale pomyślałeś, odpowiedział cichy głos w jej głowie. Zawsze tak myślisz. Jamie kochała ojca, lecz nie miała co do niego złudzeń. Kiedy małżeństwo rodziców zaczęło się rozpadać, Roy usprawiedliwiał swoje wysoki wiekiem i wyglądem Caroline, twierdząc, że się „zapuściła” i że chce mieć bardziej seksowną żonę. Druga żona była dziesięć lat od niego młodsza, a trzecia o kolejne dziesięć młodsza od drugiej.

– Skarbie, to nie moje zdanie, tylko Briana i Claire – zaznaczył.

– Ale możesz ich przekonać, że nie mają racji – powiedziała błagalnie. Ojciec był bardzo sprawnym handlowcem. Potrafił wszystko wszystkim wmówić.

– Mama jest mistrzem stolarskim z naturalnym talentem do zdobywania sympatii widzów. Jest fachowa, doświadczona i budzi zaufanie.

– Ma pięćdziesiąt sześć lat.

– To znowu nie tak wiele.

– W telewizji za wiele. Tam wiek ma znaczenie.

– Wygląda świetnie.

– Wygląda na swoje lata.

– Kamera ją lubi – nie ustępowała Jamie, wystraszona ze względu na matkę.

– I ma oryginalne pomysły. Bardzo dobrze odnajduje się w tej roli.

Roy z irytacją spojrział za okno.

– Nikt jej nie wyrzuca – warknął zniecierpliwiony. – Brian i Claire chcą ją zatrzymać w programie. Po prostu nie będzie dłużej jego twarzą. Telewizja stawia na młodość.

– Roy stawia na młodość – bąknęła, gdyż cichy głos w głowie nie zapanował nad frustracją.

Ojciec zmiażdżył ją ostrzegawczym spojrzeniem: „Nie pozwalaj sobie, skarbie”. Może dla świętego spokoju odwołałaby te słowa, gdyby nie uderzyła jej okropna myśl.

– Cholera, tato. Czy w tej chwili ktoś inny mówi to samo mamie? Jest u niej w domu i oznajmia... funduje jej ten piekielny prezent. Ona ma dziś urodziny. Chyba pamiętasz?

– Tak, wiem. Nikogo do niej z tym nie posłano. Chciałem się z tobą naradzić, jak jej to przekazać.

– Nie mam pojęcia! – zawołała zdesperowana. – Jak można powiedzieć kobiecie, że jest za stara, aby wykonywać ukochaną pracę? Bo tak to wygląda, tato. Mama konsekwentnie trzymała się stolarstwa, nawet kiedy przed kobietami otwierały się najróżniejsze możliwości, bo ona uwielbia to, co robi. Gdy zaproponowano jej prowadzenie *Gut It!*, nie od razu dała się przekonać, pamiętasz?

Podczas pierwszego sezonu gospodarzem był człowiek z nadania telewizji, lecz nie potrafił nawiązać kontaktu z publicznością, i Caroline spontanicznie go wspierała.

– Wtedy odkryła w sobie talent, o którego istnieniu nie wiedziała.

– Tak samo będzie z tobą.

– Ale to mama zna się na budownictwie, mówię serio, ona ma to wszystko w małym palcu. Od stawiania drewnianych konstrukcji po układanie gzymsów i sztukaterii. Ja nie potrafię tak chodzić po dachach jak ona. Mam lęk wysokości.

– W takich ujęciach ona albo Dean cię zastąpią.

– Te ujęcia – zaczęła z naciskiem, pokazując w powietrzu znak cudzysłowu – to dziewięćdziesiąt procent całości. Murarka, instalacje wodno-kanalizacyjne, rozprowadzanie ogrzewania oraz elektryczności i wiele innych rzeczy – ona to wszystko potrafi tłumaczyć w prostych słowach. Ja tego nie umiem. A panowanie nad zespołem, gdy ludzi ponoszą nerwy? Mama wypracowała sobie autorytet. Wszyscy szanują jej zdanie właśnie dlatego, że tak długo w tym siedzi.

Roy milczał jak zaklęty.

– Jak możesz mnie prosić, żebym ją tego pozbawiła? – wyszeptała.

– Chodzi o przyszłość programu – oznajmił i skupił się na jedzeniu.

– A co z mamą? – spytała cicho. – Tato, napraw to, skłoń ich do zmiany zdania – poprosiła błagalnym tonem, gdy nie odrywał oczu od talerza.

– Tak naprawdę, Jamie – odezwał się wreszcie w połowie grzanki – chcę tego dla ciebie.

– Ale ja nie chcę. – Jej słowa przebiły się przez brzęk sztućców, szmer rozmów i gwar dochodzący z kuchni. Nigdy wcześniej nie kwestionowała zdania ojca. Teraz nie zamierzała odpuścić, chociaż widziała, jak twardnieją mu rysy i patrzy na nią z niechęcią, tak jak zazwyczaj patrzył na Caroline. Nie, nigdy nie próbowała opowiadać się po którejkolwiek ze stron, lecz w tej chwili miała ku temu poważny powód.

Roy wyprostował się, wwiercając się oczyma w jej twarz.

– Nie takie wrażenie odniosła Claire dwa tygodnie temu, kiedy spytała cię, czy poradzisz sobie z zastrzeżeniami towarzystwa historycznego w związku z tym nowym projektem. – Jamie zamrugła, widząc w tym nadużycie, lecz Roy na tym nie poprzestał. – Albo wtedy, gdy spytała cię o protesty sąsiadów, a ty ją zapewniłaś, że potrafisz ich przekonać. Wiedziałaś, do czego to wszystko zmierza.

– Być może kiedyś zastąpię mamę, ale nie teraz.

– Jak najbardziej teraz. Tu chodzi o zdolności przywódcze. Tenis, architektura... o, proszę bardzo... sposób, w jaki się ubierasz – mruknął, ogarniając spojrzeniem jej bluzkę. – Jesteś urodzoną liderką.

– Nie chcę konkurować z mamą.

Nie chciała też walczyć z Royem. Ani go rozczarować. Nigdy, przenigdy nie krytykowała go za dezawuowanie Caroline. Nie komentowała ich rozvodu. Jednak odsunięcie w cień Caroline jedynie z powodu daty na prawie jazdy było niesprawiedliwe, a to, że ojciec chciał ją wykorzystać jako narzędzie, jeszcze pogarszało sprawę. Podniosła kubek do ust i ukryta za nim, popijała drobnymi łykami kawę, walcząc z oburzeniem.

Usłyszała, jak Roy wbija widelec w ostatni kęs omletu. Wyobrazila sobie, że w tej chwili szuka nowych argumentów i zdwoiła czujność.

– Nie zależy ci na sławie, choćby w takim skromnym wymiarze? – spytał w końcu zdziwiony.

– Oczywiście, że zależy – odparła, podnosząc głos.

Odniosła w życiu parę sukcesów. Dwa lata z rzędu mistrzostwo juniorów United States Tennis Association. Rozstawiona z numerem dwa na zawodach International Tennis Federation w Paryżu. Namacalny dowód – puchary. Jeśli chodzi o architekturę, zdobyła kilka lokalnych nagród. Uznanie jej osiągnięć zawodowych na większą skalę na pewno by nie zaszkodziło.

Problem stanowiła Caroline. Wolalaby umrzeć niż sprawić ból matce. Wiedziała, jakim ciosem będzie dla niej odsunięcie z programu.

– Pomijając kwestię mamy, ja naprawdę nie mam czasu – wytoczyła najcięższe działo. – Gospodyni programu ma mnóstwo dodatkowych zajęć, a ja tkwię po uszy w swojej robocie.

Dział projektowy MacAfee Homes zatrudniał obecnie troje architektów z uprawnieniami, ich szef, mentor Jamie, po latach zapowiedzi wreszcie przechodził na emeryturę i na nią scedował prowadzenie swych głównych projektów.

– W tej chwili mam na głowie trzy prywatne domy, bibliotekę, dwa biurowce, dwa banki i wiosenny sezon *Gut It!* Nie wspomnę o tym, co może wynikać z ewentualnego zakupu działki Weymouthów. Czeka mnie jeszcze opracowanie scenariusza moich wejść w jesiennym cyklu.

– Zawsze dobrze wypadasz na nagraniach.

– Bo mama tym kieruje. Narzuca ton i zadaje pytania. Idealnie nadaje się do tej pracy, w przeciwieństwie do mnie.

Roy dopił kawę i odstawiając kubek, odchylił się na oparcie.

– Jeśli nie ty, znajdzie się ktoś inny. Jak powiedziałem, kłamka zapadła.

– Już od tej jesieni? Nie mogą poczekać sezon lub dwa?

– Słupki oglądalności nie czekają. Weź tego tam rudzielca, Bartha. Jeżeli zdecyduje się z nami konkurować, będziemy musieli wzmóc wysiłki. Chyba nie chcesz, żeby MacAfee zeszło na drugi plan?

Jamie milczała.

– Claire ma dzwonić do Caroline i umówić się na spotkanie – oznajmił.

Aż podskoczyła na kanapie.

– Proszę cię, nie dzisiaj.

– Nie można z tym zwlekać. Brian i Claire chcą to szybko załatwić. Muszą się zająć składaniem materiałów na klip promocyjny. Ty najlepiej znasz matkę. Jak Claire ma z nią rozmawiać?

Jamie również znała ojca. Kiedy rzucał krótkie, warkliwe zdania, sprawa była przesądzona. Tak jest, decyzja już zapadła i to ją potwornie wkurzało.

Z zasady nie zachowywała się impulsywnie. Lubiła wszystko przemyśleć, przeanalizować, opracować strategię. Niestety, rodzice stanowili jej słaby punkt, a to, co usłyszała od ojca, było nie do obrony.

I dlatego bez chwili wahania powiedziała coś, czego później miała gorzko żałować.

## Rozdział 2



Ja powiem mamie. Claire bywa obcesowa. To będzie dla mamy cios, po co ją narażać na dodatkowy stres.

Za późno. Zobaczyła, jak na twarz Roya wypełził uśmiech, i wtedy zrozumiała, że ją zmanipulował. Od samego początku chciał to od niej usłyszeć, bo to pasowało do kreowanego przez MacAfee wizerunku silnej i zwartej rodziny. Dla Roya wiek Caroline był krępującą sprawą, należało więc ją dyskretnie usunąć, załatwiając wszystko we własnym gronie.

Dobrze, w takim razie rozegra to po swojemu, postanowiła po chwili buntu. Jeżeli ma być tym posłańcem złej wieści, przekaże ją w czasie, jaki uzna za stosowny. To postanowienie dało jej wrażenie kontroli i pozwoliło utrzymać nerwy na wodzy podczas wysłuchiwania paplaniny Roya o tym, jak wspaniale się sprawdzi w roli gospodyni programu. Cichy głos w jej głowie na każde jego zdanie odpowiadał sarkazmem, którego tak nienawidziła. Na szczęście do ich stolika podszedł prezes lokalnego Lions Clubu. Wdzięczna losowi, że gość zjawił się w samą porę, wysunęła się z boksu, zaprosiła go na swoje miejsce, cmoknęła ojca w policzek i wyszła.

Na parkingu przed barem U Fiony dopadł ją upał i wątpliwości. Wyjeżdżając na ulicę, podkręciła klimatyzację, lecz strumień chłodnego powietrza nie rozwiął ciężkich myśli.

Co ja zrobiłam? Czy naprawdę zgodziłam się prowadzić program? Jak ja to powiem mamie?

Brad jej podpowie. Był urodzonym dyplomata. Niestety, jak dotąd nie przysłał jej esemesa ani nie spróbował się skontaktować. Nie mogła ot tak do niego zadzwonić, nie wracając w rozmowie do ich konfliktu, który w porównaniu z tym, co się właśnie stało, wydawał się wręcz banalny.

Wyszła z baru przygnębiona. Nie przejechała nawet dwóch kwartałów, gdy przygnębienie zmieniło się w gniew. Wolą odrzucić myśl, że to ojciec podsunął ten pomysł Brianowi, chociaż to byłoby w jego stylu. Roy widział w Caroline starzejącą się byłą żonę. Bez przerwy pozwalał sobie na uszczypliwe uwagi na temat jej włosów czy twarzy, a kiedy Jamie wspomniała o operacji nadgarstka, westchnął i zauważył filozoficznie: Tak to już jest...

Jakby sam nie miał zmarszczek w kącikach oczu!

Jakby nie nosił wkładek ortopedycznych w butach do biegania, bo miał luźny staw kolanowy.

Jakby go nie nakryła na drzemce w biurze następnego dnia po wieczornym wyjściu z Jess.

Była zła na ojca, że nie ujął się za Caroline, kiedy pojawił się pomysł odebrania jej roli gospodyni. I była zła na Briana Levitta, bo zachował się jak męski szowinista. Nie mówiąc już o tym, że była wściekła na Claire Howe, która, na Boga, jako kobieta powinna lepiej rozumieć damską część widowni niż Brian.

Po kolejnych dwóch kwartałach Jamie ścisnęło się z żalu serce na myśl o matce, której udało się odzyskać poczucie wartości po rozwodzie. To będzie dla niej wielki cios.

Jak przekazać Caroline tę wiadomość?

Jednego była pewna. Nie puści pary z ust ani dziś, w jej urodziny, ani najprawdopodobniej jutro, gdy od świtu do zmierzchu będzie siedzieć w pracowni. Może uda się przekonać Briana i Claire, że to jest złe posunięcie, i wtedy w ogóle nie wspomni o tym słowem Caroline.

\*

Najpierw zadzwoniła do Briana, a potem do Claire, lecz w obu wypadkach odezwała się poczta głosowa. Obiecując sobie, że później spróbuje jeszcze raz, wpadła do piekarni oraz do spożywczego po zamówione wczoraj zakupy. Wróciła do samochodu i jechała wśród wszystkich odcieni zieleni, obramowanych po bokach rzędem zabytkowych domków, a po drodze chłonęła zapach świeżych wypieków unoszący się z tylnego siedzenia. Jak zwykle pomachała do kierowcy ciężarówki z logo MacAfee i do mijanego sąsiada ze swojego apartamentowca. Kiedy przecinała niewielki pasaż handlowy w centrum Williston, co któryś przechodzień pozdrawiał ją skinieniem głowy lub uniesieniem ręki.

W miarę jak zbliżała się do domu Caroline, poprawiał jej się nastrój. Na zawsze dziecko?, zastanawiała się po raz nie wiadomo który. Wyniosła się z domu rodzinnego na studia i nigdy nie mieszkała w obecnym domu matki, a jednak już sam skręt w jej ulicę podzielał na Jamie kojąco. Ta ulica należała do niewielu prawie niezmiennych od lat w modernizującym się Williston i Caroline, wiedzona instynktem człowieka z branży, wypatrzyła ten dom, zanim ktokolwiek zdążył złożyć ofertę. MacAfee Homes skupiało się na rewitalizacji, Barthowie burzyli i budowali od zera. Czy postawienie w tym miejscu czegoś nowego nie byłoby zbrodnią? Tutaj brakowało przestrzeni na nowe inwestycje, często monstrualne wille, jakie stawiali Barthowie na podobnej wielkości działkach. Taka budowla zepsułaby charakter tej uliczki ocienionej starymi drzewami, z soczyście zielonymi trawnikami i z brukowanymi albo wysypanymi żwirem podjazdami. Dominowały tu wiktoriańskie domy z elewacjami w żywych barwach. Dom Caroline, zdecydowanie mniejszy od pozostałych, wyróżniał się urokliwym stylem nawiązującym do epoki królowej Anny. Turkusowe panele, dach kryty

miętowozielonym gontem, misternie rzeźbione bonie w gołęsim odcieniu błękitu z granatowymi akcentami. Do tego asymetryczna sylwetka, okap obramowany ślimacznicą, duże wykuszowe okno, zgrabna wieżyczka i wielospadowy stromy dach. Podobno Caroline zakochała się w tym domu od pierwszego wejrzenia na widok opasującej go werandy. W zaokrąglonej wnęce pod narożną wieżyczką znalazło się miejsce na kuty stolik i fotele w stylu vintage. W ten sposób powstał salonik na świeżym powietrzu, osłonięty kaskadą różowych petunii posadzonych w skrzynkach. To tutaj Caroline najchętniej spędzała wolny czas w dobrą pogodę.

Oczywiście, właśnie tam zobaczyła ją Jamie, gdy zwalniała przed domem. Siedziała na wiklinowej dwuosobowej ławeczce zawieszanej na grubych łańcuchach, z bosymi stopami opartymi na balustradzie. Na widok córki uśmiech rozjaśnił jej twarz.

Jamie z chrzęstem żwiru pod oponami skręciła na podjazd. Jej kabriolet był czerwony, tak samo jak pikap Caroline zaparkowany przed garażem. O ile furgonetka matki z narzędziami leżącymi na platformie pod plandeką, z ubłoconymi oponami i z logo MacAfee Homes na zakurzonych drzwiach stanowiła typowy przykład samochodu służącego do pracy, o tyle auto córki głównie zapewniało luksus i dostarczało przyjemności.

Jamie wysiadła i zgarnęła pakunki z tylnego siedzenia. Kiedy ruszyła ścieżką, palce stóp na balustradzie podkurczyły się i wyprostowały na powitanie. Dzisiaj paznokcie załśniły pomarańczowo. Pedikiur należał do słabości Caroline, a lakiery w zdecydowanych kolorach były zaledwie drobną częścią jej ekstrawaganckiego stylu. Nosila żółte, fioletowe albo zielone dzinsy, zanim jeszcze weszły w modę. W zestawie z koszulami w kratę czy w paski stały się jej znakiem rozpoznawczym. Fankom *Gut It!* podobały się również jej swetry w żywych kolorach, jakimi otulała się w chłodniejsze dni, i ostro czerwona puchowa kurtka, którą nosiła w śnieżne zimy. Kiedy pewnego razu producentka wykonawcza zasugerowała czerń jako bardziej wyrafinowany kolor, na Facebooku zawrzało. Widzowie życzyli sobie wyrazistości i Caroline im ją zapewniała. Nie była sztywną nudziarą. A wiek? Absolutnie nie była za stara!

Jamie na nowo targnął gniew.

Matka, bez stanika i bez makijażu, w różowym podkoszulku i w szortach, stroju odpowiednim na upalny dzień i zasłużony oddech od pracy, z włosami zwiniętymi na czubku głowy w niedbały kok, wyglądała cudownie naturalnie.

Mniej cudownie prezentował się prawy nadgarstek grubo owinięty bandażem, lecz pocieszające było to, że dziś nie miała ręki na temblaku. Na twarz powróciły kolory. Wczoraj na sali pooperacyjnej Jamie przeraziła bladość matki.

Objuczona pakunkami, ominęła krzewy pączkujących róż i weszła po schodkach na werandę.

– Lepiej czy gorzej, gdy puściło znieczulenie?



– Lepiej – odparła Caroline, patrząc na nią ciepłymi, zielonymi jak paproć oczami. – Wszystko lepsze od wrażenia, że część twego ciała należy do kogoś innego. Ślicznie wyglądasz.

Jamie nachyliła się i pocałowała ją w policzek. Pachniała lasem, chyba konwaliowym płynem do kąpieli, a więc wzięła prysznic, czyli kolejny dobry znak.

– Jak się czujesz?

– Leniwie.

– Rozleniwienie jest dobre w taki dzień jak dziś. Gorąco, nie?

– Zdarzało mi się pracować w większy upał.

– Dobra, dobra, lekarz zakazał ci dziś cokolwiek robić – przypomniała jej, rozglądając się wokół. Szczęśliwie nigdzie nie dostrzegła laptopa.

Natomiast zobaczyła Mastera, kota Caroline, dużego szarego minkuna, który wypełził spod wiklinowej ławki i otarł jej się o nogi.

– Biedaku, pewnie jesteś na wpół ugotowany – wymruczała, zanim z powrotem skupiła się na nadgarstku. – Bardzo boli?

– W porównaniu do bólu przy zapaleniu ścięgna to pestka.

– Więc jednak boli – wydedukowała, wiedząc, że Caroline nie lubi się nad sobą rozczulać. Traktowała problem z nadgarstkiem jako chorobę zawodową, na którą brak lekarstwa. Nikt na planie nie miał pojęcia, że cierpi, i gdyby ból coraz bardziej jej nie dokuczał, w życiu nie zgodziłaby się na operację. Teraz, gdy zakończyli nagrania, według oficjalnej wersji „wzięła parę dni wolnego”.

– Co łykasz? – zapytała podejrzliwie Jamie, bo matka wydawała jej się dziwnie podekscytowana.

– Tylenol.

– Jak na taki słaby środek jesteś zbyt radosna.

– Bo mi ulżyło, że już po wszystkim – zaśmiała się Caroline. – Nienawidzę operacji. A teraz mam to już za sobą i jestem w swoim ulubionym miejscu z ukochaną osobą.

Cisza na frontowej werandzie stanowiła miłą odmianę po zamieszaniu na planie w ostatnich dniach. Zakłócało ją jedynie brzęczenie pszczoł w krzewach róż, warkot podkaszarki parę domów dalej i ciche poskrzypywanie łańcuchów wiklinowej ławeczki.

– Co tam masz? – spytała Caroline, zerkając na pakunki.

Z zakupami w objęciach i ze szklanką po mrożonej herbacie w ręce Jamie pchnęła barkiem drzwi z metalowej siatki. Master dał nura do środka, a przeciskał się z takim impetem obok jej nóg, że o mało nie wypuściła szklanki.

– Jedzonko! – odkrzyknęła, gdy drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

Wnętrze miało miły zapach starego domu. W środku było nieco chłodniej niż na dworze, lecz Jamie wiedziała, że wkrótce i tu zapanuje duchota. Stukając obcasami o ciemne deski podłogi, przeszła przez hol. Po drodze minęła stojący

zegar w obudowie z białego przecieranego drewna i schody na piętro w kształcie litery „L”. Ściany w holu i na schodach były granatowe, co powinno zmniejszyć optycznie i tak niewielką przestrzeń, ale Caroline, znawczyni różnych budowlanych trików, postanowiła ożywić granat i pomalowała listwy, tralki i słupki poręczy na biało.

W otwartym oknie na podeście, na który wchodziło się po trzech schodkach, siedział przyczajony Master. Tropił niewidzialną turkawkę gruchającą gdzieś w koronie klonu. Salon po prawej stronie też był granatowy, tym razem dla odmiany z pomarańczowymi panelami. Dom, zbudowany w angielskim stylu, miał pierwotnie dwa mniejsze saloniki: frontowy i tylny. Dzielącą je ścianę już dawno rozebrano, dla efektu pozostawiono oryginalne belkowanie. Caroline do wyposażenia pokoju dobrała dodatki w odcieniu burgunda, a stół ustawiła w głębi, na samym końcu. Ten duży, okrągły mebel z orzechowego drewna, własnoręcznie przez nią zrobiony, przyciągał uwagę większości wchodzących. Jednak dla Jamie takim punktem centralnym i zarazem cenną pamiątką był wiszący na ścianie kawałek wiktoriańskiej koronki oprawiony w ramy. Gipiura wycięta ze ślubnej sukni matki Caroline stanowiła dla Jamie coś w rodzaju testu Rorschacha. Dorastając, w jej reliefowym wzorze dopatrywała się odzwierciedlenia swoich nastrojów.

Teraz, zamiast szukać tam odbicia gonitwy myśli i zamętu, sprawdziła, czy w obu końcach salonu obracają się dwa sufitowe wentylatory.

Kuchnia była klitką z szarzieloną boazerią zakończoną szerokim gzymsem, na której stały ocalone starocie. Rząd ściennych szafek oferował niewielką przestrzeń na magazynowanie zapasów.

Jamie ustawiła torby na jedynym blacie i wcisnęła do lodówki wszystko, co wymagało schłodzenia. Resztę zakupów z braku miejsca rozłożyła na kuchence, bo dzisiaj nie przewidywała gotowania. Kuchnia już zdążyła się nagrzać, a w ciągu dnia temperatura zapewne jeszcze się podniesie.

Przewidując włączyła wentylator sufitowy. Potem wyjęła talerzyk z przeszklonej szafki. Ręcznie zdobiona porcelana przetrwała jej dzieciństwo tylko trochę wyszczerbiona. Ten akurat talerzyk miał niebieski szlaczek i jabłko namalowane na środku; wszystkie pozostałe ustawione jeden na drugim miały szlaczki w różnych kolorach i obrazki innych owoców. Ileż wspomnień wiązało się z tymi talerzami – ósemki jabłek wypadające z krajalnicy (Liczymy, skarbie, jeden, dwa, trzy...), ciastko z bitą śmietaną i truskawkami, herbatniki grahamki przekładane czekoladą z roztopionymi nad świeczką piankami marshmallows.

Odsunęła od siebie te sentymentalne rozważania, z jednej torebki wyjęła lukrowaną drożdżówkę, z drugiej nadziewaną babeczkę i wyciągnęła serwetki z szuflady. Nalała do szklanki mrożonej herbaty, zaparzonej wieczorem, i wsunęła pod pachę płaską paczuszkę ozdobioną czerwoną kokardą. Z wahaniem odłożyła ją

na blat. Chwilę później podniosła ją z powrotem i skierowała się na werandę.

Tym razem trzask drzwi z metalowej siatki wyprowadził ją z równowagi.

– Mogłabyś zamontować pneumatyczny ogranicznik – poradziła, stawiając szklanę na szerokim podłokietniku ławeczki, obok telefonu i zabandażowanego nadgarstka.

– Mnie to nie przeszkadza – odparła Caroline, zupełnie niespeszona. Wzięła drożdżówkę z talerzyka, który podsunęła jej Jamie, i wydłubała pekan z kruszonki.

– Potrzaskiwanie tych drzwi czegoś dodaje.

– Hałas.

– Charakteru. Składa się na to wszystko, za co lubię to miejsce. MacAfee tworzy wspaniałe domy – przebudowujemy je i adaptujemy – lecz stylizowana stolarka i detale z epoki tylko do pewnego stopnia nadają charakter domom. Bo charakter dojrzewa z czasem. Potrzeba wielu lat. – Ławeczka zakołysała się, gdy Caroline opuściła nogi, żeby przepuścić córkę. – I ja tutaj to mam.

Jamie usiadła obok niej.

– Klimat nie ma nic wspólnego z charakterem. Dzisiaj zanosi się na skwar. Powinnaś pomyśleć o centralnej klimatyzacji.

Caroline spojrzała z czułością na wentylator o wachlarzowych łopatkach, wirujących nad głową. Odgryzła spory kęs drożdżówki i podsunęła ją córce.

Jamie przecząco pokręciła głową. Odmówiła dziś sobie bekonu, ale nie odpuści babeczki. Jak inaczej ma walczyć z frustracją? Tak bardzo chciała zrobić coś dla matki. To Caroline była tą, która wiecznie coś dawała. Zawsze zbyt dumna i niezależna, żeby o cokolwiek prosić. Teraz, kiedy straci to, co kochała, Jamie musiała jej tę stratę jakoś zrekompensować.

– Dobra. Zapomnijmy o klimacie. A kuchnia? Może wyburzyłybyśmy ścianę, żeby zyskać więcej przestrzeni?

– Po co mi większa przestrzeń?

– Nie chciałabyś mieć więcej blatów? Nawet stolik by tam wtedy wszedł, pomyśl o tym. Kącik w kuchni do pracy z miejscem na laptop? Jeżeli nie chcesz granitu czy kwarcu, możemy pomyśleć o rzeźnickim bloku, klonowej okładzinie albo o ręcznie malowanych ceramicznych płytkach. Wszystko by pasowało do tego domu. Dodałabym jeszcze wyspę z bokami z desek ze starej stodoły i półki na książki...

– ...kucharskie, których nie mam, bo rzadko kiedy gotuję.

– Nabijasz się ze mnie, mamo. Masz mnóstwo różnych książek. Bez przerwy coś czytasz.

Caroline odłożyła drożdżówkę, wzięła Jamie pod ramię i uściśniła jej rękę. Wnętrze dłoni miała stwardniałe (kolejna przypadłość zawodowa) i chociaż po każdym myciu rąk kwiatowym mydłem wcierała w nie balsam, niewiele to pomagało. Jamie te odciski nie przeszkadzały. Matka miała charakterystyczną

skórę. Z miękką i gładką nie byłaby tą samą Caroline. Kurczę, widziałam ta jej szorstkość też się podobała.

– Właśnie dlatego – ciągnęła Caroline – zakochałam się w tym domu. Miał półki w każdej wnęce i niszy, a tam, gdzie ich brakowało, sama je zamontowałam. Uwielbiam wannę na lwich łapach w łazience i zabytkowe wieszaki w holu, a w kuchni mam najprawdziwszy wiejski zlew.

– Jest z porcelitu.

– No to co?

– Powinnaś mieć miedziany.

Milczenie Caroline wymownie świadczyło, że nie zależy jej na miedzianym zlewozmywaku.

Zrezygnowana Jamie oparła głowę na jej ramieniu. Miętowozielone deski na suficie były o ton jaśniejsze od gontów na okapie. Powiodła spojrzeniem po balustradzie w takim samym bladym odcieniu błękitu jak bonie i skierowała wzrok na drewnianą podłogę, ciemniejszą tylko o jeden ton. Białą wiklinową huśtawkę ożywiały kolorowe poduszki, których kwiatowe wzory zgrają się w pełni lata z szaleństwem barw na rabatach.

Musiała przyznać, że całość robiła sympatyczne wrażenie. Niemniej chętnie wprowadziłyby tu parę ulepszeń.

– Chcę zaprojektować coś specjalnie dla ciebie – tłumaczyła. – Zajmujemy się modernizacją starych domów, a ty tutaj nic nie zmieniałś.

– Nieprawda. Spójrz na słupek balustrady, przyjrzyj się listwom w sypialni i wykończeniu podłogi w salonie. A garaż?

– Garaż się nie liczy.

Dotarło do niej, że palnęła głupstwo, zanim jeszcze usłyszała pełne oburzenia:

– Słucham?

Garaż był ulubionym miejscem Caroline. Jeszcze przed wprowadzeniem się do domu dwukrotnie go powiększyła, wymieniła instalację elektryczną i założyła nawiewy. W garażu mieścił się jej modelowo wyposażony warsztat, gdzie tworzyła swoje wyrafinowane cacka, do których inni stolarze nie mieli ani oka, ani ręki. Och, tak, Caroline była mistrzem stolarskim z niekwestionowanym doświadczeniem.

Jamie, wiedząc o niesprawiedliwości, jaka miała spotkać matkę, czuła się jak zdrajczyni. Przytuliła się do niej mocniej, nie zważając, że ich skóra klei się od potu. Upał przegrał z potrzebą serca.

– Garaż służy do pracy. Myślałam o przestrzeni mieszkalnej.

– Pomalowałam ściany – wyliczała pobłażliwym tonem Caroline. – Dałam nową elektrykę, wymieniłam rury i założyłam ogrzewanie. Mam tu nawet Wi-Fi. I pozbyłam się termitów w suterenie oraz grzyba za ścianą w łazience.

A zapomniałaś o metalowym poszyciu do mojego nowiutkiego dachu?

- Mówię o przebudowie dla powiększenia metrażu.
- Nie potrzebuję więcej miejsca. Mieszkam sama. Poza tym to moja prywatna przestrzeń. Nie chcę, żeby mi się tu kręcili ludzie z ekipy.
- A Deanowi pozwalasz do siebie zaglądać.
- To co innego. Jest moim przyjacielem.
- Z którym się wyklócasz o tysiące drobnych spraw.
- Mamy odmienne gusty. I tyle.
- Wpadnie później do ciebie? – Akurat zaświergotał telefon matki. – Aha, o wilku mowa – powiedziała, przechylając głowę.

– Nie, skarbie. Dla numeru Deana wybrałam pohukiwanie puszczyka. Ćwierkanie lelka to Annie. – Jamie przypadła w udziale cykada, a jej dziadkowi łabędź trębacz. Ojcu, niech opatrność czuwa nad jego zbłąkaną duszą, matka przypisała w komórce przeraźliwe kwakanie. I chociaż Roy raczej rzadko dzwonił, Jamie bez trudu się domyśliła, kogo matka obdarzyła kaczym sygnałem.

Zbłąkana dusza. Bardziej niż kiedykolwiek, pomyślała, lecz czego się można po nim spodziewać? Takt nigdy nie był mocną stroną Roya w postępowaniu z Caroline. Anonimowe telefony do domu, plotki krążące po miasteczku, zdjęcia z młodymi laskami w ramionach – takie sprawy absolutnie go nie peszyły. A depresja Caroline po rozwodzie? Zupełnie go nie obeszła. Córką też się nie przejmował. Miała dwanaście lat, gdy wyprowadził się z domu. To ona przez wiele miesięcy czuwała po nocach, gdy matka w ciemnej kuchni stała wpatrzona w czarną jak smoła noc. To ona się martwiła, kiedy matka nie odbierała telefonów, unikała ludzi i zostawiała rozgrzebane jedzenie na talerzu.

W końcu Caroline wzięła się w garść. Jamie nie miała pojęcia, skąd matka znalazła w sobie siłę; być może pomogła jej praca, coraz bardziej napięty grafik treningów tenisowych córki i budzące się poczucie ulgi, że pan i władca, wyrocznia we wszystkich sprawach, zniknął z domu. Zmiana nie nastąpiła z dnia na dzień, to był powolny proces. Teraz Caroline sprawiała wrażenie osoby zadowolonej z życia.

Rzeczywiście, w jej cichym głosie pobrzmiwała pewność siebie.

– Hej, Annie! Wszystko fajnie. Jest u mnie Jamie, oddzwonię, dobrze? Obiecuję. Trzydzieści maks – zakończyła, położyła telefon na kolanach i wróciła do przerwanej rozmowy. – Dean przyniesie lunch.

Jamie na to liczyła. Podejrzewała, że wróci do domu dopiero wieczorem. Podczas gdy Annie będzie jednym z wielu wpadających tu dzisiaj gości, Dean czuł się u Caroline jak u siebie w domu. Był dobrym kompanem. Chociaż mogli mieć odmienne zdanie na temat ulepszeń, o jakich według niego powinna pomyśleć, pozwalała mu swobodnie się wypowiadać. Może kiedy zobaczy matkę taką zrelaksowaną, namówi ją na jakieś udogodnienia?

Tak, niewątpliwie wiktoriańska architektura ma swoje zalety. Jamie z głębokim oddechem poprawiła się na poduszkach kołyszącej się lekko ławeczki. Mogła mieć matce za złe, że wzbrania się przed modernizacją, lecz musiała przyznać, że atmosferę tego domu cechował błogi spokój. Błogi spokój to coś więcej niż zwykła cisza. U niej w apartamentowcu też było cicho, ale brakowało takiego swojskiego klimatu jak tu.

Drzwi z siatki szczęknęły, sekundę później zachybotała się huśtawka. To Master usiłował ulokować swoje okazałe cielsko na skrawku poduszki. W rezultacie wylądował częściowo na kolanach Jamie. I chociaż powinno mu być za gorąco, nie zamierzał zmienić pozycji.

– Oj, dzieciaku, będziesz mieć sierść na spódnicy – ostrzegła ją Caroline.

– Nie szkodzi. – Dziewczyna przesunęła palcami po gęstym futrze od obróżki aż po puszysty ogon. Kot odpowiedział zadowolonym mrużeniem. – Wzięłabym sobie kota, ale za dużo czasu spędzam poza domem. – Westchnęła, gładząc Mastera. – Na szczęście przygarniasz te koty, w których się zakochuję. – Podczas gdy Roy w „Williston News” szukał głównie lokalnych plotek, ona w weekendowym wydaniu z uwagą śledziła ogłoszenia ze schroniska dla zwierząt. Kocięta szybko znajdowały właścicieli. A starsze koty? Dla nich trudniej o nowy dom, chociaż to właśnie one miały najśłodszy, najłagodniejszy charakter. Master był jednym z trzech kotów, które Jamie przyniosła Caroline. Dwa pozostałe wołały przesiadywać na piętrze, gdzie słońce mocniej przygrzewało, a Master rzadko się tam zapuszczał.

– O mało na urodziny nie dostałaś czwartego – wyznała matce.

– Całe szczęście. Już ci mówiłam, że troje to mój maks.

– To porzucona kotka – kontynuowała Jamie. – Trafiła do schroniska z taką okropną infekcją oka, że musieli je usunąć. Szacują ją na jakieś osiem, dziewięć lat.

– Jamie...

– Nic się nie martw. Zanim zadzwoniłam, ktoś zdążył ją adoptować.

Zadowolona z tego rozwiązania, nie ciągnęła dalej tematu kotów. W ogóle w tej chwili odczuwała zadowolenie. Co prawda dokuczał jej upał i ciążyły pewne niedomówione sprawy, lecz siedząc na tej werandzie, z dłonią na zadziwiająco chłodnym futerku Mastera i z wiatrakiem nad głową, rozsiewającym znajomy zapach kosmetyków matki, odżyła na tyle, żeby wreszcie się zająć paczuszką obwiązaną czerwoną wstążką.

– Mamuś, wiem, że nie lubisz, jak ci kupuję prezenty, ale skoro nie mam dla ciebie kolejnego kota, ten drobiazg musi jakoś wystarczyć. Pełna samoobsługa. Przeczytaj, co tam jest napisane.

Za wstążeczką, jak co roku, tkwiła własnoręcznie przez nią zrobiona kartka. Matka je wszystkie przechowywała, wyciągając od czasu do czasu, żeby pokazać Jamie, jak rozwijały się jej zdolności artystyczne. Tym razem kartka była

wyklejanką uzupełnioną o komputerowy rysunek geometrycznych figur w granatowo-miętowych kolorach. Caroline przeczytała, odłożyła kartkę na kolana i rzuciła córce karcące spojrzenie.

– Weekend dla nas w Spa Canyon Ranch. Wiedziałaś, że nie potrafię odmówić. – Objęła Jamie za szyję zdrowym ramieniem. – Dziękuję, skarbie. Będzie cudownie. – Oczy jej rozblęły. – Jedźmy tam jutro.

– Odpada – zaśmiała się Jamie, ściskając matkę za palce na swoim ramieniu. – Po pierwsze, twój nadgarstek musi się zagoić, po drugie, jutro jestem w Atlancie, a po trzecie, na najbliższe dziesięć dni mam kalendarz zapchany spotkaniami. – Ruchem podbródka wskazała kasetę DVD na kolanach matki. Chociaż nie miała efektownej obwoluty jak ta, która w przyszłości trafi do rąk widzów, wiadomo, co zasłaniała czerwona kokarda.

– Kopia robocza – ucieszyła się Caroline. – W samą porę. Później ją sobie obejrzę.

– Nie ma tam żadnych uwag.

– Zadzwoń do Claire i powiem, co według mnie można by wyciąć.

Oj nie. Niedobrze – pomyślała Jamie.

– Mamo, z tym bym się wstrzymała. Damy jej trochę czasu.

Caroline nie odpowiedziała. Z lustrującym spojrzeniem odwróciła się ku córce.

– Na planie przyzwyczaiałam się do ciebie w dzinsach. Skąd ten formalny strój? Kolejna seria zebrań?

Jamie, wdzięczna za zmianę tematu, wyliczyła czekające ją spotkania. Pominęła milczeniem śniadanie z Royem, karcąc się w duchu za dwulicowość.

– Czy między tobą i tatą wszystko jest w porządku? – spytała, znowu się zastanawiając, czy na pomysł zmiany gospodyni programu wpadł Roy.

– Po staremu – zadumała się nieco Caroline. – Rzadko go widuję.

Jamie podejrzewała, że matka zrezygnowałaby z pracy w MacAfee Homes, gdyby z racji obowiązków musiała regularnie spotykać się z ojcem. Zajmowali się zupełnie innymi sprawami; on agresywnym marketingiem, a ona szeroko pojętą stolarką. Zaglądała do MacAfee Building tylko wtedy, gdy miała sprawę do dyrektora finansowego lub chciała zobaczyć się z Theo. Nie szukała kontaktu z Royem.

– No i dobrze – przyznała po namyśle Jamie.

– No i dobrze – potwierdziła Caroline.

– Co zrobisz, gdy Theo przejdzie na emeryturę i tata przejmie pałeczkę?

– Będę pracować jak zawsze. No, chyba że twój ojciec obetnie mi pensję albo każe używać gorszych materiałów. Wiesz, jestem trochę rozpuszczona. Theo stawia na jakość i daje mi wolną rękę.

– Szanuje twoje zdanie. – Jamie uniosła włosy, żeby ochłodzić kark. – Poza

tym zawsze jego marzeniem była firma rodzinna. Czy z Royem, czy bez, jesteś moją mamą, a to w oczach Theo czyni cię członkiem rodziny.

Prawdę mówiąc, gdyby matka po rozwodzie odeszła z MacAfee Homes, Jamie prawdopodobnie nie trafiłaby do firmy prosto po studiach. Obie z Caroline marzyły o wspólnej pracy, a to, że matka była tam na etacie, niewątpliwie stanowiło zachętę. Wymagania dotyczące zdobycia uprawnień okazały się rygorystyczne, a mentor Jamie, chociaż cierpliwy i pomocny, był typowym mężczyzną. Nie interesowały go emocje jego podopiecznej. Natomiast matka się nimi przejmowała. Caroline mogła nie rozumieć zachwytów Jamie nad nowym programem graficznym do projektowania, lecz zawsze była na miejscu, gdy córka potrzebowała wsparcia.

A teraz co? Konkurentki do tego samego stanowiska? Teoretycznie, być może w przyszłości Jamie ucieszyłaby ta oferta, lecz w żadnym wypadku nie mogła przyjąć jej teraz.

– Coś cię trapi – zauważyła Caroline.

– Przepraszam. – Potrząsnęła głową. – Czeka mnie tysiąc spraw, z czego połowa przypada na dziś.

– Ale nie ma wśród nich planowania wesela. Sądziłam, że to będzie pierwsza rzecz po zakończeniu nagrania.

– Nie – przyznała Jamie, zastanawiając się, czy Brad przypadkiem nie zadzwonił do matki, żeby sprawdzić, co u niej słychać i przy okazji wylać swoje żale. – Numer jeden to była operacja nadgarstka. Bez ciebie wszelkie planowanie nie ma sensu. Nie będę sama rozglądać się za miejscem na przyjęcie weselne, kiedy ty jesteś unieruchomiona.

Komórka Caroline zagruchała jak tamten dziki gołąb na klonie.

– Ach, to sklep z materiałami budowlanymi. Przypisałam im osobny dzwonek, bo często się kontaktują. Wcześniej otwierają. – Dotknęła ikonki: „anuluj”.

– Może to coś ważnego.

– Nie ma nic ważniejszego od ciebie. Powiedz, co tam słychać u Brada.



### Rozdział 3



Caroline lubiła Brada. Był sympatycznym młodym człowiekiem i rzutkim prawnikiem z widokami na solidną pozycję w MacAfee Homes, co gwarantowało Jamie bezpieczną przyszłość, niezależnie od tego, czy zdecyduje się nadal tam pracować, czy nie. No i kochał Jamie. W to akurat Caroline nie wątpiła. Absolutnie nie. Natomiast pewne sprawy budziły jej niepokój.

Niestety, nie mogła się nimi podzielić z Jamie. Po pierwsze, to były tylko mgliste przeczucia nieoparte niczym konkretnym, a po drugie, zwierzenie się ze swoich wątpliwości Jamie mogłoby niekorzystnie wpłynąć na relacje między nimi. W końcu ona nie musiała Brada kochać. Niewątpliwie wystarczą im poprawne układy.

Jamie rozbijała huśtawkę obcasem.

– Wszystko zaczęło się dość niewinnie. Powiedział mniej więcej to samo co ty: że powinnam pomyśleć o dacie ślubu. Kiedy zaczął naciskać, trochę się zniecierpliwiałam. Za często do tego wraca.

– Może podejrzewa, że celowo unikasz tego tematu.

– Właśnie to mi zarzucił, robiąc z siebie cierpiętника, czym mnie zawsze wkurza, bo wiem, skąd się to bierze. W dzieciństwie nie czuł się kochany. Co prawda miał rodziców, lecz dla niego jakby ich nigdy nie było. Uważa, że go zaniedbywali.

Zapatrzyła się na rudzika, który przycupnął na narożniku balustrady.

– Ma gniazdo w kępie modrzewnicy – wyjaśniła Caroline, zerkając czujnie na Mastera, gotowa bronić przed nim czterech piskląt. Kot jednak błogo spał pod pieszczotliwym dotykiem Jamie. – Mów dalej – zachęciła córkę.

– Jest przyzwoitym człowiekiem.

– Ty też jesteś.

Jamie dotknęła kciukiem obrączki pierścionka.

– Sama nie wiem. Czuję się jak zdrajczyni. – Spojrzała w oczy matce, jakby szukając tam potwierdzenia.

Caroline nie zamierzała jej osądzać.

– I przyzwoici ludzie mają prawo do różnicy zdań w wielu sprawach.

– Może. – Skupiła wzrok na swym palcu, złościąc ścieżki w futrze Mastera. – Według niego to kwestia priorytetów i jeśli go kocham, ślub powinien się znaleźć na czele listy. Ale nawet wybór miejsca na przyjęcie nie jest prostą sprawą. Tata upiera przy dużym weselu, co dodatkowo wszystko komplikuje. Muszę

porozmawiać z właścicielami różnych domów weselnych, a w tej chwili nie mam na to czasu. No i Brada to wkurza.

– Boi się, że od niego odejdziesz.

– Nigdzie się nie wybieram – zaprotestowała, nie przestając gładzić kota. – W kółko mu to powtarzam. Ciągle do siebie esemesujemy. Dzielę się z nim pomysłami, pokazuję swoje projekty i pytam o zdanie, bo zależy mi na jego opinii. O jego pracy też rozmawiamy. Przygotowuję jego ulubione dania... no raczej... kupuję w Whole Foods, ale jemu to bez różnicy. – Podniosła wzrok. – A potem słyszę od niego: „Jesteś w takim wieku, żeby się nie bać zobowiązań”. Ja się boję zaangażowania? Czy on mnie w ogóle zna?

Najwyraźniej nie, pomyślała Caroline. Jamie uczyła się obowiązkowości z rakiętą tenisową w ręce, trenując już jako pięciolatka i konkurując na zawodach w wieku ośmiu lat. Oddała cały swój czas trenerom i sponsorom drużyny oraz zacięcie walczyła z przeciwniczkami. Po odkryciu architektury z takim samym entuzjazmem podeszła do studiów. Rozszerzone zajęcia, letnie seminaria, staże – szła jak burza.

– Mamuś, czy ja się kiedykolwiek bałam zobowiązań?

– Nie, kochanie.

– To, że nie zajęłam się dotąd planowaniem wesela, nie wynika z lęku przed zaangażowaniem, lecz ze zwykłego nadmiaru zajęć, a co do wieku, mam dopiero dwadzieścia dziewięć lat. To znowu nie tak wiele. Czy to najwyższy czas na wychodzenie za mąż?

Zdecydowanie nie, o tym akurat Caroline była przekonana. Kobiety coraz później decydowały się na zamęście, bo skupiały się na karierze zawodowej, a poza tym chciały mieć pewność, że wybrały właściwego partnera.

– Wiek nie ma znaczenia – odparła.

Jamie rzuciła jej zdumione spojrzenie, lecz nie odezwała się słowem.

– Lepiej od innych wiesz, co to zobowiązania – powiedziała. Brzęknął jej telefon. Przeczytała esemesa. – Taylor Huff... pyta o mój nadgarstek? – Spojrzała z ukosa na Jamie. – Jakim cudem Tylor dowiedział się o nadgarstku?

– Uhm, może coś mi się wysnęło. Niechący.

– Mam uwierzyć w to ostatnie słowo?

– Ludzie się przejmują, mamu. Kochają cię.

Tak. Caroline była tego świadoma. I wiedziała, jak jej się poszczęściło, że otaczają ją ludzie, którym na niej zależy.

– A wracając do Brada – odezwała się, kładąc komórkę na kolanach. – Cały czas wodzisz kciukiem po obrączce pierścionka, jakbyś sprawdzała, czy jeszcze tam jest, albo jakby cię uwierał. Nurtuje cię, że może Brad ma rację? Czujesz, że z jakichś powodów celowo zwlekasz z tym ślubem?

– Że robię to podświadomie? – Jamie cofnęła palec. – Niby czemu? Brad to

idealny facet dla mnie. Jest inteligentny. Angażuje się w pracę. W wieku trzydziestu trzech lat został naszym głównym prawnikiem. Trzydziestu trzech, a to oznacza, że Theo wierzy w jego talent. Jest taktowny, przystojny i mnie ubóstwia. Dlaczego miałabym się bać z nim związać?

– Bo mnie z ojcem się nie udało?

Zaskrzypiała huśtawka wprawiona w ruch obcasem Jamie.

– Wasza sytuacja była zupełnie inna. Wyszłaś za mąż w ciąży, bo dziadek nie chciał słyszeć o nieślubnym dziecku. No i byłaś wtedy zakochana w ojcu.

Caroline wiedziała, że w końcu padnie to zdanie z pytającą intonacją. Zawsze się pojawiało. Relacje rodziców stanowiły piętę Achillesową Jamie.

– Kochałam go – zapewniła córkę po raz kolejny.

– I kochałabyś dalej, gdyby był tym samym człowiekiem. To jemu odbiło.

Na szczęście Brad to nie tata.

– To prawda.

Roy widział w Bradzie wzór wszelkich cnót.

A to miało prawo niepokoić Caroline.

Ale z pewnością nie stanowiło racjonalnej podstawy do jej wątpliwości.

Jamie wyciągnęła komórkę zza paska spódnicy. Przerzuciła wiadomości z zawiedzioną miną.

– Rany! – zawołała przerażona, prostując się i zatrzymując huśtawkę. – Zobacz, która godzina! Będę lecieć. Muszę jeszcze przed jedenastą rozwiązać pewien problem i wykonać parę telefonów.

– Pomyśl o tym.

– O czym?

– O zobowiązaniach.

– Mamo – sapnęła Jamie wyraźnie sfrustrowana. – Nie znam nikogo, kto traktowałby je poważniej ode mnie.

– O swoim zobowiązaniu wobec Brada – uściśliła Caroline.

– Kocham go – wyznała Jamie.

– No widzisz. W takim razie sprawa prosta. Pozostało doprowadzić rzecz do końca.

Jamie znowu robiła wrażenie niespokojnej, jakby potrzebowała dodatkowego wsparcia, utwierdzenia jej przez Caroline, że zainteresowanie Brada to najlepsze, co spotkało ją w życiu. Niewątpliwie wystarczająco często słyszała te słowa od Roya. No cóż, Caroline nie potrafiła rozwodzić się nad czymś, co nie było w zgodzie z jej odczuciami. Zresztą obchodziła ją wyłącznie Jamie. Jeżeli córka chce poślubić Brada, to ona jako matka jest jak najbardziej za.

Jamie, przy pobrzękiwaniu łańcuchów, przesunęła kota i wydobyła się z kosza huśtawki.

– Powinniśmy z Bradem dać dyla i pobrać się potajemnie.

– Ojciec nigdy by ci tego nie wybaczył.

– A ty?

Caroline ujęła jej rękę i lekko nią potrząsnęła.

– Owszem, jeśli tak ci pasuje. Dla mnie najważniejsze jest twoje szczęście.

Och, skarbie – zaniepokoiła się, widząc jej szklane oczy. – Poradzisz sobie. – Wyciągnęła ramiona, a gdy Jamie przykucnęła, przytuliła ją do siebie. – Nie bez powodu planowanie ślubu jest takie stresujące. To chwila prawdy. Oddzielanie ziarna od plew. Wiesz, ile par nie potrafi się z tym uporać?

– Nie – szepnęła jej Jamie do ucha. – Ile?

– Nie mam pojęcia, ale na pewno mnóstwo. Brzmi logicznie, no nie?

Jamie pociągnęła nosem.

– A więc wymyśliłaś to na poczekaniu?

– Nie. To Biblia mówi o oddzielaniu ziarna od plew.

– Chodzi mi o ten przedślubny stres.

– Chyba gdzieś o tym czytałam. – Ucisnęła córkę jeszcze raz, odsunęła na długość ramion i kciukiem otarła jej łzę w kąciuku oka.

Jamie westchnęła głęboko i się uśmiechnęła.

– Jesteś najlepsza, wiesz o tym, mammo?

Tak samo dobra jak ty – odparła w myślach Caroline. Przykro było widzieć przygnębioną Jamie, ale cieszyło ją, że dziewczyna chce się dzielić z nią swoimi rozterkami.

– Dziwnie się patrzy na ciebie taką beczynną – zauważyła Jamie.

– Ha! – prychnęła żartobliwie Caroline. – No to naciesz się tym widokiem. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Zamykam oczy i widzę siebie w garażu przy pracy nad dębową poręczą do domu Millerów.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegła ją córka i spojrzała na książki na stoliku. – Możesz poczytać.

– Tak, mogę poczytać.

– Masz tam coś pikantnego i seksy? – Gdy Caroline zmroziła ją spojrzeniem, zanuciła: – Twoja strata. Może zanim wyjdę, przygotuję ci jakieś jedzonko? – spytała, poważniejąc. – Jajka? Płatki na mleku?

– Nie, dzięki, skarbie. Nic nie chcę.

– Pamiętaj – dodała, kierując się ku schodkom. – Wieczorem przychodzę z ucztą. Obrany homar podsmażony na maśle dla jednorękiej jubilatki. Podać ci tylenol?

– To tylko nadgarstek. – Caroline parsknęła śmiechem. – Chodzić mogę. – Na dowód wydobyła się z huśtawki, wzięła Jamie pod rękę i razem zeszły po schodkach. Na ostatnim obie się zachwiały. – A może jednak nie powinnam się ruszać z tej ławki?

– Nie, nie – mruknęła Jamie. – To moja wina. – Schyliła się i uwolniła obcas

ze szczeliny pomiędzy stopniem i kamienną podstopnicą.

Frontowe schodki to kolejna rzecz, którą chętnie by się zajęła, gdyby miała zgodę matki.

– Ty jesteś twarda jak skała. Najchętniej odwołałabym wszystko i została tu z tobą.

– Nawet o tym nie myśl. I tak już jesteś spóźniona. Zmykaj. Naprawdę. Oddzwonię do Annie. Wpadnie przed dziesiątą. Potem przyjedzie Allison, asystentka Thea, później LaVallesowie, Rob i Diana, no i jeszcze Dean. Poradzę sobie.

\*

Jamie odczekała z uruchomieniem silnika do chwili, gdy Caroline z powrotem umościła się na huśtawce. Wyjeżdżając na ulicę, wychyliła się jeszcze, posłała jej kilka całusów i wtedy dopiero przyspieszyła. Kiedy po paru sekundach turkusowy wiktoriański domek zniknął jej z oczu, podjechała do krawężnika, sięgnęła komórkę i zadzwoniła do Claire. I tym razem odezwała się poczta głosowa. Potem wystukała numer Briana. Też nie odbierał.

Tym razem nie odpuściła; ponownie zadzwoniła do Claire i nagrała wiadomość. *Odezwij się, proszę, jak znajdziesz chwilę. I błagam, nie dzwoń na razie do Caroline ani nie wspominaj nikomu o zmianie prowadzącej, dobrze?*

Ciekawe, pomyślała, ile osób już o tym wie, bo jeśli było ich troje, czworo czy pięcioro, raczej nie uda się tego utrzymać w tajemnicy.

\*

Biurowiec MacAfee znajdował się kilka przecznic od centrum. Ten okazały budynek z czerwonej cegły celowo zaprojektowano w georgiańskim kolonialnym stylu, aby przypominał wczesne domy budowane przez ich firmę w podobnej estetyce. Portal z potężnymi drzwiami zwieńczonymi koroną podpierany kolumny, okna miały szyby dzielone szprosami. Temu pięciopiętrowemu gmachowi z kominami na ścianach szczytowych lekkości dodawały gzymsy i sztukaterie zdobiące fasadę oraz balkony z kolumnkami.

Jamie pracowała na ostatnim piętrze na tyłach biurowca. Front z oknami wychodzącymi na południe był zarezerwowany dla dyrekcji. Przed każdym z przestronnych gabinetów z jednym tylko dużym biurkiem czuwała osobista asystentka. Północną część zajmował zespół projektantów. Dużą, otwartą przestrzeń doświetlały okna połączone, aby światło nie padało bezpośrednio na ekrany monitorów, podstawowe narzędzie pracy architektów. Spore biurka w kształcie litery „L” odpowiednio zestawione tworzyły tak zwane kojce, co miało sprzyjać łatwej komunikacji i wymianie myśli pracujących w nich trzyosobowym zespołom.

Jamie dzieliła kojec ze swoim mentorem, który wkrótce wybierał się na emeryturę, i z praktykantką. Dziewczyna zmagala się akurat z jakimś problemem, przesuując kalkę techniczną po projekcie Jamie. W normalnych okolicznościach zajrzała by jej przez ramię, aby zobaczyć, jak sobie radzi, a może nawet trochę by pomogła, lecz w tej chwili nie miała na to czasu. Odpaliła komputer i sprawdziła, czy w poczcie nie ma maili od Briana lub Claire. Ponieważ nic nie znalazła, poszła poszukać Brada.

Pracował piętro niżej. Tu dominowała część recepcyjna z biurkami dla sekretarek i asystentek oraz z wygodnymi fotelami dla gości. Jedno z przeszklonych biur po obu bokach recepcji zajmował Brad, pozostałe jego praktykant, jednoosobowa komórka rozliczeniowa, etatowy agent do spraw nieruchomości oraz informatyk. Dean i dwaj inni generalni wykonawcy zazwyczaj przebywali w terenie, lecz jako lojalni kooperanci, którym należał się własny kąt, dostali do dyspozycji duże biuro na końcu holu oraz sąsiadującą z nim salę konferencyjną na spotkania z podwykonawcami, dostawcami i klientami.

– Cześć, Mirando!

Recepcjonistka podniosła wzrok dopiero, gdy Jamie stanęła za jej plecami. Zaskoczona, wsunęła książkę pod biurko.

– Jamie! – Oblała się rumieńcem. – Cześć. Nie słyszałam windy.

– Zeszłam po schodach – wyjaśniła, nie zatrzymując się, żeby nie wprawić recepcjonistki w jeszcze większe zakłopotanie, że przyłapano ją na czytaniu w pracy. Treść książki, sądząc po okładce, nie budziła wątpliwości. Miranda, jak wszyscy w MacAfee Homes, przykładała się do pracy. Była atrakcyjna, ujmująca i kompetentna. Miała udane małżeństwo i troje dzieci na różnych etapach przedszkolnej i szkolnej edukacji.

Być może Jamie zastanowiłoby, czemu Miranda czyta jakieś ociekające erotyzmem romansidło, gdyby jej myśli nie były skupione na Bradzie. Znała jego rozkład dnia i liczyła, że o tej porze zastanie go samego, tymczasem dziś klienci pojawili się wcześniej niż zwykle i okupując skórzane, klubowe fotele, czekali, aż Brad przejrzy ich umowę z MacAfee Homes.

Zwolniła przed drzwiami jego gabinetu. Widok Brada w okularach w drucianych oprawkach pochylonego nad biurkiem podziałł na nią kojąco. Wysoki i smukły, miał krótkie, brązowe włosy z przedziałkiem na boku. Nosił dobrze skrojone marynarki, spodnie w stonowanych kolorach i eleganckie mokasyny. Oczywiście, jego rzeczy nie dorównywały jakością i ceną ubiorom Roya, lecz Bradowi nie zależało na robieniu wrażenia i afiszowaniu się zamożnością. Dla niego liczyły się umiejętności. W kontaktach z klientami poświęcał im całą uwagę.

Kiedy ją zauważył, pomyślała, że to nie był dobry czas na rozmowę o ich porannej sprzeczce ani tym bardziej o Caroline. Rozpromienił się na jej widok,

zanim skinieniem dłoni zaprosił ją do środka. Wcześniejsze pretensje? Zniknęły, przynajmniej na razie. Gdy stanęła w drzwiach, serdecznym gestem wyciągnął do niej ramię, co zapewne w formalnych biznesowych układach mogłoby zostać uznane za niestosowne zachowanie, lecz przecież w MacAfee Homes panowały rodzinne stosunki. Rodzina buduje. Taki slogan widniał na ich papeterii, na formularzach umów i na wszelkich materiałach marketingowych. Być może miało to nieco sentymentalny wydźwięk, lecz tak życzył sobie Theo MacAfee.

Brada uważano za członka rodziny. Kiedy wziął ją teraz za rękę i przygarnął do siebie, poczuła się bezpiecznie. Obecność klientów jej nie krępowała; przebywała z nimi cały czas. Jednak to Brad miał talent do zjednywania ludzi. W przeciwieństwie do niej chętnie udzielał się towarzysko, co pasowało do stylu działania firmy.

Nie od razu to zauważyła. Pracował w MacAfee Homes już parę lat, zanim ona przyszła do firmy prosto po studiach w Rhode Island School of Design. I nie od razu między nimi zaiskrzyło. Jamie nie szukała kochanka, a już na pewno nie rozglądała się za kandydatem na męża. Pochłaniała ją praca. Zaprzyjaźnili się, żartując ze współpracowników, którzy usiłowali ich skojarzyć. Dopiero z czasem odkryli, że rzeczywiście wiele ich łączy. Kiedy zaczęli się spotykać, towarzyszyły im ukradkowe uśmieszki, a gdy się zaręczyli, w firmie urządzono przyjęcie.

Ich związek dawał im obojgu poczucie bezpieczeństwa. Brad nabrał przy niej większej pewności siebie. Czowała to nawet w tej chwili, gdy z nią u boku zwrócił się do klientów:

– Znacie panowie moją narzeczoną, Jamie MacAfee. Jamie, to panowie John i David Abbottowie.

Obaj mężczyźni poderwali się z miejsc i uścisnęli jej dłoń.

– Panowie, wybaczcie nam na moment. – Brad wyprowadził ją na korytarz, zanim mężczyźni zdążyli opaść na fotele.

– Jak ci poszło? – zapytał szeptem.

Miała na myśli spotkanie z Royem.

– Okropnie – odszepnęła. – Chcą, żebym została gospodynią programu.

Oczy rozbłysły mu za szklami okularów.

– Powiedział ci?

– Ty wiedziałeś?

– Nie zajmuję się tego rodzaju kontraktami, bo nie siedzę w prawie medialnym, ale Roy mi napomknął, że myślą o zmianie. Bardzo dobrze, Jamie. Będziesz świetną prowadzącą.

Była zszokowana, bo po pierwsze, wiedział o tym i słowem jej nie wspomniał, a po drugie, uważał to za dobry pomysł.

– Nie mogę się zgodzić, bo musiałabym zająć miejsce mamy.

Brad powinien to rozumieć. I powinien zaoponować, gdy ten temat wypłynął

w rozmowie z Royem.

- O Boże! Ojciec cię prosił, żebyś go poparł!
- Nie musiał. Uważam, że to dobra decyzja.
- Według ciebie mama nie sprawdza się w tej roli?
- Świetnie sobie radzi, lecz ty poradzisz sobie równie dobrze.

Jamie westchnęła z rezygnacją.

– Brad, nie mogę tego zrobić. To moja matka. No i czeka mnie planowanie wesela. – Ścisnęła go za rękę. – Przepraszam za rano. Mam na głowie tyle spraw.

Wzruszył ramionami.

– A jak tam nadgarstek Caroline? – zmienił temat.

– Dzisiaj już lepiej.

– Złożyłaś jej życzenia urodzinowe ode mnie?

– Ledwo zdążyłam sama je złożyć. Przez tatę nie miałyśmy dla siebie zbyt wiele czasu. Możemy pogadać później?

Skoro Royowi udało się nakłonić Brada, żeby starał się ją przekonać, to może jej uda się przeciągnąć go na swoją stronę. Poza tym mógłby jej podpowiedzieć, jak powinna rozmawiać z Claire i z Brianem.

– Co masz w grafiku na dziś?

– Mniej niż ty. O której ci pasuje?

O jedenastej przychodzili klienci dograć szczegóły projektu ich domu. Podczas lunchu miała rozmawiać o budżecie na renowację budynku biblioteki publicznej, a potem jeszcze pojechać na budowę jednego z banków. Musiała też gdzieś w tym wszystkim znaleźć czas na przejrzenie prezentacji w programie Revit do modelowania projektów i przesłać ją na ploter, żeby jutro zabrać ze sobą dwie kopie do Atlanty.

– Może o trzeciej? – Miała wtedy krótką przerwę. – Tu, u nas, na dole?

Na tyłach budynku znajdowało się spore patio, pomyślane głównie jako miejsce na ekspozycję projektów architektów krajobrazu. Czasami wykorzystywano je na spotkania z klientami, a pracownicy chętnie umawiali się tam na kawę lub na lunch. Co prawda będzie dzisiaj upał, lecz tam akurat mogli liczyć na cień. I co ważniejsze, na prywatność.

– W takim razie o trzeciej na patio – wyszeptał. Pocałował ją lekko i unosząc brew, posłał jej szelmowski uśmiech, jakby dawał do zrozumienia, że ona należy do niego, po czym wrócił do biura.

Ten pocałunek, uśmiech i wiara Brada, że będzie świetną gospodynią programu, powinny podnieść ją na duchu. A tymczasem wcale nie czuła ulgi, kierując się do schodów. Od samego początku powinien stanąć po jej stronie. Wiedział, jak wygląda jej życie i znał jej stosunek do matki. Powinien wszystko wziąć pod uwagę. Czy w ogóle o tym pomyślał?



## Rozdział 4



Caroline nie ruszała się z huśtawki na ganku. Co prawda to było jej ulubione miejsce, lecz nie zdarzyło się jeszcze, aby wylegiwała się całe przedpołudnie. Nigdy nie pozwalala sobie na taką beczynność... chociaż może... przytrafiło jej się coś podobnego, gdy dopadła ją grypa cztery lata temu. Rzadko chorowała, teraz też właściwie nie czuła się chora. Owszem, ból w nadgarstku dokuczał, ale gdyby to nie była prawa ręka, na pewno siedziałaby dziś w garażu zajęta pracą. Sezon *Gut It!* został zamknięty, nadal jednak czekało kilka zleceń. Większość wymagała precyzyjnego rzeźbienia, dlatego najwygodniej było robić wszystko w garażu. Miała tam najlepsze narzędzia, korzystne oświetlenie, no i swoją muzykę. Faceci, którzy z nią pracowali, lubili ostry rock. Ona wołała łagodniejsze, odprężające dźwięki.

Pełen relaks, tak właśnie określiłaby swój stan, pomyślała, nie otwierając oczu. Po wyjściu Annie zdrzemnęła się wyciągnięta na huśtawce i chociaż pocila się na słońcu, wcale nie miała ochoty się ruszyć. Ptaki, znużone szczebiotaniem, a może upałem, zamilkły i ciszę zakłócały jedynie odgłosy pracy robotników z MacAfee stawiających przybudówkę dwie ulice dalej. Dobrze znała te stłumione postukiwania młotków.

Otworzyła oczy zaskoczona innym hałasem gdzieś blisko.

Dean. Stał oparty dłońmi o barierkę, krzyżując w kostkach długie, gołe i owłosione nogi.

„Ciacho” mówiła o nim Jamie i wcale nie przesadzała. Niezły komplement dla mniej więcej rówieśnika Caroline. Wszystko w nim mogło się podobać: ciemne włosy rozwichrzone nad czołem, przyprószone siwizną baczki, cień zarostu na szczęce, muskularne ramiona i smukła sylwetka. Na co dzień chodził w dżinsach i w roboczych trzewikach, ale gdy skończyli pracę nad *Gut It!*, dżinsy i ciężkie buty poszły w odstawkę. Teraz był na tygodniowym urlopie. Nadal pozostał wierny czarnym górom, lecz dzisiaj T-shirt zastąpiła koszula zapinana na guziki. Z podwiniętymi rękawami, w wyprasowanych szortach khaki stał nad Caroline i patrzył na nią z rozbawieniem.

Miała ochotę go zbesztać, lecz czuła się na to zbyt ociężała. Poza tym on był dla niej jak brat – po co marnować energię?

– Dean, to niezbyt miłe – stwierdziła jedynie.

– Co? – zapytał z niewinną miną.

– Przyglądać się komuś, gdy śpi i nic o tym nie wie. Ile czasu tak stoisz?

– Niedługo. Jak się czujesz?

– Świetnie.

– I dlatego o tej porze śpisz.

– Odsypiam resztki znieczulenia. Nazwali to miejscową blokadą, ale chyba zaaplikowali mi tyle środka uspokajającego, że będę przez tydzień na zwolnionych obrotach. – Spojrzała na grubą warstwę gazy i kłosowy opatrunek z bandaża. W tym upale dłoń wydawała się jeszcze cięższa. – To taka sztuczka, żeby trzymać mnie z dala od roboty. Samo cięcie jest minimalne. – Wskazała na jego kolano. – Zdecydowanie mniejsze od tego. – Szrama miała z osiem cali; pamiątka sprzed paru lat po pile, która wysliznęła się z ręki nieudolnego praktykanta. Zazwyczaj zakrywały ją spodnie. – Nadal wygląda paskudnie.

– Nie sądzisz, że dodaje mi atrakcyjności?

– Niewątpliwie – przytaknęła kpiąco, choć było w tym trochę prawdy.

Blizna pasowała do wizerunku twardego faceta, który większą część życia spędza na dworze. Zresztą nie była jedyna; nad brwią biegła mu cienka biała kreska, mały palec u ręki nie do końca się zginał i w ogóle miał sporo śladów po skaleczeniach w miejscach, których robocze ubranie nie chroniło podczas pracy. Większość ludzi nie zwracała na nie uwagi. W końcu mężczyźni nie mają takiej gładkiej skóry. Między nim i Caroline trwało coś w rodzaju swoistej konkurencji. On demonstrował jej swoje rany, ona chwaliła się przed nim swoimi.

– Nadal wygrywam – zaznaczył.

– Tylko dlatego, że szarżujesz. Ja jestem ostrożna.

– Brawura nie ma tu nic do rzeczy. Ja uczyłem się zawodu na zasadzie prób i błędów. A ty od ojca, mistrza stolarskiego, który wobec ciebie był bardzo opiekuńczy.

Pod tym względem jej się poszczęściło i nie tylko jeśli chodzi o naukę. Kochała oboje rodziców, lecz z ojcem łączyły ją szczególne więzy.

– Myślisz o nich? – zapytał nieśmiało.

O rodzicach, w swoje urodziny? Jasne. Była tak zwanym późnym dzieckiem, „naszym małym cudem”, jak mawiała matka. Oboje, jakby na dowód tego cudu, dożyli prawie osiemdziesiątki.

– Byli z ciebie dumni. Uwielbiali oglądać program.

– To nie do końca tak. – Caroline uśmiechnęła się smutno, pamiętając telefony po emisji wczesnych odcinków *Gut It!* – Mama myślała, że to reklama, a tata, cóż, tata rozpoznawał mnie przez rok czy dwa, a później przestał kojarzyć. Jego umysł... – Machnęła ręką w nieokreślonym kierunku i jakby chciała szybko powrócić do terażniejszości, zatrzymała wzrok na stopach Deana. Był w japonkach. Wyjrzała na ulicę. Z tego miejsca widziała jedynie kawałek budy ciężarówki, resztę zasłaniała balustrada. – Nie przyjechałeś na motorze? – Jego namiętnością był harley. Nie rozstawał się z nim, gdy miał wolne.

– Za gorąco.

Za gorąco. No tak. Podciągnęła się na huśtawce, spuściła nogi, wyprostowała plecy i zdrową ręką otarła czoło. Nie ona jedna się pocila. Opalona skóra Deana też lśniła od wilgoci. Naturalnie jemu nie ujmowało to uroku. I gdzie tu sprawiedliwość?

– O mało nie przyniosłem ci kwiatów. Dobrze się stało. – Zerknął na stolik. – Jak na pogrzebie.

Przyszły cztery bukiety, w tym dwa od ludzi, którzy nie mieli prawa wiedzieć o jej ręce.

– Moja córka nie umie trzymać języka za zębami. Chociaż intencje ma dobre. Tak samo jest z tobą; mówiłam ci, żebyś nie odwoływał wyjazdu.

Miał jechać do Montany, połowić ryby na muchę, tak przynajmniej mówił.

– Niczego nie odwołałem. Po prostu przesunąłem o dzień.

– A tak szczerze, z kim się tam umówiłeś? – droczyła się z nim jak zwykle, a on, też jak zwykle, odpowiedział kpiącym uśmiechem.

– I tak nie znasz.

– A więc z tym starym pobrużdżonym facetem, który prowadzi interes do łowienia na muchę.

– Nie nabijaj się z niego. To prawdziwy skarb. Zjadł zęby na łowieniu w Big Hole River i wie, gdzie są najlepsze pstrągi. Dzień w dzień wywozi mnie łódką z samego rana i odbiera wieczorem.

Zabrzączał telefon Deana. Wyjął go z kieszeni i przeczytał esemes.

– Hick Weston źle obliczył długość rur potrzebnych do domu na Smithfield. Są-w-dro-dze – sylabizował na głos, pisząc odpowiedź, i wpuścił komórkę do kieszeni. – Spędzę ten tydzień jako samotnik.

Wierzyła, że tak właśnie będzie. Gdy był żonaty, regularnie jeździł do Montany i nigdy nie kombinował. Teraz, trzy lata po rozwodzie, te wyjazdy na ryby pomagały mu uciec od myśli o kobiecie, która go porzuciła i razem z ich, wtedy jedenastoletnim, synem wróciła do rodzinnego miasta, gdzie błyskawicznie nawiązała romans z dawnym szkolnym kolegą i została jego żoną.

Dean czuł gniew i cierpiał z powodu braku kontaktu z synem; właściwie do dziś nie otrząsnął się po tym dramacie, o czym, oprócz Caroline, niewiele osób wiedziało. Mogło jej się nie podobać, że on woli psy od kotów i ubiera się na czarno, ale wiedziała, że jest dobrym człowiekiem. Skoro łowienie ryb go kręciło, niech je sobie łapie.

Pochyliła się i zsunęła z huśtawki.

– Dokąd się wybierasz? – Przytrzymał ją za ramię, zanim dotknęła stopami posadzki.

– Do łazienki – fuknęła rozbawiona. – I nie, nie potrzebuję pomocy.

Wycofał się z uniesionymi rękami.

– Dobra, poddaję się. A co powiesz na lunch?

Caroline rozbłysły oczy na widok wiele mówiącej torby przy drzwiach.

– Czy tam jest to, co myślę?

Marynowana pierś z kurczaka na włoskim chlebie z serem Boursin, plastrami pomidorów i sałata. Specjalność serwowana U Fiony w porze lunchu. Caroline mogłaby to jeść codziennie, o czym Dean dobrze wiedział, bo często razem tam zaglądali. On nie zamawiał kurczaka z Boursinem. Wolał pieczeń wołową lub szynkę z twardym, dojrzałym cheddarem o wyrazistym smaku.

– Czyż mógłbym ci w urodziny przynieść coś innego? – zapytał i machnięciem ręki wskazał jej łazienkę.

Kiedy stamtąd wyszła, on akurat wyłonił się z kuchni, balansując tacą z talerzami, butelkami z wodą i papierowymi serwetkami. Po drodze kończył przeżuwać coś, co pewnie uszczknął z zapasów Jamie.

– Aha, znalazłeś babeczki.

– Uhm. – Przełknął ostatni kęs. – Zapytałbym cię, gdzie wolałabyś jeść, ale chyba na werandzie jest najchłodniej. Potrzebna ci klima, skarbie.

Puszczając tę uwagę mimo uszu, wzięła jedną z przyniesionych przez niego butelek i łyknęła dwa tylenole. Ustawiła butelkę na oparciu ławeczki, potem lewą ręką odgarnęła z szyi pasmo wilgotnych włosów i wsunęła je w kok. Dopiero teraz usiadła i odebrała od niego talerz.

Dean przysunął biały pleciony fotel, kupiony w komplecie z ławeczką. Był na tyle obszerny, aby wysoki mężczyzna nie wyglądał w nim groteskowo. Dean towarzyszył Caroline przy kupowaniu zestawu ogrodowego i przymierzył się do fotela już w sklepie. Rozsiadł się teraz wygodnie, wyciągając przed siebie długie nogi.

Caroline przymknęła oczy i ugryzła kanapkę. Pierwszy kęs zawsze smakował najlepiej.

– Uhm, pychota. *Gracias, amigo.*

– *De nada.* – Podał jej serwetkę. – Kto cię dziś nawiedził?

– Allison. Przyniosła róże od Thea. A potem zajrzeli Rob i Diana. – Małżeństwo LaValles, których dom pokazali w ostatnim odcinku *Gut It!* – Poznajesz te azalie? Są z krzaków uratowanych przez Annie. Wpadła też na chwilę Jamie.

– Teraz, gdy nagrania skończone, wyskoczą dokądś razem z Bradem?

– Wątpię. Jest zawałona praca. Musi też zająć się planowaniem wesela.

W ciszy, jaka po tych słowach nastąpiła, niespodziewanie jej nadgarstek przeszył ból. To było jedno ostre dźgnięcie, jakby odbicie tąpnięcia serca na przypomnienie o ślubie.

– Co o tym myślisz? – zapytał cicho Dean.

Zaskoczył ją, bo chociaż nie było między nimi tematów tabu, dotąd nie

podzieliła się z nim swoimi rozterkami.

Z nikłym uśmiechem i z nieznacznym wzruszeniem ramion odparła, że nie ma prawa urządzać życia dorosłej córce. Kolejny raz usiłowała dociec, skąd u niej ta niechęć do Brada. Jamie mogła trafić zdecydowanie gorzej.

– Chcesz, żebym skoczył po harleya? Przewietrzyłabyś umysł.

– Dzięki, ale nie skorzystam. – Harley ją przerażał. – Mój umysł ma się całkiem dobrze. Zapewniam cię, że nie drę szat z powodu ich związku. – Czowała niepokój tylko wtedy, gdy wypływał temat ślubnych planów. Potem się uspokajała.

Ponownie brzęknął telefon Deana. Tym razem dzwonił kierownik z jednej z budów w sprawie wadliwego okna połaciowego, lecz Dean już zdążył tę sprawę załatwić. Po krótkiej wymianie zdań komórka z powrotem wylądowała w kieszeni i na werandzie zapanowała cisza. Zakłócił ją dopiero warkot silnika zbliżającego się samochodu. Na podjazd wtoczyła się furgonetka z kolejną dostawą.

– Komu jeszcze ona powiedziała? – jęknęła Caroline.

Bukiet był olśniewający – białe kalle, niebieskie ostróżki i soczyście zielone przybranie.

*Kuruj się szybko. Nadal jesteś naszym mistrzem stolarskim*, przeczytała na bileciku. Rzuciła Deanowi spojrzenie spod ściągniętych brwi.

– Hmm. Dziwne. To od naszego kamerzysty. Teraz widzisz, dlatego nie chciałam nikomu mówić. Wygadaj się przed jedną osobą, a wieść pójdzie w świat. Och, Dean, komu powiedziałeś? – spytała na widok jego zmieszanej miny.

– Tylko Mike’owi. – Michael O’Shay prowadził jedną z firm elektrycznych współpracujących z MacAfee.

Zrezygnowana, opuściła ramiona.

– Co w tym złego, że ludzie wiedzą? – zapytał.

– Nie wiem... – szukała odpowiednich słów. – Czuję się słaba. Zdarta.

– Nic podobnego. To tylko pokazuje, jaka z ciebie twardzielka. Wykonujesz robotę, z którą większość mężczyzn nie dałaby sobie rady. Ten nadgarstek to kontuzja wojenna.

– Kontuzja wojenna – powtórzyła z powątpiewaniem.

Odgryzł kęs kanapki, przeżuł go i połknął.

– Jesteś przewrażliwiona, bo masz urodziny.

– Wcale nie. Nie mam z tym problemu. Lubię swoje życie.

– Wiesz, Mike to porządny facet. Poprosiłem go, żeby dyskretnie nad tobą czuwał, kiedy mnie nie będzie, a ponieważ wszyscy wiedzą, jaka jesteś niezależna, musiałem mu podać powód.

– Nie mogłeś coś zbujać? – spytała potulnie.

Dean milczał. Nie, on nie potrafił kłamać. To była jego najlepsza, a czasem najgorsza cecha. Czy jej się to podobało, czy nie, zawsze wiedziała, co on myśli.

Natomiast jedna rzecz bardzo jej odpowiadała. Deanowi nie przeszkadzała

cisza i nie starał się jej na siłę wypełnić, gdy nie miał nic do powiedzenia, co w tej chwili było szczególnie cenne. Brała ją senność. Niewątpliwie przyczyniały się do tego upał i świeżo przebyty zabieg. W połowie jedzenia straciła apetyt.

– Mam to zawinąć? – Wskazał niedojedzoną kanapkę, kiedy dokończył swoją.

Kiwnęła głową, a on wstał, pozbierał talerze i odniósł je do kuchni. Po chwili wrócił z babeczką dla niej. Sam też jedną jadł, a drugą trzymał w ręce. W tej samej chwili pod dom zajechała furgonetka. Dean potarł dłonią zarost i rzucił jej spłoszone spojrzenie, zanim zbiegł po schodach, wychodząc na spotkanie dostawcy. Bukiet był ogromny. Na werandzie podsunął go Caroline, żeby mogła wyjąć bilecik.

*Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, przeczytała. Jesteś nieoceniona.* Uśmiechnęła się.

– Miłe. To od Briana i Claire.

Dean, unosząc brwi w niemym pytaniu, ruszył z kwiatami w stronę stołu.

– Może do salonu? – zasugerowała.

Zniknął w środku z trzaskiem drzwi z metalowej siatki.

– Masz ochotę na Scrabble? – zawołała, słysząc zbliżające się kłapanie japoniek.

– Nee. – Wszedł na werandę. – Zawsze wygrywasz. No i muszę się zbierać.

– Znowu metalicznie szczęknęły siatkowe drzwi.

– Jamie przyniosła surową taśmę. Może chcesz obejrzeć?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Mam wolne. – Przyjrzał się jej uważnie. – Hej, Caro! Dzisiaj leniuchujesz.

Wiem, jak kochasz Facebook, ale w MacAfee nie płacą człowiekowi za śledzenie wpisów. Marketing to nie twoja działka.

– Racja – przyznała. – Roya.

– I uprawianie jej tuż pod jego nosem sprawia ci frajdę.

Rozbawił ją.

– Lubię cię, Dean. Rozgryzłeś mnie. – Nagle coś sobie przypomniała. – Rany. Gdzie ja mam głowę? Jak ci poszło w Portland?

Był tam wczoraj. Przygotowanie budowy wymaga sporo czasu i dlatego planowaniem wiosennych odcinków *Gut It!* należało się zająć jeszcze w trakcie kręcenia sezonu jesiennego. Zdecydowali się na renowację i przebudowę domu nad morzem na Cape Elizabeth. Jamie na razie przygotowała część planów, Dean, mając już ogólną koncepcję, pojechał się rozejrzeć wśród miejscowych podwykonawców.

– Mam parę namiarów, ale trudno o kobiety. Moglibyśmy zatrudnić nasze panie, lecz lepiej dogadać się z miejscowymi firmami, bo mają swoje układy, co bywa pomocne, gdy trzeba się zmagać z terminami w przypadku opóźnień

z powodu pogody. Poza tym autochtoni dodają kolorytu.

Mówiąc o kolorycie, miał na myśli lokalny akcent i Caroline musiała przyznać mu rację. Ich podwykonawcy przeważnie mówili z bostońską intonacją, mieszkańców Maine poznawało się po charakterystycznym zaśpiewie.

– Praca przy tym projekcie da nam dużo radości – orzekła. – To zupełnie coś innego od tego, co zazwyczaj robimy.

Mieli się zająć niedużym zabytkowym domem, należącym do małżeństwa, któremu po wyprowadzce dorosłych dzieci zależało na zmniejszeniu metrażu. Akurat gdy Jamie zdążyła przeprojektować dom, dwaj synowie tych państwa postanowili wrócić w rodzinne strony i stąd wzięła się konieczność rozszerzenia inwestycji o adaptację na mieszkanie zabytkowej wozowni. Ta niespodziewana zmiana wywołała lekką panikę, nie mówiąc już o tym, że dołożyła pracy Deanowi. Niemniej cały projekt zapowiadał się ciekawie.

– Nie bardzo rozumiem, czemu Millerowie nie chcą mieszkać pod jednym dachem z dziećmi – rzucił Dean nieco zde gustowanym tonem, splatając ramiona na piersi.

– Mieszasz dwie rzeczy: własne pragnienie bycia bliżej Renniego z oczywistym faktem, że większość rodziców dorosłych dzieci chce mieć trochę prywatnej przestrzeni dla siebie.

Kontakty Deana z czternastoletnim Rennym nie należały do najłatwiejszych. Chłopak od trzech lat mieszkał w Marylandzie. Miał tam nową rodzinę, nowych kolegów i szkołę. Dean znał się na footballu, Renny wołał lacrosse. Czasy wspólnego budowania z klocków Lego dawno minęły. O ile Dean zdążył się zorientować, najlepszym przyjacielem syna był teraz iPad.

Caroline rozumiała zarówno rozgoryczenie przyjaciela, jak i podejście Millerów.

– Oni są na innym etapie życia. I wiem, o czym mówią. Kocham Jamie, lecz nie chciałabym mieszkać z nią pod jednym dachem. Zwłaszcza po tych ostatnich kilku latach, zanim się na dobre wyprowadziła. Jej rzeczy były porozciągane po całym domu. Wszędzie walały się książki, kluczyki, frotki do włosów, torebki, markery, różne elektroniczne gadżety i na wpół opróżnione butelki z wodą. U siebie w sypialni trzymała porządek, a wspólna przestrzeń? Szkoda gadać. Zupełnie jakby znaczyła terytorium po każdym powrocie ze szkoły.

Dean nie wydawał się przekonany.

– Nie łatwiej byłoby im kupić większy dom?

– A wtedy, gdzie nasza rola? Pociąga mnie ten projekt. – Wiedziała, o czym on myśli. – Bądź cierpliwy. Jak Ronny trochę podrośnie, zacnie do ciebie przyjeżdżać. Zobaczysz.

– To nie to samo.

Pewnie, że nie. Dean często jeździł do Marylandu, lecz był obserwatorem,

a nie uczestnikiem życia własnego dziecka. Tak, to rzeczywiście nie to samo. I żadne gadki Caroline o tym, że ich relacje z czasem się zmieniają, nie mogły tu pomóc.

Znowu odgarnęła wilgotne kosmyki z szyi, które uparcie wysuwały się z koczka. Ta lewa ręka była do niczego.

– Powinienem cię uczesać, zanim pójde – mruknął Dean. – Zrobić porządek z tym wronim gniazdem.

– Piękne dzięki – jęknęła.

– Hej, żartowałem. Ślicznie wyglądasz.

Zaskoczył ją tym komplementem. Chyba nie do końca potraktowała go serio, a jednak sprawił jej dziwną przyjemność.

Dean otrząsnął się z melancholii. Westchnął głęboko i odepchnął się od barierki.

– Szkoda, że nie lubisz łowić ryb. Mogłabyś zabrać się ze mną.

Myśl, że kto wie, może w innym życiu dałaby się namówić, zakłóciło poszczekiwanie w ciężarówce. Powinna odgadnąć, że w kabinie czeka Champ. Dean zaparkował samochód z opuszczonymi szybami w cieniu pod drzewem. Wiedział, że nie może wprowadzać psa do jej domu. Niemiecki owczarek kilka razy tak zestresował koty, że kryły się po kątach już na sam ślad zapachu Deana. On natomiast darzył swojego psa ogromną miłością.

– Biedak. Kto się nim teraz zajmie?

– Sąsiedzi. Też mają wilczura. Champowi będzie tam dobrze.

– Jaki rzewny ton.

– No wiesz, on, tak jak ty, jest moim przyjacielem. – Pochylił się i muskając jej policzek zarostem pachnącym mydłem, szepnął do ucha: – W zamrażalniku masz litrowy pojemnik lodów jogurtowych.

– Moose Tracks? – spytała przejęta.

– Ummm.

– Moje ulubione.

Poczuła na policzku jego uśmiech.

– Tak mi się zdawało.

Wyprostował się, cofnął i zbiegł po schodkach.

– Potraktuj to jako gałązkę oliwną. Kupiłem tamten dworek na wsi.

Tak ją zaskoczył tą rewelacją, że na moment odebrało jej mowę.

– Oj, nie. Nie, nie!

– Klamka zapadła! – odkrzyknął, oddalając się ścieżką długimi krokami.

– On stoi na takim pustkowiu! – wołała za nim, wychylając się z huśtawki. – Będziesz miał kłopoty z wodą, podział gruntu jest niejasny, ciężko tam dojechać i...  
– podniosła głos, kiedy się nie zatrzymał – ...żeby pozbyć się mrówek, będziesz musiał wypalić wszystko do gołej ziemi! Dean, po co ci ten dom?! W życiu go nie



sprzedasz, to nie ma sensu.

Na nic się zdały te pokrzykiwania, bo on już wszedł do ciężarówki i zapuścił silnik. Kiedy odjechał, chwyciła za komórkę. Podtrzymując ją zabandażowaną ręką, lewą usiłowała wystukać esemes. Trwało to dłużej niż zwykle i wielokrotnie kasowała litery. W końcu się udało. *To wielki błąd*, napisała.

*Dziękuję, mamusiu*, odpisał. *Bądź grzeczna, kiedy mnie nie będzie.*

## Rozdział 5



Jamie do południa nie dostała odpowiedzi od Claire Howe. Nagrała się ponownie na jej pocztę i wysłała wiadomość do Briana Levitta. Szalała z niepokoju, bo brak kontaktu z ich strony wyglądał na uniki. Jej zdenerwowanie rosło wraz z upływem czasu, bo im szerzej pogłoska o zamiarze zmiany prowadzącej obiegnie stację, tym mocniej zrani Caroline, gdy w końcu do niej dotrze. Bała się, że ktoś z ekipy może szepnąć słówko komentatorowi z „The Boston Globe” i cały świat przeczyta te bzdury w jutrzejszym wydaniu.

Przetrwiała spotkanie połączone z lunchem i pojechała na budowę banku. Od razu zauważyła, że to, co na planach tak dobrze się prezentowało, w rzeczywistości nie przynosiło zamierzonego efektu, a więc czekało ją wprowadzenie poprawek w projekcie. Problem niewielki, lecz Jamie źle znosiła najmniejsze nawet porażki.

Potrzebowała Brada, bardzo chciała z nim porozmawiać. Zgrzana, dotarła do ławki na patio, gdzie już na nią czekał. I tu powietrze zdawało się nieruchome. Rozpaczliwie liczyła na jego wsparcie, gotowa zapomnieć, że wiedział o planie zmiany prowadzącej, zanim jeszcze ona go poznała. Jednak, kiedy zwrócił się do niej słowami: „Witaj, gwiazdo telewizji”, jej nadzieja przybladła.

– Posłuchaj – zaczęła ostrzegawczo. – Lepiej powiedz, że żartujesz, bo jak sam wiesz, ja w tej chwili tego nie chcę, i jak również dobrze wiesz, Caroline świetnie sprawdza się w tej roli.

– Wiem tyle, że będziesz wspaniałą gospodynią programu. – Nawet się nie zająknął, patrząc na nią szarymi oczyma zza szkieł okularów. – Im dłużej o tym myślę, tym bardziej mi się ten pomysł podoba.

Nie tak miała wyglądać ich rozmowa. Po kolei zbijała jego argumenty, przeciwstawiając swoje.

– A co z mamą? – zapytała w końcu.

– Miała swoje pięć minut, teraz twoja kolej – usłyszała.

Może ta jego wiara w jej możliwości oraz lojalność sprawiały jej przyjemność, lecz tu chodziło o coś ważniejszego, bardzo osobistego. Caroline będzie zrozpaczona. Usunięta na boczny tor z powodu wieku przez własną córkę! Jamie nie mogła pojąć, że to do niego nie dociera.

Nie, on nie ujmie się za nią u Roya, tak jak nie stanął po jej stronie na samym początku.

Ojciec już odkrył karty i mogła jedynie się z nim pokłócić, czego zdecydowanie nie chciała.

W tej sytuacji ostatnią deską ratunku mógł okazać się dziadek.

\*

Theo MacAfee mimo swoich osiemdziesięciu dwóch lat zachował umysł czterdziestolatka. Gorzej natomiast było z jego zdrowiem. Rwały go stawy kolanowe oraz biodra, cierpiał na bóle kręgosłupa i męczyły go ataki kaszlu. Za każdym razem, gdy Jamie z przerażeniem patrzyła, jak dusi się, kaszłając, słyszała: „Byliśmy wtedy młodzi i głupi. O niczym nie mieliśmy pojęcia”. Zupełnie jakby się usprawiedliwiał. Na szczęście problemy oddechowe nie rozwinęły się w raka płuc. Parę lat wstecz, po pojawieniu się zmian na skórze, podejrzewano u niego czerniaka. I tu też można by mówić, że sam sobie był winien, bo przecież uczył się fachu, pracując na budowach. Jak uniknąć słońca, stawiając domy? Ponadto miał skłonność do szarżowania. Jeszcze niedawno potrafił w przypływie irytacji wdrapać się na drabinę, żeby pokazać fachowcowi, jak się prawidłowo montuje oblicówkę.

Był perfekcjonistą. Jamie zapewne po nim odziedziczyła tę cechę. Łatwo wpadał w gniew na widok fuszerek i bez ogródek mówił, co myśli. Jednak pod tą krewką naturą kryło się gołębie serce. Rodzinę traktował życzliwie.

Właśnie na tę życzliwość Jamie w tej chwili liczyła.

– Znajdziesz dla mnie chwilę? – spytała, wsuwając głowę w drzwi gabinetu. Na widok dziadka poczuła nerwowe ssanie w żołądku. W dzieciństwie był w jej oczach wysoki i potężny. W miarę dorastania ten obraz się zmieniał, a teraz Theo wydawał jej się wręcz kruchy.

Nie uśmiechnął się na przywitanie, ale oczy mu pojaśniały.

Theo był starszą, żyłastą wersją Roya. Jego siwa czupryna dopiero zaczynała się przerzedzać, a wodniste oczy zachowały bystry wyraz. W ostatnich latach wreszcie zrozumiał, że nie może mieszać się do pracy elektryków na budowie, zmienił kombinezon na marynarkę i krawat, przy okazji dostosowując maniery do stroju.

Zaczął powoli podnosić się z fotela. Jamie, żeby chronić jego chory kręgosłup, obeszła biurko, objęła go za szyję, posadziła z powrotem w fotelu i przykucnęła przy mahoniowym blacie tuż przy jego nodze.

– Moje dziecko, ja tu chcę ci gratulować, a ty masz taką minę, jakbyś straciła najlepszego przyjaciela – odezwał się ochryplym głosem, patrząc na nią uważnie.

– Może tak się stać. – Westchnęła. – A więc już wiesz o zmianie w *Gut It!*?

– Twój ojciec mi powiedział. Mówił, że to ustalone.

– Nieprawda.

– Podobno sama prosiłaś.

– O zajęcie miejsca mamy? Czemu miałabym coś takiego robić? Mama kocha tę pracę i świetnie sobie radzi. Dziadku, dobrze wiesz, że to nie jest dobre

posunięcie.

– Nie, nic takiego nie wiem – odparł spokojnie, oparł łokcie na oparciach fotela i splótł zniekształcone artretyzmem dłonie. – To brzmi logicznie. Producentom zależy na młodszej twarzy i twoja wygrała.

– A czy wiek nie ma pierwszeństwa przed urodą? Pamiętasz, kto tak zawsze mówił?

– Twoja babcia, niech spoczywa w pokoju, ale ona nie miała pojęcia o biznesie medialnym. Ja też się na tym nie wyznaję i dlatego polegam na zdaniu Roya. Dzisiejszy świat raczej nie działa według tamtej zasady.

Jamie ogarnęła rezygnacja.

– Czy po to teraz wypruwam sobie żyły, żeby, kiedy wreszcie zdobędę pozycję, odsunięto mnie na boczny tor z powodu zmarszczek? – Spojrzała na pooraną bruzdami twarz Thea. – Czy ktoś ci mówi, że powinieneś ustąpić, bo masz starą twarz?

– Nie. – Wygiął usta w ironicznym grymasie. – Firma należy do mnie, ja tu decyduję i na razie nie jestem gotów odchodzić.

– A jeśli mama też nie jest gotowa?

– Powiedziała ci?

– Nie. – Westchnęła. – Jeszcze nie wie. Liczę, że uda mi się to odkręcić, zanim się dowie. Będzie zdruzgotana. Pomyśl, jak byś się czuł, gdyby ktoś uznał, że jesteś za stary, aby robić to, co ci dobrze wychodzi.

– Prawdopodobnie ten ktoś miałby rację.

– Dziadku, ja mówię poważnie.

– Ja też, ale wszystko jest względne. Telewizja rządzi się innymi prawami, jeśli chodzi o wiek. Sam lubię popatrzeć na te blondyneczki w koktajlowych sukienkach, czytające wiadomości. Ops – mruknął skruszony, wznosząc oczy ku górze – nie chciałbym, żeby twoja babcia to usłyszała. Jednak rozumiem, czemu stacja woli ciebie. Roy jest taki dumny.

– Roy jest ślepy – zripostowała, wiedząc, że nawet jeśli przegięła, Theo złoży jej zapalczywość na karb młodego wieku. I na tym polega ironia! – Caroline go w ogóle nie obchodzi. Ale ty przecież bardzo ją lubisz. Zawsze stajesz po jej stronie.

– I tym razem też tak bym zrobił, gdybym uważał, że jej przyszłość od tego zależy. Ona jest kimś więcej niż zwykłym mistrzem stolarskim i – wybacz – gospodynią jakiegoś tam programu. Widzę ją w innej roli.

– Na planie?

– U nas w firmie.

– Co masz na myśli? – zaciekawiała się, bo Theo, chociaż cenił Caroline, nigdy nie wspominał, że widziałby ją na jakimś stanowisku.

Machnął zyłastą dłonią.

- Odłożmy ten temat na inną okazję.
- Dobrze. Ale dlaczego teraz odbierać jej to, co tak lubi? Wystarczyłby twój jeden telefon.
- O nie, nic z tego – burknął, potrząsając głową. – Mam dzwonić do któregoś z tych trzech osób, gdy już podjęły decyzję? Dziecko, nauczyłem się wygrywać bitwy. W tę nie wchodzę.
- Czemu? – Nie rozumiała, jak mógł po tylu latach stawania po stronie Caroline tak niespodziewanie ją zawieść. – Mama zawsze jest wobec ciebie lojalna.
- Zamknęła w dłoniach jego rękę. – Dziadku, porozmawiaj z tatą. Proszę. Albo z Brianem czy z Claire. Potrafisz ich przekonać.

\*

Theo pozostał nieugięty. Widziała, że ani prośbami, ani pochlebstwem nie skłoni go do zmiany zdania. Dziecko, nauczyłem się wygrywać bitwy. W tę nie wchodzę.

Czuła się coraz bardziej jak samotny wojownik. Dobrze, że Caroline nadal nic nie wiedziała. Kiedy przyjechała do niej zająć się kolacją, była w takim samym dobrym humorze jak rano. A więc jednak Roy dotrzymał słowa.

Upał nadal dawał się we znaki, postanowiła więc poprzestać na sałatce z homara. Żadnego stania przy garnkach. Kupiła sprawionego i ugotowanego homara i przyrządzenie sałatki nie powinno jej sprawić trudności. To ważne, bo łatwo coś spać, gdy się jest myślami gdzie indziej. Theo to Theo, ale Brad? Nie przestawała o nim myśleć, gdy kroić mięso na kawałki. Nie rozumiała, czemu on nie potrafił spojrzeć na sytuację z punktu widzenia Caroline. A właściwie rozumiała. On nie był blisko związany z rodzicami. Mieszkali w Minneapolis i nie ruszali się z domu. Jeden jedyny raz się z nimi spotkała. Przyjęli ją miło, mówiąc: „Och, jaka ładna dziewczyna”, lecz rozmowa się nie kleiła. Brad ani w dzieciństwie, ani później w okresie dorastania nie dzielił się z nimi myślami, nie mówiąc już o tym, że wspólne omawianie problemów w ogóle nie wchodziło w grę. U Jamie było inaczej.

Przygnębiona, wyjęła z lodówki majonez i przełożyła do miseczki. Brad wiedział, jak ważne miejsce w jej życiu zajmuje Caroline, ale jakoś jeszcze do niego nie dotarło, że liczy się nie tylko on. Z czasem to zrozumie. Niestety, w przypadku *Gut It!* tego czasu nie było!

Przekroiła cytrynę na pół, wycisnęła sok, wymieszała z majonezem i połała sosem kawałki kraba. Na dwie osoby sałatki wyszło trochę za dużo, ale na trzy byłoby za mało. Nie zaprosiła Brada.

Ciekawe, czy wyłączenie go z tej kolacji nie pogłębi dystansu między nim i Caroline, a w rezultacie wzbudzi w nim zazdrość, urazę, a może nawet niechęć. Według niej ten wieczór należał wyłącznie do matki i córki, bo od dawna tak

właśnie obchodziły urodziny Caroline. Och, chyba ponosi ją wyobraźnia.

Wzięła do ręki pomidora. Był okazały i pochodził z miejscowej uprawy. Musi go wydrążyć. Aż grzech tak po prostu wyrzucić miąższ. „Nie ma problemu”, pouczyła ją podczas zakupów jakaś kobieta stojąca obok niej nad skrzynką z pomidorami. „Środek można zużyć do salsy albo jeszcze lepiej do sosu bolognese”. Ale czy ona ma czas się bawić w robienie sosów? Walcząc z poczuciem winy, przecięła pomidor, wydłubała miąższ i wyrzuciła go do zlewu, po czym puste połówki napełniła sałatką. Ułożyła je na liściach sałaty masłowej i udekorowała marynowanymi grzybkami. Ze świeżą bagietką i kieliszkiem wina całość będzie prezentowała się imponująco.

Gdzie będą jeść? W salonie przy stole własnoręcznie zrobionym przez Caroline siedziałyby twarzą do wiktoriańskiej koronki babki i we wzorze widziałyby własne napięcie, a stolik na werandzie był zastawiony kwiatami. W końcu rozłożyły koc na trawie za domem, gdzie słońce już nie dochodziło i lekki wiatr chłodził powietrze.

Wyłączyła telefon, bo w tej chwili z nikim, poza matką, nie miała ochoty rozmawiać.

\*

Niestety, później musiała go włączyć. Gdy tylko ekran się rozjaśnił, odezwały się dzwonki spływających wiadomości. Postanowiła ich nie sprawdzać. Kolacja się udała. Pozwoliła uwolnić się od przykrych myśli. Niestety, teraz, gdy wracała od matki i światło mijanych latarni omiatało wnętrze auta, czuła, jak na powrót ogarnia ją niepokój.

Widok komórki nie pomógł, leżała niczym zwinięta żmija na siedzeniu obok. Przecinając centrum i później, wjeżdżając w nowszą dzielnicę, Jamie starała się nie zerkać na ekran. Część miasta, gdzie mieszkała matka, pochodziła z początku dziewiętnastego wieku, te domy zaczęto wznosić w połowie dwudziestego wieku na dawnych terenach rolniczych. Z mroku osiedle za osiedlem wyłaniały się najpierw skupiska parterowych domów w stylu ranczo, potem kolonialne wille i wreszcie kilkupiętrowe hybrydy obu tych stylów. Zbudowany przez MacAfee Homes apartamentowiec, w którym mieszkała, liczył osiem lat. Utrzymany w tradycji architektury Nowej Anglii, miał elewację z klinkieru i zakończony szczytami dach. Do każdego z dwupoziomowych segmentów należały osobny garaż i patio.

Zajechała przed swoje wejście, wyłączyła silnik i z ociąganiem sięgnęła po telefon. Nie ma sensu dłużej zwlekać. I tak już powróciły wszystkie problemy, poczynając od porannej rewelacji Roya, przez entuzjazm okazany przez Brada, po odmowę pomocy przez Thea.

Przejrzała spis wiadomości. Przewinęła służbowe i skupiła się na

prywatnych.

*Jak poszło?*, napisał Brad godzinę wcześniej. *Smakowały jej babeczki?*

Babeczki były jego prezentem urodzinowym i rzeczywiście obie z przyjemnością je zjadły, lecz nie to akurat powinno go w tej chwili obchodzić. Gdyby był z nią tu teraz, niewątpliwie doszłoby do poważnej rozmowy. Może więc jednak lepiej, że go nie ma.

*No*, wystukała kciukiem i puściła wiadomość.

Odpowiedź nadeszła po sekundzie.

*Żadnych problemów?*

Zawołane pytanie, niby nie na temat. Dobrze ją zna.

*Nie.*

*O której masz lot?*

6.58

*Na pewno nie chcesz, żebym cię odwiózł?*

*Nie ma potrzeby. Klient opłaca mi parking.*

*W porządku. Dobrego lotu.*

Siedziała w garażu, czując pustkę w środku po tej wymianie lakonicznych esemesów. A ty, Brad?, odezwał się uszczypliwy głos w jej głowie, zazwyczaj zarezerwowany dla ojca. Też odczuwasz dyskomfort?

Wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Esemes to tylko esemes. Jednak mógłby zadzwonić, skoro wie, że dotarła do domu. Albo poprosić, żeby ona do niego przekreśliła. Czy choćby się wysilić na dłuższą wiadomość. Czemu nie nalega, żeby odwiózł ją na lotnisko? Mieliby okazję porozmawiać, chociaż jak udowodniła dzisiejsza dyskusja o dacie ślubu, próba podejmowania poważnych tematów o piątej piętnaście rano może się źle skończyć.

Data ślubu. Ech, kolejny problem do rozwiązania.

Ale najpierw Roy. Też do niej napisał. Nawet kilka wiadomości. Nietrudno zgadnąć, o co może chodzić.

Chwyciła za torebkę i teczkę, zgarnęła czólenka, bo prowadziła boso, wysiadła z samochodu, weszła do domu i natychmiast rzuciła wszystkie rzeczy na szklany stolik w pasażu łączącym garaż z częścią mieszkalną. Nie chcąc dłużej zwlekać, otworzyła wiadomości od Roya.

*Właśnie dzwonił Theo*, napisał krótko po jej przyjeździe do Caroline. *Po co go w to wciągasz?* A godzinę później: *Powiedziałaś jej?*

Dochodziła dziesiąta. Ojciec, podobnie jak Brad, spał z telefonem przy łóżku, ale nie czuła się w tej chwili na siłach zajmować się dylematem *Gut It!* Wydarzenia dnia wyczerpały ją fizycznie i emocjonalnie, a musiała jeszcze zajrzeć do notatek na jutro. No i czekała ją pobudka o wpół do piątej.

Niestety, знаła Roya. Nie przestanie jej bombardować, dopóki mu nie odpowie.

*Właśnie przeczytałam, szybko wystukała. Rano lecę do Atlanty, wrócę późno. Porozmawiamy w sobotę.*

Wysłała wiadomość, podłączyła komórkę do ładowarki, położyła na stoliku i przeszła w głąb mieszkania już tylko z teczką i z butami w rękach.

Natychmiast odczuła ulgę. Hol przechodził w niedużą jadalnię, za którą znajdowała się kuchnia z aneksem jadalnym i ogromny pokój. Jamie urządziła całość w kremowej bieli, dodając tu i ówdzie piaskowe akcenty. Położyła teczkę na kuchennej wyspie, opadła na skórzaną sofę, oparła stopy na kamiennym blacie ławy i wsłuchiwała się w odgłosy domu.

Wszędzie panowała cisza. Po dwóch minutach wytchnienia zaczęły ją atakować echa dzisiejszych wydarzeń.

Chciała się do nich uwolnić, więc zerwała się z kanapy i boso weszła na piętro. Miała tam dwie sypialnie; jedną z nich przerobiła na gabinet. Oba pomieszczenia urządziła minimalistycznie, dobierając niskie, nowoczesne meble. Wszędzie panowała biel, tym razem w różnych odcieniach, poznaczona beżem w tonacji pustynnego piasku. Biała komoda w sypialni, mlecznobiała wykładzina w gabinecie, łagodząca nieco kliniczną biel biurka i fotela. Marmur w łazience też był biały. Kolor wprowadzały tylko nieliczne obrazy na ścianach. Duże, współczesne płótna z neutralnymi brązami, zielenią khaki i paletą błękitów. Nie umiałyby wyjaśnić, co jej się w tych obrazach podoba. Przy wyborze kierowała się intuicją. Każdy z nich, niezależnie od kolorytu, cechowała czysta forma i proste linie.

Zrzuciła ubranie i przebrała się w jedwabny T-shirt i takie same szorty, oddychając przy tym głęboko i powoli. Skupiona na oddechu, przeszła do łazienki i zmyła makijaż. Z rezygnacją patrzyła na piegi w lustrze. Miała swoje pięć minut, powiedział Brad o Caroline; ma pięćdziesiąt sześć lat, stwierdził Roy. A ja?, pomyślała. Piegowata dwudziestodwuletnia o wyglądzie dwunastoletniej smarkuli.

Postanowiła odpędzić natrętne myśli, przymknęła powieki i oparta dłońmi o marmurowy blat umywalki, oddychała rytmicznie, koncentrując się na ruchach przepony, brzucha i piersi. Naprawdę przydałaby się jej godzina z instruktorką jogi. Kiedyś chodziła na zajęcia dwa razy w tygodniu, teraz mogła sobie na to pozwolić jedynie w weekendy.

Pojutrze sobota. Do tego czasu jakoś wytrzyma.

W trochę lepszym humorze wyszczotkowała włosy, zwinęła je w koczek na czubku głowy, zeszła na dół i otworzyła teczkę. Przed wyjściem z biura zgarnęła do niej wszystkie dokumenty, jakie ewentualnie mogły się przydać na wyjeździe. Zaczęła je pedantycznie segregować. Zabierała ze sobą dwa komplety gotowych planów, spokojnie więc mogła zostawić w domu wykres bąbelkowy. Nie przydadzą się również kopie korespondencji mailowej z klientem. Natomiast na pewno



spakuje notatki z licznych spotkań z inwestorem dotyczących jego wizji i wymagań firmy, którą reprezentował. Przejrzy je podczas dwuipółgodzinnego lotu, żeby mieć wszystko na świeżo w głowie podczas prezentacji.

Włożyła notatki do teczki razem z wyceną przygotowaną przez Deana. Całkowity koszt przekraczał kwotę zakładaną przez klienta, czekały ją więc twarde negocjacje. W najlepszym razie wynegocjuje kompromis. W najgorszym inwestor zapłaci za to, co do tej pory zrobiła, i podziękuje za dalszą współpracę.

Licząc po cichu, że uniknie tej drugiej, przykrej ewentualności, zamknęła teczkę. Gdy kładła ją przy drzwiach do garażu, na ekranie komórki wyświetliła się informacja o nadejściu esemesa.

Na pewno Roy.

Nie miała ochoty na dalszą korespondencję. Weszła na górę przygotować ubranie na jutro. We wbudowanej w ścianę szafie z białymi zasuwanyimi drzwiami panował idealny porządek. Jedna część była przeznaczona na długie spodnie i sukienki, w drugiej przedzielonej w połowie wysokości wisiały spódnice i bluzki. Nadal niektóre z licznych szuflad, półek i przegródek na buty świeciły pustkami. Brad pomoże je zappełnić, jeśli się do niej wprowadzi. Oboje mieli mieszkania. Gdyby je sprzedali, byłoby ich stać na dom. Często snuli marzenia o kupnie domu.

Z drugiej strony, ona kochała to swoje mieszkanie. Pierwsze tak naprawdę własne.

Wybrała kostium w kolorze czekolady z niemnącej się cieniutkiej wełny merynosowej i jasną jedwabną bluzkę bez rękawów. Nastawiła budzik na wpół do piątej, zdjęła kapę z łóżka i wyciągnęła się na materacu z pilotem w ręce. Zazwyczaj nie oglądała wiadomości. Wolała czytać je wybiórczo, przewijane na monitorze komputera. Gdy włączyła telewizor, z niedowierzaniem spojrzała na ekran. „Sam lubię popatrzeć na te blondyneczki w koktajlowych sukienkach, czytające wiadomości”, zadźwięczały jej w uszach słowa Thea. Rzeczywiście. Obie prowadzące miały długie blond włosy i perfekcyjny makijaż. Były mniej więcej w jej wieku i niepokojąco przypominały lalki Barbie. Różniły się tylko sukienkami. Jedna była czerwona z bufkami, a druga fioletowa bez rękawków; jedna miała głęboki dekolt, wycięcie w drugiej odsłaniało zarys rowka pomiędzy piersiami.

Gdzie się podziały eleganckie garsonki? Dlaczego pod względem ubioru kobiety nie naśladowały mężczyzn, żeby zaskarbić sobie szacunek? Czemu nie rezygnowały ze stereotypu seksownej kobietki?

Czy Jamie wsłuchała się w treść wiadomości? Nie. Zapatrzona na dekolty, z niechęcią myślała o tym, jak nieodpowiedni jest taki strój do czytania dziennika o jedenastej wieczorem. Nie wyobrażała sobie, aby któraś z tych wyfiokowanych kobiet rzeczywiście zbierała informacje w terenie. To raczej nie należało do ich obowiązków. One miały jedynie je przekazywać.

Czy słowa padające z ust tych jej rówieśniczek brzmiały wiarygodnie? Nie. Owszem, przed kamerą czuły się w miarę swobodnie; gestykulowały i w odpowiednich momentach robiły smutne, zawiedzione albo radosne miny. Jednak czy były w stanie przekonać Jamie, że orientują się w bieżących wydarzeniach? Absolutnie nie.

Może inteligencja nie ma znaczenia, gdy teksty pisze ktoś inny. Właściwie wiodącym tematem, do którego prezenterki kilkakrotnie powracały, była pogoda. Upał i wysoka wilgotność utrzymają się przynajmniej przez kolejny dzień i do soboty nie należy spodziewać się burz, które mogłyby przynieść ulgę. Dla Jamie to była dobra wiadomość, bo wylatywała z samego rana, a wracała wieczorem.

Wpatrywała się w ekran z chorobliwą fascynacją. Uroda przed wiekiem, orzekł Theo. Być może tutaj to działało, lecz w przypadku *Gut It!* nie mogło się sprawdzić.

Czy aby na pewno? Może Brian i Claire widzieli ją w roli gospodyni programu tylko dlatego, że była młodą atrakcyjną kobietą? Niekompetentnym substytutem, takim jak te prezenterki? Jeżeli takie zdanie mieli na jej temat, to znaczy, że jej osiągnięcia się nie liczyły, przynajmniej nie w przypadku *Gut It!* Po prostu wybór padł na nią ze względu na jej wiek, i to kosztem matki, którą z kolei spotkała kara za jej lata.

To wszystko nie ma sensu. Caroline jest doświadczoną prowadzącą i wie, o czym mówi. Nawet uśmiechnięta zachowuje godność, której tak bardzo brakuje tym dwóm na ekranie.

Dziennik się skończył i rozdrażniona Jamie nie miała ochoty dłużej wsłuchiwać się w głosy w swej głowie. Pamiętając, że za pięć godzin czeka ją pobudka, puściła powtórkę *Amerykańskiego Idola* i zasnęła ukołyszana muzyką.

\*

Krótko po wschodzie słońca była już w drodze na lotnisko. Rzeczywiście znalazła w komórce nowe wiadomości od Roya i Brada. Pomięła je. Przeczytała jedynie podziękowanie Caroline za kolację urodzinową i kilka esemesów od klientów z pytaniami o projekty. W samolocie wyłączyła telefon. Chwilę później leciała już do Atlanty, nieświadoma tragedii, która wkrótce rozegra się w domu.

## Rozdział 6



W piątek rano Caroline zadzwoniła do sklepu firmowego MacAfee. Siedziała na łóżku pośród rozłożonej pościeli w kolorze cyklamenu zarzuconej gazetami. Prosto z kąpieli ulokowała się pod sufitowym wentylatorem, żeby chłodnym powiewem dosuszyć skórę.

– McGinn. – Głos kierownika sklepu zagłuszał przeraźliwy zgrzyt piły stołowej.

– Cześć, Brady. Tu Caroline. Przyszły już te dyble dla mnie?

Chodziło o kołki do połączenia blatu z nogami kozła z białego dębu, który akurat robiła. Te metalowo-drewniane elementy stanowiły nowość na rynku i sklep ściągał je na indywidualne zamówienie.

– Poczekaj, niech sprawdzę.

Na kilka minut w słuchawce zapadła cisza. W tym czasie koty rezydujące na piętrze dołączyły do Caroline na łóżku. Biskit, najmłodszy, wachlował ogonem po gazecie, a pieszczocha, Anne Marie, wyciągnęła się wzdłuż jej uda.

– Nie widzę ich – usłyszała w słuchawce, gdy gładziła kotkę po rudopomarańczowym futrze. – Powinny już przyjść. Mam sprawdzić, co się dzieje?

– Nie zaszkodziłoby. Dzięki, Brady. Co tam słyhać?

– To co zawsze. Norris i Watts obrabiają prefabrykaty do domu Connollych. Turino przycina deski na taras.

– Nie na budowie?

– Mówi, że tam za gorąco. Ja wolałbym siedzieć na dworze. Tutaj też duchota.

Wyobraziła to sobie z łatwością. Jej dom z każdą mijającą godziną zdawał się absorbować coraz więcej wilgoci. Wszystkie sufitowe wentylatory pracowały na najwyższych obrotach, lecz jedynie miały ciężkie powietrze. Dzień był ospały, dobrze, że nie miała w planach żadnych żmudnych zadań w rodzaju pracy z dłutem przy drewnie tekowym. Nadgarstek nadal poboлеwał.

Mogła jednak pozalać telefony. Zadzwoniła jeszcze w parę miejsc, potem wydobyła się spomiędzy kotów, nałożyła biały podkoszulek oraz dzinsowe szorty i boszo zbiegła po schodach. Parter wypełniał duszący zapach róż. Być może wyrzuciłaby je, gdyby nie były od Thea.

Nalała sobie mrożonej herbaty, podciągnęła stołek do kuchennego blatu i włączyła laptop. Po minucie zaczęły ładować się maile. Jeden dzień z wyłączonym komputerem i skrzynka zdążyła się zapchać. MacAfee zatrudniali

informatyka do monitorowania *Gut It!*, który przekierowywał posty z Facebooka i pytania do członków obsady, a także wklejał odpowiedzi. Caroline, jako gospodyni programu, dostawała najwięcej maili. Dlatego sama odpowiadała na wszystkie, poza tym sprawiało jej to przyjemność.

Dzisiaj między innymi pytano ją, jak zakonserwować blok rzeźnicki, wkomponować piętrowe łóżko we wnękę w ścianie szczytowej, wymienić starą poręcz przy schodach. Gdy przeglądała korespondencję, Master zaczął znacząco ocierać się o jej nogi. Podniosła go i posadziła sobie na kolanach, co ze względu na chorą rękę i wagę kota wcale nie było proste, a on w podziękowaniu szturchnął ją puszystym szarym łebkiem w podbródek, powiercił się chwilę w poszukiwaniu wygodnej pozycji i znieruchomiał zwinięty w kłębek.

Jak odnowić deski z rozebranej stodoły? Od tego pytania zaczęła. Poza sporadycznymi ukłuciami w okolicy rany pisanie nie sprawiało jej bólu. Przeszkadzał unieruchomiony bandażem kciuk i opatrunek na nadgarstku, którym co chwila trafiała w klawisz spacji.

Nadal zdarzało jej się dziwić, że tak polubiła tę część swojej pracy. Urodzona i wychowana w stolarskiej rodzinie, zawsze widziała siebie w warsztacie z narzędziami w ręce. A teraz doszło jeszcze to: doradzała, dzieliła się wiedzą z ludźmi, którzy potem wykorzystywali jej doświadczenie w dobrym celu. Życie hojnie ją obdarza.

Zadzwiezczał gong u drzwi. Zsadziła Mastera z kolan i wyszła z kuchni. Za drzwiami z metalowej siatki stała Claire Howe.

Producentce nie spodoba się mój strój, to była pierwsza myśl, jaka Caroline przyszła do głowy. Ta kobieta przeważnie kręciła nosem na jej gust. Jakby sama była nie wiadomo jaką elegantką. Wysoka i chuda, w źle dopasowanych spódnicach i w bluzkach wymykających się spod paska wyglądała niedbale. No i te adidas! Każdy wie, że do spódnicy wkłada się płaskie buty albo pantofle na małym obcasie.

Claire nie musiała podkreślać swojej pozycji ubiorem. Jej tubalny głos budził respekt, nie mówiąc już o sposobie, w jaki patrzyła na ludzi. Ona prawie w ogóle nie mrugała! Caroline to groźne spojrzenie nie deprimowało, lecz wielokrotnie na planie musiała podnosić na duchu współpracowników zranionych obcesowym zachowaniem producentki.

Na szczęście w tej chwili nie znajdowały się na planie. Tutaj Caroline była u siebie.

– Claire! Cześć! – Uśmiechnęła się i otworzyła drzwi. – Co za niespodzianka... wiesz co, obejrzałam taśmę. Niesamowita. Jak dotąd chyba nasz najlepszy sezon, nie sądzisz?

Nie raczyła odpowiedzieć. Wpatrywała się w nadgarstek Caroline.

– Wygląda poważnie.

– Nic się nie dzieje. Wszystko idzie zgodnie z planem. A opatrunek, ha, mój lekarz ma specyficzne poczucie humoru. Dzięki za kwiaty. – Obejrzała się na salon, gdzie bukiet od Briana i Claire ledwie się mieścił w wazonie. – Wchodź! – Szerokim gestem zaprosiła ją do środka. – Zobacz, ile mam kwiatów.

– No, czuję – mruknęła, podążając za Caroline do salonu. – Ładne – rzuciła, zerkając na bukiety. – Jesteś bardzo spokojna – zauważyła, przyglądając się swojej rozmówczyni. – Rozumiem, że się z tym pogodziłaś.

– Z czym?

– Ze zmianą.

– Jaką zmianą?

Oczy Claire pociemniały z irytacji. Caroline intensywnie myślała, co ewentualnie mogło jej umknąć. Ta kobieta na pewno nie robiła aluzji do menopauzy; nigdy nie poruszały osobistych tematów. Istniała tylko jedna możliwość.

– Mówisz o podpisie na poręczeniu? Nowy sponsor finansuje jesienną serię. – Chyba jednak nie trafiła, sądząc po minie producentki. – Claire, wykrztuś wreszcie, o co chodzi. – Ogarnął ją niepokój. – Podobno nigdy nie owijasz niczego w bawełnę.

– A Roy podobno nigdy nie kłamie – odpaliła szybko jej rozmówczyni.

Uff, jako była żona tego wątku wolałaby nie poruszać.

– Proszę cię, o co chodzi?

Claire z ciężkim westchnieniem na ułamek sekundy uciekła spojrzeniem w bok.

– O zmianę gospodyni – rzuciła zirytowana, kierując wzrok z powrotem na twarz Caroline.

Cisza.

– Słucham?

– Zmieniamy prowadzącą program – wyartykułowała rytmicznie. – To nie ja miałam przekazać tę wiadomość – dodała ze złością. – Długo na ten temat rozmawialiśmy. Roy zapewnił mnie, że już wiesz od Jamie.

Caroline czuła się coraz bardziej zagubiona.

– Widziałam się z nią wczoraj. Dwukrotnie. Nawet słowem o tym nie wspomniała.

– No cóż, nie pytaj mnie, czemu. Sama się zaoferowała. To wszystko dzieje się od jakiegoś czasu. Dyskretnie przygotowaliśmy ją do przejścia twojej roli.

– Słucham? – Ta wiadomość wbiła Caroline w ziemię.

– Jamie będzie nową prowadzącą. Potrzebna nam świeża twarz.

– Co złego jest z moją? – zachnęła się.

– Nic – warknęła Claire, nadal wyraźnie rozdrażniona. – Po prostu miała prawo się opatrzeć. Czas na świeżość.

- Co znaczy „świeżość”? – Caroline była bliska załamania.
- Chodzi o młodość. Takie jest życzenie naszych sponsorów. Wyniki sondaży w grupach fokusowych wskazują na popularność Jamie.
- Przynajmniej mają dobry gust – zdołała wydusić.
- Jamie na pewno świetnie da sobie radę, lecz nie w tym rzecz. Słowo „młodość” dudniło echem w jej głowie. Czuła się tak samo zdruzgotana jak wtedy, kiedy Roy oznajmił jej, że jest „za stara” na jego żonę.
- No tak – westchnęła. – To robota Roya. – Nie widziała innego wytłumaczenia. Cieszył go sukces *Gut It!* i wszystko mu odpowiadało, oprócz jej obecności w programie.
- W tych sprawach Roy nie ma nic do gadania – ucięła ostro Claire. – Może zna się na marketingu, jeśli chodzi o waszą firmę, ale telewizja to nie jego świat. Nie on poddał ten pomysł, choć od dawna go popierał.
- Od dawna? Znaczący od kilku miesięcy? I Jamie o tym wiedziała? – Ta myśl nią wstrząsnęła.
- Caroline, Jamie jest dobra. Nie sprawi ci zawodu.
- Tu nie chodzi o jej umiejętności.
- To Jamie wpadła na pomysł, żeby ogłosić konkurs na dom do renowacji w jesiennej serii.
- Tak, zna się na marketingowych chwytach, ale jaki to ma związek z prowadzeniem *Gut It!*?
- Jest z pokolenia, na którym nam zależy. Wiosną zaprosiła dekoratorkę wnętrz Taylor Huff. To też był jej pomysł. Bardzo się spodobał grupom fokusowym.
- Kto jest w tych grupach fokusowych? – Caroline podniosła głos. – Dzieciaki z college’u?
- Pogódź się z tym, moja droga. Taka jest rzeczywistość. I nie tylko ta telewizyjna. Wszystkie kanały kulturalno-rozrywkowe stawiają na młodych.
- A Oprah? Katie Couric, Cokie Roberts czy... Diane Sawyer też nie należą do trzydziestolatek.
- Nie jesteś Diane Sawyer.
- A *Gut It!* daleko do *This Old House*. – Caroline odplaciła pięknym za nadobne. Jednak nie czuła satysfakcji. Coś w niej się załamało. – Jak rozumiem, znikam z programu?
- No, nie – pospiesznie zaprzeczyła Claire. – Boże, w żadnym wypadku. Chcemy, żebyś dalej pracowała jako mistrz stolarski. I poprowadzisz niektóre segmenty, jeżeli ślub odbędzie się w trakcie nagrań i Jamie z Bradem wyjadą do Paryża.
- Do Paryża.
- Czyżbym znowu wyszła przed szereg? Podobno tam mają spędzić miesiąc

miodowy.

Ta kobieta wiedziała, jak wbić nóż i pokręcić nim w ranie. Jednak Caroline nie zamierzała pokazać, jak bardzo ją to zabolalo.

– Jeszcze nic nie zostało postanowione z tym ślubem – odparła, chociaż w tej chwili wcale nie była tego pewna.

– Och, mniejsza z tym. W każdym razie, jeśli chodzi o *Gut It!*, będziesz robić to samo, co do tej pory.

– Na przykład łagodzić konflikty, gdy obrażasz ludzi na planie?

Claire wbiła w nią oczy.

– Masz z tym problem?

– A jak myślisz? – Może to było dość aroganckie, ale co miała do stracenia?

– Podczas zdjęć zajmuję się mnóstwem rzeczy właśnie dlatego, że jestem, kim jestem, mam tyle lat, ile mam, i nie brakuje mi doświadczenia.

– A my doceniamy twoje wysiłki. Niemniej przed kamerą stanie Jamie.

Bezceremonialność Claire po raz kolejny zbiła ją z tropu. Jak ma to wszystko rozumieć? Zazwyczaj nie miały z Jamie przed sobą tajemnic. Zresztą czy ona właśnie nie mówiła, że brakuje jej czasu na zajęcie się planowaniem wesela? Jeśli dodać do tego obowiązki związane z prowadzeniem programu... A może... już je uwzględniła?

– Oczywiście będzie musiała się jeszcze wiele nauczyć – ciągnęła Claire. – I zdaje sobie z tego sprawę. Ale chyba się zgodzisz, że to otworzy przed nią nowe możliwości. Znajdzie się w centrum uwagi. Stanie się celebrytką w środowisku architektów.

– Niewątpliwie. Tylko czemu akurat teraz?

Jamie ma dwadzieścia dziewięć lat. Ona była dobrze po czterdziestce, kiedy przejęła stery.

– Bo tak życzy sobie sponsor. Nawiasem mówiąc, to ona go znalazła. I uczestniczyła we wszystkich zebraniach zeszłej zimy. Chodzi o segment rynku. Naszą grupą docelową mają być ludzie pomiędzy dwudziestym piątym a czterdziestym rokiem życia.

– Hmm, jaka poprawność polityczna – zakpiła Caroline. – Jednak to nie oni mają pieniądze.

– Coraz częściej je mają. A reklamodawcy o tym wiedzą.

– Powinni to powiedzieć tym ludziom z tej waszej grupy docelowej, którzy wyłudowali w marnie płatnej pracy, albo – o ile im się poszczęściło – skończyli studia i spłacają teraz ogromne pożyczki. W jakim wieku był najmłodszy właściciel domu w trakcie dziesięciu lat istnienia naszego programu?

Claire nie odpowiedziała.

– No właśnie. Był czterdziestolatkiem. A więc sama góra waszego segmentu. Przeciętny wiek ludzi posiadających własne domy to pięćdziesiąt lat. Bohaterowie

naszych jesiennych odcinków dobiegają sześćdziesiątki. Czy reklamodawcy również i to chcą zmienić? Może *Gut It!* powinno się skupić na przeróbce kawalerek, na jakie ewentualnie mogą sobie pozwolić tylko niektórzy trzydziestolatkowie?

Wyszła z salonu na ganek, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Żar nadal lał się z nieba, lecz nie dlatego się pociła. Claire była toksyczna. Czas, aby wyniosła się z tego domu. Nawet na werandzie ciążyła jej obecność tej kobiety. Zeszła na ścieżkę i czekała z rękami wspartymi na biodrach.

Usłyszała kłapanięcie drzwi z siatki za plecami. Nadal oszołomiona wiadomością, odwróciła się do zbliżającej się Claire.

– Słuchaj, czy chodzi o moje zachowanie? Popęłiłam jakiś nietakt? Nieodpowiednio się ubrałam?

Wcale nie zamierzała zmieniać stylu. Widzom podobały się jej kolorowe stroje. Bez przerwy chwalili je w mailach.

Claire nie raczyła odpowiedzieć.

– Jednak wiek – stwierdziła zrezygnowana Caroline.

Claire machnięciem ręki odgoniła muchę.

– Czy mam rozumieć, że się z tym pogodziłaś? – zapytała po chwili.

Ich rozmowa zatoczyła pełne koło, a Caroline była tak samo pogubiona jak na samym jej początku.

– Jak mam się pogodzić? Absolutnie nie zgadzam się z tą decyzją.

– Nie chcesz, żeby twoja córka pięła się w górę?

– Chwilę – wycedziła Caroline z kamiennym spokojem. – Zawsze jej sekundowałam. Całe życie poświęciłam na wspieranie jej ambicji. Niech ci przez myśl nie przejdzie, że mogłabym stanąć córce na drodze do kariery.

\*

Powiedziała prawdę. Jednak nie awans zawodowy był tu problemem. Chodziło o lojalność. O uczciwość albo jej brak. I to właśnie tak bardzo bolało. Może odpowiednim słowem byłaby zdrada, lecz wolą nie posuwać się do tak ostrych sądów, zanim porozmawia z Jamie.

Claire nie zdążyła nawet wycofać swojego bmw z podjazdu, gdy Caroline weszła do domu i z łomotem sercem wybrała numer Jamie. W komórce odezwała się poczta głosowa. Być może samolot był jeszcze w powietrzu. Odczekała kilka minut i ponownie zadzwoniła. Tym razem po sygnale nagrała wiadomość: *Zadzwoń, jak wylądujesz.*

Claire odjechała.

Jamie milczała.

Caroline czuła się stara.

Zrezygnowana, przycupnęła na schodach w holu i czekała na telefon od



Jamie. Nerwy nie pozwalały jej dłużej usiedzieć na miejscu. Wyszła na werandę, wodząc dokoła roztargnionym wzrokiem do chwili, gdy jej oczy natrafiły na bukiet od kamerzysty z *Gut It! Kuruj się szybko*, napisał na bileciku. *Nadal jesteś naszym mistrzem stolarskim*. Te wcześniej dziwnie brzmiące słowa nabrały teraz nowego znaczenia.

Kto jeszcze wiedział? Claire i Brian, Roy i Jamie, kamerzysta. Czy maile zataczały coraz większe koło? Może dowiedziała się jako ostatnia? Czyżby celowo na przekazanie tej wiadomości wybrali czas, kiedy ona będzie siedzieć unieruchomiona w domu? Gniewnym krokiem zeszła ze schodów i przemaszerowała przez trawnik, przystając dopiero przy jałowcach rosnących w cieniu dębu przy ścieżce. Należało je przyciąć. Ale nie dziś. Za duży upał i do tego ten niesprawny nadgarstek.

Niesprawny, bo musiała go zoperować. Ponieważ za długo go nadwerężała.

Zniechęcona, wróciła na schody i przysiadła na najniższym stopniu, obejmując ramionami kolana. Sąsiadka, mijając jej dom, zwolniła i pomachała na powitanie. Caroline odpowiedziała gestem ręki, bo nie była w nastroju na pogaduszki. Ponownie weszła do domu i kolejny raz spróbowała dodzwonić się do Jamie. Czyżby ona zapomniała włączyć telefon? Zazwyczaj pamiętała. Ilekroć leciały razem, córka włączała komórkę, gdy koła samolotu dotykały pasa. To był nawyk, a może nawet natręctwo.

Chyba że celowo jej nie włączyła, żeby pozostać poza zasięgiem. Może cynicznie zaplanowała ten wyjazd, aby to Claire musiała przekazać jej tę wiadomość.

Walcząc z ogarniającą ją paniką, wyszła przez kuchnię tylnymi drzwiami na dwór. Kierując się do garażu, myślami pozostała w kuchni. Jamie chciała ją odnowić. Bardzo nalegała. Czyżby dręczyło ją poczucie winy? To możliwe, o ile wcześniej wiedziała o zamianie, albo, co gorsza, o nią zabiegała.

Roy na pewno maczał w tym palce, co do tego nie miała złudzeń, nawet jeśli sam nie wpadł na ten pomysł. Wchodząc teraz do garażu, oczyma duszy widziała go, jak rozmawia z Claire przez telefon z tym swoim aroganckim uśmiechem na twarzy, zadowolony z degradacji Caroline.

Wciągnęła w nozdrza znajomy zapach trocin i wyrzuciła z myśli Roya. Nie chciała go tutaj. To miejsce należało wyłącznie do niej.

Jeszcze pięć lat temu mieszkała w ich wspólnym domu i chociaż Roy znacznie wcześniej się z niego wyprowadził i przeniósł na nią akt własności, nigdy nie czuła się tam tak do końca u siebie. Co innego tutaj, w tym wiktoriańskim domu z garażem z oryginalnym frontem dawnej wozowni. Na piętterku miała swój kantorek, ale najważniejszy dla niej był parter.

Całe wnętrze, gdzie swobodnie mogłyby pomieścić się dwa samochody, zostało wyposażone w odpowiednie oświetlenie i w najnowszy system

wentylacyjny do oczyszczania powietrza z pyłu drzewnego. Widok trocin wokół stołów roboczych w połączeniu z lekkim zapachem kleju i bejcy, a nawet śladem swądu po użyciu nowej piły pasowej sprawił, że poczuła się w swoim żywiole. Niektóre narzędzia wisiały na hakach ściennych, a inne leżały na półkach albo na stołach. Zawsze trzymała na widoku ochronne rękawice i gogle, podobnie jak cenne dla niej pamiątki z warsztatu ojca. To były przeważnie małe, ręczne przybory. Teraz, gładząc ręczną szlifierkę, cud techniki w jego czasach, wróciła do korzeni.

Była stolarzem. A zapach trocin, niczym wspomnienie ulubionych potraw z dzieciństwa, podziałał na nią kojąco. Poradzi sobie. Nie musi występować w telewizji.

Już wyciszona, ponownie spróbowała skontaktować się z Jamie, lecz gdy i tym razem odezwała się poczta głosowa, jej spokój prysł jak bańka mydlana. Jamie wiedziała. Przygotowywała się. Spiskowała.

Mając świadomość, że zrani tym Caroline?

Mogłaby wypytać Roya, ale czym prędzej odrzuciła tę myśl. Jeszcze bardziej by triumfował. Co innego Theo. On był po jej stronie. Zapewne wiedział, co i dlaczego się działo. Niestety, bieganie do teścia w przypadku kłopotów nie leżało w jej naturze.

Problem z ręką wykluczał zajęcie się pracą, a nerwy nie pozwalały jej usiedzieć na miejscu. Wyszła z garażu i kręciła się po podwórku, czekając na telefon od Jamie. Milczenie komórki wprawiało ją w coraz większe zdenerwowanie. Córeczce się nie spieszyło, lecz z drugiej strony, takie długie milczenie... to do niej niepodobne, chyba że... coś się stało.

Może samolot miał awarię? W domu zajrzała na stronę linii lotniczej. *Wylądował, przeczytała.*

Mogłaby zadzwonić do Deana. Niestety, siedział gdzieś w guszy, zapewne poza zasięgiem. Zresztą jego lekarstwem na wszelkie kłopoty była jazda na harleyu albo moczenie kija w wodzie.

Annie byłaby tą decyzją tak samo oburzona jak Dean. W tej chwili zajmowała się planowaniem zieleni na budowie MacAfee jakąś godzinę drogi stąd. Raczej nie powinna nikogo wciągać w swoje sprawy przed rozmową z Jamie.

Tłumaczyła sobie, że niepotrzebnie aż tak to wszystko przeżywa i w gruncie rzeczy zadowolony ją mały udział w programie. Proszę bardzo, niech Jamie go sobie prowadzi.

Jednak z każdą minutą coraz gorzej znosiła ciszę i zanim przerwał ją dzwonek telefonu, była gotowa uwierzyć, że wydarzyło się coś złego.

## Rozdział 7



Jamie serce podeszło do gardła, gdy odsłuchiwała wiadomość od Caroline. Zaniepokoił ją jej ton i lakoniczność, zupełnie nie w stylu matki. Siedziała w samochodzie ze swoim klientem i choć sytuacja nakazywała profesjonalne zachowanie, musiała do niej natychmiast oddzwonić.

Caroline, odbierając, przedstawiła się imieniem, wyłącznie imieniem.

– Co się dzieje? – spytała Jamie najciszej, jak potrafiła.

– Była u mnie Claire.

Jamie przycisnęła palce do czoła, żeby złagodzić pulsowanie w skroni i jednocześnie zasłonić się dłonią przed kierowcą.

– Nie miała tego robić.

– Od kiedy wiesz?

– Od wczoraj.

– Inaczej mówiła. Według niej trwa to już jakiś czas.

– Nieprawda.

– Powiedziała, że ciebie przygotowywali.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Podobno działali w porozumieniu z tobą.

– Kłamstwo.

– Wiedziałaś o tym, jak u mnie byłaś.

– Tak. Ale to nie był odpowiedni czas na taką rozmowę. – Teraz też czuła się niezręcznie z klientem tuż obok. – Nie mogę w tej chwili rozmawiać – zniżyła głos do szeptu. – Zadzwoń później, dobrze?

Usłyszała zrezygnowane westchnienie, a po nim kliknięcie kończące połączenie.

\*

Racjonalna część istoty Caroline rozumiała, czemu Jamie nie może rozmawiać. Natomiast ta emocjonalna nie. Jeżeli, jak twierdzi, nie ma w tym wszystkim jej winy, powinna znaleźć sposób, żeby wkrótce zadzwonić. Dlatego Caroline jakiś czas czekała niecierpliwie na werandzie. Potem krążyła po domu. Zajęła się kotami.

Po raz drugi pomyślała o telefonie do Deana. Uwolniłby ją od kompleksu wieku. Zastanawiała się, czy jednak nie zadzwonić do Annie. Powiedzieć jej o zdradzie.

*Nie chciałam tej zamiany, napisała Jamie godzinę później.*

Nie odpowiedziała. Esemes to zwykły wykręt.

Chwilę później przyszedł następny. *Nie prosiłam o to. Postarali się, żeby tak to wyglądało. Wykorzystali mnie.*

*Nie ty jesteś tutaj ofiarą, odpisała, niewiele myśląc. Kto cię wykorzystał?,* wystukała, kiedy nieco ochłonęła.

*Brian i Claire. Tata.*

*Co zrobił Roy?*

*Poparł tamtych dwoje. Powinien się sprzeciwić.*

*Twój ojciec?,* wysłała ociekające sarkazmem pytanie.

Jamie nie mogła ciągnąć dłużej tej wymiany esemesów, bo zaczął się oficjalny lunch.

Dzwonek telefonu obudził nadzieję Caroline. Niestety, to dzwonił Brad.

– Jamie panikuje – oznajmił. – Nie ma jak pogadać, bo nie jest sama. Udało jej się na dwie minuty zniknąć w toalecie. Gryzie się tym wszystkim. Boi się, że jesteś wściekła. Jak sobie radzisz?

– Całkiem dobrze – odparła tonem, który uznała za niezwykle opanowany.

– Ona to bardzo przeżywa.

– Co, zamianę czy swoją w tym rolę? – wypaliła i natychmiast pożałowała.

Nie miała ochoty wylewać żalów przed Bradem. To do niej Jamie powinna zadzwonić podczas tych dwóch minut w toalecie.

Brad też chyba wolał nie rozwijać tego wątku.

– Jamie nie chce, żebyś się na nią złościła. Bardzo tam cierpi.

– A ja cierpię tutaj, ale to nie pomoże żadnej z nas. Słuchaj, miło, że zadzwoniłeś, lecz problem dotyczy mnie i Jamie, i to my musimy go rozwiązać.

– Mogę jej powiedzieć, że się nie gniewasz?

– Nie. To byłoby kłamstwo. Brad, muszę kończyć. Dzięki za telefon.

\*

Jamie wraz z klientem utknęła w korku po wypadku na drodze. Na lotnisko wpadła w ostatniej chwili. Podczas kontroli bezpieczeństwa wysypała jej się część rzeczy z torby i przeżyła koszmar, gdy ochroniarze z rozbawieniem patrzyli, jak zgrzana i zadyszana, wygrzebuje spod taśmy tuby z projektami. Po kontroli puściła się biegiem do bramki, bo ostatni pasażerowie już wsiadali na pokład samolotu. Dopiero kiedy umieściła bagaż w schowku – oczywiście nie nad swoim fotelem, bo ten już był pełen – i przepchnęła się na miejsce, zawadzając o kolana zwalistego współpasażera, który nie raczył się podnieść, mogła zadzwonić do Caroline. Matka odebrała natychmiast. Rozwlekłe tłumaczenie, dlaczego nie mogła zadzwonić wcześniej, nawet w jej uszach brzmiało nieszczerze przekonująco.

– Ląduję o dziesiątej – powiedziała na zakończenie, gdyż stewardesa

rozpoczęła już instruktaż przed startem. – Mogę przyjechać do ciebie prosto z lotniska?

Spotkała się ze zdecydowaną odmową, a na pytanie dlaczego, usłyszała, że Caroline potrzebuje czasu. Jej naleganie, że jednak powinny porozmawiać, zostało skwitowane przez matkę krótkim: „Nie dzisiaj”.

Jamie nie wspomniała o telefonie Brada, chociaż wiedziała, że dzwonił do Caroline, bo puścił jej esemesa z wiadomością, że rozmowa poszła gładko. Nie bardzo wiedziała, co to według niego znaczyło, ale nie miała czasu, żeby się z nim skontaktować i wypytać go o szczegóły.

Tak więc nie zajechała do matki. Z domu zatelefonowała do Brada i chociaż próbowała go przycisnąć, niewiele się dowiedziała.

– Użala się nad sobą – podsumował.

– Tak sądzisz? – rzuciła wzburzona tym komentarzem, na dodatek myśląc, że matka ma prawo czuć o wiele więcej niż tylko żal.

Według niej teraz Brad wycofywał się rakiem. Nawet nie zaproponował, że przyjedzie podtrzymać ją na duchu. Właściwie się ucieszyła, że drugi z kolei wieczór spędzi bez niego. On miał rano spotkanie z klientami, a ona zamierzała się wyspać.

\*

Niestety, w nocy kiepsko spała i z ulgą przywitała świt, uwolniona od kolejnych prób zapadnięcia w sen. Niebo było zaciągnięte. Jechała do Caroline z opuszczonym dachem, tym razem zupełnie nie czerpiąc z tego radości. Ciężkie powietrze odzwierciedlało jej stan ducha i w innym niż zazwyczaj, bo w ponurym nastroju zbliżała się do wiktoriańskiej uliczki. Każda myśl o matce sprawiała jej ból.

Ciężarówka stała zaparkowana przed garażem, ale matki nie znalazła na werandzie. Wsunęła głowę w drzwi i zawołała, lecz odpowiedziało jej tylko miauknięcie Mastera. Gdy drapała kota po łebku, ponad jego mruczenie wybił się hałas na zewnątrz.

Wycofała się z domu i ruszyła w stronę, skąd dochodził ten dźwięk. Przenikliwe zgrzytanie piły stołowej brzmiało tak swojsko jak kołysanka. Ta normalność podniosła ją nieco na duchu.

Caroline nie usłyszała kroków córki ani nie dostrzegła ruchu przy drzwiach, bo gogle ograniczały jej pole widzenia. Ubrana w stary, spłowiały podkoszulek oraz w wytarte dżinsy, z włosami zwiniętymi w ciasny koczek na czubku głowy, w rękawicach ochronnych wycinała coś w drewnie przy jednym ze stołów. Trudno powiedzieć, czy dokuczała jej ręka. Pochylona sylwetka świadczyła o dużym skupieniu.

Gdy Jamie zastanawiała się, jak ściągnąć na siebie jej uwagę, a jednocześnie

nie przestraszyć, odgadła, że matka ją zauważyła. Poznała to po zaciętych ustach i zmianie ruchów ręki z płynnych na monotonne, zdecydowane, wręcz zawzięte.

Niedobrze.

– Mamo! – zawołała kilkakrotnie.

Wreszcie Caroline westchnęła i prostując się, wyłączyła piłę. Przesunęła gogle na czoło i ściągnęła rękawice, ostrożniej zdejmując prawą. Bandaż znikł, zastąpiła go elastyczną opaską zapinaną na rzep.

– Jest poprawa – zauważyła nieśmiało Jamie. – Już nie boli?

Caroline strzepnęła wiórki, pogładziła rzeźbiony detal i nachylając się, obejrzała go pod innym kątem.

– Jest dobrze.

Może z ręką, ale nie z matką. Jamie ze swego miejsca widziała tylko fragment jej twarzy. Była bardzo blada, a to, że nie chciała się odwrócić, wymownie świadczyło o jej nastroju.

– Jesteś na mnie zła.

– Jestem zła na cały świat – oświadczyła z rezygnacją Caroline, prostując plecy. Może Jamie ulżyłoby nieco po tym wyznaniu, gdyby w tej chwili spotkały się ich-takie-same-oczy, lecz matka uparcie patrzyła w bok. – A powinnam być zła na ciebie?

– Za to, że nie powiedziałam? Tak – przyznała Jamie bez wahania. – Za decyzję Claire? Nie. Mamo, nie brałam w tym udziału. Nie prosiłam o to. Ja tego nie chcę.

– Powiedziałaś to Claire?

– Nie. Nie odpowiadała na moje telefony.

– A Royowi?

– Tak. Oznajmił, że w takim razie wezmą kogoś z zewnątrz i że przeze mnie może spaść oglądalność.

– Ma rację. – Caroline nawet nie mrugnęła okiem. – *Gut It!* jest kojarzony z naszą rodziną. Jedna z nas musi go prowadzić, a oni nie chcą, żebym to była ja.

– Ale to nie w porządku! – zawołała Jamie. – Dyskryminują cię z powodu wieku. Musisz walczyć.

– Och, mam taki zamiar – przyznała Caroline. – Ale czy wygram? Wątpliwe. Jamie, popatrzmy obiektywnie. To nie jest jakaś wyjątkowa sytuacja, jeśli się prześledzi inne programy.

– Ale ty kochasz to, co robisz. Nigdy nie byłaś taka zadowolona z życia od czasu...

– Rozvodu – dokończyła Caroline, unosząc podbródek. – W takim razie mam do ciebie pytanie. Przez te wszystkie lata godziłam się na ustępstwa, żeby nie stawać pomiędzy tobą i ojcem, i teraz chcę usłyszeć szczerą odpowiedź. Jak mocno na ciebie naciskał?

Jamie poczuła się pomiędzy młotem i kowadłem.

– Twierdzi, że chce tego dla mnie – ostrożnie dobierała słowa – bo to podobno wpłynie na moją karierę zawodową.

– Brad najwyraźniej się z nim zgadza. Oni mają rację. To będzie dla ciebie ważny krok. Będiesz wspaniałą prowadzącą i jesteś gotowa. Umknęło mi to jakoś podczas kręcenia odcinków z Longmeadowami, ale teraz, kiedy patrzę wstecz, widzę, że miałaś więcej ujęć niż kiedykolwiek przedtem.

– Mamo, ja też tego nie zauważyłam. – Jamie przybrała błagalny ton. – To właśnie staram się ci powiedzieć. Dopiero z perspektywy czasu dociera do mnie, co oni robili. Ja tego nie zaplanowałam.

– Jamie! – obruszyła się Caroline. – Brałaś udział w wybieraniu projektów i wyszukiwaniu sponsorów. Zaprosiłaś do programu Taylor Huff, swoją równolatkę. Komentowałaś sceny, gdzie pokazywano całe zabudowy mojej roboty. Jak mogłaś nie widzieć, co się dzieje?

– A ty widziałaś? – spytała Jamie, czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

– Nie, ponieważ jesteś moją córką, nie podejrzewałam zagrożenia. Dopiero teraz mnie tknęło, że Claire nie zapraszała mnie na zebrania. Sama mi mówiłaś, że wy się spotykacie. O ile dobrze pamiętam, praktycznie w każdy wtorek rano.

A niech to! Tak rzeczywiście było.

– Mam być szczerą? Sądziłam, że interesuje ją mój punkt widzenia na różne sprawy. Że chce poznać moje zdanie.

– Pojechałaś z nią na zakupy.

– Po buty, bo ma fatalny gust.

– Byłyście razem na koncercie.

– Tylko dlatego, że ty nie znosisz Nine Inch Nails, a ona miała darmowe bilety.

– Powiedziałaś jej, że na miesiąc miodowy wybieracie się z Bradem do Paryża. Mnie o tym słowem nie wspomniałaś.

– To ona zasugerowała Paryż. – Jamie aż pobladła ze złości. – Stwierdziła, że to fantastyczne miejsce na miesiąc miodowy. Przytaknęłam, bo nie było sensu dyskutować. Skoro nie wybrałam nawet daty ślubu, co tu mówić o miesiącu miodowym? Mamo, Claire to zwykła suka. Lubi intrygować. – Uderzyła ją dziwaczna myśl. – Czy ty jesteś zazdrosna?

– O Claire Howe?

– O to, że uważa się za moją przyjaciółkę. Nie przyjaźnię się z nią, bo po pierwsze, nie mam czasu, a po drugie, ty jesteś moją jedyną przyjaciółką.

– Nie jestem zazdrosna. Po prostu szukam dowodów i myślę sobie, że niemożliwe, abyś spędzając z nią tyle czasu, nie zorientowała się, do czego to wszystko zmierza. Jesteś zbyt inteligentna, żeby nie zauważyć pewnych sygnałów.

Musiałaś coś wyczuwać, choćby podświadomie. Jamie, to jest moje życie. Czy nie powinnam uczestniczyć w tych rozmowach?

– Mamo, zgoda, ale to nie ja do nich dążyłam. Widocznie nie jestem aż taka bystra, skoro aż do czwartku rano nie miałam pojęcia, co im chodzi po głowie. Obiecałam, że sama ci powiem, bo Claire jest arogancka, a tata ma tyle taktu co buldożer. – Podniosła głos. – Tylko jak miałam ci to powiedzieć tuż po operacji? I na dodatek w twoje urodziny? Jak ci powiedzieć w dzień urodzin, że wycofują cię z powodu wieku?! Uwierz przynajmniej, że mam odrobinę delikatności.

– Ale chcesz tę pracę.

– Nie twoim kosztem. Gdyby w grę nie wchodziło zajęcie twojego miejsca, naturalnie że nie wahałabym się nawet przez chwilę. To wymarzona okazja. Kto by coś takiego odrzucił?

– A jednak.

– To nie znaczy...

– Może nieświadomie, lecz niewątpliwie popierałaś ten pomysł.

– Nie, mamo. Robiłam to, co chciała Claire. Byłam pionkiem w tej grze. Pozwoliłam sobie manipulować.

Caroline zmierzyła córkę gniewnym spojrzeniem, zerwała z głowy gogle i cisnęła je na stół, po czym poszła w kierunku drzwi.

– Biedna Jamie. Nie przyłożyła do tego ręki. Biedulka, która na tym wszystkim zyskała. – Energicznym krokiem ruszyła w stronę domu.

– Mówisz zupełnie jak babcia.

Caroline odwróciła się gwałtownie.

– Która pod koniec życia wpadła w paranoję, bo miała demencję. Ha! Prawda wyszła na jaw. Jestem głupią, starą babą.

– Mamo – jęknęła Jamie, gdy ta wykręciła się na pięcie i pomaszerowała przez podwórko. – Ja tak nie mogę. Nie znoszę konfliktów.

Na kuchennych schodkach Caroline jeszcze raz się odwróciła.

– Oto życiowa lekcja. Do konfliktów dochodzi wtedy, gdy zostaje się złapanym na krętactwie.

Jamie ogarnęła rezygnacja. Nic dla niej bardziej się nie liczyło od dobrych relacji z matką.

– Okej – odezwała się, starając się panować nad głosem. – Zrobię wszystko, żeby to odkręcić. Nie dbam o *Gut It!* Niech zniknie z anteny. Tego chcesz?

– Słucham? Próbujesz zwalić winę na mnie?

– Nie mam już siły – jęknęła, wyrzucając ramiona w górę. – Co chcesz usłyszeć? Dobra. – Traciła panowanie nad sobą. – Chciałam tego. Wszystko zaplanowałam. Jesteś zadowolona? To oczywiście kłamstwo, ale może poczujesz się lepiej?

Caroline wbiegła na schodki. Obejrzała się jeszcze przed drzwiami. Jej



wzrok wyraźnie ostrzegał, żeby Jamie nie ważyła się zbliżyć choćby o krok. Pozostało jej tylko patrzeć, jak matka wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi.

\*

Wracała do domu roztrzęsiona. Po raz pierwszy w jej życiu coś rozdzieliło ją z matką. Nie osoba ani nawet nie ściana, raczej drzwi z metalowej siatki, których trzask był jak uderzenie w twarz. Nadal widziała swoją dawną mamę – te same falujące włosy, zielone oczy i te same silne ramiona – ale wszystko niedostępne, poza zasięgiem. Gniew nie leżał w naturze Caroline i Jamie nie wiedziała, jak ma sobie z nim radzić.

– Jak poszło? – zapytał Brad zatroskanym głosem. Kilkakrotnie próbował się z nią skontaktować, lecz dopiero po powrocie do swego wymuskanego, ascetycznego mieszkania zebrała się w sobie, by do niego oddzwonić.

– W całości mnie obwinia.

– Przecież to nieprawda.

– Nie? Tańczyłam, jak mi zagrała Claire. Dałam się zmanipulować ojcu. – Zamyśliła się. – Powinnam się zorientować, ale byłam ślepa i matka ma rację, że na tym zyskałam. A przecież mi ufała. – Przestała chodzić po pokoju. – Co ty właściwie jej powiedziałaś podczas waszej rozmowy? – Musiała się dowiedzieć, nawet jeśli w tej chwili to nie miało już żadnego znaczenia.

– Że się bardzo martwisz.

– O nią?

– Tak. Że to są twoje słowa.

Ogarnęło ją zniechęcenie. Wiedziała, jak wyglądają kontakty Brada z rodzicami, lecz tu chodziło o nią, o zrozumienie.

– Nie powiedziałaś jej, że według mnie ta zamiana to błąd?

– Jaki błąd? Ja widzę w tym przemyślaną decyzję, żeby poprawić wskaźniki oglądalności...

– ...które wcale nie spadają. To jakieś działanie wyprzedzające.

– Tak właśnie funkcjonują udane przedsięwzięcia. Zawsze trzeba przewidywać krok do przodu.

– Mówisz o działaniach biznesowych. A to jest program rodzinny. Nie widzisz różnicy?

– To coś więcej niż program rodzinny. A tak na marginesie – zmienił temat – słyszałaś najnowszą prognozę pogody? Nadciągają potężne burze.

Akurat ją to obchodziło.

– *Gut It!* jest o MacAfee Homes, a MacAfee Homes to rodzina. Caroline jest centralną postacią w programie, jakby głową rodu. Spoiwem, które scala zespół. – Nerwowo zaczerpnęła powietrza. – Posłuchaj, Brad. Ja nie chcę tej roboty. Może kiedyś w przyszłości tak, ale w tej chwili... Moja matka na nią zasłużyła, dobrze się

z niej wywiązuje, widzowie nie komentują jej wyglądu. Jeżeli ją wyrzucą z powodu wieku, to będzie podstawa do założenia sprawy. – Zawiesiła głos, ale nie doczekała się odpowiedzi. – Nie uważasz?

– Działają zgodnie z prawem. Umowy z nią są zawierane na rok. Nikt jej nie wyrzuci z programu. Mówimy o przesunięciu w obsadzie. A o pogodzie wspomniałem, bo jeśli zerwie się ulewa, ta kolacja w Bostonie może się okazać niewypałem.

Zrobili rezerwację w otwartej wiosną restauracji na nadbrzeżu, lecz w tej chwili Jamie nie miała ochoty myśleć o kolacji.

– Claire przyznała, że chodzi o wiek.

– Możliwe, lecz taka jest specyfika branży rozrywkowej. Aktorki biegają na przesłuchania i wiele z nich nie dostaje ról, bo są za stare. Słyszałaś, żeby się procesowały? Szukałem precedensów, Jamie. Caroline może wnieść pozew, lecz sprawa nawet nie trafi na wokandę, a ona straci jakieś pięćdziesiąt tysięcy dolców.

– MacAfee pokryje koszty.

– Nie zrobimy tego. Pytałem.

– Kogo pytałeś?

– Thea. Na polecenie Roya. Obaj nie chcą szumu wokół tej sprawy. Posłuchaj, wiem, że jesteś zdenerwowana, ale spróbuj spojrzeć na to z dystansu. Jeżeli nie ma szansy na wygraną, czy nie lepiej zaakceptować to, co nieuniknione?

– Znaczący ustąpić z godnością? – zakpiła.

– Tak. – Włożył w to jedno słowo więcej entuzjazmu niż w całą wcześniejszą rozmowę, czym tylko jeszcze bardziej ją zdenerwował.

– Dobra, Brad. Teraz ty popatrz na to z dystansu. Załóżmy, że się zgodzę. Powiedzmy, że będę prowadzić ten program jakieś dziesięć lat. On sam pewnie przejdzie w tym czasie różne przemiany, ale utrzyma oglądalność. My będziemy już małżeństwem z trójką dzieci...

– Z dwójką.

– Z trójką dzieci, mnie stuknie czterdziestka, może po ciążach przybędzie mi nieco ciała tu i tam i wtedy mnie spuszcza, bo stwierdzą, że wolą dwudziestopięciolatkę. Jak byś się z tym czuł? – Cisza. – Jak byś się czuł, gdyby tobie coś takiego zrobili?

– To nie moja działka.

W Jamie zawrzało.

– Błąd. Prawidłowa odpowiedź brzmi: „Jestem facetem. Mnie coś takiego nigdy nie spotka”. I masz rację. Ale gdzie sprawiedliwość? Twój ojciec jest łysy, więc i ty możesz wyłysieć. Wyobraź sobie, że klienci MacAfee zażyczą sobie młodszego prawnika. Oczywiście tak się nie stanie, bo wiek sugeruje autorytet. Liczą się wiedza i doświadczenie. To samo dotyczy Caroline McAfee.

– Jeezu, Jamie – jęknął Brad, oszołomiony jej wywodem. – Co mam

powiedzieć?

Mnóstwo rzeczy przychodziło jej na myśl, lecz nie zamierzała mu niczego podpowiadać. Albo dotarło do niego, co starała się mu powiedzieć, albo nie.

Chciała już jak najprędzej zakończyć tę rozmowę i pojechać na jogę. Zajęcia zaczynały się o pierwszej. Musiała się odprężyć po fatalnej wizycie u matki i tej zupełnie bezsensownej rozmowie z Bradem. Dopiero dochodziła dziesiąta. Co prawda do pierwszej zostało sporo czasu, a do klubu fitness było niedaleko, ale miała czym wypełnić te godziny. Powinna zająć się projektem nowego domu. Czekala ją też wyprawa do hurtowni kamienia naturalnego, gdzie wcześniej nie robiła zakupów, ale mieli tam kamień polny, który bardzo chciała wykorzystać w tym projekcie.

– Muszę kończyć – oznajmiła.

– Porozmawiajmy. Jeszcze nie doszliśmy do porozumienia.

– Brad, nie we wszystkim się zgodzimy. Jadę na jogę.

– Uważaj na pogodę.

– Uhm. Później do ciebie przekręcę.

\*

Nie mogła się skupić. Nie była w stanie usiedzieć na miejscu, niecierpliwiło ją rysowanie, nie miała koncepcji na użycie tamtych polnych kamieni, a kiedy wreszcie pojechała na jogę, okazało się, że akurat zajęcia prowadziła kobieta w wieku zbliżonym do Caroline, o bardzo podobnym typie urody. Dlatego wołała ćwiczyć z zamkniętymi oczami, a gdy nie widziała instruktorki, źle ćwiczyła i nie kontrolowała oddechu.

Brad miał rację co do pogody. Jeszcze przed końcem zajęć niebo od rana zaciągnięte chmurami całkiem pociemniało, jakby dostosowując się do jej nastroju. Caroline nie schodziła jej z myśli.

Zadzwoiła do niej w drodze do domu.

– Mamo? – zamilkła w oczekiwaniu. Cisza. – Co u ciebie?

– W porządku. – Jednak głos mówił co innego. Dobrze, że w ogóle odebrała telefon.

– Rano...

– Jamie, nie chcę o tym rozmawiać.

– Obie byłyśmy zdenerwowane.

– Tak. Nie chcę więc do tego wracać. Zostawmy to.

– Odsuwanie problemu nie jest rozwiązaniem. – Uderzyło ją, że mówi zupełnie jak Brad.

– Jest – usłyszała po chwili ciszy – jeżeli to nadal boli i można wyrządzić jeszcze większą szkodę.

Co to było? Zachęta? Wyzwanie? Groźba? Jamie była bliska łez.

– Tak – przyznała, przelękając ślinę, lecz złowróźbna klucha nadal tkwiła w gardle. Musiała odkaszlnąć, by się jej pozbyć. – Masz jakieś plany na wieczór? – Błahe pytanie, ale przynajmniej podtrzyma rozmowę.

– Jem kolację z Annie, Lindą i Dawn.

To dobrze. Nie chciała, żeby matka siedziała sama.

– Dawn?

– Z salonu manikiuru. Jak Linda. Ich mężowie wybierają się na mecz Soxów na Fenway.

– Mogą go odwołać przez deszcz. – Jamie wydało się, że słyszy pogrzmiewanie w oddali, lecz to tylko ciężarówka wytoczyła się z za zakrętu przecznicy dalej. – Okej. Trzymaj się.

– Uhm. – Żadnego „Ty też się trzymaj”, ani „Jakoś się z tym uporamy” czy „Kocham cię, skarbie”. Tylko „Uhm” i koniec rozmowy.

## Rozdział 8



Jamie czuła się opuszczona. Jej nastrój poprawił się nieco, gdy wjeżdżając w swoją ulicę, zobaczyła przed domem srebrzysty SUV z żółtą naklejką „Dziecko w samochodzie” na tylnej szybie. Tad nie pozwoli jej się długo smuć.

Kiedy SUV zaczął powoli ruszać, nacisnęła na klakson i desperacko machała do kierowcy: Zaczekaj! Już jestem! Stój! Auto zahamowało. Jamie wprowadziła samochód do garażu i wybiegła na ulicę wpatrzona w tylne siedzenie terenówki.

– Taddy! – zawołała, machając do malca, którego cień widziała przez szybę. Gdy szyba bezszmerowo zjechała w dół, w otwartym oknie ukazała się czupryna z czekoladowych loków, dłuższych, niż życzył sobie Roy, i krótszych, niż chciała Jessica. Znad zarumienionych policzków patrzyły na nią słodkie brązowe oczy.

– Nanie, Nanie! – zapiszczał radośnie malec.

Jamie sięgnęła do klamki w chwili, gdy puścił zamek w drzwiach, i z wdzięcznością uśmiechnęła się w stronę fotela kierowcy. Jednak to nie Jess wyłoniła się z samochodu.

Widok Roya sprawił Jamie w konsternację. Był ostatnią osobą, jaką miała ochotę w tej chwili oglądać. Przyjechał niedbale ubrany w sportowe szorty i powyciągany podkoszulek. Wyraźnie zły, patrzył na nią ostrym wzrokiem.

Ze ściśniętym żołądkiem otworzyła drzwi i wyluskała Tada z fotelika.

– Cześć, małpeczko – przywitała go, biorąc na rękę. Chłopczyk zarzucił jej ramiona na szyję i owinał w pasie nóżkami. Przymknęła powieki, delektując się tą chwilą. Tad sprawiał, że czuła się kochana. Od urodzenia do niej lgnął.

Roy obszedł maskę i stanął oparty o dzielące ich drzwi.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo mnie zawiodłaś – wycedził cicho, żeby nie przestraszyć synka. – Obiecałaś, że powiesz matce, i co? Za moimi plecami poszłaś do Thea i kombinowałaś z Claire. W efekcie ona sama musiała powiadomić Caroline, stawiając i siebie, i ją w bardzo niezręcznej sytuacji, więc jeśli próbowałaś ochronić matkę, to ci się nie udało. Ja cię nie prosiłem, żebyś jej o tym powiedziała, sama chciałaś. Przekazałem Claire, że bierzesz to na siebie, i wyszedłem na głupca. Przy okazji podważyłaś wiarygodność MacAfee Homes. – Wyrzucił ręce w górę. – Na co czekałaś? Myślałaś, że to jakiś żart? Że jeśli będziesz zwlekać, sprawa się rozwieje?

Jamie, trzymając Tada przed sobą jak tarczę, kołysała się na boki z policzkiem wtulonym w jego włosy. Kiedy malec wymówił jej imię, odchyliła głowę. Brązowe oczy chłopczyka błyszczały z podniecenia. Wybełkotał coś

w dzieciennym języku.

– Powiedz to jeszcze raz, małpeczko – zachęciła go.

Pokazał paluszkami na samochód. Na tylnym siedzeniu, obok dziecięcego fotelika, leżał brązowy, kosmaty łoś.

– Ojej – zachwyciła się. – Nowy pluszak? – Najwyraźniej. Jeszcze z metką.

– Jak ma na imię? – Malec uniósł brwi ze wstrzymanym oddechem. – Aha. Nie ma jeszcze imienia. Nazwiemy go Pan Łoś.

– Mój Łosz – rozpromienił się chłopczyk.

– Tak, to twój Łoś – potwierdziła.

– Jamie, czy ty mnie słuchasz? – syknął Roy. – Nie wiem, co twoja matka powiedziała, ale Claire czuje się obrażona. Szkoda powstała na wielu frontach. Czy ty w ogóle rozumiesz, jaka jest stawka? Stacja dalej będzie produkować ten program, co do tego nie ma wątpliwości, jednak jeżeli nie będziemy współpracować, usuną nazwę MacAfee Homes z czołówki.

Jamie przytuliła maskotkę do szyi Tada. Dzieciak zachichotał, wijąc się w jej ramionach.

– Może powinni – zauważyła cicho, spoglądając z ukosa na ojca.

Ręce wsparte na biodrach, pobielałe kostki dłoni, płonące niebieskie oczy. Wyraźnie gotował się w środku ze złości.

– Masz przeprosić Claire – wycedził przez zęby. – Wytłumaczysz jej, dlaczego nic nie powiedziałaś matce w czwartek, tak jak mi obiecałaś, i dodasz, że rozmawiałaś z nią dzisiaj. Zapewnisz ją, że Caroline zgadza się z argumentami przemawiającymi za zmianą i jak najbardziej ciebie popiera. I nie zapomnij dodać, że czujesz się zaszczycona wyborem na gospodynię programu. – Obszedł otwarte drzwi i wyciągnął ręce do Tada. – Chodź, synku. Musimy przed deszczem zdążyć do sklepu po zakupy dla mamy.

Jamie, pozbawiona osłony, cofnęła się od samochodu.

– Zaczekaj – zażądał Roy. Zapiął Tada w foteliku i ruszył za nią. – Chcesz być lojalna wobec matki, proszę bardzo, ale w tej chwili na to nie pora, bo przede wszystkim obowiązuje cię lojalność w stosunku do MacAfee Homes.

Milczała, bo nie chciała wdawać się w sprzeczkę, lecz on najwyraźniej miał poczucie nie do końca spełnionej misji. Podążał za nią krok w krok.

– Tu chodzi o naszą firmę – prawie wykrzyczał. – O pozycję MacAfee Homes. Nie rozumiesz, czemu pokazałem ci tego Bartha U Fiony? Naszym konkurentom nie w smak jest nasza obecność w *Gut It!* i bardzo by się cieszyli, gdyby wydawca zerwał współpracę. Pamiętaj, że wszyscy byśmy na tym ucierpieli.

Znowu cofnęła się krok, lecz on nie odpuszczał.

– Tu nie chodzi tylko o ciebie. – Przechylił się ku niej, podparty pod boki. – Odpowiadasz za los całej obsady. Niektórzy z tych ludzi mają rodziny na utrzymaniu. Jak spojrzysz im w oczy? A pomyślałaś o własnej przyszłości? Nie

przyszło ci do głowy, że powinnaś się dobrze ustawić, zanim pomyślicie z Bradem o dzieciach? Że jak już zbudujesz swoją pozycję, nikt nawet okiem nie mrugnie, kiedy zajdziesz w ciążę? A mówię tu o Claire i Brianie, bo tylko oni się liczą. – Nachylił się jeszcze bardziej, tak że ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. – Jest ktoś u ciebie? Możesz swobodnie rozmawiać?

– Napierasz na mnie – mruknęła, cofając się i odgradzając od niego ręką.

– Ja czekam, Jamie. Powiedz mi to, co chcę usłyszeć.

Czuła, jak wszystko w niej się zaciska.

– Chyba oboje jesteśmy zdenerwowani – wydusiła z siebie pojednawczo na płytkim oddechu.

Wcześniej tak samo powiedziała Caroline, może więc to stwierdzenie nie było pozbawione sensu.

– A więc chodzi o matkę – orzekł Roy, prostując się na całą wysokość. – To jest twój problem.

Byłby też twoim, gdybyś potrafił się zdobyć na odrobinę współczucia, wykrzyczał głos w jej głowie.

– Są w życiu sprawy równie ważne jak MacAfee Homes – wtrąciła.

– Na przykład Caroline MacAfee. Ha! Jakoś tak się złożyło, że po rozwodzie nie miała ochoty zrezygnować z mojego nazwiska. No i o co właściwie tyle hałasu? Pogrzała się w świetle jupiterów. A teraz czas ustąpić miejsca komuś młodszemu. Tu ją boli, prawda? Tobie się wydaje, że ja mam jakieś chore podejście do wieku. Zawsze tak myślałaś. A ja ci powiem, że do tanga trzeba dwojga. Twoja matka w takim samym stopniu odpowiada za rozpad naszego małżeństwa jak ja. Wiedziała, że potrzebuję kobiety z ikrą, ale nie chciało jej się wysilić.

Jamie bezładnie zamachała rękami.

– Co, nie chcesz w to wchodzić? – ironizował. – Nie twoja sprawa? Błąd. Stała się twoją przez... ten pokaz źle rozumianej lojalności.

– Mama z takim trudem budowała swoje życie po rozwodzie.

– Bez przesady. Miała ogromne wsparcie. Theo ją uwielbia. Ale tym razem się za nią nie ujmie, prawda? On wie, kiedy przy podejmowaniu decyzji należy zdać się na mądrzejszych ludzi. Być może matka zna się na tym, co robi... – przewrócił oczyma – ale jest tylko stolarzem.

– Jeżeli ona jest tylko stolarzem, to ty jesteś zwykłym akwizytorem! – wypunktował go gniewny głos w jej głowie. Dopiero po wyrazie oczu Roya zorientowała się, że powiedziała to na głos.

Tad zaczął kwilić w samochodzie. Zdenerwowana, nie zwróciła na malca uwagi.

– Powiedziałam tak, bo mnie sprowokowałeś. Jeśli sprowadzamy to do jednego słowa...

– Różnica polega na tym, że ona na zawsze pozostanie stolarzem, a ja

w przyszłości będę kierował MacAfee Homes. Nazwanie mnie akwizytorem nie tylko stanowi obrazę, ale też świadczy o twojej ignorancji.

Z samochodu znów dobiegły protesty.

Roy obejrzał się niecierpliwie na Tada i wbił spojrzenie z powrotem w Jamie.

– Wiesz, co ja o tym wszystkim myślę? Możesz sobie lekceważyć zdanie Brada, chociaż on jest tą sytuacją prawie tak sfrustrowany jak ja, ale mnie musisz wysłuchać. Jesteś egoistką i postępujesz krótkowzrocznie.

– A ty jesteś gruboskórny i bezwzględny.

– Słucham?

Nie przeprosiła. Obraził Caroline. Ją też obraził. Wywierał presję, naciskał, prowokował do kłótni. Po prostu usłyszał od niej parę słów prawdy.

– Wybrałem cię na matkę chrzestną mojego syna, bo sądziłem, że jesteś odpowiedzialna – wycedził z furją przez zaciśnięte zęby, celując jej palcem w twarz. – Skoro nie umiesz zachować się jak dorosła – nie potrafisz oddzielić obsesji na punkcie matki od tego, co dla wszystkich wokół ciebie jest ważne – to chyba była zła decyzja.

– Moim skromnym zdaniem jako matka chrzestna mogę mieć na Tada dobry wpływ. Nauczę go, co to współczucie i wrażliwość, bo ty tego nie rozumiesz – odpaliła.

– Proszę?

Patrzyła mu prosto w twarz, nie zamierzała ustąpić. Nic dziwnego, że Roy zapomniał języka w ustach. Na palcach jednej ręki mogłaby policzyć, ile razy mu się postawiła.

Tad rozpląkał się na cały głos. Roy zmiął w ustach przekleństwo, odwrócił się na pięcie i ruszył do samochodu. Po paru sekundach SUV odbił od krawężnika. Dopiero teraz Jamie zaczęła się trząść.

\*

Niczego nie żałowała, absolutnie nie czuła skruchy. W idealnym świecie być może mówiłaby innym tonem, mniej zapalczywie i bardziej dojrzałe. Niestety, to nie był idealny świat i nie żałowała słów, które padły. W końcu Roy usłyszał prawdę.

Niemniej przebieg tamtej kłótni przewijał się w jej głowie, gdy stała pod prysznicem, gdy się ubierała. Wymamrotała którąś z kwestii, kiedy cień na powiekach okazał się za ciemny, warkliwie zacytowała inną, wyszarpując z szafy bluzkę, która nie chciała ześliznąć się z wieszaka.

Słowem nie wspomniała o wizycie Roya Bradowi, kiedy po nią przyjechał. Najpierw sama musiała się z tym wszystkim uporać. Niewątpliwie dała się ojcu sprowokować. Teraz już oboje rodzice byli na nią źli.



Jedno zdanie z tej awantury szczególnie utkwiło jej w pamięci. „Możesz sobie lekceważyć zdanie Brada, chociaż on jest tą sytuacją prawie tak sfrustrowany jak ja”. W takim razie musiało dojść między nimi do jakiejś rozmowy i zgodnie potępili jej upór. Lepiej jednak zachować ostrożność. Roy mógł przekreślić jego słowa lub, co gorsza, usłyszeć dokładnie to, co chciał usłyszeć. Niewykluczone, że Brad stanął w jej obronie.

Niestety, raczej w to wątpiła.

Pogoda dodatkowo pogłębiała jej kiepski nastrój. Deszcz spadł jeszcze przed przyjazdem Brada i padał przez całą kolację, a mimo to temperatura nie obniżyła się nawet o stopień. W rezultacie gorące powietrze zrobiło się gęste od wilgoci. Włosy jej się poskręcały, piegi prześwitywały przez makijaż, a dżinsy lepiły się do ud i nie pomagało wiercenie się w fotelu. Brad umówił się z kolegami ze studiów prawniczych, ona z lepszym lub gorszym skutkiem próbowała włączać się do ich rozmowy, lecz roztrząsanie prawnych, często zawitych kwestii nie sprzyjało towarzyskiej konwersacji.

Z Bostonu wracali w ulewie. Zanim dotarli do domu, pierwszy pomruk grzmotu przetoczył się gdzieś w chmurach, zakończony hukiem pioruna. Gdy niebo rozdarła błyskawica, potwierdzając przewidywania Brada, najlepiej było ułożyć się na kanapie i włączyć powtórkę serialu *Homeland*. Musieli zwiększyć głośność, bo deszcz, siekąc o drzwi na taras, zagłuszał wszystko oprócz potęgających się grzmotów. Podczas podmuchów porywistego wiatru dom zdawał się trząść w posadach. Po ogłuszającym grzmocie i towarzyszącym mu oslepiającym błysku zgasło światło. Pozbawieni prądu i telewizji, poszli do łóżka. Kochali się. To była chyba jedyna rzecz, która uwalniała od myślenia.

Brad, zaspokojony i szczęśliwy, prawie natychmiast zasnął. Jamie chciała pójść w jego ślady, jednak nie potrafiła się wyciszyć. Nerwy miała napięte jak postronki. Przez burzę? Rodziców? Seks?

Leżała przez jakiś czas wsłuchana w deszcz bębniący o świetlik. Błyski słabły, burza się oddalała. W końcu Jamie wstała, narzuciła szlafrok i zeszła na parter. Niestety, strzępy dzisiejszych rozmów – podejrzliwość matki, wściekłość ojca – podążyły za nią. Namacała zapałki i zapaliła białą, wysoką świecę w szklanym lampionie na kuchennej wyspie. Knot zajął się migotliwie. Wpatrywała się w płomień, liczyła, że uspokoi ją jego taniec, lecz rozdrażnienie jej nie opuszczało.

Uchyliła drzwi frontowe i wyjrzała na zewnątrz. Deszcz przeszedł w mżawkę, ciszę zakłócał jedynie szum wody ciurkającej z dachów i plusk kropli osuwających się z koron drzew. Okna we wszystkich okolicznych domach, tak samo jak u niej, były ciemne. Zapewne ktoś już zgłosił awarię. Gdy pomyślała, że może warto zadzwonić do elektrowni i zapytać, kiedy włączą prąd, zobaczyła dwa snopy światła skręcające w ulicę.

W taką pogodę nikt z sąsiadów raczej nie wracałby o tej porze. Rozstaw reflektorów wskazywał na samochód osobowy, monterzy przyjechaliby furgonetką. Przestraszyła się, gdy światła znieruchomiały na wysokości jej domu.

Czyżby jakiś poszukiwacz okazji, korzystając z egipskich ciemności, objeżdżał okolicę i dostrzegł uchylone drzwi? Powinna czym prędzej je zatrzasać, zawołać Brada, wezwać policję. Zanim zdążyła się ruszyć, drzwi po obu stronach wozu otwały się i lampka nad kokpitem oświetliła wnętrze.

Policjanci.

Przed jej domem.

O pierwszej w nocy.

Poczuła nerwowe ssanie w dołku na widok dwóch funkcjonariuszy oświetlających latarkami ścieżkę do jej domu. Obaj mieli na sobie przeciwdeszczowe kurtki. Gdy się zbliżyli, w młodszym rozpoznała posterunkowego, z którym minęła się w czwartek rano na parkingu U Fiony. Przed nim ciężkim krokiem szedł starszy, tęgawy policjant. To był komendant, Paul Logan, miejscowy chłopak, który po studiach w szkole policyjnej wrócił na stare śmieci. Znali się z Royem jeszcze ze szkoły i do dziś się przyjaźnili.

– Paul? – wydusiła zdenerwowana.

Uniósł głowę.

– Możemy wejść do środka? – Głos miał ochrypły.

Z trzepoczącym sercem otworzyła szerzej drzwi.

– Co się stało?

Obecność Paula wywołała tysiąc niepokojących myśli. Gdy zdjął czapkę, by strząsnąć z niej krople deszczu, zobaczyła jego oczy. Wypełniał je smutek.

– Był wypadek.

Oddech uwiązał jej w płucach.

– Kto?

– Twój ojciec i jego żona.

Na moment zawisła w czasie.

– Groźny?

Skinął głową i spojrzał poza nią, na Brada, który właśnie stanął przy nich w dżinsach i w rozpiętej koszuli.

– Co się dzieje? – zwrócił się do Paula.

– Tata miał wypadek – wyszeptała przerażona Jamie. – On i Jess. – Jest bardzo źle? – zwróciła się do Paula, z trudem wydobywając głos. – Powiedz mi – ponagliła go, widząc, jak nerwowo przęłyka ślinę.

– Piorun uderzył w drzewo. Spadło na ich samochód. – Na sekundę zawiesił głos. – Twojemu ojcu się nie udało. Jess jest w drodze do szpitala, ale nie wygląda to dobrze.

– Nie udało się – powtórzyła, nie całkiem rozumiejąc.

– Gdzie? – wtrącił się Brad. – Kiedy?

– Podejrzewamy, że drzewo zważyło tamto ostatnie wyładowanie, ale dowiemy się więcej, gdy biegli z medycyny sądowej obejrzą samochód. To się stało na River Run.

– Co to znaczy, że się nie udało? – spytała.

– Bardzo mi przykro.

Resztę wyczytała w zgaszonych oczach Paula. Osunęłyby się na podłogę, gdyby Brad jej nie podtrzymał.

– Nie żyje? – wyszeptowała.

To nie miało sensu. Musiało zajść jakieś nieporozumienie. Ale Paul był przyjacielem Roya. I szefem policji. Nie mógł się mylić.

O Boże, Boże, Boże, jęczała w duchu. Spojrzała na drugiego policjanta. Jego przestraszona twarz mówiła, że pierwszy raz składa taką wizytę.

Łzy napłynęły jej do oczu. Nie do końca ogarniając rozumem znaczenie słów „nie żyje”, skupiła się na szczegółach.

– Drzewo upadło. Na nich? Zepchnęło ich na inny samochód? Zjechali z drogi? Dachowali? Na niektórych odcinkach River Run są strome zbocza.

– Jamie, to w tej chwili nie ma znaczenia – odezwał się Brad i ścisnął ją za ramię. Komendant ją rozumiał.

– Samochód stał na drodze przygnieciony potężnym drzewem – tłumaczył łagodnie. – Jadą tam teraz stanowi eksperci z medycyny sądowej. Dopiero wyniki autopsji wyjaśnią, czy śmierć nastąpiła w wyniku uderzenia, czy nagłego zatrzymania się samochodu.

– Myślisz, że umarł natychmiast?

– Roy, tak.

– Jess była przytomna?

– Nie, ale oddychała. Nie wiem, kogo z jej rodziny mam zawiadomić i kto zaopiekuje się Tadem. Ktoś powinien zadzwonić do Randi.

Miranda MacAfee była jedyną siostrą Roya. Mieszkała w Kalifornii, nie miała nic wspólnego z MacAfee Homes.

– Najpierw jednak musimy zawiadomić Thea. Chcecie, żebym się tym zajął?

Spanikowana Jamie przeniosła wzrok na Brada. Był zszokowany, świadczyły o tym szeroko otwarte oczy za szklami okularów, ale zrozumiał jej spojrzenie.

– Ty powinnaś zająć się Tadem – zdecydował. – Chcesz, żebym pojechał do Thea?

– Ehm, nie. Nie, nie. – Odkaslnęła. – Mama do niego pojedzie. Ona będzie wiedziała, jak to zrobić.

Nie miała wątpliwości, że Caroline jako jedyna mogła przekazać tę wiadomość Theo. Myślała intensywnie, kogo jeszcze powinni powiadomić i jak

mają to zrobić. Miała mętlik w głowie, była absolutnie nieprzygotowana na taki koszmar.

– A ty może... pojedź na miejsce wypadku.

\*

Nie płakała. Tyle spraw należało załatwić. Obmyła twarz, związała włosy w koński ogon, narzuciła koszulę i wciągnęła dzinsy. Podnosząc komórkę, o mało nie wypuściła jej z trzęsącej się ręki.

Brad zdążył już postawić dach kabrioletu. Przytulił ją, zanim wsiadła do samochodu.

– Na pewno nie chcesz, żebym z tobą pojechał?

Pokręciła głową.

– Poradzę sobie.

Ruszając sprzed domu, nie była już taka pewna. Jess może z tego wyjdzie, ale „nie żyje” o ojcu brzmi ostatecznie. Nie docierało do niej, że Roya już nie ma. Coś ciągnęło ją na miejsce wypadku. Widok samochodu ojca pozwoliłby jej uwierzyć, że to się stało naprawdę. Jeździł bmw. Ludzie nie giną w beemkach.

Paul Logan widział samochód i był wstrząśnięty.

Jechała, mocno trzymając kierownicę. Mokre jezdnie pokrywały połamane gałęzie i liście. W oknach niektórych domów w dzielnicy Caroline paliły się światła, a więc tam mieli prąd.

O scysji z matką przypomniała sobie dopiero, skręcając w jej ulicę. Obrażona czy nie, Caroline na pewno nie zawiedzie Thea, bo zapiekłość nie leżała w jej charakterze.

Na ścieżce przed domem, tak jak i na chodniku, walały się śmieci. Schodki przed domem były mokre. Podmuchy wiatru nie oszczędziły nawet werandy. Ominęła wywrócone kute krzesło obok stolika i wyciągnęła rękę do dzwonka. Zawahała się i sięgnęła komórkę. Caroline spała z telefonem na nocnej szafce, „Na wszelki wypadek, gdybyś mnie potrzebowała, mawiała”.

Potrzebuję cię, mamo, pomyślała. Teraz cię potrzebuję.

Po drugim sygnale wyobraziła sobie, jak matka podnosi komórkę i mrużąc oczy, sprawdza, kto dzwoni. Gdy już myślała, że odezwie się poczta głosowa, usłyszała zaspane:

– Nie teraz, Jamie. Poczekaj z tym do rana.

– Tata nie żyje – wyrzuciła z siebie na zduszonym oddechu. – Jestem pod domem. Ktoś musi zawiadomić Thea.

Długa cisza. Pomyślała, że może jednak powinna nacisnąć na dzwonek, i wtedy jej uszu doszedł tupot na schodach.

Na werandzie rozbłysło światło i w drzwiach stanęła Caroline.

– Co takiego? – spytała pozornie spokojnym tonem, otwierając drzwi

z siatki.

– Przed chwilą był u mnie Paul Logan – zaczęła Jamie i chaotycznie streściła ich rozmowę.

Matka wyglądała na zszokowaną. Dopiero po chwili nieznacznie pokiwała głową i objęła Jamie ramionami.

– To bardzo smutne – wyszeptała. – Bardzo. – Przytuliła córkę mocniej do siebie.

Ta chwila, chociaż taka cenna, nie wyciszyła w Jamie wewnętrznego drżenia, bo Caroline dość szybko się od niej odsunęła i z niedowierzaniem w oczach zaczęła pytać o mało istotne w tej chwili szczegóły, jakby chciała zyskać czas na oswojenie się z tą wiadomością. Gdzie byli Roy i Jess? Czy poduszki zadziałały? W końcu palcami obu rąk – na prawej nadal miała opatrunek z rzepem – przyglądała potargane włosy i unosząc łokcie do góry, przycisnęła dłonie do głowy.

– Theo będzie zrozpaczony. Pojadę do niego.

– Tak będzie najlepiej. – Jamie odetchnęła. – Brad jest na miejscu wypadku. Ja muszę zawiadomić matkę Jess. Mieszka pod Leominster i może tu być w niecałą godzinę, zakładając, że zechce przyjechać.

Jessica była jedynaczką, miała tylko przyrodnie rodzeństwo. Matka z ojczymem żyli własnym życiem, skupieni na swoich sprawach. O ile Jamie wiedziała, matka Jess nie była zachwycona zięciem i stylem życia córki.

– Naturalnie, że przyjedzie.

– Nie mają dobrych relacji.

Ona i Caroline też ich w tej chwili nie miały, a jednak pozostały sobie bliskie.

– Co mam powiedzieć opiekunce Tada? – Jamie podniosła na matkę załzawione oczy. – Ona ma jakieś piętnaście lat. Przerazi się.

Caroline zastanawiała się przez moment ze wstrzymanym oddechem.

– Powiedz – wypuściła powietrze – że coś ich zatrzymało... no, że mają problem z samochodem i że ją zastąpisz.

– Tata zazwyczaj odwoził ją do domu.

– Tym razem musi po nią przyjechać ktoś z rodziców. Zadzwoń do nich.

Jasne. Tak właśnie robi. Caroline dobrze radzi, zawsze jest taka opanowana.

– Mamo, co do tamtej sprawy...

– Ćśśś. – Delikatnie przytknęła jej palce do ust. – O tym kiedy indziej. Teraz musisz się zająć Tadem.

– Jak? Co mam robić? Co mu powiedzieć?

– On jeszcze trochę pośpi, masz czas. Jess odzyska przytomność i powie ci, jak mu to wytłumaczyć.

– A co, jeśli ona się nie ocknie? Zapadnie w śpiączkę na wiele dni... albo

nigdy się nie wybudzi?

– Nie idźmy tak daleko.

Jak mogła nie wybiegać w przyszłość? „Wybrałem cię na matkę chrzestną mego syna”. To były najbardziej niewinne z ostrych, zawziętych słów, jakie padły między nią i ojcem w ich ostatniej rozmowie niecałe pół doby przed jego śmiercią. Teraz nabrały głębszego znaczenia. Dwa lata temu, krótko po narodzinach Tada, Roy z Jess ją o to poprosili. W razie gdyby coś się z nimi stało, miała zaopiekować się ich synkiem. I ona się zgodziła. Wcześniej w ogóle o tym nie myślała. Nic nie mogło się przydarzyć ani Royowi, ani Jess.

A jednak się stało.

Większość z ludzi traci rodziców. To naturalny porządek rzeczy. Ale dlaczego tak wcześnie? Tak niespodziewanie? Jeszcze nie do końca do niej docierało, że Roya już nie ma. Pozostawało jedynie się modlić, aby Jess przeżyła. Dla dobra Tada.

## Rozdział 9



Theo MacAfee mieszkał w willi w stylu Tudorów na wschodnim przedmieściu. To była jedna z pierwszych sztandarowych inwestycji firmy w Williston. Żona Thea, zakochana w domu, nigdy nie zgodziła się wystawić go na sprzedaż. Na Caroline ta masywna budowla zawsze robiła ponure wrażenie, a dziś w nocy wydawała się jeszcze bardziej przygnębiająca. Roy nie żyje. Zamilkł na zawsze. Przygnieciony drzewem.

To takie surrealistyczne. Och, jasne, był tylko zwykłym człowiekiem, zapewne wiedziała o tym lepiej od innych. Ale to jego wybudane ego! Nagła śmierć w jego przypadku wydawała się wykluczona.

Deszcz ustał i tylko resztki wilgoci strząsane wiatrem spadały z drzew, gdy zatrzymała się przed majestatyczną fasadą i wspięła się po szerokich kamiennych schodach. Z ciężkim sercem zadzwoniła do drzwi. Czekwała. Najchętniej wzięłaby nogi za pas, ale wiedziała, że musi tu być. Nacisnęła na dzwonek jeszcze raz, nasłuchując, czy na pewno działa. Cierpliwości, Caroline, powiedziała do siebie w myślach. W ciągu dnia Theo miał dochodzącą pomoc domową, na noc zostawał sam. Wyrwany ze snu, szybko się nie pozbiera.

W końcu zszedł, zapalił światło i zaspany, podejrzliwie uchylił drzwi. Na widok Caroline szerzej otworzył oczy. Wiedząc, że tylko coś bardzo złego mogło sprowadzić ją o tej porze, usunął się na bok.

Wśliznęła się do środka, zamknęła za sobą drzwi, mówiąc do niego szybko przyciszonym głosem. Na ułamek sekundy w jego niebieskich oczach pojawiła się panika. Spuścił głowę i głośno przełknął ślinę. Po chwili może z nadmiaru emocji, a może z niedowierzania jego twarz znieruchomiała. Akurat gdy Caroline tłumaczyła, że Jamie zajmie się Tadem, odwrócił się w połowie zdania, podszedł do telefonu na stoliku w holu i wystukał numer dłonią o artretycznie zniekształconych kostkach.

– MacAfee – warknął. – Dajcie mi komendanta.

Dyżurny policjant najwyraźniej czekał na jego telefon, bo natychmiast go połączył. Theo stał przygarbiony i słuchał, tylko od czasu do czasu rzucając jakieś burkliwe półsłówka.

– Paul już jedzie – mruknął, odkładając słuchawkę. Uniósł drżący palec na znak, by zaczekała, a sam wrócił na górę się ubrać.

Przecież i tak by została. Nie zostawiłaby go samego w takiej chwili. Usiadła w fotelu w stylu Ludwika XIV w niszy przy zakręcie schodów i wodziła wzrokiem

po zabytkowych meblach, obrazach i artystycznej ceramice, którą kolekcjonowała Patricia MacAfee. Przed oczyma cały czas miała twarz Thea w chwili, gdy usłyszał wiadomość. Dostrzegła panikę pomieszaną z rezygnacją. To trwało może sekundę, ale ona dobrze знаła ten grymas mówiący o bezradności. Podobny wyraz twarzy widywała u swojego ojca niedługo przed końcem, kiedy już wiedział, co się z nim dzieje, i nie umiał sobie z tym radzić. Tak wyglądają energiczne osoby nawykłe do dyrygowania, gdy tracą grunt pod nogami.

Pogrążona w tych niepokojących rozważaniach, pomyślała, żeby zadzwonić do Deana. Nie, chyba jednak zrezygnuje, ma za mało informacji.

Poprawiła się w fotelu. Skazana na beczynność, coraz wyraźniej widziała wagę tego, co się wydarzyło. Theo stracił syna. Jamie i Tad ojca, a Jess męża. Miasto straciło lidera, MacAfee Homes spadkobiercę.

Z fotela poderwał ją warkot silnika. Dobiegła do drzwi w chwili, gdy radiowóz zaparkował za jej ciężarówką. Wyczytała z miny Paula, że jest zdruzgotany.

– Jak Jessica? – spytała.

– Podłączona do respiratora. Kiepskie rokowania.

Przycisnęła dłoń do ust. „Podłączona do respiratora” zabrzmiało bardziej ostatecznie niż „nieprzytomna”. Niedobrze. Jamie powinna wiedzieć. Skoro jest już Paul, ona może pojechać do domu Roya i ją wesprzeć.

Theo zszedł ze schodów. Jakby w jednej chwili postarzał się i osłabł. Ostrożnie pokonywał stopnie, trzymając się poręczy. Odkaszlnął, gdy napotkał wzrok Paula.

– To ja już pójdę – odezwała się łagodnie Caroline, lecz teść przytrzymał ją za ramię.

– Nie. – Rzucił jej spłoszone spojrzenie. – Zostań – poprosił cicho. – Pojadę z tobą.

Mogła mu odmówić? Były teść ujmował się za nią więcej razy, niż potrafiłaby zliczyć. Teraz nie miał nikogo, stał się tragiczną postacią i chociaż bardzo chciałaby być już z Jamie, nie potrafiła go tak po prostu zostawić.

\*

Jamie nie wiedziała, czy to łązy ograniczają widoczność, czy para na szybie. Kilka razy myślała, żeby zawrócić. Jednak nie miała wyjścia, musiała jakoś dojechać do domu Roya, zmienić opiekunkę i zadzwonić do matki Jess. Z obawą myślała o tym telefonie, chociaż chyba i tak miała łatwiejsze zadanie niż Caroline.

Najtrudniej będzie zobaczyć Tada.

Światła kładły się krwawą smugą na prowadzących przez las uliczkach. Wielokrotnie tędy jeździła, ale nigdy o takiej porze ani w takim stresie. Zanim dotarła na miejsce, kluska w gardle urosła do bolesnych rozmiarów.



Dom Roya, dworek w stylu francuskim, jeden z wielu budowanych ostatnio przez ich firmę, stał na działce trzy razy większej od pozostałych. Był zdecydowanie za duży dla małżeństwa z jednym dzieckiem i według Jamie przesadnie pretensjonalny. Gdyby nie światła jarzące się w paru oknach, niełatwo byłoby do niego trafić na zalesionym pustkowiu.

Jamie zastała na miejscu matkę opiekunki. Jess obiecała wrócić przed północą. Po godzinnym poślizgu bez telefonu czy choćby esemesa zaniepokojona dziewczyna zadzwoniła do domu.

Jamie, z trudem panując nad emocjami, wyjaśniła, że z pewnych powodów przyjechała przejąć opiekę nad Tadem. Właściwie nie skłamała. Wkrótce wszyscy się dowiedzą. W Williston radiofalowcom amatorom zdarza się dla zabawy wchodzić na częstotliwość policji. Podejrzała, że wiadomość już rozeszła się po mieście.

Przeprosiła matkę za zwłokę, zapłaciła dziewczynie więcej, odprowadziła obie kobiety do wyjścia, po czym skierowała się do pokoju Tada. Roy wielokrotnie wspominał o zakupie tapczanika, ale jakoś tym się nie zajął, bo nadal stało tam dziecięce łóżeczko. Malec spał mocno z ulubionym pluszowym pieskiem w objęciach, z łosiem nad głową i porozrzucaną dokoła całą pluszakową menażerią. Postąpiła chwilę, wsłuchując się w spokojny, miarowy oddech dziecka, które spało błogo, nieświadome rozgrywającej się tragedii.

Dziecka?, pomyślała. Raczej maluszka, który nigdy nie pozna ojca. Jak to możliwe?

Rozpłakała się, targana bezsilnym gniewem. Żeby nie obudzić Tada, czym prędzej wyszła z sypialni i zbiegła na parter.

Łykając łzy, zaczęła szukać numeru do matki Jess. Naturalnie Jess ma go w swoim iPhone, który leży gdzieś w samochodzie. Otworzyła jej laptop, licząc, że znajdzie go w Kontaktach. Ale... jakie hasło? Nie miała pojęcia. Wreszcie w kuchni w szufladzie natrafiła na spis numerów do ludzi w awaryjnych sytuacjach z Maureen Olson na samym końcu. Przeszło jej przez myśl, że Jess raczej się łudziła, sądząc, że w razie potrzeby matka ochoczo się stawi na zawołanie.

Niemniej głęboko współczuła Maureen, budząc ją teraz, w środku nocy, taką wiadomością. Biedna kobieta zaniemówiła. Mąż musiał przejąć słuchawkę, żeby zapytać o szczegóły.

Niestety, Jamie sama niewiele wiedziała. Dobrze, że nie musiała dzwonić do siostry Roya. Jak cudownie by było, gdyby ojciec – padło między nimi tyle jadowitych słów – podjechał w tej chwili pod dom i stanął w drzwiach. Szkoda, że nie ma przy niej matki.

Na myśl o niej napisała esemesa do Brada.

*Gdzie jesteś?*

*Na miejscu wypadku. Nie chciałabyś tego widzieć.*

*Tak źle?*

*Fatalnie. Stało się wcześniej, niż myśleliśmy. Potrwało, zanim ich wyciągnęli.*

Oczywiście wyobraźni zobaczyła, jak przyjeżdża samochód strażacki ze specjalnymi nożycami. Unoszą drzewo, rozcinają dach... A pod spodem?

Zacisnęła powieki, żeby pozbyć się tego widoku.

*Właśnie przyjechała Caroline z Theo, przyszedł następny esemes od Brada.*

*Jak on?*

*Opanowany. Dzwoniłaś do matki Jess?*

*Tak. Jedź do szpitala. Wiesz, co tam?*

*Pod aparaturą.*

Opuściła rękę z telefonem. Jess też? Nie. Nie. Cuda się zdarzają, wybudzi się. A jeżeli zostanie kaleką?

\*

Do świtu snuła się po parterze. Biblioteka, pokój dzienny, stołowy, salon. Z każdym okrzykiem ten dom budził w niej coraz większą niechęć. Czuła się jak w mauzoleum. Oprócz niewielkiego pokoju ze skórzanym kompletem wypoczynkowym i z zabawkami rozsianymi na podłodze wszędzie panowało skrajnie tradycyjne połączenie jedwabi, welurów i rzeźbionych mahoniowych mebli o obiciach z niebiesko-złotego brokatu. Ściany zakrywały obrazy, na stolikach tłoczyły się flakony wazy i lampy. Gdyby to były pamiątki rodzinne, może efekt okazałby się inny, ale te miał u siebie Theo. Roy kupował wszystko, co doradził mu jego ulubiony dekorator wnętrz, dawniej pracownik MacAfee, według Jamie człowiek o drobnomieszczańskim guście. Miała wrażenie, że się dusi w tym domu, przytłoczona nadmiarem przedmiotów. Tutaj zawsze, nie tylko dzisiaj, jakby brakowało jej tlenu w powietrzu. Wytrzymała u Roya dzień, góra dwa. Jeżeli dłużej miała opiekować się Tadem, zabierała go do siebie.

Dom niewątpliwie został urządzony na pokaz, a myśl, że w takim otoczeniu miało się wychowywać dziecko, wywoływała w niej dreszcze. Co prawda nikt znanadto nie ograniczał Tada. Jego zabawki leżały w kuchni, w sypialni i w pokoju telewizyjnym. Wolno mu też było się bawić w urządzonej suterenie, na wyłożonym kostką podjeździe i na przestronnym podwórzu. Właściwie niczego mu nie brakowało.

Przynajmniej w sensie materialnym. Ale strata rodziców, którzy staną się dla niego tylko strzępkami wspomnień? W porównaniu z tym wszystkie rzeczy świata funta kłaków nie były warte.

W wędrowce po domu pominęła piętro. Nie zniosłaby widoku sypialni Roya i Jess. Na koniec przysiadła przy kuchennym blacie z komórkę i z odbiornikiem „elektrycznej niani” w pobliżu ekspresu do kawy. Parzyła ją z potrzeby nie tyle

kolejnych dawek kofeiny, ile dodatkowej porcji ciepła. Była przemarznięta do kości. Może Roy za mocno podkreślił klimatyzację, a może ciągle była w szoku. Nie zmrzyła oczu nawet na minutę, pewnie nie zasnęłaby nawet, gdyby próbowała. W głowie kłębiły się powodowane lękiem i niedowierzaniem myśli, przed oczami przesuwały się koszmarnie obrazy.

Brad i Caroline byli z Theo. Na pewno poczułaby się lepiej, gdyby któreś z nich przyjechało, lecz rozumiała, że w tej sytuacji nie mogli go zostawić. Wymieniane z nimi esemesy nie przynosiły ulgi. Podobnie jak telefony do szpitalnej dyżurki. Nie było dobrych wieści.

\*

O szóstej usłyszała popłakiwanie Tada. Wpadła w panikę. Postanowiła poczekać, modląc się, żeby malec jeszcze zasnął. Nie minęła nawet minuta, gdy usłyszała zdecydowane: „Maaamaaa!”.

Tłumiąc łzy, weszła na górę. Znała poranną rutynę – zmiana pampersa, ciepłe mleko w kubeczku z ustnikiem w pokrywce, śniadanie. Dostatecznie często zostawała z nim na noc, aby wiedzieć, że kiedy otworzy drzwi, zobaczy go stojącego przy szczebelkach łóżeczka. I rzeczywiście tym razem też tak było. Potargane czekoladowe loki, pogodne brązowe oczy, różowe policzki i kciuk w buzi, który natychmiast wyjął na jej widok. Ucieszony, wyszczebiotał jej imię.

To było takie słodkie, a jednocześnie smutne, że o mało nie pękło jej serce. Biedactwo nie miał pojęcia, jak bardzo zmienił się jego świat. Z trudem stłumiła wzbierający w gardle szloch.

– Hej, małpeczko – wyszeptła, nie chcąc, żeby usłyszał drzenie w jej głosie. Wyciągnął do niej rączki, gdy zbliżyła się do szczebelków. Przytrzymała go lewym ramieniem i uwolniła ze śpiworka, a potem wzięła na ręce i kołysała przez chwilę, łykając łzy.

Skup się, Jamie. Ręka ci mdleje pod tą ciężką od siuszków pieluchą.

Gdy się już opanowała, wysunęła go z objęć.

– Jak się spało?

– Ciemno osia – oznajmił i wychylił się ku łóżeczku. Podała mu zabawkę i próbowała ułożyć go na stole do przewijania, lecz on się wiercił i prężył, dopóki nie postawiła go na podłodze. Aha, coś się zmieniło od ostatniego razu. No dobrze. Do przejścia.

Niestety, zmiana pampersa na stojąco okazała się nie lada wyzwaniem. Tad najpierw próbował odmaszerować do plastikowego garażu, potem złapał za śmieciarkę i usiłował sięgnąć ludzika, który wypadł z szoferki. Czas zacząć go sadzać na nocnik – czy Jess już zaczęła go uczyć?, pomyślała, zmagając się z czystą pieluszką. Przewijanie nigdy nie wychodziło jej tak sprawnie jak Jessice, bo robiła to rzadko, a na dodatek malec jej w tym nie pomagał. Dopiero za trzecim

razem udało jej się porządnie zakleić taśmy pampersa. Dla pewności od razu nałożyła mu dzinsowe porteczki.

Chłopczyk natychmiast klapnął na podłogę, zgarnął śmieciarkę i buldożer oraz całą gromadkę ludzików. Podawał zabawki Jamie, władczo ją instruując:

– Daj pana tu... Nie, nie ten... Brrrymm, brrrymm... Nanie wyzuć.

Obecność Jamie była dla niego dużą atrakcją.

Jak dobrze, że on nic nie rozumie, zdążyła pomyśleć, gdy Tad bez ostrzeżenia wybiegł z pokoju i ruszył ku schodom. Kiedy przestraszona w ostatniej chwili go złapała, ze zdziwieniem stwierdziła, że nauczył się schodzić, trzymając się poręczy. Od początku był bardzo ruchliwym dzieckiem.

Jak jego tata, pomyślała. Szkoda, że nigdy nie zobaczy, jak synek jeździ na rowerze, gra w tenisa, trafia piłką do kosza.

Z ciężkim sercem naląła mu mleka do kubeczka. Kiedy dreptał za nią po całej kuchni, przygotowała mu miseczkę płatków i próbowała go posadzić przy kuchennej wyspie. Od dawna nie akceptował wysokiego krzeselka, a teraz nie dał się namówić na dziecięcy fotelik.

– Tu, Nanie. – Energicznie poklepał stołek, a kiedy go podsadziła, wskazał na sąsiedni. – Nanie je.

Nie była głodna. Po kilku minutach wyjęła z lodówki jogurt i owoce. Wsypała mu czarne jagody do miseczki i sama zjadła kilka dla zachęty.

– Calne, nie! – zaprotestował na cały głos.

Zanim przyniosła nowy talerzyk, malec zdążył rozlać zawartość miski i malować mleczne wzorki na granitowym blacie. Sięgnęła listek papierowego ręcznika, a przy okazji wysypała ich cały pęk z pojemnika.

Może przywołałaby go do porządku, gdyby nie była myślami gdzie indziej. Zupełnie nie miała pojęcia, co zrobić z Tadem po śniadaniu. Wykombinować jakąś zabawę w domu, wziąć go na dwór, zawieźć na któryś z placów zabaw w mieście? Skąd miała brać siłę do zabawy w tym najczarniejszym z dni?

Skup się, nakazała sobie kolejny raz. Ale jak, kiedy to wszystko się działo? Tad miał dobrze. Był dzieckiem. Nic do niego nie docierało. A może...?

– Dzie mama? – Duże brązowe oczy zawisły na jej twarzy.

Umm. Omójboże. Co powiedzieć?

– Musiała wyjść.

Uff, wyraźnie tyle go zadowoliło. Nie dostrzegł nic absurdalnego w tym, że Jess mogła wyjść o tej porze.

– Dzisiaj będziesz z Nanie – oznajmiła, pozwalając mu pomagać przy wycieraniu blatu. Bardzo zajęło go rozmazywanie mleka. Cierpliwie czekała, aż ta zabawa mu się znudzi.

Nie chciała za wcześnie bombardować matki esemesami. Wytrzymała zaledwie do siódmej. Odpowiedź przyszła już po paru minutach. Na następne

pytania dostawała skrótove odpowiedzi. *Odwożę Thea do domu. Ani słowa o Jess. Plany pogrzebowe później, jak będzie więcej wiadomo. Theo chce, żeby powiadomić pracowników MacAfee.*

*Zajmij się tym*, poprosiła w ostatnim esemesie. Jamie chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej, ale rozumiała, że Caroline jest skupiona na Theo i być może ma z nim więcej roboty niż ona z Tadem. On zdawał sobie sprawę z tego, co się działo.

\*

Przyjazd Brada krótko po wymianie esemesów z matką nie podniósł jej na duchu. Włosy miał w nieładzie, twarz bladą i sińce pod oczami. Gdy próbowała wypytać go o szczegóły, z rezygnacją pokręcił głową. Tak samo zareagował na pytanie o Jess. Widząc, w jakim jest stanie, zrezygnowała z dalszych prób, chociaż tyle pytań cisnęło jej się na usta.

Czy gdyby wypadek nie wydarzył się poza miastem, skutki byłyby mniej tragiczne? A jakby pomoc szybciej nadeszła, byłaby szansa uratować Roya? Czy ktokolwiek to wie?

Zapewne odpowiedź za każdym razem brzmiałaby „nie”. Brad potrzebował czasu na otrząśnięcie się po tych koszmarnych widokach i chyba powinien coś zjeść. Zostawiła go z Tadem w pokoju i poszła zrobić mu śniadanie, jednak już po paru sekundach malec przydreptał do kuchni. Dobrze, bo jego obecność wypełniała ciszę i rozpraszała myśli o Royu. Brad był na miejscu wypadku i widział, co po nim zostało, lecz jej wyobraźnia cały czas pracowała.

Wróciła do pokoju po drewniane wagoniki i poskładała pociąg Tadowi. Brad w tym czasie z nieobecnyim wzrokiem ulokował się na stołku z łokciami wspartymi na granitowym blacie. Pogładziła go po plecach, w odpowiedzi posłał jej blady uśmiech.

Mogłaby poszukać słów pocieszenia, ale co się mówi w takiej sytuacji?

\*

Co się mówi, dowiedziała się niecałą godzinę później, gdy zaczęto dzwonić z wyrazami współczucia. Dziękuję, że jesteście myślami przy nas. Tak, to dla nas szok, odpowiadała. Potem pojawiły się telefony z pytaniami. Przykro mi, nie wiem, Może. Na razie nie mamy żadnych planów. I jeszcze takie z życzliwymi radami, gdy musiała silić się na wdzięczność. Tak, będę pamiętać. Nie, o tym nie pomyślałam. Dziękuję za pomoc.

Ostatni dzwoniący zaoferował się zaopiekować Tadem, wziąć go do siebie na czas pogrzebu, ale ona nie wybiegała myślami tak daleko. Jej plany ograniczały się do następnej godziny.

\*

Było coś okrutnego w tym słonecznym dniu po spustoszeniach, jakie burza dokonała w nocy, a jednak czuła, że musi wyjść na dwór. Brad ledwo tknął jedzenie i z żalobną miną tkwił odrętwiały na stołku. A czy jej było łatwo? Niestety, ktoś musiał zająć się Tadem. Mówiła sobie, że dzieciak jest za mały, żeby zrozumieć, co się stało, a jednak chyba musiał wyczuwać coś złego, bo kurczowo trzymał się jej spódnicy i od czasu do czasu pytał o mamę.

Zanim wybrała się z nim na podwórko, zjawiała się zapłakana Maureen Olson. Badania wykazały brak aktywności mózgu. Lekarze poprosili o konsultację neurologów z dwóch innych szpitali. „Śmierć mózgu” – brzmiała zgodna diagnoza. Jess przy życiu utrzymywała aparatura.

Jamie była załamana. Rozplakała się, nie tyle przejęta łzami Maureen, ile losem Tada. Nie zobaczy już swojej mamy. Jess nigdy nie wróci do domu. Zawsze się modliła, żeby Tada ominął los dziecka rozwiedzionych rodziców. Ale to? To było znacznie gorsze.

Maureen zarzuciła ją potokiem słów; błagała lekarzy, żeby dali jej choćby iskierkę nadziei, próbowali coś zrobić, cokolwiek, a kiedy oni stanowczo twierdzili, że są bezradni, skoro testy wykazały śmierć mózgu... uznała, że lepiej pozwolić, aby jej córka umarła z godnością... raczej nie może zabrać Tada do Leominster, tamte dzieci są już dorosłe, jej mąż nie zniosłby hałasu, a ona nie umie zajmować się małym dzieckiem.

Jakby Jamie kiedykolwiek brała pod uwagę oddanie Tada.

Maureen, błędnie odczytując jej minę, plotła coś o pieniądzach, braku czasu, artretyzmie, a nawet o zaplanowanej podróży, dopóki Jamie jej nie powstrzymała, stanowczym gestem kładąc rękę na jej ramieniu.

– Tad jest mój – oznajmiła.

Serce Jamie zabiło mocniej, bo dopiero teraz, kiedy te słowa padły, pojęła ich wagę. W poszukiwaniu wsparcia obejrzała się na Brada.

– Zaraz po narodzinach synka Roy i Jess na wszelki wypadek wskazali mnie jako opiekuna prawnego, tylko nigdy nie przeszło mi przez myśl... – Na widok zdumionej miny Brada odwróciła się z powrotem do Maureen.

– Pochowamy ich razem.

Kobieta kiwnęła głową, niezgrabnie uściskała wnuka i stwierdziła, że musi wracać do szpitala.

Tad jest mój Tad jest mój Tad jest mój. Te słowa odbijały się echem w głowie Jamie, coraz mocniej uświadamiając jej, co ze sobą niosą. Brad milczał, skierowała więc całą frustrację na Maureen. Jak mogła tak chętnie zrezygnować z wnuka, jedyne dziecko swojej córki.

Wzburzona, wzięła Tada na ręce, a on wtulił buzię w zagłębienie jej szyi. Dotyk drobnego, ciepłego ciała niespodziewanie sprawił jej ulgę. Jest wszystkim, co zostało mi po ojcu, pomyślała.

On ma tylko mnie, prawie natychmiast pojawiła się druga, zatrważająca myśl.

Nie oglądając się na Brada, wyszła na dwór kuchennymi drzwiami.

## Rozdział 10



Brad dołączył do niej jakiś czas później. Bujała Tada na ogrodowej huśtawce. Monotonny, przewidywalny, usypiający ruch działał kojąco na nerwy. Popchnęła fotelik i podniosła oczy na Brada.

Wyglądał na wyczerpanego. Nic dziwnego, zmogły go tamte koszmarne widoki i brak snu. Ona przeżywała ten sam koszmar i potrzebowała wsparcia. Zapewnienia, że wszystko się ułoży, że poradzą sobie, że on zastąpi Tadowi ojca.

Tymczasem Brad stał przy niej i nie odzywał się słowem.

– Czy ona poprosi o odłączenie Jess? – spytała, żeby skłonić go do rozmowy.

– Chyba tak.

– Nie zazdroszczę jej. – Pchnęła huśtawkę. A potem jeszcze raz i jeszcze raz. Brad cały czas milczał.

Tad wychylił się z krzeselka i obejrzał na nią.

– Nanie, ciem zejść!

Zatrzymała huśtawkę. Gdy go zdejmowała, jego bucik zaklinał się w otworze na nogi.

– Brad... – Chciała, żeby jej pomógł, przecież stał tuż obok, lecz zanim się ruszył, sama zdążyła uwolnić but.

Tad pobiegł do piaskownicy i plastikowymi grabkami grzebał w piasku. Jamie, nie spuszczać go z oczu, myślami była przy Jess.

– Szczerze lubiłam Jess. Miała dobre serce.

– Nie tak jak jej matka.

– Nie. Po ponownym zamążpójściu Jess była dla niej jak piąte koło u wozu. A potem pojawiło się przyrodnie rodzeństwo i zrobiło się jeszcze gorzej. Nie mieści mi się w głowie taka obojętność wobec własnego wnuka. To chyba wynika z jej charakteru.

– Uczciwie powiedziała, że nie jest gotowa się nim zająć.

– Ja też nie, ale czy mam wybór?

Brad nie odpowiedział.

– Ty też jesteś zaskoczony – powiedziała cicho. – Ale teraz to mój obowiązek.

– Nie wiedziałem, że jesteś jego prawnym opiekunem.

– Nigdy nie przyszło mi na myśl, żeby ci o tym mówić. Nie przypuszczałam, że stanie się coś takiego.

– Nie widzę cię w tej roli.



- Nie mam wyboru.
- A co z pracą?
- Jeszcze o tym nie myślałam.
- Wkrótce będziesz musiała.

– Od śmierci taty nie minął nawet dzień – obruszyła się i być może powiedziała by więcej, gdyby nie przeraźliwy płacz Tada. Spojrzała za siebie. Leżał jak długi buzią do ziemi. Musiał się potknąć o krawędź piaskownicy. Przestraszona, z wyrzutami sumienia rzuciła się ku niemu. Gdyby stała bliżej i nie spuszczała go z oka, zdążyłaby go złapać.

Zanim do niego dobiegła, stanął na czworakach, zanosząc się płaczem. Wzięła go na ręce i obejrzała oblepione piaskiem kolana. Krwi, na szczęście, nie było.

Przytuliła go mocno.

- No już, już, cichutko, nic się nie stało – uspokajała go z bijącym sercem.
- Ciem mamę.

Jak dobrze go rozumiała. Przed kim, jak nie przed matką, można się wyplakać, u kogo szukać pocieszenia? A teraz ona, osierocona przez Roya, skonfliktowana z Caroline, zniechęcona postawą Brada, trzymała w ramionach łkającego malucha. Rozumiała jego rozpacz, czuła się tak samo samotna i opuszczona jak on.

Postawiła go na ziemi, kciukami otarła łzy z policzków, pocałowała w czoło i z powrotem wzięła na ręce.

- Moje maleństwo. Nanie jest przy tobie i już cię nie zostawi.

I nie zostawiła. Podkarmiła go, nosząc na rękach, nie zwracając uwagi na dzwoniący telefon. Dom powoli wypełniał się przyjaciółmi rodziny. Gdy zszokowani, zbici w gromadki w kuchni i w salonie, trwożnym szeptem wymieniali uwagi, przeniosła się z Tadem do pokoju. Wzięła go na kolana i czytała mu kartonowe książeczki. Kiedy zaczął się wiercić, wyszła z nim na dwór i zaprowadziła do garażu pełnego zabawek, lecz niczym nie umiała go zająć, bo on tylko chciał mamę i tatę.

Jakie to okrutne, pomyślała zgnębiona.

Wielu z przybyłych dołączyło do niej z kondolencjami, przy okazji zadając pytania, na które nie miała odpowiedzi. Siliła się na uprzejmość, czując, że już dłużej nie da rady. Zostawiła im pisanie esemesów do bliższych i dalszych znajomych, a sama poszła z Tadem na spacer. Jechał na trzykołowym rowerku, popychany przez Jamie, przebierając nogami po ziemi. Zapuściła się z nim dalej, niż powinna, i w rezultacie z powrotem musiała go nieść. Posadziła go sobie na biodrze, drugą ręką ciągnąc rowerek.

Brada już nie zastała. Pojechał do Thea odbierać telefony w jego imieniu.

Jedni ludzie znikali dyskretnie, a w ich miejsce pojawiali się nowi. Byli

wśród nich zarówno przyjaciele Roya i Jess, jak i kooperanci MacAfee Homes.

Około południa nowi odwiedzający zaczęli przywozić jedzenie. Pojawiły się kanapki, zapiekanki, herbatniki, ciasta oraz sałatka owocowa w wydrążonym arbuzie. Jamie była im wdzięczna za te gesty życzliwości, ale prawdziwą ulgę sprawił jej widok Desiderii Carmel, pomocy domowej Roya i Jess. Poruszona wiadomością, uznała, że może się przydać, i rzeczywiście, od razu stanęła w kuchni.

Jamie z grzecznym uśmiechem odrzucała wszelkie propozycje przejścia opieki nad Tadem. Sama chciała się nim zajmować. Z przykrytych folią naczyń wybrała parę kawałków kurczaka oraz trochę makaronu i karmiła go, trzymając na kolanach. Mało zjadł. Zbyt wielu ludzi kręciło się wokół, za duży zamęt panował w domu. Bardziej poszczęściło jej się z owocami. Najlepiej jednak smakowały mu kruche ciasteczka. Przy ostatnim zaczął trzeć oczy piąstkami.

Był zmęczony. Ona też czuła znużenie. Zniosła malca na górę, zmieniła mu pampersa i położyła do łóżeczka. Momentalnie zasnął. Jamie usiadła obok w bujanym fotelu i nie wiadomo kiedy zapadła w drzemkę.

Poderwał ją dzwonek u drzwi. Ten krótki sen musiał być bardzo głęboki, bo w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Rzeczywistość przedarła się do świadomości wraz z nerwowym skurczem żołądka. Wychyliła się z fotela i sprawdziła, co z Tadem. Na szczęście spał. Na dole, pomimo takiej liczby ludzi, sytuacja została opanowana. Uroczyście nakryty stół oferował duży wybór przekąsek i napojów. Żadnych papierowych talerzyków, wyłącznie porcelana i kryształ; ślubne prezenty Jess. Roy pochwaliby taką elegancję.

Za to na pewno skrytykowałyby wygląd Jamie – całe wieki temu ubrała się w tę koszulę i dzinsy – ale nie miała wyjścia. Nie zdecydowała się pojechać do domu po bardziej odpowiedni strój, bo Tad mógł się w każdej chwili obudzić. I dobrze się stało, bo przy dziecku eleganckie rzeczy się nie sprawdzają. Zanim Tad zdążył wstać, była udręczona współczuciem tych wszystkich ludzi. Czuła, że musi jak najprędzej się od nich uwolnić, żeby nie stracić zmysłów.

\*

Plac zabaw dzieliło od domu pięć minut jazdy samochodem. Wiele razy prowadziła SUV-a Jess i zapewne dlatego wsiadła do niego bez większych oporów. Zresztą nie miała wyboru. W kabriolecie nie było dziecięcego fotelika, a wycieczka na plac zabaw wydawała się najlepszym rozwiązaniem.

Wcześniej zabierała tam Tada w zwykłe dni. Dzisiaj, w niedzielę, plac zapełnił się rodzinami. Ona, samotna z dzieckiem, patrzyła na te radosne gromadki z jeszcze większym poczuciem straty. Stała z minutę przed płotem, wahając się, czy rzeczywiście chce tam wejść. Skoro potrzebowała oddechu od ludzi, mogła zrobić parę okrążeń samochodem.

Na wysokości jej kolan paluszki zaciśnięte na metalowej siatce niecierpliwie zatrzęsły bramką. Przede wszystkim liczył się Tad, więc nacisnęła na klamkę. Malec rzucił się biegiem do ażurowej półkuli. Zdążył już poznać ten sprzęt, bo gdy znalazła się przy nim, śmiało wstawiając stópki w kolejne otwory, wspinał się do góry.

Została jednak rozpoznana, gdy asekurując Tada, obchodziła dokoła półkulę. I nie pomogły przeciwsłoneczne okulary, bo wiele osób pamiętało ją jeszcze ze szkoły, a inne kojarzyły z firmą.

– Jamie! Boże, biedactwo! – zaczęła ją jedna z matek.

– Spotykaliśmy się tu z Jess. Zawsze siadałyśmy razem – poinformowała ją inna.

– Słyszeliśmy syreny, ale nawet nam przez myśl nie przeszło, że chodzi o Roya – dorzucił ojciec, który zaopatrywał dekoratorów MacAfee w panele podłogowe.

W odpowiedzi kiwała głową, cały czas skupiona na Tadzcie. Kiedy chłopczyk przeniósł się z półkuli na pobliską sznurową drabinę, grupka rodziców podążyła za nimi. Jamie, nie spuszczać oczu z Tada, odzywała się, na ile wymagała tego uprzejmość. Traciła cierpliwość. Jak szybko rozchodzą się takie wieści! Czy ci ludzie nie widzą, że ona chciałaby choć przez chwilę o tym wszystkim nie myśleć? Pomogła Tadowi wdrapać się na najwyższy szczebelek i zdjęła go z drabinki. Wiedziała, że już wkrótce sam będzie z niej schodzić, ale dzisiaj go tego nie zamierzała uczyć.

Dziś chciała się zaszyć w jakimś cichym kącie. Dostrzegła takie jedno miejsce – dużą, starą piaskownicę z mnóstwem porzuconych łopatek i wiaderka. Bawił się tam tylko jeden chłopczyk; mógł mieć jakieś trzy, może cztery lata. Mężczyzna w ciemnych okularach i w baseballowej czapce, zapewne jego ojciec, siedział samotnie na ławce za piaskownicą i czytał książkę.

Miała wrażenie, że coś w nim musi chyba zniechęcać innych rodziców do kontaktów. Usiadła na drugim końcu ławki z cichą nadzieją, że może i ją obejmie ta niechęć. Nie miała pojęcia, czy mężczyzna ją zauważył. Nie odzywał się. I bardzo dobrze.

Obserwowała Tada. Stał nieruchomo za obramowaniem piaskownicy i przyglądał się, jak chłopczyk sypie piasek do wiaderka, uklepuje go i stawia babki. Po nocnej ulewie piasek na długo pozostanie wilgotny. Po pewnym czasie Tad wdrapał się do piaskownicy i zapatrzony na chłopca, zatrzymał się kilka kroków od niego.

– Wystąpi pani o prawo opieki nad nim? – doszedł ją cichy głos. Jakaś kobieta przykucnęła przy jej łokciu. Jamie nie zauważyła, kiedy podeszła, dopiero teraz ją spostrzegła.

– Uhm. – Odchrząknęła. – Tak.

– Jessica uwielbiała Tada – wyznała tamta po chwili ciszy. – I miała wspaniałe podejście do dzieci. Powiedziała mi, że starają się o dziecko, ale chyba nie była w ciąży.

Jamie przelknęła ślinę. Dodatkowy ból, wolałaby tego nie wiedzieć.

– Wie pani, gdybym mogła jakoś pomóc..., może zaprosiłabym Tada na wspólną zabawę z dziećmi? Da mi pani znać?

Przedstawiła się, ale Jamie nie dosłyszała nazwiska. Pomyślała, że na razie nie ma głowy do umawiania się na dziecięce zabawy. Tad akurat podniósł łopatkę i wbił ją w piasek. Bez słowa wstała z ławki i weszła do piaskownicy. Przysunęła wiaderko i pomogła mu napełnić je piaskiem, następnie obróciła do góry dnem i postawiła babkę obok trzech zrobionych wcześniej przez tamtego chłopca. Żadna z nich nie wyszła idealnie. Wszystkie się trochę rozpadały, ale to nie miało znaczenia. Rozejrzała się i podniosła foremkę w kształcie zamku. Tad przykucnął przy niej i obserwował z zaciekawieniem, jak razem z drugim chłopczykiem Jamie napełnia ją piaskiem.

Pracowali oboje w milczeniu. Pewnie powinna zapytać tego malca o imię. Albo o wiek. Jednak się rozmyśliła. Najważniejsze, że mogła zająć czymś ręce i choć przez chwilę o niczym nie myśleć.

Zanim wróciła na ławkę, tamta kobieta zdążyła odejść. Jamie sięgnęła telefon i wystukała numer Caroline. Matka na pewno była zajęta, ale ona musiała usłyszeć jej głos.

– Mamo – szepnęła z ulgą. – Mamo.

– Och, skarbie. Masz taki dziwny głos.

Wyrównała oddech.

– Jess...?

Chwila ciszy.

– Odeszła. Theo właśnie miał telefon.

Jamie objęła wolną ręką głowę.

– Boże – wyszeptała.

– Wiem – odparła szeptem Caroline. – To niewyobrażalne... – Zamilkła. –

Pogrzeb prawdopodobnie w środę.

– Razem?

– Tak.

– Jak dziadek?

– Kiepsko. W domu roi się od ludzi.

– U Roya też. Ciężko to wytrzymać.

– Brad chce z tobą rozmawiać.

– Poczekaj... – Chciała matkę przytrzymać przy telefonie.

– Hej. – Brad zdążył już go odebrać.

– Hej.

- Możesz dojechać do nas, do domu pogrzebowego?
- Teraz? Ja... hmm..., nie bardzo. – Odchrząknęła. – Jestem z Tadem. – Obejrzała się przez ramię. Mały zawzięcie kopał w piaskownicy.
- Może ktoś inny by się nim zajął? Są ludzie w domu.
- Nie zostawię go teraz.
- A gospościa?

Tak. Spokojnie mogłaby go zostawić z Desiderią, lecz wolała być przy nim.

- Mama z Theo wszystko załatwią. Brad, muszę kończyć. Do usłyszenia.

Rozłączyła się, schowała telefon i skulona, objęła się ramionami. Tad nadal był zajęty zabawą, nie tyle z drugim chłopcem, co raczej obok niego. Od czasu do czasu przysiadł na piętach, wcale nie oglądając się na Jamie.

Dziwne, wolałaby, aby było inaczej. Żeby nie mógł się bez niej obejść i nie spuszczał jej z oczu na dłużej niż minutę. Nie czułaby wyrzutów sumienia, że nie pojechała do domu pogrzebowego. A tak naprawdę? Tak naprawdę świadomość, że nie ma Jess i Tad już na zawsze z nią pozostanie, paraliżowała jej oddech. Przerastały ją te wszystkie sprawy związane z organizacją pogrzebu: wybieranie ubrań do trumny, ustalanie hymnów na nabożeństwo, zamawianie nekrologów. Nie miała nawet siły pomyśleć, w co sama się ubierze.

Znowu łzy zakręciły się jej w oczach. Przycisnęła dłoń do chrapek nosa, żeby powstrzymać szloch.

- Jamie, wyrazy współczucia – odezwał się nowy kobiecy głos. – Co za fatalny zbieg okoliczności. Gdyby to drzewo zważyło się podczas tamtego huraganu dwa lata temu...

Nagle głos ucichł.

Jamie podniosła głowę i podążyła wzrokiem za spojrzeniem kobiety. Mężczyzna na końcu ławki uniósł dłoń znad książki, jakby dawał znak: Już dość. Dajcie jej spokój.

O dziwo, kobieta wyraźnie się zmieszała, bo z palcem przy ustach skinęła głową i szybko odeszła.

\*

Mimo że w ostatnim czasie Caroline żyła w ciągłym napięciu, na pewno pojechałaby do Jamie, gdyby znalazła wolną chwilę. Ilekroć szła powiedzieć Theo, że wychodzi, otwierały się frontowe drzwi i pojawiali się kolejni ludzie. Znała ich wszystkich; część z pracy, część jeszcze z czasów małżeństwa z Royem, a resztę z widzenia z Williston. Theo wyglądał tak samo krucho jak zabytkowy fotel, na którym siedział. „Patricia go lubiła”, powtarzał za każdym razem, gdy proponowała, aby przeniósł się w wygodniejsze miejsce. Nie miała sumienia zostawić teścia samego. Przyprawiała do niego znajomych. Zapewniała, że wybrali najlepsze z możliwych zdjęcie Roya do nekrologu w gazecie. Uległa jego

naciskom i odszukała w starych papierach w bibliotece spis pieśni z pogrzebu Patricii.

Przynosiła mu wodę i usiłowała namówić do jedzenia.

– Musisz mieć siłę – tłumaczyła dyskretnie, kucając przy fotelu, odwrócona plecami do gości. – Roy nie chciałby, żebyś osłabł z głodu. Tu masz sałatkę z tuńczykiem. Przecież lubisz tuńczyka. – Kiedy machnięciem ręki dał znak, żeby zabrała talerz, postawiła go na stoliku pod lampą. – Jesteś wyczerpany. Może pójdziesz na górę trochę odpocząć? Nikt nie będzie miał o to pretensji.

– Tak nie miało być – wymamrotał ochryplym szeptem, jakby w ogóle jej nie słyszał. – Nie taki był plan. Układasz sobie życie, postępujesz zgodnie z zasadami, starasz się być w porządku.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Theo. – Uścisnęła jego rękę.

– A on nie żyje. – Podniósł na nią smutne oczy. – Roy miał swoje wady. Ale to mój syn.

– Miał też wiele zalet. Dobrze go wychowałeś. Wpoileś mu przywiązanie do rodziny.

Rzeczywiście, nigdy nie wątpiła, że Roy kochał Jamie. Ciekawe, czy ona to wie. Kolejny raz pomyślała, żeby pojechać do domu Roya, lecz kiedy się podniosła, oczy Thea powędrowały ku drzwiom.

– O, jest dyrektor banku. Caroline, porozmawiaj z nim. Odpowiedz mu na pytania. Nie mam siły kolejny raz przez to przechodzić.

Porozmawiała. Potem zastąpił ją Brad. Theo, kiedy poinformowała go, że wychodzi, przypomniał sobie o kolejnej osobie, do której wypadało zadzwonić, więc poszła do biblioteki skorzystać z telefonu.

Przy okazji napisała esemesa do Deana. Trzeciego. Na pewno chciałby wiedzieć, co się stało. Nad rzeką raczej nie miał zasięgu, ale przynajmniej raz dziennie podłączał się do najbliższego hot spotu i na wszelki wypadek sprawdzał wiadomości.

Po południu stres dał o sobie znać narastającym znużeniem, lecz jej napięcie było niczym w porównaniu z tym, co wyczuła w głosie Jamie, gdy ta w końcu się odezwała. Dlatego pomyśl Brada, żeby ściągnąć ją do domu pogrzebowego, bardzo ją rozżłościł. Nie była tam potrzebna. Zresztą on też nie. Co prawda zaoferował pomoc jako kierowca, ale Theo wolał pojechać z nią. Stwierdził, że nikt nie wie o Royu tyle co ona, i chyba się nie mylił. Chociaż ich drogi dawno się rozeszły, znała charakter jego pracy, potrafiła wymienić wszystkie jego indywidualne projekty oraz akcje charytatywne, którym przewodził.

Natomiast Jessica pozostawała niewiadomą. Jej rodzona matka ograniczyła się do wychlipania kilku skrótowych informacji. Caroline wysłała esemesa do Jamie z pytaniami w rodzaju: jakie kwiaty lubiła i czy uprawiała sport. W odruchu kobiecej solidarności zrobiło jej się przykro. Życie Jess toczyło się w cieniu męża.

No cóż, teraz już nic nie można zrobić.

W domu pogrzebowym podczas rozmowy o Royu uderzyła ją pewna myśl. Skupiona dotąd na podtrzymywaniu na duchu wszystkich wokół siebie, nie miała czasu na refleksje. Dopiero gdy z Theo i z kierownikiem domu pogrzebowego układała pożegnalną mowę, dotarło do niej, że nagle zniknął człowiek, który w taki czy inny sposób istniał w jej życiu przez ponad trzydzieści lat, i że niezależnie od uczuć, jakie do niego żywiła, będzie go brak.

Właśnie z powodu tego wrażenia pustki postanowiła po powrocie do domu Thea zadzwonić do Deana. Stała przy kuchennym oknie, zapatrzona na gustownie urządzone patio.

– Właśnie tak, Dean. Wystarczyła chwila. Od lat go nie kochałam, ale kiedyś wiele nas łączyło. Nigdy dotąd nie straciłam przyjaciela. Chyba los mi nie sprzyja.

– Nam obojgu – poprawił ją. Na początku rozmowy zadał kilka pytań, a potem popadł w przygnębienie. – Facet był w moim wieku. – Zamilkł. Na Caroline kojąco działała sama świadomość, że Dean jest tam, na drugim końcu linii. – To dla mnie... szok – wyznał cicho.

– Taak. – Westchnęła. – Dla mnie też.

– Jak Jamie?

– Jakoś się trzyma. Jest młoda. Zajęta. Bardziej niepokoi mnie Theo. Muszę go wszędzie wozić. Nie wiem, czy sam gdziekolwiek by trafił.

– Jest zdezorientowany?

– Raczej rozkojarzony.

– Kochana, dobrze robisz. Zbieram się stąd. Pomogę ci.

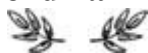
– Nie, Dean. Nie ma potrzeby, żebyś wracał wcześniej. Nie dlatego dzwonię. Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć. (A ona chciała usłyszeć przyjazny głos).

– Przyjadę przez szacunek.

Hmm, właśnie. Czy Roy zasługiwał na szacunek? Dean nie wiedział jeszcze o zmianie w *Gut It!* Wkurzy się.

– Dean, tutaj jest mnóstwo ludzi – tłumaczyła. – Zostań. Zrelaksuj się. Wypoczęty bardziej nam się przydasz.

## Rozdział 11



Kiedy wieczorem wrócił Brad, Jamie przypięła mu do pasa odbiornik dziecięcego monitora, zajrzała do Tada, sprawdziła, czy zasnął, i dopiero wtedy pojechała do siebie po przybory toaletowe i świeże ubranie. Gdy wróciła, w domu nie było już gości, jedzenie zostało pochowane, a Brad siedział zgarbiony na stołku z ramionami opartymi na blacie i z monitorem pod ręką.

Objęła go za szyję, bezskutecznie szukając ukojenia w znajomym cieple. W domu cisza, sytuacja opanowana, a jednak... Koniec dnia nie odpędził śmierci. Ona była jedynym gościem, który nie opuścił domu przed nocą.

Życie Jamie zmieniło się definitywnie. Nie była pewna, czy Brad jest gotowy w nim uczestniczyć.

– Koszmar – wyszeptała mu w kark i poczuła policzkiem, jak przytaknął głową. – Zostaniesz?

Seks był ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, lecz może w łóżku odnalazłaby ciepło swojego mężczyzny? Chyba tego właśnie u niego szukała. Tak, ta niespodziewana śmierć i zapewne jeszcze bardziej zaskakująca perspektywa zastępczego rodzicielstwa musiały go zszokować, ale to ona straciła ojca i przyjaciółkę, to jej przyrodni brat został sierotą. No, dobrze. Brad potrzebuje czasu, żeby się z tym oswoić. Jej nie stać na taki luksus, a jeżeli on tego nie widzi, nie umie stanąć na wysokości zadania i okazać jej wsparcia, to jakie mają widoki na wspólną przyszłość?

– Muszę trochę odetchnąć. – Ku jej rozgoryczeniu pokręcił głową. – Jutro wcześniej jadę do biura, a potem do Thea. Poradzisz sobie tutaj sama?

\*

Sądziła, że tak. Niestety, poniedziałek okazał się kalką niedzieli, z tą tylko różnicą, że coraz bardziej przytłaczał ją nastrój w tym domu, w którym bez przerwy kręcili się jacyś ludzie. Gdy stało się jasne, że ani początek tygodnia, ani możliwość składania kondolencji w domu pogrzebowym czy w rezydencji Thea nie ograniczy wizyt żałobników w domu Roya, zrozumiała, że musi się stamtąd wynieść. Tad robił się coraz bardziej płaczliwy, coraz częściej wołał mamę, wyraz jego oczu mówił o niepokoju. Liczba ludzi przewijających się przez dom i nieobecność rodziców musiały budzić w nim lęk.

Tak przynajmniej Jamie podejrzewała. Nie mogła go wypytywać. Czy dwulatek zrozumiałby takie pytania, czy potrafiłby na nie odpowiedzieć? Cały czas



stąpiła po kruchym lodzie. Potrzebowała jakiegoś poradnika dla rodziców. Dziesięciu poradników. Najbardziej pomogłaby jej matka, ale ona była uwiązana u Thea.

Czuła, że dłużej nie wytrzyma w tym domu. Podniósł ją nieco na duchu widok asystentki Roya, gdy przyjechała zabrać jego garnitur do domu pogrzebowego, jednak ulga była krótkotrwała. Jak tylko asystentka wróciła, żeby wesprzeć Desiderię przy obsłudze gości, Jamie spakowała do kilku toreb ubranka, jedzenie oraz zabawki i zabrała Tada do siebie. Nowe miejsce będzie dla niego atrakcją przynajmniej przez jakiś czas, a ona posiedzi w ciszy. Pobawiła się z Tadem na patio, poszła z nim do sklepu po mleko, makaron z serem i mango. Przygotowała lunch. Tak zazwyczaj wyglądał ich dzień, kiedy Tad przebywał u niej. O tym, co będzie dalej, wołała nie myśleć.

Gdy położyła go na poobiednią drzemkę, już nie miała usprawiedliwienia. Nie mogła bez końca zasłaniać się dzieckiem. Należała do rodziny MacAfee. Pomijając nawet poczucie solidarności, szczerze chciała zobaczyć się z Theo i choćby przez chwilę porozmawiać z Caroline. Wiedziała, że są teraz w domu pogrzebowym, ostatnim miejscu, gdzie chciała się znaleźć. W uszach zadźwięczały jej słowa ojca z ich ostatniej przykrew rozmowy. Skoro nie umiesz zachować się jak dorosła...

Umiała. I tak się zachowa.

Znalazła opiekunkę. Recepcjonistka z jej działu, bardzo oddana ich rodzinie, miała wnuczka w wieku Tada i chętnie zgodziła się pomóc. Kiedy zjawiała się ze składnikami na kruche ciasteczka z czekoladą, Jamie szybko wzięła prysznic, przebrała się i wyszła. Żałowała, że nie ma swojego kabrioletu. Czułaby się w nim bardziej sobą. Ta myśl natychmiast wydała jej się absurdalna. Kabriolet został pod domem Roya i był teraz mało przydatny, zważywszy na nowe okoliczności i czekającą ją, nie do końca przewidywalną zmianę stylu życia.

Z sercem w gardle, szybciej, niż chciała, znalazła się przed domem pogrzebowym i zaparkowała SUV-a przy cadillacu Thea. Już za drzwiami znalazła się w otoczeniu mieszkańców miasteczka. lecz szła przed siebie jak automat, nie odrywając oczu od dwóch trumien w głębi kaplicy. Były zamknięte. Obrazy podsuwane przez wyobraźnię przyprawiły ją o dreszcze. Podeszła do trumny ze zdjęciem ojca na wieku, położyła dłoń na wypolerowanym drewnie, drugą przytknęła do ust i się rozplakała.

Gdy otoczyły ją mocne ramiona i owionął tak dobrze znany świeży, leśny zapach Caroline, zupełnie się rozkleiła i łzy popłynęły strumieniem. Nie wiedziała, ile czasu – dwie, pięć, dziesięć minut – stała, cicho szlochając w objęciach matki. Potem przycisnęła do nosa podsuniętą chusteczkę, osuszyła nią oczy i wydała z siebie drżące westchnienie.

Caroline odwróciła ku sobie jej twarz i ze smutnym uśmiechem pocałowała

ją w czoło.

– Lepiej?

– Tak – wyszeptła Jamie. – Nie mogę sobie z tym poradzić.

– Ja też nie. Ani Theo. – Obejrzała się i przeniosła wzrok z powrotem na Jamie. – Bardzo chce cię zobaczyć. Jesteś gotowa?

Westchnęła głęboko i skinęła głową. Caroline podprowadziła ją do dziadka. Theo wyciągnął do niej rękę. Objęła go i mocno przytuliła. Był częścią jej spuścizny. Teraz, gdy inna, bardziej znacząca jej część zniknęła, bała się oderwać od dziadka. Wydawał się taki kruchy, czuła drżenie obejmujących ją ramion. Kiedy w końcu odsunęła się od niego i spojrzała na pomarszczoną twarz, zobaczyła pustkę w załzawionych niebieskich oczach. Caroline przy nich nie było.

\*

Jamie chciała poczekać na Caroline, lecz ona cały czas krążyła pomiędzy ludźmi. Robi to celowo, przeszło jej przez głowę. Szybko jednak odrzuciła tę myśl. W obliczu tych dwóch przedwczesnych śmierci konflikt z powodu *Gut It!* odszedł na dalszy plan. Dobrze, że matka choć na chwilę ją przytuliła, pomyślała. Przynajmniej jest jakaś nadzieja.

Pojechała do domu Roya bardziej przez grzeczność, niż wynikało to z konieczności. Rzeczywiście nie była tam potrzebna, bo Brad w roli gospodarza radził sobie lepiej od niej. W poniedziałek wieczorem bez szemrania poczekał, aż dom opuszczą ostatni goście, pojechał do siebie na noc i wrócił we wtorek rano. Zachowując odpowiednią do sytuacji powściągliwość, gładko wszedł w obowiązki pana domu.

Jamie patrzyła na niego z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony, była zadowolona, że Brad swoim zachowaniem niejako potwierdzał ciągłość istnienia MacAfee Homes. Z drugiej, bardzo ją niepokoił jego stosunek do Tada. Nie zapytał, jak mały się czuje ani nie zaproponował pomocy. W przeciwieństwie do innych ludzi nie pochwalił jej decyzji przysposobienia przyrodniego braciszka. Usłyszała jedynie, że dobrze zrobiła, przyjeżdżając tutaj bez niego.

Cichy głos w jej głowie zaczął stawiać pytania.

Czy nie dociera do Brada, że Roy chciał, aby właśnie ona zajęła się jego synem, gdyby coś się z nim stało?

Czy nie rozumie, że są w życiu priorytety i już wiadomo, że wiele rzeczy będzie musiało się zmienić?

Czy nie widzi, że ona chce zająć się Tadem?

W każdym z tych przypadków odpowiedź brzmiała: „nie”. W takim razie nad ich związek zbierały się ciemne chmury.

\*

Wtorkowe przedpołudnie upłynęło Caroline na objeżdżaniu co ważniejszych inwestycji MacAfee Homes. Gdyby mogła wybierać, zdecydowanie wolałaby spędzić ten czas w swoim warsztacie. Nadgarstek już nie bolał i tylko lekki opatrunek z bandaża zabezpieczał szwy. Piłowanie, wycinanie i szlifowanie drewna byłoby dla niej najlepszą terapią. Tęskniła za zapachem trocin i narzędzi po ojcu. Od niedzielnego poranka nie odstępowała Thea i potrzebowała oddechu od niego, od tej tragedii i od żałobnego nastroju w domu.

Dlatego chętnie przystała na prośbę teścia, żeby zajrzała na budowy. To było z jego strony rozsądne posunięcie. Wcześniej zaprosił na indywidualne rozmowy wszystkich pracowników MacAfee na kierowniczych stanowiskach i większość już się stawiła, ale nie wolno zapominać o sporej grupie robotników budowlanych, którzy na pewno się zastanawiali, jak śmierć Roya może wpłynąć na losy firmy. Pojawienie się Caroline na budowach uciñało wszelkie spekulacje co do przyszłości MacAfee.

Misja polegająca na przekazywaniu wiadomości, w których optymizm mieszał się ze smutkiem, bardzo ją znużyła.

Kiedy wyczerpana emocjonalnie po kolejnej rozmowie – tym razem z ekipą stolarzy pracujących przy wykańczaniu biura – wyszła na dwór, obok swojej ciężarówki zobaczyła harleya.

Dean.

Natychmiast poprawił jej się nastrój.

Potrzebowała bratniej duszy. A Dean nią był.

Podeszła do niego z uśmiechem, chyba pierwszym w tym ponurym czasie.

– Mówiłam, żebyś nie przyjeżdżał – przywitała go, osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

– A czy ja ciebie kiedykolwiek posłuchałem? – Zobaczyła jego kpiący uśmiezek, oczy ukrywały ciemne okulary.

Fakt. Za bardzo ucieszył ją jego widok, żeby się teraz z nim spierać. Przyjechał odpowiednio ubrany. Miał czarną koszulę i smoliście czarne dzinsy.

– Dziękuję, że jesteś. – Czują, jak opuszcza ją napięcie. – Tu jest makabrycznie.

– Makabrycznie?

– Łzy. Tragedia. Czarna rozpacz.

A tymczasem przed nią stał Dean, przeciwieństwo ponuraka. Zaczerwieniony nos i policzki mówiły o świeżej opaleniznie na wcześniejszym podkładzie.

– Widać po tobie, że łowiłeś ryby. Szkoda, że tylko dwa dni.

– Nie twoja wina. Nie ty zwałaś drzewo na samochód Roya.

– Gdyby tak było, przynajmniej wiedziałabym, za co teraz pokutuję.

Jak jędzowato to zabrzmiało!

– Nie zrozum mnie źle – dodała szybko. – Sama chciałam pomóc Theo. Zawsze był dla mnie jak ojciec, a teraz biedak zupełnie się zagubił. Nikt nie zakłada, że dziecko może odejść przed rodzicem. Wszystko jest takie dziwne. Roy to mój były mąż, a Jess pod względem wieku było bliżej do Jamie niż do mnie.

– Jak ona sobie z tym wszystkim radzi?

Caroline doskonale rozumiała cierpienie córki.

– Jest dzielna. W świetle prawa została opiekunką Tada.

Dean wydawał się zaskoczony.

– Wiedziała o tym wcześniej?

– Tak.

– Poradzi sobie?

– Będzie musiała.

Zadumał się na moment.

– I pomyśleć, że życie w jednej chwili może się wywrócić do góry nogami.

– Właśnie. Wiele spraw się skomplikowało.

A zmiana w *Gut It!* była jedną z nich, i to całkiem istotną. Teraz, kiedy na Jamie spadła opieka nad dzieckiem, prowadzenie programu będzie dla niej dużym wyzwaniem. Oczywiście Dean jeszcze o niczym nie miał pojęcia. Nie bardzo wiedziała, jak zacząć ten temat.

– Marszcz się tak dalej, a pójdziesz na botoks – zauważył.

Chciała poszukać jakiejś ciętej riposty, ale jej myśli pobiegły w zupełnie innym kierunku. Botoks równa się zmarszczki. Zmarszczki to starość, a starość to śmierć; coś tak ostatecznego jak tamte dwie zamknięte trumny w kaplicy domu pogrzebowego. Kiepska wizja, biorąc pod uwagę jej nastrój. Od tamtego niedzielnego poranka, gdy Jamie stanęła na progu jej domu, chodziła roztrzęsiona. A już wcześniej nadszarpnęła jej nerwy piątkowa wizyta Claire. Uwaga Deana była całkiem niewinna, przecież nie miał na myśli niczego złego. Widocznie jego obecność tak na nią podziałała, że coś w niej pękło. Ku swojemu przerażeniu nie potrafiła powstrzymać łez.

– Co się stało? – Cofnął się speszony.

Należało obetrzeć te łzy wierzchem dłoni i wyjaśnić, że z powodu tych ostatnich dni nie panuje nad emocjami, ale słowa nie przechodziły jej przez gardło.

– Hej – odezwał się łagodnie. – Przydałby mi się lunch. Masz ochotę coś zjeść?

Skinęła głową.

– To idziemy.

\*

Bar U Fiony był w Williston, a ona nie miała ochoty wracać do miasta. Dean domyślił się, że wołałaby uniknąć przypadkowych rozmów ze znajomymi. Dlatego,

zanim jeszcze ukryła się za ciemnymi okularami, zaproponował kafejkę z kanapkami niedaleko placu budowy. Milczał, kiedy siadali przy stoliku za drewnianym przepierzeniem, niewidoczni dla innych klientów.

– Z tym botoksem to był żart – odezwał się dopiero, gdy złożyli zamówienie.

– Wiem. – Nieraz się droczyli, a Dean nie był złośliwy. – Akurat trafiłeś mnie w czuły punkt. – Siedziała z głową opartą o drewnianą ściankę, ogarniając spojrzeniem jego oczy o zielonych, cętkowanych tęczęwkach, ciemne włosy, opaloną twarz. Dean stanowił okaz energii i zdrowia. A ona czuła się stara i sterana. – Mam takie wrażenie, jakby nie było tu Ciebie przez rok.

– Dlaczego mi się wydaje, że coś jeszcze się wydarzyło pod moją nieobecność? – Zielone oczy wpatrywały się w nią czujnie.

Być może dlatego, że dobrze ją znał i czytał w niej jak w otwartej księdze.

Wzruszyła ramionami.

– Mniejsza o to. To nieistotne w porównaniu z tym, co się stało.

– Wyduś to z siebie, Caro. Wszystko, co Ciebie dotyczy, jest dla mnie istotne.

– Jesteś kochany.

– Mówię poważnie.

W to akurat nie wątpiła i dlatego znowu była bliska łez.

– Zdejmuję mnie z prowadzenia *Gut It!* Od jesiennego sezonu nową gospodynią będzie Jamie – wyrzuciła z siebie na jednym oddechu, żeby przypadkiem się nie rozplakać.

Drgnął, ale nie odezwał się słowem.

Patrząc mu w oczy, streściła rozmowę z Claire.

– Nie wydajesz się zaskoczony – zakończyła, przyglądając mu się uważnie.

– Że chcą młodszą? – zapytał z nutą niechęci w głosie. – Czytam, widzę, słyszę. To się wszędzie dzieje. Przykro mi, że tu także. Że dotknęło Ciebie.

Podniósł wzrok na kelnera, który przyniósł kanapki z pieczeniową wołową dla niego i sałatkę z krewetek dla niej. Kiedy kelner się oddalił, Dean zastygł zamyślony z połową kanapki w drodze do ust, po czym przeniósł uważne spojrzenie na Caroline.

– Myślisz, że Jamie maczała w tym palce?

– Nie. Wiem tylko, że dowiedziała się przede mną, ale słowem mi o tym nie wspomniała, chociaż miała ku temu wiele okazji. I to mnie zabolalo.

– Zabolalo?

– Jej milczenie pewnie wzięło się stąd, że ucieszyła się z zamiany, ale jednocześnie wiedziała, że mnie trudno będzie się z nią pogodzić. – Rozdzieliła kromki chleba i machnęła widelcem. – Śmierć Roya przyćmiła tamtą sprawę. Jamie przechodzi trudny okres. Wiem, że mnie potrzebuje, ale chwilami na myśl o tym wszystkim aż mnie skręca w środku.

– Z gniewu?

– Z żalu.

– Musisz z nią porozmawiać. – Wysypał na talerz paczuszkę chipsów i wsunął jeden do ust. – Zawsze mi tak mówiłaś, jeśli chodzi o moją byłą – przypomniał jej.

– I wtedy niezmiennie od ciebie słyszałam, że to nie takie proste. – Westchnęła. – Miałaś rację.

Chętnie wysłuchiwała zwierzeń Deana, a potem próbowała wpływać na zmianę jego myślenia. Teraz, kiedy role się odwróciły, dotarło do niej, że nie do końca wczuwała się w jego emocje.

– Pomagam jej w miarę możliwości. Serce mi podpowiada, że mogłabym dla niej więcej zrobić, ale rozsądek mnie powstrzymuje.

– Musisz mieć mętlik w głowie.

Jak mu to wyjaśnić? Czowała się zdradzona i rozżalona, było jej smutno. I to wszystko przez Jamie. Gdy dodać do tego na nowo wskrzeszone lęki związane z wiekiem, śmierć Roya i niepokojącą kruchość Thea, miała prawo znaleźć się w dołku.

Jakiś czas jedli w milczeniu.

– Myślisz, że ona z powodu Tada wycofa się z programu? – odezwał się Dean.

– Może. Nie wiem. To dla niej nowa sytuacja.

– A Brad?

– Dla niego też nowa. Zależy mu, żeby Jamie przejęła program. Ona twierdzi, że odmówi ze względu na mnie, jednak jeżeli powie „nie”, oni mogą zagrozić rozwiązaniem umowy...

– Mogłabyś ich pozwać.

– Wykluczone. Skrzywdziłabym Jamie. – Odłożyła widelec i zamyślona zapatrzyła się na talerz, a potem podniosła oczy na Deana. – Kocham tę robotę, ale kocham też moją córkę. – Wyciągnęła widelcem krewetkę z kanapki.

– A chleb? – zapytał.

– Dwie kromki to dla mnie za dużo.

– Od kiedy?

– Od kiedy siedzę beczynnie, czyli od prawie tygodnia.

– Boisz się, że utyjesz? Ty zmizerniałaś, Caroline. A jak ręka?

„Zmizerniała”, to znaczy, że wygląda staro; porażająca myśl.

– Dobrze – burknęła.

– Caroline, zamiast dąsać się na mnie, oszczędzaj siły na Claire. Musisz być na nią wściekła.

– Żebyś wiedział. Na Roya też, jakby to mogło coś zmienić. A wracając do Jamie... – Nagarnęła na widelec sałatki i włożyła zawartość do ust. Wydawało jej

się, że mówiąc to w trakcie jedzenia, złagodzi wydźwięk tych słów. – Może i nie wiedziała, co Claire chodzi po głowie, ale ci powiem, że ostatnio bardzo często się widywały. Nie powinno to dać jej do myślenia?

– Nie, jeżeli nie chciało jej się myśleć. Czy ta decyzja już zapadła? Nie ma szansy na zmianę?

– Claire powiedziała, że nie, ale to było jeszcze przed śmiercią Roya.

Śmierć Roya. W ostatnich dniach wymawiała te słowa dziesiątki razy, a jednak ciągle ją szokowały. Przecież nic już do niego nie czuła. Czasem się zastanawiała, czy w ogóle go kiedyś kochała. Niemniej był ojcem jej córki, a jego śmierć zaskoczyła wszystkich. Potrzeba czasu, żeby się z tym oswoić.

– Jednak oni wkrótce muszą dostać odpowiedź. Z powodu żałoby można odwlec to na jakiś czas, ale nie będą czekać bez końca.

Ona też powinna wiedzieć. Zawsze przed rozpoczęciem zdjęć spadało na nią mnóstwo roboty. Promocyjny wideoklip to zaledwie czubek góry lodowej. Musiała poznać bliżej właścicieli domu przeznaczonego do renowacji, żeby swobodnie czuli się przy ekipie. Dowiedzieć się co nieco o sąsiadach z przyległych posesji, którym to zamieszanie mogło przeszkadzać. Objeździć okolicę, aby przybliżyć ją widzom, no i jeszcze przedyskutować plan pracy z Deanem oraz z pozostałymi fachowcami.

Jeżeli nie będzie prowadzić programu, to wszystko jej nie obchodzi. Cała odpowiedzialność spadnie na Jamie. Jak ona znajdzie czas?

– Nie jesz chipsów? – zapytał Dean. Jednak nie otworzył paczuski, kiedy przesunęła ją w jego stronę. – Przecież lubisz chipsy.

Wzruszyła ramionami.

– Nie jestem głodna.

– Typowa wymówka wszystkich anorektyczek. Nie jestem głodna.

– Nigdy nie miałam skłonności do anoreksji.

– Jak dotąd nie, ale widzę, co jest grane. Roy wytykał ci wiek, a teraz Claire Howe mówi, że program telewizyjny potrzebuje młodszych. I myślisz sobie: jestem stara, pomarszczona i gruba...

– Proszę cię – przerwała mu. – To nie jest dobry czas.

Wyprostował się i dokończył kanapkę.

Zrobiłaby to samo, gdyby słowa „stara, pomarszczona i gruba” nie tłukły jej się w głowie.

– Mam prawo tak się czuć – oznajmiła. – Wolno ci żartować, ale dziesięć lat temu nie miałam tylu zmarszczek. Może nie przybyło mi kilogramów, jednak figura się zmieniła. Mój głos zrobił się jakby matowy. Ja to wszystko widzę.

Każda kobieta w pewnym wieku dostrzega takie zmiany. Pojawiają się wraz z menopauzą. Ona przeszła ją przed paru laty, ale nie miała ochoty mówić o tym Deanowi. Gdy kilka razy w towarzystwie przytrafiły jej się uderzenia gorąca,

zrzuciła je na upał. Na szczęście obecnie coraz rzadziej niespodziewanie oblewała się potem.

– Nie sądziłam, że pozbędą się mnie z takiego powodu. Wydawało mi się, że widzowie cenią mnie za osobowość.

– Podobasz im się taka, jaka jesteś.

– Najwyraźniej nie.

– Claire jest porąbana.

– Być może, ale to ona i Brian podejmują decyzje i wybrali Jamie. A co ze mną? Prowadzenie tego programu sprawia mi radość. Na planie czuję się taka... – szukała odpowiedniego słowa – ...spełniona. – Teraz, gdy już otworzyła się przed Deanem, słowa popłynęły strumieniem. – Ja tego nie planowałam, nawet nie wiem, kiedy tak się zaangażowałam, i dopiero teraz, gdy słyszę, że już nie jestem potrzebna, widzę, ile pracy i zapału włożyłam w ten program. On odzwierciedla moją osobowość. Co mi potem zostanie? – Przymknęła powieki i przycisnęła opuszki palców do kącików oczu. – Przepraszam, nie powinnam się użalać nad sobą. Roy i Jessica nie żyją. W porównaniu z tą tragedią mój problem jest naprawdę błahy.

– Nie przepraszaj – mruknął. – W końcu nie jesteś pozbawionym uczuć robotem. Nie zasłużyłaś, żeby cię tak potraktować. – Wziął rachunek ze stolika i wyjął portfel z kieszeni dzinsów. – Zbierajmy się stąd.

Caroline wyszła na zewnątrz, zostawiając Deana przy kasie.

– Nie złość się na mnie – poprosiła, gdy do niej dołączył.

– Wcale się na ciebie nie złościę. To na nich jestem wściekły. – Oparł dłonie na biodrach i z zaciętą miną zapatrzył się w głąb ulicy. – Głupia decyzja. Chodzi wyłącznie o seks.

– Co seks ma wspólnego z naszym programem?

– Wszędzie go pełno. Cholerny seks jest wszechobecny.

– Przemawia przez ciebie macho – podsumowała go. – Kobiety tak nie myślą. – Założyła okulary przeciwsłoneczne i ruszyła przejściem pomiędzy stolikami na chodniku, zajętych teraz przez gości, którzy przyszli do kafejki na lunch.

– Claire też nie? – rzucił kpiąco, zrównując się z nią.

– Nie. Drażni ją moja obecność na planie. Wkurza się, że ludzie z ekipy najpierw zwracają się do mnie, a potem dopiero słuchają, co ona ma do powiedzenia. W naszym programie nie ma erotycznych podtekstów, to reklamodawcy, no i w ogóle media epatują seksem. – Właśnie mijali stolik, przy którym siedziała kobieta, czytając książkę.

– No, popatrz – szepnęła do Deana kącikiem ust. – Kupiłbyś sobie coś, co ma tytuł *Nogi*? Paranoja. Jeżeli zobaczę jeszcze jedną osobę nad taką szmirą, rozwrzeszczę się na cały głos. Od kiedy erotykę zalicza się do literatury? – zapytała



i sama sobie odpowiedziała: – Odkąd media robią szum wokół takich właśnie treści. Sprzedają obietnice bez pokrycia. – Spojrzała ukradkiem na Deana. – Seks jest zdecydowanie przereklamowany – mruknęła.

Patrzył na nią dziwnie zamyślony. Potem odwrócił się na pięcie, podszedł do stolika, przy którym siedziała tamta kobieta, i przechylając głowę, zerknął na okładkę.

Caroline nie wierzyła własnym oczom. Zażenowana, przecięła chodnik i skierowała się do swojej ciężarówki. Dean dogonił ją, kiedy chwyciła za klamkę. Spodziewała się kolejnej uwagi w stylu macho. Jednak nic takiego nie usłyszała. Spojrzała mu badawczo w twarz. Wydawał się jakby trochę rozbawiony, a trochę zmieszany. Podtrzymał jej spojrzenie.

– O co chodzi? – spytała zniecierpliwiona.

– Mógłbym dowieść, że się mylisz. Co do seksu.

Szarpnęła za klamkę i otworzyła drzwi.

– No jasne – wycedziła, przeciągając samogłoski.

– Mógłbym.

Obejrzała się na niego z nogą na stopniu.

– Niby jak? – To pytanie zabrzmiało bardziej jak ironiczne „No, akurat?”.

Dean powiódł spojrzeniem po jej twarzy i zatrzymał je na ustach.

Tego się nie spodziewała.

Drgnęła zaskoczona i wskazała palcem na siebie. Dean potakująco skinął głową.

– O nie. – Cofnęła się, machając ręką. – Nie, nie, nie. Nie widziałam, jak przytaknałeś.

Zdenerwowana, że poruszył ten w sumie niezręczny temat w tak nieodpowiednim czasie, wsiadła do ciężarówki i wyciągnęła rękę do drzwi.

Zablokował sobą kabinę szoferki.

– Spytałaś.

– Nie. Nie wypada. Dean, my jesteśmy w trakcie planowania pogrzebu.

– Nie mówię, że to musi być już. To przyczynek do innej rozmowy.

– Jak w ogóle możesz mówić o tym teraz?

– Może dlatego, że jestem facetem. Poza tym wolę myśleć o życiu, a nie o śmierci. I dla mnie jesteś sexy.

– Pracujemy razem. Jesteśmy przyjaciółmi, nie kochankami. – Szarpnęła za drzwi. – Dean, odsuń się, proszę.

Ani drgnął.

Popatrzyła na niego badawczo.

– Nie uważasz, że gdyby miało między nami do czegoś dojść, stałoby się to już dawno temu? – spytała.

Spędzali ze sobą mnóstwo czasu, także poza pracą. Przeciągające się kolacje,

godziny spędzane na rozmowach na schodkach przed jej albo jego domem lub w jej ciężarówce. On opowiadał o swoim nieudanym małżeństwie, zwierzał się z obaw o syna, ona dzieliła się z nim niepokojem o Jamie i frustracją po rozwodzie z Royem. To właśnie Dean ją wspierał po śmierci rodziców. Ale to?

– Nie pociągam cię? – zapytał urażonym tonem.

– Jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną, lecz to jeszcze nie znaczy, że mamy ze sobą sypiać. Zresztą to zły czas na takie rozmowy. Roy nie żyje, Jamie jest zrozpaczona, a Theo wydaje się kompletnie zagubiony i powinnam jak najszybciej tam wrócić. Krótko mówiąc, została mi co najwyżej godzina na poszukanie odpowiedniego stroju, bo jutro pogrzeb, a ja w szafie nie mam nic czarnego.

\*

Kupiła czarną rozszerzaną spódnicę, zakiet z baskinką oraz bluzkę w kolorze kości słoniowej i tak ubrana przysłała w środę na pogrzeb. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz miała na sobie spódnicę, a ponieważ ta sięgała zaledwie do kolan, dobrała do niej czarne rajstopy i czółenka na średnio wysokich obcasach. Oceniała, że wygląda w tym zestawie elegancko i młodo. Nie, żeby szczególnie jej na tym zależało, ale jaki miała wybór? Ubrać się jak matrona?

– Wystrzałowo wyglądasz – szepnął jej na ucho Dean, kiedy usiedli w ławce. Theo, Jamie, Brad oraz najbliżsi krewni z obu stron zajęli miejsca w rzędzie przed nimi. Cały kościół szybko zapełniał się ludźmi.

– „Wystrzałowo” chyba brzmi lepiej niż „sexy” – odszepnęła, nie odrywając wzroku od sztywno wyprostowanych pleców Jamie.

– A gdybym właśnie tak powiedział?

– Przesiadłabym się do innej ławki.

– Aha. – Odczekał kilka sekund. – Ten strój to strzał w dziesiątkę. Niech Claire i Brian sobie popatrzą – wymruczał.

– Przyszli oboje? – Poczowała się niezręcznie. Spodziewała się Briana, bo ściśle współpracował z Royem, ale nie była w nastroju na spotkanie z Claire.

Dean skinął głową.

Wydała z siebie przeciągłe westchnienie, ale niepokój jej nie opuścił. Wychyliła się do przodu i delikatnie pogładziła Jamie po ramieniu. Obejrzały się na nią szeroko otwarte oczy w nienaturalnie bladej twarzy. Ten widok jeszcze bardziej ją przygnębił. Z całego serca współczuła córce – nie dlatego, że to ona miała wygłosić mowę pogrzebową, ani dlatego, że właśnie straciła ojca. Caroline myślała o przyszłości Jamie, o tym, że dziewczyna nie do końca sobie uświadamia, co ją czeka.

Macierzyństwo to zobowiązanie na całe życie. Nie zakończy się wraz z tym nabożeństwem ani nie stanie się łatwiejsze po miesiącu czy roku. Dzisiaj Tadem kolejny raz zaopiekowała się recepcjonistka, ale jutro ta kobieta wróci do pracy

i podobnie jak cała reszta ludzi, którzy ofiarowali się z pomocą, zajmie się swoimi sprawami. Jamie będzie zdana wyłącznie na siebie.

A może jako matka zbyt czarno to widzi. Roy się sprawdzał, kiedy wszystko szło gładko, lecz na widok brudnej pieluchy, tenisówki umazanej w psiej kupie czy wymiocin natychmiast zniknął. Jamie ma Brada. Cała nadzieja, że w roli ojca okaże się bardziej pomocny. Wydawał się wrażliwszy od Roya i chyba w większym stopniu oddany Jamie niż Roy kiedykolwiek był oddany jej. Poza tym nie miał tak wybujałego ego. Jednak nie wiadomo, czy jest gotowy na zmianę, bo niestety, życie Jamie właśnie radykalnie się zmienia.

Rozpoczęło się nabożeństwo żałobne. Hymny, czytania, podniosłe kazanie pastora i ten przytłaczający ciężar tragedii, jeszcze bardziej odczuwalny podczas pożegnalnej mowy Jamie, gdy w jednej chwili uczyniła z ojca ideał, którym w rzeczywistości nigdy nie był. Caroline nie miała jej tego za złe, bo te słowa płynęły prosto z serca. Jamie co rusz spoglądała na matkę, jakby szukała u niej wsparcia, co Caroline nieco podniosło na duchu. Ona bardziej spełniała się w roli podpory córki niż gospodyni telewizyjnego programu i dlatego tak przeżywała rozdźwięk między nimi.

Jamie się od niej oddalała, niestety, nie tylko przez Brada, chociaż to on ją objął, kiedy wróciła na miejsce. Dłonie Caroline pozostały na podolku.

Niespodziewanie duża ręka nakryła jej ciasno splecione palce, uściśniła je delikatnie i zniknęła.

Caroline nawet nie drgnęła. Spojrzenie na Deana w takiej chwili mogłoby nadać temu gestowi niepożądany podtekst. Wolą przyjąć, że on wyczuł jej smutek i po prostu chciał ją pocieszyć. Z nim u boku nie czuła się taka osamotniona. Jednak tamto ciepło, które powoli zniknęło, uświadomiło jej, że nie pamięta już dotyku męskich dłoni. Owszem, często wylewnie witała się z Jamie i z innymi kobietami, a także trzymała je pod rękę. A z mężczyznami? Nie. Mając z nimi na co dzień do czynienia w pracy, wolą zachować profesjonalny dystans.

Może dłużej snułaby te rozważania, gdyby nabożeństwo nie dobiegło końca. Nadszedł czas odprowadzenia zwłok na cmentarz. Dotarła tam sama i wchodząc na wzniesienie przy grobie, z drzeniem w sercu myślała o tym, co za chwilę nastąpi. Zawsze przerażała ją ostateczna wymowa tej sceny; trumna zjeżdża w ciemną, zimną otchłań, żałobnicy odwracają się i odchodzą. Co mówił pastor? Że pamiętając o śmierci, powinniśmy się skupić na żywych? Nie bardzo to rozumiała, gdy stała w tłumie z Annie Ahl i jej mężem. Deana dostrzegła dopiero, jak schodziła ze wzgórza. Pograżona w smutnych rozważaniach, rzuciła mu roztargnione spojrzenie. Szkoda, że na niego nie czekała, pomyślała chwilę później, gdy ze skraju drogi zobaczyła zmierzających ku niej Briana i Claire.

Po obowiązkowych muśnięciach się policzkami i kondolencjach Brian pierwszy przeszedł do konkretów:

– Caroline, w związku z tym, co przekazała ci Claire... – urwał.

To nie czas na takie rozmowy, miała ochotę uciąć. Niemniej wolała wiedzieć, co ma do powiedzenia.

– No, słucham.

– Absolutnie nie chcę, żebyś potraktowała to osobiście.

Wszystko sobie przemyślała... zaplanowała, co im powie... wybrała nawet miejsce i czas... a teraz... nabrała wody w usta.

Wyręczył ją Dean. Nie zauważyła, kiedy do nich dołączył. Stał przy niej solidny jak skała.

– Powinniście jeszcze raz zastanowić się nad tą zamianą.

Brian rzucił mu przelotne spojrzenie.

– To nie była przypadkowa decyzja. Przemawiają za nią konkretne argumenty. W dodatku wieści już się rozeszły.

– Zawsze możecie powiedzieć, że zmieniliście zdanie. To nierozsądny ruch, Brianie. Caroline nadaje temu programowi charakter.

– Sugerujesz, że Jamie sobie nie poradzi? – wtrąciła się Claire, co postawiło Deana w dość niezręcznej sytuacji przy Caroline.

– Nie. – Uśmiechnął się. – Tego nie powiedziałem. Jamie niewątpliwie da sobie radę. Ale według mnie ludzie spodziewają się zobaczyć tam Caroline. I mogą się poczuć zawiedzeni.

– Będziemy powoli wprowadzać Jamie. Caroline jeszcze będzie.

– A skąd ta pewność? – podchwyciła Caroline.

Nie miała zamiaru się odzywać, lecz wsparcie Deana i jego negatywne nastawienie do Claire dodało jej odwagi.

– Chcesz powiedzieć, że odejdziesz z programu?

– Nie wiem.

– Zawsze możemy zawiesić emisję.

– Bardzo proszę, spróbujcie – wycedził ostrzegawczo Dean. – Wtedy przeniesiemy się do innej stacji. Ten program, Claire, to my. Aktorami są pracownicy MacAfee Homes. Jeżeli my odejdziemy, oni pójną za nami.

– Jakiś ty pewny siebie – sarknęła Claire.

Caroline przeszło przez myśl, że Dean w ciemnej marynarce, pod krawatem, z cieniem zarostu na policzkach i z włosami zaczesanymi do tyłu prezentuje się bardzo godnie i ma prawo czuć się pewny siebie.

– Ta rozmowa niczego nie wnosi – zauważył nerwowo Brian. – Teraz przeżywacie trudny czas – zwrócił się do Caroline. – Jak już opadną emocje po śmierci Roya, spotkamy się i przegadamy wszystko na spokojnie. Zgoda?

– Jasne – przytaknęła.

Gdy chwilę później Dean odprowadzał ją do ciężarówki, zapomniała o tej rozmowie. Skupiła myśli na dłoni Deana. Czowała jej dotyk na plecach. Nigdy

wcześniej tak ze sobą nie szli, może powinna przyspieszyć i wywinąć się spod jego ręki, a może ponosi ją wyobraźnia i niepotrzebnie przypisuje temu jakieś znaczenie.

Dobrze, że stanął po jej stronie podczas rozmowy z Brianem i Claire.

Oczywiście nie powinna wysnuwać z tego zbyt daleko idących wniosków. Akurat tak się złożyło.

A jednak... w jej samotnym życiu ten przejaw troski był naprawdę miły.

## Rozdział 12



Jamie liczyła, że po pogrzebie zapanuje spokój, jednak ciągle wydzwaniali do niej willistończycy, czując potrzebę dzielenia się wspomnieniami o Royu. Nie miała serca zbywać tych ludzi, a także zależało jej na pamięci o ojcu. W wolnych chwilach pomiędzy telefonami, myciem, karmieniem i zabawianiem Tada próbowała zajmować się swoją pracą. Przez to wszystko wiecznie chodziła zmęczona. Być może właśnie znużenie przytępiło jej zdolność przewidywania, gdy w piątek rano przy kuchennej wyspie robiła śniadanie, jednocześnie krojąc w kostkę gruszki, mieszając owsiankę i rzucając okiem na Tada, który bawił się na podłodze zestawami Lego. Klocki były dostosowane do wieku najmłodszych budowniczych, lecz Tada bardziej bawiło zbieranie ich do kartonu i wysypywanie z powrotem na podłogę. Za każdym razem rumorowi sypiących się kostek towarzyszyły radosne popiskiwanie: – Pats, Nanie, Taddy lobi! – Za którymś razem, po szczególnie efektownym wyrzucie, kilka klocków potoczyło się za kanapę. Malec puścił się po nie biegiem i zanim Jamie zdążyła się zorientować, co się święci, jej designerska lampa stojąca w formie pędu tulipanów niebezpiecznie się zakołysała. Rzuciła nóż i obiegła wyspę, żeby ją ratować, ale lampa runęła na drewnianą podłogę zaledwie o włos od dywanika, który ewentualnie mógłby zamortyzować upadek. W rezultacie wszystkie cztery szklane klosze rozbiły się w drobny mak.

Tad patrzył na nią wielkimi ze strachu oczami. Złość, którą w pierwszej chwili poczuła na myśl o lampie, wymuskany domu i jeszcze niedawno uładowym życiu, natychmiast ją opuściła na widok łez w wytrzeszczonych oczach dziecka.

– Nie ruszaj się – nakazała mu, klucząc pomiędzy odłamkami szkła i biorąc go na ręce. Odetchnęła dopiero, gdy bezpiecznie siedział na stołku przy wyspie, ciągle nie odrywając od niej wystraszonego oczu. Domyśliła się, że czeka, kiedy zacznie na niego krzyczeć. A więc tak zrobiłby Roy. Pamiętała z dzieciństwa, jak często strofował ją podniesionym głosem. Roy nie lubił wypadków.

Jak na ironię sam zginął w wypadku.

W rezultacie na nią spadła opieka nad Tadem, a Roy widział w niej „bardzo odpowiedzialną osobę”. Musiała się odnaleźć w nowej sytuacji.

– Małpeczko, nic się nie stało. To tylko rzecz. – Pochyliła się nad nim i ujęła w dłoń drobny buzię.

W podobny sposób pocieszała ją zawsze Caroline. Przytuliła go, kołysząc

w takt piosenki *Pan McDonald farmę miał szemrzącej* w jej iPadzie.

– Ciem mamy – wyszłochał w biust Jamie.

Coraz częściej się tego domagał, zapewne nieprzekonany pokrętnymi wyjaśnieniami. W końcu będzie musiała mu coś więcej powiedzieć, tylko co i jak?

Na szczęście Tad przypomniał sobie o łosiu. Podniosła pluszaka z kanapy i mu podała.

*Bardzo. Odpowiedzialna. Osoba.*

Powoli się uspokajała, nie myśląc już o tym, że w jej sterylnym mieszkaniu panuje coraz większy chaos.

– Wypadki się zdarzają, Taddy – tłumaczyła. – Przecież nie chciałeś stłuc lampy. Muszę pozbierać te szkła, bo inaczej nadepniesz na nie, biegając boso. – Pieszczotliwie ścisnęła go za stópkę. – I zrobisz sobie krzywdę.

Brad wszedł do mieszkania przez garaż, akurat gdy rozglądała się bezradnie i zastanawiała, od czego zacząć sprzątanie.

– Zobacz, skarbie, kto przyszedł! – Uśmiechnęła się do Tada. – Ostrożnie! – ostrzegła Brada. Chyba niepotrzebnie, bo wyczytała z jego zde gustowanej miny, że już zauważył szkodę.

– Uwielbiałaś tę lampę.

Po co to powiedział? Rzeczywiście, lampa była bardzo oryginalna. Z metalowej podstawy wyrastały cztery metalowe łodygi różnej długości zakończone kloszami w kształcie tulipanów. Dla bezpieczeństwa usunęła różne drobiazgi i bibeloty, ale lampy nie. Być może dlatego, że bardzo ją lubiła.

To tylko rzecz – myślała. Wczoraj w podobny sposób pozbyła się ulubionego szklanego wazonu.

Tad nie niszczył rzeczy celowo. Był żywym, ciekawym świata dwulatkiem. To chyba normalne w tym wieku? Zawsze jednak znajdują się powody do obaw. Czy rozwija się prawidłowo? Gdzie leży granica pomiędzy ruchliwością i ADHD? Czy okaże się zdolnym dzieckiem? Czy przypadkiem nie jest uczulony na jakieś potrawy? Jak się odnajdzie wśród rówieśników?

Takie problemy jako ciotki jej nie obchodziły. Jednak matkując Tadowi, musiała się nimi interesować. Dzisiaj upływał jej szósty dzień w nowej roli. Nie miała doświadczenia, jej znajomość dwulatków była zerowa. Zamówiła stos poradników i pilnie je studiowała, ale w każdym pisano co innego. Najchętniej poradziłaby się Caroline, niestety, matka była zajęta doglądaniem Thea i firmy. Nie mówiąc już o tym, że sprawa prowadzenia programu nie została rozwiązana.

– Nie szkodzi, kupi się nową – wyrecytowała niczym mantrę często ostatnio używany zwrot. – Brad, pomóż mi. Chyba zaczniemy od szufelki i zmiotki?

Z Tadem na biodrze, zdjęła owsiankę z kuchenki i odsunęła nóż poza zasięg ruchliwych rączek, zanim posadziła dziecko przy lakierowanym blacie z książeczką do kolorowania i kredkami. Nieudolnie trzymając kredkę, bazgrał

energicznie, nie zważając na linie. Intuicja jej podpowiadała, żeby zostawić go w spokoju, bo poczucie własnej wartości liczy się bardziej od poprawności form.

A może to jedna z tych rzeczy, które należy korygować, zanim powstaną złe nawyki? – zastanawiała się. Na to pytanie też nie знаła odpowiedzi. Caroline wiedziałaby, co robić. Musi ją zapytać.

Zajęła się odkurzaniem, podczas którego rozważała, kiedy uda jej się porozmawiać z matką i czy mimo ich napiętych relacji z powodu *Gut It!* wypada ją prosić o wskazówki dotyczące opieki nad dzieckiem Roya MacAfee. Brad zmiatał na szufelkę co większe kawałki szkła. Wysilek fizyczny dobrze jej zrobił. Kiedy przykucnęła i wodząc dłonią po deskach, oglądała podłogę pod różnym kątem, natrafiła na odłamek z rozbitego wczoraj wazonu. Hmm, kiepsko. W roli matki była nowicjuską, a takie błędy nie dodawały jej pewności siebie. Zawsze, zanim się do czegoś zabrała, miała w głowie gotowy plan. Chodziła na lekcje i kursy, słuchała mentorów albo trenerów i ćwiczyła tak długo, aż osiągnęła odpowiedni poziom. W tym wypadku balansowała na cienkiej linie bez rozpiętej pod spodem siatki ochronnej.

Rozpaczliwie potrzebowała wsparcia Caroline.

– Wyglądasz na przemęczoną – zauważył Brad.

Przymknęła powieki i rozmasowała skronie, chcąc się pozbyć napięcia. To oczywiste, że czuła się wykończona. I to, że Brad zjawił się u niej świeży po prysznicu i elegancko ubrany do pracy, wcale nie poprawiało jej samopoczucia. Został ją w tych samych szortach i podkoszulku co wczoraj, z niedbale spiętym końskim ogonem, bez makijażu na zapadłej ze znużenia twarzy. Musiała przy nim wyglądać jak półtora nieszczęścia.

– Kiepsko śpiam – wyjaśniła.

Oczywiście nie mógł o tym wiedzieć, skoro od wypadku nie zostawał u niej na noc.

– Myślałem, że Tad już nie budzi się w nocy.

– On przesypia całą noc. To ja mam problemy ze snem. Budzę się zestresowana i potem długo nie mogę zasnąć.

– Może powinnaś się przenieść do domu Roya.

Już na samą myśl o tym jej żołądek zareagował nerwowym skurczem.

– Co za różnica?

– Więcej przestrzeni. Łatwiej się rozłokować.

Po pogrzebie sporo przyjaciół rodziny mówiło podobne rzeczy. To piękny dom... Masz szczęście... Na pniu sprzedasz swoje mieszkanie... Podwórce jest idealne dla Tada... Przenosiny do tamtego domu, pomijając nawet jej niechętny stosunek do ojca, Tadowi kojarzyłyby się z powrotem rodziców. Czekalby na to, co nigdy się nie wydarzy, nic nie rozumiejąc. Intuicja podszeptowała Jamie, że na razie powinni zostać w jej mieszkaniu, a co do ograniczonej przestrzeni, to wołała



mieć Tada najdalej za ścianą.

Nie liczyła, że Brad potrafi to zrozumieć. Widziała, z jaką zbolałą miną rozglądał się po pokoju przy okazji stłuczonej lampy. Wiedziała, co myśli. Z mieszkania zniknął miejski szyk. Wyparły go porozrzucane zabawki, kubeczki z ustnikami, czyste pieluchy, chusteczki pielęgnacyjne i sterta ubrań świeżo wyjętych z suszarki. Na podłodze leżała piżamka, z której przed chwilą rozebrała Tada, a w radiu Raffi śpiewał rymowaną o malutkiej bieludze.

Azyl Jamie przypominał pobojuwisko. Zdarzało jej się czasem patrzeć na to wszystko ze ściśniętym gardłem, a nawet ze łzami. Owszem, sprzątała i układała, ale już po chwili pojawiała się kolejna poplamiona koszulka, brudny kubek czy zużyta pieluszka. A zabawki? Bez przerwy je zbierała. Bezsensowny wysiłek.

– Jesteś pewna, że chcesz wziąć to na siebie? – Brad zniżył głos do szeptu.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Co masz na myśli? – Wiedziała, oczywiście, wiedziała. Energicznie pokręciła głową, zanim zdążył wypowiedzieć imię Maureen. – Nie. Nie ma mowy.

– Jest jego babką – przekonywał ją szeptem. – Doświadczoną matką...

– ...dorosłych dzieci, jej mąż nie chce Tada, a ona sama miała kiepskie relacje z Jessicą. Nie oddam jej Tada, Brad. To nie wchodzi w grę. Nie kocha go tak jak ja – wycedziła, przerażona jego brakiem wrażliwości i myślą o oddaniu Maureen przyrodniego braciszka.

Brad nie zamierzał odpuścić. Naturalnie nie podniósł głosu; nigdy nie podnosił. Właściwie szkoda, bo wtedy mogłaby wykrzyknąć pulsujący w niej gniew.

– Nie masz takiego obowiązku wobec ojca – oznajmił.

– Słucham? Jak najbardziej mam! Jestem to winna Royowi, Tadowi i samej sobie. Ja chcę się nim opiekować, Brad. – Patrząc na niego ze złością, ściągnęła frotkę z włosów i na nowo zebrała je w koński ogon. – W każdym razie – warknęła nadal wściekła – Desideria ma w poniedziałki przychodzić tu sprzątać.

Zakłopotany – nigdy dotąd nie zdarzało jej się mówić do niego takim tonem, ale miała dość cackania się z nim – podsunął palcem okulary. Widziała, że gra na zwłokę, że chce pozbierać myśli. Miał dwa wyjścia, albo będzie ją wspierał: *Jakoś to zorganizujemy. Powiedz, jak mógłbym ci pomóc?*, albo umyje ręce.

– Ale..

Ten początek nie wróżył nic dobrego, poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

– ...to prowizoryczne rozwiązanie. Nie możesz tu zostać na dłuższą metę. Mieszkanie jest za ciasne, a pomoc Desiderii nie załatwia sprawy. Trzeba zatrudnić opiekunkę. MacAfee zawiesiło działalność na tydzień, potem musisz wrócić do pracy...

– Robię, co do mnie należy – przerwała mu wkurzona sugestią, że zawali

robotę. – Nasi klienci czekają na projekty. Siadam do nich, kiedy budzę się w środku nocy.

– Gdzie ty to robisz?

Słuszne pytanie, odkąd gabinet zmienił się w pokój dziecięcy.

Ruchem głowy wskazała stół, przy którym Tad radośnie bazgrał kredkami.

– No, nie! – sapnęła, podbiegając do malca. – Nie, nie, małpeczko, rysuj na papierze. – Pokazała mu jak, po czym z marnym skutkiem spróbowała palcami zetrzeć kolorowe ślady z białego lakieru. Środek czyszczący w sprayu pomógłby czy zaszkodził?

Taylor. Ona wybrała ten stół. Będzie wiedzieć.

Brad stał obok ze zwieszonymi ramionami i z rękami wciśniętymi w kieszenie.

– Potrzebna ci pracownia z prawdziwego zdarzenia, szczególnie jeśli będziesz więcej pracować w domu. U Roya znalazłoby się miejsce.

– Nie ma mowy – ucięła stanowczo.

– Czemu?

– Bo po pierwsze, dom jest za duży, po drugie, źle mi się kojarzy, a po trzecie, to dom ojca, nie mój.

– Przemebłuj go i poczujesz się u siebie.

– Po co wydawać pieniądze? Przecież chcemy się budować. Jeżeli sprzedam dom Roya, wystarczy funduszy na wybudowanie czegoś odpowiednio dużego dla nas i dla dzieci.

Projekt takiego domu jeszcze nie istniał. Kreowała go w głowie i omawiała z Brianem, bo na więcej nie starczało jej czasu. Ale to było przed śmiercią Roya.

Brad miał niewyraźną minę. Może i chciałby dom, ale bez Tada. Nie był na to przygotowany. Miała ochotę mu wykrzyknąć, żeby zaczął myśleć jak „odpowiedzialny człowiek”, ale przeszkodził jej telefon.

– Jamie? Tu Claire.

Skrzywiła się. Claire dzwoniła codziennie i chociaż ani nie nagrywała wiadomości, ani nie prosiła, żeby oddzwonić, intensywność tych prób sugerowała, że chodzi jej o coś więcej niż o kurtuazyjną czy przyjacielską rozmowę.

– Cześć, Claire.

– Co u ciebie?

Ogarnęła spojrzeniem bałagan w mieszkaniu.

– Jakoś sobie radzę. – I zatrzymała wzrok na Bradzie. Nachylony nad Tadem, wodził palcem po zarysie czapki clowna, pokazując mu, gdzie ma rysować.

– Wiesz co, to wszystko jest jakieś dziwne, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Tad z kredką w piątce bazgrał z przejęciem po stopach clowna.

– Rozumiem. Nie zawracałabym ci głowy, gdyby na mnie nie naciskano. Czas coś postanowić. Dział reklamy chce do Święta Niepodległości złożyć

materiały wstępne. Co zdecydowałaś?

– Och, hmm, przepraszam, Claire, nie miałam do tego głowy.

Wierutne kłamstwo. Myślała o tym godzinami. Wiedziała, że jeżeli się zdeklaruje, matka się wycofa i ich relacje na zawsze się popsują.

Claire znowu nią manipulowała.

Być może dałaby jej to do zrozumienia, gdyby Brad akurat nie próbował inaczej ułożyć kredki w rączce Tada.

– To był dla ciebie trudny tydzień. Zadzwoń do mnie, jak będziesz gotowa? – spytała Claire.

– Jasne – odparła, obchodząc kuchenną wyspę. – Dzięki za zrozumienie. – Rozłączyła się.

Chciała odciągnąć dłoń Brada, ale nie zdążyła, bo sam ją cofnął w odpowiedzi na naburmuszone spojrzenie Tada.

– On mnie chyba nie lubi – mruknął.

No, akurat, szepnął głos w jej głowie. To ty go nie lubisz, a on to wyczuwa.

Ze zrezygnowanym westchnieniem wzięła Brada pod rękę.

– On ciebie nie zna – tłumaczyła. – Musisz się z nim bawić. Wiesz co – ożywiła się. – A może zostałbyś dzisiaj z nami? Kilka godzin i przekonasz Tada do siebie. Sam mówiłeś, że oficjalnie biuro jest zamknięte.

Zanim jeszcze skończyła, z wyrazu szarych oczu wyczytała, że to nie wchodzi w grę.

– Szefostwo pracuje i ktoś z rodziny też powinien tam być. Ale brakuje mi ciebie. W ogóle się nie widzimy. Co powiesz na kolację wieczorem? Tylko my dwoje? Załatwisz opiekunkę?

Uznała, że w tej chwili bardziej się liczą potrzeby Tada.

– Nie mogę. Nie minął nawet tydzień.

*Jeśli jesteś szczęśliwy i o tym wiesz, uśmiechnij się* – śpiewały w tle słodkie dziecięce głosiki.

Jestem? Wbiła wzrok w iPada.

Brad też miał niewyraźną minę, zapewne z innego powodu.

– Co to za stacja?

– Toddler Pandora.

*...tra la la...* – wyśpiewały głosiki.

Wcale go to nie rozbawiło. Widziała na jego twarzy rozczarowanie, niepokój, a może nawet irytację. Starła się go usprawiedliwić. Obecność Tada w jej życiu to dla niego nowa sytuacja. Czuł się pomijany, niekochany. Należało go dowartościować.

*Tak jak ja!*

Krótko mówiąc, znalazła się między młotem a kowadłem.

– No dobrze – powiedziała bardziej do siebie niż do niego. – Może w ten

weekend? A opiekunkę zamówię o takiej porze, żeby Tad zdążył zasnąć przed moim wyjściem. Nie może wiedzieć, że mnie nie ma.

– A co z pracą w przyszłym tygodniu? – zapytał.

Nie wybiegała myślami tak daleko w przód, a właściwie odsuwała te myśli na bok, co zapewne nie było najmądrzejsze. Ten weekend to ostatni dzwonek.

– Jak się zabrać do szukania opiekunki? Jak poznam, która się sprawdzi?

Brad rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie i zerknął na zegarek.

– Czas na mnie.

Może poprosiłaby go, żeby został, gdyby widziała w tym jakiś sens. Ale tak? Tylko powiększał zamieszanie.

– Pożegnaj się – przypomniała mu bezgłośnie, ruchem głowy wskazując Tada.

– Trzymaj się, zuchu. – Wzburzył malcowi czuprynę.

Odprowadziła go do wyjścia. Przy drzwiach ją pocałował. Sympatyczne muśnięcie warg, bez śladu namiętności. Pierwszy raz poczuła niepokój, a może nawet gniew. Pragnęła czegoś bardziej wyrazistego, czegoś w rodzaju zapewnienia, że zaangażował się w tę zmianę, czegoś, co niesłoby ze sobą obietnicę.

\*

– A wracając do tego, co powiedziałaś Claire i Brianowi – zaczęła Caroline, wychylając się do przodu, żeby widzieć Deana spoza łba Champa, gdy pies niespodziewanie wyprężył się na tylnej kanapie niczym wartownik pełniący straż. Jechali jego ciężarówką na nową budowę. Dean chciał zamówić u niej artystyczną stolarkę na wymiar. Miała mnóstwo własnej roboty, ale dom był nieduży, a szczerze mówiąc, zawsze praca nad nowym projektem wymuszała oderwanie się od codzienności, a tego właśnie potrzebowała. Cierpiała, myśląc o Jamie, z przykrością myślała o *Gut It!*, a myśli o Theo też były niewesołe, bo zdawał się posuwać z każdym dniem. Z nią kiedyś też tak będzie, i wtedy co?

Dean najwyraźniej wyczuwał jej nastrój. Od dnia pogrzebu bardzo często się z nią kontaktował. O seksie więcej mowy nie było. Zastanawiała się, czy on przypadkiem nie żałuje, że w ogóle poruszył ten temat. Może i lepiej, mówiła sobie, niemniej tej części jej osoby, która czuła się stara i nikomu niepotrzebna, było trochę przykro. Niezależnie od tego, czy ma się ochotę na seks, miło się słucha komplementów.

– Mówię o ewentualnym przeniesieniu *Gut It!* do innej stacji – przypomniała mu. – Zastanawiałam się nad tym. Pomysł wydaje się niegłupi.

– Też o tym myślałem – przyznał, przekrzykując warkot ciężarówki na nierównej drodze. Zepchnął Champa na kanapę, żeby nie zasłaniał mu Caroline. – Jest do kitu – oznajmił głębokim głosem, który dobrze znała z sytuacji, kiedy ich zdania się różniły.

– Czemu?

– Za duże ryzyko. Jesteśmy w największej stacji lokalnej. Żadna inna nie wyprodukuje programu ani nie ma przebiccia, żeby go lokalnie dystrybuować. Zmiana stacji byłaby prostsza, gdybyśmy mieli Roya do negocjowania umowy...

– Roy nie jest nam do niczego potrzebny.

– Nie dziwię się, że jesteś zła na Claire...

– Zła to mało powiedziane, ale Brian powinien mieć dość rozumu, żeby lepiej wiedzieć.

– Kieruje się wynikami sondaży. Odpowiada przed zwierzchnikami, którzy trzymają kasę.

– Jak możesz go bronić? – obruszyła się, gdy zajechali przed dom, a właściwie dopiero jego szkielet.

Po przełączeniu dźwigni biegów na pozycję „parkowanie”, wyciągnął do niej rękę. Zaskakująco miły gest, biorąc pod uwagę ton jego głosu i chmurny wzrok.

– Nie bronię go. Staram się tylko postawić w jego sytuacji. Jest jeszcze jeden powód, dla którego powinniśmy się wycofać. Wszelkie kontakty z innymi stacjami Jamie odbierze bardzo osobiście. Powinnaś z nią o tym porozmawiać. Ciągle ci to powtarzam.

– Nie mogę.

– Wolisz cierpieć. – Potrząsnął jej dłonią. – Założę się, że jej też jest ciężko. A odwlekanie sprawia, że z dnia na dzień będzie coraz gorzej. Kochanie, musisz się przełamać. No i zobaczyć się z Tadem. Trzeba pamiętać, że oni są razem.

Pragnęła zaprotestować. Niestety, Dean miał rację. Bez Jamie czuła się niekompletna. On powiedział „kochanie”? Zdarzało mu się wcześniej tak do niej zwracać, lecz tym razem to zabrzmiało jakoś inaczej. Przez te wszystkie życiowe zawirowania potrzebowała czułości, chciała, żeby ktoś potrzywał ją za rękę. On chyba to wiedział. Nawet jeśli zmienił zdanie co do seksu. Może i lepiej, skoro muszą razem pracować. A właśnie praca. Powróciła myślami do *Gut It!*

– A jeżeli porozmawiam z Jamie i ona się zgodzi? – zasugerowała łagodnie, splatając palce z jego palcami. – Potrzebna nam karta przetargowa. Ona wie, jak to wszystko działa.

– Zakładając, że nie zależy jej na prowadzeniu programu.

Ryzykowne założenie. Chciała ufać Jamie, rozpaczliwie pragnęła jej wierzyć. Ale bycie twarzą *Gut It!* to wielce kuszący kąsek. Przecież wyraźnie powiedziała, że chętnie przejęłaby tę rolę, ale dopiero w przyszłości. A więc kompromis nie wchodził w grę. Dla Caroline z pewnością byłoby wycofać się stopniowo niż odejść z dnia na dzień, jak chciała stacja. Zdrowy rozsądek, no i instynkt macierzyński podpowiadały jej, że Jamie powinna się zgodzić.

Chyba że w ogóle nie zna własnej córki. A niestety, ostatnio coraz częściej nachodziła ją myśl, że to niewykluczone.

– Wiesz co – odezwał się Dean, chyba odgadując jej rozterki. – Porozmawiaj z Jamie. Jeżeli jest po naszej stronie, ja wykonam kilka telefonów.

## Rozdział 13



Przedpołudnie przeleciało Jamie tak samo szybko jak przedpołudnia spędzane na spotkaniach biznesowych. Tym razem zamiast z klientami miała do czynienia z kasjerkami. Najpierw w Whole Foods, potem w Container Store i w Toys „R” Us. W to ostatnie miejsce zajechała z konieczności, bo w Whole Foods nie mieli pampersów Huggies, które zakładała Tadowi.

Wizyta w tym sklepie okazała się dużym błędem. Tad zrobił awanturę, kiedy usiłowała go wysadzić z cozy coupé, samochodu chodzika. Ostatecznie plastikowy pojazd, zdecydowanie za duży do jej mieszkania, i tak wylądował w SUV-ie.

Następnym razem kupi pieluszki w aptece.

Nie. Następnym razem zaopatrzy się w nie przez Internet.

W ogóle będzie kupować większość rzeczy przez Internet. Zapinanie Tada w foteliku samochodowym i wypinanie go, chodzenie z nim po sklepie, wyjmowanie mu z rączek rzeczy, które ściągał z półek, i odkładanie ich z powrotem na miejsce, to wszystko sprawiało, że zakupy trwały dwa razy dłużej, niż gdyby robiła je sama.

Wróciła do domu, myśląc z szacunkiem o Jess i o wszystkich innych pełnoetatowych mamach. Rozpakowała zakupy, przełożyła ręczniki z pralki do suszarki i przygotowała lunch. Starła się nie zwracać uwagi na rysy po kółkach na wypolerowanej drewnianej podłodze, gdy Tad jeździł po niej w swoim coupé.

Odetchnęła, gdy położyła go na popołudniową drzemkę. Sama też najchętniej przyłożyłaby głowę do poduszki, lecz szkoda jej było marnować cenny czas bez Tada. Wykorzystała go na porządki. Ułożyła pieluszki w pojemniku, do kartonów powrzuciła osobno pluszaki, klocki Lego i kolejki. Wszystko sprawnie szło do chwili, gdy Tad obudził się z dłuższej niż zazwyczaj drzemki rozkapryszony i marudny.

Protestował przy zmianie pampersa, odpychał jedzenie, nie chciał bajeczki. Nawet nie spojrział na nowy samochodzik ani na inne zabawki starannie ułożone w salonie. Wywinął się z jej ramion, kiedy go chciała wziąć na ręce, i rzucił się na podłogę, wołając mamę.

Pobyt u cioci, z początku atrakcja, przestał go bawić.

Co miała mu powiedzieć? Przecież nie wiedział, co to śmierć. Nawet gdyby potrafił zrozumieć, że coś jest „na zawsze”, jak mogłaby mu powiedzieć, że nigdy więcej nie zobaczy rodziców?

Siedziała przy nim ze ściśniętym z żalu sercem i przeczesywała palcami

czekoladowe loki, aż się uspokoił i poprosił o mleko. Czowała się jak oszustka. Nie była matką, tylko architektką. Nie miała pojęcia, jak radzić sobie z dziecięcymi nastrojami, dręczona obawą, czy rola „bardzo odpowiedzialnej osoby” w życiu osieroconego przyrodniego brata przypadkiem jej nie przerasta.

Potrzebowała ramienia, na którym mogłaby się wyplakać. Gotowa pogodzić się z ewentualnym odrzuceniem, wsadziła Tada do samochodu i pojechała do Caroline. Już sama jazda tamtą trasą budziła wrażenie powrotu do normalności, a znajomy widok wysadzonej drzewami uliczki działał kojąco.

Z daleka wypatrywała zakurzonej czerwonej ciężarówce, ale podjazd był pusty. Ogarnęło ją przygnębienie. Pragnęła zobaczyć się z matką, znaleźć się tak blisko, żeby poczuć konwaliową nutę jej perfum. I nieważne, co przyniesie rozmowa. Ten zapach, lekki i delikatny jak białe dzwoneczki rozkwitające wiosną, towarzyszył jej od zawsze. Tej samej wody wcześniej używała babcia. Jamie często robiła Caroline drobne prezenty, ale nigdy nie kupowała perfum. Ten świeży, subtelny zapach był nie do pokonania.

Ona też nie da się pokonać. Roy rzucił jej rękawicę: „jeżeli nie potrafisz zachować się jak dorosła”...

Odkasznęła, żeby się pozbyć kluski w gardle.

– Taddy, widzisz te drzewa? – zapytała z zaskakującym entuzjazmem. – Nazywają się klony. Są bardzo stare. Zobacz, jakie wielkie urosły.

Nie odpowiedział, ale widziała we wstecznym lusterku, że patrzy w okno.

– Jakiego są koloru?

– Niebieskie.

– Niebieskie... a może zielone?

– Zielone!

– Brawo! A teraaz... – Skręciła na podjazd. – Jesteśmy na miejscu.

Wycofała samochód i zaparkowała przed frontem. Wyjęła Tada z fotelika iniosła go na rękach. Mniej więcej w połowie chodnika zorientowała się, że przecież on może iść sam. Postawiła go na ziemię i wzięła za rączkę. Chyba za mocno ją ścisnęła, jakby chciała ochronić go przed stratą, która już się dokonała, bo zaczął się wyrywać.

– Nie, nie, Nanie, ja siam.

Gdy ze znajomym szczękiem zamknęły się za nimi drzwi z metalowej siatki i Jamie otworzyła kluczem te właściwe, drewniane, Tad bez wahania wbiegł do środka.

– Kici, kici, kici!

Dziwne, że zapamiętał, bo wcześniej był tutaj z nią najwyżej dwa razy. Dwa koty rezydujące na górze potraktowały radosne piski jako ostrzeżenie, natomiast Master widział w ich przybyciu okazję do zabawy. Tad przykucnął, a Jamie mu pokazała, jak głaskać kota od czubka głowy po ogon, rzucać mu kulki ze



zgniecionego papieru i bawić się z nim, ciągnąc sznurek po podłodze. Robiła to wszystko, próbując pochwycić w nozdrza choćby ślad leśnego zapachu, który powinien pozostać po matce.

Master odszedł, a Taddy pogalopował za nim. Zabawa z kotem zajęła z pięć minut. Kolejne dziesięć spędzili na werandzie przy krakersach z serem, następne pięć upłynęło Tadowi w ogródku na wspinaczce na zwisające gałęzie czerwonego buka. Jamie cały czas nasłuchiwała warkotu ciężarówki Caroline. W końcu zdecydowała się na esemesa. *Jestem u ciebie z Tadem. Master super. Gdzie jesteś?*

*W biurze, przysłała odpowiedź. Theo się zastanawia, kto zastąpi Roya.*

To coś więcej niż zwykłe zastępstwo, pomyślała ze smutkiem Jamie. Śmierć Roya spowodowała poważną lukę w firmie. Brad nie znał się na marketingu. Nikt z rodziny tym się nie zajmował, a więc będą musieli zatrudnić kogoś z zewnątrz. Theo nie będzie zadowolony.

Nie bardzo wiedząc, co Caroline ma do roboty przy Theo, wysłała kolejną wiadomość. *Muszę się z tobą spotkać. Chcę, żebyś zobaczyła Tada. Teraz to mój syn.*

Po takim jasnym, wręcz prowokacyjnym postawieniu sprawy liczyła na natychmiastową odpowiedź. Kiedy ta nie nadeszła, poczuła się zostawiona sama sobie. Miała wrażenie, że jest niemile widziana w tym domu, postanowiła więc jak najszybciej zapakować Tada do samochodu. Telefon zawibrował dopiero, jak dojeżdżała do centrum. *Też chcę się z tobą zobaczyć*, przeczytała, gdy zatrzymała się na czerwonym świetle.

\*

Podbudowana odpowiedzią Caroline, podjechała pod plac zabaw, żeby zabić czas do chwili, kiedy będzie musiała pomyśleć o następnym posiłku. W zwykły dzień bez licznych rodzin oraz rzędu samochodów za płotem było tu znacznie spokojniej. Dwie mamy oraz pani wyglądająca na nianię siedziały razem, pilnując dziewczynek w różnokolorowych szortach i koszulkach, z kokardami na głowach. W sporej odległości od nich w narożniku trawiastego boiska stał ten sam tata, którego spotkała ostatnim razem. Przynajmniej zakładała, że to ojciec tamtego chłopca z piaskownicy. Tak samo jak wtedy miał przeciwsłoneczne okulary, podobny T-shirt z lycry oraz spodnie do kolan. Dzisiaj był bez czapki; i on, i chłopczyk mieli ciemne, proste, starannie przystrzyżone włosy.

Tad ruszył w ich stronę, a Jamie podążyła za nim i zatrzymując się na wyłobionej w trawie linii granicznej boiska, obserwowała zabawę. Mężczyzna, stojąc w odległości jakichś dziesięciu stóp od bazy domowej, poturlał po trawie gumową piłkę wielkości piłki do gry w nogę. Chłopiec zaledwie musnął ją butem. Piłka poturlała się w bok. Ojciec rzucił się do przodu, zastopował ją, zrobił dwa sprężyste susy – bardzo zręcznie się porusza, pomyślała – i posłał piłkę do chłopca.

Tym razem malec mocno ją kopnął.

– Brawo, Buddy! – zawołał mężczyzna i niby go goniąc, jednocześnie zdawał relację jak rasowy sprawozdawca sportowy. – Zawodnik osiągnął pierwszą bazę! – Sam podbiegł do drugiej, z przesadą udając, że usiłuje go dotknąć. – Oj, kiepsko, miotaczu! – zanucił. – Łapacz biegnie do trzeciej...

Rozradowany malec, oglądając się z dumną miną na ojca, pognał ile sił w nogach na kraniec boiska. Jamie, śmiejąc się głośno, pochyliła się nad Tadem.

– Patrzysz, małpeczko? – Pchnęła go delikatnie do przodu.

Chłopczyk przemknął obok nich, zmierzając do bramki, a ojciec biegł za nim, udając, że nie może go dogonić.

– Gool! – zawołał mężczyzna, wyrzucając ramiona w górę. – Sześć do dwóch dla Budmana. – Poderwał chłopczyka z ziemi i uniósł wysoko nad głowę. – Zwycięzca! – Postawił go na trawie i odwrócił się do Jamie i Tada. – Robi się dla mnie za dobry. – Rzucił piłkę za siebie i spacerowym krokiem dołączył do Jamie. Zauważyła, że jest bardzo wysoki, miał dobrze ponad sześć stóp wzrostu i poruszał się bardzo harmonijnie.

– Ile on ma lat? – spytała, kiedy odprowadzali wzrokiem chłopca biegnącego za piłką.

– Trochę ponad trzy.

– Myślałam, że cztery. To tylko dowodzi, jaka jestem w tych sprawach kiepska.

– Nie kiepska, tylko nowa – poprawił ją.

A więc wiedział, kim ona jest. Zapewne też powinna go kojarzyć. Było w nim coś znajomego...

– Dzięki za pomoc w sobotę. Chodzi o tamte mamuśki.

– Żaden problem. Potrafią być namolne. Ja, jeśli tylko mogę, chowam się za książką.

Tad przesunął się parę kroków i znieruchomiał na krawędzi boiska. Chłopiec obserwował go, siedząc na piłce.

Jamie pochyliła się nad Tadem.

– Skarbie, idź się pobawić. Śmiało.

Spojrzała na mężczyznę, unosząc pytająco brwi, a on przytaknął głową.

– Buddy, podaj mu piłkę! – zawołał.

Chłopczyk wstał i spróbował ją kopnąć, ale piłka, wyhamowana przez trawę, odczyła się tylko kawałek.

– Naprawdę ma na imię Buddy?

– Nie. Baker, ale nikt go tak nie nazywa.

– Mama jest gdzieś w pobliżu?

– Nie. – Zwięzła odpowiedź. Koniec tematu.

Piłka leżała w połowie drogi pomiędzy malcami, którzy cały czas uważnie

się sobie przyglądali.

– Buddy, pokaż mu, jak to się robi! – zachęcił go ojciec, gdy chłopiec nie ruszył za piłką.

– Tad dopiero skończył dwa lata. – Jamie wołała usprawiedliwić przyrodniego braciszka na wypadek, gdyby tata Buddy’ego ocenił go na więcej i dziwił się, czemu nie włącza się do zabawy. Roy przy każdej okazji chętnie opowiadał, że dzieciak jest wyjątkowo duży na swój wiek. – A dokładnie, ma dwa lata i cztery miesiące.

– Czy on rozumie, co się stało?

Miał na myśli nagłą śmierć rodziców.

– Nie. Oboje żyjemy w stanie zawieszenia. Nadal udaję, że opiekuję się nim chwilowo jako ciocia.

– Każdy wybieg jest dobry, jeśli ma pomóc odważnie wejść w nowe życie.

Musiła się uśmiechnąć. Jak ten facet ją rozumiał.

– A tak na marginesie, jestem Jamie.

– Charlie – przedstawił się i potruchtał na boisko. – Dobra, chłopaki. Czas przełamać lody. – Ukucnął pomiędzy nimi. – Buddy, Tad. Tad, Buddy.

Obaj nawet nie drgnęli.

– No dobrze. – Charles wziął piłkę w dużą dłoń. – Pobawimy się w berka. Znasz tę zabawę, Tad? Nie? Nic nie szkodzi, zawsze kiedyś jest pierwszy raz.

Podniósł się z kucek, a potem nachylił się ku chłopcom na przygiętych nogach z rękami opartymi na udach, kiwając się lekko na boki. Jamie była za daleko, żeby słyszeć, co mówi. Domyślała się, że pewnie tłumaczy zasady gry.

– Gotowi do biegu, start!

Nie sądziła, że Tad będzie wiedział, co robić, dopóki nie puścił się biegiem za Buddym. Charles z piłką w ręce ścigał ich obu na przemian, udając, że nie może żadnego złapać. Zabawie towarzyszyły radosne popiskiwanie, śmiechy i przepychanki.

– Uff, przerwa! – zawołał w końcu, głośno sapiąc. – Chłopaki, za dobrzy jesteście dla mnie!

Upuścił piłkę i potruchtał z powrotem do Jamie. Stał obok niej z rękami wspartymi na biodrach. Wcale nie był zadyszany.

– Masz podejście do dzieci – powiedziała z uznaniem.

Wzruszył ramionami.

– Buddy, okrążaj bazy! – krzyknął, przykładając dłonie do ust.

Malec, stawiając przesadnie duże kroki, skierował się do pierwszej bazy, obiegł ją i ruszył do drugiej. Tad, naśladując go, drobił krótkimi nóżkami.

– Często tu przychodzisz? – spytała Jamie.

– Kilka razy w tygodniu. Mamy podwórko przy domu, ale to lepsze miejsce na piekielną godzinę.

– Piekielną godzinę?

– Między piątą a szóstą.

Jak mogła się nie domyślić? Przez ostatnie dwa dni ratowała się puszczaniem odcinków *Świata Elmo*. Plac zabaw był zdecydowanie lepszym rozwiązaniem.

– Mieszkasz tutaj?

Charlie pokiwał głową.

– W domu moich staruszków. Udostępnili mi go po przejściu na emeryturę. Obecnie dzielą czas między Florydę i Vermont.

W takim razie jego rodzice byli willistończykami. Może zapytałaby o nazwisko, może знаła je ze słyszenia, może nawet chodziła z Charliem do tej samej szkoły, jednak w tej chwili bardziej zależało jej na innego rodzaju informacjach.

– Jesteś pełnoetatowym tatą?

Parsknął śmiechem.

– Tak to może wyglądać, ale, nie, pracuję. Buddy do czwartej jest w żłobku.

– Gdzie?

– W First Unity. Prowadzi go kościół. Ale jest kilka innych miejsc, wcale nie gorszych. – Mówiąc, nie odrywał oczu od chłopców. Buddy zdążył okrążyć trzecią bazę. Odległość między nimi rosła, lecz Tad nie odpuszczał. – Na pewno przyjaciele dali ci namiary.

– Nie mam przyjaciół – wyznała. – Podsuń mi parę pomysłów.

Odwrócił się do niej. Ciemne okulary nie zdołały zamaskować sceptycznego spojrzenia.

– MacAfee bez przyjaciół? Niemożliwe.

– Dużo pracuję. Więc co z tymi żłobkami?

Przesunął okulary na czubek głowy i patrząc na nią zamyślony, potarł grzbiet nosa.

– Oprócz First Unity masz jeszcze żłobek w Community Center. Jest też grupa zerowa w Underwood, jednej ze szkół podstawowych w mieście, ale na to on jest jeszcze za mały. – Nałożył z powrotem okulary, jakby chciał się za nimi ukryć przed jej spojrzeniem.

Za późno. Już go rozpoznała. Wzrost, niezwykła sprawność i te niebieskie oczy. To one go zdradziły.

– Chip? – wyjąkała zaskoczona.

– Charlie.

– Chip Kobik.

– Charlie – powtórzył z naciskiem. – Chipa już dawno nie ma.

Być może próbowałaby wyciągnąć z niego coś więcej, gdyby akurat nie dostał piłką prosto w plecy.

– Auu! – zawył, odwracając się. – Co. To. Było? – wyskandował groźnie.

Buddy musiał wiedzieć, że ten ton to tylko żart, bo odwrócił się i chichocząc, zaczął uciekać przed goniącym go ojcem. Piłka leżała zapomniana, więc tym razem Charlie klepnął go ręką, złapał wpół i niosąc pod pachą, dobiegł do Tada.

Na komendę „Start”, Buddy ile sił w nogach ruszył przed siebie. Charlie poderwał Tada z ziemi, posadził go sobie na biodrze i pogalopował za synem.

Jamie w odruchu paniki przycisnęła dłoń do ust. Nie obawiała się, że Charlie mógłby upuścić Tada. Bała się reakcji malca, bo nie znał tej zabawy i uciekał z nim obcy pan. Przecież dzieciak miał dopiero dwa lata!

Charlie wrócił z rozpromienionym Tadem. Teraz, gdy udało mu się wreszcie klepnąć Buddy’ego, wywinął się z ramion i stanął obok swojego nowego kolegi. Charlie pochylony nad chłopcami coś im tłumaczył, balansując na ugiętych nogach. Ten zapożyczony ze sportu nawyk przestał być tajemnicą – Chip Kobik, mistrz koordynacji, rzucił studia, żeby grać w zawodowej drużynie hokejowej. Świetnie się zapowiadał.

Jamie nie miała pojęcia, co Charlie im mówił, lecz kiedy skończył, odwrócił ich obu w stronę drugiej bazy i lekko pchnął.

Ze wzruszenia ścisnęło ją w gardle, w oczach zakręciły się łzy, bo Tad bez wahania włączył się do zabawy. Wydał jej się bardzo dojrzały jak na swój wiek. Od śmierci rodziców nie widziała go z taką uszczęśliwioną miną. Ta jego radość okazała się zaraźliwa. Nawet jeżeli miała krótko trwać, nareszcie mogła z ulgą odetchnąć.

Charlie stanął obok niej. Obserwował chłopców biegnących na skraj boiska. Buddy prowadził, Tad wyraźnie odstawał, ale nie rezygnował.

– Chodzi o to, aby ich porządnie zmęczyć. Buddy o wpół do ósmej będzie już twardo spał. – Spojrzał na nią z ukosa. – Wszystko w porządku?

Rzeczywiście trochę się rozczuliła, ale zmysł praktyczny wziął górę.

– Kładziesz go o wpół do ósmej?

– Przeważnie, ale nie przestrzegam sztywno godziny.

– Na pewno śpi już w normalnym łóżku.

Westchnął ciężko.

– Ma to swoje ciemne strony.

– Jak to?

– O szóstej rano widzimy się nos w nos.

– Jak dawno? Znaczący, kiedy zrezygnowałeś z dzieciennego łóżeczka ze szczebelkami?

– Jak miał dwa i pół roku.

– To normalny wiek na taką zmianę?

Podrapał się po szyi.

– To zależy. Dzieciak musi być na nią gotowy. – Przyłożył do ust dłonie złożone w trąbkę. – Hej, wracać tu do mnie! – zawołał do chłopców, którzy stali na

drugim końcu boiska oparł plecami o płot.

– Skąd będę wiedzieć, że Tad jest gotowy?

Rzucił jej półśmiech.

– A ty jesteś?

– Nie mam pojęcia, ale szybko muszę coś zdecydować. Już nie mieści się w kojcu. A więc albo przewiozę jego łóżeczko do siebie, albo kupię mu łóżko.

– Kup łóżko.

– Tyle zmian naraz w tak krótkim czasie?

– Jedna więcej nie ma znaczenia.

Bezsprzecznie. To ma sens. Tak samo jak przenosiny Tada do jej mieszkania, żeby przeszłość przybladła, dając początek przyszłości.

– Co z wysadzaniem na nocnik?

– Miej zawsze pod ręką M&M-sy. Przekupstwo działa cuda.

– Powinam już zacząć go wysadzać?

– A jest porządnicki?

– Rany, nie! – Oczyma duszy ujrzała swoje mieszkanie. – Absolutnie!

– W takim razie jeszcze się wstrzymaj. Z Buddym opornie szło. Chłopcom dłużej to zajmuje. No wiesz, dwie rzeczy do nauczenia się naraz.

Może peszyłoby ją omawianie męskich funkcji fizjologicznych z Chipem Kobikiem, gdyby nie dominujące uczucie ulgi, które pozwalało jej po raz pierwszy od niepamiętnych czasów swobodnie oddychać. Przez kwadrans dowiedziała się więcej niż w ciągu ostatnich pięciu dni.

Podniosła na niego zdumione oczy.

– Kto by pomyślał, że Champion Chip będzie znać odpowiedzi na takie pytania?

– Kto by pomyślał, że Akuratna Jamie raczy o te sprawy pytać? – zrewanżował się.

Cóż, należało jej się. Chodzili do tej samej szkoły. Chip Kobik był dwie klasy wyżej. Nigdy się nie kolegowali, nigdy ze sobą nie rozmawiali, ale przezwiska popularnych uczniów krążyły we wszystkich uczniowskich kręgach. Chip już wtedy grał w hokeja w lokalnej oraz w stanowej drużynie i miał zadatki na mistrza. Stąd ksywa Champion Chip. Jako król sportowego światka miał odpowiednio wybudowane ego. Jamie nie była popularna, przynajmniej nie w szkole. Ani też nie miała swojej paczki. Akuratna Jamie, do przesady sumienna, koncentrowała się na tenisie.

– Charlie – przypomniał łagodniej, chyba żałując wcześniejszej ostrej riposty. – Mam w domu listę opiekunek. Daj mi swój mail. – Wyjął z kieszeni telefon i wstukał jej adres. – To zapewne tylko prowizoryczne rozwiązanie, ale zawsze lepsze niż nic.

– Skorzystam z każdej możliwości pomocy – odparła, połykając dumę. –

Zostałam rzucona na głęboką wodę.

– Skoro mowa o wodzie... – Obejrzał się przez ramię, kierując synka do bramki. – ...we wtorki i czwartki na basenie miejskim są wyznaczone godziny dla maluchów. Może mu się to spodoba. A w bibliotece odbywa się czytanie bajek. W różne dni. Dla Tada to będzie dobra okazja do kontaktu z innymi dziećmi.

\*

Champion Chip źródłem rodzicielskich porad? Kto by pomyślał? Rozbawiona, zaciekawiona i spragniona rozrywki, postanowiła pogrzebać w Internecie. Wrzuciła do wrzątku tortellini z serem na kolację i posadziła Tada sobie na kolanach przed iPadem z kreskówką *Maniek Żłota Rączka*. Przytrzymując go jedną ręką, drugą otworzyła laptop i wklepała w Google Charliego Kobika.

Uczył wychowania fizycznego w szkole podstawowej Emory Elementary.

Nie tego się spodziewała, chociaż z drugiej strony, pamiętając, jak sobie radził z chłopcami na boisku, to miało sens. Niemniej, co za radykalna przemiana tego „kontrowersyjnego sportowca”, jak go nazywano w artykułach z wcześniejszego okresu! Poszedł na Harvard, grał w hokeja, potem rzucił studia i został zawodnikiem najpierw Montreal Canadiens, a potem Buffalo Sabres oraz Pittsburgh Penguins. W żadnym z klubów nie zagrał miejsca. Gdy wygasł jego trzyletni kontrakt, National Hockey League bezzwłocznie się z nim pożegnała. Potem nastąpił nieudokumentowany okres w jego życiu. Jak Jamie podejrzewała, musiał się w tym czasie na nowo pozbierać, bo kolejna informacja dotyczyła studiów na Uniwersytecie Massachusetts, gdzie zrobił dyplom z pedagogiki. Podjął pracę w Williston School Department. Latem prowadził szkółkę hokejową na krytym lodowisku. Według gazety „Williston News” jako trener odnosił poważne sukcesy.

Jamie nie znalazła ani słowa o żonie i synku, ale sprawa chyba była oczywista, skoro wysiadywał sam na placu zabaw, ukryty za ciemnymi okularami i daszkiem bejsbolówki. Zresztą to, co robił poza pracą, było jego prywatną sprawą.

Charlie, tak jak obiecał, przysłał jej mail z zamiarami na opiekunki.

*Spadłeś mi z nieba*, odpisała. *Wielkie dzięki* □.

Odsączając tortellini z telefonem przyciśniętym barkiem do ucha, załatwiła opiekunkę na sobotni wieczór i zadowolona zadzwoniła do Brada.

– Świetnie – odpowiedział bez entuzjazmu.

– Zostaniesz u mnie?

– Jasne.

– A może wpadniesz dziś wieczorem?

– Nieee, muszę dłużej posiedzieć w pracy.

– No, to jak skończysz. Albo jutro przed południem? Jadę z Tadem

kupić mu łóżko. Chcesz się z nami spotkać w sklepie?

– Nie jest za mały na łóżko?

– Nie, według tego, co wyczytałam. – Wołała nie wspominać o Chipie. – Są takie niskie łóżka z podnoszoną barierką, a na podłodze leży dywan, więc nawet gdyby wypadł, nie zrobi sobie krzywdy. Brad, pojedziesz z nami? Niech kojarzy cię z zakupem łóżka dla dużych chłopaków.

Niestety, Brad miał inne plany.

– Właśnie skrzyknęliśmy się w czwórkę na parę dołków.

A więc golf.

– Muszę złapać oddech. Ostatni tydzień był koszmar.

Jamie stłumiła zbuntowany głos w głowie, który natychmiast odpalił, że ten tydzień dla niej też był koszmarem, a Brad podobno jest częścią rodziny. Jednak chyba nie tej, powiększonej teraz o Tada. Zdaje się, że nie miał ochoty do niej należeć.

Będą musieli poważnie porozmawiać.



## Rozdział 14



W sobotę wczesnym rankiem Caroline wyrwało ze snu energiczne pukanie do drzwi. W pierwszej chwili pomyślała o Jamie. Nic dziwnego. Myśli o córce często prześladowały ją nad ranem, nie pozwalając zmrużyć oka, a tej nocy szczególnie kiepsko spała.

Jednak nie. To nie mogła być Jamie. Po co miałyby pukać? Przecież miała klucz.

Poza tym Jamie nie przyjechałaby ciężarówką Deana, a to właśnie ją zobaczyła, gdy wygramoliła się spomiędzy kotów i mrużąc załzawione oczy, wyjrzała na ulicę.

Dean i jego słowa „Udowodnię, że nie masz racji co do seksu”. Dean i kojący uścisk dłoni na pogrzebie, a potem tamten opiekuńczy gest podczas konfrontacji z Claire, sugerujący, że jest dla niej kimś więcej niż tylko kolegą z pracy. Niemal się rozkleiła na wspomnienie, jak czule i delikatnie rozmawiał z nią wczoraj w ciężarówce. Jakie to wszystko dziwne!

Wytrącona z równowagi, wróciła do łóżka. Długo nie poleżała, bo pukanie nie ustawało.

Nadaśana, że wyrywa ją z łóżka po słabo przespanej nocy, odrzuciła kołdrę i boso zbiegła na dół. Miała na sobie wiekowy podkoszulek z logo MacAfee, kiedyś czerwony, teraz wyblakły po niezliczonych praniach i na tyle obszerny, by zasłaniać szorty, w których spała, a także odsłonięte pewne części ciała, nie mniej wyblakłe niż podkoszulek. Jeżeli ten widok go nie zniechęci, zdecydowanie zrobią to rozczochrane włosy.

Zaciskając szczęki, szarpnęła za kłamekę.

Otworzył szeroko oczy i natychmiast pokrył zmieszanie uśmiechem.

– Cześć, słonko!

– Słonko? – Odchrząknęła. – Akurat.

Nadal uśmiechał się niezrażony.

– Aha, wstaliśmy dziś lewą nogą, tak?

– Nie.

– Chyba nie przeze mnie? – zapytał takim niewinnym tonem, że kiedy indziej wybuchałyby śmiechem.

Teraz stała przed nim zmieszana i zbita z tropu.

– Czemu tak wcześniej? – jęknęła. – Jest weekend. Nie należysz do rannych ptaszków. – Zerknęła na zegar stojący. – Która godzina?

– Ósma – odparł. – Przywiozłem zakupy na śniadanie. – Wśliznął się do środka, ocierając się o nią, celowo, co okazało się nawet przyjemne, i pomaszerował korytarzem do kuchni.

Miała ochotę demonstracyjnie wrócić do łóżka, ale zmieniła zdanie z dwóch powodów. Po pierwsze, nie zasnęłaby, wiedząc, że on krząta się po kuchni, a po drugie, jeszcze wpadłby na pomysł, żeby do niej dołączyć.

Nie zamierzała się przebierać. Co z tego, że przyjechał jeszcze z wilgotnymi włosami po prysznicu, w świeżym podkoszulku i džinsach? To jej dom, jej rutyna w sobotni poranek.

– Przypadkiem nie pytaj, czy zadzwoniłam do Jamie! – zawołała za nim. – Bo od naszej ostatniej rozmowy nic się nie zmieniło!

Podreptała przez korytarz. Akurat rozkładał zakupy w jej mikroskopijnej kuchni.

– Bekon, jajka, ser – wyliczał. – I chleb.

– Ja to wszystko mam.

– Bekon, też? Naprawdę?

– Nie. Bekonu nie znajdziesz. Jest niezdrowy.

– Nie dla mnie. I wątpię, abyś miała taki chleb; świeżutki, grubo krojony, pełnoziarnisty, prosto z piekarni w mieście. – Uniósł pytająco brew.

– No, nie – przyznała.

Na stole stała ćwiartka świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego w firmowej butelce z tej samej piekarni. Wyjęła dwie szklanki i napełniła je sokiem. Dean z zafrasowaną miną przyglądał się szafkom. Skąd miał wiedzieć, gdzie Caroline trzyma patelnię.

Odsunęła go.

– Zostaw, ja się tym zajmę.

– Nie tak planowałem.

– Może nie, ale ta kuchnia jest za ciasna na nas dwoje, a ja wiem, gdzie co leży. Za chwilę zaczniesz się uskarżać, że tu jest za gorąco, lepiej więc od razu wyjdź na werandę.

Sięgnęła patelnię z szafki, postawiła ją na kuchence i zapaliła gaz. Kiedy patelnia się nagrzała, ułożyła na niej porozdzielane plastry bekonu. Skwierczeniu tłuszczu towarzyszył syk ekspresu do kawy.

– Nalać ci? – spytał. Otworzył lodówkę i dodał śmietanki do kawy.

– Poproszę herbatę. Kapsułki z herbatą są...

– Znalazłem. – Wyjął jedną, obejrzał, wyjął drugą i zrobił to samo.

– Obojętnie, obie dobre. Zdumiewasz mnie.

Zajął się parzeniem herbaty, a ona w tym czasie wbiła cztery jajka do miseczki, rozmaciała je widelcem i przewróciła bekon na drugą stronę. Podczas krzątania splątane loki opadły jej na twarz, ograniczając widok. Sięgając do

lodówki, wzdrygnęła się zaskoczona, bo nie sądziła, że on stoi tak blisko niej.

Odgarnęła włosy z twarzy i cofnęła się ze znaczącym chrząknięciem. Dean nie ruszył się z miejsca.

– Jak ręka? – zapytał, stawiając filiżankę na blacie blisko patelni.

Zadowolona z możliwości odwrócenia uwagi, zademonstrowała mu jasnoczerwoną bliznę.

– Wczoraj zdjęli mi szwy. Jest dobrze. – Jakby na dowód odsunęła go na bok zoperowaną ręką. – Proszę, zanieś soki i to... – upuściła serwetki i widelce na blat – ...na werandę.

Mieszała rozmącone jajka, czekając, aż plastry bekonu skurczą się i zwiną.

– Mmmm, nic lepiej nie pachnie – usłyszała, moment wcześniej czując ciepło owiewające ucho.

Mówił o bekonie, ona sądziła, że o kawie, bo owionął ją ślad kawowego aromatu w jego oddechu, gdy trącał nosem jej włosy.

– To ty tak pachniesz czy szampon?

Przełknęła ślinę.

– Szampon.

– Ten zapach zawsze kojarzy mi się z tobą. – Wyraźnie zmienił mu się głos.

– Bo zawsze go używam.

Oderwała z rolki kilka listków papierowego ręcznika. Gdy odsączała na nich bekon z tłuszczu, poczuła rękę wędrującą wzdłuż kręgosłupa.

Odwróciła się gwałtownie z widelcem w dłoni.

– Co ty wyprawiasz?

Cofnął się z miną winowajcy.

– Byłem ciekawy, co masz pod spodem.

– Nic, Dean. – Patrzyła na niego zadziornie. – Nic. Dopiero wstałam.

– Jesteś cudowna.

Miała ochotę na niego nakrzyczeć, wyrzucić go z domu, ale jakaś mała część jej istoty – o zdradziecką próżności! – delectowała się tym komplementem.

Zakłopotana, teraz żałując, że jednak się nie przebrała, nie umyła twarzy albo przynajmniej nie użyła płynu do płukania ust, odwróciła się do kuchenki. Usunęła z patelni nadmiar tłuszczu, wlała rozbełtane jajka i posypała po wierzchu startym cheddarem.

– Więcej – zachęcił głos na wysokości jej skroni.

Dosypała sera i odstawiła woreczek na blat. Ciepło ciała tuż za nią wysyłało jednoznaczny komunikat. Ze zrezygnowanym westchnieniem oparła się o Deana na jedną znużoną minutę.

Nie, to nie była minuta. Najwyżej piętnaście sekund. I nie czuła znużenia, a raczej oszołomienie. To ciepło, siła i dominujący wzrost. Przytulenie sprawiło jej większą przyjemność, niżby tego sobie życzyła. Była tam zażyłość, zaufanie

i jeszcze coś, czego nie doświadczyła od lat. Czemu teraz, czemu teraz?

Oderwała się od niego zmieszana.

– Och, Dean – westchnęła, wracając do mieszania jajecznicy.

Odwrócił się i oparł o zlew, zaglądając jej w twarz.

– Co znaczy to westchnienie?

– Że to wszystko staje się dziwne. – Nie odrywała wzroku od patelni. – Nie rozumiem twojego zachowania ani tego, co czuję. Dlaczego tak nagle?

Jego orzechowe oczy pociemniały.

– Wcale nie nagle. Zawsze mi się podobałaś.

Zaskoczył ją tym wyznaniem.

– Nawet kiedy byłeś żonaty?

Speszył się.

– Wtedy bym sobie na to nie pozwolił. – Wzruszył ramionami. – Po rozwodzie nasza relacja dawała mi psychiczny komfort. Wtedy bardziej potrzebowałem twojej przyjaźni. Myśli o seksie były na drugim planie.

Przyglądała mu się z uwagą, ona, pięćdziesięciosześcioletka, zastanawiając się, co w jego ustach znaczyło: „na drugim planie”. Widziała, że mówił poważnie.

– I co się zmieniło?

Chyba szukał w głowie odpowiednich słów, ale tylko wzruszył ramionami.

Ona też szukała wyjaśnienia.

– Nie jestem ani zmysłowa, ani seksowna, ani kobieca.

– Czy tak mówił ci Roy?

Machnęła ręką.

– Zostawmy Roya. On nie żyje.

Dean wyprostował się, nagle poważny i skupiony.

– No właśnie, Caro. Miał pięćdziesiąt dwa lata. Jaki z tego wniosek? Ja mam pięćdziesiąt trzy. Ile pożyczę? Mogę spaść z dachu albo rozwalić się na harleyu. Nie wiem, naprawdę nie wiem, co mnie czeka, i dlatego nagle zaczęły mi błąkać się po głowie myśli o tym, czego mogę żałować w ostatnich minutach przed śmiercią. I pomyślałem o tobie.

Nie wiedziała, czy ma się roześmiać, czy rozpłakać.

– A więc jestem na liście spraw do odhaczenia przed śmiercią?

– Szczerze? – Nawet nie mrugnął. – Tak.

Przełknęła ślinę, usiłując pozbierać myśli.

– Dean, zajmuję się stolarką. To męska robota. Mam blizny i odciski na dłoniach. A za cztery lata stuknie mi sześćdziesiątka.

– Jesteś seksowna.

– Sześćdziesiąt za cztery lata.

– Masz obsesję na punkcie wieku, bo Roy i Claire...

– Stwierdzam fakt.

– Co za różnica, gdy się przekroczy, powiedzmy, czterdziestkę? Przestań, Caro. To głupie. Nie obchodzi mnie, ile masz lat. Dla mnie jesteś bardzo seksowna. „Seksowna”. Mocne słowo.

Popatrzyła mu w twarz, otwartą i szczerą. Poczowała ucisk w okolicy żołądka. Roy potrafił czarować, był mistrzem manipulacji. Dean nie. Z natury prostolinijny, mocno stąpał po ziemi. Nie cierpiał na przerost ego. Potwierdzał to onieśmielony wyraz jego twarzy, który zdawał się mówić: „Mógłbym ci udowodnić, że nie masz racji”.

Nie było w tym wszystkim zadufania, jak z początku sądziła. Nie bawił się w prowokacje, nie pogrywał z nią. To ją wzruszyło, a jednocześnie przestraszyło.

– Masz taką przerażoną minę – zauważył.

– Bo jestem przerażona. Nie wiem, czy się przełamie. Nie wiem, czy tego chcę.

Przysunął się i zamykając Caroline pomiędzy wyciągniętymi ramionami, zdjął patelnię z kuchenki. Potem zacisnął dłonie na jej przedramionach; silne i śniade w porównaniu z jej skórą, z długimi, poznaczonymi bliznami palcami i tym małym, krzywym palcem, który nie do końca się zginał.

– A ty myślisz, że ja się nie denerwuję? – wyznał cicho. – Że się nie boję, że mogę cię rozczarować? Myślisz, że nie widzę ryzyka? Zastanów się. Roy był młodszy ode mnie, a nie żyje. To zderzenie z rzeczywistością. Odkładaj rzeczy na później, a mogą nigdy się nie zdarzyć. Nigdy. W pewnym momencie życia nie wolno zwlekać z sięgnięciem po to, czego się chce.

– Dobrze ci mówić. – Zadumała się. – Najwyraźniej ty wiedziałeś, że tego chcesz. Ja żyłam w nieświadomości.

– Teraz masz jasność. I albo to czujesz, albo nie.

– To są słowa, Dean, tylko słowa. Jakies wydumane dywagacje.

– Nie rozumiem.

– Ponieważ...

– Ponieważ, co?

– Powiem ci.

– Tak?

– Ponieważ – zebrała się na odwagę – stoisz tuż przy mnie i tak sobie gadamy, a gdyby naprawdę chodziło o seks, powinnam czuć, hmm, czuć ciebie, a tymczasem... – urwała, gdy przywarł do niej biodrami na dowód, jak bardzo się myli.

\*

Dean był jeszcze w drodze do ciężarówki, gdy chwyciła za telefon i zadzwoniła do Annie Ahl.

– Co robisz?

– Siedzę w buszu chwastów na posesji Blaine’ów.

W tym zleceniu inwestorowi zależało przede wszystkim na poprawie wyglądu elewacji i przeprojektowaniu ogrodu, a nie na modernizacji wnętrza, dlatego inwestycją zajmowali się Annie, Jamie i Dean. Caroline знаła jedynie adres.

– Jestem u ciebie za dziesięć minut.

Ubrała się w dwie minuty, następne dwie zajęło jej nakarmienie kotów, a w sześć dotarła na miejsce. Jechała zdecydowanie za prędko, lecz to była sprawa niecierpiąca zwłoki.

Dean ją zaskoczył. Powinna być wzburzona albo zakłopotana, może zszokowana, ale, na litość boską, nie zaintrygowana! Naprawdę zrobił na niej wrażenie. I jeszcze to jego onieśmielenie i szczerść podczas tej zaskakującej rozmowy! Naprawdę miała mętlik w głowie.

Annie była jej przyjaciółką. Piętnaście lat wcześniej poznały się w pracy i od tamtej pory łączyły je babskie sprawy; wspólne sesje u manikiurzystki, biopsje piersi, przebarwienia na skórze i menopauza. Caroline nie wspomniała jej słowem o *Gut It!* Miała nadzieję, że nie będzie musiała. Przyjaciółce mniej brakowało do sześćdziesiątki niż jej; jeżeli dojdzie do zmiany prowadzącej, ma prawo bać się o swoją robotę.

Poza tym *Gut It!* zdecydowanie zeszło na dalszy plan przy tamtej imponującej erekcji.

Zaparkowała przy furgonetce Annie i poszła wypatrywać w ogrodzie siwowłosego skrzata.

– Muszę z tobą pogadać – oznajmiła, podbiegając do przyjaciółki i przysiadając obok.

– O czym?

– O seksie.

– To mój ulubiony temat – zanuciła piskliwie Annie, wyrywając kępę zielska.

– Czy nie jest przypadkiem przereklamowany?

Annie rzuciła jej spojrzenie w rodzaju „skąd ci to przyszło do głowy”?

– Jesteście z Byronem trzydzieści lat po ślubie. Masz synów na studiach. Potem już nie pojawiły się żadne dzieci. Czy seks nadal jest dla ciebie ważny?

Przyjaciółka zrobiła się dziwnie czujna.

– Czemu pytasz?

– Ale jest?

– Tak.

– Dużo o tym myślisz?

– Tak.

– Tyle samo, co dawniej?

Annie zrobiła duże oczy i znieruchomiła ze wstrzymanym oddechem.

– Częściej.

Zaskoczyła Caroline tą odpowiedzią.

– To przez te książki? – zapytała zdziwiona.

Annie nie robiła tajemnicy z tego, w czym się zaczytuje.

– Nie. – Wyszarpnęła z ziemi kolejną garść chwastów. – Ponieważ nie mam ochoty z tego zrezygnować.

– Czemu?

– Bo to jest fajne. Podnieca. Sprawia, że czujesz się żywa. Młoda. I kobieca.

Dean niewątpliwie sprawił, że Caroline poczuła się kobieco. I jakoś tak bezpiecznie – absurdalne wrażenie – przecież sama potrafiła o siebie zadbać.

Annie przysiadła na piętach, z trochę smutną, a trochę nadąsaną miną.

– Nie chcę odpuścić. Organ nieużywany zanika.

– Poprawiło się między tobą i Byronem?

Kiedyś Annie wspomniała, że Byron traci zainteresowanie tymi sprawami. Nigdy więcej nie wróciły do tego tematu, więc Caroline zakładała, że zaszła poprawa. Tymczasem przyjaciółka nabrała wody w usta.

– Annie? – Cisza. – Hej, co jest grane?

– Nie, nie, to nie to, co myślisz – zaprzeczyła gorączkowym szeptem. – Nic nie zrobiłam. Ale nie zaprzeczam, że... – Przysunęła się bliżej. – Jest taki jeden facet...

– Byron to chodzący ideał! – przerwała jej Caroline.

– Tak, idealnie niezmienny. Starzeje się i ma wszystko w nosie, a ja nie. Jest jeden... – urwała. Uśmiechnęła się promiennie, wędrując wzrokiem poza Caroline.

– Cześć, Jordan. – Sądziłam, że płacisz rachunki, gdy Mandy buszuje w hurtowni fryzjerskiej.

– Za bardzo kusi twoja obecność.

Mężczyzna, który wyłonił się zza domu, nie był ani zbyt wysoki, ani młody, ani szczególnie dobrze zbudowany. Tym, co przyciągało uwagę, stał się dość szczególny sposób rozmowy z projektantką zieleni.

Dopiero po chwili wyciągnął rękę do Caroline.

– A panią znam z telewizji. Jordan Blaine, właściciel nieruchomości. – Gdy uścisnęli sobie dłonie, przesunął się za Annie i kładąc na jej głowie dłonie złożone w piramidkę, zwrócił się do Caroline: – Anioł nie kobieta. Nawet w sobotę haruje.

– To ma sens. – Annie spojrzała na niego, zadzierając głowę. – Jeżeli teraz odchwaszczę, będę wiedziała, co wykopać w przyszłym tygodniu, zanim ekipa zacznie zrywać siding.

– Chętnie powywalam te stare rośliny i posadzę nowe. Mówiłem ci.

– Niektóre z nich warto uratować. Jeżeli nie znajdzie się dla nich miejsca od frontu, zawsze można je posadzić za domem.

Mężczyzna zerknął na Caroline.

– Jak często projektant zieleni, realizując projekt z górnej półki, stara się zadbać o kieszeń inwestora?

Jego dłoń zsunęła się na ramię Annie.

– Wracam do środka. Daj znać, jak skończysz. – Uścisnął ją lekko i odszedł.

Annie odprowadziła go wzrokiem i wyczekująco zawisła spojrzeniem na przyjaciółce.

– On? – wyszeptała zaskoczona Caroline. Według niej w Jordanie Blainie nie było nic pociągającego.

– Dotyka mnie, rozumiesz? Byron już tego nie robi. Jakbym była meblem, o który raz w miesiącu od niechcenia się otrze.

Caroline słyszała mniej więcej to samo już wcześniej. Zrobiło jej się przykro. Ten dotyk wyglądał bardziej na przyjacielski niż zmysłowy, obawiała się, że przyjaciółka za wiele sobie obiecuje. Tak czy owak, szkoda poczciwego Byrona. Nie powinna go oszukiwać dla przelotnej przygody.

– Jeżeli jest tak kiepsko, może z nim porozmawiaj.

– Próbowałam.

– Zrób to jeszcze raz. Nie rezygnuj. Annie, jesteś mu to winna.

– Wiem – jęknęła.

– Nie mówiąc już o tym, że na tej dłoni, która przed chwilą gładziła cię po włosach, połyskiwała szeroka, złota obrączka – dorzuciła Caroline.

– Wiem, ale... on mnie cholernie pociąga. Oczy, dłonie, wszystko. Zawsze się koło mnie kręci, kiedy jesteśmy sami.

Niewątpliwie obecność Caroline ostudziła ich zapał. Dobrze się złożyło.

– Na sam jego widok krew zaczyna mi szybciej krążyć – poskarżyła się Annie. Wzięła Caroline za rękę i podciągnęła ją do góry. Trzymając się pod ramię, oddaliły się od domu.

– Może tylko potrzebny mi flirt. W małżeństwie kończą się gry. Nie ma podchodów, uwodzenia, brakuje w tym wszystkim pikanterii. Jak uniknąć nudy w małżeństwach z długim stażem?

– Pytasz niewłaściwą osobę. Moje małżeństwo nie dotrwało do tego etapu. Byliśmy razem dwanaście lat. Roy już rok po ślubie wydawał się znudzony.

– A ty?

– Nie byłam znudzona.

– Zadowolona?

Caroline zapatrzyła się na swoje paznokcie. Przy jej pracy malowanie ich nie miało sensu. U stóp, owszem, ale u rąk? Ostatnio pociągnęła je lakierem, bo wiedziała, że operacja nadgarstka na jakiś czas skaże ją na bezczynność. Teraz pomarańczowa emalia zaczynała się łuszczyć. Według Roya miała męskie dłonie. Dlatego zaczęła o nie dbać. Czy lata wcierania nawilżających kremów sprawiły



jakaś różnicę? Albo seksowna bielizna i markowe perfumy? Czy seks z Royem ją zadowalał?

Wsunęła dłonie pod pachy i oparła się o furgonetkę Annie.

– Na początku było nieźle. Potem zaszłam w ciążę, no i zaczęło się psuć. Namiętność Roya przygasła, zanim jeszcze Jamie przyszła na świat. – Spojrzała przyjaciółce prosto w oczy. – Owszem, sypialiśmy ze sobą. Roy szczytował i było po wszystkim. Nie dbał, czy ja miałam z tego satysfakcję.

Annie uwiesiła się jej przedramienia.

– Wybacz, te moje problemy są naprawdę błahe.

– Nie ma błahych problemów. Wszystko jest względne. Z Byronem łączy cię coś, czego ja nigdy nie miałam z Royem. Może w tej chwili trochę ciebie nosi, ale Byron to wartościowy człowiek.

– Wiem, wiem. Znam go na wylot i na tym polega problem. Jesteśmy ciągle tacy sami. Mamy niezmienny repertuar. Próbuję podsuwać mu różne pomysły, ale on jest mało elastyczny. Tłumaczę mu, że urozmaicenie jest dobre, korzystne dla zdrowia i pomaga zachować młodość. – Pomachała przyjaciółce palcem przed nosem. – Jak często zmieniasz kolor lakieru do paznokci?

– Kolor lakieru? – powtórzyła Caroline, nie widząc związku.

– Wróć. Zły przykład. Weźmy fryzury. Ja ścinam włosy na krótko, potem je hoduję i znowu podcinam. Claire się wścieka, ale mam to w nosie. Lubię zmieniać fryzury, kolor paznokci i kosztować nowych potraw. Czy w łóżku zaszkodziłaby odrobina urozmaicenia?

Caroline powędrowała myślami do Deana. Nie wiedziała, jak się kochał, jakie pozycje lubił, czy zachowywał się głośno czy cicho. Po Royu wszystko byłoby odmianą, bo on się kochał tylko na misjonarza i niechętnie widział jakąkolwiek inicjatywę z jej strony. Kto wie, może Dean był taki sam. Albo jeszcze gorzej: mógł lubić coś, czego ona w ogóle by nie akceptowała.

– Odmiana jest dobra – przerwała ciszę Annie.

Caroline trudno było się z tym nie zgodzić.

– Jednak się starzejemy. Nasze ciała inaczej reagują.

– Inaczej, nie znaczy gorzej.

– Nie cierpię moich ud. Są takie masywne – wyznała Caroline.

– Większość ludzi powiedziałyby, że umięśnione. Ale jest na to rada.

Nazywa się ciemność.

Zgaszone światło nie ukryje wszystkich problemów, pomyślała Caroline. Może z kimś innym nie śmiałyby poruszać takich tematów, ale Annie to Annie.

– A co z suchością? – zapytała.

– W drogerii sprzedają żele intymne.

– Używasz ich?

– Z Byronem. Nie sądzę, aby były potrzebne... – Obejrzała się na dom.

– Skąd wiesz?

Przyjaciółka spojrzała na nią znacząco.

– Aha, sama myśl cię podnieca.

– No wiesz, obie jesteśmy na takim fajnym etapie życia, kiedy nie trzeba się przejmować ciążą i bać się, że dzieci nas mogą podsłuchać. – Annie coraz bardziej się nakręcała. – Dlaczego odmawiać sobie przyjemności? Czy ja muszę cierpieć, bo mojemu mężowi przeszła ochota? Nie mogę choć raz pozwolić sobie na gorącą, namiętą przygodę, zanim naprawdę się zestarzeję? Całe życie zachowywałam się tak przyzwoicie. – Zamilkła. – Zresztą ty też. Nie znałam cię zaraz po rozwodzie. Myślałaś wtedy, żeby kogoś sobie znaleźć?

– Myślałam. I spróbowałam. Dwukrotnie. W obu przypadkach się rozczarowałam.

– To było coś więcej niż przelotne przygody?

– Tak. I naprawdę się starałam.

Ten pierwszy był ich klientem, wykańczali wtedy jego dom. Drugi miał firmę meblarską. Wybierała ostrożnie, żeby prywatne życie nie rzutowało na układy w pracy. Teraz Dean. To zupełnie inna para kaloszy.

– Byłaś poturbowana po rozwodzie – podsumowała Annie, wytrącając ją z zadumy.

– Nie, po prostu nie zaiskrzyło – zaprzeczyła. – Ale co tam. Lubię moje życie, jest aktywne, a to, co robię, daje mi satysfakcję – dodała z przekonaniem.

Na razie, dopowiedziała w duchu, myśląc o zmianach w *Gut It!* Kiedy zostanie emerytowaną gospodynią programu, poczuje się stara jak świat. I romans z Deanem tego nie zmienia.

– Widzę, jak faceci na ciebie patrzą. Nie pociągają cię?

Przez chwilę zastanawiała się nad pytaniem Annie oraz nad tym, dlaczego absolutnie nie była gotowa na zaloty Deana.

– Erotyczne fascynacje... zniknęły z ekranu mojego radaru.

– Słumiłaś je.

– Być może – przyznała po namyśle.

– Roy spał sprawy.

– Może on, a może ja sama. – Uśmiechnęła się smutno.

– Roy – orzekła stanowczo Annie. – Kobiety to czują. Musi się trafić właściwy mężczyzna, żeby zaiskrzyło. Najwyraźniej ani Roy, ani ci dwaj pozostali nie byli odpowiedni. A tak szczerze, nie jesteś ciekawa?

– Aż tak ciekawa, żeby narazić się na niezręczną sytuację, zażenowanie, cierpienie?

Właśnie. To rodziło pytanie, dlaczego w ogóle zaczęła rozważać pójście do łóżka z Deanem. Być może po wstrząsie, jakim była śmierć Roya, zapaliła jej się w głowie czerwona lampka, ostrzeżenie, że tak długo, jak tylko możliwe, nie wolno

z niczego rezygnować. Ale czy miała na myśli seks? A z drugiej strony... przybywało jej lat. Gdyby nie uświadomiły jej tego kolejne urodziny, niewątpliwie zrobiłoby to *Gut It!*, wysyłając ją na zieloną trawkę. Kobieta w tym wieku i miłosne zapędy?

„Albo to czujesz, albo nie”, powiedział Dean. Jeszcze tydzień temu zaprzeczyłaby, mówiąc, że nie, nic nie czuje. A teraz wdała się w tę rozmowę z przyjaciółką, bo jednak coś w niej się przebudziło. Dean był naprawdę podniecony – Boże, jak to dziwnie brzmi – i dlatego wyznania płynące z jego ust wydawały się szczere. Usta... Nawet się nie pocałowali. Miło słuchać słodkich słówek, ale co by było, gdyby pocałunek Deana ją odrzucił? Dopiero mieliby problem, którego nie rozwiązałyby żadne rady Annie.

A jednak na wspomnienie tamtej erekcji poczuła w środku falę ciepła.

– Ile to już czasu minęło? – zapytała Annie.

Zrobiła taki rachunek po tym, gdy Dean przekroczył granice ich dotychczasowych relacji.

– Siedemnaście lat od rozvodu, dziesięć od ostatniego razu i ewentualnych prób.

– Poznałyśmy się przed dziesięcioma laty. Nigdy nie wspomniałaś...

– Bo wtedy jeszcze się nie przyjaźniłyśmy, a szkoda. Ech... – westchnęła. – Jestem taka zagubiona.

Annie wpatrywała się w nią przez chwilę.

– Hej, widzę, że coś się zadziało! – Podskoczyła z radosnym piskiem. – Dlatego chciałaś pogadać. Świetnie, Caro. Kto to jest?

Caroline powstrzymała ją gestem ręki. Nie mogła powiedzieć. Annie знаła się z Deanem. Postawiłaby go w niezręcznej sytuacji, gdyby nic z tego nie wyszło.

Na szczęście przyjaciółka nie naciskała.

– Myślisz o tym, a jednocześnie się boisz – wytknęła jej łagodnie. – To bez sensu, Caro. Jeżeli facet okaże się tym właściwym, będzie fajnie, jeśli nie, niewielka strata.

Caroline pomyślała, że to wszystko nie jest takie proste, bo na szali są kontakty w pracy, nie wspominając o przyjaźni.

– Wiesz co, oddałabym prawą rękę za twoją wolność – wyznała Annie. – Zmysłowość jest nieodłączną cechą kobiecości. Kiedy myślę, że nigdy więcej mogę nie poczuć tego... dreszczyku, ogarnia mnie potworny smutek. Bo to byłaby wielka strata.

– Czego?

– Rozkoszy. Szansy. Poczucia władzy. – Podniosła na Caroline pełen nadziei wzrok. – O tym właśnie mówią te książki, które ty odrzucasz. Uświadamiają mi, że moje ciało stać na znacznie więcej, uwalniają od uprzedzeń, ożywiają wyobraźnię. – Zniżyła głos do szeptu. – Przysięgam, że między mną i Jordanem do niczego nie

doszło, ale kiedy dotyka mojego ramienia czy dłoni, czuję się silna, mam wrażenie, że on poddaje się mojej władzy. Nie chciałabyś czegoś takiego poczuć?

\*

Właściwie nie. Caroline nie zależało na władzy. Miała bardziej przyziemne potrzeby. Napędzała ją miłość do pracy i do córki. Ale namiętne uczucie do mężczyzny? Nagość? Ekstremalne obnażenie? Bezgraniczne zaufanie do drugiej osoby, pozwalające na tę bliskość? Może nie chciała czegoś takiego doświadczyć.

A z Deanem? Z nim to byłaby najlepsza albo najgorsza rzecz, jaka mogłaby spotkać ją w życiu.

## Rozdział 15



Sobotnia kolacja z Bradem okazała się katastrofą. Jamie liczyła, że po partii golfa wróci rozluźniony, a jako jedyny bezdzielny w tamtym czteroosobowym towarzystwie ciepłej pomyśli o przyszłej roli ojca. Opanowanie Brada, które zazwyczaj działało na nią kojąco, dzisiaj ją złościło. Pod lekką opalenizną kryła się ta sama, co zawsze, oszczędna mimika. Liczyła na wymianę myśli, na szczerą rozmowę, tymczasem on cały czas pozostawał zdystansowany. Pokiwał głową, gdy opisała mu zmiany w mieszkaniu, i tak samo zareagował na opowieść o zamiarach na opiekunki. Słuchał z uprzejmą obojętnością jej opowieści o przedpołudniowej wizycie w sklepie meblowym, a kiedy zapytała o radę, czy kupić dziecięce łóżko czy normalne pojedyncze, rozłożył ręce.

– Sama wiesz najlepiej – odparł z wkurzająco układnym uśmiechem.

Gdy identyczną odpowiedź usłyszała na pytania, czy ma zostać przy pediatrze Jessiki, czy dawać Tadowi na śniadanie słodkie płatki na mleku, których się domagał, i jak powinna się zabrać za przeprowadzenie formalnej adopcji, straciła cierpliwość.

– Brad, ja nie oczekuję od ciebie decyzji. Chcę poznać twoje zdanie.

Straciła apetyt na stek i ulubione czosnkowe piure ziemniaczane z krążkami prażonej cebuli. Z nerwów jedzenie rosło jej w ustach.

– Nie wiem – odparł bezradnie. – Nie mam doświadczenia.

Sorry, facet, podszepnął buńczuczny głos w jej głowie. Bezradność tutaj na niewiele się zda.

– Ależ masz. Na studiach prawniczych odbyłeś letnią praktykę w kancelarii specjalizującej się w adopcjach i opieką nad nieletnimi.

– Po pierwszym roku. Tak mi to nie leżało, że nigdy więcej tam nie wróciłem. Jamie, moja specjalność to nieruchomości.

– Ale wiesz, jak działają urzędy. Czy powinnam poprosić Thea, żeby pociągnął za sznurki, żeby przyspieszyć sprawę?

– Po co pośpiech? Nie widać kolejki chętnych do Tada.

Aż się zatrzęsała z oburzenia.

– Dla ciebie Taddy to gorący ziemniak, tak?

Skrzywił się nieznacznie i sięgnął po kieliszek z winem.

– A więc tak to widzisz – zaatakowała go.

Mówiła cicho, nie miała zwyczaju podnosić głosu, jednak nie potrafiła zapanować nad jego drżeniem. Czowała bicie serca w gardle. Bez trudu mogłaby

wyliczyć, co ją ujęło w Bradzie. Teraz, po tygodniu chodzenia wokół niego na palcach, głaskania jego ego, dawania mu czasu na oswojenie się z nową sytuacją, miała poważne wątpliwości.

– Przyrzekliśmy sobie, że nie będziemy przed sobą niczego ukrywać. W takim razie porozmawiajmy otwarcie. Ty nie chcesz Tada.

Ależ tak, chcę, zapewniłby ją w idealnym świecie, bo przecież Tad był słodkim, bystrym, zdrowym chłopczykiem, którego tragicznie zmarli rodzice wskazali Jamie na jego prawną opiekunkę. I druga sprawa, równie ważna; jak Brad mógł nie chcieć czegoś, na czym jej tak bardzo zależało?

Niestety, jej narzeczony milczał, ważąc w myślach odpowiedź.

– Nie chodzi o Tada – odezwał się, gdy przełknął łyk wina i odstawił kieliszek. – Raczej o ojcostwo. Liczyłem, że będziemy mieli trochę czasu dla siebie, zanim zostaniemy rodzicami.

– Też tak to sobie wyobrażałam. Wiesz, jak często myślę o tym, że gdyby mój ojciec znalazł się w tamtym miejscu na drodze pięć sekund wcześniej lub później, nadal by żył? Nie – odpowiedziała cicho za niego, ciągle ze ściśniętym sercem. – Nie wiesz, bo ja się boję cokolwiek ci mówić, gdyż widzę, że wkurza cię wszystko, co dotyczy Tada.

– Nie wszystko...

– Denerwuje cię hałas, widok jego jedzenia, piosenki dla dzieci, bałagan. Nie znosisz jego obecności w moim mieszkaniu. Minął dopiero tydzień, w tej chwili nie widzę lepszego rozwiązania i tylko mi nie mów o przeprowadzce do domu Roya. Znasz moje zdanie na ten temat. Wiesz też, jak w tej chwili wyglądają moje stosunki z matką. Miałabym w niej wsparcie, gdyby nie ten cały bałagan z *Gut It!* W tej sprawie też się nie zgadzamy. Brad, to nie jest dobry czas na zmianę gospodyni. Caroline doskonale sprawdza się w tej roli, a na mnie niespodziewanie spadło mnóstwo nowych zajęć.

– Program jest ważny dla MacAfee Homes.

– Firma zawsze była dla mnie na pierwszym miejscu, teraz zajął je Tad.

Znała Brada na tyle dobrze, żeby dostrzec cień rozzalenia w jego oczach. Była gotowa złagodzić ton. On potrzebował miłości. Ale ona też jej potrzebowała. Ona i Tad.

– Brad, nie zachowuj się tak – wyszeptała. – Proszę cię. Egoizm tu nie pomaga.

– Egoizm? – powtórzył oburzonym tonem, co i tak wydawało się lepsze od zaciętego milczenia. – To nie egoizm przeze mnie przemawia, tylko obawa o ciebie. Urabiałaś ręce po łokcie, żeby zbudować swoją pozycję w zawodzie. Rezygnując ot, tak sobie...

– Z niczego nie rezygnuję.

– Jesteś architektem.

– Nie mogę jednocześnie być matką?

– Możesz, ale to oznacza kompromis. Nigdy nie byłaś skłonna do kompromisowych rozwiązań.

– Brad. – Czuła, jak ogarnia ją frustracja. – Życie się zmienia. Co chciałbyś, żebym zrobiła? Gdzie, według ciebie, miałabym umieścić Tada?

Milczał.

– Gdzie? – powtórzyła zdesperowana. Jeżeli ona i Brad nie dojdą do porozumienia, nie ma dla nich nadziei. – Pamiętasz, jak ci opowiadałam o wizycie ojca na kilka godzin przed śmiercią? Zarzucił mi, że jestem egoistyczna i krótkowzroczna, i nie mówił o – wskazała palcem ich oboje – bo oczywiście nie mógł, ale jego słowa ciągle mnie prześladują. Powiedział, żebym wreszcie zaczęła się zachowywać jak dorosła. – Łzy napłynęły jej do oczu; niezbyt dojrzała reakcja, lecz wzruszenie utrudniało panowanie nad emocjami. – Staram się, Brad. Analizuję sytuację, w której znalazłam się mimo woli i usiłuję się w niej odnaleźć. Może tobie zakup łóżka dla Tada wydaje się błahostką, ale dla mnie to pierwsza poważna decyzja jako matki i dlatego tak się przejmuję. To moje życie, Brad. Tak właśnie teraz będzie wyglądać. Albo więc to akceptujesz, albo nie.

Nie zdeklarował się, a ona nie naciskała. Czepiając się resztek nadziei, wmawiała sobie, że Brad potrzebuje czasu na przemyślenie jej słów. Po kolacji, która później upłynęła w niezręcznej atmosferze, pojechał z nią do jej mieszkania. Nie bardzo go rozumiała. Trochę żałowała, że nie należą do temperamentnych kochanków, którzy na przemian kłócą się i godzą w łóżku. Do niczego między nimi nie doszło. Nie, żeby szczególnie tego chciała, lecz nie zaszkodziłoby, gdyby przynajmniej wykonał jakiś gest.

Tad obudził się z płaczem, gdy tylko zdążyli przysnąć.

– Weź to wyłącz – burknął niechętnie w odpowiedzi na szloch w odbiorniku „elektronicznej niani”.

Do przejętej płaczem Jamie nie od razu dotarła wymowa jego reakcji.

Wyjęła Tada z łóżeczka i razem z nim położyła się na sofie w salonie. Obudziła się dopiero o świcie, gdy Brad wychodził z mieszkania.

Zrobiło jej się smutno, jednak nie podniosła się z kanapy. Tad mocno spał, uznała, że jego sen jest ważniejszy od pogoni za Bradem. Każda minuta spokoju przy tym malcu była skarbem.

Leżała na sofie, wsłuchana w monotony szum klimatyzacji, cykliczne pomrukiwanie lodówki i spokojny oddech dziecka. Popatrując na zaróżowioną buzię i bawiąc się pierścionkiem na lewej dłoni, zastanawiała się, jak można jednocześnie odczuwać miłość i pustkę. Dopiero gdy Tad otworzył oczy i mocniej się do niej przytulił, zrozumiała, kogo ta miłość dotyczy.

\*

W niedzielne przedpołudnie najchętniej popędziłaby do matki. Ale Caroline nie dawała znaku życia, co wyraźnie mówiło, że jeszcze nie przeszła jej złość. Na dodatek Tad był synem Roya, a ojciec od lat fatalnie traktował Caroline. Skoro Jamie ma się zachowywać jak dorosła, nie może biegać z płaczem do mamusi, gdy pojawiają się kłopoty.

Teraz sama była matką, a jeżeli nadal poważnie myślała o swej karierze, powinna jak najprędzej zabrać się do pracy. Skrzynka służbowej poczty MacAfee powoli się zapychała, co wcale nie świadczyło o braku taktu klientów. Owszem, pamiętali o kondolencjach, przy okazji dołączając nieśmiało pytanie o projekt ich domu, biurowca czy banku.

Niemal wszystkie z tych projektów leżały niedokończone.

To był poważny argument za przeznaczeniem przedpołudnia na spotkania z opiekunkami z listy Chipa. Wszystkie trzy okazały się sympatyczne i zdobyły zaufanie Tada, lecz tylko jedna zgodziła się na całodzienną opiekę.

Jamie bez wahania ją zatrudniła.

Chciała podziękować Chipowi. Dopiero łapiąc za słuchawkę, uświadomiła sobie, że przecież nie ma do niego numeru. Wysłała maila. *Dobra wiadomość. June Flores przychodzi jutro o siódmej rano. Jest świetna. Nie wiem, jak ci dziękować.*

W zwycięskim nastroju i głodna jak nigdy zabrała Tada na lunch do McDonalda, gdzie do ostatniego okruszka pochłonęła Big Maca z frytkami i dokończyła resztki z Happy Meal, podrobionego na kęski dla Tada. Najedzona, zajechała do domu Roya po dziecięcy sportowy wózek. Nie zajrzała do środka, zaparkowała SUV-a tyłem pod garażem, wrzuciła do bagażnika wózek oraz tyle zabawek do zabawy na dworze, ile udało jej się pomieścić. Na szczęście miała taras. Brada już zdążył wkurzyć widok dziecięcych rzeczy rozwleczonych po mieszkaniu. Czy trochę większy bałagan zrobi różnicę? Nie.

Natomiast jeśli chodzi o Tada, nie była tak odważna. Modląc się, aby nie spostrzegł, gdzie jest, na wszelki wypadek nie wyjmowała go z fotelika. Został w samochodzie, zajęty gumowym pieskiem z zestawu Happy Meal. Ledwo zdążyła usiąść za kierownicą, gdy malec zapytał o mamę.

Nerwowy skurcz zacisnął jej wnętrzości.

– Och, skarbie, mamy tu nie ma.

– Tata?

Wrzuciła bieg.

– Taty też nie ma – odparła z wahaniem piskliwym, podszytym niepokojem głosem, bo jak wytłumaczyć taką okrutną prawdę dwulatkowi? Na to pytanie nie знаła odpowiedzi. Blogi podsuwały najrozmaitsze sugestie. Na co się zdecydować? Caroline na pewno by wiedziała, niestety, chwilowo była poza zasięgiem. Teraz jest niania, może ją spytać o radę, ale co powiedzieć Tadowi w tej chwili?

– Hau, hau? – doszedł ją z fotelika cichy głosik, raczej zaciekawiony niż



smutny. Była uratowana!

– Hau, hau? No jasne! – Oddychając z ulgą, wyjechała na drogę. – Ten piesek na ścianie? – zaszcebiotała do Tada z przesadną ekscytacją.

Obrazek wisiał w jego pokoju. Tad zawsze machał do tego pieska. Że też nie wpadła na pomysł, żeby wcześniej go zabrać do domu.

– Świetny pomysł, Taddy. Weźmiemy obrazek któregoś dnia, bo teraz musimy pobiegać dla zdrowia, a potem... – dramatycznie zawiesiła głos – obejrzymy przedstawienie kukielkowe.

Objazdowy teatr kukielkowy co niedzielę wystawiał przedstawienia na wolnym powietrzu w okolicznych miasteczkach. Jess nigdy z Tadem na żadne się nie wybrała, co Jamie uznała teraz za bardzo istotne. Pojawi się nowe wspomnienie wolne od skojarzeń z rodzicami, bo w rozmowach z Tadem tematu ich nieobecności unikała jak ognia.

\*

*Cieszę się, że June się zgodziła, odpisał wieczorem Chip. Jest opiekuńcza i energiczna. Wstaw jej fotelik do samochodu, na pewno nieraz zawiezie Tada na różne okoliczne zajęcia dla dzieci. Denerwujesz się, że go zostawisz?*

*Jak dobrze ją rozumiał. BARDZO, odpisała wielkimi literami. Nie problem zostawić go na parę godzin, gdy śpi. Cały dzień pod opieką obcej osoby to zupełnie inna sprawa. Ale nie mam wyboru. Muszę wrócić do pracy. A tak przy okazji, kto jest pediatrą Buddy'ego?*

*Jake Babineau. Ma gabinet w Williston Medical Centre, w centrum miasta. Dobry specjalista. Zanim otworzył prywatną praktykę, pracował w szpitalu dziecięcym. Podoba mi się jego podejście do Buddy'ego i do mnie zresztą też. Jest odpowiednio czujny, żeby poważnie traktować moje obawy, a jednocześnie na tyle rozsądny, aby przy różnych okazjach nie wpędzać mnie w panikę. Czy to brzmi sensownie?*

*Jak najbardziej, odpisała, uśmiechając się z ulgą. Cieszę się twoją opinią, bo Jessica z Tadem też do niego chodziła. Byli ostatnio u niego na bilansie dwulatków, mogę więc na razie się wstrzymać. Słuchaj, potrzebuję rady. On coraz częściej pyta o rodziców, a ja nie wiem, co mówić. Czy Buddy pyta o mamę?*

Jamie nic nie wiedziała o matce Buddy'ego. W niektórych z artykułów w lokalnej prasie, na przykład w tym o etacie Chipa w miejscowej szkole, jedynie wspomniano, że ma syna.

*Wcześniej nie pytał. Nie widział różnicy pomiędzy posiadaniem jednego czy dwojga rodziców. Teraz zaczyna się interesować, bo dzieci w żłobku wspominają o mamach. Tłumaczę mu, że mama go kocha, ale nie może z nami być. W tej chwili tyle go zadowala. Za każdym razem robię się nerwowy, bo przydałaby się jakaś mniej wymijająca odpowiedź, ale na szczęście szybko go coś rozprasza i przechodzi*

do innego tematu. Według Babineau zacznie zadawać bardziej konkretne pytania, gdy będzie na to gotowy. Radzi nie drążyć tego tematu.

Czy tam, w domu, Tad też przeskakiwał myślami z tematu na temat? A więc to normalne. Opuściło ją poczucie winy za swoją radość, gdy udało jej się ominąć prawdę.

*Czy Buddy się z nią widuje?* – wystukała.

Ta wymiana maili przypominała rozmowę. Jamie wyobraziła sobie, że on, podobnie jak ona nie rusza się od laptopa – no dobra, może nie siedzi zwinięty w kłębek w narożniku kanapy – może akurat leży goły w łóżku. Oo, co za frywolna myśl! Świadomość, że wreszcie może z kimś swobodnie porozmawiać, wprowadziła ją w beztronski nastrój.

Tym razem dłużej zwlekał z odpowiedzią. Bała się, czy przypadkiem nie przekroczyła granicy. Nie chciała by zrazić do siebie kogoś, kto był tak fantastycznym źródłem cennych informacji. Już się zastanawiała, czy go nie przeprosić, kiedy odpowiedział.

*Nie. Po porodzie oddała mi noworodka. Nie chciała niczego, co nas łączyło. Smutne ze względu na Buddy'ego. A ja? Kiedy już zwalczyłem (ha, ha) przerażenie, że zostałem ojcem, całkiem łatwo się z tym uporałem. Spędziliśmy ze sobą jedną noc. Ani ona, ani ja nie chcieliśmy kontynuować tej znajomości. Mielśmy za sobą różne doświadczenia i inne plany na życie. Powiedziała, że się zabezpiecza, pomyślałem więc, że jest po sprawie i więcej się nie zobaczymy. Jak się okazało, nie uznawała kontroli urodzin, nie mówiąc już o aborcji.*

*Namawiałeś ją, żeby usunęła ciążę?* Po kliknięciu na „wyślij” natychmiast tego pożałowała. Chyba znowu przekroczyła granicę.

Ale od czego są przyjaciele? Dobra, mało o tym wiedziała, bo nigdy nie miała przyjaciółek, na dodatek Chip był mężczyzną, ale czy to ma jakieś znaczenie? Jeżeli uzna pytanie za niewłaściwe, po prostu nie odpowie.

Odpowiedział, ale podobnie jak poprzednio, nie od razu.

*Chciałbym móc powiedzieć: nie. Jednak wtedy nie byłem pewien, co dalej będzie ze mną, nie mówiąc już o dziecku. Skończyłem studia – z pewnym poślizgiem, ale w końcu je skończyłem – i wcale nie wiedziałem, czy chcę zostać nauczycielem wychowania fizycznego. Musiałem jeszcze odbyć staż, ale tym zajęła się uczelnia. Wątpiłem, czy uda mi się znaleźć pracę. Miałem za sobą dość burzliwy okres i pewne sprawy z przeszłości się za mną ciągnęły. Myślę, że willistończycy dali mi szansę tylko dlatego, że tu dorastałem.*

Jamie pomyślała, że rzeczywiście ten argument mógł zaważyć. Zresztą Chipowi nie brakowało ani inteligencji, ani ogłady, sądząc po mailach i jego zachowaniu na placu zabaw. Zanim po przejściu na zawodowstwo woda sodowa uderzyła mu do głowy, był dla mieszkańców Williston kimś w rodzaju miejscowego bohatera. Według niej Chip miał charyzmę.

Wyczuła z jego słów, że nadal ciąży mu przeszłość.

*Nie obawiasz się, że ona może pojawić się któregoś dnia?*

*Wtedy będę się nad tym zastanawiać. Buddy kiedyś pewnie zechce ją poznać i nie będę mógł mu tego zabronić. W pewnym sensie masz szczęście. Co prawda wychowywanie Tada spadło na ciebie niespodziewanie, ale przynajmniej dzieciak będzie mieć mamę i tatę. Słyszałem, że twój narzeczony to miły facet.*

*Biedak jest teraz na mnie obrażony. Palce, jakby bez jej woli, same śmigwały po klawiaturze. Nie miałam czasu zająć się planowaniem wesela ani zaprojektować dla nas domu. Odkąd mam Tada, sprawa domu stała się naprawdę paląca, bo on zajął mój gabinet i nie mam gdzie pracować. Teraz nie mogę jak dawniej przesiadywać w pracowni do wieczora ani podróżować... Rany, dopiero w tej chwili tak na dobre to sobie uświadomiłam! Uff, oblałam się zimnym potem. To chyba atak paniki.* Wysłała tego maila bez zastanowienia.

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie. *Chcesz pogadać? Podaj numer.*

Podawała. Po paru sekundach odezwał się telefon. Numer zastrzeżony, ale ze względu na odstęp czasu wydawało się mało prawdopodobne, aby dzwonił ktoś inny.

– Hej, przepraszam. Nie chciałam się nad sobą użalać.

– Myślisz, że na początku ze mną było inaczej? – tłumaczył łagodnie. – I że teraz mi się to nigdy nie zdarza?

– Tak, tak właśnie sędzę. Wydajesz się taki zorganizowany.

– Taak, na boisku. Bo jestem sportowcem.

– Szkoda ci hokeja?

– Latem prowadzę szkółkę.

– Miałam na myśli zawodowstwo.

– Nie. Nie wyszło mi na dobre. A ty nadal grasz w tenisa?

– Czasem zdzwaniam się z moim trenerem, ale kiepsko mi idzie na korcie.

Straciłam formę.

– Nie wierzę.

– Tak bardzo wyszłam z wprawy, że o wygraniu meczu nie ma mowy.

– Przecież grasz dla przyjemności, nie po to, żeby koniecznie wygrywać.

– Wytłumacz to tej części mojej osoby ze skłonnością do rywalizacji. Jej się wydaje, że musi wygrywać, i strasznie się wkurza, kiedy serw trafia w siatkę albo ląduje na spalonym. Oczywiście, teraz, gdy mam Tada, nie znajdę czasu nawet na wzięcie rakiety do ręki. Obiecuj mi, że za jakiś czas uwolnię się od rodzicielskiej paranoi.

– Obiecuję.

– Mówisz tak, żeby mnie pocieszyć?

– Nie, będzie lepiej.

– Mam nadzieję. – Wzięła głęboki, wyrównujący oddech i spojrzała na

zegarek. Ich kontakt trwał godzinę i chociaż rozmawiali tylko przez parę ostatnich minut, naprawdę się uspokoiła.

– Muszę już dać ci spokój. Ale naprawdę dziękuję. Jestem ci bardzo wdzięczna za zamiar na June.

– W razie pytań esemesuj.

– Oj, możesz jeszcze tego żałować – odparła półzartem.

– Tylko jeśli zdradzisz się przed innymi mamami. Niechętnie się udzielałam.

To było ostrzeżenie. Podniosła rękę w geście przysięgi, chociaż nie mógł tego widzieć.

– Będę trzymać buzię na kłódkę. Nie mam psiapsiółek, pamiętasz? Aha, jeszcze jedno pytanie. Łóżko młodzieżowe czy normalne pojedyncze?

– Normalne. Tad jest wysoki. W rok wyrośnie ci z mniejszego i będziesz musiała kupić nowe. Wiem, że stać cię na to.

– Jeśli chodzi o kasę to chyba tak. Gorzej z czasem. W takim razie normalne.

Dzięki, Chip.

– Charlie – poprawił ją.

– Podoba mi się Chip.

– A mnie nie.

– Dobrze. Charlie. – Musiała ustąpić, była mu to winna. – Dziękuję. Miłego poniedziałku.

\*

Caroline przywitała nowy tydzień w nie najlepszym nastroju. Przede wszystkim Jamie nie pokazała się u niej z Tadem. Nie, nie zamierzała ich zapraszać. Po wielu rozterkach związanych z rozważaniem wszystkich za i przeciw doszła do wniosku, że pierwszy krok należy do córki. W końcu to ona w pewnym sensie założyła nową rodzinę i powinna określić, jak w tej sytuacji widzi rolę Caroline. Ten brak próby kontaktu ze strony Jamie kosztował ją sporo nerwów.

Jeśli chodzi o Theo, sytuacja też była mało klarowna. Wydzwaniał do niej i poruszał tematy, które zdecydowanie wykraczały poza podtrzymywanie go na duchu. Radził się jej, jakby należała do zarządu, a przecież ona, na dobrą sprawę, w tej chwili nie bardzo wiedziała, jaką pozycję zajmuje w firmie.

Trzeci problem dotyczył Deana oraz pracy przy *Gut It!*, która być może, ale tylko być może, ją czeka. Od lat miała zwyczaj spotykać się z inwestorami na długo przed rozpoczęciem zdjęć, dzięki czemu później czuli się z nią swobodniej na planie. Wiele tygodni wcześniej umówiła się z Millerami i kto wie, czy nie odwołałaby tego spotkania, gdyby Dean nie zaoferował się jej towarzyszyć. Postanowili nie wspominać o zmianie prowadzącej. Jeżeli rzeczywiście do niej dojdzie i Caroline zostanie odsunięta, on weźmie na siebie część jej obowiązków. Jego obecność, oprócz praktycznego znaczenia, miała przede wszystkim dodać jej

pewności siebie. Dean, zdając sobie sprawę z jej rozchwiania, zachowywał się u Millerów bardzo powściągliwie, a po wizycie nie posunął się poza przelotne muśnięcia. Taka obojętność wprawiała Caroline we frustrację, bo teraz, gdy dotyk jego dłoni kojarzył jej się ze zmysłową przyjemnością, a zapach z powiewem rzecznego wiatru z sosnową nutą, zaczynała się zastanawiać, czy on przypadkiem nie próbuje się wycofać, i kiedy uczyni kolejny krok, jeśli jego deklaracje były poważne.

To wszystko sprawiało, że niecierpliwie wyglądała poniedziałku, aby wreszcie wziąć narzędzia do ręki i zająć się swoją robotą we własnym garażu.

Dzień zaczął się niezbyt fortunnie. W sklepie MacAfee, gdy odbierała wyczekane metalowe kołki, niespodziewanie poczuła się skrępowana obecnością mężczyzn. Było ich tam pięciu. Ze wszystkimi wcześniej zetknęła się na budowach. Wszyscy, umięśnieni i nawykli do fizycznej pracy, w skali męskości od jeden do dziesięciu zasługiwali na siedem, a może i więcej punktów.

Nieistotne, ofuknęła się w duchu, co wcale nie przeszkadzało jej dostrzegać pewnych szczegółów, na które dotąd nie zwracała uwagi: szerokich klatek piersiowych, umięśnionych ramion. Gdy przeglądała stertę faktur, parę razy zdarzyło jej się ukradkiem spojrzeć na rozporki.

To niepokojące, wręcz wkurzające. Przecież nie zamierza rzucić się na kogoś z tych facetów. Całe życie obracała się w pracy pośród mężczyzn i nigdy nie przychodziły jej do głowy podobne myśli!

Zła na Deana za obudzenie tego, co od dawna pozostawało uśpione, zgarnęła kołki z lady i energicznym krokiem ruszyła do ciężarówki. Gdy w drodze do domu z utęsknieniem myślała o skupieniu się na pracy w swoim garażowym sanktuarium, zadzwonił Theo.

– Możesz przyjechać do biura? – Po śmierci Roya władczy ton zniknął z jego głosu, natomiast dawna stanowczość pozostała.

Westchnęła z rezygnacją.

– Teraz?

– Tak. Problem z Barthem.

No, nie.

– Znowu? – Mieli już kłopot z rażąco kontrastującym z otoczeniem ich holenderskim domem kolonialnym na rogu South Maine i Grove.

– Właściwie mówimy o dwóch problemach.

– Gdzie?

– Dom szkieletowy na obrzeżach. Tam mogą sobie robić, co chcą, a ten drugi to rezydencja we włoskim stylu.

Ogromna willa z wieżą i łukowymi oknami w samym centrum miasta, lokalizacja porównywalna z tamtym kolonialnym domem na South Maine.

– Mówimy o posesji Ellwellów? Dlaczego nie wiedzieliśmy, że jest na

sprzedaż?

– Właśnie o tym musimy porozmawiać – padła ochrypla odpowiedź i Caroline zgodziła się przyjechać bez wahania. Niezależnie od tego, czy z racji swojej pozycji powinna brać udział w takich rozmowach, odezwał się w niej duch walki.

Wycofała ciężarówkę na pierwszym lepszym podjeździe i skręciła z powrotem do miasta. W gabinecie Thea zastała Brada i Deana. Dean rzucił jej szybkie spojrzenie, które mówiło, że jest tak samo zaskoczony jak ona wezwaniem na to zebranie.

– Gdzie Jamie? – zwrócił się Theo do Brada.

– Jeszcze nie dojechała. Dziś przychodzi nowa niania. Pewnie musi udobruchać Tada przed wyjściem. Jej asystentka wie, że ma tutaj ją skierować, jak tylko się zjawi.

Theo wydał z siebie zniecierpliwione sapnięcie.

– Nie wiem, jak to możliwe – zaczął, wodząc spojrzeniem po ich twarzach. – Powinniśmy wiedzieć o tych dwóch domach.

– Takie sprawy należały do obowiązków Roya – odezwała się cicho Caroline. – Dlatego musimy zatrudnić kogoś na jego miejsce.

– Nie. To coś więcej niż marketing. Tu w grę wchodzi przynależność do Williston. – Spojrzał gniewnie na Deana. – Dlatego cię wezwałem.

– Właśnie mnie to zastanowiło – odparł na poczekaniu. – Nie należę do rodziny.

– Ale znasz Williston tak samo dobrze jak my wszyscy tutaj – mruknął Theo. – Nie doszły do ciebie jakieś pogłoski o projektach Bartha, o podkupywaniu cieśli, tynkarzy?

– Od nas? Wykluczone. Nasi ludzie są lojalni. Podejrzewam, że Barthowie byli na tyle przezorni, aby zorganizować własną ekipę. Gdyby kaperowali naszych pracowników, wpadliby w kłopoty.

– Umiałbyś im w tym przeszkodzić?

– Jasne. Wszyscy u nas wiedzą, że w przypadku konszachtów z konkurencją muszą pożegnać się z firmą i nigdy więcej nie dostaną u nas roboty. Mam także dobre kontakty w składzie materiałów budowlanych. Jedno słowo i zamówienia Barthów będą długo czekać na realizację. Podejrzewam, że muszą gdzieś indziej się zaopatrywać. Niemniej mogę dać znać gdzie trzeba i jeżeli będzie działało się coś podejrzanego, natychmiast będę o tym wiedział.

Theo posłał mu promienny uśmiech.

– Właśnie dlatego, mój panie, zostałeś wezwany. Jesteś skarbnicą wiedzy, jeśli chodzi o miejscowych podwykonawców.

Caroline zaśmiała się pod nosem, rozbawiona tym określeniem.

– A ona? – zapytał Dean, wskazując na nią ruchem podbródka. – Kim jest?

– Członkiem rodziny.

– Tak jak i Dana – wtrąciła Caroline, mając na myśli szefową ich własnej agencji nieruchomości. – Ale jej tutaj nie widzę.

– Bo na to nie zasługuje – burknął Theo. – Radzi sobie, kiedy klienci się do nas zgłaszają, ale nie kiwnie palcem, żeby sama ich szukać. No i nie zna Williston. Nie mieszka tutaj. Nawet nie lubi naszego miasta. W barze U Fiony, zamiast nawiązywać kontakty z innymi klientami, siedzi sama w boksie i gapi się w sałatkę, jakby szukała tam robaków. Więcej z niej szkody niż pożytku.

Może Caroline, wiedzona lojalnością wobec rodziny, powinna stanąć w jej obronie; Dana MacAfee Langham była córką dawno zmarłego brata Thea. Niestety, jednak teść miał rację, ta kobieta nie budziła sympatii.

– Czy Barthowie współpracują z jakąś miejscową agencją nieruchomości?

– Nie wiem.

– Warto sprawdzić – dowodziła Caroline. – Dobrze, że Dean może utrudnić Barthom budowę, ale jeszcze lepiej, gdyby nie mieli gdzie budować. Jest w mieście kilka świetnych agencji, które trzymają rękę na pulsie.

– To jakim cudem nie wiedzieliśmy o tej włoskiej willi?

– Bo nie są z nami powiązane. Jedna z agentek jest moją bliską znajomą.

Prowadziła również salon manikiuru, ale Theo nie musiał o tym wiedzieć.

– Wzięłybyś pod uwagę taką możliwość, żeby agentkę spoza rodziny wciągnąć na listę płacy?

Zanim Theo zdążył jej odpowiedzieć, do gabinetu wbiegła Jamie. Zamknęła drzwi i opadła na jedyne wolne krzesło.

– Przepraszam – zwróciła się do dziadka. – Właśnie dostałam wiadomość. Co się dzieje?

\*

Próbowała się skupić, kiedy Brad relacjonował jej przebieg spotkania, a także później, gdy Theo omawiał zalety i wady projektu *Rodzina buduje*, ale szalejący od wyjścia z domu puls nie chciał się uspokoić. Dzień rozpoczął się fatalnie. Tad urządził awanturę, gdy ubrała go w koszulkę ze SpongeBobem zamiast ze Złotą Rączką, którą miał na sobie poprzedniego dnia.

– Ciem Roncke, ciem Roncke! – protestował, lecz tamta koszulka trafiła do brudownika poplamiona budyniem czekoladowym.

Jamie z koszulki ze SpongeBobem przebrała go w inną, z Bobem Budowniczym, a z tamtej z kolei, przy nieustających protestach, w bluzeczkę z Diego.

– Nie ta, nie ciem!

Uspokoił się dopiero na widok koszulki z nadrukiem z kreskówki *Jake i piraci z Nibylandii*. Gdy wyszła spod prysznicza, aby w końcu się ubrać, zażądał,

aby mu poczytała.

– June będzie ci czytać, ile tylko zechcesz – obiecała, stojąc przed łazienkowym lustrem i z marnym skutkiem maskując fluidem piegi na wilgotnej ze zdenerwowania twarzy. Tad cały czas marudził. Po jednym spojrzeniu na obcą panią w drzwiach mieszkania wpadł w histerię i wołając mamę, uwiesił się spódnicy Jamie. Kiedy się oswobodziła, musiała ją zmienić. Wcześniej niosąc do zlewu miseczkę z resztką kaszki, potknęła się i przy okazji ochlapała podłogę. Zapomniała ją wytrzeć. Widocznie Tad się tam bawił, gdy brała prysznic.

Zostawiła go z June zalanego łzami. Czowała się najpodlejszą matką na świecie.

A teraz to zebranie. Naprawdę starała się uważnie słuchać, ale ona знаła się na projektowaniu, nie na zarządzaniu. Była daleko w polu z własną robotą i tylko traciła tu czas. A Brad, chociaż widział, że ona się denerwuje, ograniczył się jedynie do pocieszającego uścisku dłoni.

Jamie sądziła, że Caroline też to widzi i że ją rozumie. Dlatego zmroziło ją, gdy matka zasugerowała, że oprócz doświadczonego specjalisty od marketingu oraz miejscowej agentki nieruchomości powinni zatrudnić architekta.

– Po co? – zachnęła się, patrząc niechętnie na Caroline ponad ziejącą między nimi przepaścią.

– Ponieważ jedna trzecia zespołu wybiera się na emeryturę, a to oznacza, że zostaniesz starszym architektem i przyda ci się pomoc.

– Daję radę – odparła z uporem, wmawiając sobie, że szczerze w to wierzy. Na biurku czekała na nią sterta folderów; sam ich widok mógł wprawić w panikę.

Drgnęła pod dotykiem dłoni na swoim ramieniu.

– Na pewno sobie radzisz? – wyszeptła Caroline, nachylając się nad jej krzesłem.

Dwie z trzech pracowni miały pełną obsadę, Jamie w swojej praktycznie została sama.

– Wszystko się ułoży, jak tylko nadrobię zaległości. Możesz mi wierzyć albo nie, ale klienci wolą kontaktować się ze mną.

– Obraziłam cię?

Tak tego by nie ujęła, lecz rzeczywiście poczuła się dotknięta. Caroline zawsze czytała w niej jak w otwartej książce. Jeszcze trochę i odkryje, że ona ma problem ze skupieniem się nad rajzbretem, nie potrafi zaplanować wesela i jest beznadziejną matką, bo traci głowę z powodu brudnego dziecięcego podkoszulka. Jak taka Jamie miałyby przejąć prowadzenie *Gut It!*?

– Od dłuższego czasu słyszę od ciebie, że kiedy Malcolm przejdzie na emeryturę, będziesz chciała kogoś zatrudnić. Dlaczego nie teraz? – usłyszała, gdy kipiąc z gniewu, myślała nad odpowiedzią, która pozwoliłaby uniknąć otwartej konfrontacji z matką.



– Ponieważ Malcolm jeszcze oficjalnie pracuje.

– Nawet nie na połówce etatu. Większość rzeczy przysyła ze swojego domu w Vermont i rzadko pokazuje się w pracowni. Prawdopodobnie ucieszyłby się z pretekstu do opróżnienia biurka.

Na biurku Malcolma panował idealny porządek; znak, że go nie było w pobliżu. Biurko Jamie było zarzucone papierami.

– Tak, wiem, że klienci chcą ciebie – przyznała Caroline. – I wcale się im nie dziwię. Dlaczego nie miałabyś zająć się pracą koncepcyjną i firmować projekty, zostawiając czarną robotę nowej osobie?

– Bo to tak nie działa – odparła, odwracając się do matki. – Dobry architekt nie zgodzi się grać drugich skrzypiec. Po pierwsze, będzie chciał prowadzić swoje projekty do końca pod własnym nazwiskiem, po drugie, jeśli ma licencję, prawdopodobnie będzie starszy ode mnie, a po trzecie, nie należąc do klanu MacAfee, będzie się czuł zagrożony.

Caroline z lekceważącym prychnięciem podniosła się z krzesła.

– Czas skończyć z tym ograniczaniem się do rodziny. Potrzebujemy sprawnego agenta nieruchomości, specjalisty od marketingu, być może także nowego dyrektora, jeżeli coś się stanie z Theo. Jedna osoba więcej, architekt, nie stanowi różnicy. No dobrze, jeśli nie chcesz nowego pracownika, co powiesz na rozdzielenie pracy do pozostałych dwóch zespołów? Niech cię wesprą.

To dowód, pomyślała Jamie, że matka się o nią troszczy. Jednak nie poruszałyby tego tematu, gdyby nie podejrzewała, że ona może mieć problemy z Bradem i z Tadem i nie odnajduje się w nowej sytuacji.

– Uważasz, że nie wywiązuję się z obowiązków?

– O których w tej chwili mówimy? – podchwyciła Caroline. – Według mnie ciągniesz trzy etaty. – Jej głos i oczy złagodniały. – Jamie, nie musisz tyle na siebie brać. Jako championka tenisa byłaś na korcie sama ze swoją przeciwniczką, bo takie są zasady. Ale w życiu tak się nie da. Nikt od ciebie nie oczekuje zajmowania się wszystkim od początku do końca. Nie ma nic złego w przekazywaniu obowiązków.

Jamie ledwo ją słuchała, analizując tamte słowa o trzech etatach. Jeden to niewątpliwie praca architektki, drugi matkowanie Tadowi, a ten trzeci? Obowiązki przyszłej żony? Możliwe. Kto wie, czy matka nie miała na myśli *Gut It!* Ten temat ani razu nie wypłynął w rozmowie, ale wisiał w powietrzu; czuła to przez skórę. W takim razie przesłanie brzmiało: skoro nie radzisz sobie z tamtymi sprawami, nie powinnaś się porywać na prowadzenie programu.

– Mamo, daję sobie radę. Wszystko jest pod kontrolą. Uwierz mi.

Caroline splótła ramiona na piersi, a Jamie wbiła wzrok w swoje biurko. Była gotowa przysiąc, że od czasu, kiedy ostatnio na nie spojrzała, sterta dokumentów urosła. Musi czym prędzej zabrać się do pracy, a matka powinna już

sobie pójść. Jednak... ten ledwo wyczuwalny zapach konwalii... mimo woli działał na nią kojąco.

– Czy Claire się odzywała? – zapytała Caroline przesadnie obojętnym tonem, na nowo budząc czujność Jamie.

– Dzisiaj nie. Chyba wreszcie to do niej dotarło.

– Co?

– Że ma się wycofać.

– Nie zmieni zdania, dobrze wiesz.

– Nie chcę o tym rozmawiać – wyszeptała Jamie, myśląc o leżącej odłogiem pracy.

– Podobno znalazłaś nianię. – Caroline zmieniła temat.

– Tak. – Odetchnęła z ulgą na myśl o June i wdzięczna za powrót na bezpieczny grunt. – Dzięki Bogu.

– Podoba ci się?

– Robi bardzo korzystne wrażenie.

– A Tad ją zaakceptował?

– Rano było kiepsko. Kiedy wychodziłam, darł się wniebogłosy. A potem się uspokoił. Zadzwoiłam do niej z samochodu. Wybierała się z nim na Godzinę z Bajką do biblioteki.

– To miłe. – Uwaga Caroline zabrzmiała szczerze. – A jak on tak w ogóle?

– Kto wie? Niewiele potrafi powiedzieć. Budzi się z płaczem w nocy, trzeba go wtedy przytulić. Tęskni za rodzicami. – Zerknęła na zegarek. – Muszę zadzwonić do June.

– Ma twój numer, prawda?

– Jasne. Na komórkę, do biura. – I do ciebie, dodała w myślach, bo też wpisała go na listę.

– No to jesteś spokojna.

\*

Była „spokojna” do chwili, gdy po powrocie z pracy znalazła w domu zapłakaną June Flores. Musiało wydarzyć się coś złego.

## Rozdział 16



Co się stało? – spytała.

Tysiąc dramatycznych myśli przebiegło jej przez głowę. Na szczęście Tad, czysty i zadowolony, siedział na podłodze i wkładał plastikowe ludziki do żółtego szkolnego autobusu.

June pospiesznie zbierała się do wyjścia.

– Zła wiadomość z San Salwadoru – powiedziała z hiszpańskim akcentem, łamiącym się głosem. – Matka nie żyje. Muszę jechać do domu.

Jamie gwałtownie zaczerpnęła powietrza na wspomnienie szoku, jaki przeżyła po śmierci Roya.

– Umarła nagle? – spytała.

– Niespodziewanie. Miała tylko siedemdziesiąt lat i na nic nie chorowała. Tętniak. Moment i było po wszystkim.

– Tak mi przykro – powtarzała Jamie po każdym przerywanym szlochom zdaniu. Dopiero gdy spytała June, kiedy zamierza wrócić, Jamie zrozumiała powagę sytuacji. Jak się okazało, ojciec June od dawna był słabego zdrowia. Teraz, kiedy zmarła matka, a dwóch braci mieszkało w drugim końcu kraju, będzie musiała się nim zająć. Jej dzieci wychowały się w Stanach, będzie je odwiedzać, ale do pracy nie wróci.

Jamie to rozumiała. Nie sądziła, aby ta serdeczna, wrażliwa kobieta mogła inaczej postąpić. Wyjęła pieniądze z torebki, zapłaciła jej za jeden dzień i uśmiechnęła się, słysząc na pożegnanie, że Tad to słodkie dziecko. Chwilę później June już nie było, a Jamie wpadła w panikę.

\*

Co robić, co robić, co robić?

Opanuj się, nakazała sobie. Niestety, wróciła do punktu wyjścia, bez nowych opiekunek na liście i z zaległościami po zaledwie jednym dniu pracy. Może matka miała rację. Może nie dać rady bez pomocy.

Chwyciła za telefon i zadzwoniła do Chipa.

– Tu Jamie – odezwała się, gdy tylko odebrał. – Pewnie dzwonię nie w porę. Jesteś na placu zabaw?

– Jedziemy do domu. Ale mogę rozmawiać. Masz smętny głos.

Natomiast jego głos sprawił, że od razu poczuła się lepiej. Wystarczyło, że jej nie zbył i chciał rozmawiać.

– June dostała wiadomość o śmierci matki i wyjeżdża do San Salvadoru. Ona była cudowna, Chip. Kilkakrotnie dzwoniłam do domu z biura, bo rano zostawiłam Tada we łzach, a ona sobie bez trudu z nim poradziła. Wiem, że to był tylko jeden dzień, ale ja naprawdę odetchnęłam. A teraz jej nie ma. Żadna z pozostałych opiekunek nie zgodziła się przychodzić na cały dzień. – Zawiesiła głos. – Jesteś tam?

– Tak, słucham.

Starala się opanować. Przecież była dorosła.

– To okropne. Zmarła jej matka. Powinam ją rozumieć jak mało kto. Współczuć jej. A tymczasem czuję się zawiedziona.

– Masz prawo. Potrzebna ci opiekunka.

– Intuicja mi podpowiada – zaczęła spokojniej – że powinnam przez jakiś czas pobyć w domu z Tadem, żeby wzmocnić więź między nami. No i muszę rozejrzeć się za innym mieszkaniem, bo moje na dłuższą metę się nie nadaje. Niestety, jeszcze trochę, a moje zaległości zaczną odbijać się na firmie. (No i potwierdzą się podejrzenia Caroline, że ona sobie nie radzi). Dlatego muszę załatwić opiekunkę na jutro. Jeżeli nie zgodzi się na stałą pracę, znowu będę musiała łątać kimś innym. Jak długo mogę przekazywać Tada z rąk do rąk? Zastanawiam się nad złobkiem, ale na myśl, że miałabym spędzić jutrzejszy dzień na pukaniu do drzwi takich miejsc, robi mi się słabo. Zresztą nawet nie wiem, jak się do tego zabrać. Ty jesteś zadowolony z First Unity, tak?

– Zdecydowanie.

– W takim razie spróbuję tam. Muszę załatwić jakieś formalności? Ile czasu upłynie, zanim go przyjmą i czy to problem, że on nie siada na nocnik? Nie, naturalnie, że nie, skoro biorą takie maluchy – myślała na głos. – Myślisz, że znajdzie się wolne miejsce? Co mam robić? – zakończyła płacząco.

– Powiem ci co. Za dziesięć minut spotkasz się ze mną przed First Unity. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak, ale nie jest za późno?

– To złobek. Zamykają o szóstej. Mamy dwadzieścia minut.

– Pewnie to dla ciebie kłopot.

– Powiedziałem tak?

– Nie, nie powiedziałaś.

– To jak? Wchodzisz w to?

– Wchodzę – przytaknęła skwapliwie, żeby przypadkiem się nie rozmyślił. – W takim razie do zobaczenia za dziesięć minut. – Rozłączyła się, wzięła Tada na rękę i pobiegła do samochodu.

\*

W sali było już tylko czworo dzieci. To nie dawało Jamie obrazu, jak opieka

nad dziećmi wygląda w środku dnia. Jedna wychowawczyni wraz z trójką maluchów sprzątała płachty papieru pomalowane paluszkami, druga trzymała na kolanach przysypiającego mniej więcej rocznego brzdąca. Chip stanął na wysokości zadania. Przedstawił Jamie jako swoją przyjaciółkę i dzięki jego rekomendacji znalazło się miejsce dla Tada bez rozmowy z kierownictwem normalnie poprzedzającej przyjęcie. Niewątpliwie nieco koloryzował, wspominając o pozycji Jamie w firmie oraz zapewniając wychowawczynię, że Tad absolutnie nie będzie sprawiał kłopotów. Mówił to z takim przekonaniem, jakby go dobrze znał, a przecież tak nie było. Na koniec taktownie zasugerował, że przyjęcie dziecka z rodziny MacAfee może okazać się korzystne dla instytucji.

– Bułka z masłem – rzucił do Jamie, kiedy nieco po szóstej szli do samochodów. Jego terenowa honda pilot stała zaparkowana za jej SUV-em.

Podniosła na niego wzrok, żeby odpowiedzieć, i niespodziewanie ogarnęło ją onieśmienie. Był wysoki i barczysty, z wycięcia podkoszulka obciągniętego pod ciężarem zahaczonych tam okularów wystawało parę ciemnych włosów. Niebieskie oczy patrzyły prosto na nią. Widziała w nich siłę, otwartość i zainteresowanie, a może raczej chciała je tam widzieć, co dawało jej chwilę miłej uludy. Takie myśli nie pasowały do tej sytuacji.

– Bułka z masłem. – Uśmiechnęła się, odzyskując rezon. – Bardzo ci dziękuję. Byłeś niesamowity. Przykro mi, że musiałeś z powrotem przywieźć tu Buddy’ego. Pewnie nie był zadowolony?

To, że chłopczyk wolał zostać z Tadem na podwórku zamiast trzymać się ojca, dość wymownie o tym świadczyło.

– No, nie był – przyznał Chip, uśmiechając się kącikiem ust. – Zależy mu na wspólnych wieczorach. Obiecałem, że jeżeli obejdzie się bez protestów, pojedziemy na kolację do Town House of Pizza.

– To przekupstwo.

– Nigdy nie zawodzi. – Przyłożył zwinięte dłonie do ust. – Buddy! – Kiwnął na niego. – Przyrowadź Tada!

Jamie przyglądała się, jak chłopczyk bierze Tada za rękę. Robił wrażenie posłusznego dziecka. Zupełne przeciwieństwo Tada, myślała, mając w pamięci poranne zmagania.

– Powiedziałeś, że nie był zadowolony; jak zaprotestował?

– Słownie. I fizycznie. Siedział z tyłu. Zaczął kopać fotel przed sobą. Bum, bum, bum.

Każdemu rytmicznemu bum towarzyszyło kiwnięcie głową i może ten widok by ją rozbawił, gdyby nie była skupiona na własnym problemie.

– Często tak się zachowuje?

– O tak. Powiedziałbym, że to typowa reakcja dla chłopców, ale nieraz na placu zabaw widziałem, jak dziewczynki potrafią się awanturować, kiedy chcą

postawić na swoim. Chodzi o to, że one mają wybór, bo lepiej werbalizują emocje. Chłopcy, pozbawieni tego genu, muszą przestać na kopaniu.

Uniósł głowę, a potem przygarbił się, chowając ją w ramionach.

– A jak ty sobie z tym radzisz? – zapytał ostrożnie.

Niesamowicie, że odgadł, do czego ona zmierza, że w ogóle zadał to pytanie. Naprawdę czuła sympatię do Chipa. Bez oporów streściła mu historię z podkoszulkiem.

– Szykowałam się do wyjścia, modląc się w duchu, żeby June mnie nie wystawiła. Tadowi musiało się udzielić moje zdenerwowanie i cały czas darł się wniebogłosy. Przebierałam go w kolejne koszulki i przyznam, że nie byłam zbyt delikatna. Co ty robisz w takich sytuacjach?

Wyprostował się. Chociaż powinien patrzeć na nią jak na żalony substytut matki, widziała w jego oczach zrozumienie. Chyba ją polubił – a to wiele dla niej znaczyło. Gdzieś w tyle głowy odezwało się ostrzegawcze „no, no”, ale ochoczo je zignorowała.

– Bywa różnie – wyznał.

– To znaczy?

– Tracę cierpliwość i każę mu wrócić do jego pokoju.

– Przerwa na ochłonięcie?

– Słabe rozwiązanie, kiedy masz mało czasu i spieszysz się do pracy. Poza tym stosuję zasadę ograniczonego wyboru. Dwie koszulki – którą nakładasz? Dwie pary trampków, które chcesz?

– Co robisz, jeżeli nie chce wybrać?

– Ubieram go w cholerną koszulkę, przeważnie w tę, o której wiem, że jej nie lubi. – Odruchowo podrapał się po karku. – Ja mam satysfakcję, a on dostaje lekcję, że nawet byle jaki wybór jest lepszy od jego braku. – Opuścił rękę. – Dzieci w tym wieku chcą kontrolować sytuację, ale nie potrafią podejmować decyzji. Nie masz pojęcia, jak wielu rodziców zostawia dzieciakom wybory, których one nie są w stanie dokonać.

– Na przykład?

Ruchem oczu wskazał kobietę, która wyszła ze żłobka z córeczką.

– Ta mama – zniżył głos – właśnie ją pytała, co chce na kolację. Dziewczynka ma z półtora roku. Jak ma wybierać, skoro na dobrą sprawę nie wie, czego chce? Ograniczony wybór. Tyle musi wystarczyć. Niech się tego powoli uczą.

Jamie była zachwycona.

– Mówili ci o tym na studiach?

– Niestety, nie. – Prychnął lekceważąco. – Wszystkiego nauczyłem się na własnych błędach. Po mistrzowsku je popełniam.

Jeżeli to miała być aluzja do przeszłości, chyba trochę przesadził.

– Jesteś świetnym ojcem.

– Mądrym po wielu wpadkach. Przerabiałem to wszystko, przez co ty obecnie przechodzisz. Więc ten etap mam obcykany. Teraz się zderzam z nowymi problemami. Rodzicielstwo to niekończąca się praca – podsumował z krzywym uśmiechem. – Położył dłoń na głowie Buddy’ego. – Gotowy na pizzę w Town House?

– Tak! – zawołał entuzjastycznie chłopczyk.

– Dołączycie do nas? – Chip zwrócił się do Jamie akurat w chwili, gdy biorąc Tada na ręce, upuściła na ziemię dokumenty ze złołka. Być może złożyłaby winę na zdenerwowanie perspektywą kolacji z Chipem, gdyby podobne wypadki nie zdarzały jej się dość często.

Zakłopotana, w kucki zbierała papiery. Chip natychmiast przysiadł na piętach obok niej.

– Przepraszam – wymamrotała. – Kiepsko mi wychodzi robienie paru rzeczy naraz. Koordynacja nie jest moją mocną stroną.

– Jakoś trudno w to uwierzyć – powiedział, podając jej zebrane kartki, kiedy się podnieśli. – Obejrzałem sobie na YouTube twój ostatni ważny mecz..

– Naprawdę? – Ogarnęła ją jakaś absurdalna radość. – Wtedy przegrałam – westchnęła z żalem.

– Tato! – zapiszczał Buddy.

– Już idziemy, Bud – uciszył go i zwrócił się do Jamie: – Przyjemnie się na ciebie patrzy.

Poczuła się wprost nieprzytomnie szczęśliwa. Teraz patrzył na nią w taki sposób, że na moment zaparło jej dech. Przełknęła ślinę.

– Patrzyło – poprawiła go. – Niemniej dzięki.

– Nanie! – pisnął Tad, naśladując Buddy’ego.

Wzięła go za rękę.

– Miałam wtedy osiemnaście lat i jeden cel. Prawdziwe życie tak nie wygląda.

– Nie. – Spojrzał na nią pytająco. – To co? Dasz się namówić na Town House?

Chciała, szczerze chciała pójść i to ją niepokoiło. Bardzo polubiła Chipa. Kim właściwie dla niej był? Męskim substytutem przyjaciółki, której nie miała? Od początku w pracy stykała się z mężczyznami i wielu z nich uważała za dobrych kumpli. Ale to było coś innego. Chip zrobił na niej wrażenie – oczywiście dlatego, że umiał wiele doradzić, rozumiał, przez co ona w tej chwili przechodzi, a na dodatek przyjaźń z kimkolwiek stanowiła dla niej nowość. Jednocześnie skłamałaby, mówiąc, że nie zwróciła uwagi na jego dłonie, szerokie ramiona, wąskie biodra i na bardzo męski sposób, w jaki się poruszał. Kiedy patrzył na nią tymi magnetycznymi niebieskimi oczami, czuła dziwne łaskotanie gdzieś w głębi

brzucha.

W porządku. To tylko zwykła pizzeria. Jednak gdyby przypadkiem zobaczył ich tam ktoś ze znajomych, wieść szybko by się rozeszła. Chociaż spotykało się tam sporo rodziców z dziećmi bez żadnych seksualnych podtekstów, ona pod tym względem nie czuła się tak do końca niewinna. I jeszcze jedna rzecz; może nie miała tylu doświadczeń z płcią odmienną, co Chip, ale trafnie odczytywała męskie intencje. Chip był nią wyraźnie zainteresowany. Szokująca świadomość. Nie wolno jej zapominać, że jest zaręczona z Bradem.

– To nic zobowiązującego – kusił ją.

– Nie – zgodziła się, pozwalając oczom powiedzieć więcej – ale powinnam wrócić do domu.

Tak było bezpieczniej. Nie potrafiła przy nim zebrać myśli. Należało się zastanowić; była zaręczona z Bradem, a pociągał ją inny mężczyzna.

– Chip, nie wiem, jak ci dziękować.

– Charlie.

Zamrugwała, wybuchając śmiechem.

– Przepraszam. Mam chyba jakąś obsesję na punkcie Chipa... o rany! – Zarumieniła się. – Zdaje się, nie najlepiej to wyszło. Chip to przyzwyczajenie, okej?

– Zmień je – poprosił, oddalając się z synkiem. Zdążyła dostrzec, że się uśmiechał.

\*

Do wieczora nie opuszczał jej dobry nastrój. Położyła Tada spać i zabrała się do wypełniania formularza ze żłobka. Dopiero wtedy ogarnęły ją wątpliwości. Wystraszona nagłym odejściem June i brakiem zastępstwa, bez wahania zdecydowała się na żłobek. Czy przypadkiem nie postąpiła pochopnie? Czy na pewno Tad będzie mieć tam taką opiekę jak pod okiem niani, a możliwość zabawy z dziećmi okaże się korzystniejsza dla jego rozwoju od uwagi opiekunki?

Chętnie poradziłaby się Caroline, lecz według matki powinna zatrudnić architekta i zwolnić obroty. Na to nie była gotowa. Wypadłaby z konkurencji.

Mogłaby zadzwonić do Brada, zapytać go o zdanie. Niestety, dał jej jasno do zrozumienia, że w tych sprawach nie ma nic do powiedzenia. Zresztą nie miała ochoty z nim rozmawiać. Na myśl o nim targał ją gniew. Oddalili się od siebie i jeśli on tego nie widział, jeżeli nie zależało mu na niej na tyle, aby o tym porozmawiać, jeżeli nie umiał czy nie chciał jej wesprzeć z tchórzostwa, będą się musieli rozstać.

Pozostawał jeszcze Chip. Dzwonienie do niego nie miało sensu. Znała jego zdanie na temat żłobka i polegała na jego opinii. Uczył dzieci, wiedział, co dla nich najlepsze. A poza tym nie może do niego biegać z każdym problemem. Musi się



zachowywać jak dorosła.

\*

Wytrwała w tym postanowieniu do wtorku, do telefonu od wychowawczynie z informacją, że Tad strasznie płacze i nie chce leżakować bez swojego łosia. Skróciła spotkanie z klientem, czym prędzej pojechała do domu po pluszaka i podrzuciła go do żłobka. Gdy po południu wracała z Tadem, samochód wypełnił znajomy smrodek. Założyła, że katastrofa wydarzyła się chwilę przed zapięciem go w foteliku, że nie chodził z brudną pieluchą przez kilka godzin. Następnego dnia rano Tad nie chciał wyjść z domu i na siłę musiała wyciągać go z auta przed żłobkiem. To wszystko budziło wątpliwości.

Odebrała go późnym popołudniem z jakąś karteczką. Po przeczytaniu wiadomości opadły jej ręce.

Wszawica.

Dwa dni w żłobku i groźba złapania wszy. Wszystkim rodzicom polecano odpowiednie środki z dołączonym opisem postępowania. Przerazona, nic z niego nie rozumiała. Ze ściśniętym żołądkiem złapała za komórkę i wstukała numer, który знаła już na pamięć.

– Zgadnij kto – zaczęła, gdy tylko Chip odebrał. – Przysięgam, nie zamierzałam co chwilę nękać cię telefonami, ale ta informacja o wszach zwała mnie z nóg. – W tle usłyszała piskliwe protesty. – Myjesz głowę Buddy’emu?

– Wbrew jego woli. – Chip chyba odsunął rękę z telefonem, bo teraz słabiej go słyszała. – Buddy, im szybciej się z tym uporamy, tym lepiej. – Wychwyciła w jego głosie irytację i przewrotnie natychmiast poczuła się lepiej. – Nie pierwszy raz dostaję taką wiadomość – zwrócił się z powrotem do Jamie. – Mam zapas tego paskudztwa na dziesięć głów. Mieszkam na Beech 403. Zapraszam. – Płacz w tle przybrał na sile. Głos Chipa ponownie uciekł. – Buddy, siedź spokojnie, to szampon nie będzie ci kapać do oczu. – Muszę kończyć – rzucił do Jamie i się rozłączył.

\*

Beech to wąska uliczka, wijąca się pośród łąk na zachodnich obrzeżach miasta, bez bujnej zieleni jak dzielnica Caroline i bez eleganckich apartamentowców jak ten Jamie. Przeważały tam nieduże domy z trawnikiem na froncie i wysokimi drzewami znaczącymi granice działek. Na podjazdach stały rodzinne samochody i tylko z rzadka ciężarówki.

Bungalow Chipa, z wysokim, użytkowym poddaszem, był pokryty szarym gontem. Na froncie ponad szerokim, czarnym okapem wyrastało duże mansardowe okno. Biały ganek podtrzymywały kolumny na kamiennych podstawach. Okna na górze miały szyby dzielone szprosami. Drewniane drzwi wejściowe były otwarte.

Jamie wniosła Tada po schodkach i zapukała w ościeżnicę.

– Hej! – zawołała, zaglądając do środka przez ekran z metalowej siatki.

Po chwili do wejścia przybiegł Buddy w samych tylko szortach, z mokrymi, sterczącymi na wszystkie strony włosami. Pomogła mu uporać się z zapadką w siatkowych drzwiach.

– Buddy, masz fajną fryzurę! – zauważyła z uśmiechem, lecz on już uciekł po wykonaniu najwyraźniej zleconego mu zadania.

– Tutaj! – doszedł ją głos Chipa, najprawdopodobniej z kuchni, bo słyszała brzęk naczyń i trzaskanie drzwiczek od szafek. Kiedy tam weszła, właśnie podniósł się z kucek, stając z dłońmi wspartymi na biodrach i ze ścierką do naczyń przewieszoną przez ramię.

– Generalne porządki? – zażartowała.

Rzucił ścierkę na blat z żalonym prychnięciem.

– Tutaj jest czasem jak w chlewie. Nie odkładam na miejsce niczego, co ewentualnie może mi się przydać w tygodniu. – Wyciągnął ręce po Tada. – Jest kilka rodzajów tych specyfików – objaśnił Jamie. – Ja wolę ten w formie szamponu. Wcierasz go we włosy przez kilka minut, a potem spłukujesz. I żadnego mycia głowy przez dobę. Kapujesz?

– Tak jest.

– Dobra. To zabieramy się do roboty.

Zręcznie rozebrał Tada z koszulki i zanim dzieciak zdążył zaprotestować, położył go na brzuchu, na blacie, z głową nad zlewem.

Jamie trzymała Tada za kostkę u nogi, żeby wiedział, że ona jest przy nim.

– Mogłam sama kupić ten szampon w aptece, ale oferta moralnego wsparcia okazała się zbyt kusząca. – To wyznanie nie uwolniło jej od poczucia winy. – Mam umyć mu głowę?

– Naprawdę chcesz?

– Uhm, niekoniecznie.

Parsknął śmiechem.

– W takim razie wyluzuj. Mam wprawę. Taddy, zamknij oczy.

Tad zmarszczył buzię i już myślała, że uderzy w płacz, ale on... tylko mocno zacisnął powieki. Nie rozplakał się, kiedy Chip wcierał szampon, ani potem, gdy Jamie spłukiwała pianę. A przecież ta akcja nie przypominała zabawy gumową kaczuszką w wannie. Ani razu nie pisnął, chociaż widziała, że był sztywny ze strachu.

Autorytet. Posłuch.

To była dla niej lekcja do wykorzystania w innych okolicznościach. Teraz cieszyła się, że może na Chipa scedować naukę posłuszeństwa.

– Nie mogłam się przemóc, żeby przejrzeć mu głowę – wyznała, już na samą myśl czując obrzydzenie. – Znalazłeś coś u Buddy’ego?

– Nie, ale taki zabieg nie zaszkodzi. – Przytrzymując głowę Tada jedną dłonią, drugą wmasowywał szampon. – Ciesz się, że ci goście mają krótkie włosy. Długie są do zes... skichania.

– Długie są do skichania – powtórzyło echo gdzieś z boku.

– Och, Buddy! – Chip wydał z siebie teatralne westchnienie. – Chyba źle użyłem tego słowa. O czym musimy pamiętać, kiedy kichamy?

– Żeby się zasłaniać.

– A co dostajesz, jeżeli dasz sobie wpuścić kropelki do nosa?

Buddy dumął nad odpowiedzią.

– No, co babcia ma dla ciebie w torebce? – naprowadził go.

– Lizaki!

– Bingo!

– Często widzisz się z rodzicami? – zainteresowała się Jamie, nie odrywając oczu od wprawnie poruszających się palców Chipa.

Nawet jeśli brzydziła go świadomość, że może natrafić na gnidy, nie dał tego po sobie poznać.

– Dostyc często odwiedzamy dziadków w ich letnim domu w Vermont, a w zimie, gdy tylko nadarzy się okazja, latamy do nich na południe.

Jamie przyszła na myśl matka. Dzielilo je pięć minut drogi. To absurdalne, że się nie widują, przynajmniej tak się działo w ostatnich dniach. Caroline miałyby w domu lizaki dla Tada. Wzięłyby go do garażu i pomogła coś zrobić ze ścinków drewna. Byłaby dobrą babcią, jeśli zaakceptowałyby tę rolę. Na pewno nie miałyby z tym problemu po narodzinach prawdziwego wnuka. A teraz? Po tej historii z *Gut It!*?

Właśnie teraz, pomyślała, czując, jak rośnie w niej bunt. Brad chciał, aby dzieci pojawiły się w odpowiednim momencie. To tak nie działa, mój drogi. Bądź elastyczny, do cholery!

– Jesteś tutaj? – zapytał cicho Chip.

Zacisnęła powieki.

– Przepraszam. – Uśmiechnęła się. – Zazdroszczę ci.

Rzucił jej zdziwione spojrzenie.

– Twoich układów z rodzicami – wyjaśniła.

Miała ochotę wtajemniczyć go w sytuację z Caroline. Zapewne miał ją za beznadziejną matkę. Czy naprawdę chciała, żeby widział w niej też dysfunkcyjną córkę? Na wszelki wypadek lepiej zmienić temat.

– Jak się podróżuje z małym dzieckiem? – zagadnęła go.

Chyba wyczuł, że próbuje coś ukryć. Zaciekawiony, przyglądał jej się przez dobrą minutę, jakby chciał zrozumieć, dlaczego to robi.

Wzruszył ramionami.

– Od kiedy dostaje słuchawki i ogląda bajki, jest łatwiej. Wcześniej

czarowałem stewardesy; no wiesz, samotny ojciec, kiepsko sobie radzi, potrzebuje pomocy i takie tam dyrdymałki.

Jamie walczyła ze śmiechem.

– Działo?

– Bankowo. Podczas przerw w pracy spacerowały z nim w przejściu. Te w moim wieku być może widziały w tym szansę na podryw, a mamy i babcie miękły na widok miłego chłopczyka podróżującego z niezaradnym ojcem.

Świetnym ojcem, poprawiła go w myślach, wodząc wzrokiem po ciemnych włosach, cieniu zarostu, T-shircie opiętym na szerokich barach i skrawku ciała widocznym nad paskiem dżinsów, kiedy pochylał się po butelkę z szamponem. Całość była niesamowicie sexy.

– Nie masz wstydu – podsumowała go.

– Kiedy to konieczne – przyznał.

Kiedy spotkały się ich spojrzenia, doznała wstrząsu. Mogła sobie wmawiać, że ponosi ją wyobraźnia, a Chip wcale nie jest nią zainteresowany, jednak to, co wyczytała w jego oczach, tylko potwierdzało wcześniejsze wrażenie.

Odwróciła wzrok, dopiero gdy ruchem podbródka wskazał jej ręcznik na blacie.

Podążyła go.

– Po takiej akcji pierzesz też pościel i ubrania? – spytała, pamiętając o szczegółowej instrukcji ze żłobka.

Co prawda temat wszy był obrzydliwy, ale za to zdecydowanie bezpieczniejszy od roztrząsania problematycznych emocji.

– Pewnie powinienem, ale nie zamierzam przesadzać, bo Buddy się w ogóle nie drapał. – Posadził Tada na szafce. – No, chłopie, prawie gotowe. – Odwrócił się do Jamie. – Piorę rzeczy, które miał w żłobku, oraz poszewkę z poduszki i na tym koniec. Można zwariować z tymi wszystkimi zaleceniami. W szkole muszę przestrzegać pewnych zasad, lecz w domu kieruję się tylko jedną.

– Jaką?

– Zdrowy rozsądek i umiar.

– W sumie dwiema.

– Jak się zastanowić, znaczą to samo.

Sięgnął po mały, metalowy przedmiot i uniósł go w górę niczym dowód przestępstwa podczas rozprawy.

– Grzebień do wyczesywania wszy i gnid przyklejonych do włosów. Nic tu nie widzę... – Zamilkł na ułamek sekundy i z ironicznym uśmiechem pokręcił głową. – Chyba przesadzamy z naszymi chłopakami, ale skoro obaj mają krótkie włosy, wysiłek niewielki.

Machnęła ręką.

– Lepiej dmuchać na zimne.

Chip ma rację z tym zdrowym rozsądkiem i umiarem, myślała, patrząc, jak przeczesuje włosy Tada, zaczynając każde pociągnięcie grzebieniem nad karkiem. Malec siedział nieruchomo, strzelając oczyma w stronę Buddy'ego, który stanął na środku kuchni z podniszczoną książeczką w ręce, wymownie wpatrując się w Jamie.

– Co to? – zagadnęła go, przykucając.

Natychmiast rozpoznała okładkę.

– Instrukcja do zestawu klocków? Masz drewniane klocki? Takie prawdziwe, staromodne klocki?

– Mojego taty – potwierdził Buddy. – Powiedział, że umiesz zbudować dom.

– Buddy... – syknął Chip, lecz Jamie nie przejęła się tym protestem.

– Jasne! Z radością coś ci zbuduję. Jestem w tym dobra. – Mogła przymknąć oko na uśmiezek Chipa, lecz nie mogła zignorować płacznego tonu wołającego ją Tada.

– Jestem tu, skarbie.

– Czemu on tak ciebie nazywa? – zainteresował się Buddy.

– Nanie? Bo to blisko mojego imienia. – Zadumała się. – Coś jakby pomiędzy mamie i Jamie. – Pochłipywanie brzmiało jak sygnał ostrzegawczy. – Wiesz co, Buddy, może poczekajmy z tym budowaniem, aż twój tata skończy czesać Tada?

– Ile minut? – Chłopczyk podniósł trzy palce. – Tyle?

– Dokładnie. Znasz się na zegarku jak twój tata na zasadach.

– Skoro już o tym mowa – odezwał się Chip, kiedy Jamie wróciła do zlewu – jestem zmuszony sam sobie zaprzeczyć. Zdrowy rozsądek podpowiada, że wszy powinni pojawiać się tam, gdzie brakuje higieny. Tymczasem one wołają czyste głowy.

– Niezbyt to pocieszające, ale dobrze wiedzieć – westchnęła. Podparła się dłońmi o blat i rozejrzała wokół siebie. – Podoba mi się twój dom.

Rzucił jej sceptyczne spojrzenie.

– To nie twój styl. Widziałem twoje projekty. Ten dom jest stary.

– Tak jak mojej mamy, a uwielbiam tam jeździć. – Rzeczywiście tęskniła za domem Caroline; za ograniczoną przestrzenią, tradycyjnym wykończeniem, za całym tym szczególnym klimatem. Zaczynała inaczej patrzeć na swoje mieszkanie. Ascetyczny, minimalistyczny wystrój sprawdzał się tak długo, jak długo pozostawał ascetyczny i minimalistyczny. W tej chwili wrażenie burzył panujący wszędzie rozgardiasz. – Ile ten dom ma lat?

– Trzydzieści osiem. Rodzice postawili go po narodzinach mojej najstarszej siostry. To był dla nich cholerny wysiłek. W domu się nie przelewało...

– Brzydkie słowo! – krzyknął Buddy.

– Racja! – przyznał szybko Chip. – Tata się zapomniał. Dzięki, Buddy. –

Odwrócił się do Jamie. – Te moje niewyparzone usta – mruknął.

Całkiem fajne usta, pomyślała. Mocne, ładnie wykrojone, męskie.

– Tata prowadził sklep z artykułami metalowymi. Rodzice dużo ryzykowali, wkładając pieniądze w budowę, ale się udało. Wychowali tu troje dzieci. Gdyby zamiast dawać mi ten dom, wystawiliby go na sprzedaż, zarobili by niezłą kasę.

– Jednak musiało im się niezłe powodzić, skoro mają teraz dwa domy.

Chip zaciął usta z miną winowajcy.

– Aha, ty je kupiłeś – odgadła.

– Przynajmniej tyle mogłem dla nich zrobić. Pobudka o szóstej rano i harówka od rana do wieczora? Mama była pielęgniarką. Trzy razy w tygodniu brała nocny dyżur, żeby być w domu, kiedy tata siedział w sklepie. Zajmowali się mną na zmianę. – Odłożył grzebień na blat. – No, skończone. – Postawił Tada na podłodze. – Buddy, weźmiesz kolegę na podwórko?

– Nanie obiecała klocki.

– Może nie ma ocho...

– Ależ mam – weszła mu w słowo. – Gdzie najlepiej się buduje?

– Na pewno?

Odpowiedziała uśmiechem. W tej chwili nie przychodziło jej na myśl nic, czego bardziej mogłaby chcieć. Nie była gotowa na zejście na ziemię. – Gdzie będziemy budować?

– Klocki są w dziennym pokoju w pojemniku na kółkach. Możecie wyciągnąć go na ganek.

– Tatusiu, w domu.

– Dobra. W takim razie na stole w jadalni. Zjemy w kuchni. Makaron rurki z kurczakiem i brokułami. Pasuje?

To pytanie było do niej, zorientowała się, gdy już trzymała Tada za rękę i wyciągała dłoń do Buddy'ego.

– Boże drogi, nie musisz...

– Chcę. Tad będzie to jadł?

Powinna się wymówić. Po wszystkim, co dla niej zrobił, kolacja to już była przesada. Ale tutaj, w tym czasie wyrwanym z codzienności, miała na nią jeszcze większą ochotę niż na zabawę wiekowymi drewnianymi klockami.

\*

– Ten dom ma klimat – pochwaliła z uznaniem Jamie godzinę później. Model kościoła First Unity dumnie górował nad stołem w jadalni. Siedzieli z Chipem w kuchni, a chłopcy na ich kolanach nabierali makaron na widelce, pomagając sobie rękami. Naczynie do zapiekania było niemal wyskrobane do dna.

– To właśnie najbardziej mi się podoba w tych domach. Te kuchnie z wnękami, gdzie można wstawić stół, nadają im taki ciepły, rodzinny charakter.

– Pod warunkiem że przy stole wszyscy grzecznie siedzą. Ja z siostrami wiecznie się o coś kłóciłem. Ta wnęka jest mała.

– Przytulna.

– Ciasna. Cała kuchnia jest ciasna.

– Nie wydaje się. – Jamie ogarnęła pomieszczenie fachowym spojrzeniem. – Jest sensownie zabudowana i proporcjonalna w stosunku do reszty domu. Podobają mi się twoje szafki. I ta ciemna podłoga. No i to – uśmiechając się, dotknęła szklanki z mlekiem.

Tad pierwszy raz pił mleko ze szklanki i całkiem dobrze by sobie radził, gdyby nie to, że przechylając ją, chciał nadal widzieć wytrawionego w szkłe Królika Bugsa. Buddy na swojej miał Kaczora Donalda, a dla Chipa wybrał szklankę z Tomem, Jerrym i Tweety. Chłopcy pomiędzy kolejnymi kęsami zabawiali się zsuwaniem szklanek i porównywaniem obrazków.

– A te słoiczki po galaretkach Welcha to prawdziwa gratka dla zbieraczy staroci – zachwyciła się Jamie. – Kupiłeś je na e-Bayu?

– Nie. Masło orzechowe z galaretką owocową stanowiło podstawę w naszym domu.

– Chcesz powiedzieć, że te słoiki zachowały się przez tyle lat?

– No tak. Chętnie wymyśliłbym jakąś sentymentalną historyjkę, ale rodzice byli ludźmi praktycznymi. Słoiki mają dobrą wielkość i są zrobione z grubego szkła.

– Tatusiu, mogę już iść?

Chip rzucił okiem na prawie czysty talerz syna i wysunął się z wnęki, żeby go przepuścić.

– Ładnie się uwinąłeś, Buddy.

Tad, nie pytając o pozwolenie, ześliznął się z kolan Jamie, aby dołączyć do kolegi. Ona najchętniej nie ruszałaby się z miejsca, ale naśladując Chipa, też usunęła się na bok.

– Buddy, pokaż Tadowi swój pokój. A po schodach jak Ninja.

– Jak Ninja? – powtórzyła Jamie, gotowa asekurować chłopców, przestraszona widokiem schodów.

– Na czworakach. Buddy, pokaż mu jak.

Jamie już podnosiła się z krzesła, ale Chip przytrzymał ją za ramię. Przyłożył palec do ust i nasłuchiwał. Dudnienie, najpierw głośne, a potem coraz cichsze, przeszło w tupot stóp nad ich głowami – znak, że obaj bezpiecznie dotarli na górę.

Jamie z ulgą zabrała się do sprzątanania ze stołu.

– Zostaw – rzucił Chip.

– No, wiesz – prychnęła. – To, że w wielu sprawach kiepsko sobie radzę, nie oznacza, że nie potrafię załadować zmywarki. – Zaczęła zbierać talerze. – Ta zmywarka wygląda na zupełnie nową.

– Stara wysiadła w zeszłym miesiącu. Miała swoje lata. – Pozbierał sztućce i szklanki do zlewu. – W następnej kolejności kupię nowy bojler, a w przyszłym roku czeka mnie wymiana ogrzewania. Chcę, żeby dom stał się bardziej ekologiczny. Te nowoczesne urządzenia są mniej prądożerne.

– Niestety, kosztują. – Ustawiła talerze na dolnej półce i wyciągnęła górny koszyk.

– Mam na to pieniądze. Muszę tylko zdecydować, czy chcę tu zostać, czy raczej czegoś poszukać.

Wszystkie szklanki stały już w zmywarce.

– Dlaczego miałbyś się stąd wyprowadzać? – wyrwało się Jamie, gdy sięgała po widelce.

– Dorastałem w tym domu. A teraz dręczy mnie myśl, że się w nim zestarzeję. Wróciłem do Williston po narodzinach Buddy’ego, bo to wygodne miejsce do wychowywania dzieci, a z kolei rodzice myśleli o wyjeździe. Obie siostry mieszkają w innych miastach, więc dom był do dyspozycji. Z drugiej strony zmiany są korzystne. Śledzę lokalny rynek nieruchomości. Jeżeli jakiś dom jest wystawiony na sprzedaż, idę go obejrzeć.

Jamie poczuła ukłucie zazdrości. Nawet teraz, po tych wszystkich latach, myśl o rodzinnym domu wywoływała w niej napięcie. Niespodziewanie stanęła jej przed oczami wiktoriańska koronka po babci. Zawsze darzyła ją sentymentem, który pogłębił się jeszcze, gdy Caroline sprzedała ich duży dom i kupiła ten, w którym obecnie mieszkała. Ta koronka była rodzinną pamiątką. Żałowała, że nie ma ich więcej.

– Zostawiłbyś te wszystkie wspomnienia? – spytała.

– Żeby zrobić miejsce dla nowych? Tak. I zacząć wszystko jeszcze raz. Czasami mam chęć uciekać.

– Przed czym?

Zasepił się, po raz pierwszy tracąc pewność siebie.

– Przed sobą – wyznał, patrząc na nią bezradnie. – Przed przyszłością. Podejmowaniem decyzji. Przed lękiem, że nie sprostam nowym wyzwaniom.

– Dobrze sobie radzisz.

– Nie znałaś mnie wcześniej.

– Ale widzę, jaki jesteś teraz. – W tej samej chwili przyjrzała się sobie z boku; czas przewartościować priorytety. Zapomnij o karierze architekta. Zapomnij o gwiazdorskich popisach w telewizji. – Wychowywanie dziecka jest wielkim wyzwaniem, a jednak się nie załamałeś. Z domem też ci się uda.

Uśmiechnął się kącikami ust.

– To mówi kobieta, która mogłaby mi sprzedać dom.

– Która mogłaby ci go zaprojektować.

– No cóż – westchnął. – Hipotetyczne rozważania. Jak dotąd nie natrafiłem



na nic ciekawego. Kiedy w sporcie przeszedłem na zawodowstwo, dobrze mi się powodziło. Dobra wiadomość to taka, że jeśli wyznaczę sobie cel, potrafię konsekwentnie działać. Tata nalegał, żebym odkładał połowę tego, co zarabiałem. Uzbierało się tego co nieco na koncie.

Jamie wycisnęła płyn do naczyń na gąbkę i zajęła się szorowaniem naczyń po zapiekance.

– Mogłabym ci podpowiedzieć działkę, którą właśnie sprzątnęli nam sprzed nosa konkurencji, ale nie chcę, żebyś wchodził w układy z Barthami. Nieważne, czy zdecydujesz się na renowację, czy na kupno domu, MacAfee Homes jest lepszym wyborem.

– Jak rozumiem, Barthowie to wasi rywale?

– Od niedawna. To gra, w której każda ze stron stara się zwietrzyć okazję i działać szybciej od przeciwnika.

– Kto wygrywa?

Przerwała szorowanie i spojrzała na niego. Stał oparty o blat po drugiej stronie zmywarki; ciemne włosy, niebieskie oczy i uśmiechnięte usta.

– Nie ma w tym nic zabawnego – stwierdziła. – Ostatnio nas wyprzedzają. To dla nas zła wiadomość.

– Dogonicie ich.

– Mam nadzieję. Williston przechodzi transformację. Jest tu mnóstwo starych domów do modernizacji albo do rozbiórki. Jest w tym pewna cykliczność. Co pięć lat nowi mieszkańcy zaczynają napływać do starych dzielnic. Tutaj prędzej czy później też się pojawiają. Jeśli chcesz – zaczęła zachęcająco – mogę ci podsunąć kilka ciekawych projektów.

– Jasne.

Poznała po drzeniu jego ust, że tłumi śmiech.

– Jestem w tym dobra. – Podała mu umyte naczynie.

Odebrał je i zaczął wycierać.

– Wiem.

– Mówię poważnie.

– Ja też.

– Chip, nabijasz się ze mnie.

– Charlie. Wcale nie. – Zamilkł. Otworzył usta, poruszał szczęką i zacisnął wargi. Odstawił wytarte naczynie i spojrzał na nią z poważną miną.

– Jest pewien problem – powiedział cicho. Popatrzył jej prosto w oczy, a potem ześliznął się wzrokiem na usta i na biust, zanim powrócił spojrzeniem do oczu.

Zastygła. Nie miała siły się poruszyć.

Ujął jej lewą dłoń i dotknął palcem zaręczynowego pierścionka.

– Jamie, ja rzadko umawiam się z kobietami. Od przyjscia na świat

Buddy'go nie bardzo mnie to kręci, ale nie mogę przestać o tobie myśleć. Musisz mi tego zakazać.

Nie była w stanie wydobyć głosu. Ledwo oddychała. Dłoń piekła żywym ogniem, jeszcze bardziej palił żar w trzewiach.

– Każ mi przestać, Jamie.

– Nie mogę – wyszeptała. Nigdy dotąd nie czuła tego, co teraz. Przy nim nie umiała jasno myśleć.

\*

Dopiero w samochodzie, w drodze do domu, dotarło do niej, że nie ma się nad czym zastanawiać. I wtedy obleciał ją strach.

## Rozdział 17



Minęła szósta, zanim Caroline wreszcie zakończyła serię zebrań i zeszła do holu poszukać Deana. Znalazła go w pracowni generalnych wykonawców. Siedział przy jednym z trzech biurków nad stertą otwartych skoroszytów. W okularach w cienkich oprawkach, przesuwając ołówkiem po kolumnach cyfr, sprawdzał, jak się domyślała, rachunki wystawione przez podwykonawców, a może przez dostawców. Posłał jej spojrzenie znad okularów i powrócił do robienia notatek przy niektórych pozycjach.

Lubiła mu się przypatrywać w takich chwilach. Słabo znała go od tej strony. Widok Deana w okularach sprawiał jej perwersyjną radość. W nich wyglądał na swój wiek.

Z westchnieniem opadła na jeden z dwóch foteli przed biurkiem.

Dean zdjął okulary.

– Wyglądasz na wyczerpaną.

– Bo jestem potwornie znużona. Jak można w cztery godziny w biurze ogarnąć te wszystkie sprawy, na które ośmiu na placu budowy nie wystarcza?

– Agentki nieruchomości bardzo ci dały popalić?

Rzuciła mu cierpkie spojrzenie.

– A czy z Daną kiedykolwiek było inaczej? Przyszła podminowana, bo jej się spieszyło. Bała się, że utknie w korku, a przecież mieszka w Bostonie i w godzinach szczytu jedzie akurat w kierunku odwrotnym do natężonego ruchu. Nie mogłam się z nią spotkać wcześniej, bo najpierw musiałam dograć sprawy z Lindą. Co prawda pozostawał nam do dyspozycji przyszły tydzień, ale chciałam mieć to już z głowy.

Linda Marshall, znajomka Caroline z salonu manikiuru, mieszkała w Williston. Przy czwórce dzieci, które rozwoziła do szkół i na najróżniejsze zajęcia sportowe, doskonale orientowała się, co słychać w mieście. Często z wyprzedzeniem dowiadywała się o planowanych transakcjach. Zgodziła się współpracować z MacAfee w charakterze doradczynie. Caroline podsunęła Theo pomysł, żeby ją zatrudnić pod warunkiem, że najpierw Linda przekona do siebie Danę. Stąd wzięło się dzisiejsze spotkanie.

– Dana nie była zachwycona – wyznała Caroline. – Niezależnie od zapewnień Lindy, że nie zamierza się wtrącać w transakcje, ten pomysł jej wyraźnie nie odpowiadał.

– I co, w końcu się zgodziła?

– Niechętnie. Wcale bym się nie zmartwiła, gdyby Dana odeszła z firmy. Na mój nos warto postawić na Lindę. Właśnie dostałam od niej namiary na dwa domy, które moglibyśmy kupić. – Przesunęła kartkę po biurku. Dean pochylił się nad nią, nakładając okulary.

– Ciekawe – wymruczał. – No dobrze. Jutro rano pojedę je obejrzeć.

Dean miał dobrą rękę do zakupów wyprzedzających konkurencję. Wystarczyło mu rzut oka, aby wycenić, ile warta jest nieruchomość, jak dużo MacAfee będą musieli zainwestować, żeby później sprzedać ją z zyskiem. Intuicja rzadko go zawodziła. Dlatego Caroline wolała pomijać milczeniem pomysł zakupu wiejskiego domu. Według niej tym razem go poniosło.

Dean zdjął okulary i odchylił się na oparcie krzesła.

– Fajne masz te okulary – pozwoliła sobie na małą złośliwość, dobrze wiedząc, że ich nie cierpiał i zakładał je jedynie, gdy zmęczyły mu się oczy. Cóż, ona też czuła się zmęczona, a dom na wsi był niewypałem.

– Uhm – przytaknął niewzruszony. – Czy ona słyszała coś na temat parceli Weymouthów?

– Tylko spekulacje.

– To teren, na którym nam zależy.

– Och, tak. – Caroline przymknęła powieki. – Marzy mi się pokazanie tej inwestycji w naszym programie. Moglibyśmy spokojnie obskoczyć ze trzy sezony. Wiesz, stworzylibyśmy coś na kształt sagi. Czegoś takiego jeszcze nie robiliśmy. To mogłoby się okazać korzystne ze względów marketingowych. – Gdy otworzyła oczy, współczująca mina przyjaciela ściągnęła ją na ziemię. – Oczywiście, ja nie brałabym w tym udziału, a gdyby nawet, i tak nikt by mnie nie słuchał. Nie jestem specem od marketingu i dlatego moje rozmowy z kandydatami na miejsce Roya nie mają sensu.

Przed spotkaniem z agentkami nieruchomości na życzenie Thea odbyła rozmowy kwalifikacyjne z trzema potencjalnymi kandydatami na stanowisko szefa marketingu.

– Jak to nie mają sensu? – zaoponował Dean. – Masz za sobą lata doświadczenia w marketingu.

– Przy byłym mężu. Żaden z aplikujących nie wydawał się odpowiedni, a możesz mi wierzyć, bardzo bym chciała, żeby choć jeden z nich miał zadatki na lepszego fachowca od Roya. – Westchnęła znużona. – Nie jestem menadżerem – stwierdziła z rezygnacją.

– Theo szykuje cię do tej roli.

– Tak sądzisz? – Też tak podejrzewała, lecz to tylko dodatkowo ją stresowało. – Dean, ja nie powinnam tu tkwić. To nie moja działka. Owszem, jak trzeba, daję sobie radę. Tak, umiem postępować z ludźmi, ale o wiele lepiej się czuję przy pracy z drewnem. Ona mi daje poczucie stabilności.

Obecnie, skłócona z Jamie, bez perspektywy udziału w *Gut It!*, wolna nawet od niechęci do Roya, czuła się zawieszona w próżni. To wrażenie narodziło się jeszcze, zanim doszło czy może nie doszło do zmiany relacji z Deanem.

– Ostatnio zajmuję się wszystkim po trochu i niczym konkretnie. Kim właściwie jestem?

Nie od razu się odezwał. Wiedziała, że myśli o Jamie, wyczytała to z wyrazu jego twarzy. Zaraz usłyszy, że wystarczy podnieść słuchawkę. To nie takie proste. Tłumaczyła mu wiele razy i nie zamierzała się powtarzać.

Dean, widząc jej przygnębienie, powpinał rachunki do skoroszytów i ułożył je w stertę.

– Czas do domu, Caro – zdecydował, podnosząc się zza biurka i zgarniając wszystkie papiery do wysłużonej kurierskiej torby z brezentu, z którą się nie rozstawał, odkąd go pamiętała.

– Za godzinę jestem u ciebie – oznajmił, zakładając pasek torby na ramię. – Włóż dzinsy.

O nie, dobrze wiedziała, co to oznacza.

– Dzięki, ale nie wsiądę na ten motor.

– Za stara? – zapytał kpiąco.

Zadarła podbródek.

– Za mądra.

– A jeżeli przyrzeknę, że będę jechał powoli?

– Na tym wielkim, masywnym harleyu? – parsknęła z niedowierzaniem.

– A jeśli obiecuję ci rybę z grilla?

Kuszająca propozycja.

– Jaką?

– Nie wiem, co znajdę na rynku.

– Chcę pstrąga.

– Czy to poprawi ci humor?

Już miała powiedzieć, że nic nie jest w stanie go poprawić, gdy wolną dłonią ujął jej twarz, pochylił się i pocałował ją w usta. Zaskoczona, nie zdążyła go odsunąć, a ułamek sekundy później pod delikatnym naciskiem jego warg zaskoczenie zastąpiła świadomość, że wcale nie chciała go odepchnąć. Po chwili opuścił rękę i podniósł głowę, nie odrywając wzroku od jej oczu.

– I jak? Poprawiłem ci humor czy jeszcze bardziej go zepsułem? – zapytał cicho.

– Nie wiem. Za krótko trwało.

Twarz rozświetlił mu uśmiech.

– Dobrze wiedzieć.

Poprawił torbę na ramieniu i poprowadził Caroline do wyjścia.

\*

Wzięła prysznic, włożyła ciemnozielone džinsy i dobrała do nich bluzkę bez rękawów w zielono-pomarańczową kratę. Starannie upięła włosy, żeby fryzura nie ucierpiała pod kaskiem, bo przewidywała, że mimo jej obiekcji Dean przyjedzie na motorze i ona już się nie wykręci. Zresztą czuła potrzebę ucieczki, nawet posmakowania odrobiny niebezpieczeństwa czy ryzyka. On musiał się tego domyślać, dlatego zapewne pocałował ją w taki sposób akurat w tamtej chwili. Ten pocałunek okazał się przyjemniejszy, niż się spodziewała. Naturalnie trudno Deanowi odmówić atrakcyjności, ale z pocałunkami różnie bywa. Niektóre są mdłe i nijakie, z zamkniętymi ustami, inne ociekają śliną. Dean zrobił to jak należy; był odpowiednio stanowczy, ale nie natarczywy. Nie czuła się napastowana. Trwał dość krótko, może właśnie dlatego tak się jej spodobał. Budził apetyt na więcej.

A co dalej? Dean nie spieszył się ze zrobieniem pierwszego kroku. Ciekawe, jakie ma plany na wieczór. Zapewne zawiezie ją do tej rudery z dwuspadowym stromym dachem, kawał drogi za miastem, którą zamierzał odremontować i sprzedać z zyskiem. Jak dotąd postawił grill w porośniętym trawą ogrodzie za domem.

Ostatnim razem upiekł stek dla siebie i kurczaka dla niej. Dzisiaj nasza ją chęć na pstrąga. Czy ten ich wypadek miał erotyczny podtekst? Nie była pewna. Ogoliła pachy, oczywiście ze względu na bluzkę bez rękawów, nie na Deana, no i wmasowała więcej niż zwykle kremu do ciała, bo na motocyklu pęd powietrza wysusza skórę. W taki ciepły wieczór spokojnie mogłaby się obejść bez biustonosza, lecz bluzka zdecydowanie lepiej leżała na uniesionych piersiach.

Zdenerwowana, czekała na frontowych schodkach. Master kojąco ocierał się o jej nogi. Kochała tego kota, wszystkie swoje koty kochała. One nie zwracały uwagi na zwiotczałe piersi, zmarszczki na szyi i ciemne plamki na dłoniach.

Mruczenie Mastera przybrało na sile.

Nie, to nie to. To harley Deana.

Wzięła kota na rękę, wniosła go do domu, namacała komórkę w kieszeni i zamknęła drzwi na klucz.

Doszła do połowy ścieżki, gdy przed dom zajechała potężna maszyna z jeźdźcem w kasku, w czarnej motocyklowej kurtce, w wyblakłych džinsach z szerokim skórzanym pasem i w wysłużonych wysokich butach. Jeździec wyłączył silnik, oparł motor na stojaku, zsiadając, zawiesił kask na rączce kierownicy i ruszył ku niej z zapasowym kaskiem oraz kurtką, którą wyjął z bagażnika.

Ogarnięta nagłą paniką, najchętniej odwróciłaby się na pięcie i rzuciła do ucieczki.

– Kurtka jest cienka – oznajmił, stając przed nią. – Ale musisz okryć ramiona skórą.

Obrócił kask w dłoniach, nałożył go jej na głowę, zaciągnął pasek pod brodą

i poruszał kaskiem, sprawdzając, czy dobrze siedzi.

– Wygodnie? – zapytał, pochylając się i zaglądając jej w oczy.

Perspektywa jazdy na motorze, drapieżnie męski wygląd Deana z potarganymi przez kask czarnymi włosami nie przerażały jej tak bardzo jak to podejrzane łaskotanie, które czuła w dołku. Znowu naszła ją chęć, żeby uciec, ale już nie było odwrotu.

– Pachnie nowością – powiedziała, ruchem oczu wskazując kask.

– Bo jest nowy. Wybrałem czerwony, do koloru twoich włosów.

Nie zdążyła bąknąć, że czerwień gryzie się z kasztanowym brązem, bo już po dżentelmeńsku przytrzymał jej kurtkę, a potem zaciągnął zamek, zanim sama zdążyła to zrobić.

Było coś opiekuńczego w tym geście, a ona, uginająca się pod ciężarem tylu problemów, bardzo potrzebowała wsparcia. Dean opuścił osłonę oczu na jej kasku, potem odwrócił się, sam nałożył kask, wsiadł na motor i wyciągnął do niej rękę. Przytrzymując się jego dłoni, przerzuciła nogę ponad siodełkiem.

Za stara? Też coś. Wiedziała, co robić. Z trampkami wpartymi w podnóżki i z dłońmi zaciśniętymi na biodrach Deana, wychylała się na zakrętach równo z nim, przytrzymując się udami siodełka. Tak jak obiecał, nie przesadzał z prędkością, przynajmniej dopóki jechali przez Williston. Przyspieszył dopiero na szosie, ale nie czuła strachu, bo Dean osłaniał ją sobą przed pędem powietrza, a harley sunął zaskakująco płynnie. Delektowała się chwilą, wyobrażając sobie, jak opada ciężar z jej ramion. Ocknęła się dopiero, gdy zobaczyła, że jadą w innym, niż sądziła, kierunku.

Poklepała Deana po ramieniu. Zwolnił nieznacznie i odchylił głowę.

– Gdzie jedziemy?! – wykrzyczała.

– Do mnie – padła stłumiona odpowiedź.

Harley szarpnął i przyspieszył. Oczywiście, mówił o tym swoim domu na absolutnym zadupiu.

Płynna jazda skończyła się, gdy skręcili w boczną drogę, a z niej na porytą koleinami szutrówkę. Na ścieżce pnącej się po stromym zboczu Caroline z obawy o życie kurczowo trzymała się paska przy spodniach Deana.

Z ulgą, na miękkich nogach zsiadła z motoru i zdjęła kask. Nie zwracając uwagi na potargane włosy, z których jakimś cudem zsunęła się frotka, wpatrywała się z niechęcią w dom. Też został zbudowany w wiktoriańskim stylu, ale tu wszystko kojarzyło się z rozpadem, nie tak jak u niej, z urokiem i wdziękiem epoki. Dom podczas pierwszej wizyty wywarł na niej upiorne wrażenie, a teraz wcale nie wyglądał lepiej. W zachodzącym słońcu wydawał się składać z samych zacienionych załamań i łuszczącej się farby.

Dean odebrał od niej kask i wręczył jej butelkę wina. Wyjął z bagażnika dwie reklamówki z zakupami i wprowadził ją do kuchni bocznymi schodami.

Opróżniona ze starych mebli i zepsutych sprzętów, nie przypominała już składowiska rupieci. Pod pustą ścianą stały rzędem narzędzia, a środek zajmował duży, roboczy stół. Dean postawił na nim torby i pstryknął jedyną gołą żarówkę.

Caroline splotła ramiona na piersi, ciekawa, jak on w tych warunkach zamierza przyrządzić pstrągi. To nie jej problem, była tu gościem. Nie zamierzała się wtrącać, od początku przeciwna zakupowi tego domu. Za nic nie odpowiadała.

– Grill stoi na zewnątrz. Mam tam stół i latarnie – powiedział nieśmiało Dean, wyraźnie zbity z tropu jej milczeniem.

Skinęła głową.

– Wiesz – dodał entuzjastycznie – wystąpiłem do geologów o oznaczenie miejsca odwiertu pod studnię, gdzie woda nie będzie zażelaziona. A zarząd parku krajobrazowego wydał mi już wszystkie niezbędne pozwolenia. W przyszłym tygodniu przyjeżdżają równiarki, będziemy robić drogę.

Myślał o czymś intensywnie, klepiąc się dłonią w czoło.

– Mrówki – podpowiedziała.

Uniósł palec.

– No właśnie. Znalazłem dwa gniazda. Zniszczyliśmy je i spryskaliśmy specjalnym preparatem skażony teren. Wymieniłem też całe zmurszałe drewno.

– No to jesteś urządzony – podsumowała kpiąco.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

– Nadal jesteś zła, że go kupiłem.

Rozbawił ją.

– Właściwie nie.

Dostrzegając potencjał tej ogołoconej kuchni, jednak na razie nie chciała poruszać tego tematu. Nie powiedziała mu też, że speszony wygląda rozbijając i że ona w tym miejscu czuje się jakby przeniesiona do innego świata.

– Jestem trochę zmęczona i głodna. Ciekawe, czy w tych warunkach uda ci się przyrządzić coś zjadliwego.

Błysnął zębami w uśmiechu.

– Obiecuję prawdziwą ucztę.

\*

Tym razem też dotrzymał słowa. Caroline dla zabicia czasu zajrzała do przybudówki na narzędzia ogrodnicze i drewno, przeszła się po granicy lasu, nasłuchując poszczekiwań kojotów. Potem, siedząc oparta plecami o stół, obserwowała uwijającego się Deana. Najpierw rozlał wino do plastikowych kubków, potem zrobił surówkę i zrumienił pokrojoną bagietkę na górnej półce w grillu, podczas gdy na dolnej piekły się pstrągi.

Oferowała się z pomocą, lecz podziękował nawet podczas nakrywania do stołu. Zmęczona i spragniona troski, oczarowana tym miejscem poza czasem



i rzeczywistością, pozwoliła mu działać, jak mu serce dyktowało.

Tak samo było ze sprzątaniami po jedzeniu, które z powodu braku zlewu sprowadziło się do wrzucenia jednorazowych naczyń do torby na śmieci.

Zapadł już mrok i powietrze pochłodziło. Błady półksiężyc przegrywał konkurencję z ciepłą poświatą z jarzących się latarni. Caroline, onieśmiewiona powtarzającym się zawrotem głowy, ograniczyła spacer do skalnego wypiętrzenia, które wcześniej ominęła. Bez trudu wdrapała się na skałki i nasłuchiwała, wpatrzona w ścianę drzew. Wycie powtórzyło się, tym razem gdzieś w głębi lasu. Z oddali dobiegał warkot samolotu. Zadarła głowę i na tle migotliwych gwiazd dostrzegła sunące światła. Ciszę zakłócał szum lasu i odległe ciurkanie strumyka, który według słów inspektora budowlanego podczas wiosennych burz mógł występować z brzegów i zalewać dom.

Myśląc o tym, że powinna zwrócić Deanowi uwagę, żeby pamiętał o porządnym systemie odwadniającym i instalacji pomp ściekowych, odwróciła się twarzą do domu. Miękkie światło latarni łagodziło zarysy ścian i tylko górująca nad dachem wieżyczka majaczyła niepokojąco na tle ciemnego nieba. Caroline roztała ramiona, walcząc z dreszczem wywołanym tym posępny widokiem. Przyszło jej na myśl mocniejsze określenie: „złowieszczym”, gdy wyrosła przed nią duża sylwetka, zasłaniając poświatę z lamp.

Dean wdrapał się na skałę i usiadł z dłońmi wspartymi na udach, opierając się o nią barkiem. Usiłowała zamienić strach przed duchami na lęk przed wyposzczonym mężczyzną. Jednak Dean jakoś nie budził w niej obaw. Troszczył się o nią, a teraz bronił przed kojotami, które zapewne nie stanowiły zagrożenia, ale kto je tam wie? Jak mogła bać się kogoś, kto pachniał dymem drzewnym i emanował ciepłem. Ona była zagubiona w tym odrealnionym miejscu, a on konkretny i rzeczywisty.

– No i co myślisz? – zapytał szeptem.

– O domu? – upewniła się przyciszonym głosem. – Myślę, że czeka cię mnóstwo pracy, ale skoro tego chcesz... Poza tym co ja myślę, nie ma znaczenia, bo już podjąłeś decyzję. I... – Nakryła dłonią jego rękę. Jego palce były ciepłe, a jej lodowate. – I podejrzewam, że skonsultowałeś się z Jamie, zanim włożyłeś tu pieniądze.

Zaśmiał się.

– Pewnie. Zrobiła mi nawet parę szkiców, żebym miał się na czym oprzeć. – Zamknął jej dłonie w swoich. – Zimno ci?

– Pięknie. Jakoś nie raczyła mi o tym wspomnieć.

– Prosiłem ją o dyskrecję. Nie chciałem cię wkurzać. Pomyślałem, że powiem ci, gdy będę potrzebował twoich porad fachowych.

Zwróciła ku niemu twarz.

– Nie powinno ci zależeć na mojej opinii.

Muśnięciem podbródka odgarnął jej włosy z policzka.

– A jednak zależy.

– Czemu?

– Bo wierzę w twój osąd.

– Bardzo miłe.

– Szczera prawda.

Patrzył na nią ciepło, rozcierając kciukami jej zziębnięte dłonie. Mało znaczący gest, a jednak dziwnie intymny. Nie cofnęła ręk. Była tu i teraz. Syta, z winem we krwi i z rosnącą ciekawością.

Ledwo zdążyła cofnąć głowę, gdy objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

– To jak? – zapytał.

– Co jak? – wydusiła na wstrzymanym oddechu.

– Mam twoją akceptację?

– Na co? – Nie była w stanie jasno myśleć, bo jego ramiona znalazły się tuż pod jej biustem.

– Na zakup domu?

– Tak – westchnęła. – Niestety, nie wyobrażam sobie, że mogłabym być tu w nocy sama.

– Nie – szepnął jej do ucha. – Słyszałem głosy o trzeciej nad ranem.

– Zmyślasz!

Za karę uszczypnęła go w udo.

– Wcale nie.

– Co tu robiłeś o trzeciej rano?

– Spałem.

Odsuwając się, patrzyła na niego zaskoczona.

– Na czym?

– Na łóżku.

– Gdzie?

– Uhm, w sypialni? – odpowiedział rozbawiony.

Caroline dzisiaj nie wchodziła na górę. Wystarczyło to, co tam zobaczyła ostatnim razem. Teraz myśl o łóżku w tym pokoju nie z tego świata rozbudziła jej wyobraźnię.

– Aha. – Uśmiechnął się. – Zaciekawiałaś się.

Ujął w dłonie jej twarz i odwrócił ku sobie, przysuwając się bliżej. Jego ręce ześliznęły się na jej ramiona, palce kreśliły małe kółka.

– Co to były za głosy? – spytała, czując, jak palce wsuwają się w dekolt bluzki.

– Pewnie duchy.

Z każdym kolistym ruchem palce sunęły coraz niżej.

– Nie obleciał cię strach?

Muskał ustami jej ucho.

– Kiedy ostatnio słyszałaś o agresywnych duchach?

Nie wiedziała. Gdy opuszki sięgnęły szczytów piersi, wyprężyła się, wychodząc im na spotkanie – nie rozumiała, jakim cudem znalazła się w tej sytuacji i jak to możliwe, że jej ciało tęskni za czymś, o czym dwa tygodnie wcześniej nawet by nie pomyślała.

Z zamkniętymi oczyma skupiła się na wrażeniach. Resztki świadomości podpowiadały, że te cudowne doznania to gra wstępna. Niecierpliwe wyczekiwanie na dotyk dłoni Deana – dłoni Deana – rozpalało zmysły.

– Powiedz, jak lubisz? – zapytał chrapliwie.

– Nie mogę – jęknęła, z trudem wydobywając głos.

– Chcę, żeby było dobrze.

– Jest dobrze.

– A tak? – Delikatnie zaczął masować sutek.

Gdy krzyknęła, cofnął rękę. Śmiejąc się, przytrzymała jego rękę i czując, że robi coś absolutnie szalonego, naprowadziła ją z powrotem w tamto miejsce, jednocześnie siadając mu okrakiem na kolanach.

– Jeszcze – wyszeptala mu w usta, obejmując go za szyję.

Pieścił jej piersi, brzuch, intymne miejsce pomiędzy udami. Ona też go głaskała, nawet tam, zaskoczona rozmiarem erekcji. O dziwo, w ogóle nie odczuwała skrępowania. Nie poznawała tej istoty, którą w tej chwili była, tłumacząc to nagle przebudzenie ciemnością, winem i jednoznacznym dążeniem Deana.

A jednak ta istota naprawdę żyła. Płonący w niej ogień też był prawdziwy. W końcu nie była dziewiętnastoletnią dziewczyną, a świadomość, czego w tej chwili pragnie, ostatecznie ją wyzwoliła. Stała się niecierpliwa. Chciała więcej, chciała wszystko, do końca.

– Chodźmy do łóżka – sapnął Dean i w mgnieniu oka pomógł jej zejść ze skały. Objęci, dużymi krokami pokonali trawnik i niemal wbiegli po schodach na piętro. Duchy? Nie duchy jej były w głowie, kiedy on, nie przerywając pieszczot, rozebrał ją, położył na łóżku i wyciągnął się obok. Sprawdził, czy jest gotowa. Nie musiał. Wiedziała, że jest wilgotna. Na tym polegała uwolniona kobiecość, a w pożądaniu nie było miejsca na wstyd. Istota, którą się stała, którą on w niej obudził, była złańkiona wszystkiego, o czym ona, Caroline, dawno zdążyła zapomnieć.

Potem wielokrotnie będzie odtwarzać w pamięci tamten moment, kiedy w nią wszedł i rozpaloną unosił wyżej i wyżej, aż doprowadził do orgazmu, szczytując tuż po niej.

Upłynie jakiś czas, zanim Caroline dostrzeże w ciemności zacieki na ścianach, zmurszałe belki i brak mebli poza materacem osadzonym na ramie. Teraz

pokój wypełniały ich skrócone oddechy i zdumiony śmiech.

– Kto by pomyślał? – wyszeptał ochryple z twarzą wtuloną w jej włosy. – Szalona kobieta. Gdzież ona się ukrywała?

– Pilnowała własnych spraw – powiedziała z uśmiechem, przytulając się i kładąc mu dłoń na piersi. – Przynajmniej ta jej rozsądna część. A szalona? Nie wiem, skąd się wzięła. A właściwie wiem, ty ją sprowokowałeś.

– Sprowokowałem?

– Spojrzenie tu, dotknięcie tam. Długo ci zajęło przejście do konkretów.

– Czyja wina? Nie wysyłałaś żadnych sygnałów – zaprotestował. – Czy kiedykolwiek otworzyłaś mi drzwi w czymś czarnym i kusym? Obiecałaś nie włóczyć po sądach za napaść seksualną? Dałaś do zrozumienia, że tego chcesz?

– Powiedziałam, że tamten pocałunek za krótko trwał.

– To prawda.

– Czy ty to zaplanowałeś na dziś?

– Nie. Chciałem cię wyciągnąć z domu. Byłaś w kiepskim nastroju.

– Tamta kobieta była. Ta czuje się całkiem dobrze.

– I jak? – zaciekawił się. – Co myślisz?

– O czym?

– O tym. – Uszczypnął ją w udo. – Nadal uważasz, że seks jest przereklamowany?

Odchyliła głowę i popatrzyła mu w oczy.

– Dobry jesteś. Muszę ci to oddać.

– Dobry nie znaczy fantastyczny.

– Dziś byłeś fantastyczny.

– Wątpliwy komplement.

– Raz nie zawsze. Wszystko pierwszy raz wydaje się fantastyczne.

– Jestem gotowy na powtórkę.

– Już? Niemożliwe. – Szalona kobieta pogładziła go po podbrzuszu, nadal nie wierząc, że śmie dotykać Deana w taki sposób. – Ops.

Rzeczywiście był.

– Czy to znaczy tak?

– Nie. Moje ciało błaga o kąpiel.

– Nie ma łazienki. Nie ma ciepłej wody.

– U siebie mam jedno i drugie. Zawieź mnie do domu.

– Pod warunkiem, że zostanę na noc.

Nie umiała powiedzieć „nie”. Pojechali do niej, on wziął prysznic, potem ona wypchnęła go z łazienki, żeby w końcu się wykąpać i wetrzeć balsam w podrażnioną skórę na piersiach, zepchnęła koty z łóżka i położyła się przy nim naga, bo on też był nagi. Zresztą panowała ciemność, a odwaga tamtej szalonej kobiety przetrwała powrotną jazdę na harleyu. Dean cicho posapywał przez sen,

bezwiednie szukając kontaktu z jej ciałem. Nowość tego dotyku sprawiała jej przyjemność, mimo że była przyzwyczajona spać sama na dużej przestrzeni, której sporą część okupował teraz on.

Obudziły ją pierwsze promienie słońca. Bez otwierania oczu wiedziała, że to działo się naprawdę – czuła jego zapach i słyszała oddech – a jednak widok ciemnej głowy na poduszce i dużego ciała w cyklamenowej pościeli był dla niej nieco szokujący. Może poleżałaby dłużej, chłonąc ten obrazek, gdyby nie potrzeba powrotu do choćby pozorów normalności.

Ostrożnie wysunęła się spomiędzy prześcieradeł i owinęła ręcznikiem, który po kąpieli porzuciła przy łóżku. Podeszła na palcach do bieliźniarki po koszulkę bez rękawów i szorty. Przystępując ostrożnie skrzypiące deski, zeszła na dół się ubrać. Nakarmiła koty, zajrzała na stronę *Gut It!* i otulona szalem, który zdjęła z wieszaka w kuchni, wyszła z kubkiem na werandę.

Rześkie powietrze, jaskrawe słońce, aromatyczna herbata. Sącząc ją powoli, odtwarzała w myślach ostatnią noc. Wszystkie wspomnienia były dobre, a niektóre nieco zaskakujące. Nie знаła siebie takiej namiętnej i śmiałej. Dean w pełni ją zadowolił. Czuła się odprężona. Czuła się kobieca. Pomimo nieznaczonej porannej sztywności mięśni rozpierała ją energia.

Pomyślała, żeby zadzwonić do Annie. Tyle miała do opowiadania.

Jednak nie. Nie była gotowa zdać jej relacji z tego, co się stało i co czuła, bo najpierw sama musiała z tym dojść do ładu. Jeszcze nie znała odpowiedzi na pytanie: Kim jestem? Niemniej w ten czwartkowy poranek czuła się silna. I może poczułaby się całkiem spełniona, gdyby ułożyło się między nią i Jamie.

Przede wszystkim to z nią powinna porozmawiać.

Jak najszybciej.

## Rozdział 18



Jamie zapewne obudziłaby się w czwartek ze ściśniętym żołądkiem, gdyby w nocy spała. Niestety, po tym, co zrobiła wieczorem, prawie nie zmrużyła oka. Po wyjściu od Chipa powoli jechała do domu. Zdecydowana działać racjonalnie, chcąc odwlec decyzję, nie spieszyła się z rytuałem układania Tada do snu. Przeczytała mu bajkę na dobranoc raz, a potem jeszcze raz i gładząc go po główce, dopóki nie zasnął, oddychała powoli, żeby wyciszyć emocje.

Od wyjścia z domu Chipa do tej chwili jej nastawienie nie zmieniło się ani na jotę. Nie mogła lekceważyć prawdy. I nie zamierzała dłużej zwlekać.

Przeszła z komórką do kuchni i zadzwoniła do Brada.

– Zajrzysz do mnie? – spytała cicho.

– Teraz? Jeszcze siedzę w biurze. Jestem zawałony robotą.

Szanowała jego zaangażowanie w pracę, ale czas uciekał. Sumienie nakazywało uczciwie załatwić sprawę. A uczciwie znaczyło bezzwłocznie.

– To ważne, Brad. Sama przyjechałabym do ciebie, gdybym miała opiekunkę. Niestety, nie mam.

Wymowa tych słów i jej ton musiały zrobić na nim wrażenie. Na moment w słuchawce zaległa cisza.

– Będę u ciebie najszybciej, jak się da. – Dodatkowo usłyszała zrezygnowane westchnienie.

Czterdzieści dwie minuty później zajechał przed apartamentowiec. Nie kazał na siebie długo czekać, ale dla niej ten czas był torturą. Ani przez moment nie miała wątpliwości, że tak właśnie musi postąpić, a jednak z każdą mijającą minutą jej napięcie rosło. Absolutnie nie chciała zranić Brada, ale jednocześnie nie widziała sposobu, aby tego uniknąć.

Potem, gdy będzie analizować jego zachowanie, uświadomi sobie, że nie pocałował jej na przywitanie, jakby przeczuwając, co za chwilę nastąpi. Wydawał się raczej czujny niż zły za to, że oderwała go od pracy. Z rękami w kieszeniach demonstracyjnie okazywał spokój.

Pomyślała, żeby może zachęcić go do wejścia, wskazać fotel, a nawet poczęstować kieliszkiem jego ulubionego Pinot. Jednak to nie byłoby właściwe. Nie zaprosiła go na towarzyską wizytę. Musiał to wyczuć, gdyż zatrzymała się zaraz za drzwiami. Ze swojego miejsca nie mógł widzieć ani stanu mieszkania, ani rzucić okiem na schody, wiedział tylko, że Tad śpi na górze. Stał w okularach na nosie, w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, patrzył na nią i czekał, aż odezwie się

pierwsza.

Na moment wstrzymała oddech, dobrze wiedziała, że po tym, co zrobi, już nie będzie odwrotu. Targały nią sprzeczne emocje; lojalność i rozgoryczenie, współczucie i gniew, a nawet miłość i wrogość. Gdyby Brad spróbował złagodzić napięcie jakimś serdecznym gestem, może by się zawahała. Niestety, jego rezerwa tylko umocniła ją w decyzji.

Ostrożnie zdjęła pierścionek z brylantem.

– Nie wyjdzie nam. Oboje to wiemy.

Rzucił okiem na pierścionek i zatrzymał spojrzenie na jej twarzy z taką samą nieprzeniknioną miną, jaką rezerwował na rozmowy z klientami, lecz ona wierzyła, że pod pozorami obojętności kryją się jednak jakieś emocje.

– Kocham cię – dodała szybko, żeby złagodzić sytuację – ale inaczej patrzmy na pewne sprawy. Potrzebujesz partnerki, która myśli podobnie jak ty.

Skrzywił się, nie odzywając słowem. To dobrze, przynajmniej nie zbił jej z tropu. Wiedziała, co chce powiedzieć. Podczas tych czterdziestu dwóch minut oczekiwania ćwiczyła w myślach tę rozmowę.

– Chyba lepiej się stało, że dowiedzieliśmy się o tym przed ślubem – zaczęła.

– Zapewne mamy różne zdania na inne tematy, ale to nie wydawało się istotne, bo w zasadniczych sprawach się zgadzaliśmy. I nagle ten dysonans. Powiedziałabym, Brad, że twoja reakcja spadła na mnie jak grom z jasnego nieba, gdyby takie określenie nie zabrzmiało ironicznie, biorąc pod uwagę okoliczności śmierci taty i Jess. – Zamyśliła się. – Ale tak właśnie było.

Nadal ani się nie uśmiechnął, ani nie drgnął, ani nie otworzył ust.

– Pamiętasz Loganów? – mówiła dalej. – To było jedno z moich pierwszych zleceń dla MacAfee Homes. Wydali majątek na rozbiórkę starego domu, żeby postawić w tym miejscu okazałą willę. Zdążyłam oddać im gotowy projekt i wtedy pan Logan miał zawał. W jednej chwili wszystko upadło, musieli więc zmienić życiowe plany i zdecydować się na coś skromniejszego. Tamten projekt poszedł do kosza, w jego miejsce postanowili zamówić nowy. Podobnie jest z nami. Sytuacja uległa zmianie. Nie jestem już tą samą osobą, z którą się zaręczyłeś.

– A ja jestem – wtrącił takim tonem, jakby na niej spoczywała odpowiedzialność za rozdźwięk między nimi.

– Owszem. – Była gotowa wziąć winę na siebie, jeśli dzięki temu miał poczuć się lepiej. – To prawda. Ale nie odpowiadam ci taka, jaka teraz jestem.

– Jamie, tego nie powiedziałem. Pozostaje jednak kwestia uczciwości. – Patrzył na nią zimno. – Mogłaś mnie poinformować, że jesteś prawną opiekunką Tada.

– Kiedy? Proszę, sam mi powiedz. Nie ukrywałam tego celowo. Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby o tym mówić, bo w najgorszych snach nie przypuszczałam, że coś złego może się zdarzyć. Kiedy Tad się urodził, dopiero

zaczynaliśmy się spotykać. Czy miałam cię ostrzec przed ślubem, jakby to była jakaś choroba? Byłam dumna, że tata z Jess mnie wyznaczyli. Pomyślałam sobie, że kiedyś będę miała własne dzieci i w razie czego jedno więcej nie zrobi różnicy. Nie sądziłam, że mężczyzna, którego w przyszłości wybiorę na męża, może mieć z tym problem. I więcej już o tym nie myślałam.

– Chodzi o czas.

– Ja go nie wybierałam.

– Mogłaś mi powiedzieć zaraz po wypadku – wytknął jej z pretensją w głosie.

– Jak przyjechała policja?

– Dowiedziałem się dopiero z twojej rozmowy z Maureen.

– Czy ja miałam głowę wcześniej się nad tym zastanawiać? Z góry zakładać, że oboje zginęli? – Westchnęła zrezygnowana. – Boże drogi, Brad. Nawet gdybym wspomniała ci o tym pół roku temu, czy widziałbyś w tym powód do zerwania? No, proszę cię. Konieczność przejęcia opieki nad Tadem wydałaby ci się równie mało realna jak mnie. – Podniosła gniewnie głos. – Tad to przemiły mały chłopczyk. Jest bystry, ciepły i ujmujący. Mógłby być wspaniałym starszym bratem dla naszych dzieci. – Przerwała na widok zaciętej miny Brada. – Aha, nie jest twój. O to chodzi, prawda? A gdybym nie mogła zajść w ciążę? Gdyby któreś z nas było niepłodne? Chcesz powiedzieć, że nie zgodziłbyś się na adopcję? Że nie wzięłbyś jakiegoś dziecka potrzebującego domu i nie kochałbyś go tylko dlatego, że nie byłoby biologicznie twoje? Nigdy mi tego nie powiedziałeś.

– Nigdy nie spytałaś.

– Tak jak ty nie spytałeś o moje zobowiązania wobec Tada – odbiła piłeczkę.

Tak, chciała sprowokować kłótnię. Wyprowadzić go z równowagi. Zmusić do okazania emocji.

Nie udało się. Pomyślała, że ta jego bierność ma być dla niej formą kary. Takie zachowanie nie ułatwiało sprawy. I jeszcze bardziej ją nakręcało.

– Powiedz coś, Brad.

– Co mam powiedzieć? – Nareszcie się uniósł. – Jestem tylko człowiekiem. Chcę mieć odrobinę kontroli nad własnym życiem.

– Kontroli? – powtórzyła, z niedowierzaniem kręcąc głową. – W MacAfee zmuszają cię do robienia czegoś, na co nie masz ochoty? Zaręczyny z wnuczką prezesa odebrały ci wolność? Perspektywa zarządzania firmą w przyszłości jest tak ponura, że... – przerwała. – Ech, ta rozmowa prowadzi donikąd. Nie ma sensu jej przedłużać. – Wyciągnęła rękę z pierścionkiem. – Weź go, Brad. Nie pasujemy do siebie.

Odebrał od niej pierścioneł, zamknął go w dłoni i bez słowa wyszedł z mieszkania.

Zła na Brada, zszokowana tym, co zrobiła, czując smutek, przygnębienie



i jednocześnie ulgę, jakiś czas stała w holu. Potem weszła na górę i spędziła bezsenną noc w skotłowanej pościeli, na zmianę zlewając się zimnym i gorącym potem. Owszem, zrobiła to, co należało. Tak podpowiadało serce. Ale czym się kierowała? Na pewno dobrem Tada. Czy miało to też coś wspólnego z Chipem? Myśl, że choćby częściowo do zerwania z jednym mężczyzną skłoniła ją fascynacja innym, wydawała się abstrakcyjna. Sama siebie nie poznawała.

\*

Gdy słońce zaczęło przeciskać się przez szczeliny w żaluzjach, czekała ubrana, aż zawoła ją Tad. Przyłgął do niej jak mała małpka, trzymając ją za szyję i obejmując w pasie nóżkami. Wczoraj i przedwczoraj tak samo zachował się po przebudzeniu, jakby wyczuwał, że w jego życiu zaszła jakaś zasadnicza zmiana, której nie rozumiał, i szukał wsparcia u Jamie.

Ona też potrzebowała wsparcia.

Postawiła Tada i chwyciła za komórkę z myślą o esemesie do matki.

Zanim zdążyła go napisać, wyświetliła się wiadomość od Caroline.

*Czas porozmawiać.*

*Tak. Niezwłocznie.* – Wystukała trzęsącym się kciukiem: – *Możemy przyjechać?*

*Jasne. Zrobię naleśniki. Czy Tad musi mieć mleko?*

*Wystarczy woda. Daj nam pół godziny.* – Była gotowa lecieć tam jak na skrzydłach.

*Czekam.*

\*

Uradowana Caroline wpuściła telefon do kieszeni i jeszcze chwilę posiedziała na werandzie, dopijając herbatę. W kuchni poszukała w starym, sfatygowanym notesie po matce babcinego przepisu na naleśniki. Nie było w nim nic nadzwyczajnego. Zapewne znalazłaby dziesiątki podobnych w Internecie. Jednak świadomość, że to babcia wykaligrafowała ten przepis niebieskim atramentem, matka korzystała z niego, gdy Caroline była dzieckiem, a później ona sama robiła według niego naleśniki dla małej Jamie – małej Jamie – budziła wzruszenie.

Dopiero gdy przygotowała miskę, patelnię i jajka, przypomniała sobie o Deanie. Jak to możliwe? Brak zahamowań, oczywistość sytuacji czy wyparcie ze świadomości tego, co zaszło?

Popędziła na piętro.

– Dean! Dean!

Spał jak zabity z rozrzuconymi ramionami i z twarzą wtuloną w poduszkę. Wiedziała, że jest nagi. Odtwarzając w pamięci dotyk jego ciała, poczuła, jak

zalewa ją fala gorąca i wykwita rumieńcem na policzkach.

– Dean, wstawaj. – Potrząsnęła go za ramię. – Szybko. Jamie tu jedzie.

Zaspany otworzył jedno oko.

– Musisz się zbierać – powiedziała, pochylając się nad nim.

Skrzywił się, przytomniejąc.

– Czemu? – zapytał schrypniętym po śnie głosem.

– Jamie przyjeżdża na śniadanie.

– Nie mogę zjeść z wami?

– Nie. Przywiezie Tada. No, proszę cię. Musimy same porozmawiać. –

Pociągnęła go za ramię. – Harley na podjeździe o tej porze jednoznacznie świadczy, że spędziłeś tu noc.

– Wcale nie – zaprzeczył, przeciągając się leniwie. – Wcześniej zaczynam pracę, mogłem po prostu wpaść.

– Do pracy jeździsz ciężarówką.

– My to wiemy, ona nie.

– Proszę cię, nie drocz się ze mną – tłumaczyła błagalnym tonem. – Nie chcę, żeby cię tu zastała.

– Wstydzisz się mnie?

– Nie wygłupiaj się – zaśmiała się. – Pokazałabym cię całemu światu, ale po co jej dokładać? Ona przechodzi trudny okres, nie musi wiedzieć, że dobrze się bawię.

Przytrzymał ją za rękę.

– A dobrze się bawiłaś?

– Przecież wiesz – fuknęła, uwalniając dłoń i kierując się do drzwi. – Naprawdę, nie możesz zostać. Czy to nie ty mówiłeś, żebym porozmawiała z Jamie?

– Co jest na śniadanie?

– Dla ciebie nic. Dla Tada i Jamie naleśniki. Nikt lepszych nie robi. Obiecuję usmażyć porcję specjalnie dla ciebie innym razem, jeśli zaraz stąd znikniesz. No, proszę, zbieraj się. – Gestem ręki pokazała, żeby się podniósł.

Zbiegła na parter. Słyszała tupanie bosych stóp na górze, gdy rozbijała jajka, i szum wody z prysznicy, kiedy mieszała je z mąką, dodając proszek do pieczenia, cukier i sól. Roztopiła masło na patelni i wlewała kolejne porcje ciasta, co rusz zerkając na zegar. Pięć minut, cztery, trzy, lada moment zjawi się Jamie.

– Dean! – zawołała.

Sekundę później był już na dole.

U stóp schodów cmoknął ją w usta na do widzenia. To zachowanie wydało jej się takie naturalne, ale teraz nie miała czasu na analizowanie tego wrażenia.

– Mam u ciebie dług – wymruczał.

– Wiem. – Wypchnęła go za drzwi. – Idź. – Najchętniej wypuściłaby go

tylnym wyjściem, gdyby jedyna droga do harleya nie prowadziła na ulicę. Ze wstrzymanym oddechem czekała, aż Dean nałoży kask i wsiądzie na motor. Drgnęła nerwowo, gdy ryk silnika rozdarł poranną ciszę i odetchnęła z ulgą, patrząc, jak motor odjeżdża i znika za zakrętem. Czym prędzej wróciła do kuchni, modląc się w duchu, żeby Jamie nie minęła się z Deanem na drodze.

\*

Jamie miała mętlik w głowie. Pytania i wątpliwości kłębiły jej się w głowie, czuła niepokój i jednocześnie podniecenie. Była zachwycona, że Caroline robi babcine naleśniki, że chce nimi nakarmić Tada i że chyba jest gotowa jej wybaczyć.

Była wdzięczna losowi za każdą z tych rzeczy. Teraz, wyjeżdżając z garażu, spojrzała jeszcze na czerwony, błyszczący kabriolet, który zniknął cał po calu za zasuwającą się bramą. Kochała to swoje autko. Chciała kupić eleganckiego dwudrzwiowego sedana, ale wystarczył jeden rzut oka na to cacko, żeby zmienić zdanie. Ekstrawagancki samochód, zrywny, szybki, niekoniecznie bezpieczny. Co ten wybór o niej mówił? Czyżby tliła się w niej potrzeba brawurowych zachowań, tłumiona chęć buntu, skłonność do podejmowania ryzyka?

Czy rzeczywiście znała tę osobę, którą była?

Roy by jej nie poznał. Wściekałby się, patrząc, co wyrabia jego córka. A przecież to było wyzwanie, wziąć pod skrzydła jego syna! Egoistka. Nie widzi dalej niż czubek własnego nosa. Te słowa odbijały się echem w jej głowie od tamtej ostatniej rozmowy na krótko przed jego śmiercią.

Nie cofnie się. Nie ma mowy. Dlatego pędziła przez miasto o wpół do siódmej rano, gdy większość willistończyków dopiero wstawiała, piła kawę, wchodziła pod prysznic. Na pustej o tej porze drodze minęło ją zaledwie kilka ciężarówek i jeden motor. Odetchnęła z ulgą na widok znajomej uliczki Caroline. Zaparkowała przed turkusowym wiktoriańskim domem i z Tadem na biodrze szybkim krokiem podeszła do drzwi. Szczęknięcie ekranu z metalowej siatki tym razem miało w sobie coś kojącego. A zapach, gdy weszła do środka? Niebiański.

– Mamo?

Caroline bosy wybiegła z kuchni.

– Matka i dziecko – wyszeptała, zatrzymując się w pół kroku i przyciskając dłoń do serca.

Z burzą loków okalających zaróżowioną twarz wyglądała na czterdzieści lat. Podeszła powoli do Jamie z wyrazem uwielbienia w wilgotnych ze wzruszenia oczach.

– Nie rozmawiamy o programie. W tym domu nie ma na to miejsca, zgoda?

– wyszeptała córce do ucha, obejmując ją w pasie ramieniem.

Jamie ani przez moment nie pomyślała o programie i tym bardziej nie miała

ochoty myśleć o nim teraz, gdy delikatny, leśny zapach Caroline koił jej nerwy i dodawał siły.

– Mamo – zaczęła, odsuwając się, ale uwaga Caroline była już skupiona na dziecku.

– Ojej, jaki słodki mały chłopczyk. Cześć! – zwróciła się do Tada, gładząc go po głowie. Jamie wzruszyło ciepło tego gestu, a malec wpatrywał się w nieznaną szeroko otwartymi oczami. – Ja cię chyba znam. Czy przypadkiem nie jesteś Theodorem MacAfee juniorem?

Tad pokręcił głową, patrząc na nią z powagą.

– To kto ty jesteś?

– Taddy – odpowiedział dziecinny głosik.

– Taddy, który lubi kotki? – spytała Caroline, a on natychmiast spojrzął na podłogę. – Czy ten Taddy, co lubi naleśniki?

– Poprosimy o naleśniki – wtrąciła Jamie. – Obiecałam mu, że zjemy tu śniadanie. Mamo... – urwała, słysząc miauknięcie Mastera.

Postawiła Tada na podłodze, odczekała, aż on odbiegnie za kotem, i odwracając się do Caroline, wyciągnęła lewą rękę.

– Ty drzysz – zaniepokoiła się Caroline.

Przytrzymała jej dłoń. Nie od razu zauważyła brak pierścionka na palcu. Spojrzała czujnie w oczy córki.

– Zwróciłam go. Rozstałam się z Bradem – wyznała, wstrzymując oddech. Dopiero teraz, gdy padły te słowa, dotarło do niej, że naprawdę to zrobiła.

– Dlaczego? – szepnęła Caroline i natychmiast się zmitygowała. – Najpierw to, co najważniejsze – powiedziała pogodnie, ujmując w dłonie twarz Jamie. – Nie mam wysokiego krzeselka dla Tada.

– Może kłęzcęć na normalnym. Jest podobny do taty. Przeszkadza ci to?

Tad w drugim końcu pokoju czekał w kucki, aż Master wyjdzie spod wygiętych nóżek podstawy lampy.

– Powinno – wyznała Caroline. – Ale jak można mieć o to pretensje do dziecka? Co prawda karnację i kolor włosów ma Roya, ale to ty go będziesz kształtować. A poza tym – uśmiechnęła się cierpko – ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Dla twojego ojca byłam pomarszczoną starą babą...

– Wcale nie.

– Ależ tak. Czy nie dlatego pozbył się mnie z *Gut It!*?

– A mówiłaś, że nie będziemy o tym rozmawiać – przypomniała błagalnie Jamie, choć wiedziała, że pomimo rodzącego się pojednania, sprawa *Gut It!* nadal je dzieliła. Oczywiście pomijanie jej milczeniem nie stanowiło rozwiązania, jednak w tej chwili lepiej było się nią nie zajmować.

Caroline musiała podzielać jej zdanie.

– Twój ojciec już tak o mnie myślał, kiedy jeszcze byliśmy małżeństwem –

oznajmiła spokojnie. – A to, co się dzieje tutaj, dzisiaj daje mi satysfakcję. Sądysz, że on jest szczęśliwy, patrząc zza świątów, jak jego syn gania za moim kotem po moim domu i za chwilę będzie jadł w mojej kuchni zrobione przeze mnie naleśniki według przepisu mojej babki?

Jamie, która zawsze miała żal do Roya za cierpienie Caroline, podzielała jej satysfakcję i być może powiedziałyby to głośno, gdyby matka nie zmieniła tonu z zadziornego na niepewny.

– Wiesz, skarbie, nie zdążyłam się obkupić. Czy Taddy pije wodę z butelki?

– Nie. Skończyliśmy z butelkami. Możesz mu nalać odrobinę do filizanki, niestety, nie zabrałam kubeczka z ustnikiem.

W pośpiechu zapomniała też o łosiu, a to oznaczało, że musi po niego wrócić, zanim odstawi Tada do żłobka. Oczywiście spóźni się na pierwsze spotkanie, a nie ma go jak przesunąć, bo dzień jest wypełniony po brzegi. Ewentualnie mogłaby je przełożyć na inny dzień, lecz ze względów wizerunkowych lepiej tego nie robić.

Właściwie w tej chwili nie bardzo ją to obchodziło, szczerze mówiąc, w ogóle się tym nie przejmowała. Najważniejsze, że była tam, gdzie chciała się znaleźć.

Matka świetnie wyglądała – rozpromieniona, tryskała energią i bez zahamowań mówiła o ojcu. Jamie absolutnie nie miała jej za złe tej odrobiny złośliwości. Teraz były po tej samej stronie. Ojciec oburzyłby się na to, co zrobiła.

Caroline wzięła ją za rękę i tak samo jak wcześniej Chip, musnęła opuszką serdeczny palec. Inny, lecz tak samo elektryzujący dotyk.

– Kiedy?

– Wczoraj wieczorem.

– Kto zerwał?

– Ja. – Teraz słowa popłynęły strumieniem. – Poprosiłam, żeby do mnie przyjechał. Zaczął zasłaniać się pracą, ale ja nalegałam, żeby jednak znalazł czas. Mamo, starałam się być wyrozumiała. Wiedziałam, że on jest urażony, że czuje się odsunięty na margines. Czas było wyjaśnić sobie pewne sprawy.

– Masz na myśli Tada? – upewniła się szeptem Caroline.

– Sytuacja z Tadem stała się katalizatorem. – Jamie zniżyła głos, żeby chłopczyk jej nie słyszał. – Brad nie akceptuje dziecka, nie chce dziecka, cudzego dziecka. Teraz Tad jest mój, i to nie podlega dyskusji. – Jamie coraz bardziej się nakręcała, wspominając ich wczorajszą rozmowę w holu. – Brad chce mieć poukładane życie, takie toczące się według planu. No cóż, ja też tak chciałam, ale wyszło inaczej.

Caroline pogładziła ją po policzku.

– Przykro mi. Wiem, że lubisz mieć wszystko zaplanowane.

– Jest jeszcze coś, co przemilczałam przed Bradem – wyznała Jamie, myśląc

o Chipie. W tej samej chwili stanął przy nich Tad i patrzył wyczekująco na Caroline.

– Chcesz naleśniczka, tak? – Uśmiechnęła się z zachęcającym skinieniem głowy. – Pamiętaj, na czym skończyłyśmy – rzuciła do córki, skręcając do kuchni.

Jamie wzięła Tada za rękę i podążyła za nią. W kuchni posadziła Tada na podłodze i otworzyła jedną z dolnych szafek. Przesuwała garnki, aż znalazła ten, którego szukała, następnie z glinianego pojemnika z przyborami kuchennymi wyjęła drewnianą łyżkę z długim trzonkiem i pokazała Tadowi, jak nią bębnić o garnek.

– Jak Nanie miała tyle latek co ty, też się tak bawiła. Widzisz te dołki? To moja robota. – Wskazała palcem wgniecenia w dnie garnka i prostując się, wręczyła mu łyżkę. Hałas, jaki robił, miał skutecznie zagłuszać ich rozmowę.

– Mamo, czy ja jestem egoistką?

Caroline płukała truskawki i maliny na cedzaku.

– Czemu pytasz?

– Bo rzuciłam Brada. Firma przeżywa trudny okres. Pamiętasz te wszystkie zebrania z tego tygodnia. Barthowie się panoszą, nie mamy nikogo na miejsce taty. Brad będzie stopniowo przejmował dodatkowe obowiązki i awansował, jednak jeżeli się nie pobierzemy, nie ma mowy, aby został prezesem. Theo nigdy się nie zgodzi, aby kierowanie firmą przejął ktoś spoza rodziny.

– Theo może nie mieć wyboru. Rodzina MacAfee się kurczy. – Caroline zakręciła kran i otrząsnęła z wody owoce w cedzaku. – Czy w tym układzie Brad zdecyduje się zostać? A co ważniejsze, czy ty chcesz, żeby został?

Jamie właściwie nie wiedziała. To wszystko było zbyt świeże. Zresztą jest Chip i powstaje pytanie, czy między nimi do czegoś dojdzie. Jeśli tak, Brad, widząc ich razem, może czuć się niezręcznie, co z powrotem prowadzi do problemów w MacAfee i pytania czy ona, zanim zdecydowała się na ten krok, nie powinna wziąć pod uwagę dobra firmy.

– Myślisz, że Brad nadawałby się na prezesa?

Caroline wytrząsnęła owoce do miseczki.

– Czy ja wiem? Niewiele z nim współpracowałam.

– A jako materiał na męża podobał ci się? I tylko nie mów, że wystarczyło ci, że ja byłam szczęśliwa. Powiedz szczerze. Cieszyłaś się, kiedy się zaręczyłam, ale czy byłaś naprawdę zadowolona? – Pokręciła przecząco głową, wyręczając w ten sposób matkę. – Dlaczego nie?

Caroline przesunęła ją na bok, żeby sięgnąć do lodówki po dzbanuszek z syropem klonowym. Przejrzała kapsułki do ekspresu i wybrała jedną z kawą dla Jamie i drugą z herbatą dla siebie. Podstawiła kubek pod dyszę ekspresu i zajęła się parzeniem kawy.

– Mamo? – ponagliła ją Jamie.

Ta krzątająca matka była oczywistą próbą wymigania się od odpowiedzi, jednak ona nie zamierzała ustąpić.

Caroline spojrzała na nią z miną winowajcy.

– Theo i Roy widzieli w nim dobry materiał na męża dla ciebie. Można powiedzieć, że od początku miał ich błogosławieństwo. Wiem, że nie powinnam tak myśleć, ale czasem wydawało mi się, że do pewnego stopnia właśnie to ciebie do Brada przekonało.

Jamie wcześniej o tym nie myślała, przynajmniej nie świadomie.

– Prawdopodobnie tak było – przyznała, zastanawiając się nad tym teraz. – Ale nie ukrywam, że mi się podobał.

– Byłaś w nim zakochana?

– Tak. Ale nie... – zawahała się, szukając odpowiedniego słowa – ...nie po uszy.

– Jest sztywny, nudny i beznamiętny – wyliczyła na jednym oddechu Caroline i parsknęła śmiechem. – Zabawne. Nigdy wcześniej nie udawało mi się trafnie go określić. W sumie wydaje się sympatyczny.

– Ale jest sztywny, nudny i beznamiętny – powtórzyła za matką Jamie.

Chip na pewno był namiętny. Nie umknął jej ani żar w jego spojrzeniu, ani podniecenie w głosie.

– Mamo, a czy według ciebie jestem taka jak Brad? Owszem, zerwałam te zaręczyny, i to w niekorzystnym czasie, ale normalnie tak się nie zachowuję. Czy to, co zrobiłam, jest szalone?

– Nie, jeżeli czułaś, że tego chcesz.

– Zszokowałam cię?

Caroline ułożyła naleśniki na talerzu.

– Szczerze mówiąc, to, że tu jesteś, tak mnie cieszy, że nic nie jest w stanie mnie zszokować.

– A seks?

– Co seks?

– Naprawdę jest taki ważny w związku?

Caroline oblała się rumieńcem. Lepiej zatrzymaj te mądrości dla siebie, pomyślała i opuściła kuchnię.

Tempo, w jakim wyniosła się z kuchni, jednoznacznie skojarzył się Jamie z unikiem.

Tad zawzięcie walił łyżką w garnek – przynajmniej nie trzeba go było pilnować – gdy Caroline wróciła do kuchni po sztucce i ulubione miseczki Jamie wypełnione owocami. Na widok tych kompotierek łyzy zakręciły jej się w oczach.

– Skarbie, co się dzieje?

– Nic takiego. Chce mi się płakać.

– Przez Brada?

– Właściwie – zawahała się i głośno westchnęła – nie. Jeśli chodzi o niego, czuję się wolna. – To wszystko – szerokim gestem objęła kuchnię, talerze, matkę i Tada – mnie wzrusza. – Głos jej się załamał. – Boję się, że to sen.

Caroline przytuliła ją jeszcze mocniej niż poprzednio i zajęła się rozkładaniem talerzyków i sztućców. Sama poszła po Tada, przykucnęła przy nim, coś mu cicho tłumaczyła, a potem wzięła go na ręce, przyniosła do pokoju i posadziła na krześle.

– Polać syropem? – zwróciła się do Jamie, kładąc mu naleśnik na talerz.

– Och, tak. Uwielbia słodczyce.

Też naląła odrobinę syropu na naleśnik i odgryzła kęs, przymykając oczy z rozkoszy. Sprawę Chipa, seksu i własnej przyszłości przesłoniły wspomnienia z dzieciństwa. Kojarzyły się z nim naleśniki, kompotierki z owocami i wiktoriańska koronka, która teraz wyglądała jak patchwork z uśmiechów.

– Mamo, nie masz pojęcia, jak kiepsko mi idzie bez ciebie – wyznała, połykając drugi kęs i odkładając widelec. – Ostatnio podejmowałam tyle decyzji, może i dobrze, że musiałam polegać tylko na sobie, ale dzięki twoim radom w wielu wypadkach uniknęłabym niepotrzebnych nerwów, stresu i chaosu. Co myślisz o żłobku? Tata życzył sobie, aby Tad był w domu z Jess, ale ja nie mogę zrezygnować z pracy, z opiekunką mi nie wyszło i oddałam go do żłobka. Ja jestem z tego zadowolona, a dla niego to duża odmiana, no i przebywa wśród dzieci.

– Właśnie dlatego ja wysłałam ciebie do żłobka – powiedziała Caroline. – Byłaś jedynaczką. Chciałam, żebyś miała kontakt z rówieśnikami.

– A co na to tata?

– Nie pochwalał i dziś też by nie pochwalał, ale on już nie ma nic do gadania. Wiem, skarbie, to brzmi brutalnie, ale taka jest prawda. Tad należy do ciebie i ty o nim decydujesz.

I ponoszę konsekwencje błędnych decyzji, Jamie dokończyła w myślach.

– On rozmazuje syrop na stole! – Przejęta, zerwała się z krzesła.

Caroline przytrzymała ją za rękę.

– To się zetrze.

– Moje mieszkanie przypomina chlew.

– Twoje mieszkanie jest super.

Jamie westchnęła z ulgą i uśmiechając się, przeczesła palcami loki Tada.

– Widzisz, maluszku, czy nie mówiłam tak samo z tysiąc razy? – Popijając kawę, pomyślała, że z połowę z tego tysiąca powiedziała też na głos do Brada, ale on puszczał jej słowa mimo uszu, co stanowiło zaledwie jeden z wielu ich problemów.

– To było takie dziwne.

– Co masz na myśli?

– Wczorajszy wieczór. Bardzo się bałam, że zranię Brada, a po nim to



spłynęło jak woda po kaczce. Czy to ja zawsze przejmowałam się wszystkim bardziej od niego? Może tylko wmawiałam sobie, że jest wrażliwy, bo chciałam, żeby taki był.

– Kto wie? A może duma kazała mu udawać obojętność? Nie chciał okazać słabości, albo, Boże broń, poprosić o drugą szansę.

– A jeżeli... – Jamie wstrzymała oddech, bo nagle uderzyła ją pewna myśl. – ...mu ulżyło? Może miał na oku inną kobietę?

– Miałabyś o to pretensje?

– No jasne. Byliśmy zaręczeni. – Po tych słowach przyszedł jej na myśl Chip i pojawiło się poczucie winy. – Właściwie byłabym zadowolona – stwierdziła. – Wolę myśleć, że jemu to narzeczeństwo też było nie na rękę. Wiem, że kamień spadł mu z serca w związku z... – Ruchem oczu wskazała Tada. – Kto wie, czy na pewno chciał szefować firmie. Do wypadku mówiło się o tym hipotetycznie. Teraz wszystko się zmieniło. Może jest zadowolony, że w tej sytuacji nic takiego mu nie grozi.

To były tylko spekulacje i miały niewiele wspólnego z tym, co z nią obecnie się działo. Nie rozumiała, dlaczego bez przerwy krąży myślami wokół Chipa. W szkole średniej stanowili przeciwieństwo. On miał reputację imprezowicza. Na pewno sypiał z wieloma dziewczynami. Ona inaczej patrzyła na te sprawy, a teraz tylko jedno miała w głowie.

– A więc... – spróbowała ponownie – wracając do seksu.

Caroline odstawiła filiżankę.

– Do seksu? Hmm. Rany, muszę przynieść coś do wytarcia buzi i rączek. – Odsunęła krzesło z szurgotem i umknęła z pokoju.

– Dobre naleśniczki? – Jamie nachyliła się nad Tadem.

– Mniaamm.

– Jak byłam taka mała jak ty, uwielbiałam naleśniki. A nana Caro robi najlepsze na świecie. Mamo?! – zawołała, szczęśliwa, że znowu jest córką.

– Tak?

Wzrok Jamie zatrzymał się na miseczkach z owocami.

– No, nie! – sapnęła, udając przerażenie. – Taddy, zapomnieliśmy o malinkach. – Zacerpnęła kilka na łyżeczkę. – Truskawki, też?

– Nee.

Tad wziął w paluszki jedną z sześciu malin. Zastanawiała się, ile czasu zajmie mu ich wyjadanie i czym jeszcze mogłaby go zająć, żeby spokojnie porozmawiać z matką. Caroline wróciła z kuchni z wilgotną ściereką do naczyń, z kartką i z ołówkiem. Ścierka posłużyła do wytarcia stołu, papier i ołówek miały kupić im czas.

– Muszę pomyśleć o kredkach – mruknęła. – Ołów jest trujący.

– Nic mu nie będzie. Teraz robią wkłady z grafitu. Poza tym mamy go na

oku. Przypilnujemy, żeby nie wkładał ołówka do buzi. Jak on ma na ciebie wołać? Babcia jakoś mi nie pasuje.

– Oj, mnie też nie. – Caroline zrobiła spłoszoną minę.

– Caro byłoby fajnie, ale chcę, żeby zwracał się do ciebie jakoś inaczej niż wszyscy. Przed chwilą nazwałam cię „naną Caro”.

– Nana Caro. No, podoba mi się. Brzmi... świeżo.

Jamie odgadła, że matka miała na myśli „młodo”, ale wołała nie dotykać tego tematu, tak samo zresztą jak ona. Sprawa *Gut It!* cały czas wisiała nad nimi, ale nie o niej przyjechała rozmawiać.

– To jak, możemy pogadać o seksie?

– Óóóó. – Caroline ruchem głowy wskazała Tada.

– Mamo. – Jamie zniżyła głos. – On nie rozumie. Nie chodzi mi o pikantne szczegóły, ale muszę z kimś o tym porozmawiać, a nie mam z kim.

– Ja chyba... – zmieszana Caroline się zająknęła – nie jestem właściwą osobą do udzielania rad w tej materii.

Bo matka nie kochała się z nikim od jakiegoś czasu?

– Gdybym powiedziała, że te sprawy z Bradem wyglądały raczej nijako – rzuciła ogólnikowo Jamie. – Że nie czułam motylek w brzuchu na jego widok?

Caroline zrobiła duże oczy.

– No co?

– Nic. – Matka wyraźnie się zarumieniła.

– Czyżbym cię zgorszyła?

– Nie – zaprzeczyła, zadzierając podbródek. – Wcale nie jestem zgorszona. Jeżeli Brad cię nie podnieca, to według mnie kolejny element układanki świadczący o tym, że do siebie nie pasujecie.

– A jak ważny jest ten element? Podstawą związku nie może być seks. Czy zwariowałam, rzucając faceta, który pod każdym innym względem mi odpowiadał?

– Nie pod każdym – zauważyła z naciskiem Caroline, wskazując Tada.

– Może w końcu by się z tym pogodził. Ech... – mruknęła. – Muszę być niespełna rozumu, skoro tak myślę. Ale skupmy się na tamtej sprawie.

– Na seksie?

– To źle, że chcę czegoś więcej?

Caroline zamyśliła się na moment.

– Nie.

– Jak ważna jest chemia? Czy przede wszystkim liczy się pociąg seksualny? Jaką rolę proporcjonalnie do innych spraw odgrywa w związku sfera intymna?

Caroline parsknęła śmiechem.

– Skarbie, trudno tu mówić o proporcjach. Nie wszyscy mają równe potrzeby. Poza tym one inaczej wyglądają na różnych etapach związku. No i zmieniają się z wiekiem.

– Ja to rozumiem, ale przynajmniej na początku powinna być namiętność. Jeżeli jej nie ma, jaka jest nadzieja na przyszłość? Mamo, ja chcę przeżyć wielką miłość, poczuć, jak topnieję pod spojrzeniem mojego faceta.

Caroline odplynęła gdzieś daleko myślami z niemal rozmarzonym wyrazem twarzy. Jamie po raz pierwszy przyszło na myśl, że Roy nie był jej jedynym. Matce nie brakowało seksapilu, a w pracy cały czas obracała się pośród mężczyzn. Co prawda wielokrotnie się zaklinała, że Jamie była owocem miłości, ale jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić Roya w roli namiętnego kochanka. Był egoistą skupionym na sobie. Potwierdzało to jego postępowanie.

– Z Bradem nigdy tak nie było? – zapytała ostrożnie Caroline.

– Myślałam, że będzie, bo jest miły, no i starał się mnie zadowolić. Ale seks z nim był jak wszystko w naszym związku – kontrolowany, zaplanowany, wygodny. Nawet kiedy szczytował... – Skrzywiła się i zamachała ręką. – Zapomnij, cofam to. – Skupiła się na przekazaniu tego, co czuła w kontaktach z Chipem. – Może ja nie chcę być taka intelektualna. Może wolę postępować spontanicznie i ulegać zmysłom. Co to o mnie mówi?

Caroline, wyraźnie zaintrygowana, zwlekała z odpowiedzią.

– Może to reakcja na przedwczesną śmierć ojca.

– Nie sędzę.

– Zawsze chciałaś czegoś więcej, niż oferował ci Brad?

– Nie uświadamiałam sobie, że może być coś więcej.

Jamie się zawahała. Ile powiedzieć? Może nic z tego nie wyjdzie, chociaż w tej chwili wszystko wydawało się iść w dobrą stronę. Chciała odzyskać zaufania Caroline i potrzebowała jej aprobaty.

– Poznałam kogoś.

– Kogoś?

– Chipa Kobika.

Caroline nie od razu skojarzyła nazwisko.

– To ten hokeista? – Zaskoczona uniosła brwi.

– Już nie. Owszem, latem prowadzi obóz hokejowy dla dzieci, ale głównie uczy wychowania fizycznego w Emory i jest samotnym ojcem. Poznaliśmy się na placu zabaw w zeszłym tygodniu.

– W zeszłym tygodniu.

– Wiem, to dziwnie brzmi.

Nikt przy zdrowych zmysłach, znając kogoś zaledwie tydzień, nie rezygnuje z planów życiowych. No, chyba że wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia. I zdaje się to właśnie pchnęło ją do tego kroku.

– Właściwie on nie jest w moim typie... albo raczej nie był. To już nie ten sam Chip. Jest samotny tak jak ja... bo ja czuję się samotna, odkąd zabrakło ciebie i Brada... tylko, proszę, nie myśl, że mam do ciebie pretensje. Rozumiem, dlaczego

myślisz, że wiedziałam wcześniej o decyzji Claire, jednak teraz, po śmierci taty, gdybym miała wybierać pomiędzy rolą gospodyni programu i matki, to sprawa jest oczywista, a jeśli Claire...

Caroline położyła jej palce na ustach, zerkając wymownie na Tada. Przestał rysować i z niepokojem wpatrywał się w nią brązowymi oczami.

– Co się dzieje, małpeczko? – odezwała się pieszczotliwie, gdy Caroline cofnęła dłoń. – Ale się rozkręciłam. Nanie zboczyła z tematu. Pokaż, co narysowałeś. – Podniosła się z krzesła i podziwiała plataninę kresek. – Ślicznie!

– On przynajmniej prawidłowo trzyma ołówek – zauważyła z uznaniem Caroline. – Ty długo miałaś takie nieskoordynowane ruchy.

– Dlatego zaczęłam grać w tenisa. – Spojrzała na stertę magazynów na stoliku kawowym. – Możesz poświęcić jakieś stare czasopisma?

– Katalogi się nadają?

– Idealnie. Zdążył mi zdziesiątkować miesięczniki „Architectural Records”.

Chwilę później, gdy Tad na podłodze zajął się katalogiem narzędzi („Popatrz, Taddy, założę się, że Maniek Złota Rączka też ma takie”), już spokojniejsza usiadła obok Caroline na dwuosobowej kanapce.

– Co zrobimy z *Gut It!*?

– Teraz jest przerwa w zdjęciach.

– Claire będzie naciskać, żebyśmy zaczęła myśleć nad scenariuszem.

– Ja już mam zarys, dostaniesz gotowy, jeżeli będziesz gospodynią.

– Ona nie odpuści. Będzie nieczysto grać.

– Odpowiemy jej tym samym. – Caroline wzięła Jamie za rękę. – Postanowiłyśmy nie rozmawiać o *Gut It!* Lepiej opowiedz mi co nieco o Chipie.

Jamie nie trzeba było namawiać.

– Jest niesamowicie pomocny. I nie tylko mówię o wskazówkach, podpowiedziach czy użytecznych namiarach. Pojechał ze mną załatwić żłobek. Jego synek jest o rok starszy od Tada, a Chip wspaniale się nim zajmuje. Lubię jego towarzystwo, łatwo mi się z nim rozmawia, a kiedy na mnie patrzy – wciągnęła drżący oddech – to dzieje się ze mną coś takiego, czego nigdy nie czułam przy Bradzie.

– Kiedy to odkryłaś?

– Wczoraj. Tak, wiem, co myślisz – zastrzegła się – i masz rację. Prawie nie znam faceta. Ale on mnie elektryzuje.

– Czy z nim jest podobnie?

Jamie przywołała wspomnienie palącego spojrzenia niebieskich oczu. Zaciśniętych szczęk. Jamie, powstrzymaj mnie.

– Och, tak. Może mi się podoba, bo ma dobry kontakt z Tadem i chętnie mi pomaga, a może dlatego, że jest, a raczej był, niegrzecznym chłopcem, przez co wydaje się trochę niebezpieczny. Ja w życiu nie otałam się o ryzyko. Czy ja tę

chemię sobie wymyśliłam? Czy po prostu ona jest albo jej nie ma?

Caroline długo zastanawiała się nad odpowiedzią. Jamie ponownie pomyślała o obecności mężczyzn w życiu matki. Już otwierała usta, żeby o to zapytać, gdy Caroline nakryła dłonią jej rękę i czule uścisnęła.

– Nie, nie wymyśliłaś. Czasem namiętność bywa uśpiona, gdy skupiamy się na innych sprawach i nie szukamy...

– Nie szukałam, przysięgam. Naprawdę, nie szukałam. To nigdy nie leżało w moim charakterze.

– W moim też nie.

– W ciągu dwóch tygodni moje życie wywróciło się do góry nogami. Już nie wiem, kim jestem. Jak mam o sobie myśleć? Co robić?

– Tego nie wiem.

– Musisz wiedzieć.

Cichy śmiech.

– Niby czemu?

– Bo liczę na twoje rady.

Tym razem śmiech Caroline zabrzmiał nieco sztucznie.

– A gdybym ci powiedziała, że te dwa tygodnie mnie też przyniosły rewolucję w życiu, przez co całkowicie zmienił mi się obraz samej siebie, i że ja także nie wiem, kim jestem?

Jamie odebrała te słowa jako wyrzut, że to ona odpowiada za rozterki matki.

– Mamo, nie poprowadzę *Gut It!* To moja ostateczna odpowiedź. Może kiedyś mnie to kusilo, ale teraz na pewno nie. Od tego zaczęły się nasze problemy. Poza tym nie mam czasu. – Spojrzała na zegarek. – Właśnie, muszę się zbierać.

– Pojawisz się wkrótce?

– A co powiesz na: za osiem godzin i pięć minut, licząc od teraz? – zaproponowała, chichocząc. – Nie, raczej nie dam rady – szybko zmieniła zdanie.

– Chcesz się spotkać z Chipem?

– On mówi o sobie Charlie. To jedyna rzecz, z jaką mam problem. No właśnie, chcę się z nim zobaczyć. – Dlatego tak bardzo zależało jej na rozmowie z Caroline. – Jestem okropna, co?

– Ty jesteś, ja jestem. Obie jesteśmy.

– Nie masz mi za złe, że w takim tempie zmieniłam Brada na Chipa?

– Jakie mam prawo cię oceniać?

– Mamo, potrzebuję twojej akceptacji.

– No to ją masz. – Caroline zastanawiała się przez moment, zanim wzięła głęboki oddech i pozwoliła popłynąć słowom. – Namiętność może nas zaskoczyć, obudzić się niespodziewanie, ale to wcale nie musi być złe. Chyba nie należy w życiu brać wszystkiego na rozum. Seks może się okazać ważniejszy, niż ludziom się czasem wydaje. Nic nie trwa wiecznie i całe życie się uczymy. Kto wie, czy

śmierć twojego ojca nie skłoniła nas do pewnych przewartościowań, pokazując, jakie życie jest krótkie. Skoro trafia nam się coś lepszego od tego, co znamy, dlaczego po to nie sięgnąć?

– Czy to oznacza, że mam twoją aprobatę?

– Uhm, tak, chyba tak. Ale uważaj na siebie, skarbie – ostrzegła ją na koniec.

– Nie chcę, żebyś cierpiała. Poza tym nie jesteś sama. Nie zapominaj o Tadzcie.

## Rozdział 19



Brad musiał polecić recepcjonistce, aby dała mu znać, jak się zjawi Jamie, bo natychmiast znalazł się przy jej biurku. Nachylił się nad nią, zwracając się do niej takim samym wyważonym tonem jak każdego innego dnia w pracy. Miał zmęczoną twarz, jakby był po nieprzespanej nocy. Z ciężkim sercem czekała, aż powie, że postąpili zbyt pochopnie, że żałuje, że bez niej nie widzi przyszłości.

Patrząc na nią zza okularów szarymi oczyma, odezwał się cichym, opanowanym głosem. Jednak nie takich słów się spodziewała.

– Przemyślałem to – zaczął. – Chcę, żebyśmy się wstrzymali z oficjalną informacją. Mówiłaś już komuś?

A więc ani śladu żalu. Tylko chłodna, praktyczna kalkulacja.

No i dobrze, pomyślała. Ubodło ją jednak, jak bardzo się co do niego myliła.

– Tylko matce.

– Nie podejrzewam, żeby się zmartwiła. Theo wie?

– Jeszcze nie. Jak mam rozumieć ten twój komentarz o Caroline?

– Nieważne. Sprawa zamknięta. Ale proszę, nikomu więcej nie mów. Nie ma potrzeby.

Zdecydowanie nie zamierzała rozesłać tej informacji w biurowej poczcie. Niemniej, kiedy się zaręczyli, wieść bardzo szybko rozeszła się po firmie.

– Nie mam pierścionka – mruknęła. – Zauważą.

– Mogłaś go zapomnieć.

– A jutro albo w przyszłym tygodniu?

– Będę już wiedział, na czym stoję.

Zawahała się.

– To znaczy?

Oczy za szklami okularów pozostały nieruchome.

– Bez przerwy dostaję propozycje od różnych firm.

Zaskoczenie szybko zmieniło się w irytację.

– Nigdy mi nie mówiłaś – zacytowała jego słowa, bo zaledwie wczoraj wytknęła jej, że nie raczyła mu wspomnieć o Tadzcie.

– Nie mówiłem, bo to nie było istotne, a teraz jest inaczej. Rozważam propozycję jednej z kancelarii w Minnesocie. Partnerzy mają dobrą renomę.

– Brałaś pod uwagę oferty z innych stanów?

Potrafiła zrozumieć, że lokalne firmy, z którymi miał kontakt poprzez MacAfee, mogą składać mu propozycje, ale oferta spoza stanu sugerowała, że nie

wykluczał zmiany pracy.

Brad nie zamierzał zaprzeczać.

– Nieraz myślałem o powrocie w rodzinne strony.

– Nawet słowem o tym nie wspominałeś.

Zerwała z Bradem, jak tylko się zorientowała co do swych uczuć do Chipa. Teraz słyszy, że on rozglądał się za innym miejscem, kiedy byli zaręczeni, a przecież dobrze wiedział, że ona jest związana z MacAfee, z pracą, z rodziną i z tym miastem, nie mówiąc już o tym, że Theo z Royem widzieli w nim przyszłego prezesa firmy. Była zszokowana.

– Twierdziłeś, że nie chcesz mieszkać w jednym mieście z rodzicami. I że nie lubisz Minneapolis.

– Rzeczywiście, jednak kiedy wieczorem zacząłem to wszystko analizować, dotarło do mnie, że celowo szukałem złych stron mieszkania w Minneapolis, żeby przekonać się do Bostonu. Pochodzę ze środkowego zachodu. Kusi mnie myśl o powrocie.

Zraniła go, a teraz on się rewanżuje, atakując na oślepa, Jamie nie widziała innego wytłumaczenia. Byli zaręczeni, wkrótce mieli się pobrać. Zawsze uważała go za rzeczowego i przewidywalnego faceta.

Jednak to, co mówił, brzmiało tak, jakby od jakiegoś czasu miał gdzieś w tyle głowy plan B na wypadek, gdyby plan A nie wypalił.

Uraza, jaką w pierwszej chwili poczuła, szybko zmieniła się w konsternację i gniew, że tak łatwo pogodził się z ich rozstaniem.

Szybko otrząsnęła się z tych myśli. Ona też musiała patrzeć w przyszłość. Jej serce było gdzie indziej. Widok beznamietnej miny Brada – bezwiednie odsunęła się od niego z krzesłem – korzystnie wpłynął na jej samopoczucie, a stwierdzenie, że on jest odporny i twardy, a nie wrażliwy, jak wcześniej sądziła, przyniosło ulgę.

– No tak. W takim razie, powodzenia. – Powiedziała to szczerze, bo naprawdę dobrze mu życzyła.

W końcu do niedawna go kochała, może nie aż tak, żeby wiązać się z nim na zawsze, ale sentyment pozostał.

– To jak, nie powiesz nikomu?

No nie, tu już przesadził. Sentymenty sentymentami, ale liczą się zasady. Brad może się wynieść z MacAfee, ona tu zostanie. Musi dbać o własną wiarygodność.

– Nie obiecuję. Mogę jedynie – oczywiście, gdyby ktoś pytał – mówić, że na razie zajmuje nas porządkowanie spraw po śmierci Roya.

Przyglądał się jej przez chwilę, nie ukrywając irytacji, po czym uśmiechnął się smutno.

– Twarda jesteś.

Odpowiedziała mu takim samym smutnym uśmiechem.



– Ty też.

Powinna, naturalnie, że powinna wcześniej widzieć różnicę pomiędzy opanowaniem i obojętnością. Jak to możliwe, aby ktoś, kto twierdził, że chce założyć rodzinę, pozostawał nieczuły na los małego sieroty, przyrodniego brata przyszłej żony i na dodatek syna człowieka, który pomógł mu się wybić?

Dlaczego jej nie tknęło, że ich mozolnie rozwijający się związek prawdopodobnie opierał się na wyrachowaniu, a nie na głosie serca? Że dwoje ludzi pochodzących z różnych środowisk może aż tyle dzielić?

W każdym razie Brad wydawał się zadowolony z odzyskanej wolności. Nie zamierzała się dłużej nim przejmować, tym bardziej że po chwili skupiła uwagę na niepokojącym telefonie od Claire:

– Czy mówi ci coś nazwisko Barth?... Co wiesz o ich firmie?... Znasz kogoś od nich? – sondowała.

Któryś z Barthów zwrócił się do niej z propozycją nakręcenia z nimi serii odcinków dla *Gut It!*

– Serii? – Jamie wpadła w popłoch.

– Nie tej jesieni ani na wiosnę, być może za rok. Sprawdziłam ich. Mają dobre notowania.

– *Gut It!* od zawsze było programem MacAfee. Myślisz o całkowitej zmianie obsady? Z powodu sporu dotyczącego prezenterki? – Jamie ten pomysł nie mieścił się w głowie.

– Nie. To sprawa szerszego spojrzenia. Wprowadzenie drugiego zespołu mogłoby uatrakcyjnić formę, przy zachowaniu idei programu, bo przecież Barthowie też są z Williston.

– Niezupełnie. Nie tak jak my. Poza tym do popularności *Gut It!* w dużej mierze przyczynia się fakt, że tworzą go kobiety. U Barthów pracują faceci.

– No właśnie, to może być szansa na podniesienie oglądalności. Można wprowadzić element konkurencji pomiędzy kobiecym i męskim zespołem. Widzowie oddawaliby głos na swoją ulubioną załogę. Co o tym myślisz?

– Fatalny pomysł! – zawołała Jamie, lecz Claire pozostała nieugięta.

– Warto go rozważyć, skoro nie chcesz być gospodynią. Okej. Ja tylko sygnalizuję taką ewentualność. Odezwij się, jak coś postanowisz, bo czas przejść do konkretnych ustaleń.

Jamie natychmiast złapała za telefon i zadzwoniła do matki.

– Skarbie, to zwykłe pogrożki – podsumowała rzeczowo Caroline spokojnym tonem. – Ona próbuje nas zastraszyć.

– Dwa tygodnie po śmierci taty?

– Claire nie cofnie się przed niczym, kiedy chce postawić na swoim. Dlatego sprawdza się na planie.

– Nie zostanę prowadzącą. Koniec. Kropka.

- Byłabyś dobra.
- Nie teraz.
- A jeśli da wybór, że albo prowadzisz program, albo go tracimy?
- Ty się sprawdziłaś w roli gospodyni.

– Owszem – zaczęła stanowczo Caroline – ale nie życzę sobie, aby ktoś wytykał mi wiek, mówiąc, że jestem za stara. Jednak nie my finansujemy to przedsięwzięcie, decyduje ten, kto trzyma kasę, i dlatego możemy znaleźć się pod ścianą.

– Kasa? – Jamie widziała w tym działanie tylko jednej osoby. – Claire chce pokazać, kto tu rządzi.

– Niewykluczone – zgodziła się Caroline. – Kto wie, może są na nią naciski z góry. Na przykład spartaczyła jakiś projekt i teraz z obawy o utratę pracy szuka nowych pomysłów.

Jamie podziwiała spokój matki, pamiętając, jak paskudnie z nią postąpiono.

– Nie wkurza cię to?

– Tylko wtedy, kiedy pozwolę sobie na rozpamiętywanie, dlaczego tracę to, co kocham. Staram się takie myśli tłumić. Wolę koncentrować się na innych ważnych dla mnie sprawach, do których, między innymi, należy spędzanie czasu z córką. I z jej chłopaczkiem. Oraz ostatnio na oglądaniu zabawek w Toys „R” Us.

– Nie mów, że tam cię zanosło.

– Wyobraź sobie. Pojechaliśmy z Deanem rozejrzeć się w Warrentville. – Mieli tam kręcić odcinki do jesiennego cyklu *Gut It!* – Claire wściekłaby się, gdyby wiedziała, lecz obojętnie która z nas poprowadzi program, trzeba wcześniej poznać miasto. Pamiętasz, jak trudno nam było podczas pierwszych kilku sezonów, kiedy ludzie nie mieli pojęcia, kim jesteśmy? Teraz mieszkańcy podchodzą do nas życzliwie i chętnie pomagają, nawet jeśli Dean swoim wyglądem niekoniecznie budzi zaufanie.

Jamie wychwyciła dziwnie czułą nutę w głosie matki.

– Kiedyś go za to krytykowałaś.

Cisza, a po niej pobłażliwe westchnienie.

– Rzeczywiście. Okazuje się, że poza twardziela może stanowić zaletę. Widzowie *Gut It!*, którzy znają Deana, darzą go dużą sympatią. I możesz mi wierzyć, skarbie, że żaden z Barthów nie zdobędzie ich przychylności tak jak on. Claire zrobiła nam przysługę, ujawniając te informacje. Dam znać Lindzie. Ona ma koneksje. Na pewno postara się wykluczyć Barthów z gry.

Jamie, słuchając matki, coraz bardziej się odprężyła.

– Ale zboczyliśmy z tematu. W powrotnej drodze przejeżdżaliśmy obok Toys „R” Us. Poprosiłam Deana, żeby się zatrzymał.

Jamie usiłowała oczyma duszy zobaczyć ten obrazek, lecz zawiodła ją wyobraźnia. Myśl, że Caroline kupuje zabawki dla jej dziecka, wydawała się tak

samo abstrakcyjna jak ta, że ona, Jamie, ma dziecko.

– Zaszalałaś?

– Oj, i to jak. A Deana jeszcze bardziej poniosło. Ja kupiłam praktyczne rzeczy, no wiesz; kubeczek z ustnikiem, sprzęt dla maluchów, kredki i nadmuchiwany plastikowy basenik. On ruszył w dział z zabawkami. Usłyszałam, że lepiej ode mnie wie, co podoba się małym chłopcom. I trudno z nim się nie zgodzić. – Zamilkła na moment. – Widziałaś się z Bradem?

– Tak. Nie ma problemu. Przyjął do wiadomości – odparła z lekkim sercem, ucieszona, że Caroline zaakceptowała Tada.

– Tak łatwo?

– Właśnie. Trochę to dziwne.

– Przykre.

– Wcale nie. Ulżyło mi.

– Chodzi o Chipa?

– Nie, o chory związek. Niepokoi mnie tylko, że tego nie widziałam. Brad życzy sobie, abym na razie nikomu, nawet Theo, nie mówiła, że on odchodzi z firmy. Czy to będzie dla nas kłopot?

Caroline powinna najlepiej znać odpowiedź na to pytanie, bo będąc najbliżej Thea, doskonale orientowała się w sprawach firmy.

– Odchodzi na dobre?

– No, tak. Szok, co? Twierdzi, że chce wrócić do Minneapolis. W życiu bym nie pomyślała. To tylko dowodzi, jak mało go znałam. Theo nie będzie ze mnie zadowolony.

– Poradzę sobie z nim – zapewniła ją Caroline. – To jasna strona kopniaka w górę. – Zamilkła na moment. – Chip wie o zerwaniu zaręczyn? – spytała ciszej.

– Jeszcze nie. Do trzeciej jest w szkole.

– Jamie... – zawiesiła głos.

– Tak, wiem, mam być ostrożna.

\*

Ostrzegawczy głos matki prześladował ją całe popołudnie. Dźwięczał w uszach podczas spotkania z inwestorem na budowie i w trakcie rozmów telefonicznych z dwoma innymi klientami. Być może w zachowaniu Chipa niepotrzebnie doszukiwała się czegoś więcej poza zachętą do przelotnego romansu. Żeby się uspokoić, otworzyła plik z „wymarzonym projektem”, czyli własną wizją niekonwencjonalnego osiedla na parceli Weymouthów. Komputerowo naniosiła na projekt basen i kort tenisowy, starą willę ozdobiła kwitnącą wisterią i pnącą się po murze winoroślą, a nawet ożywiła ją przyjęciem weselnym. To wiele o niej mówiło. Odwlekała zaplanowanie własnego ślubu. Caroline miała rację. Musiała działać podświadomość.

A teraz? Ostrożność nakazywała jej nie ufać podświadomości. Może nie była w typie Chipa? Może poza spotkaniami na placu zabaw nie miał ochoty na bliższe kontakty z samotną matką, bo to łączyło się z odpowiedzialnością. Wymagało dojrzałości.

A jednak w miarę upływu czasu jej podniecenie rosło. Szczęśliwie Tad miał w żłobku dobry dzień. Jak doniosła wychowawczyni, nie płakał i długo spał. Na powitanie wręczył Jamie namalowany paluszkami obrazek i opowiadał o nim podczas jazdy. Była zaskoczona ilością wyrzucanych przez niego słów. Dwa dni w żłobku i taki postęp. Co prawda niewiele z tej paplaniny rozumiała, ale jego entuzjazm był zaraźliwy. Co jakiś czas dla zachęty wtrącała zachwycone: „Naprawdę?”, „Wspaniale, Taddy” albo „Och, cudownie!”. Sama też podczas jazdy dużo do niego mówiła, bo w przerwie na lunch przeczytała artykuł o tym, że mówienie do dzieci pełnymi, poprawnymi zdaniami korzystnie wpływa na ich rozwój.

Oczywiście jej gadatliwość mogła wynikać ze zdenerwowania.

Wynikała ze zdenerwowania.

W domu zamieniła bluzkę, spódnicę i czółenka na T-shirt, szorty i klapki. Zanim nakarmiła Tada i wysadziła na nocnik, zrobiła się piąta. Zapakowała go do samochodu i pojechała na plac zabaw.

Oni już tam byli. Chip bujał Buddy’ego na huśtawce, jednocześnie rzucając instrukcje:

– Pochyl się! Tak jest! Odepchnij się nogami!

Tad puścił się do nich biegiem, młóćąc rączkami powietrze, a Jamie powoli podążyła za nim, pełna niepokoju, że to, co ona czuje, niekoniecznie musi być odwzajemnione.

– Hej! – Uśmiechnęła się, nagle onieśmielona.

– Hej! – odpowiedział z uśmiechem.

Popchnął huśtawkę z Buddym, podniósł Tada, posadził go na sąsiednim krzeselku, wprowadził go w ruch i odpychał obie huśtawki na zamianę.

– Nie byłem pewien, czy przyjdiesz.

– Piekielna godzina. – Ten termin zyskał teraz nowe znaczenie; nigdy dotąd nie ciągnęło jej tak bardzo do Chipa. Bądź ostrożna, upomniała siebie w myślach. – Jak minął dzień? – zapytała, przetykając ślinę.

– Ciężko. – Rzucił jej krótkie spojrzenie pomiędzy pociągnięciami za łańcuchy huśtawek. – Do wakacji niecały tydzień i dzieciaki się niecierpliwią. Cholernie trudno nad nimi zapanować. Mnie dzisiaj też nosiło. Myślałem o tobie. – Zatrzymał wzrok na jej dłoni. – Gdzie pierścionek?

Nikt w pracy o to nie zapytał. Ani jedna osoba. Zapewne zakładali, że jest z Bradem, z pierścionkiem czy bez.

– Nie ma.

Popatrzył na nią pytająco.

- Zerwałam zaręczyny.
- Ze względu na mnie? – zapytał z rozbijającą radością.
- Ze względu na siebie. Mieliśmy pewne problemy, a kiedy zrozumiałam, że mnie pociągasz, postanowiłam tamto zakończyć.

Skrzywił usta w lekkim uśmiechu.

- Jeśli chodzi o mnie, określenie „pociągać” jest dalece nieadekwatne do tego, co czuję. – Rozkołysał obie huśtawki.
- Ze mną jest tak samo.

Rzucił jej czujne spojrzenie.

- Mogę cię rozczarować.
- A ja ciebie nie? Nigdy nie byłam w podobnej sytuacji.
- Ty jesteś z MacAfee, a ja z Kobików. Ty należysz do Phi, Beta Kappa Society, ja jestem imprezowiczem.
- Jestem?
- Byłem. Ale ty, gwiazda telewizji, z nauczycielem wychowania fizycznego? Zaslugujesz na kogoś lepszego.
- Skąd wiesz? – Oburzenie, z jakim zadała to pytanie, zamknęło mu usta.

Stała tuż przy nim, boleśnie świadoma bliskości jego smukłego ciała, które wyginało się i prostowało przy każdym pchnięciu huśtawki. Przez kilka minut ciszę zakłócało jedynie popiskiwanie łańcuchów, śmiech dwóch dziewczynek bawiących się w księżniczki przy zjeżdżalniach i okrzyki Buddy’ego: Wyżej!

Kiedy Buddy’emu znudziło się huśtanie, zaprowadzili chłopców do piaskownicy, a sami usiedli na pobliskiej ławce, oboje pochyleni, z łokciami wspartymi na kolanach, z twarzami na splecionych dłoniach. Siedzieli w pewnej odległości od siebie, a jednak Jamie miała wrażenie, że jej smukłe, gładkie nogi owiewa ciepło emanujące z jego umięśnionych, pokrytych włoskami ud.

- Chcę cię dotykać – wyszeptał.

Oblała ją fala gorąca. Wewnętrzne drżenie pozbawiło ją oddechu. Bez słowa przysunęła się bliżej.

Jęknął, prześlizgując się po niej palącym spojrzeniem.

- Czy są tam jakieś głodne dzieci? – krzyknął w stronę chłopców.
- Ja! – zawołał Buddy, gramoląc się z piaskownicy. Tad, naśladując go, zrobił to samo.
- Co ty na to, byśmy kupili pizzę w drodze do domu? – Chip zwrócił się do Jamie.
- Super. – Przystałaby na każdą propozycję. Nie w głowie było jej jedzenie, lecz należało pamiętać o chłopcach i tu, niestety, Chip wykazał więcej rozsądku.

Pojechała za hondą do pizzerii, a stamtąd do niego. W domu pomagała rozkładać serwetki, rozstawiać talerze i szklanki – tym razem chłopcy wybrali te

z Fredem i Barneyem z *Flinstonów*. Krzątanie się w kuchni szło jej sprawnie, pomijając jedną wpadkę, gdy zawisła na szufladzie, zahaczając o gałkę kieszeni szortów. Gdyby chciała zrobić coś takiego celowo, zapewne nic by z tego nie wyszło. Działając we dwójkę, szybko się uwinęli i dołączyli do dzieci we wnęce kuchennej.

Czy Jamie wiedziała, co je? Nie. Nie bardzo też skupiała się na rozmowie, zostawiając Chipowi zabawianie chłopców. Ją interesowały jego dłonie, usta, złamany w przeszłości nos i cień zarostu na szczęce. Wszystko w nim było takie męskie, łącznie z władczyim głosem, gdy po kolacji wysłał chłopców do pokoju dziennego, żeby obejrzeni bajkę o Diego ratującym dinozaury.

– Posiedźcie tam, a my w tym czasie posprzątam – rzucił jeszcze przez drzwi z godną podziwu nonszalancją.

Wrócił do kuchni i natychmiast przyparł Jamie do zlewu. Ujął w dłonie jej twarz, przywierając rozchylonymi wargami do jej ust w łapczywym pocałunku. Pieszczota jego języka i delikatne szczypanie zębami doprowadziły ją do granicy wytrzymałości.

– Dobrze? – wyszeptał jej w usta. Nie zdążyła skinąć głową, gdy wsunął dłonie pod podkoszulek, uwolnił piersi ze stanika i drażnił sutki kciukami. Ponownie zawładnął jej ustami, tym razem całując prowokująco i głęboko.

Jamie podciągnęła mu koszulę, gładziła dłońmi po piersi, lecz to dla niej było za mało. Nacisk jego bioder był podpowiedzią. Rozgorączkowana, wsunęła rękę pod pasek sportowych spodenek. Zachłysnęła się, zaskoczona wielkością erekcji.

– Ummm – wymruczał, nie odrywając od niej ust. Podniósł ją i zarzucił sobie jej nogi na biodra, aby znaleźć się tam albo prawie tam, gdzie go teraz chciała. Niestety, ograniczało ich ubranie.

Zadyszany, przycisnął głowę do jej czoła.

– Buddy ma piętrowe łóżko. Czy Tad może spać na dolnym?

– Będzie musiał – zaśmiała się cicho. Nie ma mowy, aby wróciła do domu, nie doprowadzając tej sytuacji do finału, ale najpierw należało zapakować chłopców do łóżek.

– Okej – Chip przybrał stanowczy ton. – Może jestem kiepskim ojcem, bo za często ratuję się pizzą, nie miałem pojęcia, o czym bełkotaliśmy podczas kolacji, i na dodatek kazałem im tkwić przed telewizorem, kiedy byliśmy zajęci sobą, ale teraz w ramach pokuty posprzątam tutaj i przygotuję kąpiel.

Zręcznym ruchem chwycił ją wpół i posadził na szafce. Ona chciała być zdyscyplinowana i pomocna, postanowiła więc zsunąć się z blatu i zapewne runęłaby na podłogę, gdyby w porę jej nie złapał, taktownie tego nie komentując. Bez słowa zgniótł pudełko po pizzy, odłożył je na bok i zaczął wkładać do zmywarki naczynia, które ona zносиła ze stołu.

– Myślisz, że Tad zaśnie w nowym miejscu? – zapytała szeptem, gdy zaprowadzili dzieci na górę, żeby je wykąpać.

– Nie wiem – odparł Chip, nalewając wody do wanny. – Ale nie widzę innego wyjścia.

Ona też nie widziała i Bóg jej świadkiem, że wcale nie miała ochoty szukać. No, może poświęciła temu jedną przelotną myśl, schodząc na dół po łosia i torbę z pampersami. Niestety, nie miała opiekunki na zawołanie, w dodatku takiej, która zgodziłaby się pilnować dziecka w nocy z czwartku na piątek. Caroline nie wchodziła w grę. Zaczęłyby prawić kazania o ostrożności, a tymczasem jej ciało nie chciało niczego odwlekać.

– Może mu się to spodoba – odpowiedział Chip, kiedy wróciła. – W końcu będziemy dwa pomieszczenia dalej.

Dwa pomieszczenia dalej. W jego sypialni. W łóżku. Nadzy.

Poczuła w podbrzuszu kolejną falę gorąca. Zachwiała się lekko, klękając przy wannie. Chociaż musieli przeczekać grę wstępną – ops!, chciała powiedzieć: pluskanie w wodzie ze stadem gumowych dinozaurów – w miarę szybko udało im się namydlić chłopców. Ona umyła Tada. Chip Buddy’ego. Oczywiście kąpieli towarzyszyła radosna paplanina, w której Jamie ochoczo uczestniczyła, jednak zapamiętała z niej mniej więcej tyle, ile Chip z rozmowy przy kolacji. Potem, zgodnie z wieczornym rytuałem, zabrała się do czytania bajki na dobranoc. Usiadła na dolnym łóżku z Tadem, a on natychmiast się do niej przytulił. Buddy, który z początku trzymał się w pewnej odległości, też przysunął się do niej, zanim jeszcze Piotruś Pan zepchnął Kapitana Haka do wody, gdzie już czekał na niego Tykający Krokodyl.

Rozpraszał ją Chip siedzący po turecku na podłodze, szczególnie widok jego bosych, dużych, męskich stóp. Gdy tylko skończyła czytać, podniósł się, stanowczo uciał prośby Buddy’ego o jeszcze jedną bajkę i przełożył go na górne łóżko ponad zabezpieczającą je barierką. Po dobranockowych buziakach, pouczeniach i obietnicach oboje wyszli na korytarz i nasłuchiwali przyklejeni do ściany.

– Buddy przynajmniej raz zejdzie po drabince po jakiegoś pluszaka – uprzedził Jamie, biorąc ją za rękę. Jej myśli zagłuszało dudnienie pulsu w uszach i szum rozpedzonej krwi. Absolutnie nie usłyszałyby głosów dochodzących z pokoju.

– Daje coś Tadowi – zaproponował. – Zdaje się, misia.

Nie zdążyła pochwalić Buddy’ego, bo Chip odwrócił się do niej i przywarł wargami do jej ust. Ciągłe nadśluchując, schodził pocałunkami na szyję i piersi. Znieruchomiał na moment, gdy wychwytywał odgłosy dochodzące z pokoju. Jamie słyszała tylko jego przyspieszony oddech, a sama bezskutecznie próbowała uspokoić rozpedzone serce. Ciepły dotyk ust na skórze tak blisko piersi rozpalał ją do granic wytrzymałości.

Zanurzając palce w jego włosach, przyciągnęła go mocno do siebie.

– Chcę – wyszeptała, bliska utraty zmysłów.

On zwlekał jeszcze minutę czy dwie. Delikatnie ocierał się o nią, nie odrywając od jej twarzy płonących niebieskich oczu. Kiedy ucichły odgłosy za ścianą, poderwał ją z podłogi, tak samo jak tam, w kuchni, a ona, tak samo jak wtedy, oplotła go nogami w pasie.

Jedną ręką zamknął za nimi drzwi sypialni, delikatnie opuścił ją na łóżko i położył się przy niej. Teraz jego dłonie były wszędzie, plątały się z jej rękami, gdy pospiesznie uwalniali się z ubrań, dotykały odsłoniętej skóry, muskały miejsca pokrywane pocałunkami. Chip pieścił ją z powściąganą gwałtownością, a ona płonęła pod wprawnym działaniem jego rąk.

Obezwładniała ją jego rozmyślna powolność. Była gotowa, jej ciało błagało o więcej, a jednak kiedy się uniósł i wszedł w nią głęboko, krzyknęła. Zaskoczona wrażeniem nieznanym dotąd pełni, stopiona z nim w jedną całość, poczuła jeszcze większy głód. Spleceni ramionami i nogami, miotali się po łóżku, dzieląc to samo pragnienie mocniejszych, głębszych, bardziej bezwzględnych doznań, zakończonych falą niekończących się spazmów.

Opadł na nią, a kiedy próbował się stoczyć, przytrzymała go.

– Nie.

– Trochę ważę.

– To miłe. – Delektowała się naciskiem jego sprężystego ciała, piżmowym zapachem skóry i widokiem szerokich ramion oświetlonych ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Wraz z wyrównującym się oddechem powróciło poczucie odpowiedzialności. Skruszona, poszukała jego oczu – niebieskich oczu, wpatrzonych w nią z satysfakcją, podziwem i z taką ogromną czułością, że nagle wyleciało jej z głowy to, co miała powiedzieć.

– Taddy – podsunął jej delikatnie.

– Właśnie, on nie jest przyzwyczajony do spania w normalnym łóżku.

Obłożyli podłogę poduszkami, ale dotąd zawsze chroniły go szczebelki, a spadając, mógłby się przestraszyć.

– Usłyszemy, gdyby się rozplakał?

Nie odrywając od niej oczu, wyciągnął ramię w stronę nocnej szafki. Kliknięcie ożywiło cichy szmer monitora. Ramię w powrotnej drodze podjęło wędrówkę po jej ciele – och, duży błąd, że wcześniej nie pozwoliła mu się poruszyć. Chip zsuwał się coraz niżej, dokonując cudów ustami i dłońmi, szepcząc słowa zachwytu i podniety. Niewyobrażalna rozkosz. Orgazm wydarł z jej gardła szloch. Może by się spieszyła, gdyby nie jego gardłowy okrzyk. Czekał na nią, bo tak samo jak za pierwszym razem chciał, żeby doszła pierwsza.

Jej ciało powoli się rozluźniało. Leżała w jego objęciach, nawet nie myśląc, żeby się z nich wysunąć. Tyle miała do oglądania. Słoneczna poświata złociła jego



skórę, podkreślała zdecydowane rysy twarzy, szerokie ramiona, tors i wąskie biodra. Był umięśniony, ale nienapakowany, jak zapewne kiedyś w przeszłości. Powiodła dłonią po cieniu z wijących się włosków zwięzającym się ku spojeniu ud. Zatrzymał jej rękę, rozprostował palce i niespiesznie całował wnętrze dłoni. Potem przycisnął jej otwartą dłoń do swego serca.

– Jesteś z mojego snu – wyznał zdławionym głosem.

– A ty z mojego – wyszeptała, czując, jak na moment zamiera jej serce. – Nie przypuszczałam, że można coś takiego wyśnić. To wszystko jest szalone.

– Nie szalone – zaprzeczył, patrząc na nią z powagą. – Tylko niespodziewane. Pobierzmy się.

Uśmiechnęła się.

– Dobrze. Kiedy?

– W ten weekend.

– Super. Bardzo sensowny pomysł. – To naprawdę zakrawało na szaleństwo. – Nigdy nie poszliśmy na kolację, nie spędziliśmy razem urlopu, nie planowaliśmy, czego chcemy dla naszych chłopców za dwa, pięć, może osiem lat, nie rozmawialiśmy o pracy, o tym, czym zajmujemy się za dnia, nie zapoznaliśmy naszych rodzin...

Delikatnie położył jej palce na ustach.

– Kochanie, nie kieruj się rozumem. Daj do głosu dojść uczuciom.

Rozum kontra uczucie. Trudny wybór dla kogoś, kto zawsze podejmował przemyślane decyzje; przynajmniej tak było dotąd. Odkąd poznała Chipa, emocje zagłuszyły rozum. Skruszona, przypomniała sobie karcące słowa ojca z ich ostatniej rozmowy.

– Staram się myśleć jak dorosła.

– Jesteśmy dorośli – przekonywał ją spokojnym tonem. – Życie niesie ze sobą różne niespodzianki. Czasem jest to czyjaś przedwczesna śmierć albo niespodziewane ojcostwo. Mam trzydzieści trzy lata. Bywa, że kolana odmawiają mi posłuszeństwa i czuję się stary, pamiętając o swojej przeszłości, lecz teraz inaczej na wszystko patrzę i dokładnie wiem, czego chcę. Poza tym – uśmiechnął się kącikami ust – znałem twojego ojca, nieraz z nim rozmawiałem. Widywaliśmy się w barze U Fiony, on lubił pogadać o sporcie. Jamie, przykro mi, że nie żyje.

– Mnie też. – Z każdym mijającym dniem złe wspomnienia coraz bardziej się zacierały i ustępowały miejsca tym dobrym. – Wiesz, jest w tym jakaś ironia losu.

Pytająco wygiął brew.

– Gdyby nie ten wypadek, nie byłibyśmy tutaj. Gdybym nie dostała Tada w spadku, nie zachowywałabym się jak kompletna ofiara na placu zabaw, ty nie musiałbyś mnie ratować, nie udzielałbyś mi rodzicielskich rad, nie walczylibyśmy razem z wszami i nie wylądowalibyśmy w łóżku. – Zadumała się. – Tata byłby zadowolony.

Westchnął nieprzekonany.

– Myślisz? Co innego gadać z byłym hokeistą o sporcie, a co innego wydać za niego córkę.

Badawczo popatrzyła mu w twarz.

– Ty mówiłeś poważnie?

– O tym, żebyśmy się pobrali? Jak najbardziej.

– Ale jak? Dopiero się poznaliśmy.

– Teraz poznaliśmy się bliżej, bo patrząc całościowo, znamy się od lat. Oboje jesteśmy z Williston – dorastaliśmy tutaj, chodziliśmy do szkoły. Teraz tu pracujemy, robimy zakupy w tych samych sklepach, znamy tych samych ludzi.

Jamie bardzo chciała znaleźć więcej podobnych argumentów.

– Może jakoś podświadomie ciągnęło nas do siebie w średniej szkole. Może podobaliśmy się sobie. A może w wyobraźni byliśmy parą? Marzyłeś wtedy o mnie?

– Nie śmiałem. Byłaś z MacAfee. A ty marzyłaś o mnie?

– Nie miałam odwagi. Byłeś taki ważny. Nie wiedziałabym, co powiedzieć, gdybym stanęła z tobą twarz w twarz. A teraz też nie wiem, jak cię nazywać. Charlie jakoś mi nie pasuje.

Uśmiechnął się lekko.

– Może być Chip.

Zamyślona, dotknęła małej, białawej blizny na jego górnej wardze blisko kącika ust.

– Nie masz ich wielu. Podobno hokeiści są narażeni na utratę zębów.

Zaśmiał się.

– Po to nosi się maski i ochraniacze na szczęki. To pamiątka z czasów, gdy grałem w hokeja na ulicy. Miałem wtedy osiem lat.

– Fajnie się grało?

– Bardzo. Była nas spora grupa. Do dziś widuję się z wieloma z tych facetów.

– Zazdroszczę ci. Tenis to samotna gra. Jednak nie mogę mówić na ciebie Chip. Nie lubisz tego.

– Ty możesz. W twoich ustach to w pewnym sensie łączy przeszłość z teraźniejszością.

Chip był taki wyluzowany, taki sensowny. Może by mu to powiedziała, gdyby nie zelektryzowało jej pokrzykiwanie w odbiorniku „elektronicznej niani”. Zastygła, nasłuchując.

– To Buddy – mruknął Chip. – Zdarza mu się mówić przez sen. Daj mu minutę.

Rzeczywiście. Po minucie zapanowała cisza, lecz odgłosy z dziecięcego pokoju ściągnęły Jamie na ziemię.

– Wychowywanie dziecka wiąże się z ogromną odpowiedzialnością. Cokolwiek robimy, nie dotyczy to wyłącznie nas – zauważyła, niemal dokładnie powtarzając słowa, które wcześniej usłyszała od Caroline.

Spontaniczny ślub z Chipem był wariackim pomysłem, jeszcze bardziej odjechany niż układanie Tada w obcym łóżku tylko po to, aby się pokochać.

Pokochać się? Uprawiać seks? A jednak...

– Nigdy nie ulegałam takim porywom jak dzisiaj.

– Ja też nie.

Nie do końca mu wierzyła.

– Miałaś dziesięć razy więcej kobiet niż ja kiedykolwiek znajomych.

– Wielka przesada.

– Wiesz, o co mi chodzi. Kobiety uganiają się za zawodowymi sportowcami.

– To są tak zwane fanki i akurat ja nie miałem ich zbyt wielu. Tak dla twojej wiadomości, nigdy z żadną nie spałem.

– Czy to nie wariactwo, biorąc pod uwagę te dwa śpiące maluchy kilka metrów dalej?

– To poważna sprawa. Myśl o tym, co czuję, mnie obezwładnia. Zabezpieczasz się?

– Tak, jestem na pigułce. „Obezwładnia” czemu?

– Bo wiem, że jesteś darem, na który być może nie zasługuję. Chcę mieć więcej dzieci.

– Ja też – przyznała z zapalem. Brad odnosił się do tego sceptycznie, kolejny znak, który powinna widzieć. – Chcę całą gromadkę.

– Widzisz, jeszcze jedna rzecz nas łączy. Co się stało z twoim narzeczonym?

– zapytał, jakby czytał w jej myślach.

Przytuliła policzek do jego piersi.

– Chciał tylko dwoje dzieci.

– Opowiedz mi o nim.

– Nie w łóżku.

Delikatnie uniósł jej głowę. Intensywnie niebieskie oczy wpatrywały się w nią z powagą.

– Jamie, ja muszę wiedzieć. Stawką jest moje serce. Zerwaliście ze sobą na dobre czy to tylko chwilowa przerwa?

Powinna poczuć się urażona. Ale jak mogła się obrazić, skoro w uszach dźwięczały jak echo słowa: „stawką jest moje serce”? Poza tym pytał o to, co każdy normalny mężczyzna chciałby wiedzieć. Mogli sobie rozmawiać o dzieciach i o małżeństwie, jednak na dobrą sprawę mało się znali.

Należały mu się wyjaśnienia. Usiadła, naciągając na piersi narożnik prześcieradła.

– Przede wszystkim, Chipie Kobiku, nigdy w życiu nie byłabym z tobą,

gdybym definitywnie nie rozstała się z Bradem. Prawdopodobnie popsulo się między nami w dniu śmierci mojego ojca i chyba nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie zapragnęłam być z tobą. Na widok pierwszych kłopotów on... – Machnęła ręką.

– Czy to problem, że jesteście w tej samej firmie?

– Chwilowo. On odchodzi. Zatrudnimy nowego prawnika. – Zamyśliła się. – Kto wie, czy do zaręczyn nie przyczyniła się właśnie jego praca w firmie. Jest miłym facetem i całe biuro z ciekawością nas obserwowało. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, zaręczyny wydawały się naturalnym krokiem. – Zamilkła na moment. – Nie mogłam się zająć planowaniem wesela – wyznała. – Moja mama podejrzewała, że boję się zadeklarować, bo małżeństwo moich rodziców się rozpadło. Ale ja myślę, że gdzieś w głębi duszy czułam, że on nie jest dla mnie. Brad i ja pochodzimy z różnych środowisk.

– My raczej też – ostrzegł ją. – Ty jesteś MacAfee.

– Przestań to w kółko powtarzać.

– Ale to prawda. Inna liga.

Kłęcząc, pochyliła się nad nim i zamknęła mu usta dłonią.

– Należymy do tej samej ligi. Z nikim nie czułam się tak blisko związana jak z tobą.

Zupełnie nie czuła skrępowania, mimo że on leżał nagi na kołdrze, a ona siedziała w pozycji raczej nieprzystającej damie. Kiedy wewnętrzny ogień ponownie dał o sobie znać, przypomniało jej się, że przecież miała być ostrożna. Roześmiała się na głos.

– Co takiego? – zainteresował się Chip.

– Wczoraj i dziś powtarzałam sobie, że powinnam zwolnić tempo. Jakby to było możliwe. Co powie Buddy, jak mnie tu znajdzie rano?

– Nie wiem. To się dotąd nie zdarzyło. Wykluczone, abym zaprosił do domu kobietę, gdy jestem z Buddym.

A tymczasem ona tu była.

– Czy to cię przeraża? – zapytał.

Strach. Śmieszne. Gdyby Chip Kobik spojrział na nią w szkole średniej, wzięłaby nogi za pas. Wtedy wszystko w nim by ją przerażało, poczynając od wyglądu i postawnej sylwetki, a kończąc na bijącej z niego atrakcyjności seksualnej. A teraz? Dorosła Jamie miała więcej pewności siebie. Doceniała jego uczciwość i rozum, widziała w nim dobrego nauczyciela i kochającego ojca. Dojrzałej Jamie intuicja podpowiadała, że jemu może bardziej zaufać niż któremukolwiek ze znanych jej mężczyzn. Przez to, że życie go nie oszczędzało, stał się lepszym człowiekiem. Dorosła Jamie chciała podjąć ryzyko budowania z nim wspólnej przyszłości.

– Czy mnie przeraża? Chyba żartujesz? Moje serce śpiewa.

Uśmiechnął się, poszukał jej dłoni i splótł palce z jej palcami.

– Serce śpiewa, tak? Na razie nie powiem Buddy’emu, że będzie musiał przywyknąć do waszej obecności. – Nagle spoważniał. – Nie masz nic przeciwko temu?

## Rozdział 20



Dean wyłonił się z domu, gdy Caroline w garażu przycinała listewki z różanego drewna. Skupiona na pracy, nie słyszała, jak wszedł. Dopiero kiedy Champ dźwignął się spod chłodnej ściany, aby przywitać swego pana, wyłączyła wyrzynarkę i uniosła gogle.

Pies uprzedził ją o jego nadejściu i dlatego się nie przestraszyła. A mogłaby. Bosy, z nagim torsem, w dżinsach z zaciągniętym zamkiem i niezapiętym paskiem wyglądał, jakby przed chwilą wygrzebał się z łóżka. Zresztą tak właśnie było. Nie przestawało jej to zadziwiać.

– Czy ja kiedyś do tego przywyknę – odezwała się tonem, w którym nie było pytania.

Dean pochylił się nad psem, podrapał go za uchem na przywitanie, podszedł do niej, otoczył ją ramionami i cmoknął w szyję.

Przyjęła z uśmiechem ten czuły gest.

– Dopiero się obudziłeś?

– Mniej więcej. – Jeszcze przez chwilę wodził policzkiem po jej włosach, a potem ją puścił, obszedł warsztat i stając z drugiej strony, podziwiał jej robotę. – Napracowałeś się.

– Wycięcie żaluzji do wieloskrzydłowych okien w sześciu pokojach kosztuje dużo pracy.

– Nuda?

– Wiesz, że tak. Pręty obrotowe i ramy mam już gotowe, a teraz zmagam się z tym. – Przesunęła palcami po ostatniej wyszlifowanej listwie. – Popatrz na ten rysunek słoï. I na ten nasycony brąz.

– Rzeczywiście. Zawsze ceniłaś drewno różane – zauważył. – O której wstałaś?

– O piątej.

– Sądząc z tego, z jaką zawziętością pracujesz, zgaduję, że usiłujesz zagłuszyć myśli o Jamie. Wyluzuj, kochanie. Rozmawiałyście ze sobą niecałą dobę temu.

– Też tak sobie mówię – przyznała Caroline, odkładając na stertę kolejną listewkę. – Ale jej życie jest teraz takie... jak by to ująć?

– Aktywne?

– To nieadekwatne określenie – stwierdziła, sprawdzając, czy wszystkie urządzenia elektryczne są powylączane. – Wymyśl coś innego – powiedziała,

kierując się do drzwi. – Chyba raczej pogmatwane. Ryzykownie niestabilne.

Dean zamknął drzwi i szedł krok za nią, a Champ w paru susach wysforował się do przodu.

– Dlaczego „ryzykownie niestabilne”?

– Bo jest zestresowana, a ludzie pod wpływem stresu robią czasem rzeczy, których później żałują.

– Ryzykowne to tyle samo co niebezpieczne. Przecież nie żałujesz, że rozstała się z Bradem, czyli, jak rozumiem, to w Kobiku widzisz zagrożenie. To porządny gość, Caro. Przeprowadziłem małe dochodzenie.

Przystanęła, patrząc na niego z przerażeniem.

– No nie. Dean, jeżeli Jamie się dowie, że weszę za jej plecami...

– Jak każda inna matka w takiej sytuacji. Zresztą to nie ty, tylko ja. I byłem bardzo powściągliwy.

Parsknęła śmiechem. Dean Brannick miał wiele zalet, lecz powściągliwość raczej do nich nie należała.

– Naprawdę – zapewnił, biorąc ją pod łokieć i kierując na ścieżkę. – Dzieciaki kilku ludzi od nas z firmy grają w hokeja i niedługo jadą z Kobikiem na obóz. Akurat wywiązała się o tym rozmowa, rzuciłem więc parę niewinnych pytań. Ci faceci patrzą na niego z nabożną czcią.

– Nic dziwnego – przyznała, pogrążona w myślach. – Był zawodowym sportowcem – przypomniawszy mu, przystając przed schodkami.

– Nie w tym rzecz. Ma wspaniałe podejście do dzieci.

Westchnęła, ciągle zadumana.

– To akurat dobra wiadomość, bo Jamie też ma dziecko. Niemniej swego czasu Chip był bardzo rozrywkowy. Nie chcę, żeby Jamie cierpiała.

– Jest dużą dziewczynką i nie brakuje jej rozsądku. A tak na marginesie, nie widzę, aby ci się śpieszyło, żeby ją poinformować o tym, co się ostatnio dzieje.

– Ja mam pięćdziesiąt sześć lat, ona dwadzieścia dziewięć.

– Jest dorosła.

– Ale ja bardziej.

– Jesteś nadopiekuńcza, Caro. – Pchnął drzwi z metalowej siatki. Champ pierwszy wpadł do środka. – Kto mi tłumaczył, że wychowując dzieci, nie wolno zapominać, że one kiedyś odlecą w świat?

Skrzywiła się niezadowolona. Powiedziała tak wczoraj pod wpływem filozoficznych myśli o samokontroli.

– Ten sam argument obowiązuje dzisiaj, kochanie. Nie dzwoń do niej.

– Łatwo ci mówić. Nie ty starasz się naprawić relacje. Zostawiam jej przestrzeń, ale boję się, że uzna to za brak zainteresowania albo, co gorsza, ubzdura sobie, że nadal jestem na nią zła za *Gut It!*

– A jesteś?

– Tylko wtedy, kiedy wracam do tego myślami. – Otworzyła szafkę kuchenną. – Mam teraz inne sprawy na głowie.

– Mnie – odpowiedział zadowolony, po raz nie wiadomo który wprawiając ją w dobry nastrój. Pewnie dlatego drugi dzień z rzędu wyjmowała z szafki składniki na naleśniki. Obiecała mu. Zasłużył.

– Czy my jesteśmy bezwstydni? – spytała.

– A nie wolno nam? Ta noc była zdumiewająca.

– Kim była ta kobieta z tobą w łóżku... – zaczęła.

– ...ona dziwi się po raz setny – odpowiedział, otwierając lodówkę.

– Przepraszam. W ogóle siebie nie poznaję.

Przez tyle lat uważała się za przewidywalną, spokojną osobę, a teraz to wszystko z dnia na dzień się zmieniało.

– Oto odpowiedź. Kto w nocy wyczyniał takie cuda językiem...

– Dean!

– Tylko pytam. – Sięgnął po cheddar i nóż do sera. – A oto odpowiedź; jedna namiętna dama, która powinna uderzyć się w piersi za to, co kiedyś wygadywała.

– Nieładnie tak się chełpić – skarciła go żartem.

Czuła się coraz swobodniejsza, ale jeszcze nie była gotowa pójść na całość; paradować nago w biały dzień czy wylegiwać się przy nim w gorącej kąpieli.

– No, nie... Tego już za wiele.

Dean podkarmił psa jej organicznym serem!

– Zgłodniał – tłumaczył. – Nie możesz żałować mu sera, skoro wyganasz go na noc do garażu.

– Płoszy moje koty.

– One chowają się przede mną.

– Tylko Master. On ma ten kompleks samca alfa.

Dean prychnął ironicznie i pochylając się nad Champem, podrapał go za uchem.

– Caro lubi pieski. Tylko znalazła się pomiędzy młotem i bardzo hardym kotem.

Zostawił psa i przytulił się do pleców Caroline. Akurat stawiała patelnię na kuchenkę. Objął ją w pół, opierając podbródek na czubku jej głowy. Wzruszająco czuły gest.

Przypomniało jej się, co Annie mówiła o dotykaniu. Przyjaciółka miała rację. Jest coś szczególnego w dotyku męskiej dłoni sunącej po skórze. Nie tęskniła za tym? Może nigdy nie było tak z Royem? A może te wrażenia wydawały jej się czymś nowym, bo nie czuła ich przez tak długi czas? Kto wie, czy z wiekiem nie zaczyna się bardziej doceniać małych gestów, takich jak dotyk dłoni na ramieniu, palców na policzku?

Ciągle nie mogła uwierzyć, jak to możliwe, że będąc z Deanem tak blisko



przez te wszystkie lata, nigdy nie miała myśli erotycznych. Kolejny raz stwierdziła, że właściwie tak do końca siebie nie zna...

Z salonu doszło ich ujadanie, a po nim koci syk.

– Champ! – wrzasnął Dean. – Do nogi!

Przybiegł natychmiast. Dean oderwał jedno ramię od Caroline i wskazał psu miejsce przy drzwiach, a on potulnie przemknął koło pana i siadł.

– Przynajmniej słucha – mruknęła Caroline.

– W przeciwieństwie do Mastera.

– On jest kotem – oznajmiła, jakby według niej to wszystko tłumaczyło. – Chcesz te naleśniki?

– Jasne.

Nie mogła się skupić z facetem przyklejonym do jej pleców. Niektóre czynności wymagały przestrzeni.

– W takim razie się odsuń i pozwól mi wymieszać ciasto.

Posłuchał. Kiedy przygotowywała śniadanie, Dean wydawał się zatopiony w myślach.

– Wyjdź za mnie – usłyszała, gdy w czujnej obecności babcinej koronki skończyli pierwszą porcję naleśników.

Zaskoczona, zachłysnęła się herbatą. Chwytając oddech, z ręką przyciśniętą do piersi, rzuciła karcące spojrzenie na koronkę.

– Skąd ci się to wzięło?

– Z serca.

Ponownie zabrakło jej tchu. Nie mógł ładniej tego ująć. Ale małżeństwo?

– Boże, Dean, taka propozycja, tak szybko?

– Szybko? Po dwunastu latach?

– Wiesz, o czym mówię. Co innego przyjaźń, a co innego bycie kochankami.

Ekstremalna zmiana.

– Wcale nie. Ewolucja. To się działo. Seks był sprawdzianem. Nie udałoby się nam, gdybyśmy do siebie nie pasowali.

– Seks był sprawdzianem?

– Nie dla ciebie – zapewnił ją skrępowany. – Dla mnie. Musiałem wiedzieć, czy potrafię cię zadowolić.

To wyznanie, że był gotów wziąć na siebie winę za ewentualne fiasko, niewymownie ją wzruszyło. Deanowi zależało, żeby czuła się spełniona. Roy nigdy się tym nie przejmował.

– Ale zaraz małżeństwo?

– Czemu nie?

– Uhm, weź pod uwagę taki drobiazg, że ślub bierze się na całe życie, a my oboje już raz ponieśliśmy klęskę.

– A co z miłością?

– Zawsze byłaś mi bliska. Ja tobie też.

Mogłaby się spierać, że to między nimi nie jest Miłością pisaną wielką literą, jednak skoro doszło między nimi do seksu, skoro w łóżku okazał się czuły, a kontakt fizyczny pogłębił łączącą ich od dawna więź emocjonalną, różnica pomiędzy bliskością a miłością się zacierała.

– Ale dlaczego mamy się pobierać?

– Bo chcę, żebyś była moja.

– Jestem twoja.

– Cały świat ma o tym wiedzieć. – Podrapał się po potylicy, opuścił rękę i zrobił naburmuszoną minę. – Nazywaj mnie starym zgredem albo nawet neandertalczykiem, ale taki już jestem i się nie zmienię.

Bardzo dobrze go rozumiała. Wychowano ją w podobnym duchu; w pewnym sensie poprzez małżeństwo kobiety dawały światu znać, że są kochane i otaczane opieką.

Jednak czasy się zmieniły. Małżeństwo nie musiało już być ostoją dla kobiet. W tym nowym świecie Caroline potrafiła o siebie zadbać. Była sama i wysoko nosiła głowę.

Przynajmniej do czasu, gdy wynikła sprawa z *Gut It!* Kwestia wieku nurtowała ją w trakcie śniadania. Gdy Dean brał prysznic, zarzuciła bluzkę na biustonosz i zapinając guziki, weszła do łazienki.

– Powiem ci, dlaczego jestem przeciwna – tłumaczyła, przekrzykując szum wody. – Niepotrzebny nam ślub. Nie mamy wspólnych dzieci, oboje jesteśmy finansowo niezależni. Po co nam glejt? A wesele – te kwiaty i wiwaty? Ja sobie tego nie wyobrażam.

Dean wyłączył prysznic i odciągnął zasłonę, a ona przez kłęby pary podała mu ręcznik. Z welurowej froty w różowym kolorze jak jej pościel.

– To nie musi być ślub z pompą – tłumaczył, wycierając się. – Możemy wyjechać i wziąć ślub w jakimś małym pensjonacie. Wiele z nich oferuje cywilne ceremonie na miejscu.

Cofnęła się zaskoczona.

– Skąd wiesz?

– Sprawdziłem.

Nie chciała nic więcej wiedzieć. Na dodatek on, wycierając się, pochylał się i wyginał, w przeciwieństwie do niej zupełnie nieskrępowany swoją nagością.

– Te wyjazdowe śluby wydają się jakieś szemrane. Są dla ludzi, którym albo bardzo się spieszy, albo mają coś do ukrycia.

– Boisz się, że znajomi zaczną liczyć miesiące?

– Bardzo śmieszne. A co z Rennym? Jeżeli zależy ci na bliższych kontaktach z synem, jak możesz go nie zaprosić na takie ważne wydarzenie? Nie sądzisz, że poczuje się dotknięty? Jamie coś takiego miałyby mi za złe.

Owinał się w pasie ręcznikiem. Różowy kolor podkreślał męski wygląd jego ciała.

– W takim razie zaprosimy ich.

– Zrobi się z tego coś dużego. I po co nam to? Nie chcę też cichego ślubu. Nie chcę, żebyśmy się pobrali.

Milcząc, przeszedł do sypialni po świeże rzeczy spakowane w sportowej torbie.

– Boisz się zobowiązań? – zapytał, gdy wrócił.

Brad to samo zarzucał Jamie. Caroline chciała wierzyć, że córka intuicyjnie wyczuwała, iż jej związek z Bradem nie dotrwa do ołtarza. Z nią jest inaczej... Nie wyobrażała sobie innego mężczyzny na miejscu Deana.

Jednak przywykła do życia w pojedynkę, do gotowania bez cienia za plecami, do wychodzenia, gdzie i kiedy chce, bez opowiadania się komukolwiek. Oddałabym prawą rękę za twoją wolność, przypomniały jej się słowa Annie. Ona też lubiła tę wolność.

Odpowiadało jej, że nikt nie będzie jej wytykał wieku jak kiedyś Roy. Świetnie, teraz Dean się zaklina, że nie ma znaczenia, iż ona dobiegnie sześćdziesiątki przed nim, lecz gdy opadnie poziom emocji, czy będzie myśleć tak samo? Roy się z nią rozwiódł, bo była dla niego za stara. Claire z tego samego powodu chciała ją zwolnić. Załamałaby się, gdyby Dean po kilku latach zmienił zdanie, zniechęcony widokiem plam wątrobowych na dłoniach albo żylaków na nogach. Bez ślubu rozstanie przynajmniej byłoby prostsze.

Czekał teraz na odpowiedź jak go Pan Bóg stworzył, ze spodenkami w garści, z widocznymi bliznami, z krzywym palcem i kępkami siwawych włosów na piersi. Rany, nie mogła za długo trzymać go w niepewności i zajmować się swoimi lękami, kiedy patrzył na nią z tym bezradnym wyrazem oczu. Wzruszała ją ta jego bezbronność. Budziła w niej instynkt opiekuńczy i jednocześnie uświadamiała, jak bardzo jej na nim zależy i że w tym wszystkim nie tyle chodzi o seks, co o niego jako człowieka. Może był starym zgredelem, ale uczciwym i godnym zaufania. Od lat ją wspierał i był na każde zawołanie. Znała historię jego małżeństwa i rozwodu, wiedziała, jak bardzo przeżywa rozłąkę z synem. Nie wątpiła, że Dean ją kocha. I ona go też kochała.

– Nie boję się zobowiązań. Jesteś mi bardzo bliski.

– Na pewno?

– Czy spałabym z tobą, gdyby tak nie było? – Wsunęła rąbek bluzki w dzinsy. – A tak na marginesie, seks wcale nie jest przereklamowany. – Była mu winna te słowa. – A w naszym wieku nie potrzebujemy kwitów. Nikomu nic do tego, co robimy w sypialni.

– A co ze starym jak świat Theo?

– Nie obchodzi mnie. Jestem stolarzem i jeżeli nie mianuje mnie na swoją

następczynię z powodów moralnych, pogodzę się z tym.

– A program? Claire się ucieszy, że jej prowadząca żyje na kocia łapę z głównym konstruktorem?

– Nie jestem już prowadzącą, pamiętasz? Wykopała mnie. Może będzie zazdrościć, że taka stara baba może poderwać...

– Stara baba...

– ...takiego faceta jak ty. Poza tym romans na planie mógłby podnieść oglądalność.

– Nie jesteś żadną starą babą. Zgodziłabyś się chociaż nosić coś ode mnie na palcu?

– Ślubną obrączkę bez ślubu?

– Pierścioneł zaręczynowy.

– Żeby zaznaczyć, że jestem twoja?

Z frustrowanym sapnięciem naciągnął spodenki i wbił się w dżinsy. Caroline zrobiło się przykro. Podeszła do niego i pogładziła go po piersi. Ten intymny gest był bardziej wymowny od słów.

– Dean, tu nie chodzi o ciebie. Kocham cię. Ale nie podoba mi się instytucja małżeństwa.

– Gdybym podarował ci brylant, nosiłabyś go?

– Za wcześnie – powiedziała błagalnym tonem. – Nie możemy ciut zwolnić?

– Czy to znaczy, że nie wykluczasz takiej możliwości?

– Nie, wcale nie wykluczam. Zapytaj mnie ponownie za dziesięć lat.

Otworzył szeroko oczy.

– Żartowałam! – Uszczypnęła go w brzuch. – Co za różnica, dwa dni czy dziesięć lat. Ale zobacz, jaka jestem miła, jeśli chodzi o twój dom na wydmuchowie. – Próbowwała rozładować sytuację. – Zgodziłam się nawet pomóc ci przy układaniu drewnianego tarasu, chociaż nadal uważam, że ta inwestycja to gra niewarta świeczki.

Orzechowe oczy patrzyły na nią z wyrzutem.

– Zgodziłaś się, bo przekonałaś się do tego miejsca. No, przyznaj się. Nabrało dla ciebie wartości sentymentalnej.

Gdzieś w oddali rozległo się charakterystyczne pobrzękiwanie.

– To chyba mój telefon.

– Tchórz! – zawołał za nią, kiedy ruszyła ku schodom. Nie obejrzała się ani nie zatrzymała, podążając za dźwiękiem do kuchni. To mogła być Jamie.

Jednak nie. Jakiś nieznany numer. Własny miała zastrzeżony, więc musiał dzwonić ktoś, kto go znał. Może jakiś nowy klient z polecenia znajomych?

– Halo?

– Chciałabym rozmawiać z panią Caroline MacAfee.

– Przy telefonie.

– Mówi Zoe Michaels z „The Globe” – przedstawiła się nieznajoma na jednym oddechu.

Kobieta miała młody głos i chyba była zdenerwowana.

– Piszę artykuł o śmierci Roya MacAfee w kontekście wpływu tego wydarzenia na losy firmy oraz *Gut It!*, jako waszego programu. Czy zgodziłaby się pani ze mną porozmawiać?

Caroline wielokrotnie udzielała wywiadów. Dziennikarze jej nie onieśmielali, a szczególnie, sądząc po głosie, młodzi jak ta kobieta. Jednak absolutnie nie miała ochoty na rozmowy o Royu.

– Uważam, że powinna pani skontaktować się z Theodorem MacAfee. Jest prezesem firmy.

Caroline nie była pewna, czy należy Theo zawracać głowę takimi głupstwami. Jednocześnie wiedziała, że jeśli chce, potrafi być czarujący. Może ten wywiad dobrze mu zrobi, odwróci uwagę od innych problemów? Niewątpliwie nikt lepiej od niego nie znał Roya.

– To od niego dostałam namiary na panią – odparła reporterka. – Wskazał panią jako swoją rzeczniczkę. Moja mama jest wielką fanką waszego programu, stąd panią znam. Jako gospodyni *Gut It!* jest pani najwłaściwszą osobą do udzielenia tego wywiadu.

W takim razie wieści się jeszcze nie rozeszły. To już coś. Caroline wpadła na myśl, że lepszą rzeczniczką byłaby Jamie. Jeżeli przejmie rolę gospodyni, musi nauczyć się postępować z mediami. W dodatku córce byłoby z pewnością rozmawiać o Royu niż jego byłej żonie.

Świetny pretekst, żeby zadzwonić do Jamie. To jasne, że nie poda dziennikarce jej telefonu, zanim sama z nią nie porozmawia.

– Pani Michaels, oddzwonię do pani.

– To pilne. Mój szef chce puścić ten wywiad w poniedziałek.

– Postaram się szybko odezwać – ucięła stanowczo Caroline.

Minutę później zadzwoniła do Jamie.

– Hej, mammo.

Głos miała jakiś zdyszany. Była zajęta, podekscytowana, a może spóźniona?

– Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym. Po prostu usiłuję się stąd wydostać.

W takim razie jest spóźniona. Caroline poznała po jej głosie, że nie ma co liczyć na dłuższą rozmowę, więc już o nic nie pytając, od razu przeszła do rzeczy. Naprędce streściła rozmowę z Zoe Michaels.

– Jamie, idealnie nadajesz się na ten wywiad. Mam jej dać numer do ciebie?

– Boże, nie. Dzięki, mammo, ty rozmawiaj z tą Michaels.

– Jeżeli masz być gospodynią...

– Nic z tego.

– Claire zmieniła zdanie?  
– Nie rozmawiałam z nią. Nie ma mowy, abym akurat teraz mogła wziąć to na siebie.

– Ta reporterka bezzwłocznie potrzebuje jednej z nas. Artykuł ma się ukazać w poniedziałek. Jeżeli udzielię jej wywiadu, Claire może się wkurzyć.

– No i dobrze. Mamo, weź ten wywiad na siebie, proszę cię.

– Na pewno?

– Na sto procent. Dzięki. Jesteś kochana. Pogadamy kiedy indziej, okej?

Caroline zrozumiała, że powinna się rozłączyć.

– Jak Tad? – spytała jeszcze szybko. Bała się, że Jamie na wszystko brakuje czasu, jeżeli spędza weekend z Chipem i jego synem.

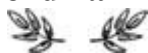
– Świetnie.

– Widziałaś się z Chipem?

– U niego też świetnie. – Głos Jamie stał się wyższy i bardziej zaspany. – Mamo, muszę bieć. Odezwę się, dobrze?

Sekundę później Caroline została z milczącym telefonem w dłoni i z wrażeniem, że Jamie była dziwnie rozemocjonowana. Nie miała pojęcia, czy powinno ją to cieszyć, czy może martwić.

## Rozdział 21



Pojęcie „rozemocjonowana” nie w pełni oddawało stan ducha Jamie. Była tak zakochana – do szaleństwa zakochana, że nie śmiała o tym powiedzieć matce. Na szczęście Caroline nie próbowała skłonić jej do zwierzeń. To, co robiła z Chipem, było nadzwyczajne. Nadzwyczajne. Wciąż obracała w myślach to słowo.

Natomiast nie było nic nadzwyczajnego w tym, że gdy Tad rozplakał się o trzeciej nad ranem, Chip zerwał się pierwszy i przyniósł go do niej. Ani w tym, że rano gorącą kawę podał jej do łóżka facet, który patrzył na nią jak w obraz i zdążył już w kuchni na dole posadzić dwóch malców do śniadania. Po południu spotkali się w żłobku i pojechali do pediatry porozmawiać o wpływie śmierci rodziców na psychikę Tada i o sposobach bezstresowego oswojenia dwóch małych chłopców z nową sytuacją. W tym też nie było nic nadzwyczajnego. To Chip umówił ich na tę wizytę. Bardzo mu zależało na stworzeniu zgranej rodziny. Jamie doszukiwała się w jego zachowaniu oznak szaleństwa, ale znajdowała jedynie determinację.

W powrotnej drodze zatrzymali się u Chipa, przełożyli fotelik Tada do hondy i pojechali do mieszkania Jamie. I tam po raz pierwszy pojawił się problem. Tad, chociaż nie mógł słyszeć rozmowy z pediatrą – razem z Buddym został w pokoju zabaw – niespodziewanie zrobił się agresywnie zaborczy. Buddy podniósł zabawkę, Tad wyrwał mu ją z rąk, gdy sięgnął po inną, uderzył w histeryczny płacz.

„On ma poczucie straty, ale jej nie rozumie, uprzedził ich lekarz. W tym wieku dzieci nie potrafią się wspólnie bawić. Pozwólcie mu zatrzymać wyłącznie dla siebie coś, co jest dla niego ważne – pluszaka, ulubiony kocyk, przytulankę. Jednocześnie uczcie go dzielić się z innymi dziećmi. Bądźcie cierpliwi i konsekwentni”.

Jamie objęła Tada i tuliła do siebie, aż się uspokoił i przestał wierzgać. Potem łagodnie tłumaczyła, że Buddy nie chciał niczego mu odebrać i nawet nie dotknął jego łosia. Czy nie przyjemniej bawić się razem, pytała. Buddy zawsze oddaje twoje zabawki.

– Popatrz, Taddy, już przestał bawić się farmą.  
– On na niczym na dłużej się nie skupia – rzucił z boku Chip.  
– Nic dziwnego, skoro jest tyle do oglądania. – Jamie stanęła w obronie Buddy’ego. – Dla niego to jak sklep z zabawkami, a swoimi zawsze się chętnie

z Tadem dzieli. Co zabieramy do ciebie?

Odłożyli nieco zabawek. Chip bawił się z chłopcami, a ona tymczasem pakowała swoje rzeczy. Potem Chip dołączył do niej w pracowni, żeby pomóc spakować Tada. Był pod wrażeniem dużego monitora, przejechał dłonią po błyszczącym blacie białego biurka, z uwagą obejrzał projekty przypięte do korkowej tablicy i przerzucił kilka specjalistycznych książek, cały czas wypytując Jamie o jej pracę. Opisując swój kącik w zapasowej sypialni, zaklinał się, że jeśli będą kiedykolwiek budowali dom, dopilnuje, aby mieć tam przestronny gabinet. To zdanie zasiało w głowie Jamie pewien pomysł. Podobało jej się, że Chip czuje się związany z domem rodzinnym i że chętnie by w nim został. Adaptacja nie wydawała jej się skomplikowana, mogliby zacząć od dobudówki. Wyobrażenia artystyczna podsuwała jej pomysły modyfikacji, które pozwoliłyby zarówno wewnątrz, jak i z zewnątrz zmodernizować dom, nie niszcząc charakteru stylu vintage. Za pozostaniem w tym domu przemawiał istotny argument. Chłopcom zapewne łatwiej byłoby pogodzić się ze zmianą zachodzącą w ich życiu. To nie był błahy problem. Co prawda u Chipa panował dość duży bałagan, lecz jej mieszkanie też już straciło nieskazitelną wygląd i jakoś umiała z tym żyć.

Jej rozmyślenia o nieskazitelnym i minimalistycznym wnętrzu przerwał Tad. Przydreptał do pracowni i obejmując ją pod kolanami, z całej siły przyłgnął do jej nóg.

– Hej, małpeczko! – Przyklękając, objęła dłońmi małą buzię. – Zabawa skończona?

Nie odzywając się, podniósł na nią smutny wzrok. Wiedziała, co się kryje za tym spojrzeniem. Nieraz je widziała, utulając go, gdy budził się w nocy. Był bystrym dzieckiem. Dopiero przeżył dużą zmianę i wyczuwał, że zanoszą się na następną. Może o jedną za wiele?

Niebezpiecznie zadrżała mu dolna warga.

– Dzie mama?

Mówić prawdę, tak radził pediatra.

– Mama jest w niebie.

– Ciem ją.

– Wiem, małpeczko, wiem.

– Dzie tata?

Jamie łzy zakręciły się w oczach.

– Też jest w niebie.

– Taddy cie tam.

– Kiedyś.

– Telaz – zażądał, mimo wszystko pozwalając się przytulić.

– Ja też za nimi tęsknię – wyszeptala w ciepłe loczki, kołysząc go w ramionach. Tak samo potrzebowała pociechy jak on. Roy był jej ojcem



i nieważne, że doszło między nimi do ostrej wymiany zdań. W tych dwóch tygodniach po jego śmierci tak wiele się u niej wydarzyło, tyle spraw zajmowało jej myśli, że nie miała czasu na żałobę. Dopiero teraz przygniotło ją uczucie ogromnej pustki.

Może by się rozplakała, gdyby nie Chip. Przykucnął przy nich i kładąc jedną dłoń na jej głowie, a drugą na główce Tada, cicho mu tłumaczył:

– Ponieważ nie możemy teraz zajrzeć do nieba, może wymyślimy coś innego. Na dworze jest jeszcze bardzo ciepło. Mam w ogródku zraszacz z Myszką Miki. Co powiesz na to, żebyśmy trochę się pochlapali przed kolacją?

Jamie przechyliła się do przodu i przyciskając twarz do szyi Chipa, chłonęła zapach jego skóry. To wystarczyło, by poprawić jej nastrój. Uśmiechnęła się do Tada. Zapewne nie miał pojęcia, co to zraszacz, ale jej ton powinien go zachęcić.

– Z Myszką Miki? – powtórzyła z przejęciem. – Och, Taddy, ty uwielbiasz Myszkę Miki. Szybciutko, zbierajmy się!

\*

Zraszacz okazał się strzałem w dziesiątkę. Chip odkręcił wodę, kierując strumień prosto na chłopców, a oni biegali rozchichotani, wpadali na siebie i turlali się po trawie. Nawet udało im się przewrócić Jamie, kiedy po raz nie wiadomo który potknęła się, uciekając przed wodą. Wróciła ze śmiechem do domu, a Chip został jeszcze na dworze i tak zmęczył chłopców zabawą, że przy kolacji opadały im powieki.

Potem popilnował dzieci, żeby Jamie mogła wziąć prysznic. Ona, z kolei, posiedziała przy nich, kiedy on się przebierał. Gdy się upewnili, że obaj malcy mocno śpią, wyszli z domu, zostawiając chłopców pod okiem zaufanej opiekunki Chipa. Zawsze korzystał z jej pomocy, jeżeli wieczorem musiał być w szkole. Mieli zarezerwowany stolik w restauracji na Beacon Hill, a Chip zabrał ze sobą butelkę szampana z czasów podpisania pierwszego kontraktu z zawodową drużyną hokejową.

W tym czasie wydartym tylko dla siebie chciał jak najwięcej dowiedzieć się o Jamie.

Rozmowa zaczęta już w samochodzie – w jej kabriolecie, w którym Chip za kółkiem doskonale się prezentował – bardzo szybko zeszła na sport, sprowokowana historią owego szampana. Co Jamie czuła, wygrywając turniej tenisowy? Kiedy przegrała? Gdzie są puchary, czemu nie trzyma ich na widoku? A gdzie są jego trofea? Czy żałuje, że rzucił studia i przeszedł na zawodowstwo? Chciałby, żeby Buddy grał w hokeja? A ona widzi Tada jako tenisistę? Jak zmniejszyć presję związaną z konkurencją w sporcie? Czy w jakiś sposób etyka sportowa przełożyła się u niej na obecną pracę?

Często odpowiadali krótko: tak lub nie, bo kolejne pytania cisnęły się na

usta, a jeszcze tyle wątków mieli do omówienia. Dojeżdżając do restauracji, zeszli na temat pracy. Z jaką grupą wiekową Chip najłatwiej porozumiewa się w szkole? Którą porę roku najbardziej lubi? Czy rodzice uczniów sprawiają problemy? Jak Jamie wybiera zlecenia? Woli projektować obiekty komercyjne czy prywatne domy? Jest na bieżąco z najnowszymi technologiami?

Chip wyznał Jamie, że wczesne gwiazdorstwo uderzyło mu do głowy, pojawiły się kobiety i alkohol. Marzył, aby zostać trenerem w szkole średniej i rozwijać młode talenty. Opowiadał o swoim letnim obozie, o tym, jak stara się wpajać dzieciakom, że umiejętności i działanie zespołowe bardziej się liczą od chęci konkurowania. Wspomniał też, że był jednym z pomysłodawców programu czytelniczego w miejscowej bibliotece. Jednak zamiast koncentrować się na sobie, wolał więcej usłyszeć o marzeniach Jamie. Dlatego opowiedziała mu o projektach, które zrobiła z myślą o parceli Weymouthów, i obawach, że Barthowie ich podkupią.

Z nikim dotąd nie czuła się tak swojsko jak z nim. Te jego obawy, że on jest z Kobików, a ona z MacAfee nie miały sensu, bo kiedy opowiadał jej o swoim dzieciństwie, widziała, że łączą ich te same wartości. Pochodził z normalnej, stabilnej rodziny – siostry ustawione zawodowo, jedna mężatka, druga singielka, rodzice czterdzieści kilka lat po ślubie i nadal razem. Czy mógł być nieprzewidywalny, gdy miał takie zaplecze?

Rozmawiali, sączyli szampana, dzieląc się przystawką i pogryzając ciepły chleb z cukinii. Czy Jamie zwróciła uwagę na wystrój restauracji? Raczej nie. Prawie nie odrywała oczu od Chipa, pewnie dlatego zaskoczył ją widok pary, która zatrzymała się przy ich stoliku w drodze do wyjścia.

– Uwielbiamy wasz program – zwrócił się do niej mężczyzna.

– Co tydzień go oglądamy, a teraz nawet powtórki. Nie możemy doczekać się nowego sezonu – zawtórowała mu żona.

Jamie nie była zadowolona, że im przeszkadzają, nie chciała jednak urazić wiernych widzów.

– Właśnie skończyliśmy nagrania – odparła, siląc się na uśmiech. – Teraz są w montażu.

Para się oddaliła, a Chip zapytał ją o *Gut It!* Opowiedziała mu, jak doszło do powstania programu i jakie znaczenie ma dla MacAfee. Wspomniała o planie zmiany prowadzącej i o napięciu, jakie pojawiło się w jej stosunkach z matką po decyzji Claire.

– Zależy ci na prowadzeniu programu? – zapytał ostrożnie.

– Z początku myślałam, że tak. Przynajmniej tak mi się wydawało. Ale w tych okolicznościach? – Pokręciła głową. – Może kiedyś, w przyszłości. Na pewno nie teraz – dodała, akcentując „na pewno” wymownym spojrzeniem.

– Współczuję twojej mamie – wyznał Chip. – Moja straciła pracę, gdy jej

szpital przeszedł w prywatne ręce. Twierdzono, że cięcia kadrowe są związane z tym przejściem i na bruk poszły głównie starsze kobiety. Mama lubiła swoją pracę. Z dnia na dzień ją straciła, a w swoim wieku nie mogła znaleźć nowej.

– I przeszła na emeryturę?

– Można tak to ująć. Ma naturę wolontariuszki, z pasją udziela się w bibliotece w tym miasteczku w Vermont, gdzie spędzają lato. Jest zajęta jak nigdy.

Kontynuowali rozmowę przy grillowanym lucianie i combrze jagnięcym. Jamie była w siódmym niebie, bo Chip zamówił jeszcze frytki z sosem śmietanowo-koperkowym. Zapewne z chęcią posiedzieliby dłużej nad cappuccino, gdyby nie pamiętali, że powinni już wracać i zwolnić opiekunkę.

Gdy wychodzili, spotkała ich kolejna niespodzianka. Tym razem zaczepiono Chipa.

– Buffalo spaprało sprawę, puszczając cię do Pittsburgha – odezwał się nieznajomy, najwyraźniej fan hokeja. – Byłeś najlepszym prawoskrzydłowym.

Chip, mniej wylewny niż Jamie, podziękował i nie wdając się w dyskusję, skierował się z Jamie do samochodu.

– Nie znoszę tego – mruknął, siadając za kierownicą.

– Czemu?

– Buffalo pozbyli się mnie, bo byłem dla nich problemem.

– Byłeś świetnym zawodnikiem.

– No, kiedy się pilnowałem.

– Chip, dlaczego ty mówisz tylko o złych wspomnieniach? Ludzie, jak tamten gość, zapamiętali cię z dobrej strony.

Z ciężkim westchnieniem poszukał jej dłoni i trzymał ją mocno.

– Nieustannie mi o tym przypominaj, dobrze?

\*

W restauracji za obopólnym, milczącym porozumieniem unikali okazywania sobie uczuć. Oboje byli znani z widzenia. Nie chcieli, żeby ich zdjęcie zrobione telefonem komórkowym znalazło się na którymś z portali społecznościowych.

Podczas jazdy do domu, wolni od ciekawskich spojrzeń, bez przerwy się dotykali. Kiedy on puścił jej rękę, ta natychmiast znalazła się na jego karku, a później na udzie. Na podjeździe Chip przywarł do jej ust w wielce obiecującym pocałunku i spełnił obietnicę, jak tylko odwiózł opiekunkę do domu. Jamie zasnęła w jego ramionach błogim snem.

\*

Przy Chipie Jamie nie potrafiła skupić się na projektach. Zaległości nagromadzone po śmierci Roya wcale się nie zmniejszały. A przecież zawsze na

pierwszym miejscu była u niej praca. Nic dziwnego, że w sobotę o piątej rano wyrwała ją ze snu gonitwa myśli. Leżała nago przez jakiś czas, chłonąc odgłosy i zapachy domu. W jej mieszkaniu ich brakowało. Nowy i solidnie zbudowany apartamentowiec miał nieokreślony zapach, tam podłogi nie skrzypiały pod nogami, rury milczały. Tutaj było inaczej. Naturalnie dominował męski i czysty zapach skóry Chipa, ale czuła też woń pasty na wiekowej podłodze. Słyszała furkot chłodnego powietrza w kratce wentylacyjnej. Dopiero cztery lata temu Chip założył tu klimatyzację.

Absurdalnie przyszło jej na myśl latanie. Zazwyczaj czuła się bezpieczniej, gdy samolot lekko trząśł, bo miała wtedy wrażenie, że on dotyka kołami ziemi.

Podobnie kojąco działały na nią odgłosy w tym domu, a może raczej ciche echa przeszłości, z czasów rodziców Chipa, dające poczucie zakorzenienia. To oni stworzyli tu rodzinę i byli szczęśliwi. Według Jamie charakter tego domu przetrwa pokolenia jego mieszkańców. Pod tym względem przypominał dom Caroline. Nareszcie zrozumiała, dlaczego matkę tak zachwycił jego wiktoriański styl. Wrażenie ciągłości sprzyja budowaniu nowego życia.

Klimatyzacja umilkła. Rytmiczny oddech Chipa stał się wyraźniejszy. Odwróciła głowę na poduszce i przyglądała mu się z uwagą – ciemne włosy, cień zarostu na szczęce, szerokie ramiona i dobre serce. Ogarnęło ją wzruszenie. Przyjemnie było czuć ciepło jego ciała w tym wychłodzonym, tak jak lubił, pokoju. Nie przyciskał się do niej przez sen. Spał z ręką na jej biodrze, jakby uspokajała go pewność, że ona tu jest.

W gonitwę myśli wkradł się teraz cichy głos i wyskandował: „Weź się do roboty!”. Odezwał się po raz pierwszy od rozstania z Bradem. Nie było w nim złości, tylko stanowczość.

Ostrożnie przesunęła się na skraj łóżka.

– Dokąd idziesz? – wymamrotał Chip, ledwo zdążyła spuścić nogi na podłogę.

– Praca mnie prześladowuje – wyszeptała, udając, że pisze w powietrzu.

Nachyliła się nad nim, cmoknęła go w policzek, owinęła się szlafrokiem i na palcach przeszła do kuchni. Usiadła we wnęcie z kartką papieru i ołówkiem i zrobiła listę klientów, dopisując do każdego ze zleceńodawców czekające ją zadania. Gdy ich liczba niebezpiecznie urosła, zaczęła przenosić niektóre z nich na inną kartkę z myślą o swojej asystentce. Ta druga lista też zrobiła się przerażająco długa. Jamie opadła na oparcie krzesła.

Caroline miała rację. Powinni zatrudnić jeszcze jednego architekta. Oczywiście nadal dawałaby sobie radę sama, ale czy na pewno tego chciała? Niekoniecznie. Projektowanie domów, biurów, centrów handlowych stanowiło jej pasję, jednak powinna uczyć się przekazywać obowiązki, a niektórymi sprawami mógłby spokojnie zająć się stażysta. Kto wie, czy znajdzie się

dyplomowany architekt, gotowy grać drugie skrzypce.

Czeka ją życiowa rewolucja. Dotąd zawsze koncentrowała się na jednym celu; najpierw to był tenis, później architektura. Nie chodziła po knajpach ze znajomymi, nie gotowała, a poza jogą i od czasu do czasu partią tenisa nie miała innych hobby. Życie wypełniała jej praca. Po raz pierwszy zapragnęła odmiany.

Aha, jeszcze jedno. Przejęcie roli gospodyni w jesiennym cyklu *Gut It!* absolutnie nie wchodziło w grę. Nie miała na to ani czasu, ani ochoty, ani energii. Właśnie zastanawiała się, jak taktownie przekazać tę decyzję Claire i co z tego wyniknie, gdy Chip wsunął się do wnęki i przytulił się do niej.

– Chłopcy się obudzili – oznajmił niskim, ochrypłym po śnie głosem. – Chcę buziaka, zanim do nich pójde.

Pocałowała go – jakie to było naturalne, jakie słodkie.

– Zajmę się nimi – odparła i westchnęła.

– Nie, ty pracujesz. – Zerknął na jej listy. – Chociaż owocnie?

Wzruszyła ramionami.

– Lubię wszystko wcześniej zaplanować. Z tego, co widzę, muszę zatrudnić jeszcze jednego architekta.

Myśli o pracy nagle odplynęły. Położyła mu głowę na ramieniu z taką swobodą, jakby ten gest powtarzała od lat.

– Powiedz, jak to możliwe, że można się tak cudownie czuć w takiej nowej sytuacji? Cały czas szukam u ciebie wad.

– Lubię niską temperaturę w domu.

Uśmiechnęła się, dotykając policzkiem jego cieplej skóry.

– Zauważyłam.

– Zostawiam podniesioną deskę klozetową. Czy to cię wkurza?

Ciągle się uśmiechając, zadarła głowę i popatrzyła mu w oczy.

– Pewnie wkurzyłoby w środku nocy. A tak na marginesie, wolę, żeby moje mydło do rąk, balsam do ciała i perfumy stały w równym rzędku.

W jego niebieskich oczach pojawiło się rozbawienie.

– Zauważyłem. Pewnie goląc się wieczorem, niechcący je poprzesuwałem.

– Może lepiej dla mnie. Nie mam nerwicy natręctw, po prostu jestem zorganizowana. I miewam nieskoordynowane ruchy. To takie krępujące.

– Urocze, tak samo jak twoje piegi.

Zakryła twarz dłonią.

– Nie cierpię ich.

Zabrał jej dłoń i splótł palce z jej palcami. W tej samej chwili z góry dobiegło natarczywe wołanie.

– Daj jeszcze buziaka – poprosił.

Ten był tak samo słodki jak tamten wcześniej. Miał w sobie ciepło, łagodność i obietnicę miłości. Tak – właśnie miłości. Dziwne, jak szybko to

wszystko się działo.

– Mam zrobić śniadanie? – spytała, gdy wysuwał się z wnęki.

Powiódł kciukiem po zarysie jej policzka.

– Lubię gotować, ty nie. Ja zajmę się śniadaniem, a ty nastaw pranie.

\*

Śniadanie i pranie. Dwie prozaiczne czynności na rozpoczęcie dnia, pełnego przyziemnych działań, które skutecznie odsuwały myśli Jamie od pracy. Pojechali do supermarketu. Podczas zakupów wyszło na jaw, że Chip nie znosi brukselki, od gładkiego masła orzechowego woli to z drobkami orzechów i kupuje wyłącznie ekologiczne mleko. Podczas wizyty w aptece po leki antyalergiczne dla Buddy'ego dowiedziała się, że Chip nie używa kremów przeciwsłonecznych, a dla syna kupuje z filtrem siedemdziesiąt. W dziale dziecięcym w bibliotece usłyszała, że lubi literaturę faktu i najchętniej czyta książki na iPadzie.

Wszędzie, gdzie chodzili, trzymali się blisko siebie. Wręcz dążyli do fizycznego kontaktu, co ją nieco zdziwiło, gdy się nad tym zastanowiła. Owszem, nie miała problemu z przytulaniem się z matką, ale z Bradem nigdy tak się nie zachowywała. Nie sądziła, że ma w naturze potrzebę klejenia się do mężczyzny.

Starali się zachować dyskrecję. W takim mieście jak Williston nietrudno natknąć się na znajomych. Za każdym razem, gdy kogoś spotykali, Jamie przychodziła na myśl Caroline. Ona pierwsza powinna zobaczyć ją z Chipem.

Jak mają się z nią spotkać, nie wspominając o ślubie? Wszystko ku temu wydarzeniu zmierzało. Kiedy położyli chłopców na drzemkę, Jamie przysiadła przy Chipie na oparciu fotela, a on podtrzymując ją jedną ręką, drugą surfował po Internecie w laptopie. Znaleźli pensjonat w New Hampshire. Właściciel miał uprawnienia do wydawania aktów małżeństwa, organizował krótką ceremonię, zapewniał muzykę, kwiaty i kolację weselną. Dniem wyznaczonym była niedziela.

– Pawilon ogrodowy. – Jamie jęknęła z zachwytem, kiedy na stronie wyświetliło się zdjęcie. – Chcę tam.

– Na pewno? – zapytał cicho Chip.

Objęła go za szyję i popatrzyła mu głęboko w oczy. Widziała w nich to wszystko, co sama czuła: lęk, podniecenie i zdecydowanie.

– Chcę – wyszeptała. – Nie powinnam. To szaleństwo. Ale chcę. A ty?

– Niczego bardziej nie pragnę. Kocham cię.

Odpowiedziała mu pocałunkiem, który trwałby może w nieskończoność, gdyby nie konieczność podjęcia ważnej decyzji.

– Co robimy z rodzicami? – spytała.

Chip ściągnął brwi. Najwyraźniej trapiły go te same obawy.

– Nie wiem. Będą próbowali przemówić nam do rozumu.

– Każą nam słuchać głosu rozsądku – dopowiedziała.

Jasne, że działali pochopnie.

– Zaczną tłumaczyć, że nie należy się spieszyć, że powinniśmy dobrze się zastanowić. Powiedzą, że to nie miłość, tylko zauroczenie.

– Będą podejrzewać, że chcę sobie odbić rozstanie z Bradem.

– A ja lecę na twoją forszę.

Co absolutnie nie było prawdą. W piątkowej poczcie pokazał jej wyciąg z rachunku inwestycyjnego. W tej chwili miał znacznie więcej pieniędzy niż ona i nadal będzie ich mu przybywać. Sytuacja niewątpliwie się zmieni po zakończeniu postępowania spadkowego; jej majątek wzrośnie, a Tad zostanie zabezpieczony na całe życie.

– Będą się martwić, że nie sprawdzę się w roli matki.

– Albo że zrobisz ze mnie pełnoetatową niańkę.

– Uznają, że jestem rozchwiana emocjonalnie po śmierci ojca i nie potrafię jasno myśleć. A to nieprawda. Chyba nigdy tak jasno nie myślałam ani nie wiedziałam tak dokładnie, czego chcę. Chip, przecież jesteśmy dorosłymi, rozsądnymi i odpowiedzialnymi ludźmi.

Odpowiedział jej ciepłym, pełnym uwielbienia uśmiechem.

– To prawda. – Jego uśmiech przybladł. – Ale oni i tak każą nam się wstrzymać. Zaproponują, abyśmy pomyśleli o tradycyjnym ślubie.

– Zależy ci na takim ślubie? – spytała, a widząc, jak nieznacznie pokręcił głową, dodała: – Mnie też nie.

– Poczują się urażeni, jeżeli pobierzemy się po cichu.

– Taak – westchnęła. To był jedyny powód, który przemawiał za zwłoką. Nie poznała rodziców Chipa, lecz z tego, jak o nich mówił, wynikało, że są prawymi i serdecznymi ludźmi. Chip był z nimi tak samo związany jak ona z Caroline. No i nie wolno jej zapomnieć o Theo. Wszyscy poczują się zranieni.

Chip podniósł jej dłoń i przycisnął ją do ust. Ciepło oddechu owionęło jej skórę.

– Wiem tylko – zaczął, patrząc na nią z powagą – że nie pamiętam, kiedy czułem się taki szczęśliwy jak w tym ostatnim tygodniu, nawet nasze rozmowy przez telefon wprawiały mnie w euforię. Kocham mojego synka, ale to nie to samo. Wiem, czego szukałem u życiowej partnerki, i to wszystko znalazłem u ciebie. Niech sobie wszyscy mówią, co chcą, i tak nic nie zmieni tego, co czuję.

Pocałował po kolei kostki jej dłoni, potem pogładził je kciukiem.

– Moglibyśmy się wstrzymać – spekulował.

– Moglibyśmy.

– Moglibyśmy pobrać się za miesiąc czy dwa i mieć ich wszystkich na ślubie. Jakoś byśmy to przeżyli.

– Pewnie tak – zgodziła się, chociaż wszystko w niej buntowało się przeciwko temu pomysłowi. – Ojciec w dniu śmierci nazwał mnie krótkowzroczną

egoistką. Może miał rację co do egoistki, ale krótkowzroczność? Nasz związek zapewni Tadowi stabilną rodzinę z cudownym ojcem i braciszkiem, a poza tym to nasze życie. Taki potajemny ślub ma w sobie wiele romantyzmu, biorąc pod uwagę, jak krótko się znamy. Chłopców dopuścimy do tajemnicy. Będą zachwyceni, że dzielą ją z nami.

– Już mieszkamy ze sobą – odpowiedział Chip. – Klamka zapadła. Masz jakieś wątpliwości co do swych uczuć?

Nie miała. W życiu zazwyczaj kierowała się rozumem, lecz odkąd poznała Chipa tam, na placu zabaw, odkąd zostali kochankami i zamieszkali razem, odkąd zaczęli rozmawiać o ślubie, nie miała najmniejszych wątpliwości co do przyszłości. Nigdy nie była przesadnie romantyczna, ale jeżeli istniało coś takiego jak bratnia dusza, to dla niej był nią Chip.

Gdy chciał się upewnić, czy ona ma wątpliwości, odparła:

– Żadnych.

Kochała matkę. Owszem, wiedziała, że być może wystawia na ryzyko ich już i tak kruche relacje, ale uznała, że wreszcie dorosła, aby żyć po swojemu i niezależnie podejmować decyzje.

– Rezerwujemy – powiedziała ze zdecydowanym kiwnięciem głową.

Chip wypuścił wstrzymywany oddech.

– Uważaj sprawę za załatwioną – oznajmił szarmancko i wybrał numer telefonu do pensjonatu.



## Rozdział 22



Caroline gładko upłynęła godzina z Zoe Michaels. Wielokrotnie udzielała wywiadów i chociaż żadne z wcześniejszych mediów nie miało takiego prestiżu jak „Globe”, tamci dziennikarze bywali bardziej natarczywi. Możliwe, że reporterkę onieśmielała niedawna śmierć Roya, a może jej młody wiek, w każdym razie Caroline, dzięki swojemu doświadczeniu, zręcznie uchylała się od odpowiedzi na niewygodne pytania, trzymając się głównego przekazu. Owszem, rodzinę MacAfee boleśnie dotknęła ta tragedia. Roy miał duży udział w wytyczeniu kierunku rozwoju tej firmy, co doprowadziło ją do rozkwitu, i oni, jego spadkobiercy, będą nadal podążać tą drogą. Tak, to prawda, Roy był jednym z pomysłodawców *Gut It!* Program będzie kontynuowany, kolejny cykl ukaże się jesienią i znajdzie się tam wszystko, co widzowie tak lubią.

Spotkała się z reporterką na patio MacAfee Building, pustym w sobotni poranek. Po rozmowie prosto stamtąd pojechała do wiejskiego domu Deana, gdzie w roboczym ubraniu, goglach i rękawicach zabrała się do przycinania, zbijania i frezowania desek na ławkę, która miała stanąć w narożniku błyskawicznie powstającego tarasu.

Zaczęła z zapalem, lecz szybko rozproszył ją widok pracującego Deana. Zazwyczaj częściej kontrolował plan robót i nadzorował ekipy budowlane, niż sam brał się do pracy fizycznej. Pozostał jednak bardzo zręcznym budowlańcem, a teraz w pełnym słońcu wyglądał imponująco: rozebrany do pasa, ze skórą lśniącą od potu. To, że nigdy się nie oszczędzał, kiedy zachodziła taka potrzeba, nie było niczym nowym dla Caroline. Zajadłość, z jaką dawniej rzucał się na robotę, sprowokowała ją do pytań, dzięki którym dowiedziała się o jego rozpadającym się małżeństwie. Później, w najczarniejszym okresie potyczek rozwodowych i braku kontaktu z synem, najłatwiej otwierał się przed nią, gdy wbijał gwoździe w drewno.

Dzisiaj wyglądał jakoś inaczej, niż go zapamiętała z tamtych czasów. Pracował wytrwale, ale bez dawnej zawziętości. Ot, człowiek, któremu praca fizyczna sprawia frajdę. Obserwowała go przez jakiś czas; wierzyła, że jego dobry nastrój wynika z tego, co dzieje się między nimi.

Musiała ściągnąć go wzrokiem, bo podniósł głowę, popatrzył na nią z roztargnieniem, a potem spojrzął jeszcze raz z niepewnym uśmiechem.

– I jak? Dobrze mi idzie?

– Doskonale. – Pomachała ręką. – Wracaj do roboty.

Sama też skupiła się na pracy, ale nie na długo, bo upał wzmagał pragnienie. Wyniosła na dwór zimną lemoniadę w dużym turystycznym kubku. W tym pomieszczeniu, które trudno było nazwać kuchnią, nie znalazła termicznych filiżanek, pili więc oboje z jednego kubka.

Nie musieli rozmawiać. Milcząc, dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Tak dobrze, że kiedy Dean wrócił do piły i młotka, Caroline rozsiadła się w pobliżu na trawie z czytnikiem e-booków.

– Nieprawdziwa książka? – Dean obejrzał się, przerywając na moment wbijanie gwoździ.

Uniosła czytnik do góry.

– Dostałam od Jamie na Gwiazdkę.

– Aha. – Powrócił do swego zajęcia.

W pewnej chwili stukanie ponownie ustało. Zorientowała się dopiero, gdy tuż przy uchu usłyszała jego głos. Przykucnięty za nią, zaglądając w tekst ponad jej ramieniem, przeczytał cicho z udawaną egzaltacją:

„Jestem naga i rozpalona, bliska orgazmu, a przecież on mnie nawet nie dotknął”. Jezu, Caro, co to?

To była ta sama książka, którą czytała tamta kobieta w kawiarnianym ogródku. Na jakieś pięć sekund sparaliżował ją wstyd, zanim uświadomiła sobie, że zachowuje się jak idiotka.

– Jak to możliwe, że widzisz litery bez okularów? – zapytała zaczepnie, gdy ochłonęła.

– Są odpowiednio duże. – Wyraźnie się z nią droczył. – Pewnie nie chcesz uронić ani słowa?

– Powiększam druk, żebym mogła czytać na słońcu.

– No, jasne.

– Naprawdę – zapewniła go, usiłując zachować powagę.

Co nie było łatwe, bo jego zarost łaskotał ją w policzek.

– Pewnie wolałabyś, żeby nikt nie widział, co czytasz – nie przestawał się z nią przekomarzać.

– To oczywiste. Przy tym amancie mógłbyś wpaść w kompleksy.

– Poważnie?

– Poważnie. Czytam to tylko po to, żeby zobaczyć, co ludzi kręci w takich książkach.

– Wcześniej nie chciałaś wiedzieć.

– Nie, nie chciałam. – Nie analizowała, dlaczego tamtej kobiety, którą była, w ogóle to nie ciekawiło, a tę, owszem, i to bardzo.

Oparł się nagim barkiem o jej plecy.

– I...?

– Co i?

– Czy w tej książce jest tak gorąco jak u nas?

– Goręcej – odparła i wybuchając śmiechem, zatrzymała dłoń, która wśliznęła się jej za koszulę. – Żartuję, Dean. To kiepska imitacja... Oj, nie – zaprotestowała, gdy rozpląszczył ją na ziemi, przygniatając sobą. – Nie tutaj, nie za dnia, gdzie ktoś może nas zobaczyć. Poza tym kamienie uwierają mnie w plecy i oboje jesteśmy spoceni.

Zsunął się trochę, nadal naciskając na nią nagą piersią falującą od przyspieszonego oddechu.

– Możemy wieczorem razem poczytać tę książkę?

Udała, że się zastanawia.

– Pod warunkiem, że skończymy taras. Myślisz, że się uda?

W odpowiedzi zerwał się z ziemi i wrócił do swoich narzędzi. Ona też wzięła się do pracy. Kiedy uporała się ze swoją robotą, pomogła mu zbijać deski. Zbliżało się popołudnie. Wraz z upływem czasu narastał w niej niepokój i nie w głowie jej były myśli o seksie. Jamie nie odezwała się od wczorajszej chaotycznej rozmowy.

Niepotrzebnie się przejmuję, pewnie dobrze się bawi. Ma prawo, tłumaczyła sobie, mimo woli doszukując się dramatycznych przyczyn tej ciszy. Może Chip wcale nie okazał się takim wspaniałym facetem, jak Jamie sądziła, i teraz, po tych wszystkich ochach i achach, wstydzi się przyznać do porażki. Bała się, że dziewczyna może przeżyć kolejne rozczarowanie.

Dean zaproponował, żeby wrzucili coś na grill i zjedli na dworze, ona wolała pojechać w jakieś miejsce, gdzie widok kręcących się ludzi pomógłby rozproszyć złe myśli. Na przykład do którejś z kawiarni z ogródkiem w Bostonie. Ugodowo zdecydowali się na podmiejską restaurację nad Charles River. O jej popularności świadczyła przewijająca się tam liczba klientów, a położenie nie wymagało przepychania się przez zatłoczone o tej porze miasto. Mogli pojechać na harleyu, na co bardzo nalegał Dean, twierdząc, że musi się wyluzować po ciężkim tygodniu w pracy.

Caroline dobrze wiedziała, jak wyglądał jego ostatni tydzień. Bez przerwy dzwoniąca komórka i rozwiązywanie stresujących problemów, od prozaicznych po bardziej skomplikowane i wręcz dramatyczne, jak choćby dostawa partii popękanego marmuru, walka z szopem praczem, który wraz z przychówkiem zrobił sobie norę na placu budowy, i atak serca u cieśli w trakcie pracy na rusztowaniu.

Dla Deana praca przy jego wiejskim domu, gdzie wszystko miał pod kontrolą, a ciszę zakłócał odgłos pojedynczych narzędzi, stanowiła odskocznię, ale to jazda na harleyu była czystą radością. Nie mogła go jej pozbawić.

Najpierw jednak pojechała na pedikiur. O tej porze w salonie było pustawo. Obie z Annie zawsze umawiały się na ostatnią godzinę, najchętniej w sobotę, żeby w niedzielę, kiedy nie pracowały, mieć zadbane paznokcie. Często dołączała do

nich Linda Marshall, lecz tym razem były same.

Siedziały obok siebie na fotelach z masującym oparciem, z nogami w wanienkach z hydromasażem. Rozmawiały o błahostkach – nowej odmianie piwonii i letniej sałatce U Fiony. Dopiero gdy umilkły wirówki i ich stopami zajęły się słabo znające angielski pedikiurzystki, Caroline zapytała Annie o Jordana.

Ta wzruszyła ramionami.

– Skończyłam robotę we wtorek, niewiele go widziałam – powiedziała swoim piskliwym głosem, podejrzanie nie odrywając wzroku od palców u stóp.

– Postanowiłaś zachować rozwagę?

Ciche prychnięcie.

– Można tak to ująć.

– Och, co się stało?

Annie zsunęła się niżej w fotelu i unosząc siwe włosy, oparła szyję o zagłówek.

– Chyba poniosła mnie wyobraźnia.

– Jak to?

Rzuciła Caroline rozgryzione spojrzenie, zanim z powrotem skupiła się na działaniach pedikiurzystki.

– Ostatnim razem, kiedy tam byłam, weszłam do domu powiedzieć mu, że skończyłam. Akurat firma od wystroju okien zajmowała się zasłonami, wiedziałam więc, że nie jest sam, ale uznałam, że tak jest nawet z pewnością, no bo wiesz, jak się chce, zawsze się można jakoś umówić. Wołając go, rozglądałam się po domu i w końcu znalazłam go w maciupkiej łazience na parterze z kobitką z tamtej firmy. Sprawdzał, czy działają żaluzje. Oni nie robili nic niewłaściwego, nie wydawał się zakłopotany czy speszony na mój widok. Nie zdejmując ręki z ramienia tej pani, skinieniem głowy zaprosił mnie do środka. Kiedy mi ją przedstawiał, dotknął mojego ramienia, a gdy przedstawiał mnie, ją pogładził po włosach. Musnął mnie kciukiem po podbródku, opowiadając o nasadzeniach, a chwalać żaluzje, poklepał ją po policzku. Najwyraźniej jest z tych, co mają ruchliwe rączki.

– Nic więcej poza mizianiem?

Annie zrobiła obrażoną minę.

– Caroline, to nie jest śmieszne. Kiedy mnie dotykał, czułam się pożądana. Myślałam, że wysyła jakieś sygnały. – Westchnęła z rezygnacją. – Chciałam tak myśleć, bo byłam spragniona dotyku.

Caroline drgnęła, gdy pedikiurzystka dotknęła do łaskotliwego miejsca w okolicy stwardniałej skóry na pięcie. Nie chciała, żeby Annie wdała się w romans z Jordanem, niemniej było jej żal przyjaciółki. Naprawdę była rozczarowana.

– Przykro mi.

– Powiedziałam Byronowi.

– O Jordanie?

– Tak, bo do niczego nie doszło, a ja zrozumiałam, czego potrzebuję i że sprawa jest poważna. Jeżeli nie Jordan, to znajdzie się ktoś inny.

– Powiedziałaś mu to?

– Owszem. – W głosie przyjaciółki nie było śladu żalu. – Byron musi przyjąć do wiadomości, że nie rzucam słów na wiatr, kiedy mu mówię, że czuję się zaniechtywana.

Jest dobrze, Caroline ucieszyła się w duchu. To znaczy, że Annie daje jeszcze swojemu małżeństwu szansę.

– Dotarło do niego? – spytała.

– Chyba tak. Inna sprawa, czy coś z tym zrobi.

– Jestem pewna, że tak.

– A ja wcale, ale trzeba spróbować. Wybieramy się na weekendową randkę.

– Dobry początek. Jeśli chcesz, podpowiem ci naprawdę romantyczne miejsce. – Parsknęła śmiechem. – Wiejski dom Deana.

Annie popatrzyła na nią z ciekawością.

– Ten dom, którego podobno nie znosisz, bo wymaga mnóstwa roboty? – Uniosła brwi. – Romantyczny?

– Pomijając grasujące tam duchy, ale jeśli facet nie potrafi cię przed nimi obronić, to znaczy, że jest do niczego.

– Romantyczny – powtórzyła Annie, a tym razem w jej głos zakradła się podejrzliwość. – Czyżby coś mi umknęło?

Caroline na pewno wybrałaby inny moment na podzielenie się z nią tą nowiną, ale wyraz jej twarzy mimo woli mówił o ekscytacji. Zaprzeczając, okłamałaby przyjaciółkę.

– Romantyczny? Och, tak.

– Dean?

Skinęła głową.

Annie bez śladu zgorszenia czy zazdrości wykręciła się w fotelu, żeby lepiej ją widzieć.

– O rany! Mów.

– Nikomu więcej nie mówiłam.

– I nikt się nie dowie. – Annie uśmiechnęła się, że zamyka usta na kłódkę. – Opowiedz mi wszystko.

Caroline nie miała zamiaru wdawać się w szczegóły. Bardzo ceniła sobie szczerłość w kontaktach z przyjaciółką, lecz niektóre sprawy były zbyt osobiste, żeby się nimi dzielić. To, co działo się między nią i Deanem, miało szczególnie charakter. I chciała, aby tak zostało.

– No wiesz, jedno prowadzi do drugiego – skomentowała oględnie. – Było miło.

– Miło – powtórzyła po niej Annie.  
– Świetnie się razem bawiliśmy.  
– Bawiliście się? Nie mogę uwierzyć, że tak spokojnie mówisz o baraszkowaniu w łóżku z Deanem Brannickiem.

Caroline rzuciła znaczące spojrzenie na pedikiurzystki, które w tej chwili wmasowywały im krem w stopy. Podejrzewała, że wbrew wcześniejszym przypuszczeniom te kobiety rozumiały każde słowo z ich rozmowy. Imiona miały egzotyczne, ale nazwiska już nie.

Annie ustąpiła o tyle, że zgodziła się obniżyć głos.

– Czy ty wiesz, ile kobiet o tym marzy? Ilu serce szybciej bije, gdy go widzą w telewizji? Ile kobitek myśli o nim, kochając się z kimś innym?

– Co też ci przychodzi do głowy – zgasiła ją Caroline, czując jednak podniecający dreszczyk na myśl, że to możliwe. Dean należał do niej. Nadal patrzyła krytycznie na swoje ciało, ale jemu chyba się podobało. Mówił to wiele razy, często je dotykał. Zaczynała mu wierzyć.

– Dobry jest?

– Bardzo dobry – wyznała cicho Caroline, bo to mu się należało.

– I jak? Znikły tamte twoje obawy?

Caroline oblała się rumieńcem. Pamiętała ich rozmowę – aż trudno uwierzyć, że minął od niej zaledwie tydzień, biorąc pod uwagę to wszystko, co się potem wydarzyło.

– Sprawił, że zniknęły – odparła.

– Ha. Zuch dziewczynka. Jamie wie?

– Nie i dlatego cię prosiłam o dyskrecję – zastrzegła z naciskiem przyciszonym głosem. – Ty jedna wiesz. Nie mam pojęcia, co powie Jamie. Tyle się teraz u niej dzieje w związku z Tadem i w ogóle. – Nie mogła wspomnieć Annie o Chipie, pomijając Brada, a salon kosmetyczny nie był najlepszym miejscem na takie wynurzenia. Nikt w firmie nie wiedział o zerwanych zaręczynach. – Martwię się o nią. I nic na to nie poradzę. Nie umiem znaleźć sobie miejsca, jeżeli się nie odzywa.

– Kiedy ostatnio rozmawialiście?

– Wczoraj rano. Tak, wiem – dodała w odpowiedzi na ironiczne spojrzenie przyjaciółki. – To znowu nie tak dawno, ale kiedyś bez przerwy wisiałyśmy na telefonie. – Oczywiście tak było przed historią z *Gut It!*, ale Annie o niej nie wiedziała. – Większość kobiet ma dziewięć miesięcy na przyzwyczajenie się do myśli o dziecku, a nawet więcej, jeśli jest planowane. Adopcyjni rodzice też wcześniej wiedzą, na co się decydują. Jamie ta sytuacja zaskoczyła. Z dnia na dzień została matką. Na pewno ma mnóstwo pytań i wątpliwości. Chciałabym, żeby z nimi do mnie dzwoniła.

– Jej pokolenie szuka informacji w Necie.

– Nie chcę, aby akurat tam ich szukała. Lepiej słuchać rad kogoś, kto myśli podobnie do niej.

– Czyli twoich. Zauważ, że podejście do wychowywania dzieci bardzo się zmieniło od czasu, kiedy nasze były małe. Jak słucham rozmów swoich pomocnic o dziecięcym wyposażeniu, jedzeniu czy dyscyplinie, mam wrażenie, że one mówią w obcym języku. Jamie ten język rozumie. Musi korzystać ze współczesnych źródeł.

Caroline sapnęła zniecierpliwiona.

– To samo mówi Dean.

Silne ręce masowały jej łydki, pięty, podeszwy stóp i paluchy, usuwając napięcie z nóg.

– Staram się jej nie narzucać. Naprawdę się staram, Annie, ale to niełatwe. Kiedy grała w tenisa, to ja wozilałam ją na treningi, bo Roy, oczywiście, nie miał czasu. Byłam jej psychoterapeutką na telefon podczas studiów w college'u. Obecnie ciągle spotykamy się w pracy, a jeszcze więcej czasu spędzamy razem na planie *Gut It!* Jest moją córką. Kocham ją.

– To nie ma nic wspólnego z miłością. Ona potrzebuje przestrzeni, żeby dorosnąć.

Ta rozsądna, praktyczna część Caroline wiedziała, że przyjaciółka ma rację. Pozostała nie przestawała się martwić.

– Czasami – kontynuowała Annie – warto trzymać się zasady, że co z oczu, to z myśli.

– Łatwo ci mówić. Masz synów. Z chłopakami jest inaczej. Jamie jest jedynaczką i jesteśmy ze sobą bardzo zżyte. Pamiętaj, że ona przechodzi rewolucyjną zmianę w życiu.

– Zadzwoń, jeżeli będzie ciebie potrzebować. Może chce załatwić swoje sprawy po swojemu.

Caroline pomyślała o zerwanych zaręczynach i zauroczeniu Chipem.

– Dean też tak uważa – westchnęła. – Robi mi wykład, a potem wyszukuje najróżniejsze zajęcia, żeby odwrócić moją uwagę od Jamie.

Było też jeszcze coś. Zbliżenie się z Deanem, korzystnie wpłynęło na jej samopoczucie. Zapomniała o trudnych chwilach zafundowanych jej przez Claire. Dean i obudzona po latach seksualność dodały urody jej życiu. Claire mogła sobie mówić, że ona jest stara, lecz to, co robiła z Deanem, dowodziło, że jeszcze jest całkiem do rzeczy. I budziło nadzieję na przyszłość.

Co wcale nie znaczyło, że seks przesłonił inne sprawy w jej życiu.

Absolutnie nie.

Ale było miło.

– Cieszę się, że z nim jesteś – wyznała Annie. – Przynajmniej masz jakieś życie poza Jamie.

– A jeżeli ona się pogubi? – spytała Caroline.

To był jej największy lęk. Na tej nowej drodze czekało Jamie mnóstwo problemów.

– Trudno. Wszyscy popełniamy błędy.

– Jeśli popełni jakiś poważny błąd?

– To będziesz pod ręką, żeby pomóc jej się pozbierać – spokojnie tłumaczyła Annie. – Od tego są matki.

– Jakbym słyszała Deana. Czy wyście się zmówili?

– Nie, jednak skoro tak mówi, to znaczy, że oprócz wyglądu ma także rozum. Ale, ale, mówiąc o rozumie... – Jej oczy powędrowały ku wejściu.

– Och, jak dobrze, że was jeszcze zastałam! – zawołała z ulgą Linda, wpadając do środka.

Caroline rozejrzała się po salonie.

– Van już chyba poszła do domu.

Van była ulubioną pedikiurzystką agentki nieruchomości.

– Nie przyszłam robić paznokci. – Linda przysiadła na sąsiednim fotelu i nachyliła się ku Caroline, opierając dłonie na kolanach – Może to nic takiego, ale przypadkiem usłyszałam coś podczas meczu Timmy’ego w lacrosse. Dwóch facetów rozmawiało o rynku nieruchomości. Jeden radził temu drugiemu, że jeżeli myśli o zakupie naprawdę ciekawego domu, powinien się wstrzymać, aż Barthowie zaczną budować na parceli Weymouthów. Wtrąciłam się i spytałam, skąd ma takie wiadomości. Powiedział, że zgadał się z tym Barthem, który mieszka w Williston. Ich dzieciaki latem grają razem w piłkę nożną. W drodze do salonu zadzwoniłam do dwóch zaprzyjaźnionych agencji. Nie słyszeli o żadnych transakcjach, natomiast Barthowie odwiedzili oba miejsca, pytając o działki wystawione na sprzedaż.

Caroline targnął gniew. Widziała tylko jedno wytłumaczenie: Barthowie chcieli wykorzystać śmierć Roya i przejściowy zamęt w MacAfee. Pogodziłaby się ze stratą kilku działek, ale wypuszczenie z rąk terenu Weymouthów ugodziłoby w reputację ich firmy, a dla Thea, który długo i mozolnie zdobywał dominującą pozycję w Williston oraz w pasie miejscowości leżących na zachód od Bostonu, to byłby bolesny cios. Jamie też zdążyła włożyć sporo pracy w projekt wymarzonej zabudowy. A co z *Gut It!*? Czyż Claire nie napomknęła, że myśli o nakręceniu sezonu z Barthami? Jeżeli zdobędą teren Weymouthów, mają program w kieszeni.

Caroline nigdy nie była tak zajadle ambitna jak Roy czy Jamie, lecz teraz obudził się w niej duch walki.

– W takim razie – zwróciła się do Lindy z nieznaną jej dotąd determinacją – musimy ich ubiec, choćbyśmy mieli grać nieczysto. Wykorzystamy miejscowe układy. Rodzina Weymouthów jest tak samo zakorzeniona w Williston jak MacAfee. Barthowie praktycznie są outsiderami.

– O ile wiem, tylko jeden z trzech synów Mildred Weymouth nadal mieszka



w Massachusetts.

– John – potwierdziła. – W Bostonie. Nie miałam okazji go poznać. – Odwróciła się do przyjaciółki. – Annie? Ty znałaś Weymouthów w dzieciństwie, prawda?

– To było dawno temu. I raczej nie byliśmy zżyci.

– Czemu?

– Inna półka.

Ktoś inny mógłby pomyśleć, że piskliwy głos jest oznaką zażenowania, lecz Caroline dobrze ją znała. Annie była dumna ze swojego pochodzenia.

– Mój tata zarabiał na życie koszeniem trawy. – Zadziornie uniosła podbródek. – Słabo mówił po angielsku, jeździł po okolicy z cygarem w zębach i z kosiarką na pace ciężarówce. Nigdy nie ścinał trawy u Weymouthów ani u nikogo w mieście. Weymouthowie zatrudniali ogrodnika. Jak widać, tamte czasy minęły. Z tego, co słyszałam, pieniądze z funduszu powierniczego się rozpląnęły i dlatego chcą sprzedać ziemię. Tyle im zostało z majątku.

– Będą za nią dużo chcieli – ostrzegła Linda. – Nie możemy ryzykownie windować ceny podczas wojny przetargowej z Barthami.

– Dużo to według ciebie ile? – spytała Caroline.

Agentka zastanawiała się przez chwilę.

– Trzydzieści akrów zalesionego terenu i do tego jakieś dwadzieścia sześć pod zabudowę, która może przynieść z milion dolarów, w tym dwa akry terenu rekreacyjnego i rezydencja zajmująca kolejne dwa. Jest stara, ale solidnie zbudowana, można ją wyremontować i sprzedać za dwa miliony dolców albo podzielić na cztery apartamenty i wystawić na sprzedaż po pięćset tysięcy za każdy. Policz to sobie. Weymouthowie na pewno zrobili dokładną wycenę.

– I Barthowie też – mruknęła Caroline. – Górna granica dla MacAfee?

– Według mnie milion za dom i trzy za resztę.

Cztery miliony do wydania, a inwestycja może przynieść około dwudziestu ośmiu milionów? Koszt budowy domów o luksusowym standardzie nie będzie niski, a tylko takie w tej lokalizacji wchodziły w grę. Caroline wystarczająco długo obracała się w kręgach deweloperskich, żeby przewidzieć, gdzie da się wycisnąć przyzwoitą marżę zysku. Musi porozmawiać z dyrektorem banku MacAfee i oczywiście z Theo. Ambicje i korzyści strategiczne wynikające z inwestycji na parceli Weymouthów to jedna sprawa, ale kwota, jaką trzeba na ten cel przeznaczyć, jest niebagatelna.

– O ile Barthowie nie złożą oferty – zastrzegła Linda. – W tej chwili nie widać innych konkurentów, ale to się może zmienić, gdy rozejdzie się wiadomość, że posiadłość jest na rynku. Podaż domów na terenach na zachód od Bostonu jest słaba. Mogą niespodziewanie pojawić się nieznani oferenci.

– Będziemy działać błyskawicznie – obiecała Caroline. – Trzeba zacząć od

przedstawienia Weymouthom odpowiedniej oferty. Jak myślisz, ile powinniśmy zaproponować?

– Nie jestem pewna. Muszę zrobić dokładną kalkulację. Najważniejsze, aby ściągnąć tutaj wszystkich braci i zrobić dla nich prezentację. Macie projekty, które można by im pokazać?

Caroline pomyślała o Jamie. Fruwała nie wiadomo gdzie z Chipem Kobikiem. Na pewno nie ślęczała nad rysownicą, bo do tej pory wszystko było raczej w sferze mglistych planów. Miała kilka surowych rysunków. Caroline wiedziała, że Jamie zdąży je podrasować. Najwyżej zarwie kilka nocy. Zależało jej na tym projekcie nie mniej niż Caroline.

– Tak, mamy – Caroline zapewniła Lindę i zwróciła się do Annie: – Możemy przyjąć, że będziemy negocjować z Johnem, skoro jest na miejscu?

– Wątpię. Bracia są skłóceni. Nie zgodzą się, aby jeden z nich podejmował jakiegokolwiek decyzje w imieniu całej trójki.

– A gdzie oni teraz są?

– Najstarszy, Ralph, mieszka w San Francisco. Zajmuje się wykupywaniem firm, które następnie przebranżawia i sprzedaje. Od dawna twierdzi, że jest gotowy zainwestować w rodzinny teren, jednak jako mieszkaniec Zachodniego Wybrzeża, nie ma tu odpowiednich układów. Średni brat, Ralph, jest zubożałym artystą.

– Potrzebuje pieniędzy.

– Bardzo. A nasz miejscowy kmiotek został znanym chirurgiem plastycznym.

Caroline o tym wiedziała. Jego nazwisko co rusz ukazywało się na liście rankingowej „Najlepsi w Bostonie”. Bardziej kojarzono je z botoksem niż z chirurgią.

– Zgarnia kupę szmalu – ciągnęła Annie – ale co zarobi, to wydaje. Opowiada braciom, że chce zachować posiadłość dla siebie. Podobno myśli o otwarciu kliniki w rezydencji. Zapewne w Williston nie miałby zbyt wielu klientek, jednak taki pomysł chodzi mu po głowie. Uważam, że kluczową postacią jest Herschel Oakes. To prawnik reprezentujący rodzinę i ktoś w rodzaju rozjemcy dla braci. Zaczęłabym od niego.

Caroline musiała się z nią zgodzić, aczkolwiek niechętnie. Znała Herschela, nawet kiedyś po rozwodzie umówiła się z nim na randkę. Jeden raz wystarczył. Strasznie zadufany w sobie. Nie było między nimi chemii i teraz też jej nie będzie, ale skoro droga do tego łakomego kąska prowadziła przez lokalne układy, postanowiła się poświęcić.

W przeszłości takie sprawy załatwiałby Theo, a po nim Roy. Z doświadczenia wiedziała, że kontakty biznesowe między mężczyznami przynoszą lepsze efekty, lecz w obecnej sytuacji nie chciała wciągać w to Brada.

Dean by się sprawdził, niestety, on nie należał do klanu MacAfee.

Jamie mogłaby się tym zająć. Pechowo dwa fakty działały na jej niekorzyść: płeć i młody wiek. Poza tym była architektką, a nie handlowcem. Caroline też się niespecjalnie znała na transakcjach i nie miała menadżerskiego doświadczenia, lecz kto poza nią pozostał?

Na niej spoczywa odpowiedzialność.

Ta sama myśl prześladowała ją już wcześniej, po odejściu Roya. Wtedy musiała samotnie zająć się wychowywaniem Jamie i stawić czoło wielu problemom.

Pewne sprawy nie zmieniają się z upływem czasu, ale zmienia się perspektywa. Miała pięćdziesiąt sześć lat. Z wiekiem przybyło jej rozumu, pewności siebie i odwagi. Powinna wykorzystać te atuty i przejąć kierowanie MacAfee. Jeszcze dziesięć lat temu coś takiego byłoby nie do pomyślenia.

Zależało jej na terenie Weymouthów ze względu na Jamie, na Thea i na dobro firmy. Chciała tej inwestycji dla *Gut It!* I nie ma co ukrywać, chciała jej też dla siebie. Miała duszę stolarza artysty; marzyło jej się wykonanie stylowych detali, wyrysowanych przez Jamie. Poza tym gdyby odniosła taki spektakularny sukces w swoim wieku, pokazałaby wszystkim, na co ją stać.

W świetle ostatnich wydarzeń ten ostatni argument wydał jej się teraz bardzo istotny.

\*

Wahała się, czy zadzwonić do Jamie. Sobota wieczór. Jeżeli nie wybrała się gdzieś z Chipem i chłopcami i siedzi w domu, chyba odezwałaby się do matki? Miała w głowie przestrożę Annie; może chce załatwiać swoje sprawy po swojemu.

Uwaga przyjaciółki dotyczyła życia prywatnego.

Tu chodziło o interesy.

Pokonując skrupuły, wystukała numer Jamie w drodze do domu. Gdy włączyła się poczta głosowa, nagrała wiadomość: „Hej, skarbie, przepraszam, że zawracam ci głowę, ale pojawiły się nowe okoliczności. Linda Marshall ma podstawy, żeby sądzić, że Barthowie podejmują zakulisowe działania, by dopiąć transakcję z Weymouthami, zanim będziemy mieli szansę złożyć ofertę. Jeżeli chcemy z nimi wygrać, musimy działać szybko. Zajmę się koordynacją wszystkich spraw, oczywiście poza projektami. To twoja działka. Oddzwonisz?”

Z niecierpliwością czekała na odzew. Jazda zajęła może z pięć minut, ale Caroline już na podjeździe napisała esemesa.

*Zostawiłam wiadomość w poczcie. Daj znać, czy odsluchalaś. To pilne.*

Minął kwadrans. Telefon leżał na krawędzi umywalki. Odpowiedź nadeszła, gdy wyszła spod prysznicza.

*To się dzieje w tej chwili?*

Aha, Jamie nie była zachwycona. Cholera, ona też nie.

*Musimy doprowadzić do spotkania z Weymouthami na początku tygodnia, odpisała. Na jakim etapie są twoje projekty?*

Mijały minuty. Kiedy Caroline z kaskiem w ręce wsiadała na harleya, poczuła na udzie wibrowanie komórki.

*To tylko szkice, przeczytała.*

*Kiedy będziesz gotowa pokazać coś więcej?*

Nie chciała naciskać na Jamie, ale potrzebowała konkretów na prezentację.

Tym razem odpowiedź nadeszła szybciej. Właśnie jechali do restauracji. Caroline nie mogła jej od razu przeczytać, bo nie czuła się pewnie na motorze i bała się oderwać rękę od prowadzącego Deana.

Sięgnęła po telefon, jak tylko zajechali na parking.

*Może w środę?*

*Nie dałabyś rady na wtorek? Czuję oddech Barthów na plecach.*

*Postaram się.*

## Rozdział 23



W ciepły niedzielny poranek na niebie wisiała gruba warstwa chmur, ale Jamie nawet mżawka nie byłaby w stanie zepsuć humoru. Postanowiła odsunąć od siebie myśli o obietnicy danej Caroline i o czekającym ją karkołomnym zadaniu, jakim było dopracowanie projektu na wtorek. W tej chwili wołała nie pamiętać, jak bardzo jej na nim zależało i jak bardzo bała się go stracić.

To dzień jej ślubu. Nawet wspomnienie wymiany esemesów z matką wydawało się odległe i wraz z rzedniejącą mgłą coraz bardziej się rozwiewało. Na granicy New Hampshire niebo zaczęło się przecierać, a pensjonat, dworek w kolonialnym stylu, przywitał ich w pełnym słońcu.

Dobry omen. Jamie dokładnie pamiętała ulewę w noc śmierci ojca i już podejrzewała, że jej życiem zawsze będą wstrząsały burze. A słońce akurat teraz właśnie tutaj? Chciała wierzyć, że to Roy się uśmiecha, widząc w swojej niebiańskiej mądrości, że córka dobrze robi, wychodząc za Chipa.

Właściciel pensjonatu już na nich czekał. Zgodnie z obietnicą miał przygotowane dokumenty, wystarczyło je tylko podpisać. Po niecałej godzinie Chip i chłopcy w wyprasowanych koszulach, w szortach i sandałach, a Jamie w letniej sukience przystąpili do uroczystości. W ogrodowym pawilonie obrośniętym dzikimi różami, takimi samymi jak w bukiecie panny młodej, przy akompaniamencie duetu złożonego ze skrzypiec i wiolonczeli Jamie i Chip złożyli najprostszą, wzruszającą, płynącą z serca przysięgę.

Na szczęście dla chłopców, którym trudno było wytrwać w jednym miejscu, gdy kusił widok soczystego trawnika, ceremonia trwała zaledwie pięć minut. Dla Jamie to były najpiękniejsze i niezwykle poruszające minuty. Gdy ze ściśniętym ze wzruszenia gardłem i z sercem przepełnionym radością patrzyła przez łzy w oczy Chipa, nie wiedziała, czy płacze dlatego, że to wszystko tak nagle na nią spadło, i czy płakałaby tak samo, gdyby odczekali z tym ślubem rok.

Potem była sesja fotograficzna. Chip okazał się ekspertem zarówno w robieniu zdjęć swoim wysokiej klasy aparatem cyfrowym, jak i w wyjaśnianiu innym fotografom amatorom, jak się z tym sprzętem obchodzić. Po zdjęciach nadszedł czas na szampana dla dorosłych i sok jabłkowy dla dzieci oraz na taniec dla nowożeńców. Żona właściciela urządziła piknik nad strumykiem. Na talerzach ustawionych na odświeżonym płóciennym obrusie czekał wiejski chleb, steki z polędwicy, szparagi i pyszna sałatka z endywii. Kiedy chłopcy skrzywili się na widok mięsa, gospodyni wyczarowała z podręcznego barku masło orzechowe. Na

koniec wszyscy rzucili się na świeżo upieczone, udekorowane weselnie, lukrowane babeczki.

Popołudnie spędzili nad strumieniem, w ogrodzie i w jacuzzi, a gdy nadszedł czas powrotu do domu, dostali kanapki na drogę.

Jamie nie wyobrażała sobie bardziej idealnego dnia. Wracała z bukietem róż do zasuszenia, zdjęciami do oprawy i ze wspomnieniami na całe życie. Najważniejsze, że miała męża, którego uwielbiała i który uwielbiał ją. W samochodzie co chwilę podnosił jej dłoń do ust, bez przerwy spoglądał na nią z taką samą radością, z jaką ona patrzyła na niego, i wielokrotnie powtarzał, że to był dla niego bardzo szczególny dzień.

Chłopcy zasnęli w trakcie jazdy, bo o tej porze zazwyczaj leżeli w łóżkach, ale to też było słodkie. Wieczorem, kiedy dom wreszcie się uciszył, miała Chipa tylko dla siebie. Rozumieli się bez słów, oboje pragnęli tego samego. Kochali się niespiesznie, delikatnie, z wielką czułością.

Jamie zasnęła w jego ramionach i obudziła się przeschęśliwa. Uniosła rękę i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w pierścionek, który Chip niespodziewanie wyjął w trakcie ceremonii. Zaskoczył ją; nie rozmawiali o obrączkach, ani jej, ani jemu nie zależało na symbolach. Pojechał do Bostonu po koszulę dla siebie i chłopców i wstąpił do butików Cartiera – chociaż wcale tego nie oczekiwała.

Trzy splecione ze sobą kółeczka. To z białego złota symbolizuje przyjaźń, z żółtego wierność, a z różowego miłość, wyjaśnił, wsuwając jej pierścionek na palec. Wszystkie trzy były wysadzone brylancikami i chociaż głośno tego nie powiedział, domyśliła się, że celowo wybrał ten wzór tak bardzo różniący się stylem od brylantu, który wcześniej nosiła na palcu.

– Hej – szepnął, witając ją sennym uśmiechem, gdy ich spojrzenia się spotkały.

Uśmiechnęła się do niego.

– Podziwiam obrączkę. – Ujęła go za podbródek. Na tle porannego zarostu złoty drobiazg prezentował się bardzo delikatnie.

– Naprawdę zrobiliśmy to, o czym mówi ta obrączka? – zapytał.

– Tak. Czyżby ogarnęły cię wątpliwości?

– Mnie nie. A ciebie?

– Absolutnie.

Uśmiechnięty, przygarnął ją do siebie i pewnie znowu by się kochali, gdyby chłopcy nie przydreptali do sypialni. Im też należała się porcja porannych pieszczot. Jamie była niebiańsko szczęśliwa. Ze wzruszeniem patrzyła na przyrodniego braciszka – wkrótce formalnie jej synka, który tuląc się do niej z kciukiem w buzi i z łosiem pod pachą, przyglądał się rozbawiony, jak Buddy łaskotany przez Chipa wije się na łóżku, chichocząc.

Jamie, jedynaczka, dorastała w domu, który zrobił się bardzo cichy po rozwodzie rodziców. Zawsze marzyła o dużej rodzinie. Teraz dostała to, czego pragnęła. Nie bała się, że Chip się nią znudzi albo że Buddy jej nie zaakceptuje. I wierzyła, że w przyszłości będą mieli więcej cudownych dzieci.

Tylko jedna myśl budziła jej niepokój; co powie Caroline, gdy zjawią się u niej rano.

\*

Caroline siedziała z Champem na werandzie, poszukując w laptopie informacji dotyczących ostatnich działań Herschela Oakesa, gdy terenowa honda wjechała na podjazd i ustawiła się za ciężarówką Deana. Musiała minąć minuta, zanim dotarło do Caroline, że to przyjechała Jamie z Chipem i z chłopcami. Podekscytowana, spojrzała na zegarek. Nie ma nawet wpół do ósmej. Taka wczesna pora raczej nie świadczyła o tym, że córka posłuchała jej rad o zachowaniu ostrożności, ale spragniona kontaktu, mimo wszystko się ucieszyła.

Zamknęła laptop, odmachnęła do Jamie, kazała Champowi zostać na werandzie i ruszyła ścieżką na spotkanie gościom. Jej wzrok zatrzymał się najpierw na córce. Ubrana do pracy, w eleganckiej, letniej spódnicy i w jedwabnej bluzce, z włosami spadającymi w puklach na ramiona, wyjęła Tada z fotelika na tylnej kanapie i posadziła go sobie na biodrze. W tym samym czasie Chip z synkiem wyłonił się zza samochodu. Caroline z ciekawością przyglądała się wybrankowi swojej córki. Swobodnie ubrany, w dżinsach i adidasach, był wyższy od Jamie i miał ciemniejszą karnację. Gdyby wygląd stanowił podstawę związku, uznałaby, że Jamie nie mogła lepiej wybrać. Stanowili urodziwą parę, taką nowoczesną, ubraną stosownie do wykonywanej pracy.

Jamie wzięła Chipa za rękę i poprowadziła go ścieżką. Teraz Caroline miała widok nie tylko na urodziwą parę, ale na całą zgraną czwórkę, jakby kwintesencję amerykańskiej rodziny. Intuicja jej podpowiadała, że młodzi są ze sobą bardzo blisko, lecz czy łączy ich fascynacja, czy prawdziwa miłość, nie umiała powiedzieć. Przeczowała, że Jamie nie przyjechała rozmawiać o parceli Weymouthów.

Młodzi wyglądali na zdenerwowanych. Ona też czuła niepokój w bardziej dojrzały, zakamuflowany sposób. Wszystko, co dotyczyło Jamie, obojętnie, czy przelotnie, czy w dłuższej perspektywie, miało dla niej znaczenie.

Przywitała ich na chodniku przed domem.

– Jestem Caroline. – Uśmiechnięta, wyciągnęła rękę do Chipa. – Na pewno nasze drogi musiały się gdzieś skrzyżować.

– Charlie Kobik. – Miał zdecydowany uścisk dłoni. – Czuję się zaszczycony. Ma pani wspaniałą córkę.

– Też tak uważam. – W jej głosie pobrzmiwał ostrzegawczy komunikat, że

Jamie jest i zawsze będzie jej, a Charlie Kobik, kimkolwiek byłby dla córki, nigdy tego nie zmieni.

– Mamo... – zaczęła Jamie z zapartym tchem, stawiając Tada na ziemi.

Caroline pomyślała, że przy Bradzie nigdy nie brakowało jej tchu, a tu nagle, proszę. Nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić, i żeby zyskać na czasie, przykucnęła przed Tadem.

– Dzień dobry! – Ucieszyła się, że się nie wrywał, gdy go do siebie przygarnęła. Wyciągnęła rękę do Buddy'ego. – A ty musisz być synkiem tego przystojnego pana. Jestem Caroline, mama Jamie.

– Dzie kotek? – chciał wiedzieć Tad.

– Masz kotka? – zainteresował się Buddy.

– Mam aż trzy – pochwaliła się.

– Mamo...

Caroline podniosła się z kucek i opierając dłonie na głowach chłopców, zwróciła się do Chipa:

– Nie przepadam za tymi formalnymi ceregielami. Masz coś przeciwko, żeby twój syn zwracał się do mnie po imieniu?

– Będę szczęśliwy.

– Mamo – Jamie ponowiła próbę, tym razem z naciskiem, którego Caroline nie mogła zignorować, i jednocześnie wyciągnęła przed siebie lewą rękę. Na widok drżącej dłoni dziewczyny coś ją tknęło. Ostatnio serdeczny palec był goły, tym razem połyskiwał na nim pierścionek.

Co to może znaczyć? Trzy dni po zerwaniu narzeczeństwa z jednym mężczyzną jej dotąd rozważna córka zaręczyła się z innym?

– Pobraliśmy się – oznajmiła Jamie, wstrzymując oddech.

Caroline przeniosła spojrzenie z pierścionka na twarz Jamie, a potem na Chipa. Nie dostrzegła tam cienia uśmiechu. Nie doczekała się porozumiewawczego mrugnięcia, jakiegokolwiek sugestii, że to żart. Zresztą te brylanty w trzech splecionych obrączkach wyglądały bardzo poważnie. Nie musiała być wielką znawczynią biżuterii, żeby rozpoznać styl. Znana firma i najwyższa półka.

Ale żeby tak zaraz się pobierać? Znając się, ile, pół dnia? I... i wcześniej ani słowa matce?

Jamie nie zrobiłaby jej takiego numeru. Były dla siebie kimś więcej niż matką i córką. Łączyła je przyjaźń.

– Dzie kotek? – powtórzył Tad, stając z zadartą głową tuż przed nią.

– Uhm... skarbie, jest w domu. Na piętrze. Pewnie śpi.

Właściwie trudno powiedzieć, gdzie Master mógł się skryć. Po aneksji werandy przez Champa mógł się przyczaić w salonie, gotowy bronić swego terytorium. Tak czy owak, Caroline nie miała zamiaru zapraszać ich do domu, a już na pewno nie wpuściłaby nikogo na piętro.



– Czy przypadkiem w samochodzie nie ma piłki? – Jamie zwróciła się cicho do Chipa, a on natychmiast pobiegł to sprawdzić. Dziewczyna odprowadziła go wzrokiem. Caroline nie umknął sposób, w jaki córka na niego patrzyła: zupełnie jakby czerpała siłę z samego jego widoku.

Niemniej ślub po tak krótkiej znajomości?

Chip wrócił z dwoma piłkami do kickballu, potoczył je po trawie, pochylił się nad chłopcami, coś im szepnął, a oni natychmiast puścili się biegiem. Gdy Jamie bacznie obserwowała tę scenę, Caroline, oszołomiona, gorączkowo szukała odpowiednich słów, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Bezradnie słuchała, jak córka, uprzedzając ją, najpierw wylicza wszystkie argumenty przeciwko temu, co zrobili, i natychmiast zapewnia, że to była dobra decyzja, że są w sobie zakochani, kochają chłopców, i dodając „możesz mi, mamo, nie wierzyć”, oświadczyła, że lepiej poznała Chipa w tym krótkim czasie niż Brada w ciągu czterech lat.

W to akurat Caroline uwierzyła. Nigdy nie potrafiła szczerze rozmawiać z Bradem, bo on wobec niej też nie był otwarty. Charlie Kobik wydawał się ulepiony z innej gliny; był silniejszy, bardziej dynamiczny. Jednak te cechy mogły mieć i ciemną stronę.

Może on tak urzekł Jamie, że pod jego wpływem posunęła się do tego kroku, zrobiła coś, na co z własnej woli dawniej by się nie zdobyła.

\*

– Nie wiem, czy to coś zmienia, ale moi rodzice będą tak samo zszokowani – wyrwał ją z zamyślenia opanowany głos Chipa. – Poczują się dotknięci, że nie przedstawiłem im Jamie i że nie zaprosiliśmy ich na ślub. Szczerze cię przepraszam, ich też będę prosić o wybaczenie. Wiem, że to wszystko stało się tak szybko, ale tak dyktowało mi serce. Wiem, czego chcę dla swojej rodziny, bo miałem dobry wzór. Jamie jest pierwszą kobietą, która pragnie tego samego co ja. Kocham ją, Caroline. Ona jest dla mnie stworzona.

Wbrew woli poczuła do niego sympatię. To, co powiedział o dobrym wzorze, zabrzmiało znajomo. Jego rodzina miała bardzo dobrą reputację w Williston. Skąd o tym wiedziała? No tak, już sobie przypomniała; kiedy Chip przez swoje ekscesy zrujnował karierę sportową, w mieście zawrzało. Mieszkańcom nie mieściło się to w głowie, bo przecież rodzice zaliczali się do szanowanych ludzi.

Czyżby był czarną owcą z problemami emocjonalnymi?

Champ, zdaje się, tak samo jak Jamie, miał w głębokim poważaniu autorytet Caroline, bo zszedł z werandy wpatrzony w piłki. Tad usunął się na bok, a Buddy znieruchomiał.

– On chce się bawić – uspokoiła ich Caroline. – Rzućcie mu piłeczkę.

– Champ tutaj, o tej porze? – zdziwiła się Jamie. – Czemu Dean tak wcześniej przyjechał? Nie przypuszczałam, że on jest z rannych ptaszków. Robi coś w garażu?

Caroline nabrała wody w usta.

– Skarbie, jestem w szoku – odezwała się dopiero, gdy Chip dołączył do chłopców, żeby oswoić ich z psem. – W życiu bym nie pomyślała, że zdecydujesz się na taki ślub – mówiła przyciszonym głosem. – Gdzie to się odbyło?

Co prawda niewiele było takich miejsc, ale chciała wiedzieć.

– Wczoraj, w pensjonacie w New Hampshire.

Caroline poczuła ukłucie żalu.

– Jak rozumiem, wszystko już było ustalone, kiedy wymienialiśmy esemesy w sobotę wieczorem?

– Zdecydowaliśmy się parę godzin wcześniej. Właściciel pensjonatu jest sędzią pokoju. Ma w ogrodzie taki urokliwy pawilon obrośnięty różami. Jego siostrzenice grały na skrzypcach i wiolonczeli, a żona urządziła piknik.

Westchnęła. To wszystko brzmiało dla niej tak znajomo. Dean. To on kombinował, jak uniknąć wesela. Wspominał o pakiecie ślubnym. Czyżby jemu coś podobnego chodziło po głowie?

Nie. Ta myśl była tak samo abstrakcyjna, jak świadomość, że jej córka właśnie wyszła za mąż.

Nie potrafiła sobie wyobrazić tego ślubu, potrzebowała czegoś, czegokolwiek, żeby osadzić go w realiach, oczyma duszy zobaczyć tę uroczystość, która wydawała się taka nierzeczywista.

– W co się ubrałaś? – spytała zbolalym szeptem.

– W różową letnią sukienkę.

– Tę od J. Crew?

– Moją ulubioną.

Tak. To akurat wiedziała. Sukienka rzeczywiście była słodka.

– Przecież miałyśmy razem szukać strojnej, ślubnej sukni. Chciałaś mieć wystawny ślub z białą suknią.

– Nie ja, mamó. Brad, tata i Theo; oni tego chcieli. A ty?

– Ja zawsze chciałam dla ciebie tego co ty.

– Czyli Chipa – odpowiedziała błagalnym szeptem. – Mamó, ja go kocham. Ma wszystkie cechy, których szukałam w mężczyźnie.

Caroline chciała wierzyć, że Jamie umie trafnie oceniać ludzi, jednak paraliżowała ją myśl, że jej córka znalazła się w formalnym związku z człowiekiem, którego ledwo poznała. Nawet małżeństwa zawarte bez pośpiechu niekoniecznie są udane. Ha, Roya chyba trafiłby szlag, gdyby się o tym dowiedział.

Oczywiście to idiotyczna myśl.

A jednak czuła potrzebę zwaleni winy na niego, bo pod tym względem

Jamie na pewno nie brała z niej przykładu. Ona całe lata cierpiała, zanim zdecydowała się na rozwód.

– Czy to ma coś wspólnego ze śmiercią ojca? – spytała półgłosem.

– Nie. Rozmawialiśmy o tym z Chipem – odpowiedziała Jamie, także zniżając głos. – Jak ci tłumaczyłam, szukaliśmy wszelkich powodów, które przemawiałyby za wstrzymaniem się ze ślubem. Historia z tatą nie ma tu nic do rzeczy. Byłam z nim związana, ale nie nazwałabym go swoim przyjacielem.

Ty jesteś moją przyjaciółką – mówiły jej oczy.

Słaby komplement, pomyślała Caroline.

– Jeżeli rzeczywiście jestem twoją przyjaciółką, to dlaczego nie powiedziałaś mi, co planujesz? Jak mogłaś robić sekret z najważniejszego wydarzenia w życiu? Rozmawialiśmy ze sobą w piątek. Słowem nie pisałaś. Tak samo w sobotę wieczorem. Mogłaś w każdej chwili wpaść do mnie z tą nowiną, ale tego nie zrobiłaś. Przecież dotrzymałabym tajemnicy.

– Wiem, mamo. Ale wiem też, że próbowałabyś na mnie wpłynąć, a ja nie chciałam, żeby cokolwiek zepsuło mi nastrój. Kocham Chipa i chcę z nim być.

– Nie moglibyście najpierw pomieszkać razem, sprawdzić, czy do siebie pasujecie? Teraz pary często tak robią.

– Moglibyśmy – zgodziła się Jamie. – Tylko że my nic nie musimy sprawdzać, bo już to wiemy. W dodatku są dzieci. Tymczasowe rozwiązania im nie służą, szczególnie Tadowi po tych wszystkich przeżyciach. On potrzebuje stabilności.

– Czy trzydniowa znajomość ją gwarantuje?

– Znamy się z Chipem dłużej niż trzy dni – obruszyła się. – Mam wrażenie, że znam go od niepamiętnych czasów, jakbyśmy mieli podobne doświadczenia, a nasze życia biegły równolegle do momentu, gdy się spotkały i połączyły w jedno.

Wrócił Chip. Wyciągnęła do niego rękę, a kiedy objął ją za szyję, przycisnęła do siebie ich splecione dłonie.

Bólu Caroline wcale nie złagodziły te poruszające słowa i piękny widok, rzeczywiście mówiący o bliskości. Bardzo przeżyła rozdźwięk pomiędzy nią i córką po historii z *Gut It!* Jamie przysięgała wtedy, że była pionkiem w tamtej grze, a jednak zataiła przed nią istotne informacje. Tym razem nie była pionkiem i dobrze wiedziała, że ją zrani.

Milcząc, objęła się ramieniem za szyję, jakby tym gestem chciała ostudzić emocje.

– Mój syn jest dla mnie całym światem – zwrócił się do niej Chip.

Miała ochotę mu przerwać, powiedzieć, że to sprawa między nim i Jamie, co nie do końca było prawdą. Jej zięć był tutaj rozgrywającym.

– Nie zrobiłbym niczego, co mogłoby godzić w jego dobro – kontynuował. – Gdybym miał choćby cień wątpliwości, poczekałbym ze ślubem. Nie szukałem

całodobowej opiekunki. Bardzo lubię zajmować się Buddym. W przeszłości mój tata poświęcał mi dużo czasu i zawsze chciałem być takim ojcem jak on. Owszem, myślałem o ożenku, ale dużo bym ryzykował, trafiając na niewłaściwą osobę. Poza Jamie nigdy nie zapraszałem kobiet do domu. Nie przeszkadza mi, że ona jest skupiona na karierze. Ja pracuję w takich godzinach, że mogę być w domu z dziećmi. Podoba mi się, że Jamie traktuje Tada jak własnego synka, cieszę się, że teraz mamy dwoje dzieci i chciałbym mieć ich więcej, ale to już będzie nasza wspólna decyzja. Pobraliśmy się bardzo szybko, jednak już od pierwszej rozmowy wiedziałem, że ona jest dla mnie stworzona. Może gdybyśmy zeszli się w szkole, oszczędziłbym sobie i innym kłopotów.

– Nie – zaprzeczyła Jamie, jakby zapominając o obecności matki. – W tamtym czasie nie zostalibyśmy parą. Nie byliśmy gotowi. Oboje żyliśmy własnymi sprawami. Byliśmy samolubni.

– Czy ślub pod wpływem zachcianki nie świadczy o egoizmie? – wyrwało się Caroline i natychmiast pożałowała swych słów, a także tonu, jakim je wypowiedziała.

Jamie popatrzyła na nią z żalem.

– To nie była zachcianka. Szybko niekoniecznie musi oznaczać kaprys. Wszystko przemyśleliśmy. U mnie, w przeciwieństwie do ciebie, małżeństwo nie budzi obaw. Rozumiem twoje lęki. Boisz się, że nic z tego nie wyjdzie. Ale Chip to nie tata.

Caroline westchnęła z rezygnacją.

– Kiedy wychodziłam za twojego ojca, inaczej go postrzegałam. To właśnie staram się ci powiedzieć. Trudno poznać kogoś dogłębnie, gdy jest miło i wszystko się dobrze układa... – Nie dokończyła, bo Jamie znieruchomiała, wpatrzona gdzieś, za nią.

Caroline wiedziała, co córka zobaczyła, zanim ona sama się obejrzała. Dean. Zbiegł ze schodków i zamaszystym krokiem szedł ku nim ścieżką.

– Cześć! – przywitał ich z nonszalancją, absolutnie nielicującą z sytuacją.

Jamie posłała matce zaskoczone spojrzenie.

A ona może próbowałyby stwarzać pozory, gdyby Dean miał na sobie koszulę i buty, no i wyszedł z garażu, a nie z domu, w samych tylko dżinsach, z kubkiem kawy w ręce. To wyglądało jednoznacznie. Zresztą w porównaniu z tym, co właśnie zrobiła Jamie, nie miała powodu do wstydu. Absolutnie nie!

– Mam pięćdziesiąt sześć lat – przypomniała córce. – I nie wychodzę za mąż.

– Tak mówi – odezwał się Dean, przekładając kubek do lewej ręki i wyciągając prawą do Chipa. – Dean Brannick – przedstawił się. – Wyczuwam napięcie. Czy coś mnie ominęło?

– Oni się pobrali – oznajmiła dramatycznym tonem Caroline. – Potajemnie. – Gniewnie spłótła ramiona na piersi.

Dean miał tupet położyć jej dłoń na plecach. Zapewne by się usunęła, gdyby ten poufały gest nie niósł ze sobą wsparcia.

– Sypiasz z Deanem? – wyrwało się Jamie. Była zaskoczona, ale na pewno niezgorzowana.

– Świeża sprawa. – Caroline zbyła ją machnięciem ręki.

– Jak bardzo świeża? Od wczoraj? Od soboty?

– Kochanie – ostrzegł ją Chip, tak jak Caroline odgadując, do czego Jamie zmierza, lecz ona nie zamierzała zamilknąć.

– Nie powiedziałaś mi, mamo. Miałaś okazję, ale tego nie zrobiłaś. – Nagle ją oświeciło. – No, tak. – Otworzyła szeroko oczy. – Ubiegły wtorek. Jechałam powiedzieć ci o zerwaniu zaręczyn. Było wcześniej, na drodze niewielki ruch, minęło mnie tylko kilka ciężarówek i... harley. Dean wracał po nocy u ciebie. Zgadza się?

– To nie ma znaczenia.

– Ależ ma – zaprzeczył Dean. – Ta noc była nowym początkiem reszty mojego życia.

– Dean – jęknęła błagalnie Caroline.

– Wydało się, mamo. – Jamie nie ustępowała. – Dłużej sypiasz z Deanem niż ja z Chipem. A mnie ani słowa.

– Sypianie to nie to samo, co wychodzenie za mąż.

– Nieistotne, jeżeli naprawdę jesteśmy przyjaciółkami. Ani słowem nie pisnęłaś. Rany! – zawołała, coś sobie przypominając. – Rozmawialiśmy o seksie. Czy jest ważny. Zachowywałaś się tak, jakbyś nie miała o tym pojęcia. Stwierdziłaś, że nie jesteś właściwą osobą, a to był zwykły wykręt...

– Nie, nie wiedziałam...

– Idealny wstęp do rozmowy, ale ty nabrałaś wody w usta. Dlaczego tobie wolno przemilczać istotne sprawy, a mnie nie?

– Bo po pierwsze, jestem twoją matką, a po drugie, w moim wieku nie muszę się przed nikim opowiadać – wypaliła wkurzona, naśladując ton córki.

– Ja też nie – postawiła się Jamie. – Byłaś młodsza ode mnie, wychodząc za ojca. Pytałaś swoją matkę o zgodę?

– Nie...

– Nie czekaliście długo ze ślubem.

– Byłam w ciąży. Ty nie. – Otworzyła szeroko oczy, porażona pewną myślą.

– Nie – potwierdziła Jamie, nareszcie udzielając pierwszej odpowiedzi spełniającej oczekiwania matki. – A nawet gdybym była, wiem, że Chip uznałby dziecko za swoje, i to jest jeden z powodów, dla którego go kocham. Popatrz na jego rodzinę. Zobacz, jak zarabia na życie... Ma wielkie serce. Zresztą nieważne, musisz respektować moje wybory, bo jestem dorosła, jestem matką i to jest moje życie. Ślub to chyba moja pierwsza decyzja, której z tobą nie skonsultowałam.

Oboje wiedzieliśmy, że połączyło nas prawdziwe uczucie i poszliśmy za głosem serca. Rzeczywiście, szybko się pobraliśmy i ludzie na pewno będą plotkować, ale nas to nie obchodzi. Może... – Ściągnęła brwi, nagle popadając w zamyślenie. – ...rzeczywiście śmierć taty miała tu jakieś znaczenie. Umarł młodo. Stąd nauczka, że w życiu nie wolno niczego odkładać, bo śmierć może pokrzyżować szyki.

– To recepta na katastrofę.

– Moje małżeństwo nie będzie katastrofą.

Zawsze można je anulować, pomyślała Caroline i kto wie, czy nie powiedziałaaby tego na głos, gdyby nie Dean.

– Caroline – powstrzymał ją jego cichy głos.

Jamie musiała chyba czytać w jej myślach, bo nagle zmieniła ton na bardzo emocjonalny.

– Mamuś, zrozum. W innych okolicznościach zaprosilibyśmy rodziny. Ale to... tutaj, teraz. – Wskazała palcem na nią i na siebie. – Sama widzisz. Właśnie dlatego rozegraliśmy to inaczej. Wczorajszy dzień był piękny. Wzruszający i podniosły. Poza zaproszeniem rodzin niczego bym nie zmieniła. – Oczy jej zwilgotniały. – Ciesz się moim szczęściem.

Caroline zawsze pragnęła szczęścia Jamie. Jej argumenty nie były pozbawione sensu, ale poczucie straty i rozgoryczenie zagłuszały głos rozsądku.

– Bardzo bym chciała – szepnęła. – Niestety, tego się po tobie nie spodziewałam.

– Ja po tobie też nie – odparła Jamie, zerkając na Deana. – Ale nie ma sprawy, mamu. Każdy postępuje tak, jak uważa, przynajmniej tego mnie uczyłaś. A jeżeli mamy się licytować, która z nas jest uczciwsza, to chyba osiągnęłyśmy remis.

Caroline nie zamierzała dać za wygraną. Wiedziała, że powinna odpuścić, nie do końca rozumiała swoją zapalczywość, jednak postępek Jamie wytrącił ją z równowagi.

– A co z Bradem? I z całą resztą w firmie? Błyskawiczny ślub tuż po zerwaniu. Okrzykną cię krętaczką. Nie obchodzi cię to?

– Obchodzi. Firma MacAfee Homes jest dla mnie ważna, ale liczy się moje życie i inni muszą się z tym pogodzić. Niech sobie myślą, co im się żywnie podoba, nie zamierzam się tym przejmować, bo mam przy sobie ukochanego mężczyznę i nasze dzieci. Tak na marginesie, weź pod uwagę, że ten mężczyzna zastąpi mnie w domu, kiedy będę ślęczeć nad projektami na parceli Weymouthów. A co do Brada. Wczoraj wieczorem – już po ślubie – przysłał mi wiadomość, że przyjął tamtą ofertę z Minneapolis. I kto tu jest krętaczem? Nosił się z zamiarem zmiany pracy i wyjazdu w inne miejsce jeszcze za naszego narzeczeństwa. Ja niczego z góry nie zakładałam i uczciwie się z nim rozstałam, jak tylko zaszła zmiana w moim życiu. Przed południem porozmawiam z Bradem. Dzisiaj złożę

wypowiedzenie, trzeba o tym powiadomić Thea.

Caroline rozłożyła ręce.

- Sama powiedz dziadkowi.
- Muszę się skupić nad projektami.
- Trudno.
- Mówiłaś, że Thea bierzesz na siebie.
- Tak było. Teraz w to nie wchodzi.

## Rozdział 24



W normalnych okolicznościach Caroline odprowadziłaby wzrokiem auto Jamie aż do zakrętu, dzisiaj nie. Po pierwsze, to nie był jej samochód, po drugie, była wściekła na Deana, a po trzecie, w hallu rozdzwonił się telefon. Zgarnęła go po drodze, wchodząc do domu. Nie musiała patrzeć na wyświetlacz, domyślała się, kto dzwoni. Widziała już wywiad w „Globe”. Według niej był udany, ale producenci *Gut It!* mogli mieć odmienne zdanie.

Z komórką w dłoni przeszła bosą do salonu i wpatrzona w wiktoriańską koronkę, odebrała połączenie. Tym razem kojący widok ornamentów na gipiurze nie zmniejszył jej rozdrażnienia.

– Tak, Claire, słucham – zaczęła, rezygnując z uprzejmych wstępów.

– Co cię skłoniło do udzielenia tego wywiadu?

Miała wrażenie, że wzór na koronce naprężył się jak jej kręgosłup.

– Dostałam telefon od reporterki, uznałam, że przyda się trochę reklamy.

Po raz drugi trzasnęły drzwi z metalowej siatki. Dean. Odwracając się do niego plecami, weszła w głąb pokoju i oparła o stół z orzecha z ręcznie wypolerowanym blatem.

– Nie mogłaś najpierw skontaktować się ze mną?

– Czemu miałabym to zrobić? Reporterka chciała rozmawiać o wypadku Roya i o MacAfee Homes.

– I o *Gut It!*

– Och, Claire. Przecież nie chodziło o program.

– Oczywiście, że tak. Dzięki *Gut It!* wasza firma deweloperska stała się znana.

Serial rzeczywiście przysporzył im rozgłosu, lecz należało zachować zdrowe proporcje. Caroline *Gut It!* nie przesłaniał świata. Owszem, pomógł podnieść poczucie własnej wartości, szczególnie po rozwodzie. Teraz jej na nim nie zależało. Dokładnie w tej chwili to zrozumiała, a właściwie poczuła, chyba pierwszy raz tak wyraźnie od czasu, gdy wypłynęła sprawa zmiany prowadzącej. A firma MacAfee Homes istniała długo przed pojawieniem się programu i niewątpliwie go przeżyje.

– W „Globe” skupiają się na działalności lokalnych firm – tłumaczyła Caroline zaskakująco wyważonym tonem. – Pod tym kątem był prowadzony ten wywiad. Pytania dotyczyły poczynań biznesowych, a nie rozrywki.

– Mogła go udzielić Jamie.



– Owszem, zadzwoniłam z tym do niej. Uznałam, że może chciałaby porozmawiać o ojcu. Niestety, była zajęta. – Nagle określenie „zajęta” nabrało dla Caroline nowego znaczenia. – Logiczne więc, że się zgodziłam, bo w tej chwili jestem bliżej zarządu MacAfee Homes od córki. – Och, jak miło sprzedać Claire tę wiadomość! – Reporterka miała napięty termin.

– Napięty termin! – prychnęła drwiąco producentka. Jak na tak wczesną porę była w zdumiewająco dobrej formie. – U nich napięty termin to albo „spieprzyłam sprawę, wyleciało mi z głowy”, albo „załatwię to migiem i będę mieć czas na ważniejsze sprawy”. Caroline, trzeba umieć postępować z tymi pismakami. Mamy od tego zawodowców i to kolejny powód, dlaczego powinnaś najpierw skontaktować się ze mną. Ten wywiad to była wspaniała okazja, niestety, stracona. Artykuł w „Globe” dawał szansę na podkreślenie słupków...

Claire ciągnęła swój wywód, a Caroline z telefonem daleko od ucha obserwowała Deana. Właśnie kończył ubierać się w rzeczy, które celowo wcześniej przerzucił ponad balustradą, zbiegając ze schodów.

– ...i nawet nie wspomniałaś o Jamie – zakończyła z pretensją Claire.  
– Wspomniałam. Wielokrotnie. Widocznie wypadły niektóre fragmenty.  
– Czytając ten wywiad, ma się wrażenie, że bez ciebie *Gut It!* nie istnieje.  
– Nieprawda, Claire. Po prostu jestem rzeczniczką MacAfee Homes, co, jak widzę, wyraźnie ciebie wkurza.

– Nie wymieniłaś nazwy stacji, a przecież nadawca najbardziej się liczy.  
– Nie w przypadku tego wywiadu – stwierdziła Caroline z uporem. – Kto wie, czy w ogóle jest ważny. Zawsze można znaleźć inną stację. – To była sugestia Deana, chociaż kiepsko się na tym znał. – Wiesz co, Claire? Czekają mnie ważniejsze sprawy. Porozmawiamy innym razem. – Rozłączyła się, rzuciła komórkę na stół i podminowana odwróciła się do Deana.

Patrzył na nią szeroko uśmiechnięty.

– Jestem pod wrażeniem. Brawo!  
– Pochlebstwa ci nie pomogą – warknęła jeszcze bardziej zirytowana, bo na widok niedopiętych džinsów ze zwisającym skórzanym pasem poczuła niepokojące łaskotanie w podbrzuszu. Zaledwie tydzień wcześniej taka sytuacja sprawiłaby ją w zażenowanie, ale wtedy nie miała pojęcia, co kryje się pod ubraniem; nie miała go ona czy ta nieznana kobieta? Nadal nie wiedziała, którą z nich jest, szczególnie gdy tak właśnie na jego widok reagowała.

– Masz tupet, żeby wpółnagi paradować przed moim domem. Co cię napadło? To ja powinnam zdecydować, kiedy i w jaki sposób powiedzieć o nas Jamie.

Wepchnął czarną koszulkę w džinsy.

– Widząc, jak się z tym ociągasz, mógłbym nie doczekać. – Zaciągnął zamek.

– Dean. To dopiero pięć dni.

Uśmiechnął się, nie okazując choćby odrobiny skruchy.

– Liczysz?

– Domyśliłeś się, z czym Jamie przyjechała?

Spowaźniał i znieruchomiał na moment z łokciem wspartym na kolanie.

– Właściwie tak. Ponieważ nie masz klimatyzacji, okna były szeroko otwarte. Słyszałem, co się dzieje, i widząc, dokąd to wszystko zmierza, uznałem, że nie zaszkodzi do was zejść.

– Wyglądając, jakbyś dopiero co wygrzebał się z mojego łóżka – wytknęła mu.

– Dokładnie tak było.

– Dean. – Miała ochotę go udusić. – Zmieniłeś kierunek tej naszej rozmowy. Już byłam blisko sedna, a przez ciebie mój główny argument obrócił się przeciwko mnie.

– Ten dotyczący szczerości w przyjaźni? – Zajął się sznurowaniem buta. – Och, nie przesadzaj. Nie zwlekała rok. Wyjechali na jeden dzień, wczoraj wrócili, a już dziś z samego rana była u ciebie.

– Mogła przyjechać wczoraj wieczorem albo jeszcze lepiej rano, zanim tam pojechali.

– Żeby dać ci okazję do protestów? – Prychnął. – I tak by ciebie nie posłuchała, Caro. Tylko popsułabyś jej nastrój i proszę cię... – Rzucił jej szybkie spojrzenie, sięgając po drugi but. – Nie mów więcej o nieprzemyślanym ślubie. Owszem, pobrali się błyskawicznie, jednak to nie była tylko jej decyzja, podjęli ją wspólnie z myślą o dwóch małych chłopcach, którzy potrzebują obojga rodziców. Oni są dorośli, Caro. Ty może postąpiłabyś inaczej na miejscu Jamie, ale to, skarbie, nie jest twoje życie, tylko ich, a czy dłuższa znajomość stanowi gwarancję trwałości związku? Nie spieszyłaś się z Royem, Jamie nie spieszyła się Bradem, a ja z moją byłą, i jak widzisz, żaden z tych związków nie przetrwał. Może czas nie ma znaczenia. Może liczy się intuicja i pierwotny zew natury.

A więc seks.

– Skąd wiedziałam, do czego sprowadza się ta rozmowa? – mruknęła.

Wyprostował się już w obu butach na nogach, taki postawny i zanadto dominujący.

– Nic nie wiedziałaś. Ty po prostu rwiesz się do kłótni. Dalej sprzeczałabyś się z Jamie, tylko jej tu nie ma.

– Dziwisz się, że jestem zdenerwowana?

Podniósł dłoń z wykrzywionym małym palcem.

– Nie. To zrozumiałe. Jest twoją córką, kochasz ją, a ona zrobiła coś, co cię szokuje. Ale pomyśl chwilę. Przypomnij sobie, jak wyglądała i jak się zachowywała.

– Nie znam Chipa.

– Nie musisz. Wystarczy, że ona go zna. I całe Williston. Jest tutaj znaną postacią.

– Niekoniecznie z dobrej strony.

– Ostatnio z jak najlepszej. Więc powtarzam. Przypomnij sobie, jak wyglądała i jak się zachowywała. Pomyśl, jak ułożyła sobie życie. Naprawdę uważasz, że aż tak źle?

Caroline musiał przyznać, że wszystko, co on mówił, brzmiało logicznie. Jamie błyskawicznie założyła rodzinę. Teraz, oprócz Tada, miała Chipa i jego synka. Nawet bez projektów u Weymouthów, będzie o wiele bardziej zapracowana. A czy jej życie stanie się bogatsze? Być może. Nigdy nie ukrywała, że chciałyby mieć gromadkę dzieci. Chip myśli podobnie i jest gotów dzielić z nią obowiązki, o ile można wierzyć w jego słowa.

Czy Jamie wyglądała na szczęśliwą? Stojąc przed nią, zdecydowanie nie. Natomiast gdy spoglądała na Chipa, brała Tada za rękę czy wymawiała imię Buddy'ego, promieniała. I te rozpuszczone włosy. Brak czasu czy symboliczna zmiana fryzury? Ładnie wyglądała. Łagodniej. Bardziej naturalnie.

Dean zdawał się czytać w jej myślach.

– Sama widzisz, nie jest źle – potwierdził jej przypuszczenie. – Ona układa sobie życie tak, jak chce. Wiesz, co cię wkurza? Że wzięła sprawę we własne ręce, nie konsultując się z tobą. Chciałybyś nadal ją kontrolować.

– Wcale nie – zaprzeczyła. Nie dopuszczała do siebie myśli, że ma skłonność do narzucania swej woli otoczeniu. – Chodzi o szczerość oraz zaufanie. I... o szacunek. Gdyby mnie szanowała, powiedziałyby, co zamierza.

– Na tym właśnie polega kontrola – wytknął jej, podchodząc bliżej. – Caro, po co ci to? Ty masz swoje życie, a ona swoje. Jamie skończyła dwadzieścia dziewięć lat. Dlaczego nie chcesz odpuścić?

Odczytała jego słowa jako atak przeciwko sobie. Podobny wykład zrobiła jej Annie w salonie manikiuru.

– Pewnie dlatego, że mam trudny charakter i lubię rządzić ludźmi. – Zadarła gniewnie podbródek. – No to przyjrzyj się, jaka naprawdę jestem. Może lepiej – machnęła ręką w kierunku drzwi – jak wyjdiesz, nie oglądając się za siebie.

– O nie. – Stanął tuż przy niej. – Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. Nigdzie się nie wybieram, Caro. Robisz z igły widły. Co z tego, że Jamie o nas wie? Zawsze chciałaś jej szczęścia. Nie sądzisz, że ona chce tego samego dla ciebie?

Caroline już otwierała usta, jednak ugryzła się w język.

– Jest ci ze mną dobrze? – zapytał, nagle tracąc pewność siebie.

Zadumała się.

– Milczenie znaczy „tak” – zdecydował z wyrazem ulgi w oczach. – Bo

widzisz – zniżył głos – to coś więcej niż zew natury. Lubię w nocy zwyczajnie czuć twoją obecność. Dotykam cię, a ty nie uciekasz na skraj łóżka. Bywa, że się budzę i patrzę na ciebie. Przysuwasz się do mnie, jakbyś przez sen sprawdzała, czy jestem. Wiesz, co wtedy czuję? Mógłbym skakać z radości. I dlatego nie dbam, że ludzie czy Jamie się o nas dowiedzą. Nie stracisz w jej oczach. No, chyba że jesteś ze mną z jakichś nieznanych mi powodów i w głębi duszy czujesz się nieszczęśliwa.

– Wiesz, że to nieprawda – burknęła.

Pogładził ją kostkami dłoni po policzku.

– W takim razie co cię gryzie? Niemożliwe, że chodzi tylko o to, że Jamie nie poprosiła cię o zgodę. Nie jesteś małostkowa.

Jego czułość ją rozbroiła. Łzy same potoczyły się po policzkach. Była przerażona, że nie może ich powstrzymać.

– Czuję, że ją utraciłam – wyznała.

– Dlatego, że związała się z Chipem, czy przez twoje dzisiejsze zachowanie?

– I jedno, i drugie – odparła cicho, obejmując się ramionami. – Tak jak powiedziałeś, ma swoje życie. Dla mnie nie ma w nim miejsca.

– Naturalnie, że jest.

– Ona mnie nie potrzebuje. Na pewno nie tak, jak dotąd. Kim teraz jestem? – Jakże często w ostatnich tygodniach zadawała sobie to pytanie. Po latach stagnacji tyle zmian zaszło w jej życiu.

– Jesteś matką Jamie, jej przyjaciółką i powiernicą – wyliczył, ujmując ją pod łokcie.

– Powiernicą? Zwierzyła mi się z tego, co zamierzała?

– Och Caro – westchnął, biorąc ją w ramiona. – Mylisz powiernicę z konsultantką. Nie skonsultowała z tobą zamążpójścia, ale najszybciej jak mogła, powiedziała ci o ślubie.

Stała z twarzą wtuloną w jego szyję tuż pod podbródkiem z ciemnym zarostem poprzetykanym siwizną, już nie jednodniową szczecina, a jeszcze nie z zaczątkiem brody. Czuła uderzenia jego pulsu pod ciepłą skórą. Nie musiał nic mówić, wiedziała, że ma w nim oparcie. Przez tyle lat musiała liczyć wyłącznie na siebie. Dotąd na nikim tak nie polegała.

– Może rzeczywiście chcę mieć wszystko pod kontrolą – odważyła się na szczerość. – Ale tak trudno z tego zrezygnować.

– Dlatego nie chcesz ode mnie pierścionka? Boisz się dzielić życie z drugą osobą, widzisz w tym utratę części niezależności?

Zastanawiała się, czy tak myśli i skąd u niej te obawy.

– Od niepamiętnych czasów sama o wszystkim decyduję. Rodzice mieszkali w Poughkeepsie w stanie New York i od wyjazdu z domu byłam zdana na siebie, a Roy... cóż, Roy oddalił się ode mnie krótko po narodzinach Jamie. Kiedy był

w domu, rządził, później wszystko, łącznie z wychowywaniem Jamie, było na mojej głowie. Przysięgam, do niczego jej nie zmuszałam. Tenisa sama wymyśliła. Ja byłam tylko jej menadżerką.

– I kibicowałaś jej.

– Oczywiście. Jak każda matka swemu dziecku. Ale pilnowałam się, żeby nie ograniczać jej wolności. Naprawdę. Kiedy studiowała w Providence w Rhode Island, wracała do domu, do mnie. A teraz wraca do domu, do męża, a jacyś decydenci u góry mówią mi, że jestem za stara do *Gut It!*

– Ci u góry nie odróżniają własnych tyłków od dziury w ziemi. – Dean powiedział to z taką żarliwością, że musiała mu uwierzyć. – Wcale nie jesteś za stara. To Jamie jest za młoda, aby poprowadzić ten program tak jak ty, natomiast jej, lepiej niż nam, odpowiada uganianie się za małymi dzieciakami dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Chciałabyś być na jej miejscu? Zakładać rodzinę?

Caroline pomyślała o nadwerżonych mięśniach i zapaleniu ścięgna w nadgarstku. O cichych porankach przy komputerze, nielicznych naczyniach po śniadaniu, spotkaniach z Annie w salonie pedykiuru i o wolnym czasie spędzonym z kotami. Pomyślała o tym, co działo się teraz; stała w objęciach Deana, oddychała z ulgą, bez żadnych ograniczeń czerpiąc radość z tej chwili. Czy chciałaby założyć rodzinę?

– Absolutnie nie.

Zaśmiał się.

– Ja też nie. Odpowiada mi moje miejsce w górnym odcinku łańcucha pokarmowego MacAfee. Ty jesteś nade mną, a jeżeli Theo postawi na swoim, wylądujesz jeszcze wyżej.

– Oj, Dean, nie jestem pewna...

– Czy chcesz zarządzać firmą? Tylko tak mówisz. Przecież tu nie chodzi o zajęcie pustego miejsca po Royu, tylko o realizowanie własnej wizji. Ten wywiad dla „Globe” był świetny. Jamie tak dobrze by sobie nie poradziła – bez obrazy, skarbie – jest za młoda i brakuje jej doświadczenia. Z czasem je nabędzie. A kroki, które podejmujesz w związku z parcelą Weymouthów? Zobacz, ile już osiągnęłaś.

– To tylko jedno spotkanie.

Późnym przedpołudniem była umówiona z Herschelem Oakesem w jego kancelarii w Bostonie i nie bardzo miała chęć tam jechać. Zdziwiła się, że tak łatwo zgodził się z nią spotkać, a co więcej, oddzwonił do niej już w niedzielę po południu. Jeżeli myślał, że ona ma wobec niego jakieś osobiste zamiary, to się grubo mylił. Była zadowolona z tego, co ma.

– Mówię o tym, w jakim stylu przejęłaś stery.

Czuła, jak grdyka Deana porusza się w rytm słów, a głos wibruje w krtani.

– Nie ma nikogo, kto mógłby się tym zająć – westchnęła.

– Podziwiam cię, Caro. Dobrze wiesz, co robisz.

– Chyba porywam się z motyką na słońce.

– Masz intuicję. Podejmujesz decyzje. Działasz.

Zostawiła te pochwały bez komentarza. Zastygła, wsłuchana w otaczające ją odgłosy; gruchanie gołębia w koronie klonu, chrobot kocich pazurków na suficie nad głową, pobrząkiwanie drzwi z metalowej siatki, które Champ trącał nosem, żeby się wepchać do domu. Na te wszystkie dźwięki nakładało się regularne bicie serca Deana. Ulotna chwila, wolna od wszelkich myśli o kłopotach.

– Znowu spaprałam sprawę z Jamie, prawda? – spytała, zadzierając głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

Wolał przemilczeć.

– Tylko tym razem jeszcze gorzej się porobiło, bo oprócz niej jest jeszcze Charlie Kobik, jej mąż, i dwóch małych chłopców, którzy lada moment zaczną nazywać ją mamą. – Westchnęła zrezygnowana. – Ciemna strona wieku? Kłopot z akceptowaniem zmian.

– A jasna? – podchwycił Dean, jej bohater. – Świadomość, że to nieuniknione.

\*

– No, jakoś poszło – sapnął Chip.

– Totalna katastrofa! – zawołała Jamie, po raz pierwszy odrywając wzrok od przedniej szyby, żeby na niego zerknąć. Minę miał smętną. Wcale jej nie ulżyło, że myślał podobnie jak ona.

– Potraktuj to jak próbę generalną – poradził jej.

Ponieważ pora zrobiła się przyzwoita, wracali do domu porozmawiać z Donaldem i Helene Kobikami na Skypie, zanim Chip podrzuci dzieci do żłobka i pojedzie do pracy.

– Z moimi rodzicami też nie będzie lekko i weź pod uwagę, że ich jest dwoje.

\*

Z rodzicami Chipa poszło łatwiej, właśnie dlatego, że było ich dwoje. Don co chwila mitygował Helene, gdy wygłaszała te same pretensje co Caroline. Jamie prześladowała histeryczna myśl, że mamuśki świetnie by się z sobą dogadały, gdyby każda z nich nie obwiniała potomka przeciwnej strony o uwiedzenie swojego dziecka.

Podczas rozmowy wideo Jamie trzymała wspólny front z Chipem i pilnowała, żeby przypadkiem nie wypaść na „słodką Dziunię”. Pozornie opanowana, w środku była kłębkim nerwów. Starła się uspokajać Helene, tak jak Chip wcześniej Caroline. Ponieważ tu nie pojawił się żaden Dean, którego

obecność u matki tylko dołączyła oliwy do ognia, ta rozmowa zakończyła się nieco optymistycznie.

– Należało odczekać ze ślubem? – zwróciła się do Chipa, jak tylko wygasł obraz.

Spojrzał na nią z uwagą.

– Tak sądzisz?

– Ja pierwsza spytałam.

– Moja odpowiedź brzmi „nie”. – Wyprostował się.

– Moja też.

Ulżyło jej, że i tym razem się zgadzają. Denerwowała się, że Caroline swoim wywodem o czasie potrzebnym do poznania drugiej osoby mogła zasiać ziarno wątpliwości.

– Polubiłam twoich rodziców, Chip.

– Wcale nie – mruknął, przeciągając palcami po włosach. – Cholera, można by pomyśleć, że mam dwanaście lat.

– Jesteś najmłodszy z rodzeństwa. Martwią się, jak to rodzice.

– Kiedyś mieli ku temu powody. – Na moment uciekł spojrzeniem w bok, powracając myślą do dawnych problemów. – To są naprawdę porządni ludzie – zapewnił Jamie, z powagą patrząc jej w oczy. – Pokochają cię, jak tylko cię lepiej poznają.

– Tak samo będzie z moją mamą. Ale teraz jest mi przykro. Wyszła na jędrę.

Chip, unosząc brew, wskazał na Tada, który właśnie przywarł do jej nogi.

– Ops, muszę się tym zająć – szepnęła do Chipa i kucając, przytuliła malca. Dotyk ciepłego, drobnego ciała podziałał na nią kojąco. Jakie to dziwne; tak krótko był z nią, a już zdążył się wkomponować w jej życie. Nadal uczyła się odczytywać reakcje i nastroje malca. Miała wrażenie, że lepiej radzi sobie z jego wybuchami złości niż z takimi sytuacjami, jakich próbkę dziś dała Caroline.

– Ona zazwyczaj nie bywa taka zasadnicza – tłumaczyła się przed Chipem, z podbródkiem wspartym na głowie Tada. – Ktoś inny spotkałby się z większą tolerancją. Ponieważ jestem jej córką, zasady się zmieniają. Potrafię to zrozumieć. Niemniej mamy tyle lat, ile mamy, i powinna wyluzować.

– Tak samo moja mama. Jak myślisz, kiedy one odpuszczą? – zadał jej retoryczne pytanie, po czym zawołał w głąb pokoju: – Buddy, siadaj na nocnik, niedługo wychodzimy! Dobrze, że ci faceci potrafią tonować emocje mamusiek – podsumował, odwracając się z powrotem do Jamie.

Jamie uniosła brwi.

– Ci faceci?

– Mój tato i Dean. – Zawiesił głos. – No co?

– Przede wszystkim to bardzo stereotypowe myślenie, zresztą obecność Deana niekoniecznie wpłynęła kojąco na Caroline. – Tad zaczął się wiercić.

Pocałowała go w czubek główki i uwolniła z objęć. – Dean i mama... – Zadumała się. – Dlaczego nie widziałam, co się święci?

– Może dlatego, że oni tak długo się znają. Czy my go lubimy?

– Tak, jak najbardziej. Nie rozumiem tylko, czemu tak bardzo jej zależało na utrzymaniu tajemnicy. – Myślała nad czymś przez chwilę. – Mimo wszystko to trochę dziwne – dodała cicho.

– Co? Trudno ci wyobrazić sobie matkę z Deanem?

– W ogóle trudno mi wyobrazić ją sobie z facetem. – Podniosła się z westchnieniem.

Parsknął śmiechem i objął ją wpół.

– Ja nie zapuszczam się wyobraźnią w te okolice, jeśli chodzi o moich rodziców. Według mnie uprawiali seks trzy razy. Koniec, kropka.

Oparła mu rękę na karku, myśląc przy tym, jak on łatwo potrafi rozproszyć jej zły nastrój.

– Mają do tego prawo – stwierdziła.

– Tak myślisz? – Zachichotał.

Tak właśnie myślała i dlatego nie przejęła się wiadomością, że Dean i Caroline zostali parą. Właściwie dobrze się złożyło, że matka ma kogoś, kiedy ona jest z Chipem. Przy Bradzie nie miała takich myśli, może dlatego że on nigdy nie absorbował jej tak jak Chip. Nawet teraz, pomimo natłoku czekających na nią spraw, potrafił choćby na minutę czy dwie oderwać od nich jej uwagę.

– To wszystko pryszcz w porównaniu z czekającą mnie rozmową z Theo. Nie wymagam się. Pierwsza rzecz na dziś, chociaż nie bardzo mam na to czas.

Chip już wcześniej zaproponował, że podrzuci dzieci do żłobka, żeby mogła jeszcze przed pracą podjechać do Thea. Projekty na prezentację były numerem jeden na liście zadań. Liczyła się każda minuta, jeżeli miała cokolwiek jutro pokazać.

Chip przygarnął ją do siebie. Jak zawsze, tak i tym razem pod spojrzeniem jego niebieskich oczu przebiegł ją lekki dreszczyk.

– Na pewno nie chcesz, żebym z tobą pojechał?

– Zdecydowanie. Mama ma rację. Sama muszę to załatwić.

Na myśl o Theo nerwowy skurcz zacisnął jej żołądek. Bardzo przydałoby się jej wsparcie męża podczas tej rozmowy. Niestety, dziadek miewał dosadny język i nie przebierał w słowach. Woląta tego Chipowi oszczędzić.

\*

Wiedziała, że o tej porze znajdzie Thea w domu i że tam łatwiej go będzie udobruchać. Miała sentyment do tej pretensjonalnej budowli w stylu Tudorów, z szachulcowymi ścianami, na cokole z polnych kamieni, ze szczytowymi ścianami w łamanym dachu i z imponującym portykiem, do którego wiodły szerokie,



kamienne schody. Nigdy nie przeszło jej przez myśl, żeby zaproponować Theo choćby kosmetyczne zmiany, mimo że wiele z jej najnowszych projektów dotyczyło modernizacji takich właśnie obiektów. Dom Thea był domem Thea i już.

Tak na dobrą sprawę to bardziej był dom jej babci. Choć Patricia od wielu lat nie żyła, jej duch nadal unosił się w tym miejscu dzięki zabytkowym meblom i gustownym bibelotom, które pieczołowicie sama wybierała. Pośród wielu wspomnień, jakie budził u Jamie ten dom, najwięcej wiązało się z tarasem od strony ogrodu.

Właśnie tam się teraz skierowała. Idąc na tyły domu po wypielęgnowanym trawniku, minęła po drodze rabaty rosnących tu od niepamiętnych czasów bujnie kwitnących kwiatów, kamienny komin oraz kępy krzewów o różnobarwnych liściach. Taras był pokryty steatytem. Patricia własnymi rękami układała żyłkowane, szare płyty, tak aby przy odpowiednim układzie wzorów powstały trzy mniej więcej koliste przestrzenie; relaksowa, jadalniana i ostatnia z miejscem na grill.

Patio, osłonięte rzędem starych liściastych drzew, robiło bardzo przytulne wrażenie. Jamie dokładnie pamiętała, jak Patricia na czworakach pielila trawnik przy granicy kamiennych płyt. Uległa żona spełniająca polecenia męża? Tylko ktoś, kto jej nie znał, mógł coś takiego pomyśleć. To była cicha, silna kobieta, bardzo wytrwała w dążeniu do celu; obojętnie, czy chodziło o postawienie pergoli, teraz obrośniętej bzem, czy o zbiórkę funduszy dla kościoła. Nigdy nie wtrącała się w działania MacAfee Homes, jej radością i dumą był dom, zbudowany dla niej przez męża. Do dzisiaj pozostała po niej tamta radość, zakłeta w feerii barw ogrodu.

W pierwszej chwili widok samotnego Thea w tym radosnym otoczeniu ścisnął Jamie za serce. Siedział w spodniach od garnituru i w rozpiętej pod szyją koszuli. Przed wyjściem do pracy uzupełnił strój o krawat i marynarkę. Skóra na przedramionach, widocznych spod podwiniętych rękawów, była wiotka i poznaczona żyłkami. Ten niewolnik nawyków życzył sobie, aby gospodyni podawała mu na śniadanie sok pomarańczowy, grzanki i jajecznicę. Właśnie ją kończył nad poranną gazetą.

Zauważył Jamie, dopiero kiedy wsunęła się na najbliższe stojące krzesło. Zaskoczony, podniósł głowę i natychmiast się ożywił. Rozpromienił się i klepnął dłonią w gazetę.

– Widziałas?

Od rana Jamie widziała jedynie Chipa, chłopców oraz ślubny pierścionek, na który bez przerwy spoglądała z radosnym zdumieniem, a którego Theo, jak dotąd, nie zauważył. Ten delikatny drobiazg ukrywał w sobie mnóstwo ważnych dla niej znaczeń. Poza tym od rana prześladowało ją wspomnienie rozczarowania Caroline.

– Co tam masz? – zainteresowała się.

– Wywiad z twoją matką. Zrobiła kawał cholernie dobrej roboty. A twierdzi z uporem, że nie nadaje się na rzeczniczkę. Musisz mi pomóc ją przekonać. – Odłożył gazetę. – No, dziewczusko? O czym przyszedł rozmawiać, jeżeli nie o wywiadzie w „Globe”?

Jamie walczyła ze zdenerwowaniem.

– Dziadku, wynikły pewne okoliczności – zaczęła.

Pokręciła głową do zbliżającej się gospodyni na znak, że nie będzie nic jadła. Gdy kobieta zawróciła do domu, usiadła twarzą do Thea. Przykro jej było, że za chwilę zepsuje mu dobry humor. Pierwszy raz po śmierci Roya widziała go tak ożywionego. Jednak nie mogła dłużej zwlekać.

W miarę jak opowiadała o zerwanych zaręczynach, o planie Brada dotyczącym zmiany pracy i wreszcie o Chipie, pomarszczona twarz dziadka coraz bardziej się zapadała. Ze ściągniętymi rysami wpatrywał się w nią przygaszonymi niebieskimi oczyma. Miała wrażenie, że w jednej chwili przybyło mu lat. Potem odwrócił głowę, odkaszlnął mokrym kaszlem i sztywno przekręcił się na poduszcze kutego fotela, by usiąść do niej przodem.

– Brad odchodzi?

– Tak. Zateśknił za rodzinnym miastem.

– Myślałem, że zapuścił korzenie w Williston.

– Najwyraźniej nie.

– A jego uczucie do ciebie?

– Obawiam się, że oboje się myliliśmy. Przykro mi, dziadku. Wiem, że ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebujesz, jest szukanie nowego prawnika.

Theo zaciął usta w bladą kreskę.

– Fatalny moment, tak krótko po... – zaciął się i dodał w myślach: – Śmierci Roya.

– Właśnie – przytaknęła i czekała na dalszy ciąg. Odejście Brada to tylko jedna wiadomość. Nie miała pojęcia, czy jest myślami przy drugiej. Milczała, żeby dać mu czas na oswojenie się z tą rewelacją.

– Ten skończony hokeista? – Skrzywił się.

– Wcale nie jest skończony – zapewniła go z przymilnym uśmiechem, prostując się na krześle. Wcześniej przy Caroline czuła się jak dziewczuska, jak zawsze pieszczotliwie nazywał ją Theo. Teraz przekonanie o swojej racji dodało jej pewności siebie. – Uczy w szkole, a co roku w lecie prowadzi bardzo popularny obóz hokejowy dla dzieci. Samotnie wychowuje trzyletniego synka, mieszka w domu, w którym dorastał...

– Zamieszkał z powrotem w domu rodziców? – wszedł jej w słowo. Przekaz był jasny. W oschłym głosie słyhać było lekceważenie.

– Owszem – przytaknęła – bo kupił rodzicom dwa domy, kiedy przeszli na emeryturę. On jest bardzo dobrze sytuowany.

– Zrobił bałagan z własnego życia – mruknął Theo.

– Wie o tym. Uwierz mi, zdaje sobie z tego sprawę. Znalazł się na dnie i sam, bez niczyjej pomocy się dźwignął. Zarabia, ma oparcie w rodzinie i synka, który go potrzebuje. Jest wartościowym człowiekiem. – Rozkręcała się coraz bardziej, żeby nie dać Theo okazji do szukania kontrargumentów. – Wszyscy lubiliśmy Brada. Ale on nie chciał dziecka, nie potrafił otworzyć serca dla sieroty, który na dodatek jest twoim wnukiem. Może Brad ma wiele zalet, lecz akurat tej jednej, najważniejszej, mu brakuje.

Theo nadal patrzył na nią z niechęcią.

– Mogłabyś sama wychowywać Tada.

– Mogłabym. I dałabym radę. Mam dobry przykład samotnej matki. – To była aluzja pod adresem Roya. Szczera prawda. Theo zareagował jedynie nieznacznym uniesieniem brwi. – Możesz mi wierzyć, nie spieszyłam się z zamążpójściem dlatego, że zerwałam z Bradem. I wcale nie z powodu Tada wyszłam za Chipa.

W głębi domu rozdzwonił się telefon.

Theo chyba go nie słyszał, bo nie oderwał oczu od Jamie.

– To dlaczego?

– Bo się zakochałam.

– Tak szybko?

– Tak szybko – powtórzyła zdecydowanym tonem, trochę zdenerwowana, bo jeżeli dzwoniła Caroline, żeby podzielić się z Theo obiekcjami w związku ze ślubem, to Jamie musiała pokazać charakter. – Dziadku, zapewne jak mama uważasz, że postąpiłam impulsywnie. A co do Brada, to ci powiem, że ucieszyło go nasze rozstanie, bo przynajmniej może wziąć tę pracę na drugim końcu kraju. Tak nawiasem mówiąc, on myślał o niej już od jakiegoś czasu.

Wyrzuty sumienia kazały jej zamilknąć. Nie zamierzała być złośliwa.

– Przepraszam. To było niepotrzebne. Brad dobrze się przysłużył MacAfee. Jego asystent może go zastąpić, dopóki kogoś nie zatrudnimy. Patrząc perspektywicznie, może to wyjdzie firmie na dobre. A co do Chipa: nigdy w życiu niczego nie byłam bardziej pewna. Myślimy podobnie. Oboje lubimy swoją pracę, wiemy, czym jest pasja i co dla nas w życiu się liczy. Dla niego teraz najważniejszy jest syn, a dla mnie Tad. Dziadku, ja rozumiem twoją rezerwę. I przepraszam, że się uniosłam.

Theo opadł na fotel z szelmowskim uśmieszkiem. Takiej reakcji się nie spodziewała.

– Zawsze mnie ciekawiło, czy też to masz.

– Czy co mam?

– Ikre, jak ojciec. Teraz widzę, że nie całkiem Roya utraciłem. – Podniósł wzrok na gospodynię, niosącą słuchawkę.

– Brian Leavitt – bąknęła nieśmiało. – Mówi, że pilne.

Nazwisko dzwoniącego przerwało Jamie spekulacje, czy to, co usłyszała, na pewno było komplementem. Pilny telefon od Briana mógł wyłącznie oznaczać, że Claire rozzłościł wywiad Caroline dla „Globe” i że w odwecie może stawiać kolejne żądania dotyczące *Gut It!*

Wzięła głęboki oddech. Bezskutecznie starała się uspokoić rozpedzone serce.

– Tak? – warknął Theo do słuchawki. Słuchał przez chwilę. – Według mnie to dobry kawałek – oznajmił w miarę spokojnie i dodał z wyrzutem: – Przykro, że tak to odebraliście. – Skierował wodniste oczy na Jamie. – Świetny pomysł to zebranie. – Poprawił się w fotelu i siedział wyprostowany jak struna. – Nie, jutro nie da rady, w środę też nie... Tak, Brian, rozumiem, że liczy się czas, ale ja prowadzę firmę... czwartek rano? Pasuje. – Oczy mu się ożywiły. Wyraźnie dobrze się bawił. – Nie, nie w stacji, u mnie w biurze... Rozumiem, lecz ja mam osiemdziesiąt dwa lata i chyba możecie pofatygować się do mnie. – Przewaga własnego boiska, powiedział bezgłośnie do Jamie, puszczając oko. – Dla mnie najważniejsza jest firma. Tak, Brian. Wiem. Claire jest zdenerwowana, już to mówiłeś. Moja rada? Niech spuści z tonu do zebrania. Źle znoszę stawianie mi ultimatum. – Znowu przerwa zakończona skinieniem głową. – Dziękuję.

– Zebranie z Brianem i Claire? – Jamie nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy wpaść w panikę.

– Oraz z twoją matką, Deanem i tobą.

Ciekawe, przeszło jej przez myśl, czy Theo wie o matce i Deanie. Być może od dawna uważał ich za parę, a może to Brian nalegał na obecność Deana i to, co myślał dziadek, nie miało tu znaczenia.

– Czym groził?

Theo przechylił się ku niej ponad oparciem fotela. W jego ożywionym spojrzeniu widziała upór i rozbawienie.

– Rezygnacją z emisji *Gut It!* Biedak nie ma pojęcia, że mało mnie obchodzi, czy będą kręcić kolejne odcinki, czy nie. *Gut It!* to dziecko Roya, nie moje. A oto wiadomość dla ciebie: jeżeli twojej matce i tobie zależy na programie, musicie o niego zawalczyć. – Wyprostował się, wpatrując się w nią z uwagą. – Czyli mężatka, tak?

– Mężatka. I bardzo zakochana.

Nie odpowiedział.

– Powiedz coś, dziadku – poprosiła, nie mogąc dłużej znieść tej ciszy.

– Znam jego rodziców?

– Jeżeli pytasz, czy obracają się w tych samych kręgach co my, to nie sądzę, ale w mieście są znani i szanowani.

– Tad nosi moje nazwisko. Nie chcę, żeby nazywał się Kobik.

Odetchnęła z ulgą. Cień akceptacji?

– Nie będzie. To już ustalone. Ja też zostałam przy MacAfee.

Kolejne przeciągające się milczenie.

– Skoro jesteś szczęśliwa.

Nie pamiętała, aby jego głos kiedykolwiek brzmiał tak łagodnie. Poczula ucisk w gardle. Znała jego opryskliwość i liczyła się z przemową okraszoną mnóstwem „dziewuszka to” czy „dziewuszka tamto”. Może złagodniał z wiekiem, a może zmieniła go śmierć Roya. Miała wrażenie, że Theo w tej chwili stara się zastąpić jej ojca. To wystarczyło, żeby łzy napłynęły do oczu Jamie. A może wycisnęła je myśl, że Caroline, która zawsze była blisko niej i zawsze ją wspierała, tym razem się od niej odcięła. Dziadek nie mógł lepiej trafić z tym czułym podejściem.

– No co? – zapytał szorstko, zapewne zbity z tropu widokiem łez.

– Nic miłego nie mogłeś mi powiedzieć. Tak, jestem szczęśliwa i mam to, czego pragnę. Znalazłoby się tysiąc powodów, dla których ktoś, kto nie zna sytuacji, uznałby ją za szaleństwo, ale ja naprawdę kocham Chipa. On uwielbia Tada, jest świetnym ojcem, a mnie traktuje jak skarb. Tad zawsze będzie dla mnie na pierwszym miejscu. To oczywiste. Teraz ma normalny dom z matką i z ojcem, który go chce. – Zawiesiła głos. – Mama jest mocno wkurzona – poskarżyła się nieśmiało. – Że za szybko... no i w ogóle.

Prychnął lekceważąco.

– Oświadczyłem się Patricii tego samego dnia, kiedy się poznaliśmy. Pobraliśmy się tydzień później.

Jamie znała tę historię, lecz nie widziała związku.

– To były inne czasy.

Uniósł siwe brwi, jakby dając do zrozumienia, że nie uważa, aby czasy miały tu jakieś znaczenie, co podsunęło Jamie pewną myśl.

– Dziadku, a może przypomnisz o was mamie? Tyle się ostatnio działo, może zapomniała. Byłabym ci ogromnie wdzięczna za pomoc.

– Nie ma nic za darmo.

– To znaczy?

– Namów ją, żeby mnie zastąpiła, kiedy postanowię się wycofać.

Jamie zaniemówiła, zaskoczona powagą tego żądania. Z wielu powodów ona akurat szczególnie nadawała się na jego orędowniczkę. Przede wszystkim Caroline mogła podejrzewać, że Jamie chce pozbyć się jej z planu *Gut It!*, by bezkonfliktowo przejąć rolę gospodyni.

– Sprawdzam ją od jakiegoś czasu – wyznał Theo. – Radzi sobie nie gorzej ode mnie.

– Jestem pewna, że się zgodzi.

– Ty masz za zadanie ją przekonać. – Uśmiechnął się przebiegle.

## Rozdział 25



Na spotkanie z Herschelem Oakesem Caroline najchętniej przywdziałyby zbroję. Co prawda jak dotąd nigdy bezpośrednio w nią nie uderzył, lecz wiedza, jak celnie potrafi trafiać ludzi w czuły punkt, nakazywała zachować ostrożność. Herschel nie miał uprawnień do występowania w sądzie, więc jego ostre riposty nie sięgały sędziów. Przede wszystkim kierował je do zwykłych śmiertelników, głównie członków rodzin, gdy przyszło im do głowy podważać testament, którego on był wykonawcą. Caroline nie wiedziała, czy w tym przypadku trudności mogą przysporzyć jakieś szczególne dyspozycje zawarte w testamencie Mildred Weymouth, mające na celu zniechęcenie synów do wyprzedaży majątku, czy willistońskie korzenie Herschela. Jedno pozostawało pewne: prawnik stanowił poważną przeszkodę na drodze do pozyskania parceli.

Z braku kolczugi wybrała na tę okazję rozszerzaną czarną spódnicę, żakiet z baskinką i top w kolorze kości słoniowej; tamten komplet, który kupiła na pogrzeb Roya. Chyba jedyny strój w jej garderobie, który prezentował się odpowiednio formalnie (jestem członkiem zarządu MacAfee, więc proszę traktować mnie poważnie), a jednocześnie był kobiecy. Owszem, miała kilka bluzek i par spodni, które ostatnio wkładała na narady w biurowcu, bo tam nie wypadało pokazywać się w kombinezonie roboczym. W tym eleganckim zestawie kupionym na pogrzeb wyglądała młodo, a według Deana seksownie. Wiadomo, że atrakcyjny wygląd poprawia kobiecie samopoczucie.

Świadomość, że wygląda korzystnie, zdecydowanie dodała jej pewności siebie, chociaż w ostatnich godzinach nachodziły ją przelotne chwile wątplenia, gdy zastanawiała się, co w nią wstąpiło i po co rzuca się na to wszystko. Była stolarzem. Przy pracy z drewnem czuła się w swoim żywiole. Siedziałaby teraz w swoim zapyłonym trocinami garażu, zamiast lawirować sedanem Thea po zatłoczonych bostońskich ulicach. Uparł się, żeby wzięła jego cadillaca. Jednak miało to swój urok; elegancko ubrana jechała w czystym, wygodnym samochodzie, prowadzona przez GPS. W momentach wątplenia tłumaczyła sobie, że się rozwija, próbuje nowych rzeczy, zwiększa kompetencje. Jeszcze miesiąc czy dwa wcześniej myślała, że będzie prowadziła negocjacje w imieniu teścia, budziłaby w niej przerażenie, teraz lęk mieszał się z ekscytacją.

Nie widziała Herschela Oakesa od ponad dekady. Odkąd sprzedał dom w Williston i przeprowadził się do Bostonu. Wcześniej spotykali się przypadkiem u Fiony i w różnych innych miejscach. Herschel nie interesował jej jako

mężczyzna, natomiast zależało jej, żeby on dostrzegł w niej silną, niezależną kobietę. Niezależne, a do tego eleganckie, seksowne i młodo wyglądające panie pociągały mężczyzn. Oby zrobiła na nim odpowiednie wrażenie i skłoniła go do ustępstw!

Trudno, może to sztampowe, niepoprawne politycznie myślenie, może wszystkie feministki z Nowej Anglii rumieniły się przez nią ze wstydu, ale jej tak bardzo zależało na parceli Weymouthów.

Kancelaria Herschela zajmowała dwa poziomy w biurowcu w dzielnicy finansowej. Połyskująca mosiężnym wykończeniem winda wwozła ją bezszmerowo na dwunaste piętro, zatrzymując się w granatowym holu z przeszkloną ścianą z widokiem na miasto. Gdy została zaanonsowana przez interkom, wyszedł jej na spotkanie jak zawsze nienagannie ubrany dystyngowany pan. We włoskim garniturze wyglądał smuklej, niż go zapamiętała, poprządkana siwizną ciemna czupryna pozostała tak samo gęsta jak dawniej. A jednak wyglądał starzej. Cerę miał poszarzałą, a ciemne oczy straciły blask.

To oczywiście, że się posunął, niemniej było coś niepokojącego w jego wyglądzie.

Po kurtuazyjnym powitalnym uścisku wprowadził ją do swej kancelarii. W pomieszczeniu dominowało duże mahoniowe biurko. Obszedł stojący za nim fotel z wysokim oparciem – jego tron, pomyślała nie bez sarkazmu – kierując się do dwóch stojących na uboczu foteli. Wskazał jej jeden, a w drugim zagłębił się sam z nogą założoną na nogę. Z wyszukaną uprzejmością wypytał ją o Thea i o Jamie oraz pogratulował sukcesu *Gut It!* Gdy po złożeniu kondolencji dodał mimochodem, że właściwie nie znał dobrze Roya i nigdy mu szczególnie nie ufał, nic nie powiedziała. Natomiast po komplementach, że świetnie wygląda, i towarzysząc jej mu uwadze: „Wdowieństwo ci służy”, puściły jej nerwy.

Już otwierała usta, żeby zaprotestować, lecz ją wyprzedził.

– Wybacz. – Wydawał się szczerze skruszony. – To było małoduszne. Trudno się zmienić po latach aroganckich występów. Ale próbuję.

– Czemu? – spytała zaskoczona.

Zacisnął usta, jakby dawał do zrozumienia, że to nieistotne.

– A więc – zmienił temat. – Interesuje cię posiadłość Weymouthów.

Podczas ich nieudanej randki trzykrotnie narzekał na ludzi, którzy marnują jego czas. Dobrze to zapamiętała, bo przez cały wieczór był tak skupiony na sobie, że wracała do domu przekonana, że tym razem to on zmarnował jej czas. Dlatego nie była zaskoczona, że szybko przeszedł do sedna sprawy. Takiego go zapamiętała. W końcu przyjechała rozmawiać o konkretach.

– Firma MacAfee Homes chciałaby ją kupić.

– Zanim ktoś was wyprzedzi.

– Właśnie. Od śmierci Mildred mamy tę parcelę na oku. Żywiliśmy nadzieję,

że złożymy uczciwą ofertę, jak tylko bracia coś zdecydują. Ostatnio zbyt często wypływa nazwisko Barthów. Czy doszło do jakichś rozmów?

– Nie.

– Dasz mi znać, jeżeli coś się wydarzy?

– Tak. Oczywiście nie wchodząc w szczegóły.

– To zrozumiałe – przytaknęła. – Ale możesz uchylić rąbka tajemnicy i powiedzieć, czy ktoś o nazwisku Barth siedział w tym fotelu, powiedzmy, w ostatnim półroczu? – dodała lżejszym tonem.

– Były takie próby. Młodzi Weymouthowie nie są jeszcze gotowi do podjęcia działań.

– Czy to kwestia wyczekiwania na bardziej lukratywną ofertę?

– Nie wiem.

Zdziwił ją tą odpowiedzią, bo wydała jej się nadto szczerza jak na Herschela Oakesa. Zapamiętała go jako bardzo przebiegłego prawnika. Tamten zaczęłby kluczyć, sygnalizować aluzyjnie, że cena będzie wysoka. W swojej najlepszej formie niewątpliwie napomknąłby o niedawnym wypadku na golfa z Weymouthami, tylko po to, żeby jej pokazać, jak bardzo jest z nimi skumpłowany.

W swojej najlepszej formie, zadźwięczało jej w głowie.

Intuicja podpowiadała jej, że z tą formą nie było najlepiej. Wydawał się przygaszony; przypominał mechaniczną zabawkę, w której poluzowała się sprężyna. Może zwyczajnie złagodniał, co było dość zaskakujące.

– Dobrze się czujesz? – spytała nieśmiało. – Jesteś jakiś... – zawahała się, nie chcąc go urazić.

– Jaki?

– Wyciszony – powiedziała pogodnie, żeby widział w tym komplement.

Brązowe oczy patrzyły na nią spokojnie.

– Czy tak właśnie nie dzieje się z wiekiem? Starzejemy się. A ty nie złagodniałaś?

Nie musiała długo myśleć nad odpowiedzią. Siła, odwaga, pasja; to one ostatnio ją napędzały.

– Właściwie chyba zhardziałam. Może gdybym piętnaście lat temu miała tyle tupetu co ty, też teraz wydawałabym się wyciszona.

– Tyle tupetu, hmm? – podchwycił z gorzkim uśmiechem. – Powinienem był wiedzieć, że tak mnie oceniasz. To jeden z powodów, dla którego nam nie wyszło. Przejrzałaś mnie wtedy na wylot.

– Tym razem mi się nie udaje. Zmieniłeś się.

– Ty też.

– Jeśli nie teraz to kiedy? – rzuciła, żeby cokolwiek powiedzieć, jednak dopiero po chwili zorientowała się, jak szczerze to pytanie zabrzmiało w jej



przypadku.

Jeżeli w swoim wieku nie spróbuje czegoś nowego, nie odważy się, to już nigdy tego nie zrobi. Prowadzenie *Gut It!* było dla niej wyzwaniem. W najśmielszych snach nie liczyła, że zostanie jego gospodynią, a jednak się udało. Teraz, kiedy zanosilo się na wypchnięcie jej z programu, odkrywała nowe możliwości; ot, choćby kochanie się z Deanem Brannickiem, odgrywanie roli prezeski czy nawet umiejętność stawiania się Jamie.

Wspomnienie córki wywołało bolesny skurcz w okolicy serca. Musiała się skupić, być tu i teraz.

– Menopauza – wymruczała, podnosząc wzrok na Herschela. – To moje usprawiedliwienie. A twoje?

Chrząknął zakłopotany zamiast odpowiedzieć. Caroline czekała.

– Ech! – Machnął dłonią, nie odrywając nadgarstka od podłokietnika. – Po prostu znużenie.

– Znużenie?

– Właściwie nowotwór. – Nabrała powietrza, chciała coś powiedzieć, lecz on ciągnął dalej. – Zdiagnozowany trzy lata temu. Leczenie było bardzo radykalne. Teraz jest w remisji. W końcu mnie zabije, o ile, oczywiście, wcześniej nie zrobi tego jakiś klient.

– Przepraszam – wyjąkała. – Nie wiedziałam.

– Nikt nie wiedział. I o to chodziło. Ważne, aby zachowywać pozory. Niestety, moja energia nie wróciła już do poziomu sprzed choroby. – Odsłonił zęby w gorzkim uśmiechu i potrząsnął głową. – A oto jeszcze jedno uczciwe wyznanie. Najbardziej na chorobie ucierpiało moje sumienie. Kiedy stajesz oko w oko ze śmiercią, zaczynasz przyglądać się swemu życiu, a gdy przypadkiem podsłuchasz uwagi w rodzaju „należało mu się” albo „przejmę po nim kancelarię, jak tylko zniknie”, poważnie zastanawiasz się nad sobą.

– Ludzie potrafią być okrutni. – Caroline szczerze współczuła temu człowiekowi, mimo że nie darzyła go sympatią.

– Gdy dostają taki przykład z góry od swoich mentorów – podsumował jej wypowiedź z poczuciem winy w głosie. – To spowolnienie tempa miało też swoje dobre strony. Poznałem lepiej swoje córki. Mam pięcioro wnucząt.

– Pięcioro.

Uśmiech złagodził jego wyostrzone rysy.

– Dwóch chłopców i trzy dziewczynki. Żywe srebra.

Caroline zatrzymała spojrzenie na fotografiach na komodzie. Zdjęcia w większości nie były pozowane.

– Odziedziczyły energię po swoim dziadku – zauważyła.

– Dziadek miał na to niewielki wpływ. – Rzucił jej rozbawione spojrzenie. – Czemu ja ci to wszystko opowiadam?

– Może dlatego, że długo się znamy.  
– To ci nie pomoże zdobyć terenu Weymouthów – ostrzegł ją, przechodząc płynnie do rzeczy. – Nie obchodzi mnie trudna sytuacja MacAfee...  
– Nie jesteśmy w trudnej sytuacji.  
– W takim razie po co walczyacie o ten teren?  
– Bo to wspinała parcela.  
– Będzie kosztować majątek.  
– Zarobi dla nas fortunę.  
– No cóż – zaczął, dumając nad czymś przez chwilę. – Chyba pukasz do niewłaściwych drzwi, bo to nie ja jestem właścicielem. – Wyraźnie nabrał energii, odkąd przejął kontrolę nad przebiegiem rozmowy. – Gdyby ta parcela należała do mnie, dawno bym ją sprzedał.

– Jak bardzo stopniał ten fundusz powierniczy?

Splótł dłonie na brzuchu i przyglądał jej się z rozbawieniem.

– Nic takiego nie powiedziałem. Stwierdziłem jedynie, że na miejscu właścicieli dawno bym zbył tę posiadłość. Sprzedałem dom w Palm Beach – pamiętasz, że miałem tam nieruchomość, prawda? I tak za długo z tym zwlekałem. Pazerna bestia, samo utrzymanie kosztowało fortunę, nawet gdy willa stała pusta. Tak było zresztą przez większość czasu. Dobry adres, blisko pola golfowego. Świetne miejsce do podejmowania gości. Jednodniowych, weekendowych; nie wiesz, co ci ominęło. Miałem tam na stałe kucharkę. Przygotowywała wystawne kolacje na dwadzieścia, a czasem nawet na trzydzieści osób. Jeżeli fundujesz gościom poczęstunek lepszy od tego, jaki dostaliby w klubie... – przerwał, mrużąc oczy. – Ech, znowu mnie poniosło – mruknął.

Jak zwykle mówił o sobie. Caroline uśmiechnęła się na wspomnienie ich randki sprzed lat.

– A gdybyście weszli w posiadanie parceli Weymouthów, to co dalej? – zapytał, przechylając głowę.

Caroline wiedziała, że nie kieruje nim zwykła ciekawość. To pytanie stanowiło zaproszenie do wyjawienia planów MacAfee. Zaczęła prezentację od historii firmy, a skończyła na zapewnieniu o własnym przywiązaniu do Williston. Po drodze wspomniała o nagradzanych projektach Jamie, o udanych lokalnych inwestycjach firmy, o gronie fachowców na ich liście płac, a także o możliwości pokazywania kolejnych etapów budowy w *Gut It!*

– Weymouthowie, wybierając MacAfee Homes – podsumowała – mają gwarancję, że zachowamy charakter tego miejsca, jaki zapamiętali z czasów dzieciństwa.

– A co składało się na ten charakter?

– Elegancja. Sukces. Piękno. Ciepło.

– Oni nie mają w sobie ani krzty z tych rzeczy.

Uśmiechnęła się.

– Założę się, że tak właśnie chcieliby być postrzegani. Takie inwestycje mają w sobie coś z pobożnych życzeń. Są pogonią za marzeniem.

– Bardzo poetycko to ujęłaś.

– Bo to będzie czysta poezja, Hersch – podchwyciła, obracając ironię na swoją korzyść. – Znamy potencjał tego terenu, znamy nasze miasto i znamy się na robocie. Jesteśmy otwarci na współdziałanie z twoimi klientami, tak aby na każdym etapie prac czuli się usatysfakcjonowani. Chcielibyśmy się z nimi spotkać. Czy możesz to zaaranżować?

Chyba dostrzegła błysk podziwu w jego oczach, zanim przybrał maskę pokerzysty.

Cmoknął językiem.

– To może być trudne. Jak powiedziałem, Weymouthowie nie są jeszcze zdecydowani.

– Bo jak dotąd – wychyliła się ku niemu w fotelu – nie doszło do rozmów. To twoje słowa. Fundusz powierniczy jest mocno nadwątlony.

– Ty to powiedziałaś, nie ja.

– A ty nie zaprzeczyłaś – wytknęła mu.

Patrząc na tego mężczyznę, który wcale nie był takim potworem, jak go zapamiętała, poczuła się zaskakująco silna. Ta rozmowa niemal sprawiała jej radość.

– Wspomniałaś o domu w Palm Beach. Biorąc pod uwagę tutejszy klimat, utrzymanie posiadłości Weymouthów znacznie więcej kosztuje. Gdy się doda do tego prąd, pensję dozorca, utrzymanie trawnika latem i odśnieżanie w zimie, ubezpieczenie, opłacanie agencji ochrony, to wynosi jakieś...

Gwizdnął cicho.

– Dobra jesteś.

Odchyliła się na oparcie, patrząc na niego z uwagą.

– Kpisz ze mnie?

– Nie – zapewnił ją. – Myślę, że cię nie doceniałem.

Domyślała się, że w jego ustach to był komplement. Niestety, nie mogła go odwzajemnić. Nawet taki bardziej ludzki wydawał jej się mniej pociągający niż wtedy, w przeszłości. Odkąd dzięki Deanowi poznała, co to chemia między kobietą i mężczyzną, tutaj, delikatnie rzecz ujmując, tej chemii w ogóle nie było. W porównaniu z Deanem Herschel Oakes wypadał blado.

Nieistotne spostrzeżenie; w grę wchodzi teren Weymouthów. Herschel jest kluczową postacią i nie wolno go obrazić.

– Och, stare dzieje. – Roześmiała się cicho, unosząc dłoń. – A wracając do Weymouthów, zapewniam cię, że nasza firma jest najlepszym wyborem. Barthowie nie czują sentymentu do tego terenu ani nie są emocjonalnie związani z miastem.

Natomiast jeśli chodzi o twoich klientów, to Ralph przez te wszystkie lata od śmierci matki nie zdołał znaleźć ekipy, która przyjechałaby oszacować stan posiadłości, John może i chciałby zatrzymać ją dla siebie, ale nie jest w stanie wpłacić do funduszu tyle, ile my, a Grant rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy i gotów jest przyjąć każdą ofertę.

Zapewne z kimś obcym nie rozmawiałaby tak otwarcie. Tutaj mogła sobie na to pozwolić. Niech on widzi, że jest zorientowana w sytuacji i przyjechała z konkretną propozycją.

– I najważniejsza sprawa. – Postanowiła kuć żelazo, póki gorące. – Zależy nam na szybkim działaniu. Zorganizuj spotkanie, my przyjedziemy z pieniędzmi i z projektami, jeżeli, oczywiście, bracia zechcą obejrzeć prezentację. Nie mamy czasu, Hersch.

– Myślicie o transakcji poza przetargiem.

Skinęła głową.

– Tak.

– Czemu akurat teraz? Chcecie pokazać światu, że firma przetrwa bez Roya?

– Nie. Wiemy, że są inne osoby zainteresowane kupnem. Chcemy je uprzedzić, bo najlepiej umiemy zagospodarować ten teren.

– Dlaczego z tobą o tym rozmawiam? O ile pamiętam, zajmowałaś się stolarstwem. Czy nie w tej roli występujesz w programie?

Przełknęła próbę obniżenia jej statusu.

– Oglądasz go? – zapytała z uśmiechem.

– Telewizję na żywo? Raczej nie.

– Powinieneś obejrzeć nasz program. Jest dobry.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. – Gładko wrócił do tematu. – Dlaczego ty? Bo coś tam kiedyś się między nami zadziało i Theo uznał, że pójdę na ustępstwa ze względu na dawne czasy?

Skwitowała tę uwagę śmiechem.

– Oboje wiemy, że nic by z tego nie wyszło, i przyznam, że zdecydowanie wolę cię takiego, jaki jesteś obecnie. Z tym rakiem i w ogóle.

– Z raka nie stroi się żartów.

Jego otwartość i odmienne od dawnego zachowanie ciągle zaskakiwały Caroline. Naszła ją myśl, że może więcej zmian zaszło w jego życiu. Spojrzała uważnie na jedno ze zdjęć na komodzie. Ciemnowłosa kobieta w średnim wieku o sympatycznej twarzy. Nikt z rodziny. Ani była żona, ani któraś z córek.

– Ktoś bliski? – Ruchem podbródka wskazała zdjęcie.

– Moja fizjoterapeutka.

Może rozbawiłaby ją myśl, że fotografia terapeutki stoi pośród rodzinnych zdjęć, gdyby nie poważna mina Herschela.

– W dosłownym znaczeniu?

– Tak. Wspierała mnie po diagnozie. To nie mój typ kobiety. Pracuje.  
– Chodzi ci o to, że w ogóle pracuje, czy że zajmuje się tobą?  
– Pracuje, znaczy, że codziennie chodzi do pracy. Lubię, kiedy moje kobiety są dyspozycyjne. Taki był właśnie problem z tobą. Kazałaś mi czekać na spotkanie, aż skończysz pracę.

– A myślałam, że powiesz coś o brudzie pod paznokciami – rzuciła z uśmiechem.

– Nigdy go nie widziałem – zamyślił się, zerkając na jej dłonie. – Nawet wtedy malowałaś paznokcie.

– Teraz są zadbane.

– A Alice nie jest już moją terapeutką, przynajmniej oficjalnie.

– Aha. – Czyli romans, stąd zdjęcie na komodzie. – To dobrze, Hersch. Cieszę się. – Naprawdę dobrze mu życzyła.

– Jeszcze raz zapytam. Dlaczego ty?

Mogłaby powiedzieć, że Theo nie jest już taki mobilny jak dawniej albo że na razie nie mają nikogo na miejsce Roya. Mogłaby nawet przyznać, że rzeczywiście, pomyślała, iż może więcej ugra ze względu na ich dawną zażyłość. Każda z tych odpowiedzi zawierałaby ziarnko prawdy. Ale były też inne powody. Theo widział ją w zarządzie, Dean w łóżku, sponsorzy *Gut It!* chcieli, aby jej pięćdziesięciosześcioletnia twarz zniknęła z ekranu. Pragnęła coś sobie udowodnić, aranżując tę transakcję, lecz Herschel Oakes nie musiał o tym wiedzieć.

– Bo zależy mi na tym kawałku ziemi – odparła po prostu.

\*

– Skoro tak bardzo zależy ci na tym kawałku ziemi – podsumował Dean, gdy tylko skończyła relacjonować rozmowę z Herschelem na lunchu U Fiony – powinnaś lepiej zadbać o swoje relacje z Jamie.

Caroline, zaskoczona, zatrzymała grzanekę z kawałkiem piersi kurczaka w połowie drogi do ust.

– Ha. A co to ma znaczyć?

Była w takim dobrym humorze. I w jednej chwili ten dobry nastrój przysł. Wątpliwości, które dotąd tkwiły gdzieś na peryferiach świadomości, znowu się pojawiły i poczuła ucisk w sercu.

– Kontaktowałaś się z nią?

Powoli odłożyła grzanekę do wiklinowego koszyka. Spojrzała na zegarek, a potem na Deana. Spodziewała się pochwały za sposób, w jak poprowadziła rozmowę z prawnikiem.

– Jest dopiero pierwsza. Miałam pracowite przedpołudnie – postawiła się.

– Obiecałaś do niej zadzwonić. Wasza rozmowa nie najlepiej się zakończyła. Jeżeli kładłaś mi do głowy, jak mam postępować z synem, jeśli wyciągnęłaś

wnioski z ostatniej utarczki z Jamie, powinnaś postarać się, żeby zasklepić jątrzącą się ranę.

– Zasklepić jątrzącą się ranę? Użyłam kiedykolwiek takiego określenia w rozmowie z tobą?

– Może nie do końca, ale coś w tym stylu. – Nie zamierzał spuścić z tonu. – Pomagałaś mi zobaczyć sprawy we właściwym świetle. Sama wiesz, że niepotrzebnie cię poniosło podczas ostatniej rozmowy. Miałaś zadzwonić do niej w drodze do Bostonu.

Oparła się o ściankę boksu, patrząc mu w twarz.

– Taki miałam zamiar, ale potem skupiłam się na planowaniu spotkania.

Liczyła, że stanowczy ton powstrzyma go od kąśliwych uwag. Lepiej niech zastanowi się dwa razy, zanim jeszcze coś powie. Stosunki z Jamie stanowiły dla niej drażliwy temat.

Wpatrywał się chwilę w ostatni kęs swojej grzanki z szynką i cheddarem. Odłożył go, odsunął koszyk, otarł usta serwetką i podniósł wzrok na Caroline.

– Mogłaś zadzwonić do niej, wracając z Bostonu. To ważne.

A więc nie zamierzał odpuścić.

– Myślisz, że tego nie wiem? – odwarknęła, sfrustrowana. Wcisnęła łokcie w blat stolika z jakimś tekstem gazetowym umieszczonym pod szkłem. – Proszę cię, Dean, nie pouczaj mnie. – Zniżyła głos. – To, że ze sobą śpimy, nie upoważnia cię do zwracania mi uwagi. – Za długo sama decydowała o sobie. – Zadzwonię do niej, najpierw jednak muszę wszystko ułożyć sobie w głowie. Poza tym ona też mogła do mnie zadzwonić. I nie porównuj swojego syna z Jamie. On ma czternaście lat. Ona dwadzieścia dziewięć. Jeżeli była na tyle dojrzała, aby jednego dnia podjąć decyzję o ślubie, a następnego wprowadzić ją w czyn, powinna zdawać sobie sprawę, że mnie to zaboli, i okazać choć odrobinę skruchy. I jeszcze jedno; ona nie ma prawa zaglądać mi pod kołdrę. – Wiedziała, że niepotrzebnie się nakręca, ale nie potrafiła wyhamować. – Zdradzałam jej ojca? Nie! Po rozwodzie sprowadzałam mężczyzn do domu? Nie! Ona chce, żebyśmy wiecznie żyła jak mniszka?

– Caro. – Piuwne oczy patrzyły na nią z wyrzutem. – Nie o to chodzi. O ile zrozumiałem, miała pretensje, że jej nie powiedziałaś.

– Nie muszę się przed nią tłumaczyć.

– A ona przed tobą. Jesteście kwita.

– Dlatego może pierwsza zadzwonić. – Wyprostowała się. – W tej chwili mam mnóstwo spraw na głowie.

– Ona też.

Ta rzeczowa odpowiedź wzmogła w niej przewrotną chęć do kłótni.

– Na własne życzenie.

– Nie do końca. To ty chcesz mieć wstępne projekty dla terenu

Weymouthów gotowe na jutro. Masz rację, Jamie jest starsza od Renniego, ale ty jesteś starsza od niej.

– Od ciebie też. – Jej gniew powoli przygasał. Ta sprzeczka nie miała sensu. – A gdzie odrobina szacunku? – zapytała jeszcze, żeby pokryć zażenowanie.

Wypił łyk coli, odstawił szklankę i wychylił się do przodu, wyciągając ramiona na blacie.

– Ty mnie krytykujesz za to, co robię lub czego nie robię. – Brwi miał ściągnięte, wzrok zachmurzony. – A mnie nie wolno?

– Nie atakuję ciebie – powiedziała cicho.

– Ja ciebie też nie zaatakowałem.

– Tak to odebrałam.

– W takim razie albo użyłem niewłaściwych słów, albo źle odczytałaś mój ton czy spojrzenie. I nie przypominaj mi, że jesteś starsza, bo w naszym wieku różnica paru miesięcy nie ma znaczenia.

– Nie miesięcy, ale lat.

– Dokładnie dwadzieścia cztery miesiące i pamiętam o tym jedynie wtedy, gdy mi przypominasz. – Westchnął i dodał pojednawczo: – Po prostu chciałem ci uświadomić, że najważniejsza jest Jamie. Im dłużej będziesz zwlekać z tym telefonem, tym trudniej będzie ci sięgnąć po słuchawkę.

Caroline milczała, wsłuchana w szmer rozmów w sali, w pobrzękiwanie naczyń i sztuców oraz w głosy kucharek na zapleczu. W pewnej chwili do stolika podeszła znajoma z widzenia kobieta i przedstawiła im swoją koleżankę spoza miasta, fankę *Gut It!* Uczucie dumy poprawiło humor Caroline.

Gdy tylko kobiety się oddaliły, przeniosła spojrzenie na Deana. Bawił się czystym nożem, kręcąc nim po stole to w jedną, to w drugą stronę. Musiał poczuć na sobie jej wzrok, bo podniósł oczy. Widziała w nich tamto onieśmienie, które zawsze ją rozbrajało.

– Wybacz – powiedziała cicho. – Przesadziłam.

Sięgnął po jej dłoń. Zazwyczaj się nie afiszowali, ale teraz splótł palce z jej palcami.

– Nie chcę, żebyśmy się sprzeczali.

Ona, tym razem tak samo nie dbając o pozory – w tej chwili najważniejsze dla niej było oczyszczenie atmosfery – uścisnęła jego rękę.

– Od lat się sprzeczamy. Już tacy jesteśmy.

– Słowne potyczki to nie to samo. Dochodzimy do porozumienia w ważniejszych sprawach, prawda?

W ważniejszych sprawach. Takich jak obecność Champa. Jego wiejski dom. Filmy akcji, których ona nie znosiła, a które on ze słuchawkami w uszach oglądał w łóżku do późna w nocy. Odmiennie zwyczaje kąpielowe. On wolał prysznic, a ona wannę, nadal przy zamkniętych drzwiach.

– Tak – przyznała. – To prawda. Dobrze się dogadujemy. Tylko tym razem...  
– Szukała odpowiednich słów. – Miałam takie poczucie triumfu.

– A ja ściągnąłem cię na ziemię?

– Zadzwoń do Jamie.

– Postaram się cię nie atakować.

– Ale ona mogłaby do mnie pierwsza zadzwonić. Była tak krytycznie nastawiona.

– Ty też, w ważniejszych sprawach. Mąż jest teraz centralną postacią w jej życiu. Jeżeli tego nie przyjmiesz do wiadomości, wasze relacje będą wyglądać fatalnie. – Zawiesił głos. – Ty jesteś tą dorosłą.

– Zdaje się, to ona powiedziała, że jest dorosła. Tak, na pewno tak powiedziała.

– W takim razie, która z was jest dojrzała? – Patrzył na nią wyczekująco.

Westchnęła.

– To się zobaczy.

– Nie stać cię na więcej?

– Nie. Nadal boli.

– Chcesz wrócić do domu na małe...

Osadziła go surowym spojrzeniem.

– Nic na to nie poradzę – wyznał, zatrzymując spojrzenie na biuście. – Ubrałaś się w mój ulubiony strój.

– Ten, w którym pochowałam byłego męża?

– Właśnie.

– Jesteś okropny.

– Ale i tak mnie kochasz.

Westchnęła.

– Kocham.

– Na tyle, żeby za mnie wyjść?

– Proszę cię. Nie czas na tę rozmowę. Theo czeka. Jest ciekawy, jak mi poszło na spotkaniu.

– Świetnie sobie poradziłaś, skarbie – pochwalił ją z uśmiechem, nie drażąc dłużej tematu.

– Czyżby? Po takich błyskotliwych pertraktacjach z ust Herscha nie padły żadne deklaracje.



## Rozdział 26



Jamie, podbudowana pozytywnym nastawieniem Thea, może natychmiast zabrałaby się do projektów Weymouthów, gdyby w biurze nie czekało na nią wiele innych spraw. Postanowiła zacząć od Brada. Niecały tydzień temu na jej palcu połyskiwał zaręczynowy brylant. Dziadek mógł nie zauważyć nowego pierścionka, ale zawsze znajdzie się w biurze ktoś, komu ta zmiana nie umknie. Musiała sama powiedzieć Bradowi, tyle była mu winna.

Zastała go w biurze. Wściekł się, gdy mu powiedziała o Chipie. Takiej reakcji się nie spodziewała. Raczej liczyła, że ukryje ewentualne emocje pod maską obojętności, jak podczas ich ostatniej rozmowy. Niestety. Z szarymi oczyma zimnymi jak stal, niskim głosem, jakiego nigdy przedtem u niego nie słyszała, oskarżył ją o podwójną grę i absolutnie nie chciał słyszeć jej wyjaśnień. W miarę jak wyliczał kolejne pretensje, w niej wzbierał coraz większy gniew.

– Jesteś prawnikiem – przerwała mu wreszcie, podnosząc głos. – Najlepszym dowodem są billingi. Nie kontaktowałam się z Chipem ani telefonicznie, ani esemesami, dopóki nie zaczął doradzać mi w związku z Tadem. Jest też długa na milę historia maili, z której wynika, że nie przebywałam sam na sam z Chipem do dnia zerwania z tobą. Jeżeli z tego powodu czujesz się mniej winny...

– Winny? – wszedł jej w słowo, poprawiając okulary smukłym palcem. – Ja?

– A ukradkowe szukanie pracy? Miałeś to wcześniej zaplanowane. I ta twoja niechęć do dziecka. Wtedy otworzyły mi się oczy. Możesz wierzyć, w co chcesz, Brad. Trudno. – Wstrząśnięta do granic, starała się jednak zapanować nad głosem. MacAfee potrzebowało pomocy Brada w jednej istotnej sprawie. – Theo wie, że odchodzisz. Prosimy cię tylko, byś zgodnie z kontraktem utrzymał dwutygodniowy okres wypowiedzenia. Być może w tym tygodniu dojdzie do rozmów o parceli Weymouthów. Poszłoby znacznie lepiej, gdybyś nas reprezentował. Jeżeli kiedykolwiek coś do mnie czuleś, będę ci wdzięczna za pomoc. A jeśli nie możesz zrobić tego dla mnie, zrób to dla Thea czy Roya. Bardzo dobrze cię traktowali.

Milczenie przemawiało na jego korzyść. Nie była pewna, czy spełni jej prośbę, ale niestety nie miała czasu, żeby naciskać. Tyle spraw na nią czekało. Myśląc o tym, co ma do zrobienia, pospieszyła na górę do swojej pracowni.

Może skupiłaby się na projektach Weymouthów, gdyby nie rozpraszały jej telefony. Za każdym razem nadzieja, że to Caroline, przyprawiała ją o szybsze bicie serca. Poranna kłótnia piekła jak ranka po zacięciu się kartką papieru. Może mniej przeżywałaby tę scysję, gdyby występowała jedynie w roli córki.

Tymczasem była jeszcze żoną, matką i architektką, boleśnie świadomą rosnących zaległości. Telefon od Caroline podniósłby ją na duchu.

Niestety, dzwonili klienci. Oczywiście pytali o swoje zlecenia, gdyż podejrzewali, że nie czyta ich maili na bieżąco. Jak im powiedzieć, że akurat w tej chwili nie traktuje tych projektów priorytetowo? Otwierała pliki z ich planami, omawiała z nimi szczegóły, zdenerwowana, że przez te pozorowane działania traci cenny czas.

Kończyła rozmowę, wracała do projektów Weymouthów i już po chwili miała kolejny telefon. Chętnie porozmawiałaby z Caroline, ale nie z projektantami wewnątrz, kooperantami czy piętrzącymi trudności miejskimi urzędnikami. Jakby się wszyscy zmówili! Zapewne uznali, że otrząsnęła się z żałoby po Royu i na nowo skupiła na pracy.

Niestety, bardzo się mylili.

Po kolejnej zmarnowanej godzinie poprosiła asystentkę, żeby nie łączyła więcej rozmów. Właśnie wtedy kobieta zauważyła pierścionek. Jamie w pierwszej chwili chciała skłamać, powiedzieć, że dostała go od matki albo odziedziczyła po babce, jednak wszystko w niej przeciw temu się buntowało. Niech świat się dowie o Chipie. Była dumna, że dostrzegła w nim właściwego partnera i posłuchała intuicji. Nawet teraz na myśl o nim robiło jej się źle.

Asystentce w głowie się nie mieściło, że ślub od zaręczyn może dzielić taki krótki czas. Zapytała, czy musi dotrzymać tajemnicy. Jamie tego nie oczekiwała, wiedząc, że prędzej czy później i tak sprawa wyjdzie na jaw.

To był wielki błąd. Asystentka szepnęła słówko recepcjonistce – podobno nikomu więcej, jak się później zaklinała – i wystarczyło. Gdy Jamie po raz kolejny zasiadła do projektów, zaczęły nadchodzić esemesy. Wiadomości mogła zignorować, lecz przemarszu ciekawskich przez dział projektowy prosto do jej biurka, chętnych obejrzeć pierścionek, już nie. Mało kto wiedział, że rozstała się z Bradem.

– Koszmar! – poskarżyła się Chipowi, gdy zadzwonił po ostatniej lekcji przed przerwą na lunch. – Nie mogę się skupić. Bez przerwy ktoś mnie odrywa.

– Posunęłaś się z robotą?

– Nie za bardzo – wyznała, starając się zachować spokój. Nie chciała, aby świeżo poślubiony mąż wziął ją za histeryczkę, bo przecież nią nie była. Przynajmniej gdy wszystko działo się normalnie. To oczywiste, że presja nie sprzyjała skupieniu się na projekcie tak upragnionym jak ten.

– Widziałeś próbkę moich prac. Koncepcje biorą początek z wizji. Matka chce, żebym w dwa dni zrobiła coś, co normalnie zajmuje mi dwa tygodnie. Programy komputerowe nie zastąpią wyobraźni. A jej nie da się ot tak uruchomić.

– Zadzwoń do niej. Porozmawiaj.

Jamie znała zasady działania ich firmy.

– Rozmowy na nic się nie zdadzą. Potrzebujemy tego projektu, żeby wygrać z Barthami. Chcemy też go przedstawić na czwartkowym zabraniu redakcji *Gut It!* dla wzmocnienia naszej pozycji negocjacyjnej. Muszę brać się do pracy. Zazwyczaj zaczynam od dokładnego poznania terenu, niestety, teraz to nie było możliwe, bo ani ja, ani geodeta nie mamy prawa robić pomiarów czy zdjęć na posesji, która nie jest wystawiona na sprzedaż, i już nawet nie znalazłabym na to czasu. Miejski rzeczoznawca ma mi przefaksować plan działki. Będzie bardzo ogólny.

– A musi być szczegółowy?

Miał rację. Niekoniecznie. Na tym etapie detale nie były istotne.

– Najważniejsze, aby przekonać Weymouthów, że podchodzimy do tego miejsca emocjonalnie i potrafimy stworzyć coś, co będzie piękne, innowacyjne, a jednocześnie tak zakomponowane, aby zachować klimat dawnej posiadłości. Wydaje mi się, że może im na tym zależeć. Nie znam żadnego z braci.

– Ja znam.

Jamie wstrzymała oddech.

– Poważnie?

– Na Harvardzie grałem w hokeja w jednej drużynie z Alexem, synem Ralpha. Był dwa lata wyżej ode mnie, ale tworzyliśmy wtedy zgraną paczkę. Ralph zawsze przylatywał na mecze. Trenerzy unikali go jak ognia.

Ta uwaga nieco ją zaniepokoiła.

– Czemu?

– Skrajny egoista. Wybijało ego. Duży facet z tubalnym głosem i wielkimi oczekiwaniami. Jego nie interesują detale. Wystarczy imponujący wizerunek.

– Luksus?

– Raczej. Wyżej, niż sięga twoja wizja.

– Ralph to zaledwie jeden z trójki. Czy pozostali bracia myślą podobnie?

– Niekoniecznie. Niemniej coś, co byłoby odpowiednio okazałe, mile połaskotałoby ich ego. Nie widziałem się z Alexem od wyjazdu z Cambridge. Mogę do niego zadzwonić. Jeżeli jego ojciec uważa mnie za nieudacznika, próba kontaktu może przynieść odwrotny skutek. To jak, mam dzwonić?

– Na razie się wstrzymaj. I wcale nie z powodu tego, co powiedziałaś o jego ojcu – zastrzegła się szybko na wszelki wypadek. – Absolutnie nie jesteś nieudacznikiem. Doszedłeś do zawodowstwa. To nie byle co. Widzisz, tylko... – szukała odpowiednich słów – ciężko się wyzbyć starych nawyków. Naprawdę chciałabym sama wszystko załatwić. Niestety, kiedy tyle rzeczy mnie rozprasza i nie mogę się porządnie skoncentrować, zaczynam wątpić w swoje umiejętności. Może moja wizja nie jest odpowiednio efektowna. Albo uznają, że jestem za młoda i porywam się z motyką na słońce, biorąc się za ten projekt.

– Wiek to tylko liczba, kochanie. Już o tym rozmawialiśmy. Popatrz na

swoje portfolio. Masz się czym pochwalić. A jeżeli dojdzie do tego spotkania, będzie tam Caroline. A także Theo i Dean. Stworzą tło w stosownym wieku.

– Ale to ja jestem projektantką.

– Z niesamowitymi pomysłami.

Chciała mu wierzyć, bardzo chciała.

– Tak myślisz? Widziałeś zaledwie szkice. Zarys wizji.

– Byłem pod wrażeniem.

– Nie jesteś obiektywny.

– Nie mogę być – przyznał z uśmiechem w głosie. – Słuchaj, mam pomysł.

W twoim mieszkaniu nikt by ci nie przeszkadzał. Może tam byś popracowała?

Mogłaby. Pokój, w którym spał Tad, był wcześniej jej gabinetem. Jednak obecnie tamto mieszkanie wydawało jej się zimne i opuszczone.

– Wiesz co, poproszę kogoś, żeby zastąpił mnie na dyżurze podczas przerwy na lunch – odezwał się Chip, jakby czytając w jej myślach. – Spotkamy się w twoim mieszkaniu i przewieziemy wyposażenie gabinetu do naszego domu. W zapasowej sypialni mam biurko i dostęp do Internetu.

– Ty potrzebujesz tego pokoju do pracy. Oceny uczniów, cała ta papierkowa robota związana z obozem...

– Jak zepchnę swoje szpargały na jeden koniec biurka, na drugim zrobi się miejsce dla ciebie. Jutro możemy kupić dodatkowy stół w Home Depot. Do tego czasu drukarki mogą stać na nocnych szafkach. Pokój się ożywi. Jest znudzony moim widokiem.

Roześmiała się.

– Że niby on coś czuje? Jakbym słyszała moją matkę. Twierdzi, że jej dom nie zgadza się na jakiegokolwiek zmiany, bo broni swojego charakteru historycznego.

– Mądra kobieta – pochwalił, lecz nie naciskał, aby zadzwoniła do Caroline, za co czuła wdzięczność. Myśli o matce krążące na peryferiach jej świadomości były jak ćmiący ból, niezbyt dokuczliwy, lecz ciągle obecny.

– Mówię serio – nalegał Chip. – Ustaliliśmy przecież, że będziesz pracować w tym pokoju, dopóki nie rozbudujemy domu. Przewiezienie rzeczy nie zajmie nam więcej niż godzinę, raz-dwa podłączę twój sprzęt do sieci i gotowe.

O ile zdążyła się zorientować, miał smykałkę do techniki. Ściągał z Internetu filmy i muzykę. Komputerowo sterował centralnym ogrzewaniem.

Podeksytowana perspektywą pracy w przytulnym miejscu z Chipem przy drugim końcu biurka, spojrzała na zegarek, kalkulując, ile czasu zajmie jej pozbieranie niezbędnych dokumentów i dojazd do mieszkania.

– Za dziesięć minut?

– Za dziesięć minut.

Poznała po głosie, że się uśmiecha.

\*

– Musimy zatrzymać to mieszkanie. O niebo lepsze na schadzki od motelu – wymruczał pół godziny później głosem tak intymnym jak ich nagość. Rozpalone ciała powoli stygły w skłębionej pościeli.

– Na schadzki? – Jamie zdobyła się na żartobliwy ton, rozkosznie senna po dwóch szokujących orgazmach, a może odurzona bardzo męskim zapachem jego skóry.

– Jedyne słowo, jakie zapamiętałem z kursu literatury podczas mojego skróconego pobytu w Harvardzie – wycedził ze skruchą, wpatrzony w jej usta.

Przetoczył się na nią, splótł ich palce razem, rozłożył jej ramiona na poduszce i całował niespiesznie po twarzy, aż skończył na jednym z piegów, które podobno uwielbiał.

– Musisz wracać do pracy – przypomniał jej.

Praca? Jaka praca? Jadąc tutaj, nie myślała o seksie – no może o pocałunku czy dwóch – ale wystarczyło jedno spojrzenie na Chipa w opuszczonych na biodra gimnastycznych spodenkach, na jego ciemną czuprynę nad głodnymi, niebieskimi oczami i była zgubiona. Łatwo zapanować nad pożądaniem, gdy robi się dzieciom kolację, układa się je do snu czy odwozi do żłobka, choć chemia cały czas daje o sobie znać. Schadzka? Coś w tym jest. Dziękuję ci, Harvardzie – pomyślała żartobliwie.

Rzeczywiście, musiała wracać do pracy. To nagłe mrowienie w okolicy żołądka nie miało niczego wspólnego z pożądaniem.

– Ty też – przypomniała mu. – Chyba nie mamy czasu na przeprowadzkę gabinetu? Dzisiaj raczej zostanę tutaj.

– Tak wolisz?

– Nie. Będę cierpieć.

Błysnął zębami w uśmiechu i rozciągnięty na niej, przywarł pewną częścią ciała do jej pewnej części ciała, przypominając, dlaczego zabrakło czasu na przenosiny. Jamie wygięła się, po raz ostatni sięgnęła do jego ust, ale krążyła już myślami wokół innej palącej potrzeby.

\*

Kilka godzin przepracowanych w skupieniu przyniosło efekty. Na podstawie starych zdjęć w „Williston News” i w Google Earth oraz tego, co podpowiadała jej pamięć, odtworzyła komputerowo główną budowlę w posiadłości, która w czasach świetności była podmiejską rezydencją w stylu francuskim, zbudowaną z cegły i ozdobioną sztukateriami. Wysokie okna na pierwszym piętrze sięgały okapu stromeego, czterospadowego dachu z górującymi nad nim wysokimi kominami. Nadgryziony zębem czasu budynek na komputerowych rysunkach stopniowo odzyskiwał urodę. Gdy Jamie oczyściła elewację, uzupełniła spoiny pomiędzy

ceglami, przycięła bluszcz oraz gałęzie przerośniętych drzew, wymieniła zmurszałe rami okienne i dodała wimpergi, aby optycznie unieść fasadę, powstał obraz zgodny z jej wizją.

Pochłonięta pracą, straciła poczucie czasu do chwili, gdy chwyciła za pustą, litrową butelkę wody mineralnej Poland Spring. Z butelką w dłoni, pogrążona w czymś w rodzaju półtransu, który niezmiennie jej towarzyszył przy projektach budzących emocje, wstała od biurka, nie odrywając oczu od monitora. Ten dom poruszał jej wyobraźnię. Sprawiał wrażenie opuszczonego, może dlatego, że odkąd sięgała pamięcią, mieszkała tam samotnie Mildred Weymouth, a może powodem był jego zaniedbany stan. Ślęcząc nad tymi rysunkami, uświadomiła sobie, skąd wzięło się u niej marzenie o tym projekcie i dlaczego musi temu marzeniu nadać możliwie pełny kształt.

W drodze do kuchni po nową butelkę wody zerknęła na zegarek. Zbliżała się pora odbioru dzieci z First Unity. Chip pojedzie po chłopców. Co pomyśli Tad, kiedy jej nie będzie? Znał Chipa, ale to ona, odkąd go ujrzała pięć minut po narodzinach, zaistniała na stałe w jego życiu. A jeżeli przestraszy się, że znikła jak mama i tata? Wydawał się takim niekłopotliwym dzieckiem. Polubił Chipa i Buddy'ego, szybko przyzwyczał się do kolejnych dwóch domów. Czuł się szczęśliwy czy był przytłoczony przez zmiany? Czy ta jego potulność, pomijając sporadyczne wybuchy płaczu, świadczyła o zagubieniu po zniknięciu rodziców?

Musi go odebrać ze złości. Tad otwierał listę jej priorytetów.

– Jadę z tobą – zdecydowała, kiedy Chip w drodze po chłopców zajechał srebrną hondą pod jej dom, żeby sprawdzić, co u niej słychać.

\*

– Mam u ciebie dług – oznajmił Herschel Oakes, nie bawiąc się we wstępny, gdy Caroline odebrała telefon. – W środę o pierwszej. Wideokonferencja w mojej kancelarii. John na żywo, Ralph i Grant na ekranie.

Super. Wraz z upływem popołudnia rosły jej wątpliwości, czy dojdzie do spotkania. A jednak Herschel stanął na wysokości zadania!

– W środę?

– O pierwszej – powtórzył. – Będziecie przygotowani? Nie chcę się wystawić i nie zamierzam marnować czyjegoś czasu.

Przełknęła ten zgryźliwy komentarz. Termin pasował idealnie, bo w czwartek rano byli umówieni z Brianem i Claire. Jeżeli zawrą wstępną umowę z Weymouthami, producenci stracą zainteresowanie Barthami.

Jutro czeka ich ciężki dzień. Nie znajdzie czasu na pracę w warsztacie, nie wiadomo co z zebraniem z Theo i z ludźmi z działu finansowego. Linda musi zrobić kalkulację, a ona wprowadzić w temat Danę Langham. Czekają ją też rozmowa z Bradem. Niezręczna sytuacja. Zapewne małżeństwo Jamie zszokowało

go tak samo jak ją. A może się myli? Niemniej Brad nadal jest na ich liście płac. Strona marketingowa nie wygląda najlepiej, bo nie znaleźli jeszcze nikogo na miejsce Roya. No cóż, w trójkę z Theo i Deanem będą musieli coś wymyślić. A do Bostonu sama zawiezie Thea.

– Oczywiście będziemy – zapewniła Herscha. – I rzeczywiście, masz u mnie dług. Co tylko chcesz. Bardzo mi pomogłeś. Tak postępuje lojalny przyjaciel. Dziękuję.

Gdy zakończyła rozmowę, wysłała esemesa do Jamie.

\*

Jamie nagle olśniło, że ciągle ma komórkę nastawioną na wibracje. Musiała wyłączyć dzwonek, żeby mogła spokojnie pracować. Przeglądając spis nadawców wiadomości, natrafiła na Caroline.

*Właśnie miałam telefon. Spotkanie z Weymouthami w środę o pierwszej. Pasuje?*

Nie, nie pasowało. Potrzebowała dwa, a najlepiej, cztery razy więcej czasu na dopieszczenie projektów. Trudno. Jeżeli chce udowodnić Caroline, że daje sobie radę jako żona, matka i pracownica, będzie musiała się spać.

*Jasne*, odpisała i oblała się zimnym potem.

– Coś nie tak? – Chip zerknął na nią badawczo, zajeżdżając przed First Unity.

– Nie, wszystko okej – odpowiedziała nieco piskliwie, odsuwając problem na dalszy plan. Za chwilę będzie z chłopcami. Już szukała ich wzrokiem na placu zabaw.

Chip został w tyle i rozmawiał z jedną z wychowawczyń. Buddy, gdy tylko ją zauważył, puścił się do niej biegiem.

– Jak minął dzień? – Pochyliła się nad nim i zamknęła go w ramionach.

– Dobrze. Taddy jest tam. – Pokazał placem. – Płakał podczas leżakowania.

– Ojej.

– Chyba bolał go brzusek. – Rozejrzał się. – Gdzie tata? – Wywinął się z jej objęć i pobiegł do Chipa.

Jamie z uwagą obserwowała Tada. Stał na uboczu i przyglądał się dwójce maluchów na huśtawce. Widok samotnej drobnej figurki ścisnął ją za serce. Ruszyła mu na ratunek.

Po drodze zaczęła ją jedna z wychowawczyń.

– Nic złego się nie dzieje. Trochę marudził podczas poobiedniej drzemki, ale ogólnie było nieźle.

– Boi się huśtawki? – spytała Jamie, patrząc niespokojnie na Tada.

– Na razie. Przewrócił się, próbując się na nią wdrapać. Tak właśnie dzieci się uczą. Nabierze wprawy.

Tad teraz dopiero ją zobaczył. Natychmiast zapomniał o huśtawce i z roześmianą buzią ruszył w jej stronę, szybko przebierając krótkimi nóżkami. Nagle potknął się, padł jak długi na piasek i wybuchnął płaczem, po raz drugi w ciągu tych paru minut, przyprawiając Jamie o ból serca. Podbiegła do niego, wzięła go na ręce i przytuliła twarz do jego szyjki.

– Hej, małpeczko – odezwała się pieszczotliwie, odsuwając go od siebie, żeby wytrzeć mu łzy i otrzepać ubranko z piasku. – Jak ty dobrze biegasz.

Wcale nie kłamała. Był zwinny jak Roy, a że zdarzyło mu się potknąć? No cóż, ona bez przerwy się objęła i potykała.

Po tej pochwaleniu Tad obdarzył ją promiennym uśmiechem i podniecony, zaczął coś gorączkowo opowiadać. Wychowawczyni przełożyła jego paplaninę na język dorosłych. Jedno z dzieci miało urodziny i mama przyniosła babeczki.

– Z kolorową posypką? – domyśliła się, strząsając mu okruszek z kącika ust.

– Teńcowe! – zawołał uradowany, nie pamiętając już o łzach wiszących na rzęsach. Jak łatwo było odwrócić jego uwagę.

Jej też, doszła do wniosku. Tak dobrze się czuła otoczona swoimi chłopakami. Och, oczywiście myśli o pracy cały czas tkwiły gdzieś z tyłu głowy. Gdy pozwalała im stamtąd wychynąć, nerwowy skurcz zaciskał jej żołądek. Chciała całą uwagę skupić na Tadzie. Być tu i teraz. Z rozmysłem upchnęła tamte myśli do specjalnej przegródki, gdy jechali do jej mieszkania zabrać rzeczy z pracowni.

Tad już po dwóch minutach zasnął w samochodzie z główką zwieszoną na ramię. Policzki miał zaróżowione, ciemne loczki wilgotne od potu. Ten słodki widok razem z obrazkiem namalowanym palcami, który Buddy wyciągnął z plecaczka, pozwalały zapomnieć o całym świecie. Dopiero gdy zajechali przed apartamentowiec z napisem nad drzwiami *Zbudowany przez firmę rodzinną MacAfee Homes*, odezwało się u niej poczucie winy. Odezwało się i natychmiast zostało stłumione, bo przecież przeprowadzka pracowni ma ułatwić jej pracę, nieprawdaż? Szybko uwinęli się z pakowaniem rzeczy, część włożyli do jej samochodu, pozostałe wrzucili do hondy i ruszyli w powrotną drogę.

Kolejna fala wyrzutów sumienia dopadła ją przy wyprzedzaniu ciężarówką z logo MacAfee. Łatwość, z jaką i tym razem je stłumiła, dała jej do myślenia. Szufładkowanie i umiejętność rozdzielania różnych sfer życia to sztuka, która wymaga ćwiczeń. Podobnie jak mocne uderzenie bekhendem w tenisie czy jak w przypadku Tada, utrzymanie równowagi na desce huśtawki.

– I jak kiwanie – podpowiedział Chip, gdy jadąc dwoma samochodami, rozmawiali ze sobą przez telefon.

– Co to jest?

– Zwód, manewr taktyczny. Kiedy prowadzisz krążek w taki sposób, żeby zmylić przeciwnika – no wiesz – udajesz, że chcesz skręcić w lewo, a w rezultacie



śmigasz w prawo. Przeciwnik się gubi, a ty przesz do przodu.

– Sprytne. Jak długo się tego uczyłeś?

– Latami. – Skręcił w ich osiedlową uliczkę.

– Nie mam tyle czasu. – Wrzuciła kierunkowskaz. – Nigdy dotąd nie miałam tylu spraw na głowie.

Usłyszała ciężkie westchnienie, a po nim ciche „O cholera!”.

– No, to się przygotuj – mruknął do niej. – Właśnie pojawił się kolejny.

## Rozdział 27



Zanim zdążyła zapytać, o co mu chodzi, wjechał na podjazd i zahamował za czarnym bmw. Kobieta z rękami na biodrach, oparta o karoserię, nie odrywała oczu od hondy. W pierwszej chwili Jamie wzięła ją za matkę Buddy’ego. Dopiero z bliska dostrzegła podobieństwo przybyłej do Chipa.

- Która siostra? – spytała szeptem.
- Samantha – szepnął i się rozłączył.
- Cześć, Sam! – zawołał, wychylając się z okna.

Samantha Kobik, siostra z Manhattanu. Smukłe nogi w czarnych legginsach, pociągła twarz, szczupłe ramiona, stylowa, luźna tunika. Długie, gęste jak u Chipa włosy, ściągnięte w koński ogon, równie intensywnie niebieskie oczy i taka sama kwadratowa szczęka.

Jamie pamiętała, że Chip coś o niej opowiadał, lecz w tej chwili nie mogła sobie przypomnieć co. Myśląc o przyrzeczeniu danym Caroline, była bliska hysterii. W głowie tłukło się jej tamto jedno słowo esemesa: *jasne*. Chip i chłopcy już zabrali jej sporo cennego czasu. A teraz ta niespodziewana wizyta szwagierki. Raczej nie będzie sympatycznie, sądząc po ostrym wyrazie jej oczu.

Cóż robić? Jamie nie miała wyboru.

Zaparkowała za hondą.

– Szybka jesteś – usłyszała żartobliwy głos Chipa, gdy wysiadła z samochodu.

– I kto to mówi? – Samantha wyprostowała się i odsunęła od karoserii.

Chip cmoknął ją w policzek i uściśnął za ramię pojednawczym gestem.

– Jeżeli przyjechałaś prawić mi kazania na polecenie mamy, to lepiej nie marnuj śliny.

– Czy ja kiedykolwiek słucham poleceń mamy?

– Zawsze.

– Nieprawda. Robię to, co uważam za stosowne.

– Z mamy błogosławieństwem – wytknął jej Chip. – Jesteś pierworodną. Nie łamiesz zasad i odnosisz same sukcesy. Jesteś jej idealną córeczką.

– Która nie wyszła za mąż.

– Która ukończyła dwa fakultety, ma fantastyczną pracę, podróżuje po świecie i zarabia kupę kasy.

– I nie jest zamężna – powtórzyła Samantha, dopiero teraz przenosząc spojrzenie na Jamie.

– Żono, poznaj moją siostrę, Samanthę. – Chip wyciągnął rękę i przygarnął ją do siebie. – Siostrzo, to jest Jamie, moja żona.

Samantha wyciągnęła rękę. Nie wykazywała ochoty do serdecznych uścisków, za co Jamie była jej wdzięczna. „Szwagierka”, „bratowa” to tylko nazwy. Rzucanie się sobie na szyję sugerowałoby zażyłość, a tej na razie między nimi nie było. Miała zdecydowany uścisk dłoni. Jamie zrewanżowała się takim samym. Była wdzięczna ojcu za wykład o sposobie podawania dłoni.

– Powiedziałabym, że miło mi cię poznać – zwróciła się do niej Samantha – gdyby nie to, że wszyscy jesteśmy w szoku.

– Powinnaś porozmawiać z moją mamą. – To były pierwsze słowa, jakie przyszły Jamie do głowy.

– A ty z moją albo lepiej, nie. Jest nieźle wkurzona, i to nie tylko na Chipa.

– Jeżeli złości się na Jamie – wtrącił się Chip – to jest oderwana od rzeczywistości. Jamie jest moją drugą lepszą połową.

– Jakiś wyprzedzający sygnał byłby mile widziany.

– Nie wysyłałem żadnych sygnałów.

– No właśnie. To ją zdołowało. Mało się nacierpiała, kiedy piłeś na umór?

– Sam...

– Albo gdy wyrzuciłeś ich z domu?

– Nie wyrzuciłem.

– Powiedziałeś, że sam potrafisz wychować dziecko. Że ich nie potrzebujesz.

– Niczego takiego nie mówiłem – wysyczał do Jamie przez zaciśnięte zęby.

– Idę po chłopców. – Odwrócił się i odszedł zamaszystym krokiem.

Jamie nie bardzo miała ochotę zostać sam na sam z Samanthą. Przypominały jej się jakieś strzępki opowieści Chipa o najstarszej siostrze. Zdaje się, że należała do perfekcjonistek. Totalna katastrofa, bo ona nie była pewna, czy cokolwiek robi jak należy. Z wrażeń nie była w stanie się ruszyć. Paraliżowało ją to przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu.

– Jesteś architektką.

Z wiszącym nad głową terminem – pomyślała.

– Jestem.

– I tak chodzisz ubrana?

– Pracowałam w swoim mieszkaniu.

– Nic dziwnego, że się tam chowasz. W takim mieście jak Williston trudno cokolwiek ukryć.

Jamie powstrzymała się od śmiechu. Zerwane zaręczyny i błyskawiczny ślub to woda na młyn dla miejscowych plotkarzy. Ta kobieta знаła swoje rodzinne miasto.

– Przykro mi z powodu twojego ojca. – Samantha wypowiedziała grzecznościową formułkę bez śladu żalu czy współczucia. – Dowiedziałam się

z waszej strony internetowej. Za moich czasów MacAfee była poważną firmą. Jeżeli choć połowa z tego, co przeczytałam na stronie, to prawda, nadal nią jest. Nigdy nie oglądałam waszego programu w telewizji. Dobry?

– Uważam, że tak.

Chip wrócił z Tadem na rękach. Odebrała go od niego i dokonała prezentacji. Tad wpatrywał się w Samanthę, był tak samo niepewny jak Jamie, czy ta obca pani jest przyjaciółką czy wrogiem.

Buddy natomiast, wypuszczony z samochodu, puścił się biegiem do ciotki. Z roześmianą buzią zatrzymał się tuż przed nią, hamując piętami.

Samantha obdarzyła go uśmiechem, zupełnie takim samym jak u Chipa, zaskarbiając tym nieco sympatii Jamie.

– Cześć! Ale ty urosłeś! – przywitała go ze szczerym entuzjazmem, pochylając się, by go uściskać. – Podniosłabym cię, ale...

– Ale co? – chciał wiedzieć Chip, który akurat nadszedł z komputerem Jamie.

– Jest za ciężki.

– W takim razie nie dam ci komputera. Jeżeli zechciałabyś pomóc, zaprowadź chłopców do domu i zrób kolację. W lodówce jest mielona wołowina. – Odwrócił się do Jamie. – Ona lubi gotować. Mama ją wychowała.

– Nauczyła – poprawiła go Samantha. – Dobrze, że przynajmniej ktoś się czegoś od niej nauczył, bo mój brat na pewno nie. Małżeństwo to ważna sprawa.

– Sam... – zaczął Chip.

– Wiesz co, mogłeś do mnie zadzwonić. – Przełknęła ślinę, a potem jeszcze raz. – Dlaczego musiałam usłyszeć o tym od mamy? – To pytanie przerwało kilka głębokich oddechów.

– Ponieważ ani mama Jamie, ani nasza nie byłyby tym zachwycone. Nie chciałem dołączyć moich sióstr do tego grona niezachwyconych. Posłuchaj, oboje z Jamie jesteśmy bardzo zajęci. Nad nią wisi termin końcowy cholernie ważnego projektu, dlatego jak najszybciej muszę podłączyć ten komputer. Zostajesz na noc czy wracasz? Ona – zwrócił się do Jamie – czasem tak robi. Ważni ludzie nie mają czasu dla rodziny, może to jeden z powodów, dla któ...rego nie wyszła za mąż.

– Chip! – skarciła go półgłosem Jamie.

Samantha wyraźnie pobladła. Małżeństwo stanowiło delikatny temat dla niektórych niezamężnych kobiet.

– Szczerze mówiąc – odparła wcale niespeszona – nie wyszłam za mąż, ponieważ nie spotkałam mężczyzny, który byłby tak godny zaufania jak nasz tata. Możecie mi wierzyć, długo się rozglądałam. Owszem, zostaję na noc. – Znowu głośno przełknęła ślinę. – Nie wzięłam ze sobą klucza. Czy któreś z was łaskawie otworzyłyby drzwi, żebym mogła skorzystać z łazienki?

Rzeczywiście zrobiła się sinoblada. Jamie zastanawiała się, czy przypadkiem

coś Samancie nie zaszkodziło. Posadziła sobie Tada na biodrze, otworzyła tylne wejście i usunęła się na bok. Samantha wychowała się w tym domu i znała jego rozkład. Jamie widziała, jak puściła się biegiem do najbliższej łazienki.

Tad wiercił jej się na rękach, więc postawiła go na podłogę przy lodówce. Natychmiast znalazł się przy nich Buddy.

– Nanie, mogę dostać soczku z jabłuszek? – zapytał.

– Oczywiście – odparła z uśmiechem.

Buddy był przemiłym dzieckiem. Nawet gdyby było inaczej, polubiłaby go za to, że tak szybko zaakceptował Tada.

Wyjęła z lodówki dwa kartoniki z sokiem i przyciskając jeden łokciem do boku, wsunęła słomkę w ten przeznaczony dla Buddy’ego, a potem w drugi dla Tada. Odwinęła dwa zbożowe batoniki i posadziła chłopców w kąciaku z zabawkami w salonie. Gdy wróciła, usłyszała spuszczenie wody w toalecie. Chciała zapewnić Samancie spokój, wyszła więc przez kuchenne drzwi na podwórko i dołączyła do Chipa. Właśnie wypakowywał rzeczy z drugiego samochodu.

Wyprostował się ze skruszoną miną.

– Przepraszam. Wiedziałem, że prędzej czy później się odezwie, ale nie spodziewałem się, że spadnie nam na głowę. Akurat ci to teraz potrzebne.

Żartobliwie pociągnęła go za koszulę, żeby się rozchmurzył, myśląc przy tym, że i tak nie nadgoni już zaległości, więc jedna przeszkoda więcej czy mniej nie ma znaczenia.

– Nie jest taka zła. Myślisz, że coś jej dolega?

– Dolega, niby co?

– Jest sinoblada.

Prychnął ironicznie.

– Odgrywanie ideału bywa wyczerpujące.

– Bądź miłszy – skarciła go. – To twoja siostra. Chce twojego szczęścia.

– Będę szczęśliwy, jak zrobi kolację. – Ostrożnie wyjął sprzęt z przepastnego bagażnika SUV-a i skierował się do domu.

Jamie podążyła za nim, taszcząc karton z ryzą papieru do drukarki, rulonami kalki technicznej, markerami, pisakami, ołówkami i korektorem. Drzwi łazienki nadal były zamknięte. Postawiła karton na kuchennym stole, wyszła na korytarz i delikatnie zapukała.

– Samantho? Wszystko w porządku?

Odpowiedziała jej cisza. Potem kłamka drgnęła i skrzypnęły drzwi.

Zaproszenie do wejścia?

Z myślą o tym, że naprawdę nie ma czasu na pogaduszki, wsunęła się do środka. W końcu to siostra Chipa, nie wypada odmówić. Samantha ze zwieszoną głową siedziała ukosem na zamkniętej muszli, przyciskając wilgotny ręcznik do

karku.

– Co ci jest? – zapytała przestraszona Jamie, wchodząc głębiej i zamykając za sobą drzwi.

– Podobno poranne mdłości trwają do trzeciego miesiąca. A to końcówka piątego.

– Jesteś w ciąży?

– Nie do zaakceptowania, gdy się nie ma męża. – Odpowiedzi towarzyszyło ironiczne prychnięcie.

– Kto jest ojcem?

– Dawca XR 21899.

– Czyli to nie wpadka – skwitowała Jamie z przejęciem.

– Och, nie. Starannie go wybrałam. Ponad sześć stóp wzrostu, z licznej rodziny, aktywista Korpusu Pokoju, obecnie na stażu pediatrycznym w dużym szpitalu, Bóg wie gdzie. Miałam szczęście. Zaskoczyłam przy pierwszym podejściu.

Chip nie wspominał o ciąży siostry. A więc albo rodzice mu nie powiedzieli, albo...

– Rodzice wiedzą?

– Nie. – Samantha lekko się zakołysała. – Wiedziałam, że byliby przeciwni. Według nich najpierw powinien pojawić się mąż. Tłumaczyliby, że jeszcze nie jestem taka stara, zresztą to prawda, ale ja zawsze chciałam mieć dzieci. Moje życie, takie poukładane pod wieloma względami, jednocześnie jest puste, a jak dotąd nie spotkałam faceta, z którym miałabym ochotę je dzielić. Staruszkowie uważają, że powinnam mieć przyjaciół. – Wygięła usta. – Czy ja mam czas na pielęgnowanie przyjaźni?

Rany, jak ja dobrze to rozumiem, pomyślała Jamie. Też nie miała czasu dla przyjaciół ani dla szwagierek. Tymczasem siedziała z jedną z nich w łazience, prowadząc tę dziwną rozmowę. A matkowanie Tadowi? To oczywiste, że wolałaby, aby Roy i Jessica żyli, ale kochała to swoje małżeństwo. Gdyby nie Tad, nie spotkałaby Chipa, w którym była zakochana po uszy. Zapewne nie byłaby też zestresowana brakiem czasu i nie urządziłaby pracowni w domu, którego absolutnie sama by nie zaprojektowała, a w którym czuła się jednak tak bardzo u siebie. No i nie drżałaby ze strachu na myśl o spotkaniu z teściami.

Samantha odłożyła wilgotny ręcznik na brzeg umywalki i podniosła spłoszone spojrzenie na Jamie.

– Jeżeli nie mam czasu dla przyjaciół, to czy znajdę go dla dziecka? Co ja właściwie myślałam? Żyję w szaleńczym tempie. Pracuję do późna, niektóre sprawy wynikają z dnia na dzień.

Teraz Jamie sobie przypomniała; Samantha odpowiadała za kampanię reklamową nowojorskiej sieci restauracji z bardzo ekspansywną polityką. Otwierali

nowe lokale, coraz bardziej rozszerzając działalność na zachodzie.

– Z małym dzieckiem nie dam rady. Szef mnie wyrzuci, kiedy mu powiem, że nie mogę podróżować.

– W ciąży nie może cię zwolnić.

– Niby nie, ale jeżeli odmówię wykonywania obowiązków? Podróże są w pakiecie. Zgodziłam się, podpisując umowę. Teraz myślę o tym i o moim małym mieszkanku w domu bez windy. Chodzenie po schodach jest dobre dla kondycji, lecz bez wózka i siat z zakupami. Ciągle mam mdłości, wykorzystałam już limit dni chorobowych, i to jeszcze przed porodem, który mnie przeraża. Nawet nie zaczęłam rozglądać się za opiekunką.

– Chyba za bardzo wybiegasz w przyszłość.

– A nie powinnam o tym wszystkim pomyśleć, zanim się zdecydowałam?

– Postąpiłabyś inaczej, gdybyś mogła cofnąć czas?

– Nie. Chcę mieć dziecko. – Przymknęła powieki, przycisnęła dłoń do żołądka i wciągnęła powietrze przez nos, zaciskając usta. – Oprócz tych chwil, kiedy zbiera mnie na wymioty. – Zrobiła kilka głębokich wdechów. – No, już lepiej. – Znowu pochyliła się nad umywalką.

Jamie, nie bardzo wiedząc, co robić, zmoczyła ręcznik, złożyła go i przycisnęła jej do karku.

– Wcale nie widać, że jesteś w ciąży.

– To jasna strona tego wszystkiego – doszedł ją zdławiony głos. – Nic nie mówiłam rodzicom w pierwszym trymestrze, bo istniało ryzyko poronienia, a kiedy już wiedziałam, że ciążę utrzymam, zwlekałam z tą rozmową. Potem jakiś czas się z nimi nie widziałam. Zawsze chodziłam w legginsach, a tuniki są teraz w modzie.

Podniosła się, przesuwając ręcznik na szyję, i wygładziła tunikę na brzuchu.

– Och, no tak – przyznała Jamie. Wypukłość była niewielka, niemniej jednoznaczna. – Jest zdrowe?

– Zdrowa.

– Dziewczynka! – ucieszyła się Jamie. – Ja też chcę następną dziewczynkę!

Samantha się skrzywiła.

– Mama zawsze powtarzała, że była zachwycona, gdy pierwsza urodziła się córka. Ciekawe, co teraz powie o swojej pierworodnej. – Spoważniała. – Widzisz, nie chodzi o to, że oni nie zaakceptują dziecka. Nie spodoba im się, jak zostało powołane na świat. Czekałam, żeby im powiedzieć, aż poczuję się lepiej, i tak trzeci miesiąc przeszedł w czwarty, a teraz jest końcówka piątego. Mówię sobie, że nie będą mieli wiele do powiedzenia, postawieni przed faktem dokonanym.

– Jak my z Chipem z tym ślubem.

Samantha milczała. Gdy podniosła oczy na Jamie, jej spojrzenie miało jednocześnie wyzywający i zawstydzony wyraz.

– Chcesz wiedzieć, jaka była moja pierwsza reakcja, gdy mama rano

zadzwoiła z tą wiadomością? Ucieszyłam się. Pomyślałam: panna z dzieckiem to pikuś w porównaniu z małżeństwem Chipa z jakąś dziunią. – Jej oczy przybrały skruszony wyraz. – Ale ty nie jesteś żadną dziunią.

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Za to kiepsko radzę sobie w kuchni, a w tej chwili jestem bliska paniki, bo powinnam na środe mieć gotowy projekt dla matki, która, nawiasem mówiąc, w tej chwili się do mnie nie odzywa. Dałabyś radę zająć się kolacją, a ja w tym czasie pomogłabym Chipowi organizować pracownię?

– Chyba tak. – Zawahała się. – Która z nas powie Chipowi o dziecku?

Jamie nie sądziła, aby to należało do niej, lecz błagalna nutka w tym pytaniu i fakt, że sama nie miała rodzeństwa, sprawiły, iż postanowiła wziąć to zadanie na siebie. Szczerze współczuła szwagierce. Ona, gdy informowała matkę o ślubie, miała przy sobie Chipa. Samantha była sama.

\*

Gdy Samantha, pogryzając krakersy, przeglądała szafki w kuchni, Jamie wyjęła kolejny karton z samochodu. Wniosła go na górę. Chip akurat zdążył podłączyć komputer.

Odsunął się na bok.

– No, sprawdź, czy wszystko działa.

Gdy szła przez pokój, zawadziła o dywan i upadłaby, gdyby jej nie podtrzymał.

– Dlaczego ja muszę się wiecznie o coś potykać? – rzuciła, patrząc z wściekłością na dywan, gdy Chip odbierał od niej karton.

– Żebyśmy wszyscy mogli poczuć się lepiej, bo pod każdym innym względem jesteś idealna.

– Ha, nie dałabym rady podłączyć tych urządzeń, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

– Najpierw sprawdź, czy wszystko gra.

– Najpierw muszę ci coś powiedzieć. – Odwróciła się od komputera i przycisnęła dłoń do piersi. – Obiecuj, że nie odezwiesz się, dopóki nie skończę, a zanim cokolwiek powiesz, pamiętaj, że według mnie to dobra wiadomość.

Zrobił duże oczy.

– Cholera. Chcesz odejść.

O mało nie parsknęła śmiechem.

– Słucham? Na to nie licz. Chodzi o twoją siostrę.

Pokrótkie streściła Chipowi rozmowę z Samanthą. Obserwowała, jak on zmienia się na twarzy. Ulgę zastąpiło zaskoczenie, a potem niedowierzanie.

– W ciąży? Panna Perfekcjonistka i...

Jamie położyła mu palec na ustach.

– Pozwól mi skończyć.



Wyraźnie miał z tym kłopot. Widziała, że chętnie dorzuciłby komentarz, gdy powiedziała o anonimowym dawcy, tłumacząc, dlaczego Samantha ukrywała ciążę przed rodzicami.

– Chip, ja ją polubiłam – dodała na koniec. – Ona jest taka zagubiona...

– Samantha?

– Tak. Postąpiła tak, jak uważała, podobnie jak my, i nie wszystkim spodoba się jej decyzja. A ja się cieszę. To jest dziecko, Chip, mała dziewczynka.

– Gdyby to był chłopak, mógłby się bawić z naszymi – burknął.

– Ej, a dziewczynka nie może?

– Jamie, ona nie mówiła prawdy. Ja nie wyrzuciłem rodziców. – Wyraźnie go to nurtowało. – Mama i tata chcieli się stąd wyprowadzić. Kupiłem im dwa domy w zamian za ten nasz i nigdy nie twierdziłem, że nie są mi potrzebni. Powiedziałem tylko, że jak ich przy mnie nie będzie, będę musiał w końcu dorosnąć.

– I dorosłeś. – Pocałowała go, wspinając się na palce.

Przytrzymał ją wpół z zadowolonym uśmiechem.

– Jedno jest pewne. Staruszkowie łatwiej nam odpuszczą, bo będą mieli o czym myśleć.

– Z kolei Samantha liczy, że nasz ślub jej pomoże. Dlatego tak szybko się tu zjawiała.

– Nie mogła gorzej trafić. Musisz zająć się pracą.

– Zajmę się, jak tylko chłopcy znajdą się w łózkach. To jak, wspieramy Samanthę?

– Oczywiście. To moja siostra.

\*

Chip miał rację co do kulinarnych talentów Samanthy. W mgnieniu oka przygotowała chili według przepisu ich matki, upiekła chlebek kukurydziany i zrobiła surówkę. Chip zachowywał się przyzwoicie. Wprawdzie Jamie czuwała nad sytuacją i w razie czego była gotowa interweniować, jednak on nie próbował dokuczać siostrze, a wręcz starał się podnieść ją na duchu, opowiadając o swoich trzyletnich doświadczeniach w roli samotnego ojca. Przywołał tamto uczucie skrajnej paniki, gdy w drzwiach stanęła kobieta, której nigdy więcej nie spodziewał się ujrzeć, z tygodniowym noworodkiem na rękach, podobno jego synem.

Naturalnie zrobił test na ustalenie ojcostwa, zaznaczył przede wszystkim z myślą o Jamie, bo wcześniej nie słyszała tej historii, ale to była czysta formalność, biorąc pod uwagę odstęp czasu pomiędzy tamtą przygodą i datą narodzin Buddy'ego. Potem, żeby rozśmieszyć Samanthę, opowiedział o zabawnych błędach, jakie zdarzało mu się popełniać w pierwszym okresie niespodziewanego tacierzyństwa.

Oczywiście rodzice zawsze służyli mu radą na odległość. Samantha na razie nie miała w nich wsparcia.

Jamie, patrząc na Chipa i jego siostrę, pomyślała, że w tej chwili jest w podobnej sytuacji. Ojciec nie żył, a ona i matka, obrażone na siebie, marnowały cenny czas. Na przykład teraz przydałoby jej się doświadczenie Caroline. Tad podczas kolacji kurczowo trzymał się Jamie. Czy sprawiła to obecność obcej osoby, czy może kryło się za tym coś innego? Nie dał się posadzić w swoim krzeselku, płakał, że chce na kolana. Lubiała ciepły dotyk jego drobnego ciała, ale tym razem wydało jej się niepokojąco rozgrzane. Nie miał apetytu; zjadł kilka kęsów chleba i parę łyżeczek chili. Zanim Samantha wyjęła z piekarnika ciasteczka z czekoladą, opadły mu powieki.

– Chyba źle się czuje – zauważyła Jamie i wstała od stołu z nim na rękach, patrząc przy tym na Chipa, bo on na pewno lepiej wiedział, co robić w takiej sytuacji. – Szybkie mycie i do łóżka?

Podniósł się z krzesła.

– Ja to zrobię. Ty zabieraj się do pracy.

– Siedź. – Przytrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Praca może poczekać. Buddy? Idziemy się kąpać?

Malec nadął buzię.

– Chcę ciasteczka.

– Zajmij się Tadem – odezwał się Chip, pocieszająco gładząc ją po ręce. – Niedługo go przyprowadzę.

Tad bez protestów dał się położyć. Jamie wyciągnęła się obok niego z książeczką. Zanim przeczytała dwie strony, już spał. Zaniepokojona, obróciła się na bok. Powinna wstać, zająć się swoimi sprawami, ale nie mogła. Wdychając delikatny zapach dziecięcego mydła, nasłuchiwała jego oddechu i obserwowała ruch małej klatki piersiowej. Wiedziała, że prędzej czy później Tada dopadnie jakaś infekcja. Maluchy, szczególnie te chodzące do żłobka, są narażone na różne choroby dziecięce, lecz to jeszcze nie powód, żeby go stamtąd wypisać, prawda?

Chyba miał podwyższoną temperaturę, ale spał mocno. Nie obudził go szum wody nalewanej do wanny. Nawet nie drgnął, gdy jakiś czas później Chip położył Buddy'go na górnym łóżku.

– Ruszaj z robotą – wyszeptał Chip, kiedy na palcach wychodzili z sypialni.

– A Samantha?

– Ja się nią zajmę.

\*

Organizacja miejsca pracy zajęła Jamie sporo czasu. Poukładała w zasięgu ręki wszystkie niezbędne przedmioty, dopasowała wysokość krzesła do biurka. Odpaliła komputer, w laptopie weszła na stronę MacAfee i ustawiła podgląd

z monitora w dziecięcym pokoju, żeby mieć oko na Tada. Robiła to wszystko mechanicznie, rozpraszana przez snujące się po głowie myśli. Jedne dotyczyły Tada, inne Samantha. Te, w których pojawiał się Chip, były krzepiące, w przeciwieństwie do tych dotyczących Caroline. Zadra pozostała, na dodatek dręczyło ją zwątpienie we własne możliwości. Poczwała się lepiej, gdy wreszcie otworzyła plik z widokiem rezydencji. Całkiem niezłe się prezentowała. Według jej zamysłu Weymouthowie, patrząc na swoje rodzinne gniazdo, poczują dumę. W takim razie jeden istotny etap miała odhaczony.

Podczas prezentacji najważniejsze jest pierwsze wrażenie, a posiadłość powinna budzić pozytywne emocje, toteż projektant musi zadbać o otoczenie. Przede wszystkim trzeba coś zrobić z podjazdem pokrytym spękanym asfaltem. To naturalne ograniczniki prędkości, podpowiedział jej duch Mildred. Może i tak, ale istniały bardziej wysmakowane sposoby zniechęcające do szybkiej jazdy. Poszerzyła podjazd i wyłożyła go cegłą z odzysku. Chropowata nawierzchnia pod kołami będzie przypominać jazdę po bruku. Przed frontonem nadała podjazdowi kolisty kształt, w jego środek wkomponowała gazon z trzema nadrzecznymi brzożami, zostawiając na obrysie okręgu sporą przestrzeń na parking dla gości.

– Jak idzie? – szepnął Chip, wsuwając głowę w drzwi godzinę później.

Obejrzała się, podnosząc kciuk. Gdy skierowała wzrok z powrotem na monitor, uderzyło ją, że dotąd nie pomyślała o miejscu na samochody mieszkańców. Może w dawnej wozowni, którą zamierzała usunąć?

Nie, żadnej wozowni. Garaż przyłączony do domu.

To oznaczało przeprojektowanie tylnej części rezydencji. Potrzebowała widoku od strony ogrodu. Niestety, na próżno szukała w programie Google Earth zdjęć satelitarnych czy lotniczych tego terenu. W „Williston News” znalazła parę starych fotografii z przyjęć w ogrodzie. W tle za bawiącymi się ludźmi widać było zaledwie fragmenty trawnika, jakieś meble ogrodowe. Na własne wspomnienia nie miała co liczyć.

Użyj wyobraźni, powiedziała sobie. Bądź twórcza.

Bezowocnie spędziła kolejne pół godziny.

Zdenerwowana, przestała zajmować się domem i otworzyła nowy plik. Skupiła się na lesie. Na jego granicy naniósł trzy wozownie. Co prawda wolno stojące wozownie nie były jej pierwszym wyborem, lecz na tle drzew wyglądały urokliwie, no i na pięterku pod dachem oferowały dodatkową przestrzeń magazynową. Należy zróżnicować ich wygląd, żeby przełamać monotonię.

Trzy wozownie? A może cztery? Połączone ze sobą z głównym budynkiem ścieżkami. Czy Weymouthom przypadnie do gustu plan na bazie koła z pustym placem na środku?

Nie, bo takie rozwiązanie już zaproponowała na froncie.

Tył powinien pozostać terenem rekreacyjnym z trawnikiem, klombami

i ławkami.

Aha, i jeszcze jedno. Z rezydencji powinna prowadzić droga na basen i kort tenisowy. W jakiej odległości je usytuować? Blisko domu? Mieszkańcy apartamentów będą narzekać na hałas. Daleko? Powiedzą, że muszą tam dojeżdżać cholernym wózkiem golfowym.

Spojrzała na zegarek. Minęła godzina. Za dużo problemów, za mało konkretów, mizerny postęp. Gdy do pokoju wsunął się Chip, z nerwów pierś rozsadzał jej krótki oddech.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – wyszeptał, dostawiając krzesło do swojego komputera. – Muszę wydrukować parę rzeczy na jutro.

– No tak – westchnęła. – Dzień sportu.

Skupiona na sobie, nawet przez chwilę nie pomyślała, że jego też czeka praca.

– Przepraszam, Chip. Na śmierć zapomniałam. I zostawiłam cię z siostrą. Co ona robi?

– Śpi. Jest po dziesiątej. – Przyłożył palec do ust i wskazał na monitor. – Wracaj do pracy.

Łatwo powiedzieć. Gdyby nie presja czasu, najchętniej posiedziałyby z nim, patrząc, jak pracuje. Już po dziesiątej? Zegar tykał nieubłaganie.

Odłożyła na później projektowanie terenu i zajęła się wnętrzem. Weymouthowie na pewno mieli dużo wspomnień związanych z tym miejscem. Jak uderzyć w sentymentalną nutę i czy to w ogóle ma sens? Założyła, że do apartamentów będzie się wchodzić z ogromnego holu z imponującym biegiem schodów. Takie rozwiązanie wcześniej podpowiadała jej wyobraźnia.

No tak, ale ile tych apartamentów ma być? Jeżeli cztery, ich metraż będzie mniejszy, co automatycznie obniży cenę. Trzy gwarantują poziom luksusowy, bo wtedy wygospodaruje miejsce na osobne garderoby dla niego i dla niej oraz na saunę. Które rozwiązanie bardziej przypadnie do gustu Weymouthom? Jakie oczekiwania mogą mieć potencjalni kupujący?

Roy był geniuszem w działaniach marketingowych. Intuicyjnie podjąłby właściwą decyzję. Może Caroline, odpowiedzialna za całość, coś by jej podpowiedziała. Niestety, dotąd się nie odezwała, bo przecież projekt był sprawą Jamie.

Zdecydowała się na wersję luksusową. Z dwóch powodów: po pierwsze, zapamiętała, co Chip mówił o młodych Weymouthach, a po drugie, wyrysowanie trzech mieszkań zajmie jej mniej czasu.

No i kolejny problem. Nie ma punktu zaczepienia, bo nie dysponuje aktualnym rzutem poziomym rezydencji. Pociuszające, że bracia zapewne też go nie będą mieć pod ręką. Nigdy dotąd w taki sposób nie pracowała! Tak chaotycznie, tak niechlujnie.

Nie ma wyboru, westchnęła i już zabierała się do rysowania, gdy z głośniczka monitora doszedł ją stłumiony kaszel, a po nim płacz.

W okamgnieniu znalazła się w pokoju chłopców. Zapłakany Tad siedział w wymiocinach. Wzięła go na ręce.

– Nic się nie stało, małpeczko, Nanie zaraz się tobą zajmie – uspokajała go, lekko kołyszając.

Ona nigdy nie zwracała, Tadowi też dotąd się to nie zdarzało. Nie bardzo wiedziała, od czego zacząć sprzątanie.

– Weź go do łazienki – polecił spokojnie Chip, kładąc jej dłoń na plecach. – Wykąp go w letniej wodzie, a ja tymczasem zmienię pościel.

Może podziwiałaby jego opanowanie, gdyby nie była tak przejęta Tadem. Kąpiel wyraźnie przyniosła mu ulgę. Uspokoił się, przestał szlochać. Zmieniła wodę w wannie, żeby mógł poplaskać się w pianie, i bawiła się z nim jak co wieczór, tłumiąc niepokój.

– Co teraz? – spytała, gdy Chip wszedł do łazienki.

Dotknął czoła Tada.

– Temperatura spadła. To dobry znak.

– Co to było?

– Kto wie. Może coś mu zaszkodziło. A może jest jakiś wirus w żłobku.

– Wezwać lekarza?

– Nie ma potrzeby.

– Dać mu Ibuprofen?

Zastanawiał się chwilę.

– Poczekajmy. Jeśli temperatura się podniesie...

– Ja nawet nie wiem, jak mu zmierzyć temperaturę.

– Tym się nie przejmuj, zostaw to mnie. – Rzucił jej znużony uśmiech.

\*

– Tad ma stan podgorączkowy, nie powinnaś się niepokoić – zapewnił ją Chip.

Jamie próbowała poić malca wodą, jednak on najlepiej się czuł uwieszony u niej na szyi. Zabrała go ze sobą do gabinetu i z drzemającym na jej kolanach usiłowała pracować – z naciskiem na „usiłowała”. Nie potrafiła się skupić. Ona robiła projekty na podstawie pomiarów i danych. Bez nich czuła się jak dziecko we mgle.

Zrezygnowana, wtuliła twarz w kędzierzawą czuprynkę Tada. Jeżeli w ogóle dojdzie do tej inwestycji, inżynierowie z MacAfee wytyczą drogi i usytuowanie wszystkich zabudowań. Niestety, w tej chwili nie mogła skorzystać z ich pomocy. Ani z rady marketingowców czy agentów nieruchomości. Nie miała wsparcia w Caroline. Nawet Chip ją zostawił i w końcu poszedł spać. Pozostał jej tylko Tad.

Budził się za każdym razem, gdy próbowała go położyć. Znużenie dawało o sobie znać. Minęła północ. Już tylko strach trzymał ją przy komputerze. Niestety, strach nie jest twórczy.

Licząc, że godzina czy dwie snu pomogą jej się zregenerować, położyła się z Tadem przy Chipie.

– Nie wiem, czy to wychowawcze – wyszeptwała, kiedy ten się poruszył – ale Tad zaczyna płakać za każdym razem, kiedy kładę go do łóżka. Boję się, że obudzi Buddy’ego. No i chcę się do ciebie przytulić.

– W porządku. Śpij – wyszeptał jej we włosy, układając się z nią „na łyżeczkę”.

\*

Udało jej się złapać zaledwie godzinę snu. Tym razem zwymiotował Buddy. Wstali oboje i od nowa przeszli przez procedurę kąpieli i prania. Ślaniając się na nogach, robiła, co do niej należało, już z mniejszym poczuciem winy niż w przypadku Tada.

Na szczęście obaj chłopcy bez protestów wrócili do swojego pokoju.

Niestety, zanim się uporali z tym wszystkim, zrobiła się trzecia nad ranem.

Postanowiła wrócić do pracy. Zaparzyła kawę i przeszła do gabinetu. Od czego zacząć? Musi zapomnieć o rezydencji, o wozowniach i o pawilonie przy basenie, który według jej pierwotnych zamierzeń miał być dwa razy większy od standardowej sali na imprezy okolicznościowe. Powinien przypominać stylem główny dom... dawną wozownię... a może któreś z zabudowań na ciągnących się w nieskończoność akрах terenu. Nie ma czasu na zaprojektowanie altany, treliazy ani kącika z murowanym grillem. To wszystko są tylko detale.

Zaproponuje spojrzenie z szerszej perspektywy. Widok z lotu ptaka. To na pewno zrobi wrażenie na Weymouthach. Niestety, nie miała danych geodezyjnych i nie знаła topografii terenu. Nigdy nie była w zalesionej części posiadłości. Nie wiedziała, czy przypadkiem nie ma tam podmokłych łąk albo ukrytych w gęstych kępach sosen, brzoź czy buków głązów narzutowych, które należało wysadzić, chociaż usunięcie nawet jednego z tych starych drzew byłoby grzechem.

Caroline rozumiałyby jej rozterki. Znała się na takich sprawach i może nawet podsunęłyby jej jakiś pomysł. Jamie oddałyby wszystko za telefon do matki, choćby po to, aby dzielić z nią odpowiedzialność. Niestety, projekt to była wyłącznie jej sprawa.

Po prostu zacznij rysować, nakazała sobie. Weymouthowie nie będą pamiętali, gdzie mogą być głązy, kępy drzew czy podmokłe niecki. Rozplanuj zabudowania w sposób atrakcyjny dla oka. Robiłaś coś takiego już wcześniej. Zrób to teraz.

Naniosła domy komputerowo. Nieźle. Może nawet ciekawie. Mimo że nie

cierpiała pracować w taki sposób, to samo zrobiła z basenem, kortem tenisowym i z pawilonem. Przy okazji przypomniało jej się, jak któregoś roku postanowiła upiec piernik na urodziny Caroline i nie mając pod ręką syropu z melasy, zastąpiła go miodem. Matka ją pochwaliła, ale co innego mogła powiedzieć. Jamie już po pierwszym kęsie wiedziała, że to nie ten smak.

Tak samo było tutaj.

Zrobiła korektę i poszła zajrzeć do chłopców. Po powrocie do gabinetu wystarczył jej jeden rzut oka na ekran, aby dostrzec niedoróbki. Przeprojektowała wszystko od nowa. Kiedy poszła po trzecią dolewkę kawy, do kuchni wpadł Chip. Wydawał się tak samo zmęczony jak ona. Była siódma. Już po prysznicu, gotowy do wyjścia, z wypchaną torbą przerzuconą przez ramię, sięgnął za nią po kubek termiczny.

– Jak ci idzie? – zapytał.

Machnęła ręką i otworzyła lodówkę.

– Na szczęście chłopcy więcej nie wymiotowali. Myślisz, że to już koniec?

– Niewiele im zostało w żołądkach – podsumował, nalewając kawy do kubka. – Muszą dużo pić. Najlepiej jakieś rozwodnione soki.

Dolała mu śmietanki do kawy.

– A mleko?

– Tylko jeżeli będą się domagać. O ile nie zwrócą tego, co wcześniej wypili, nie powinno im zaszkodzić. Najchętniej zostałbym w domu, żeby ci pomóc... – Skrzywił się. – Niech Sam zajmie się chłopcami.

– Zostanie?

– Przekaż jej ode mnie, że jeśli zrejteruje, zadzwonię do mamy i wszystko powiem. Ja nie żartuję. – Zakręcił pokrywkę kubka, objął Jamie w pasie i przygarnął do siebie. – Poradzisz sobie?

– A mam wybór?

– Zawsze możesz zadzwonić do matki.

Nie odpowiedziała. Popatrzyła z napięciem w jego niebieskie oczy, szukając w nich wsparcia.

– No to może wezmę dziś chorobowe – zaproponował.

– Nie ma mowy. Koniec roku szkolnego. Od tygodni przygotowywałeś ten dzień sportu. Uciekaj. – Odepchnęła go.

Pochylił się, dał jej całusa, skierował się do drzwi, cofnął się, cmoknął ją jeszcze raz i wyszedł.

## Rozdział 28



Caroline, kręcąc się na boki, przeglądała się w wysokim tremo. Kątem oka dostrzegła w lustrze obserwującego ją Deana. Co prawda przywykła do jego obecności, lecz w niektórych sytuacjach czuła się nią skrępowana.

– Mam szerokie biodra – powiedziała, rumieniąc się. Nie wiadomo dlaczego tłumaczyła się przed nim. – Będzie lepiej, jak wpuszczę bluzkę w spódnicę?

Dziś włożyła białą, wąską spódnicę, lekko rozszerzoną na dole i dopasowaną, brązową koszulową bluzkę. Do całości dobrała sandałki na koturnach z korka. Jamie pochwaliłaby jej wybór. Jednak nie ze względu na córkę odświeżyła garderobę. W tygodniu czekało ją kilka ważnych zebrań, a zestaw z pogrzebu Roya zdążył się opatrzyć. Poza tym był czarny. Nie lubiła czerni, w przeciwieństwie do Deana, który w tej chwili, siedząc na fotelu obitym kwiecistym perkalem i sznurując buty, bardzo korzystnie się w niej prezentował. Miał czarną koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i rękawami podwiniętymi do łokci oraz dzinsy ściągnięte skórzanym paskiem.

Podniósł się z fotela i stanął za nią, patrząc jej w oczy w odbiciu w lustrze.

– Nie masz szerokich bioder, a bluzkę zostaw na wierzchu. Wyglądasz sztywnie. Nobliwie, ale to nadal ty.

Posłała mu zaintrygowany uśmiech.

– Nobliwie?

– Taka pewna siebie i kompetentna.

– A normalnie nie jestem kompetentna?

– Jesteś. W swoim fachu. Teraz wyglądasz jak bizneswoman. – Zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. – Coś by się jeszcze tu przydało.

Caroline krytycznie przyglądała się swojemu odbiciu. Poprawiła zegarek, dotknęła kolczyków. Na środkowym palcu lewej dłoni miała grubą, grawerowaną, srebrną obrączkę. Prezent od rodziców. Nie dostała jej ani na urodziny, ani z jakiejś szczególnej okazji. Lubiła ją nosić, uważała, że pasuje do jej stylu. W przeciwieństwie do ażurowej bransolety po matce. Tamten drobiazg miał dla niej znaczenie sentymentalne, ale nigdy go nie nosiła, tak samo jak w życiu nie wystąpiłaby w ślubnej sukni z wiktoriańskiej koronki.

No a kto by przypuszczał, że kupi sobie białą spódnicę i sandałki na koturnach i na dodatek będzie się w tym stroju dobrze czuć? A jednak kupiła i czuła się świetnie. Kto by pomyślał, że ubrana jak bizneswoman – na ile pozwalała tkwiąca gdzieś w środku natura rzemieślnika – będzie aspirować do roli,



na której wcale jej nie zależy? A może raczej nie zależało. Była teraz prawą ręką Thea i to zaczynało ją kręcić. Dobrze sobie radziła, bo głównie miała do czynienia z ludźmi. Właśnie to najbardziej kochała w *Gut It!* – nie występy przed kamerą czy rozpoznawalność, ale zespołową pracę nad czymś, co w efekcie przynosiło radość ludziom.

Ta kobieta w lustrze była interesująca. Och, oczywiście, wyglądała na swój wiek. Skóra na szyi i na dłoniach nie była gładka jak jedwab jej bluzki, a nogi tak równo opalone jak u Jamie. Coś odmieniło wygląd tej kobiety w lustrze. Bliskość stojącego za nią Deana obudziła wspomnienie ich wspólnej nocy. Może tym czymś była pewność siebie. Może dodałaby słowo „duża”, gdyby nie sytuacja z Jamie, bo niestety, w roli matki trochę się pogubiła.

Dean chyba nie to miał na myśli, mówiąc, że coś jeszcze by się przydało. Nie bawił się w aluzje, był konkretnym facetem.

Zauważyła, jak wsunął rękę do kieszeni. Moment później poczuła dotknięcie na karku i w rowek między piersiami ześliznął się jakiś drobiazg zawieszony na platynowym łańcuszku. Zanim zdążyła namacać go palcami, przesunął dłonie na jej ramionach i lekko poblady, czekał na reakcję.

– Dean – ostrzegła go łagodnie.

Domyśliła się, co to jest, choć absolutnie nie była przygotowana na cudo, które zobaczyła.

Brylant o szlifie szmaragdowym z dwoma mniejszymi po bokach ze szlifem bagiet. Prostokątne kamienie bardziej pasowały do jej stylu niż tamten okrągły z klasycznym szlifem diamentowym, który kiedyś dostała – to była pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy. Oprawiony w platynę pierścionek był prosty, a zarazem elegancki, tradycyjny i oryginalny; jednym słowem, idealny.

Palce Deana zamknęły się na jej palcach pod materiałem bluzki, szorstka skóra musnęła wzdłuż piersi.

– Będiesz go dla mnie nosić? – zapytał szeptem.

Jego piwne oczy, jakby rozświetlone wewnętrznym blaskiem, nabrały zielonego odcienia.

– Och, Dean. – Wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

– Nie podoba ci się?

– Jest cudowny. – Zacisnęła dłoń na pierścionku. – Ale ja nie chcę ślubu.

Odpowiada mi tak, jak jest.

– Mnie też. Stąd ten łańcuszek. Jest dostatecznie długi. Nikt nie musi widzieć pierścionka.

– Przecież chcesz, żeby ludzie wiedzieli. Sam mówiłeś.

– Zmieniłem zdanie. Chodzi o nas, nie o ludzi.

Wiedziała, że ta chwila kiedyś nastąpi. Oboje byli na tyle dojrzały, żeby im się udało. Zrozumiała, że cechą dorosłości jest gotowość do zmian, że

sprzeciwianie się im oznacza dreptanie w miejscu i w rezultacie smutne życie.

Uzmysłowiła sobie, że pielęgnowanie mało istotnych żali jest tak samo destruktywne, jak upieranie się przy prowadzeniu *Gut It!* przez kolejny sezon.

Wypuściła pierścionek z dłoni, pozwalając mu opaść tam, gdzie było jego miejsce, objęła Deana za szyję, drugą rękę przytuliła do szorstkiego policzka.

– Dziękuję.

– Czy to znaczy tak? – zapytał z chłopięcym entuzjazmem, wzruszając ją po raz drugi.

– Tak – uśmiechnęła się przez mgłę łez, które niespodziewanie zakręciły jej się w oczach.

\*

Po wyjściu Chipa Jamie, walcząc z chęcią fizycznej obecności przy dzieciach, ustawiła monitor elektronicznej niani obok komputera, żeby mieć podgląd na piętrowe łóżko. Obaj wiercili się przez sen, poza tym nic niepokojącego się nie działo. Samantha jak dotąd się nie pojawiła, miała więc szansę trochę podgonić robotę.

Niezadowolona z widoku z lotu ptaka, nie miała pomysłu, jak go poprawić. Zapisała to, co dotąd zrobiła, i otworzyła nowy plik. Tym razem skupiła się na wolno stojących, jednorodzinnych domach. Powinna na jutrzejszym zebraniu przedstawić jeden lub dwa projekty, które dawałyby ogólne pojęcie, jak MacAfee zamierza zagospodarować teren.

Marzyło jej się stworzenie sześciu różnych projektów do wyboru dla potencjalnych klientów. Każdy z nich czerpałby w jakiejś mierze inspirację z rezydencji, jednocześnie zachowując indywidualny charakter. Na przykład dwa domy mogłyby stanowić odwzorowanie rezydencji w miniaturze; jeden cały z cegły, drugi z kamiennym cokołem i z elewacją ze sztukateriami. Pozostałe utrzymałaby w rustykalnym lub pseudoletniskowym stylu. Taka prezentacja zrobiłaby wrażenie. Od którego projektu zacząć? Skupić się na luksusie czy na przytulnym wrażeniu? Kogo brać pod uwagę: Weymouthów czy raczej klientów? Posadzić te domy na wzniesieniach czy na płaskim terenie? I ostatnia sprawa. Skąd ma wziąć dokładne dane o ukształtowaniu działki?

Oderwij się od rzeczywistości, syknęła, tracąc cierpliwość. W tej chwili to nie ma znaczenia. Wykreuj obraz w głowie i przenieś go na pieprzony ekran.

Ledwo zabrała się do kreślenia, do gabinetu zajrzała Samantha, pytając o zamieszanie w nocy. Buddy, słysząc jej głos, wyszedł z łóżka, a Taddy zaczął żalnym głosem wzywać Jamie.

Żłobek nie wchodził w grę. Obaj chłopcy nadal mieli stan podgorączkowy, byli bladzi i ospali. Dzień zapowiadał się upalny, czuło się to bez wychodzenia z domu. Klimatyzacja działała na okrągło, z powodu dużej różnicy temperatur na

chłodnych od wewnątrz szybach skraplała się para.

– Co robimy? – spytała Samantha.

Jamie oczyma wyobraźni zobaczyła markery i klej oraz kółka, kwadraty i trójkąty powycinane z kolorowych kartek, które można nadziać na wykałaczkę albo nanizac na sznurek i robić z nich różne cuda. Idealne zajęcie dla dzieci, gdy nie najlepiej się czują. Ona tak się kiedyś bawiła. Od dziecka miała skłonności artystyczne. Chętnie wciągnęłaby chłopców do takiej zabawy, gdyby nie musiała skupić się na swoich sprawach.

Niestety, musiała. W takim razie co im zaproponować?

– Pytasz niewłaściwą osobę – odpowiedziała Jamie, z Tadem wtulonym w jej szyję. – Nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Trzeba ich czymś zająć, przecież nie możemy ich cały dzień nosić na rękach. Co matki robią z chorymi dziećmi?

Samantha, nie namysławiac się wiele, przeszła do salonu i włączyła telewizor.

\*

Caroline, już poważna i bez łez wzruszenia w oczach, jedną ręką dotykając pierścionka, swojego nowego talizmanu, drugą kierowała zakurzoną ciężarówką MacAfee. Taki pojazd nie pasował do wizerunku kompetentnej menadżerki, a jednak dobrze się w nim czuła. Według niej całość stanowiła kombinację stylu vintage z nowoczesnością – stary samochód, nowa kobieta, tradycyjny pierścionek, nowa sytuacja. Czerwcowe czasopisma były pełne reklam pierścionków z dwoma lub trzema rzędami brylancików, często w różnych kolorach, wokół większego kamienia na środku. Zupełnie nie w jej guście. Podobała jej się ponadczasowość wyboru Deana.

Dawne, nowe. Ktoś, kto potrafi to pogodzić, jest elastyczny; słucha, wyciąga wnioski i się rozwija. Tak właśnie chciała siebie postrzegać. Ten wizerunek byłby kompletny, gdyby naprawiła to, co popsowała w relacjach z Jamie.

Czas działał na jej niekorzyść. W tej chwili Jamie, pracując w takim stresie, musi jeszcze wypełniać nową rolę matki i żony.

Grafik na przedpołudnie miała zapełniony. Przecież nie wysła córce esemesa: *Hej, kiedy możemy pogadać, ups, nie, w tym czasie nie mogę*. Chyba najlepiej, jeśli po prostu zajrzy do niej, do pracowni.

Najpierw jednak śniadanie z agentką nieruchomości. Przy jajkach na miękko w przyjemnie klimatyzowanym barze U Fiony Linda Marschall wprowadziła ją w zawłość analizy porównawczej rynku nieruchomości, co dało Caroline niezłe pojęcie o cenach posesji na terenach na zachód od Bostonu, w zależności od ich wieku, położenia i wielkości. Koleżanka nie zauważyła wisiora, ale Caroline nawet na minutę nie zapomniała o jego obecności. Chodzi o nas, powiedział Dean. Te słowa co jakiś czas do niej wracały. Dotykała wtedy pierścionka, przyciskając dłoń do piersi, jakby miała kłopoty z oddychaniem czy z pieczeniem w przelyku.

Przy każdym dotknięciu przebiegała ją elektryzująca fala satysfakcji i dumy, podnosząc poczucie własnej wartości. O ile tamtej nowej, eleganckiej kobiecie w zakurzonej ciężarówce pewności siebie nie brakowało, to ta dawna, ukryta pod szykownym strojem bardzo jej potrzebowała.

Po śniadaniu ze sprawozdaniem Lindy i z konkretną wiedzą, jakie domy powinni budować i wystawiać na sprzedaż, popędziła do biurowca MacAfee. Przy okazji sprawdzi, co słychać u Jamie.

\*

Szwagierka okazała się bardzo pomocna w opiece nad chłopcami. Zmieniała im filmy i poila ich wodą. Niestety, wesprzeć Jamie w pracy nie mogła. W przerwach pomiędzy kolejnymi kursami na parter, żeby sprawdzić, co słychać u dzieci, udało jej się częściowo zaprojektować jeden z wolno stojących domów. Coraz gorzej się koncentrowała. Zniechęcona, zarzuciła ten projekt i zabrała się do rozplanowania piętra apartamentu w tylnej części rezydencji. Odwróciła się od monitora i sięgnęła po szkicownik. Zdarzało jej się zaczynać projekty od odręcznego rysunku. Szczęśliwie ręce nie drżały od nadmiaru wypitej kawy, ale czy szkice zrobią wrażenie na Weymouthach?

Wróciła do komputera. Im bardziej się starała, tym większy narastał w niej strach. Matki nie trzymają chorych dzieci przed telewizorem. Bawią się z nimi, śpiewają im i noszą je na rękach. Była beznadziejną matką i na dodatek kiepskim architektem. Dzieci wyzdrowieją. A co z projektami? Na jutrzejszym zebraniu może dojść do omawiania funduszy i terminów oraz do dyskusji nad sensem pokazania tego projektu w *Gut It!* Jeżeli nie weźmie się w garść i nie przygotuje imponującej prezentacji, mogą pożegnać się z ambitnymi planami.

Ciężar odpowiedzialności spoczywa na jej barkach. Może zaprzepaścić działania wielu ludzi i obniżyć markę MacAfee. Firma może stracić płynność finansową, akurat teraz, gdy odbija się od dna po śmierci Roya i rezygnacji Brada.

A Caroline? Jeżeli rzeczywiście myśli o przejęciu schedy po Theo i przez nieudolność Jamie straci szansę na brylowanie na tym stanowisku? Co wtedy?

\*

Caroline postanowiła zacząć od odszukania Jamie. Nigdzie jej nie było. Po drodze natykała się na pracowników, którzy korzystając z okazji, pytali o ślub córki.

– Theo na mnie czeka – wymawiała się, bo chciała jak najszybciej się od nich uwolnić, szła pośpiesznie korytarzem, dobrze wiedząc, dlaczego Jamie się nie zjawiała. Nie miałyby szansy się skupić na pracy w tej atmosferze ogólnej ekscytacji.

Pokazała Theo sprawozdanie Lindy, a on z kolei udzielił jej kilku instrukcji

dotyczących wizyty w banku. Wolałaby oszczędzić czas i załatwić sprawę telefonicznie, lecz Theo nie ustąpił.

– Bank jest w centrum miasta, a Fred McDonough zawsze chętnie służy nam radą. Poczuj się doceniony, że osobiście się do niego pofatygowałaś.

Domyślała się przyczyny uporu teścia. Zależało mu, aby Caroline zaczęła zjednywać sobie miejscowych notabli, tak jak to wcześniej robił on sam, a po nim Roy. Rozumiała jego intencje i nie miałyby nic przeciwko, gdyby akurat nie zależało jej tak bardzo na spotkaniu z Jamie. Trudno, co się odwlecze, to nie uciecze.

Fred McDonough należał do osób towarzyskich, i rzeczywiście, szczerze ucieszył się na jej widok. Wspominał Roya, potem wypytał ją o Thea i mimochodem zahaczył w rozmowie o termin ślubu Jamie i Brada. Caroline ulżyło, że wieść jeszcze nie obiegła miasta, ale co miała powiedzieć? Niekoniecznie chciała rozwijać ten temat, jednak kłamstwa nie miałyby sensu.

Opisała mu pokrótce sytuację.

– Błyskawiczny ślub, prawda? – Uśmiechnęła się, rozbawiona jego zaskoczoną miną. – Dopiero się poznali. Nie pobrali się z konieczności. Po prostu miłość od pierwszego wejrzenia.

Te słowa zabrzmiały w jej ustach bardzo prawdziwie. Dotykając pierścionka, nie mogła się powstrzymać od porównania swojej sytuacji z Jamie. Córka przeżyła właśnie kilka intensywnych dni, a ona miała za sobą wiele pustych lat. Jak różnie ułożyło im się życie. Może należy postępować tak jak Jamie?

– Ona ma za sobą trudny miesiąc – tłumaczyła. – Teraz jest naprawdę szczęśliwa. Mam nadzieję, że w takim tonie będziesz przekazywał tę wiadomość.

– Ależ oczywiście. Znam tę dziewczynę od dziecka – przypomniał jej. – A Kobikowie są klientami naszego banku.

Czekała na jakieś uwagi na temat przeszłości Chipa, ale nic takiego nie padło. Fred skupił się na sprawach MacAfee. Zapewnił ją o pozytywnym nastawieniu banku do ewentualnego zakupu terenów Weymouthów. Obiecał, że przyjrzy się sprawozdaniu agentki nieruchomości, sprawdzi pozycję finansową firmy i wieczorem da jej znać, jaką kwotę mogą bezpiecznie wyasygnować.

Caroline prosto z banku podjechała pod mieszkanie Jamie. To tam córka miała dobrze wyposażony gabinet i gwarancję spokoju do pracy. Jednak nie było jej w domu – ani śladu samochodu na podjeździe, ani odbicia w szybie światła gabinetowej lampy.

Powinnaś się domyślić, Caroline. Ona już tu nie mieszka – powiedziała w duchu.

Wróciła do biura, żeby przejrzeć szacunkowe koszty inwestycji sporządzone przez Deana, zanim dane trafią do banku. Stamtąd pojechała do Emory Elementary. Na ulicy przed szkołą stał sznur samochodów, boisko wyglądało na obłożone.

Zaciekawiona, zaparkowała ciężarówkę i podeszła do płotu z drucianej siatki.

Chyba dziś cała szkoła wyległa na dwór, łącznie z nauczycielami, którzy kręcili się pośród grupiek rodziców, obserwujących zmagania dzieci zza bocznych linii. Uczniowie byli podzieleni na zespoły. Grupa w pomarańczowych koszulkach strzelała gole do bramki, w niebieskich ćwiczyła rzuty do kosza. Zieloni dryblowali kickballem na torze przeszkód, a czerwoni z białymi grali na punkty w piłkę na uwięzi. Chip, najwyższy pośród dorosłych na boisku, dyrygował sporą grupą uczniów, którzy stojąc ciasno jeden przy drugim, trzymali za brzeg czegoś w rodzaju rozpostartej czaszy ogromnego spadochronu. Drużyna fioletowych skupiła się po lewej stronie, a żółtych po prawej. Chip przez chwilę trzymał piłkę nad głową, wydając ostatnie polecenia, a potem rzucił ją na czaszę i dał sygnał gwizdkiem. Dzieci zaczęły z całej siły szarpać spadochronem tak, aby piłka wpadła do wyciętego na środku otworu. Potem Chip podał wynik, wyznaczył zawodnika do wydobycia piłki i zabawa zaczęła się od nowa.

Dostrzegł Caroline dopiero po trzeciej rozgrywce. Spojrzał na nią jeszcze raz szeroko otwartymi oczami, skinął na jednego z nauczycieli i potruchtał do płotu.

– Wszystko w porządku? – Na jego spoconej twarzy malował się niepokój.

– Tak. Nie. Muszę cię przeprosić, ale teraz na to nie pora. Przede wszystkim, chcę pilnie zobaczyć się z Jamie. Męczy mnie ta cisza pomiędzy nami. Nie znalazłam jej w biurze.

– Jest w moim domu i bardzo cię potrzebuje. – Jeszcze przed chwilą taki pewny siebie na boisku, teraz wydał się bardzo młody i onieśmielony. – Chłopcy całą noc wymiotowali. Jamie się nie wyspała i nie mogła pracować. Na dodatek niespodziewanie zjawiała się moja siostra i nie wiem, czy to dobrze, czy źle. – Otarł rękawem pot z czoła, przyklejając do skóry wilgotne włosy. – Powinienem zostać z nimi, ale dziś jest koniec roku, a ja odpowiadam za dzień sportu. To już tradycja. Wysyłam esemesy, Jamie odpisuje, że wszystko w porządku, ale wiem, że tak nie jest, a jeszcze przez parę godzin nie uda mi się stąd urwać. Co prawda niewiele mógłbym jej pomóc. To ona ma wyobraźnię, ja zdecydowanie jestem ściśłowcem. Jamie wie, jaki efekt chciałaby osiągnąć, i ciągle nanosi jakieś poprawki, potem patrzy na zegarek i wpada w panikę. Na dodatek martwi się o chłopców, bo pierwszy raz ma do czynienia z chorymi dziećmi. Pewnie będzie wściekła, że mówię ci to wszystko. Ona tak ambitnie podchodzi do pracy i ta cała sytuacja ją wykańcza. Powinienem być w domu przed czwartą. Gdybyś mogła zajrzeć tam wcześniej, byłbym ci dozwrotnie wdzięczny. Znasz adres?

Naturalnie, że znała. Poszukała go w książce telefonicznej, gdy Jamie pierwszy raz wspomniała o Chipie. Łagodnym gestem pchnęła go w stronę boiska, wróciła do ciężarówki i zadzwoniła do Dany MacAfee, żeby ją poinformować o przesunięciu zebrania.

– Nie, Dano, nic nie poradzę. Wiem, że nie lubisz jeździć w godzinie

szczytu, ale o drugiej nie ma jeszcze dużego ruchu. Tak. No trudno, jeżeli nie dasz rady, zrozumieć. – Zakończyła rozmowę i ruszyła na Beech 403.

\*

Jamie poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Nie, niemożliwe, aby dopadł ją ten sam wirus co chłopców. Absolutnie się na to nie zgadzała. Na pewno istniało tysiąc innych przyczyn sensacji żołądkowych: brak snu, brak jedzenia, strach, że nie zdąży z projektem na czas. Już na samą myśl o tym oblała się potem i dlatego ponownie obniżyła temperaturę na termostacie.

Tad z kciukiem w buzi spał przyklejony do niej, opasując nóżkami jej biodra. Łepk pluszowego łosia wystawał mu spod ucha. Jamie dotknęła fałdki tłuszczu w zgięciu po dziecięcemu pulchnego łokcia i odgarnęła mu z czoła wijący się lok. Powinna zaprowadzić go do fryzjera. Odkładała tę chwilę, bo w lecie wilgotne powietrze skręcało mu włosy w ciasne pierścionki. Jeszcze niedawno to rodzice gładzili go i całowali po tej czuprynce. Miała dziwne wrażenie, że gdy obetnie mu włosy, symbolicznie przetnie łączącą ją z nimi więź. Prędzej czy później będzie musiała się tym zająć, ale jeszcze nie teraz, nie teraz.

Czysty ekran monitora zdawał się z niej drwić. Musiała go zapełnić. Z Tadem na kolanach, za pomocą klawiatury i myszki zaczęła tworzyć taki dom, do którego chciałyby zabrać chłopców w razie następnej choroby. Stałby w ustronnym miejscu, gdzieś na obrzeżach, może na trawiastym wzgórzu otoczonym sosnami, z wystającymi tu i ówdzie głazami, na które można by było się wspinać. Sylwetkę domu wyciągnęła optycznie w górę, dodała wysokie okna, ściany szczytowe i stromy, wielospadowy dach, taki jak na rezydencji. Coraz bardziej znużona, zaczęła dokładać swoje ulubione elementy, bo ich rysowanie nie wymagało takiej koncentracji.

Przeraziła się, patrząc na ekran, gdy Tad, wierząc się na kolanach, wyrwał ją z odrętwienia. Źle, wszystko źle. Gdzieś po drodze zgubiły się charakterystyczne cechy francuskiej posiadłości wiejskiej i wyszedł jej dom w stylu wiktoriańskim. Coś takiego na pewno nie przemówi do Weymouthów. Serce podeszło jej do gardła na myśl, że zmarnowała godzinę na bawieniu się projektem.

Dokładnie w tej samej chwili zgasł ekran monitora, wyłączył się telewizor i przestała działać klimatyzacja. Wszelkie odgłosy umilkły i w domu zaległa martwa cisza.

W panice zbiegła na parter z Tadem w ramionach, kurczowo trzymając się poręczy. Nie miała prawa potknąć się na schodach, nie z dzieckiem na rękach, nie z napiętym terminem na głowie.

Wyświetlacz termostatu w salonie był ciemny.

Przekonana, że za mocno podkręciła klimatyzację, posadziła Tada na kanapie obok Buddy'ego i pobiegła najpierw do kuchni, a potem do pralni szukać

skrzynki z bezpiecznikami.

– To nie korki – orzekła Samantha, wylaniając się z piwnicy w podkoszulku i w szortach. – To jakaś grubsza sprawa.

– Boże – jęknęła przerażona. – Nie mogę być bez prądu. U mnie w mieszkaniu takie rzeczy nigdy się nie działy.

Nie, chwila, raz się tak zdarzyło, w tamtą noc, gdy zginęli Jessica i Roy. Na to wspomnienie zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, o dziwo, wcale nie chłodząc przegrzanego ciała.

– Często macie tutaj takie awarie?

– A bo ja wiem. – Samantha wzruszyła ramionami. – Od dwudziestu lat tu nie mieszkam. Wtedy nie mieliśmy klimy. Może linia jest przeciążona?

– A Chip nie ma generatora.

Gdyby był, już by się automatycznie włączył. Generator jest nieodzowny. MacAfee zawsze uwzględnia generator w projektach. Nie mogła w to uwierzyć. To się nie mieści w głowie.

– Nanie, dlaczego nie gra telewizor? – zapytał Buddy.

Walcząc z paniką, przygarnęła go do siebie.

– Zaraz się dowiemy – pocieszyła go i z komórką w dłoni zaczęła przeglądać szafki kuchenne w poszukiwaniu numeru do pogotowia energetycznego. – Nie ma nawet jedenastej – mruzczała pod nosem, wstukując numer. – Jeszcze nie pora największego poboru. – Odezwał się automat. – A niech to! – Słuchała instrukcji z taśmy, cały czas mówiąc do siebie. – To pewnie jakaś rutynowa konserwacja, ale dlaczego wybrali akurat dzisiaj... – Zamilkła. – Nie, nie konserwacja; przerwa w dostawie prądu w całej dzielnicy, technicy w drodze. – Kiedy włączycie prąd? – wrzasnęła do słuchawki, jakby taśma mogła jej odpowiedzieć.

– Mama! – zapiszczał rozpaczliwie Tad. Zawsze tak wołał, kiedy chciał prawdziwą mamę, nie Jamie, tylko Jessicę.

Popędziła do salonu. Znalazła go na czworakach z buzią wtuloną w kanapę. Pewnie zasnął, a kiedy się obudził, półprzytomny, nie wiedział, gdzie jest, dokąd ma iść i co robić, żeby się uratować. Zupełnie jak ona.

Przytuliła go z całej siły. Prąd, komputer, praca, brak matki. To wszystko ją przerastało.

I wtedy usłyszała pukanie do drzwi.



## Rozdział 29



Na widok stojącej w drzwiach matki Jamie rozplakała się gwałtownie. Nie była w stanie zrobić kroku ani wydusić słowa. Stała w salonie, szlochając ponad głową Tada. Poczuła ulgę, dopiero gdy Caroline wzięła ją w ramiona i owionął ją dobrze znany wiosenny zapach ziemi.

– Och, moje maleństwo – wyszeptala matka w jej włosy, tak jak to zapamiętała z przeszłości. – Uspokój się. Wszystko będzie dobrze. Poradzisz sobie.

– Nie... wiem... jak.

Ona była rozbita, matka spokojna i opanowana.

– Zobaczysz. Zawsze wiedziałaś. Od dziecka intuicyjnie wiedziałaś, jak wszystko powinno działać i co robić, kiedy coś się zepsuje. Czy to nie ty pomogłaś mi się dźwignąć po rozwodzie z ojcem?

– Ja?

– Tak, ty. Dałaś mi powody do dumy. A teraz, sama zobacz, masz wspaniałego męża i cudownego synka, i jeszcze jednego cudownego synka, który w tej chwili tuli się do tamtej pani, najpewniej jego cioci, bo bardzo przypomina Chipa. Zresztą wiem od niego, że tu jest.

Od drzwi dobiegł je stłumiony śmiech Samantha.

– Dzwonił do ciebie? – spytała Jamie, zbyt zmęczona, żeby rozzłościć się na niego, jeżeli rzeczywiście to zrobił.

– Nie, ale przypuszczam, że w końcu by zadzwonił, gdybym nie przyszła z własnej woli. Jamie, to wszystko ciągnie się zbyt długo. Nie powinno między nami dochodzić do scysji. Szczególnie teraz, kiedy tak wiele się dzieje. Dziecko, nie miałam racji z twoim ślubem i nie chodzi o to, że był cichy, a ja chciałam dla ciebie dużego wesela. Zarzuciłam ci, że pochopnie dokonałaś wyboru. Nieprawda. To człowiek o złotym sercu. Wiesz, jak on się o ciebie martwi, zmagając się tam ze zgrają dzieciaków? – Krzywiąc się, odsunęła się od Jamie. – Czy tu jest tak gorąco, czy mi się wydaje?

– Jest – jęknęła Jamie.

Co prawda temperatura nie zdążyła jeszcze mocno wzrosnąć, ale zgrzana, z przyklejonym do niej Tadem, nie miała czym oddychać. W histerycznym tonie opowiedziała Caroline o awarii prądu. – Komputer nie działa, dzieciaki chore, ja jestem do tyłu z robotą...

– Ćśśś. Poczekaj. – Z władczo wyciągniętym palcem odwróciła się do zamkniętych teraz wejściowych drzwi. – Jestem Caroline, mama Jamie, nie wiem,

jak masz na imię...

– Samantha.

– Samantho, potrzebny mi telefon. Jest w torebce. Mogłabyś mi go podać?

Samantha kucnęła i szperała w torbie.

– Mamo, od kiedy ty nosisz torebki? – zdziwiła się Jamie.

– Niestety, w ubraniach odpowiednich dla członkiń zarządu nie ma kieszeni.

– Poglądziła Tada po policzku. – Cześć, maluszk! – zagruchała do niego i wzięła telefon od Samanthi. – No, hej, przystojniaku, jesteś na gwałt potrzebny u Jamie, na Beech 403. I zapakuj Tommy’ego Mello. – Uśmiechnęła się, potem cicho zachichotała. – Nie, ale pomyślę... Tak, natychmiast. – Rozłączyła się.

Przystojniaku? Chyba pierwszy raz słyszała takie słowo z ust matki. A ten ton? Taki radosny, czuły, niemal intymny.

– O co chodzi?

Caroline nie przestawała się uśmiechać.

– O przenośny generator i o to. – Wsunęła dłoń w dekolt wyciętej w szpic eleganckiej grantowej bluzki i wyciągnęła pierścionek.

Jamie momentalnie zapomniała o zmęczeniu, mdłościach i nieudanych projektach. To jej matka. Parę tygodni nieporozumień nie mogło przyćmić dwudziestu dziewięciu lat uwielbienia. Caroline, od zawsze jej najserdeczniejsza przyjaciółka, podjęła taką niesamowitą decyzję!

– O rany! Kiedy?

– Mniej więcej przed czterema godzinami. Oprócz mnie i Deana wiesz tylko ty. No i Samantha oraz chłopcy. Co prawda oni nie odróżniliby brylantów od pierścionka z kartonika z popcornem Cracker Jack, o ile te biedactwa kiedykolwiek widziały ten popcorn.

– Mogę powiedzieć Chipowi? – spytała Jamie.

To była jej pierwsza reakcja na tę wiadomość. Żałowała, że go tu nie ma, bo bardzo chciałaby, aby zobaczył, jaką wspaniałą osobą jest jej matka.

– Jasne. Ale nikomu więcej.

– Zaręczeni? – Jamie ufała Deanowi. Od dawna kochał Caroline, a ona tego nie widziała, pewnie dlatego, że jest miłość i MIŁOŚĆ, chociaż, jak się nad tym zastanowić, to jednak musiała być ta miłość pisana wielkimi literami. Matka na nią zasługiwała.

– Żadne zaręczeni – ostrzegła ją Caroline. – Na razie boję się tego słowa, dlatego pierścionek jest na łańcuszku.

Tad chciał złapać za pierścionek. Jamie już otwierała usta, żeby go powstrzymać, ale Caroline ją uprzedziła.

– Dziecko, nic się nie stanie. Łańcuszek się nie zerwie. – Poglądziła malca po głowie.

Jamie nie była pewna, czy to „dziecko” było do niej, czy do Tada, zresztą

bez znaczenia. Była szczęśliwa, że na powrót stała się dzieckiem swojej matki. Na powrót? To brzmiało, jakby ją wcześniej zdradziła.

– Kocham Chipa – wyznała. – Uwielbiam go. Jest mądry, wspiera mnie, przy nim czuję się szczęśliwa i kochana. Ale cieszę się, że tu jesteś.

– Hmm, czy to nie jedna z tych prawd, które musimy akceptować? – podchwyciła Caroline. – Nie jesteśmy z Chipem dla siebie konkurencją. Zaspokajamy różne potrzeby. Twoją przyszłością jest rodzina, którą z nim założyłaś. Ale jaka byłaby ze mnie matka, gdybym nie starała się ci pomóc, skoro wpędziłam cię w kłopoty tym krótkim terminem, kiedy po pierwsze, dopiero co wyszłaś za mąż, po drugie, masz w domu dwoje chorych dzieci, i po trzecie, wyłączyli ci prąd.

– Hej, czy ty mnie przedrzeźniasz? – To ona w rodzinie była specjalistką od wyliczanek.

– Nie. Po prostu organizuję myśli. Uczę się od ciebie.

Jamie poczuła, jak z powrotem ogarnia ją znużenie.

– Może nie powinnaś. Tkwię po uszy w kłopotach. Nie mogłybyśmy jakoś przesunąć tej prezentacji?

– Mogłybyśmy, ale czy musimy?

– Pokażę ci, co zrobiłam. Tragedia.

– Nieprawda – odezwała się Samantha, podchodząc do nich. – Nie jest tak źle.

– Coś, co jest tylko niezłe, nie zagwarantuje nam sukcesu w negocjacjach – podsumowała Jamie.

– Te projekty robią wrażenie – zaprotestowała Samantha.

Caroline spojrzała na zegarek.

– Do zebrania został cały dzień.

– Komputer nie działa, mam dwoje chorych dzieci i papkę w miejscu mózgu.

– Jesteśmy tu po to, żeby ci pomóc. – Caroline powiedziała to takim ciepłym tonem, że Jamie znowu wzruszenie chwyciło za gardło. – Przede wszystkim musisz się przespać. – Odgarnęła jej kosmyk z twarzy i przytuliła dłoń do policzka. – I tak nie możesz nic robić, dopóki przystojniak Dean nie przywiezie agregatu.

– Ale Tad...

– Zajmę się nim. – Caroline wyciągnęła ramiona do malca.

Jamie już miała ją uprzedzić, że on ma zły dzień i chce mamę, a nie Nanie, a tymczasem Tad bez protestów puścił jej szyję i wychylił się do Caroline. Wzięła go na ręce, poklepała Jamie po policzku i palcem wskazała na schody.

\*

Caroline powinna się denerwować. Nie była przyzwyczajona do wiszących nad głową terminów. Może przy pracach stolarskich taka presja nie była wskazana,

może miała szczęście do tolerancyjnych klientów, a może wywiązywała się ze zleceń szybciej, niż zakładano. Podobnie pracowało się przy *Gut It!* Inaczej wyglądały sprawy w zarządzaniu biznesem, gdzie poślizg jednego zebrania prowadził do kolizji z kolejną naradą i powstawał efekt domina. Tymczasem teraz, w domu na Beech 403, wyjmowała z zamrażarki zięcia lody i w tej chwili absolutnie nie chciałyby być w jakimś innym miejscu. Reakcja Tada chwyciła ją za serce. Tym razem nie pomyślała, że Roy musi się skręcać ze złości w zaświatach. Już nie zależało jej na zemście. Po prostu świetnie się czuła.

Rozpierała ją radość. Spotkanie z Chipem było mądrym posunięciem. Pomagając Jamie, pomagała sobie. Chciała być potrzebna. A tutaj była. Zapewnił ją o tym zięć, a widok ulgi na umęczonej twarzy Jamie tylko potwierdził jego słowa.

Wiedziała, jak rozwiązać problem braku prądu, potrafiła zająć się dziećmi. W takich sytuacjach przydawało się doświadczenie.

A Samantha? Hmm, interesująca osoba. Nie wydawała się ani onieśmielona, ani niechętnie nastawiona do pomocy Caroline. Wręcz przeciwnie, zdaje się, że była z niej zadowolona. Ciekawe, czy ten uwypuklający się brzusek to rezultat miłości do deserów lodowych z bitą śmietaną, czy może coś innego. Oczywiście nie zapyta, zdarzało jej się w przeszłości popełniać ten błąd. Zresztą czy to w tej chwili istotne, czy Samantha jest w ciąży? Tak samo jak Jamie nie miała pojęcia, czym karmi się dziecko, które wcześniej wymiotowało. Za radą Caroline przeszukała zamrażalnik i wyciągnęła stamtąd jeszcze jedno opakowanie sorbetu, a potem zrobiła chłopcom po grzance. Kiedy Caroline zapytała, czy Chip nie ma przypadkiem nadmuchiwanego basenu, pobiegła do garażu i tak długo w nim szperała, aż go w końcu znalazła.

Basen okazał się nieoceniony. Napęłniły go wodą z kranu na dworze. Nagrzana słońcem letnia woda fantastycznie chłodziła rozgrzane ciała. Chłopcy ochoczo wskoczyli do basenu i baraszkowali pod okiem Caroline, która na wszelki wypadek trzymała się blisko młodszego i mniej doświadczonego Tada. Obaj za mali, żeby dłużej bawić się razem, pluskali się w wodzie i nabierali jej do plastikowych pojemników, które znalazła w kuchni. Potem dała im słomki i nauczyła puszczać bańki mydlane. Nowa zabawa zajęła ich na jakiś czas.

Samantha przyniosła jej ogrodowe krzeselko.

– Nie możesz tak elegancko ubrana klęczeć na trawie.

Roześmiała się.

– Całe życie spędziłam, pracując na kolanach.

– Nie w telewizji. Wczoraj wieczorem obejrzałam kilka odcinków. Dobra jesteś. Obie jesteście dobre.

Nadarzyła się świetna okazja. Caroline nie zamierzała jej przepuścić.

– Czy, jak patrzyłaś... – zaczęła niby z namysłem – przeszkadzał ci mój

wiek? To, że jestem stara?

– Ty stara?

– Mogłabym być twoją matką.

– Ona jest stara. Ty nie.

Nie знаła matki Samantha, ale podejrzewała, że musiały być w podobnym wieku.

– Mówisz tak przez uprzejmość?

Samantha jakiś czas przyglądała się chłopcom.

– Wiesz – zaczęła, podnosząc głowę. – Właśnie się nad czymś zastanawiałam. Patrzyłam na ciebie w tym programie i nie rzucił mi się w oczy twój wiek. Ty mu nadajesz ton. Oczekuję od moich liderów, że będą ode mnie starsi.

Trafna uwaga, pomyślała Caroline.

– Dziękuję. Zgrabnie to ujęłaś. Ja też się w tej chwili nad czymś zastanawiam. – Wzięła Samantha za ramię i posadziła ją na krzeselku. – Popilnowałabys chłopców? Muszę zadzwonić w parę miejsc. Chcę przełożyć kilka zebrań.

– Możesz spokojnie na nie pojechać. Pomogę Jamie.

Nie chodziło tylko o Jamie. Miesiąc temu Caroline była jedynie matką i czyjąś tam koleżanką. Nagle została teściową, babką i ważną osobą. Bez trudu odnajdywała się w nowej sytuacji, lecz jak zawsze, tak i teraz najbardziej ceniła sobie działanie.

– Nie, chcę tu zostać. Zebrania mogą poczekać.

\*

Zaczęła od Deana, bo chciała go usłyszeć. Podniesiona na duchu jego głosem i wiadomością, że już jest w drodze, zadzwoniła do Thea. Wysłuchał jej wyjaśnień, a na koniec, nieco zniecierpliwiony, zapytał, kiedy zamierza zjawić się w biurze. Skontaktowała się z Fredem; obiecał, że zostanie w banku tak długo, jak będzie potrzebowała. Zadzwoniła do Dany. Oczywiście wykręciła się od przyjazdu. Niewielka strata, zawiadomiła ją z czysto formalnych względów. To Linda należała do jej drużyny i z nią też się skontaktowała. Kiedy poznała rozkład jej dnia, zadzwoniła do Brada i przesunęła spotkanie całej trójki na późniejszą godzinę.

\*

Jamie, zastąpiona przez Caroline, momentalnie zasnęła. Zbudziła się dopiero, gdy coś, co poślaskotało ją w policzek, przesunęło się na usta.

Chip – pomyślała sennie.

Nie otwierając oczu, z pomrukiem rozkoszy, zarzuciła mu ramiona na szyję. Dopiero w następnej sekundzie dotarło do niej, skąd ta duchota w pokoju i czemu

leży na łóżku w środku dnia.

– O rany. – Uniosła powieki. – Ta cisza źle wróży.

– Za parę minut ruszy klima.

– Przyjechało pogotowie energetyczne? – zapytała z ostrożną nadzieją.

– Nie, Dean. Z dwoma fachowcami. Podłączają generator.

Dean, Caroline, Przystojniak, przypomniała sobie.

– Wiesz, że mama dostała od niego pierścionek? Zaklina się, że nie są zaręczeni. Może ludzie po pięćdziesiątce jakoś inaczej to nazywają. – Widok jego wzburzonych włosów i lśniącej od potu śniadej twarzy uświadomił jej, gdzie on w tej chwili powinien być. – Dlaczego tu jesteś?

– Zawody skończyły się o dwunastej. Dzieci się rozeszły, to i ja się zwinąłem.

– A rada pedagogiczna?

– Obejdą się beze mnie. Tutaj jestem bardziej potrzebny. Twoja mama nie może siedzieć u nas cały dzień. Zebrania są ważniejsze.

Na wspomnienie o zebraniach nerwowy skurcz zacisnął jej żołądek.

– Muszę z nią porozmawiać. Lepiej, jak przed tymi zebraniem obejrzy to, co zrobiłam. – Spróbowała się wysunąć z jego objęć. – Chip, puść mnie.

– Jesteś taka ładna.

Przyglądał się Jamie, bawiąc się pasemkiem jej włosów.

– Wyglądam okropnie. – A jednak ta odrobina snu dobrze jej zrobiła. – Jak chłopcy? – spytała, dotykając jego ust, żeby przedłużyć tę chwilę.

– Lepiej – westchnął, owiewając oddechem jej palce. – Twoja mama dała im do picia rozrzedzoną owocową galaretkę. Domagają się ciastek.

– A Samantha?

– Nie chce ciastek. Siedzi z monterami i wypytuje ich o ten generator. To cudo zostanie u nas na stałe.

– Oj, nie, Chip. Nie sędzę. – Przesunęła dłoń na jego szyję. – Taki generator montowany na stałe trzeba wcześniej zamówić.

– Też tak mi się wydawało. Dean twierdzi, że mają szczególne układy z producentem, bo dużo ich kupują.

– Instalacja jest skomplikowana i zajmuje cały dzień.

Chip zrobił zadowoloną minę.

– Nie, kiedy masz trzech fachowców, którzy znają się na robocie. Dean uznał, że lepiej pomyśleć o rozwiązaniu na stałe, zamiast marnować czas na prowizorki.

– A co ty na to? – Wkraczali w tej rozmowie na nowe terytorium.

– W jakim sensie?

– To twój dom. Do ciebie należy decyzja, nie do Deana.

Roześmiał się.

– Twoja mama musiała tak samo myśleć, bo zaznaczyła, że to prezent ślubny. A w czym mi przeszkadza generator? No i to nie jest mój dom, tylko nasz, i wierzę w umiejętności ludzi twojej mamy. – Jakby na poparcie tych słów dom wypełniło ciche buczenie. – Jamie, ona jest niesamowita. Cieszę się, że tu jest, i nie chodzi mi o opiekę nad dziećmi. Mam na myśli rodzinę. Może moja siostra jest trochę zarozumiała, ale ma gołębie serce. A Caroline jest taka przedsiębiorcza i poukładana. Imponuje mi jej opanowanie.

Myśl o pracy ściągnęła Jamie na ziemię.

– Pewnie nie będzie taka opanowana, jak obejrzy to, co zrobiłam.

\*

Caroline nie wiedziała, czego się może spodziewać. Widziała, że jej zawsze taka profesjonalna córka jest roztrzęsiona. Jej niepokój sięgnął zenitu, kiedy Jamie skończyła zarzucać ją pytaniami o rzeźbę terenu i niezbędne decyzje marketingowe oraz opisywać, jak wyglądałyby te projekty, gdyby mogła poświęcić im więcej czasu.

Chwilę później stanęła za Jamie i wpatrzona w monitor, w milczeniu oglądała kolejne projekty.

– Ty mała szachrajko – odezwała się cicho, gdy już mniej więcej miała pojęcie, jak może prezentować się całość.

– Takie fatalne? – Jamie podniosła na nią przerażone oczy.

Caroline posłała jej karcące spojrzenie i odwróciła się do Samantha, która zaglądała w monitor zza ramienia Jamie.

– Fatalne? – spytała.

– Świetne.

– Też tak uważam – przytaknęła Caroline. – Te proste elementy, które nałożyłaś na elewację rezydencji, dają bardzo ciekawy efekt. Szczegółowy projekt holu sugeruje, jak elegancko mogą wyglądać wejścia do poszczególnych mieszkań.

– Gestem ręki dała znak Jamie, żeby przewinęła projekty. – Podjazd do frontowego wejścia ma charakter, wozownie na tyłach są urocze, a tamten dom... – Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Wolno stojący dom od zera zaprojektowany przez Jamie łudząco przypominał podmiejski dom Deana, oczywiście po gruntownym remoncie. Nie przyznała się Deanowi, że widzi w tym jego dworku spory potencjał.

– On zdaje się zapraszać do wejścia.

– W zestawieniu z rezydencją wygląda bardzo nowocześnie – zauważyła Samantha. – Do jakiej grupy wiekowej adresowana jest ta oferta?

Jamie spojrzała pytająco na Caroline, a ta bez słowa sięgnęła po telefon. Sekundę później połączyła się z Lindą, która natychmiast wsiadła w samochód. Przed jej przyjazdem Caroline ponownie obejrzała projekty i we trójkę sporządziły listę pytań do agentki.

Przez następną godzinę, gdy Tad spał, a Buddy bawił się pod okiem Chipa, cztery kobiety w mile wychłodzonym domu omawiały projekty z punktu widzenia klientów, skupiając się na demografii, kosztach i modnych trendach. Zastanawiały się też nad taktyką, jaką przedstawiciele MacAfee powinni przyjąć podczas rozmowy z Weymouthami. Zgodnie z planem Caroline Jamie przed wyjazdem Lindy wiedziała, jakie poprawki powinna nanieść na jutrzejszą prezentację.

Caroline zostawiła ją przy komputerze i poszła do kuchni porozmawiać z Samanthą.

– Kupiłabyś dom w tej lokalizacji?

– Gdyby mnie było na to stać.

– Nie przeszkadzałoby ci, że masz sąsiadów, których dzieci już wyfrunęły z gniazda?

– Znaczą sporo starszych ode mnie? – Samantha wzięła do ust krakersa i podsunęła opakowanie Caroline, a ona podziękowała, kręcąc głową. – Nie, nie przeszkadza mi towarzystwo starszych ludzi. Zastępują rodzinę, kiedy własna jest daleko.

– A jeżeli nie odpowiadałaby im obecność dzieci?

– Martwisz się, że takich argumentów mogą użyć Weymouthowie?

– Kto wie.

– Oni nie mają dzieci?

– Mają, dorosłe. – Mówiąc to, Caroline wyjęła telefon i wybrała numer Herschela Oakesa. Minutę później miała już istotną informację. – Wszyscy razem? Siedmioro wnuków?

– Rodzina buduje – podsunęła Samantha. – To powinien być motyw przewodni przekazu marketingowego.

Caroline uśmiechnęła się nieco speszona.

– No, jasne. Czemu wcześniej nie przyszło mi to do głowy?

– Może jesteś za blisko tych projektów, poza tym nie zajmujesz się marketingiem. Interesują cię domy. – Wsunęła do ust następnego krakersa i żując go, kontynuowała: – Kiedy dorastałam, Williston leżało na rubieżach metropolii bostońskiej. Teraz wszystko się zmieniło. Z tego, co mówiła agentka, wynika, że ceny domów są porównywalne z tymi na przedmieściach Bostonu. Jakość życia stanowi rekompensatę za dłuższy czas dojazdu do pracy. Tak, bez namysłu kupiłabym tutaj dom. – Podniosła oczy na Caroline. – Spodziewam się dziecka.

I nie mam męża, dopowiedziało jej prowokacyjne spojrzenie.

Chyba sprawdzała, czy Caroline ją skrytykuje. A ta wcale nie miała takiego zamiaru. Polubiła Samanthę. Intuicja jej podpowiadała, że ma przed sobą silną kobietę, w której Jamie znajdzie przyjaciółkę. Po co narażać na ryzyko rodzące się relacje.

– Tak mi się wydawało – zauważyła zamyślona.



Samantha dotknęła brzucha.

– Osiemnasty tydzień. Rodzice nie wiedzą.

Caroline w ostatniej chwili ugryzła się w język. Po namyśle postanowiła uciec się do własnego przykładu.

– My z Jamie jesteśmy bardzo blisko – zaczęła, podnosząc w górę dwa palce – ale ostatnio doszło między nami do scysji.

– Wspominała, że nie rozmawiałyście ze sobą.

– Nie rozmawiałyśmy. Poszło o brak zaufania, a raczej szczerości. To było niemądre i rujnujące. Im dłużej trwa takie milczenie, tym trudniej się potem przełamać. Samantha, nie popełnij tego samego błędu.

– Już się stało – wyznała płaczliwie.

– Więc jak najszybciej postaraj się go naprawić. Sama zobacz, w tych naszych rozmowach kilkakrotnie wspomniałaś o bliskich. Myślisz o nich.

Samantha, zadumana, żuła krakersa.

– W mojej rodzinie zawsze trzymaliśmy się razem – odezwała się po chwili.

– Mogę liczyć na ich emocjonalne wsparcie. Rodzina buduje. To dobry slogan reklamowy. Taka trochę skromniejsza wersja twojej propozycji „Pierwszy własny dom”.

Caroline pomyślała, że dziewczyna dobrze mówi. Była przedstawicielką młodszej grupy docelowej. Jeżeli ten slogan przemawia do niej, spodoba się również trzem braciom, których dzieci musiały być mniej więcej w jej wieku. Doszła do wniosku, że ktoś tak elokwentny i bezpośredni jak Samantha, i jeszcze do tego ze znajomością marketingu, mógłby zrobić wrażenie na Weymouthach.

– Chciałabym, żebyś wzięła udział w tym spotkaniu – zdecydowała bez wahania. – Pojechałabyś z nami?

\*

Gdyby przewaga liczebna miała znaczenie, MacAfee bez trudu wyszliby z negocjacji zwycięsko. Grupie przewodził Theo. Caroline, wystrojona w jeden ze swoich nowych, eleganckich zestawów, zajęła miejsce przy teściu, a obok niej usiadł jak zwykle swobodnie ubrany Dean. Była zdumiona, że Jamie pomimo braku snu wyglądał tak ładnie i świeżo. Samantha nałożyła białą dopasowaną bluzkę, wyrzuconą na wierzch na wąską spódnicę; strój, który zgodnie z nowojorską modą celowo podkreślał wypukły brzusek, a w tym wypadku był to sprytny chwyt marketingowy. Caroline, patrząc na swój zespół, uznała, że prezentuje się dynamicznie i nowoczesnie. Oczywiście Samantha nie pracowała w MacAfee, podobnie jak siedzący nieco na uboczu, wysportowany i bosko przystojny Chip, który zabrał się z nimi, podobno dla moralnego wsparcia. Annie Ahl i Linda dojechały z miasta. Był też Brad, wyraźnie skrepowany w ich towarzystwie.

Po stronie Weymouthów stawili się jedynie: John, znany chirurg plastyczny, sam po licznych zabiegach korekcyjnych, oraz Herschel Oakes, prawnik sympatyzujący z Caroline. Ralph pozostał w San Francisco i połączył się z nimi przez Skype'a, a Grant przez telefon głośnomówiący z Santa Fe.

Niestety, posiadłość należała do braci, i to oni rozdawali karty. Nastawieni nieufnie od samego początku spotkania, odnosili się sceptycznie do projektów Jamie, fachowej wiedzy Lindy oraz sloganu Samantha „Rodzina buduje”. Wypytywali Deana, czy jego ekologiczne instalacje nie są przypadkiem jedynie chwytem marketingowym, i chcieli wiedzieć, czy Annie w swoim planie ukształtowania zieleni na pewno uwzględniła zachowanie starych dereni ich matki. Ralph zastanawiał się, czy Barthowie, którzy, jak twierdzili, planowali połączyć się z Sotheby's, nie byłoby bezpieczniejszym wyborem, i przy okazji zapytał, dlaczego Theo, który nadal rządzi firmą, nie odzywa się słowem i jaką rolę zamierza odgrywać w przyszłości. John z góry zastrzegł, że nie życzy sobie marketingu w sieci, bo nie chce, aby w Google wyświetlało się jego nazwisko. Linda wyjaśniła, że na stronach URL widnieje jedynie adres, a Samantha, która rano odrobiła lekcje, podkreśliła, że dziewięciu na dziesięciu potencjalnych kupujących prędzej czy później przegląda oferty domów w Internecie, a pięćdziesiąt dwa procent wskazuje sieć jako pierwsze źródło informacji.

Kiedy Weymouthom powoli kończyły się argumenty, Ralph zaatakował Chipa. Chciał wiedzieć, w jakim charakterze znalazł się w zespole.

– Jeżeli sądzisz, że znajomość z moim synem wpłynie pozytywnie na moją decyzję, to się pomyliłeś. Zawiodłeś swoich kolegów z drużyny na Harvardzie i zepsułeś sobie reputację. Wolałbym, żebyś nie brał udziału w negocjacjach.

Chip uniósł dłoń w pełnym szacunku geście.

– Jestem tu jako kierowca.

Jamie nie wytrzymała.

– To mój mąż. Przyjechał, żeby mnie wspierać.

– Chip nie pracuje w MacAfee, jednak gdybyśmy mieli wolny etat, zatrudnilibyśmy go bez wahania – włączyła się czym prędzej Caroline w strachu, że Jamie na tym nie skończy i palnie coś obraźliwego dla Ralpa.

– Popieram – odezwał się Dean. – Moi podwykonawcy nie mogą się Chipa nachwalić. Ma wspaniałe podejście do dzieci.

– Jesteście stronniczy – wytknął im Ralph.

– Jeśli mogę – odezwał się John. – Też dobrze o nim słyszałem od jednej z moich pacjentek. Jej dzieci chodzą do Emory Elementary.

To stwierdzenie dało początek ożywionej dyskusji pomiędzy braćmi. Co prawda zaczęli od poziomu lokalnych szkół, lecz szybko przeszli do sporu o przyszły wygląd posiadłości. Czy rezydencja nie powinna stanowić pierwowzoru dla nowo stawianych domów? Czy podjazd w kształcie zaproponowanym przez

Jamie jest praktycznym rozwiązaniem i czy przypadkiem nie będzie wyglądać pretensjonalnie? A ojciec? Pewnie przewraca się w grobie, jak słyszy, że kort tenisowy ma powstać kosztem pola golfowego.

Caroline była zniesmaczona uwagami Ralpha na temat Chipa. Kiedy bracia zaczęli wysuwać sugestie dotyczące warunków sprzedaży, obstając przy cenie półtora miliona dolarów za wolno stojące domy na nie większych niż dwuakrowe działkach, zaczęła wątpić, czy dalsza rozmowa z tymi ludźmi w ogóle ma sens. Właśnie wtedy Brad podsunął jej karteczkę.

Pozerzy. Wiedzą, że muszą sprzedać. Dajmy im się wygadać. Gdy opadną emocje i zgodzą się na transakcję, będę negocjował z Oakesem.

Była mu wdzięczna za wsparcie. Prawdę mówiąc, była zadowolona, że w ogóle się stawił. Fakt, obsługa prawna w takich sytuacjach należała do jego obowiązków, lecz był na wylocie i mógł się wymówić wizytą u dentysty albo bólem głowy czy znaleźć jeszcze inny powód. Brad nie należał do ludzi uczuciowych, lecz widok byłej narzeczonej w towarzystwie męża na pewno nie sprawiał mu przyjemności. Caroline, która swego czasu niechętnie patrzyła na związek Jamie z Bradem, teraz poczuła do niego sympatię.

Doba?! – Wyrwał ją z rozmyślań podniesiony głos Ralpha. – To śmieszne! Niemożliwe, abyśmy przeanalizowali konkurencyjne oferty w ciągu doby. Nie ma na to zgody.

Caroline wiedziała, co powinna na to odpowiedzieć, a jednak się zawahała. Ralph był najbardziej zawzięty z całej trójki. Obserwowała go podczas prezentacji, no i miała w pamięci tamto pytanie o przyszłą rolę Thea. Ten człowiek lekcewał kobiety. Tu nie wiek był problemem, tylko płeć. Mogłaby się postawić, podnieść głos, potraktować go z góry, jednak dostatecznie długo miała do czynienia z mężczyznami, aby wiedzieć, że takie zachowanie często przynosi skutki odwrotne do zamierzonych. Poniedziałkowe spotkanie z Herschelem okazało się owocne, bo łączyły ich dawne czasy. Z Ralphem nic jej nie łączyło. Intuicja jej podpowiadała, że Ralph powinien usłyszeć odpowiedź z ust kogoś, kto nosi spodnie.

Wskazała na Brada, wodząc palcami po kartce z jego sugestią.

Nawet nie założył okularów, żeby spojrzeć w leżące na stole notatki.

– Nasza oferta jest ważna dobę – oznajmił charakterystycznym dla siebie opanowanym tonem, patrząc prosto w oczy Ralpha na ekranie monitora. – Jesteśmy gotowi zapłacić odpowiednio więcej za rezygnację z przetargu...

– MacAfee nie jest jedynym graczem na rynku.

– Nie, ale dajemy gwarancję jakości. Poparliśmy to argumentami. Jeżeli się zgodzicie, szybko dojdziemy do porozumienia. W innym wypadku nasza oferta ulega zmianie.

Blefował. Caroline postąpiłaby tak samo, pewnie z mniejszą szansą na

sukces. Niestety, takie twarde stanowisko, nawet reprezentowane przez mężczyznę, może doprowadzić do zerwania negocjacji. Ciekawe, czy Theo się denerwuje. Nawet gdyby mogła na niego spojrzeć, i tak niczego nie wyczytałaby z jego twarzy. Och, jak bardzo w tej chwili przydałoby jej się wsparcie Deana. Na sekundę uciekła myślami do swojego stolarstwa; jakież tam wszystko jest proste! Najtrudniejsze decyzje sprowadzają się do wyboru pomiędzy dębiną i palisandrem.

Objęła spojrzeniem ludzi siedzących przy stole. Zależało jej, żeby razem stworzyli coś, co było warte stawiania czoła wyzwaniom. Tak, ryzykowali z tym dwudziestoczterogodzinnym terminem. Jednak należało kuć żelazo, dopóki gorące, bo konkurencja w branży była duża.

Pozostawała jeszcze jej prywatna rozgrywka z *Gut It!* Po to dążyła do szybkiego spotkania z Weymouthami, żeby mieć w zanadrzu argumenty na zebranie z Claire i Brianem. Jednak zanim do niego dojdzie, musi poważnie porozmawiać z Jamie.

\*

Paluszki z kurczaka, sajgonki, wołowina z brokułami, kurczak z groszkiem, krewetki kung pao, ryż biały, ryż brązowy i ryż smażony – Caroline zastawiła stół w jadalni pojemnikami z daniami na wynos, zanim Jamie z Chipem zdążyli przywieźć dzieci. Samantha z nimi nie przyjechała. Ledwo opuścili centrum Bostonu, gdy oznajmiła, że się pakuje i jedzie na północ.

– Kiedy? – spytała rozczarowana Jamie, bo Samantha jako członek ich drużyny powinna wziąć udział w radosnej kolacji. Właściwie nie bardzo mieli co świętować, bo po ultimatum Brada głos zabrał milczący dotąd Herschel Oakes.

– Musimy przedyskutować sporo spraw – powiedział do braci, po czym wstając, zwrócił się do Caroline: – Myślę, że mamy już wszelkie niezbędne informacje. Dziękuję za spotkanie. A teraz, jeśli państwo wybaczą...

Niezbyt optymistyczny komunikat kończący zebranie. Caroline zdawała się podzielać te obawy. Jednak potem w windzie, pochylając się ku pozostałym, cicho spekulowała:

– Hersch celowo tak ostro zagrał, bo chciał pokazać braciom, że kontroluje sytuację. Nie wiemy, jak ich rozmowa będzie wyglądać w zaciszu gabinetu.

Nie, tego nie mogli przewidzieć. I to było dołujące. A teraz Samantha... Jamie cieszyła się, że miała okazję poznać szwagierkę, nie mówiąc już o jej wsparciu na zebraniu. Co więcej, widziała, że Chip też jest zadowolony. Dwa dni to za krótko.

– Muszę tam dotrzeć, zanim puszczą mi nerwy. Albo zasnę za kierownicą – padło wyjaśnienie Samantha z tylnego siedzenia. – Uściskasz chłopców ode mnie? – Pochylając się, dotknęła ramienia Jamie. – Powiedz im, że niedługo znowu przyjadę.

– A przyjedziesz? – zapytał Chip ostrzej, niż Jamie by sobie tego życzyła. Samantha musiała podobnie pomyśleć.

– Nie zachowuj się jak jakiś zgred.

– Nie zachowuję się. – Rzucił jej spojrzenie we wstecznym lusterku. – Jestem twoim bratem i mówię serio. Chciałbym cię częściej widywać.

– Chcielibyśmy – poprawiła go Jamie, odwracając się do Samanthi. – Wiesz, że wolny pokój czeka. To twój dom.

– Oj, coś mi się zdaje, że mnie tu chcecie, kiedy się zjawią rodzice. – Wygięła usta w niesymetrycznym uśmiechu, zupełnie jak jej brat.

– To też – odparła Jamie.

Miała w Samancie sojuszniczkę i żałowała, że nie może pojechać z nią na północ, żeby ją wesprzeć.

Życie jest krótkie, dobrze trzymać się blisko z rodziną. Oczekali, aż Samantha odjedzie, odebrali chłopców i prosto ze złością popędzili do Caroline. Jamie, zbyt zmęczona, żeby wcześniej pomyśleć o jedzeniu, nagle poczuła głód.

Tad najwyraźniej doszedł już do siebie. Caroline na wszelki wypadek kupiła banany i piure jabłkowe, tymczasem on, siedząc na kolanach u Jamie, paluszkami wkładał do buzi brokuły i ryż. Naturalnie większość ziarenek lądowała na jej udach i na podłodze. Champ zlizywał ryż z podłogi, a Jamie przed jedzeniem przewidująco przebrała się w szorty.

Jamie nie bardzo się przejmowała brakiem telefonu od Herschela. Podejrzewała, że jeżeli Weymouthowie podjęli decyzję, to przy ich niechętnym nastawieniu przyjdzie na nią poczekać do ostatniej chwili. Powinna się denerwować, a jednak była spokojna. Być może sprawiło to Chardonnay, które Caroline otworzyła do obiadu, a może zmęczenie po nieprzespanych dwóch nocach. Miała tę prezentację za sobą. Czuła ulgę i zadowolenie pomieszane z satysfakcją.

Kiedy przechodziła z brudnymi talerzami przez drzwi z metalowej siatki, przypomniała sobie swoją małą rodzinę i marzenie z dzieciństwa o dużej rodzinie, jaką chciałyby mieć. To marzenie się spełniało. Pomyślała, że obiektywnie patrząc, powodzenie transakcji z Weymouthami nie było najważniejsze. Liczył się wspólny wysiłek, a ona naprawdę stanęła na wysokości zadania, zwłaszcza że miała tak niewiele czasu. Liczyło się zdrowie. Chłopcy doszli już do siebie i wróciła im chęć do zabawy. Liczyła się miłość. Caroline miała Deana, który w tej chwili na podwórku, na czworakach machając łopatką, coś tam tworzył dla małych urwisów. I był Chip, jej Chip. On też został na dworze. Zajął chłopców grą w piłkę, żeby ona miała szansę pobyć sam na sam z Caroline. Gdyby już wcześniej nie była w nim nieprzytomnie zakochana, to po tym gościu przepadłaby z kretesem.

Przyglądała się, jak Caroline wciera w dłonie krem przed nałożeniem gumowych rękawiczek. Znad gorącej wody w zlewozmywaku uniósł się zapach

drewna i wiosny.

– Co do *Gut It!*... – zaczęła Jamie, stawiając stos talerzy na blacie.

– Co do *Gut It!*...

Jamie nie pozwoliła jej dokończyć.

– Musisz uwierzyć, że ta zamiana nie była moim pomysłem.

– Wiem, dziecko – przyznała Caroline z uśmiechem, wstawiając pokryte pianą talerze do drugiej komory zlewu. – Chyba od początku o tym wiedziałam, ale byłam rozgoryczona. Gniew jest jak gęsta chmura, która wszystko przesłania. Już mi przeszło. O wiele lepiej się czuję.

– Dzięki Deanowi?

– Tak. I dzięki Theo.

Zaledwie przed dwoma dniami zgodziła się w imieniu dziadka przekonać Caroline do przejścia po nim fotela prezesa. Nie zajęła się tym; miała inne sprawy na głowie. Patrzyła teraz na matkę. Pasowała do tej roli. Odrobina różu na policzkach, rzęsy pociągnięte tuszem, włosy starannie zwinięte w kok u nasady szyi. Nawet w tych pokrytych pianą, jaskrawo zielonych, sięgających łokci rękawicach wyglądała elegancko. Jamie czuła się przy niej jak kopciuszek.

Zdjęła z wieszaka ścierkę i wycierała naczynia, opłukiwane przez Caroline.

– Zastąpisz Thea?

Caroline przyłożyła do piersi wierzch dłoni w gumowej rękawiczce. Jamie sądziła, że chciała wyciszyć przyspieszone bicie serca. Wcale nie, ona przyciskała pierścionek. Najwyraźniej to jej pomagało. Dean jej pomagał.

– Przyznam, że to mnie kusi – odezwała się w końcu. – Jednak jeśli sądzisz, że się nie boję, to się mylisz.

– Poradzisz sobie.

Jamie była o tym przekonana. Przypomniała jej się rozmowa z ojcem na krótko przed jego śmiercią. Ona jest tylko stolarzem, powiedział lekceważąco o Caroline. Jeżeli ona jest tylko stolarzem, to ty jesteś zwykłym akwizytorem, odpaliła mu wtedy. Oczywiście, ani jedno, ani drugie nie było prawdą. Z podziwem patrzyła, jak matka zręcznie sterowała przebiegiem dzisiejszego spotkania.

– Przecież robisz to od śmierci ojca. I wracasz do domu, do Deana.

– Szczerze mówiąc, najpierw wracam do mojego garażu, dopiero potem do Deana. Jestem stolarzem, skarbie. To tam się czuję w swoim żywiole. Lubię pracę fizyczną. Muszę coś tworzyć. To mi pomaga uporządkować myśli. Uspokaja mnie.

– Opłukała kilka talerzy. – Twój ojciec za wcześnie zmarł. Kiedy ktoś, tak jak Claire mi wytyka, że się starzeję...

– Nie miała racji.

– Nie do końca. – Opłukała z piany kolejny talerz. – Nie uważam, abym była za stara na prowadzenie *Gut It!*, niemniej przybywa mi lat. Wszyscy zmierzamy w tym samym kierunku. Zobacz, co się stało z twoim ojcem. To była dla mnie

lekcja. – Podała jej mokry talerz i oparła się nadgarstkami o krawędź zlewu. – Jest wiele rzeczy oprócz prowadzenia programu, które chcę robić – wyznała, odwracając się do Jamie. – Ot, chociażby to – wskazała podbródkiem rząd pojemników po daniach na wynos na blacie. – Chcę pomagać Deanowi przy przebudowie tamtego domu, spędzać czas z twoją rodziną, wybrać się z tobą do SPA Canyon Ranch. A także pomagać Theo. Wszystko, co robię dla firmy, sprawia mi satysfakcję. To mnie zaskoczyło i dlatego chcę bardziej się włączyć w zarządzanie MacAfee Homes.

To była chwila prawdy dla Jamie. Jeżeli Caroline nie znajdzie czasu na prowadzenie *Gut It!*, będą mieć duży kłopot. Ona w tej chwili nie mogła brać na siebie dodatkowych obciążeń.

– Mamo, ja... ja...

– Wiem. To dla ciebie nieodpowiedni czas.

– Claire musi szybko dostać odpowiedź.

– Niewątpliwie – zgodziła się Caroline, z uwagą patrząc jej w twarz. – U ciebie na pierwszym miejscu jest teraz rodzina. Tak powinno być. Dla mnie to jeden z powodów pozytywnych zmian w moim życiu. I dodatkowe zajęcie. Ty nie masz czasu. Ja go nie mam. Która z nas w tej chwili jest mniej zajęta?

Ty, cisnęło Jamie się na usta, ale w porę ugryzła się w język. Zarówno jej życie, jak i życie matki zmieniło się radykalnie w tamtej chwili, gdy drzewo przygniotło samochód ojca. Jeżeli respektowała zmiany w życiu Caroline, musiała być szczerą.

– Nie wiem.

Caroline wiedziała.

– Ja, skarbie. Nie mam dzieci. Nie mam nowej rodziny, w której się muszę odnaleźć. Ty potrzebujesz czasu na okrzepnięcie w nowej sytuacji. Wszystko powoli się poukłada. Na razie poprowadzę program i wycofam się, jak tylko będziesz gotowa.

Dobry plan z jedną zasadniczą wadą.

– A Claire się na to zgodzi?

– Tak, jeżeli zdobędziemy parcelę Weymouthów.

## Epilog



Od paru godzin nie padało i niebo rozjaśniło popołudniowe słońce. Świeciło słabiej, niż Jamie by sobie życzyła, ale i tak nie miała prawa narzekać. W zachodnim oknie jej nowej kuchni drzewa kapały się w pomarańczowej poświacie, a suchy czerwcowy wiatr pędził resztki ołowianych chmur na wschód.

Co czuła, gdy stała przy nowym kuchennym blacie z piaskowego granitu z czerwonymi i szarymi żyłkami, praktycznym wyborem ze względu na ślady dziecięcych łapek? Na pewno radość z poprawy pogody. I niepokój, czy sprawdzi się jako kucharka.

Pierwszy raz zaprosili gości do swojego nowego dworkowego domu, wcześniej własności Deana. Tego samego, na który Caroline z początku patrzyła niechętnie, a potem pomagała go adaptować. Zanim jeszcze skończyli przebudowę, Dean kupił posesję tuż obok turkusowego wiktoriańskiego domku Caroline. Rozwiązanie okazało się idealne. Zgodnie uznali, że dojrzały ludzie potrzebują nieco własnej przestrzeni, a ona przestała narzekać, że ciąga obecność psa stresuje jej koty.

Dla Jamie i Chipa ta sytuacja też była korzystna. Myśląc o powiększeniu rodziny w przyszłości i licząc się z częstymi odwiedzinami rodziców Chipa, chcieli mieć więcej przestrzeni. W tym domu było jej mnóstwo. A czy to nie Jamie wyrysowała plany, według których Dean później dokonał demolki, a potem gruntownej przebudowy? Czy to nie tamten dom widziała w marzeniach, kiedy zmagiała się z projektami na prezentację dla Weymouthów?

Odkupili dworek od Deana, a Samancie oddali dom po rodzicach. W tej chwili Samantha, jej ośmiomiesięczna córka Maisie, Caroline i Dean, rodzice Chipa, Helen i Donald, oraz Theo i chłopcy relaksowali się na dworze, gdy ona w kuchni walczyła z trzecią porcją dressingu, bo dwie pierwsze poszły do zlewu.

Kiedy Chip wyrósł za jej ramieniem, podsunęła mu łyżkę.

– Nie za słodki?

Sama zrobiła sałatkę coleslaw. No może nie do końca sama. Jedynie sos. Kapusta była z woreczka – czy to ważne, kto ją pokroił? – ale sos miał być jej. Rzucenie hamburgerów i parówek na grill nie wymagało wysiłku myślowego, a dosmakowanie dressingu już tak. Na wszelki wypadek miała w zapasie butelkę gotowca. Uparła się, że sos będzie domowy, tymczasem sączący się do kuchni zapach skwierczących burgerów sprawiał, że z nerwów trzęsły jej się ręce.

Chip skosztował sosu, oblizał usta i obdarzył ją uśmiechem, który na pewno



by ją rozproszył, gdyby nie była tak przejęta.

– Ummm, dobry.

– Ma być doskonały.

– Jest doskonały.

– Pocieszasz mnie.

– Nie, naprawdę. Wszystko robisz doskonale.

– Mówisz tak, bo rzadko cokolwiek przyrządzam, i cieszysz się, że jednak czasami coś robię?

Przewrócił oczami, przygarnął ją do siebie i cmoknął w pieg.

– Mówię tak, ponieważ rok po ślubie jestem tak samo w tobie zakochany, bo gotujesz lepiej, niż ci się wydaje, a ten sos naprawdę ci wyszedł.

– Taak? – A jednak ją rozproszył. Ona też była w nim tak samo zakochana jak przed rokiem.

– Taak. Pomieszaj go. Ale najpierw...

Wycisnął na jej ustach namiętny pocałunek. Nawet po roku jego pocałunki tak samo ją elektryzowały. Za każdym razem.

– Poza tym – wymruczał, nie odrywając ust od jej warg – nikt z tu obecnych nie jest tak wybredny jak ty.

– A twoja mama? – Odsunęła się od niego. – Zobacz, co przywiozła – trzy pojemniczki z zamrożonymi daniami, a na dzisiaj fasolkę po bretońsku, sałatkę z makaronem oraz czekoladowe ciasto z orzechami. I wszystko domowej roboty.

– Uwielbia gotować. To jej hobby. I w przeciwieństwie do ciebie ma dużo czasu.

– Mamuś! – Tad z krzykiem wpadł do kuchni. – Bud nie chce mi dać zabawki!

Buddy przygalopował tuż za nim.

– On zabrał zabawkę Maisie i nie chciał oddać.

– Bo ja się nią jeszcze nie bawiłem!

– Maisie ją chciała!

– Buddy... – zaczął Chip, ale Jamie powstrzymała go uściskiem za ramię.

Rywalizacja pomiędzy chłopcami była nową sytuacją, niełatwą dla obojga dorosłych. Jamie podziwiała podejście Chipa do Tada, ale nie mogła pozwolić, aby cierpiał na tym Bud tylko dlatego, że był starszy. Tad miał trzy lata i musiał się uczyć ustępować. Na dodatek była to zabawka Maisie. Buddy miał rację.

Przykucnęła, objęła obu chłopców i cierpliwie im tłumaczyła. Ona była rodzicem od logicznych argumentów, Chip od szybkich decyzji. Ona pocieszała i utulała, on uczył ich podchodzić do upadków ze śmiechem. Ona wynajdowała problemy, on zbywał je wzruszeniem ramion.

– Ale to była moja kolej – dąsał się Tad.

Jamie zaniemówiła. Ten dzieciak uporem bardzo przypominał Roya. Czasem

ją to wzruszało, a czasem przerażało. Opowie mu o jego ojcu, kiedy podrośnie i zacznie zadawać pytania. Na razie na komódce w jego pokoju postawiła zdjęcia Roya i Jess. Wiedział, że to twarze taty i mamy, ale to mu wcale nie przeszkadzało tak samo wołać na Jamie i Chipa.

Jego kolej?

– Całe podwórko jest zarzucone zabawkami. Theodorze MacAfee, masz ich mnóstwo do wyboru. W piaskownicy wala się z dziesięć ciężarówek, na tarasie stoi basenik do puszczania łódeczek, na trawniku leży porzucona kosiarka, Poppy przywiózł wam transformersy. A czemu nie bawicie się już minigolfem? – Popatrzyła pytająco na Buda. – Już się wam znudziło?

– Poppy się zmęczył rzucaniem piłek – wyjaśnił Bud.

No tak, bo obaj częściej trafiać, niż puścić, pomyślała.

– A może któryś z was by się tym zajął? – włączył się Chip, nie bawiąc się w ceregiele.

– Fido nasiusiał na taras – poinformował go Bud, zadzierając głowę.

Fido, szczenię owczarka niemieckiego, był prezentem Deana na otwarcie domu. Oczywiście najpierw wszystko zostało uzgodnione, choć nie obyło się bez spięć. Jamie wolałaby dwa ciche, czyste, samowystarczalne koty, Chip argumentował, że koty nie będą biegać z chłopcami, a oni potrzebują ruchu. Kiedy stwierdziła, że schroniska dla kotów pękają w szwach, przypomniał jej, że szczeniak wybrany przez Deana też się urodził w schronisku. Trzy głosy przeciwko jednemu i Fido zamieszkał z nimi. Próbowali go przemianować; z początku miał być Oliverem, potem Chesterem, a na koniec Remingtonem, lecz po tygodniu wrócili do Fido, bo to imię najlepiej do niego pasowało. Teraz musieli go nauczyć czystości.

– O Boże, Chip! Mamy jeść na tarasie!

– Nie ma problemu – uspokoiła ją Caroline, wchodząc do kuchni. – Dean zmył taras z węża. Czy ktoś tu ma ochotę na parówkę? – zwróciła się do chłopców.

– Ja!

– Ja! Mogę dostać pierwszy, bo jestem starszy? – chciał wiedzieć Buddy.

– Spokój – syknął Chip.

– Podejrzewam – odezwała się Caroline – że Dean poda im te parówki równocześnie. – Obaj z tupotem wybiegli z kuchni. – Coleslaw gotowa? – zwróciła się do Jamie, a ona posłała Chipowi spłoszone spojrzenie z pytaniem: co teraz?

Udał, że coś miesza. Zrozumiała podpowiedź, wlała dressing do sałatki i podała miskę Caroline, a ona z przymilnym uśmiechem wręczyła ją Chipowi.

– Byłbyś tak dobry i zaniósł to na stół?

Chip puścił oko do Jamie na znak, że spełnianie życzeń teściowej to dla niego przyjemność, i zniknął.

Zostały same. Caroline wybrała na dzisiaj zupełnie nową stylizację. Zjawiła

się w białej bluzce i w białych szortach, z paznokciami u rąk i nóg w jaskrawoniebieskim kolorze. O ironio, to Jamie lubiła nieskazitelną biel, zanim została matką. Obecnie białe rzeczy nie wchodziły w grę. A Caroline było w nich do twarzy. Z niebieskimi paznokciami, kasztanowymi włosami i zielonymi oczyma wyglądała świeżo jak zawsze.

Jednak to nie dobór kolorów ją odmienił.

Ani nawet pierścionek z brylantem na łańcuszku, którego nigdy nie zdejmowała.

Nie. Ona świeciła wewnętrznym blaskiem, jakby odnalazła w sobie to coś, co, jak myślała, dawno już utraciła.

Jak zawsze wniosła ze sobą zapach konwalii. A może tę woń przywiał wiatr znad skraju lasu, gdzie jak okiem sięgnąć z zielonego dywanu łąki wystawały łodyżki obsypane białymi dzwonkami. Ten zapach zawsze będzie Jamie kojarzyć się z matką. Pasował do niej.

– Denerwujesz się? – spytała cicho Caroline.

– Są rodzice Chipa i Theo. – Zawahała się. – Mamo, dziadek dobrze wygląda. Jak badania?

W zimie Theo przeszedł niewielki wylew, co przyspieszyło awans Caroline. Zachował stanowisko prezesa, a na szpitalnym łóżku podpisał jej nominację na dyrektora generalnego. W ostatnim półroczu Caroline zatrudniła kilku wartościowych pracowników, między innymi dyrektora finansowego, nowego radcę prawnego oraz Samanthę.

– Trzyma się – zapewniła ją. – Przebiegły jak zawsze. Czasem się zastanawiam, czy przypadkiem nie udawał tego udaru, żeby mnie wciągnąć do zarządu.

– Sprawdzasz się tam. Znacznie lepiej niż ja w kuchni. Tak, jestem zdenerwowana. – Wskazała żółtą sklerotę na drzwiach lodówki. – Zrobiłam listę, żeby pamiętać, co mam wystawić – ketchup, musztarda, ogórki konserwowe, oliwki...

Caroline zakryła jej usta dłonią.

– Nic nie potrzeba. Stół się ugina.

– Lemoniada! – jęknęła Jamie, rzucając się do lodówki.

Caroline przytrzymała ją za ramię.

– Stoi na stole, a nawet gdybyś zapomniała, to nic by się nie stało. Przyszłabyś po nią, jeśli ktoś miałby ochotę się napić. Nie musisz być perfekcjonistką. Już to ustaliłyśmy.

– Niby tak.

– Ale ja nie o tym myślałam – zmieniła temat Caroline. – Denerwujesz się?

Chwilę trwało, zanim do Jamie dotarł konspiracyjny ton tego pytania.

Oczy jej rozbliły.

– Chodzi ci o nagranie?

To był drugi powód rodzinnego spotkania. Jak mogła o tym zapomnieć? A jednak zapomniała... Miała tyle innych spraw na głowie. Musiała kupić chłopcom nowe trampki, ogarnąć pokój gościnny dla Helen i Donalda, no i zrobić ten sos do sałatki coleslaw.

– To twój debiut – uśmiechnęła się Caroline.

Jamie definitywnie przejęła prowadzenie programu. Stało się tak z dwóch powodów: po pierwsze, całkiem gładko weszła w nową rolę, a po drugie, Theo wymagał stałej obecności Caroline w firmie. Ona poprowadziła jeszcze jesienny cykl, na co Brian wyraził zgodę pod warunkiem zamiany na wiosnę. Niedawno skończyli kręcić w Maine wiosenne odcinki, w których Jamie od początku do końca występowała w roli gospodyni.

– To także debiut reżyserski Giny Anderson – zauważyła Jamie, zdobywając się na uśmiech. – Brakuje nam Claire?

Retoryczne pytanie. Jej odejście oczyściło atmosferę. Nie, projekt Weymouthów nie znalazł się w programie. Nigdy tam nie trafi. Bracia zdecydowanie sobie tego nie życzyli, więc Jamie i Caroline musiały ustąpić. Okazało się, że wcale nie potrzebowali *Gut It!* do rozreklamowania przyszłej inwestycji. Zaraz po podpisaniu umowy sprzedaży firma zawarła wstępne kontrakty z chętnymi na niemal wszystkie działki. Barthowie bez parceli Weymouthów przestali interesować Claire Howe. Cały program stracił dla niej na atrakcyjności, szczególnie odkąd Brian postanowił trzymać się MacAfee, zostawiając im nawet wybór gospodyni jesiennego serii. Jej reżyserię powierzył osobie z innej stacji, tak aby Jamie i Gina mogły razem wystartować z nową koncepcją na wiosnę.

– Niepotrzebnie się przejmujesz – uspokajała ją Caroline. – Udowodniłaś, że masz osobowość. Nie musisz się bać tego, co zobaczymy przed montażem. – Machnęła ręką w stronę salonu, gdzie na dużym płaskim telewizorze mieli później oglądać ujęcia.

– Nie boję się – zapewniła ją Jamie, czując, że naprawdę tak myśli. – Nie bagatelizuję znaczenia *Gut It!*, cieszę się, że nowy album ze zdjęciami z planu zapowiada się rewelacyjnie, ale to nie są dla mnie najważniejsze sprawy w życiu.

– Delikatnie to ujęłaś. – Caroline znacząco przeciągnęła samogłoski. – Jak rozumiem, jesteś zadowolona z nowej współpracownicy?

Jamie po dwóch nieudanych próbach wreszcie znalazła architektkę myślącą podobnie jak ona. A ta dziewczyna też miała dwoje dzieci, co gwarantowało wzajemne zrozumienie i wspieranie się w pracy.

– Bardzo ją lubię – odparła Jamie, biegnąc myślami do kolacji na tarasie. Dla dodania sobie odwagi wzięła matkę pod rękę i już miały wyjść na dwór, gdy jej wzrok zatrzymał się na wiktoriańskiej koronce, która niedawno zawisła u niej

w jadalni.

– Mamo, czuję się winna, że jest u mnie.

– Och, przestań. Tak powinno być. Rzeczy przechodzą z pokolenia na pokolenie. – Stały razem przed gipiurową koronką. – Co widzisz?

– Chyba natrzęsa się z mojej sałatki, bo dostrzegam mnóstwo szerokich uśmiechów.

– To są szczęśliwe uśmiechy, Jamie. Mówiące o zadowoleniu. O spełnieniu. Ja też je widzę. Jak myślisz, co to znaczy?

Wzruszenie odebrało jej mowę. Odkąd pogodziła się z matką, jeszcze bardziej doceniała wagę ich relacji. Teraz między nimi mogło być tylko lepiej. Przez otwarte tarasowe drzwi rozczulona patrzyła na kolorowy, zastawiony jedzeniem stół, swojego męża z przyszłym mężem Caroline przewracającym burgery na gazowym grillu i dwóch chłopaczków, którzy kręcili się pomiędzy dorosłymi, jedząc parówki i frytki.

Theo pierwszy je zauważył. Z uśmiechem na pomarszczonej twarzy skinął na nie gestem artretycznej dłoni.

Nie mogły mu odmówić.

## Podziękowania

Czy naprawdę muszę pisać o rzeczach, na których się nie znam? O ile łatwiej byłoby trzymać się sprawdzonych tematów! Niestety, wtedy byłabym nudna. Zależy mi, aby kolejne książki różniły się od siebie, dlatego wkraczam w nowe obszary. A może zwyczajnie lubię nowości i liczę, że moim czytelnikom też przypadną do gustu. Pisanie o nowych, nieznanym sprawach bywa zatrważające. Możecie mi wierzyć, że praca przy tej książce kosztowała mnie wiele bezsennych nocy.

Moje remedium? Pomoc życzliwych ludzi, chętnych do dzielenia się ze mną wiedzą. Zacznę od podziękowania Susan Wornick, niezwyklej osobowości telewizyjnej. Jej informacje pomogły mi uwiarygodnić pracę przy *Gut It!* Dzięki Jenne Whitelaw i Peterowi Darlowowi dowiedziałam się nieco o problemach architektów. Bardzo wam dziękuję. Jeśli chodzi o prace budowlane, wielkie dzięki dla Boba Gavilla i Eda Forana za odpowiedzi na moje pytania. Pisząc o budowlańcach MacAfee, wzorowałam się na ekipie Eda. Przyglądałam się tym panom podczas remontu domu i wypytywałam ich o różne sprawy. Pewnie sądzili, że moja ciekawość wynika z braku lepszych zajęć. Ha! Wybaczcie mi podstępne działanie; podziwiam was i dziękuję.

Wkraczając w te wszystkie dziedziny, pozwoliłam sobie na swobodę literacką. Wszelkie błędy i nieścisłości są moje i tylko moje.

Jak zawsze serdecznie dziękuję mojej agentce Amy Berkower, redaktorce Hilary Rubin Teeman i jej utalentowanemu, profesjonalnemu zespołowi w St.Martin's Press. Wielkie dzięki dla mojej asystentki, Lucy Davis, której pomoc wykracza daleko poza obowiązki zawodowe, dla Lindy Kay za uwagi i umiejętność słuchania oraz dla Erica McLeisha za wyjaśnienie procedury adopcyjnej i wyczerpujące odpowiedzi na najróżniejsze pytania.

Nie mogę nie wspomnieć w tym miejscu o swojej rodzinie. Jesteście fundamentem moich życiowych projektów. Kocham was i dziękuję.

Moi czytelnicy niezmiennie dostarczają mi satysfakcji zawodowej. Wiernie przy mnie trwają w tym wciąż zmieniającym się krajobrazie świata książek. Nigdy o tym nie zapominam.

